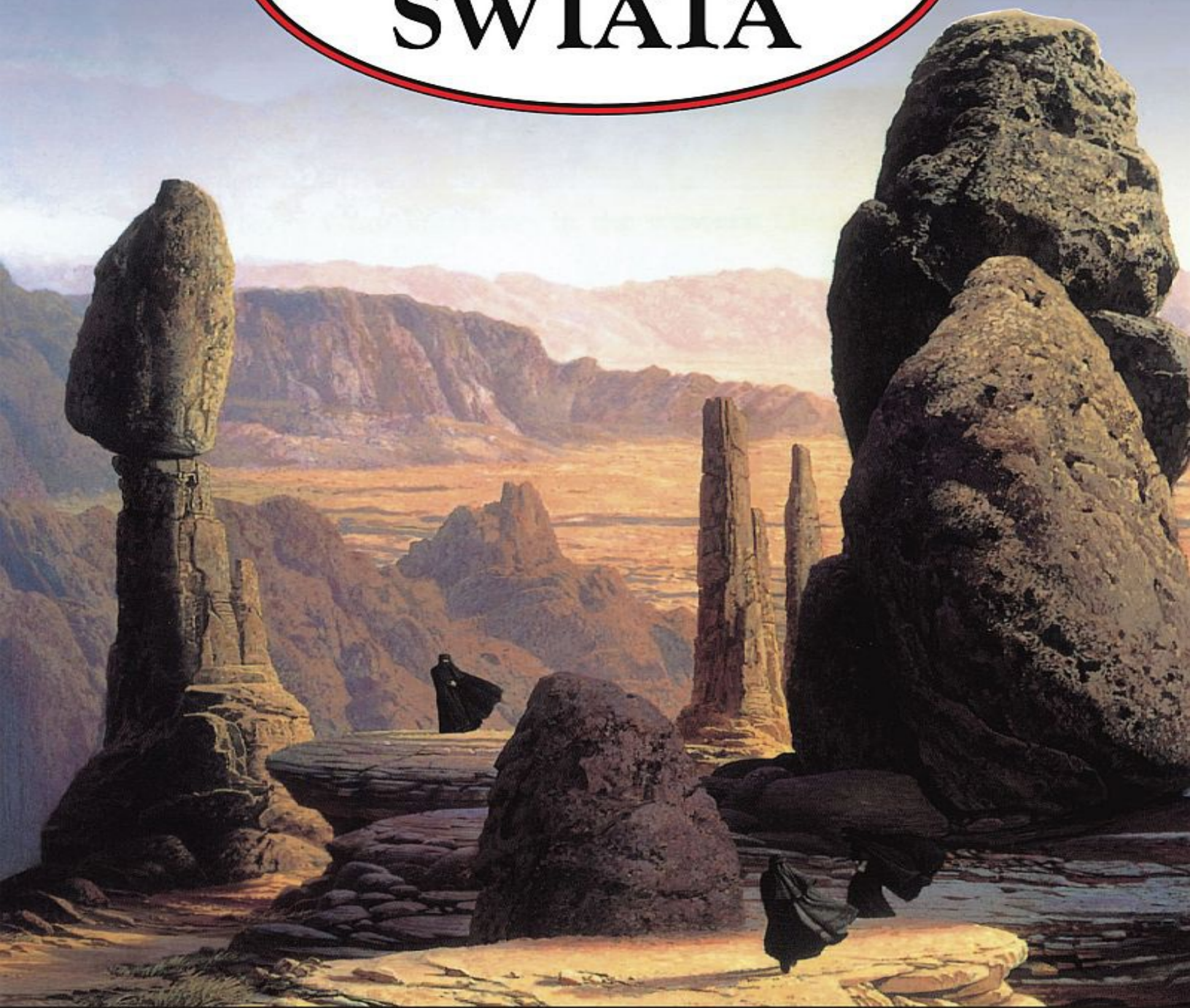


Fantasy

FILARY ŚWIATA



TERRY GOODKIND

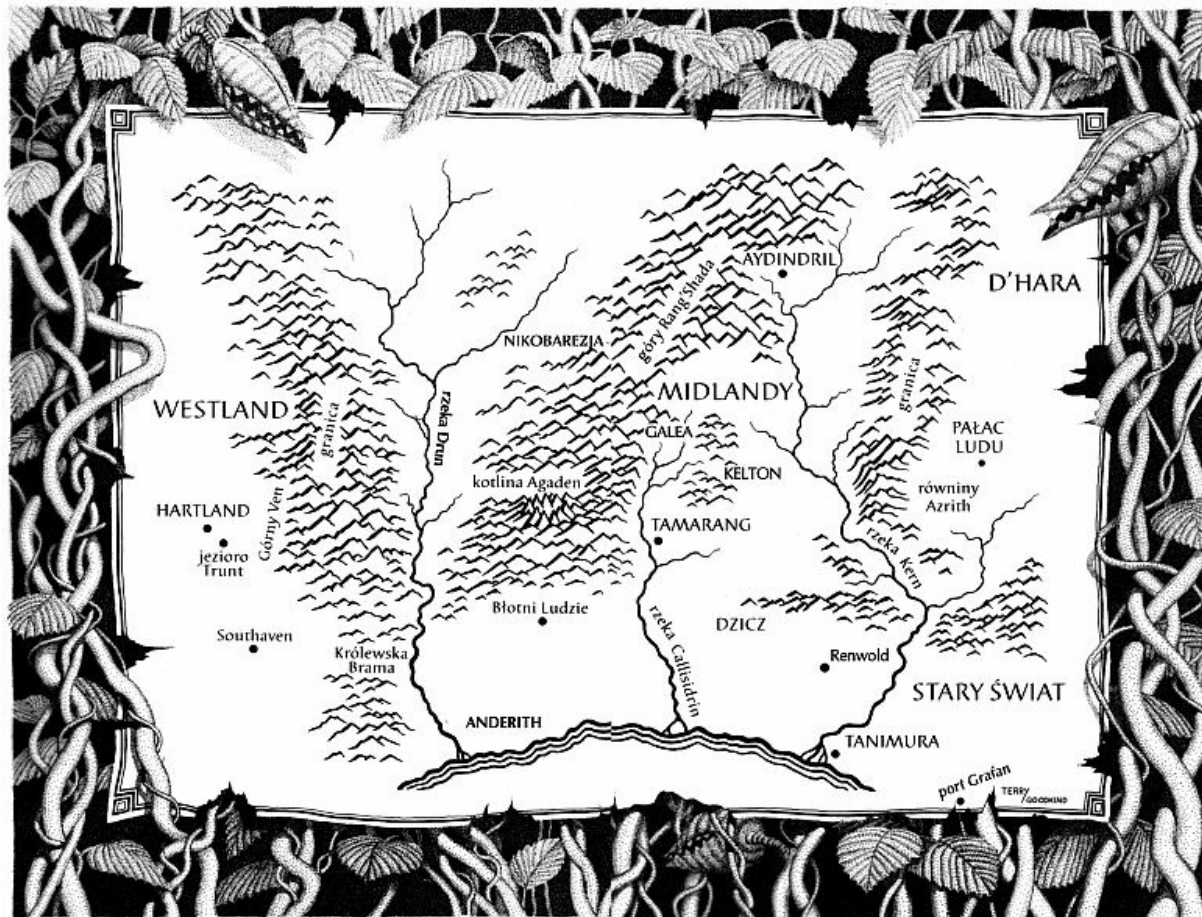
Terry Goodkind

Filary świata

Tom VII serii

Przełożyła Lucyna Targosz

Dom Wydawniczy REBIS



Dedykowane ludziom z United States Intelligence Community, którzy przez dziesięciolecia mężnie walczyli o ochronę życia i wolności, wykpiwani, krytykowani, demonizowani i krępowani przez sługusów zła.

„Zło nie spodziewa się, że nas omami, odslaniając straszliwą prawdę o swoich szkaradnych zamysłach, lecz przybywa przyodziane w połyskliwe szaty cnoty, szepcząc słodko brzmiące kłamstwa zwabić nas mające w wiekuiste mroki mogił”.

z pamiętnika Koloblicina

ROZDZIAŁ 1

Jennsen Daggett, przeszukując kieszenie zabitego, natknęła się na coś, czego w ogóle nie spodziewała się znaleźć. Zaskoczona, przysiadła na piętach. Zimny wiatr rozwiewał jej włosy, a ona wpatrywała się szeroko otwartymi oczami w słowa napisane na małej kartce wyraźnymi, drukowanymi literami. Kartkę starannie i równo złożyła na pół. Zamrugła, niemal oczekując, że słowa znikną niczym jakieś ponure przywidzenie. Jednak trwały nadal, aż za bardzo realne.

Wiedziała, że to głupie, lecz mimo to miała wrażenie, jakby nieżywy żołnierz ją obserwował, patrzył, jak zareaguje. Niczego po sobie nie pokazała; zerknęła na jego oczy. Były bez wyrazu, szkliste. Słyszała, jak ludzie mówili, że umarli wyglądają, jakby tylko spali. Ale on nie. Jego oczy były martwe. Zbielałe wargi miał zaciśnięte, twarz woskową. Na krzepkim karku widać było sinawą plamę.

Jasne, że jej nie obserwował. Już się w ogóle niczemu nie przyglądał. Ale głowę miał odwróconą na bok, ku niej, i mogło się wydawać, że na nią patrzy. Potrafiła to sobie wyobrazić.

Za nią, na skalistym wzgórzu, nagie gałęzie uderzały o siebie na wietrze, stukwały niczym kości. Papier w jej trzęsących się palcach szeleścił im do wtóru. Serce Jennsen, już i tak szybko bijące, zaczęło się tłuc jeszcze bardziej.

Jennsen chętnie się swoim zrównoważeniem. Wiedziała, że pozwala się ponieść wyobraźni. Jednak nigdy przedtem nie widziała zmarłego, kogoś tak niesamowicie nieruchomego. Okropnie było patrzeć na kogoś, kto nie oddycha. Przełknęła ślinę, starając się zapanować nad oddechem, a może i nerwami.

Może i był martwy, ale Jennsen się nie podobało, że na nią patrzy; wstała, uniosła rąbek długiej spódnicy i obeszała zwłoki. Starannie złożyła karteczkę po liniach zagięcia i wsunęła do kieszeni. Potem się o to zatroszczy. Wiedziała, jak jej matka zareaguje na dwa słowa na karteczce.

Przykucnęła z drugiej strony żołnierza, zdecydowana dokończyć przeszukiwanie. Twarz miał odwróconą i sprawiał wrażenie, jakby patrzył na szlak, z którego spadł, zastanawiając się, co się stało i jak się znalazł na

dnie urwistego skalistego wąwozu, ze skrzyconym karkiem.

Jego peleryna nie miała kieszeni. U pasa tkwiły dwie sakiewki. W jednej były oliwa, osetki i pasek do ostrzenia brzytwy. Druga była wypchana suszonym mięsem. Na żadnej nie było nazwiska.

Gdyby wiedział to, co ona, wybrałby dłuższą drogę, u stóp urwiska, zamiast iść górnym szlakiem, o tej porze roku zdradzieckim ze względu na łąty ciemnego lodu. Nawet jeżeli nie chciał się cofać, żeby zejść do wąwozu, lepiej zrobiłby, idąc lasami, chociaż gąszcz jeżyn utrudniał przedzieranie się przez chaszczki i zwalone drzewa.

No, ale było już po wszystkim. Gdyby się dowiedziała, kto to, może by się jej udało odszukać jego rodzinę albo kogoś, kto go znał. Pewnie chcieliby się dowiedzieć. Uczepiła się tego pretekstu.

Jennsen, niemal wbrew własnej woli, zaczęła się znów zastanawiać, co też on tutaj robił. Bała się, że poskładana kartka papieru wyjawiała jej to aż nadto wyraźnie. No, ale przecież mógł mieć inny powód.

Gdybyż tylko mogła go odkryć.

Jeśli chciała zajrzeć do drugiej kieszeni, musiała nieco przesunąć ramię martwego żołnierza.

- Wybaczcie mi, drogie duchy - wyszeptała, chwytając rękę trupa.

Z trudem przesunęła sztywne ramię. Z obrzydzeniem zmarszczyła nos. Był tak zimny jak ziemia, na której leżał, jak krople deszczu z rzadka spadające z nieba zasnutego sinymi chmurami. O tej porze roku taki zimny, zachodni wiatr prawie zawsze gnał przed sobą śnieg. Teraz zaś, co niezwykle, co rusz pojawiały się mgła i mżawka, więc szlak był miejscami oblodzony i tam, na górze, jeszcze bardziej śliski. Martwy żołnierz był na to dowodem.

Jennsen miała świadomość, że jeżeli zostanie tu dłużej, złapie ją nadciągający zimowy deszcz. Dobrze wiedziała, że ludzie wystawieni na taką niepogodę ryzykują życie. Na szczęście nie miała zbyt daleko do domu. Ale jeśli wkrótce nie wróci, matka, zaniepokojona, co ją tak długo zatrzymało, pewnie pójdzie jej szukać. Nie chciała, żeby i ona zmokła.

Matka na pewno czeka na ryby, które Jennsen odczepiła z haczyków umocowanych na sznurkach, które wpuszczały w przeręble wyrąbane w pokrywającym jezioro lodzie. Choć raz połów był dobry. Martwe ryby leżały obok nieżywego żołnierza, tam gdzie je rzuciła, kiedy go znalazła. Nie było

go tu wcześniej, bo wtedy by go zauważyła w drodze nad jezioro.

Jennsen głęboko zaczerpnęła powietrza, wzięła się w garść i wróciła do przeszukiwania kieszeni. Wyobrażała sobie, że jakaś kobieta pewno myśli o swoim wielkim, przystojnym żołnierzu, martwi się, czy jest bezpieczny, czy mu ciepło i sucho.

Cóż, jest wprost przeciwnie.

Gdyby to ona spadła i skręciła kark, chciałaby, żeby ktoś zawiadomił o tym matkę. Zatem matka na pewno zrozumie, jeżeli strawi jeszcze trochę czasu, próbując ustalić, kim był. Jennsen przemyślała to ponownie. Matka pewnie by to zrozumiała, ale i tak wołałaby, żeby Jennsen nie kręciła się w pobliżu któregoś z tych żołnierzy. Jednak ten był martwy. I teraz już nie mógł nikogo skrzywdzić, a zwłaszcza jej i matki.

A matka z pewnością jeszcze bardziej się zaniepokoi, gdy Jennsen pokaże jej kartkę.

Dziewczyna zdawała sobie sprawę, że do przeszukiwania kieszeni trupa popycha ją nadzieja, że znajdzie jakieś inne wyjaśnienie. Desperacko pragnęła, żeby to było coś innego. I to pragnienie trzymało ją przy zwłokach, choć wołałaby pobiec do domu.

Jeśli nie znajdzie niczego, co by tłumaczyło jego obecność, to najlepiej będzie dobrze go ukryć i mieć nadzieję, że nikt go nie znajdzie. Choćby miała zostać na deszczu, to musi go zakopać najszybciej jak zdoła. Nie wolno zwlekać. I nikt się nigdy nie dowie, gdzie się podział.

Zmusiła się, żeby wsunąć rękę do kieszeni spodni, do samego dna. Udo miał sztywne. Pospiesznie zgarnęła palcami zawartość. Wyciągnęła dłoń, z trudem chwytając powietrze. Pochyliła się, żeby lepiej widzieć w gęstniejącym mroku, i otworzyła pięść.

Krzemień, kościane guziki, mały kłębek sznurka, złożona chusteczka. Odsunęła palcem sznurek i chusteczkę, odsłaniając sporą kupkę monet - srebrnych i złotych. Cicho gwizdnęła na widok takiego bogactwa. Nie sądziła, że żołnierze są bogaci, a ten tu miał pięć złotych marek i sporo srebrnych. Cała fortuna. Pensy - nie miedziane, lecz srebrne - wydawały się przy tym bez wartości, choć już one same stanowiły pewno większą sumę niż ta, którą Jennsen wydała w ciągu dwudziestu lat życia.

Uświadomiła sobie, że pierwszy raz w życiu trzyma w garści złote i srebrne marki. Pomyślała, że to pewnie z grabieży.

Nie znalazła żadnego drobiazgu od kobiety - choć miała nadzieję, że znajdzie, bo to by złagodziło jej niepokój co do niego.

Niestety, żaden z przedmiotów nie zdradził, kim mógł być. Znowu zmarszczyła nos i włożyła wszystko na miejsce. Trochę srebrnych pensów wypadło jej z dłoni. Pozbierała je z wilgotnej, zmarzniętej ziemi i znowu zmusiła się, żeby wsunąć dłoń do jego kieszeni i odłożyć je na miejsce.

Może zdradziłaby coś zawartość plecaka, ale leżał na nim, Jennsen zaś wcale nie była przekonana, czy chce zajrzeć do środka, bo pewnie miał tam tylko żywność. To, co uważał za cenne, na pewno nosił w kieszeniach.

Jak tę kartkę.

Wszystkie potrzebne dowody miała przed oczami. Pod ciemną peleryną i tuniką miał twardy skórzany pancerz. U biodra nosił prosty, ale bardzo ostry, żołnierski miecz w pokieroszowanej czarnej skórzanej pochwie. Miecz był złamany w połowie - na pewno pękł, kiedy żołnierz staczał się ze szlaku.

Przyjrzała się uważniej nożowi, który miał u pasa. Jej uwagę przyciągnęła rękojeść połyskująca w mroku. To na ten widok zamarła i trwała tak, dopóki się nie zorientowała, że właściciel noża nie żyje. Była przekonana, że żaden zwykły żołnierz nie miałby takiego wspaniałego noża. O wiele droższego niż wszystkie, jakie w życiu widziała.

Na srebrnej rękojeści widniało ozdobne „R”. Ale i tak był piękny.

Matka od małego uczyła ją posługiwania się nożem. Och, żeby też matka mogła mieć tak wspaniały nóż!

Jennsen.

Podskoczyła, usłyszawszy ten szept. Nie teraz. Drogie duchy, nie teraz. Nie tutaj.

Jennsen.

Nie była osobą skłoną do nienawiści, lecz nienawidziła głosu, który czasem słyszała.

Zignorowała go teraz, jak zwykle, zmusiła palce do ruchu, starała się dowiedzieć czegoś jeszcze o zmarłym. Dotknęła skórzanych rzemieni, ale nie znalazła żadnych ukrytych schowków. Tunika nie miała kieszeni.

Jennsen, głos znowu się odezwał.

Zgrzytnęła zębami.

- Daj mi spokój - powiedziała cicho.

Jennsen.

Tym razem brzmiało to inaczej. Jakby głos nie był - tak jak zwykle - w jej głowie.

- Daj mi spokój - burknęła.

Poddaj się, zamruczał umarłak. Wyrzeknij się.

Podniosła wzrok: patrzyły na nią oczy martwego żołnierza.

Pierwsza fala zimnego, niesionego wiatrem deszczu była jak lodowate palce duchów gładzące twarz Jennsen.

Jej serce zabiło jeszcze szybciej. Wstrzymała oddech. Szeroko rozwartymi oczami wpatrywała się w twarz martwego żołnierza i cofała się po żwirze.

Głupia jest. Wiedziała, że jest głupia. Żołnierz nie żył. Nie patrzył na nią. Nie mógł. Oczy miał nieruchome, martwe jak jej nanizane na sznurek ryby - na nic nie patrzyły. On też. Ale jest głupia. Tylko tak się wydaje, że na nią patrzy.

Ale jeśli oczy trupa na nic nie patrzyły, to wołałaby, żeby nie były zwrócone w jej stronę.

Jennsen.

Ponad stromym granitowym występem chwiały się na wietrze sosny, bezlistne klony i dęby kołysały nagimi konarami, lecz Jennsen nie odrywała wzroku od martwego wojownika i nasłuchiwała głosu. Wargi żołnierza były nieruchome. Wiedziała, że takie będą. Głos był w jej głowie.

Twarz nadal miał zwróconą ku szlakowi, z którego spadł. Sądziła, że martwe oczy też patrzą w tamtą stronę, lecz teraz wydawały się skierowane bardziej ku niej.

Jennsen zacisnęła palce na rękojeści noża.

Jennsen.

- Daj mi spokój. Nie wyrzeknę się.

Nigdy nie wiedziała, jakiego to wyrzeczenia domaga się od niej głos. Nigdy tego nie powiedział, chociaż towarzyszył jej niemal całe życie. Pocieszała się tą niejasnością.

Głos znów powrócił, jakby w odpowiedzi na jej myśli.

Wyrzeknij się swego ciała, Jennsen.

Nie mogła oddychać.

Wyrzeknij się swojej woli.

Przełknęła ślinę, przerażona. Nigdy tego nie powiedział: nigdy nie mówił

niczego, co by rozumiała.

Czasami ledwo go słyszała - jakby był zbyt daleko, żeby mogła zrozumieć, co mówi. Czasem wydawało jej się, że słyszy słowa, lecz były w jakimś dziwnym języku.

Często go słyszała, zasypiając: wołał do niej tym odległym, głuchym szeptem. Wiedziała, że mówi do niej i inne słowa, lecz pojmowała tylko swoje imię i ów przerażająco kuszący rozkaz poddania się, wyrzeczenia. To słowo zawsze miało więcej mocy niż inne. Zawsze je słyszała, nawet jeżeli nie docierały do niej inne.

Matka mówiła, że głos należy do człowieka, który chce śmierci Jennsen, prawie od dnia jej narodzin. Matka mówiła, że chce ją dręczyć.

- W porządku, Jenn - powtarzała często. - Jestem przy tobie. Jego głos nie wyrządzi ci krzywdy.

Jennsen, nie chcąc martwić matki, rzadko mówiła jej o głosie.

Ale jeśli nawet głos nie mógł jej zrobić nic złego, to jego właściciel tak, gdyby ją znalazł. Dziewczyna rozpaczliwie tęskniła za niosącymi ukojenie objęciami matki. Pewnego dnia zjawi się po nią. Obie o tym wiedziały. A na razie przysyłał swój głos. Tak przynajmniej myślała matka.

I chociaż takie wyjaśnienie ją przerażało, Jennsen wołała je od uważania się za wariatkę. Nic by jej nie zostało, gdyby straciła rozum.

- Co tu się stało?!

Okrzyk przerażenia uwiązał jej w gardle i obróciła się, dobywając noża. Przysiadła na rozstawionych nogach, mocno zaciskając rękojeść w dłoni.

To nie był głos pozbawiony ciała. Jakiś mężczyzna szedł ku niej wąwozem. Szum wiatru, martwy żołnierz i głos w jej głowie sprawiły, że wcześniej go nie usłyszała.

Był tak wielki i dotarł tak blisko, że wiedziała, iż nie zdoła przed nim uciec.

ROZDZIAŁ 2

Mężczyzna zauważył jej reakcję i nóż i zwolnił.

- Nie chciałem cię wystraszyć.

Głos miał całkiem miły.

- Aleś wystraszył.

Miał na głowie kaptur, więc nie widziała wyraźnie jego twarzy, ale pewnie patrzył na jej rude włosy, jak większość ludzi, kiedy ją pierwszy raz widzieli.

- Widzę. I przepraszam.

Mimo przeprosin pozostała w obronnej postawie; spojrzała na boki, sprawdzając, czy jest sam, czy też jeszcze ktoś się ku niej skrada.

Ależ była głupia, że się tak dała podejść. W głębi duszy wiedziała jednak, że nigdy nie będzie naprawdę bezpieczna. I wcale nie musiało się to stać ukradkiem. Zwykła nieostrożność z jej strony mogła w każdej chwili sprowadzić kres. Zasmucała ją łatwość, z jaką mogło się dopełnić nieuchronne przeznaczenie. Skoro ten człowiek mógł się pojawić w ciągu dnia i tak łatwo ją wystraszyć, to co z jej bezprzykładnie szaleńczym marzeniem, że pewnego dnia jej życie będzie należeć wyłącznie do niej?

Ciemne skalne urwisko lśniło od wilgoci. W smaganym wiatrem wąwozie była tylko ona i ci dwaj: martwy i żywy. Jennsen - przeciwnie niż w dzieciństwie - nie miała już skłonności do wyobrażania sobie złowieszczych twarzy czających się w leśnych mrokach. Ciemność między drzewami była pusta.

Mężczyzna zatrzymał się jakieś dwanaście kroków od niej. Jego postawa świadczyła, że powstrzymał go nie strach przed nożem, lecz obawa, że jeszcze bardziej wystraszy Jennsen. Przyglądał się jej otwarciu, pogrążony w myślach. Szybko jednak się otrząsnął, oderwał od tego, co w jej twarzy tak przykuwało jego wzrok.

- Pojmuję, że kobieta może się wystraszyć, kiedy nagle podąży ku niej jakiś obcy. Przeszedłbym obok, nie niepokojąc cię, ale zobaczyłem go na ziemi i ciebie nachyloną nad nim. Pomyślałem, że może potrzebujesz pomocy, więc pospieszyłem ku tobie.

Zimny wiatr przycisnął ciemnozieloną pelerynę do muskularnej postaci,

odchylając jedną połę; ukazało się dobrze skrojone, choć skromne odzienie. Kaptur osłaniał mu twarz przed zaczynającym padać deszczem, ocieniał ją, przez co była słabo widoczna. Uśmiech był uprzejmy, nic poza tym. Pasował do niego.

- Nie żyje - tylko to zdołała powiedzieć.

Jennsen nie przywykła do rozmów z obcymi. Ani z nikim poza matką. Nie bardzo wiedziała, co powiedzieć, jak zareagować - zwłaszcza w tych okolicznościach.

- Och, jak mi przykro. - Wyciągnął szyję, żeby bez podchodzenia móc się przyjrzeć leżącemu.

Jennsen pomyślała, że to ładnie z jego strony - nie podchodzić do kogoś tak wyraźnie wystraszonego. Złościło ją, że nie potrafi tego ukryć. Stale miała nadzieję, że będzie dla innych nieodgadniona.

Tamten przeniósł wzrok z nieboszczyka na jej twarz i na nóż.

- Chyba masz powód.

Przez chwilę była zmieszana, lecz potem zrozumiała, co miał na myśli, i wybuchnęła:

- Nie zrobiłam tego!

Wzruszył ramionami.

- Przepraszam. Ale z tej odległości nie widzę, co się stało.

Jennsen zmieszała się, że tak weń mierzy nożem. Opuściła rękę.

- Nie chciałam... wyglądać na wariatkę. Tyle że okropnieś mnie wystraszył.

Jego uśmiech stał się serdeczniejszy.

- Rozumiem. Nic się nie stało. No i co się tu wydarzyło?

- Myślę, że spadł ze szlaku. Ma złamany kark. Przynajmniej tak mi się zdaje. Dopiero co go znalazłam. Nie zauważyłam innych śladów. Uważam, że spadł i się zabił.

Schowała nóż do wiszącej u pasa pochwy; nieznajomy przyglądał się urwisku.

- Dobrze, że poszedłem dołem, a nie górnym szlakiem.

Skinęła głową ku martwemu żołnierzowi.

- Szukałam czegoś, co by zdradziło, kto to. Tak sobie myślałam, że może powinnam... kogoś zawiadomić. Ale nic nie znalazłam.

Gruby zwir zachrząścił pod butami mężczyzny. Podszedł i przyklęknął z

drugiej strony nieboszczyka, nie obok niej - prawdopodobnie wolał, żeby uzbrojona w nóż wariatka miała więcej swobody i dzięki temu była mniej nerwowa.

- Pewnie masz rację - powiedział, kiedy przyjrzał się nienormalnemu ułożeniu głowy żołnierza. - Wygląda, jakby tu leżał już kilka godzin.

- Szłam tędy wcześniej. O, tam są moje ślady. Żadnych innych nie widać.
- Wskazała na leżący za nią połów. - Nie było go tu, jak szłam nad jezioro po ryby.

Przekrzywił głowę, żeby się lepiej przyjrzeć zastygłej twarzy tamtego.

- Nie domyślasz się, kto to?

- Nie. Wiem jedynie, że to żołnierz.

Podniósł na nią wzrok.

- Jaki żołnierz?

Zmarszczyła brwi.

- Jak to jaki? D'harański. - Przysiadła, żeby się przyjrzeć nieznanemu. - Skąd żeś, skoro nie poznajesz d'harańskiego żołnierza?

Wsunął dłoń pod kaptur peleryny i potarł sobie kark.

- Wędrowiec jestem, co tędy akurat przechodził. - Wygląd i głos zdradzały, jaki jest zmęczony.

Odpowiedź zdumiała Jennsen.

- Całe życie przenoszę się z miejsca na miejsce i nie słyszałam o kimś, kto by nie potrafił rozpoznać d'harańskiego żołnierza. Jak możesz tego nie wiedzieć?

- Jestem od niedawna w D'Harze.

- To niemożliwe. D'Hara zajmuje większość świata.

- Naprawdę? - Tym razem uśmiechnął się z rozbawieniem.

Poczuła ciepło oblewające twarz i zrozumiała, że musiała się zaczerwienić ze wstydu, gdyż okazała aż taką nieznajomość świata.

- A nie?

Pokręcił głową.

- Nie. Jestem z dalekiego południa. Spoza D'Hary.

Przyglądała mu się zdumiona; smutek i zmartwienia zniknęły, przepędzone myślami wywołanymi ową wiadomością. Może jej marzenia nie były wcale takie szalone.

- A co porabiasz tu, w D'Harze?

- Powiedziałem ci. Podróżuję. - Głos miał zmęczony.

Jennsen wiedziała, jak wyczerpująca może być podróż.

- Wiem, że jest d'harańskim żołnierzem - podjął poważniej. - Źle mnie zrozumiałaś. Chodziło mi o to, co to za żołnierz. Z tutejszego pułku? Stacjonujący tutaj? Podążający do domu na przepustkę? Idący sobie popić w mieście? Zwiadowca?

Zaniepokoiła się.

- Zwiadowca? A za czym miałyby węszyć w rodzinnym kraju?

Mężczyzna popatrzył na niskie, ciemne chmury.

- Nie wiem. Tak się tylko zastanawiałem, czy coś o nim wiesz.

- Nie, oczywiście, że nie. Dopiero co go znalazłam.

- Czy ci d'harańscy żołnierze są niebezpieczni? To znaczy, czy zaczepiają ludzi? Ludzi, co tylko tędy wędrują?

Odwróciła wzrok od jego pytającego spojrzenia.

- Nnnie wiem. Może czasem tak.

Bała się powiedzieć za wiele, ale nie chciała, żeby wpadł w kłopoty, jeżeli mu powie zbyt mało.

- A co, według ciebie, robił tu samotny żołnierz? Żołnierze rzadko chadzają w pojedynkę.

- Nie wiem. Czemu się spodziewasz, że prosta kobieta wie więcej o żołnierze niż taki bywały człowiek jak ty, co sobie wędruje? Nie masz żadnych pomysłów? Może zwyczajnie szedł do domu, na przepustkę, albo coś w tym rodzaju. Może myślał o jakiejś dziewczynie z rodzinnych okolic i nie był tak ostrożny, jak powinien. I dlatego się pośliznął i zleciał.

Znów rozmasował sobie kark, jakby go bolał.

- Przepraszam. Mówię trochę od rzeczy. Jestem zmęczony. Pewnie niezbyt jasno myślę. A może tylko się o ciebie martwię.

- O mnie? O co ci chodzi?

- O to, że żołnierze należą do takich czy innych formacji. Inni żołnierze ich znają i wiedzą, gdzie powinni być. Żołnierze nie chodzą, gdzie im się podoba. Nie są jak jakiś samotny traper, który mógłby zniknąć i nikt by o tym nie wiedział.

- Albo jak jakiś samotny wędrowiec?

Uśmiech rozjaśnił mu twarz.

- Albo jak jakiś samotny wędrowiec. - Uśmiech zniknął. - Chodzi o to, że

pozostali żołnierze pewnie będą go szukać. A jak natrafią tu na jego zwłoki, to sprowadzą oddziały i zadbają, żeby nikt nie mógł stąd odejść. Jak już wszystkich spędzą, zaczną przepytывania. A z tego, com słyszał o d'harańskich żołnierzach, wynika, że potrafią przepytывać. Będą chcieli wшыściutko wiedzieć o każdym, co go będą przepytывać.

Jennsen poczuła, jak ją ściska w dołku, aż po mdłości. Za nic nie chciałaby, żeby d'harańscy żołnierze wypytywali ją czy jej matkę. Ten martwy żołnierz mógłby się stać przyczyną ich śmierci.

- Ale jaka jest szansa...

- Ja tylko mówię, że nie chciałbym, żeby się tu zjawili jego towarzysze i uznali, że ktoś musi zapłacić za tę śmierć. Mogliby tego nie uznać za wypadek. Śmierć jednego z nich, nawet w nieszczęśliwym wypadku, wzburza żołnierzy. A tu jesteśmy tylko my dwoje. Nie chciałbym, żeby go znalazła grupka żołnierzy i postanowiła nas za to obwinić.

- Twierdzisz, że nawet jeśli to był nieszczęśliwy wypadek, oni mogliby pojmać jakąś niewinną osobę i zrzucić na nią winę?

- Tego nie wiem, ale z mojego doświadczenia wynika, że żołnierze właśnie tacy są. Gdy się rozzłoszczą, to znajdują sobie kogoś, kogo za wszystko obwiniają.

- Przecież nie mogą nas obwinić. Ciebie tu nawet nie było, a ja tylko szłam do wędzisk.

Wsparł łokieć o kolano i nachylił się ku niej ponad nieboszczykiem.

- A ten tu żołnierz, dążący gdzieś w sprawach wielkiego imperium D'Hary, zobaczył dumnie stającą piękną młodą kobietę i tak się na nią zagapił, że się pośliznął i spadł.

- Wcale nie paradowałam!

- A ja nie chciałem sugerować, że tak robiłaś. Chciałem ci tylko pokazać, że ludzie zawsze dopatrzą się winy, jeśli tylko zechcą.

O tym nie pomyślała. Byli d'harańskimi żołnierzami. Najprawdopodobniej więc tak robią.

Zapadło jej w pamięć to, co jeszcze powiedział. Nigdy dotąd żaden mężczyzna nie powiedział jej, że jest piękna. Miłe, ekscytujące słowo, choć takie nieoczekiwane i nie na miejscu w tej kłopotliwej sytuacji. Jennsen zignorowała komplement, bo nie miała pojęcia, jak zareagować, no i dlatego, że głowę miała zaprzątniętą o wiele ważniejszymi sprawami.

- Jeśli go znajdą - odezwał się mężczyzna - to spędzą wszystkich z okolicy i brutalnie ich przesłuchają.

Wszystkie paskudne możliwości stawały się aż za bardzo realne. Dzień sądu nagle się przybliżył.

- Co według ciebie powinniśmy zrobić?

Przez chwilę się nad tym zastanawiał.

- No cóż, jeśli się tu pojawią, ale go nie znajdą, nie będą mieć powodu do przesłuchiwania okolicznych ludzi. Jeżeli go tutaj nie znajdą, to pójdą go szukać gdzie indziej. - Wstał i rozejrzał się. - Ziemia jest za twarda, żeby wykopać grób. - Mocniej nasunął na czoło kaptur, żeby osłonić oczy przed mgłą, dalej się rozglądał; w końcu wskazał miejsce u podstawy urwiska. - O, tam. Rozpadlina, co wygląda na dość dużą. Moglibyśmy go tam wepchnąć i przysypać żwirem i kamieniami. Najlepszy pochówek, jaki mu możemy zrobić o tej porze roku.

I pewnie lepszy, niż sobie zasłużył. Chętnie by go tak zostawiła, ale to by nie było rozsądne. Przecież zamierzała go przysypać, zanim się zjawił ten nieznajomy. Ten jego pomysł jest dobry. Zwierzęta tak łatwo go nie odkopią, wystawiając na widok przechodzących żołnierzy.

Mężczyzna widział, jak Jennsen pospiesznie rozważa wszelkie możliwości, i omyłkowo uznał to za niechęć. Odezwał się, chcąc ją przekonać:

- On nie żyje. I nic na to nie można poradzić. To był wypadek. Czemu mielibyśmy pozwolić, żeby wypadek sprowadził kłopoty? Nie zrobiliśmy nic złego. Nawet nas tu nie było, kiedy to się stało. Radzę go pochować, a potem odejść stąd i nie wciągać w to bez potrzeby D'Harańczyków.

Jennsen się podniosła. Pewnie miał rację co do tego, że żołnierze postanowią przesłuchać ludzi, kiedy natkną się na martwego przyjaciela. A martwy d'harański żołnierz i tak był powodem poważnych trosk, bez tej dodatkowej. Znowu pomyślała o kartce znalezionej w jego kieszeni. Już to wystarczało - bez całej reszty mogła się obejść.

A jeżeli kartka była tym, co Jennsen podejrzewała, przesłuchanie mogło być jedynie początkiem najgorszego.

- Zgoda - odezwała się. - A skoro już mamy to zrobić, to się pospieszmy.

Uśmiechnął się; uznała, że tylko z ulgą. Potem ustawił się przed nią i zsunął kaptur z głowy, jak to robią mężczyźni, by okazać szacunek kobiecie.

Wstrząśnięta Jennsen zobaczyła, że choć był od niej zaledwie sześć lub siedem lat starszy, to krótko ostrzyżone włosy miał białe jak śnieg. Patrzyła na nie z takim samym zdumieniem jak ludzie na jej rude włosy. Oczy, których już nie ocieniał kaptur, były tak błękitne jak jej. Tak błękitne, jak według ludzi były oczy jej ojca.

Połączenie krótkich białych włosów i błękitnych oczu przykuwało uwagę. Znakomicie pasowały do gładko wygolonej twarzy, czyniły ją szczególnie pociągającą. Wszystko razem tworzyło znakomitą całość.

Mężczyzna wyciągnął ku niej rękę ponad martwym żołnierzem.

- Mam na imię Sebastian.

Wahała się chwilę, ale w końcu podała mu rękę. Choć był taki wysoki i na pewno krzepki, to - w przeciwieństwie do innych - nie zgniótł jej dłoni, żeby się popisać siłą. Zaskoczyło ją, że miał taką ciepłą rękę.

- Powiesz mi, jak się nazywasz?

- Jennsen Daggett.

- Jennsen. - Uśmiechnął się, bo imię mu się spodobało.

Poczuła, że znów się rumieni. Ale on, zamiast zwrócić na to uwagę, natychmiast złapał żołnierza pod pachy i zaczął go ciągnąć. Za każdym krzepkim szarpnięciem ciało trochę się przesuwało. Za życia żołnierz był wielki. Teraz był okropnie ciężki. Jennsen złapała nieboszczyka za pelerynę na ramieniu, żeby pomóc. Sebastian złapał za drugie ramię i wspólnie ciągnęli ciało wojaka - równie groźnego dla Jennsen po śmierci jak za życia - po żwirze i gładkich skalnych łatach.

Sebastian, dysząc z wysiłku, odwrócił żołnierza, zanim go wepchnął do szczeliny, która miała być miejscem jego ostatniego spoczynku. Jennsen po raz pierwszy zobaczyła, że nieboszczyk miał przewieszony przez ramię, pod plecakiem, krótki miecz. Wcześniej tego nie widziała, bo leżał na plecach. Do pasa, na wysokości krzyży, miał przytroczony bojowy topór z półksiężycowatym ostrzem. Dziewczyna zaczęła się jeszcze bardziej bać, kiedy zobaczyła, jak solidnie był uzbrojony. Zwyczajni żołnierze nie objuczają się tak orężem. Ani nie mają takich noży jak ten tutaj.

Sebastian zsunął D'Harańczykowi z ramion rzemienie plecaka. Odczepił i odłożył na bok krótki miecz. Odpiął bojowy pas i położył na mieczu.

- Niczego niezwykłego tu nie ma - oznajmił, przejrawszy zawartość plecaka, i dołożył go do miecza, bojowego topora i pasa.

Zaczął przeszukiwać kieszenie nieboszczyka. Jennsen miała już zapytać, po co to robi, kiedy sobie przypomniała, że zrobiła to samo. Poczowała się jeszcze bardziej nieswojo, kiedy zatrzymał monety, a odłożył na miejsce resztę. Okradanie zmarłego wydało się jej dość cyniczne.

Sebastian podał jej pieniądze.

- Co robisz? - spytała.

- Bierz - nalegał, wyciągając ku niej rękę z monetami. - Po co to zakopywać? Pieniądze powinny służyć żywym, a nie umarłym. Uważasz, że dobre duchy każą mu płacić za jasną i przyjemną wieczność?

Był d'harańskim żołnierzem. Jennsen spodziewała się, że Opiekun zaświatów szykuje mu dość mroczną wieczność.

- Ale... to nie moje.

Nachmurzył się i spojrzał na nią z wyrzutem.

- Uznaj to za częściową rekompensatę za to, co wycierpiałś.

Złodowaciała. Skąd mógł to wiedzieć? Zawsze były takie ostrożne.

- O co ci chodzi?

- O lata, o które skrócił ci życie strach, jaki on w tobie dziś wzbudził.

Jennsen w końcu zdołała wypuścić powietrze z płuc w cichym westchnieniu. Musiała przestać się dopatrywać najgorszego w tym, co ludzie mówili.

Pozwoliła, żeby Sebastian wcisnął jej monety.

- No dobrze, ale uważam, że za pomoc należy ci się połowa. - Podała mu trzy złote marki.

Złapał jej dłoń i wcisnął w nią trzy złote monety.

- Bierz. Teraz są twoje.

Jennsen pomyślała o tym, co im może dać tyle pieniędzy. Skinęła głową.

- Matka miała ciężkie życie. Na pewno się jej przydadzą. Oddam je matce.

- No to mam nadzieję, że przydadzą się wam obu. Niech pomoc tobie i twojej matce będzie ostatnim dobrym czynem tego żołnierza.

- Masz gorące dłonie. - Wyraz jego oczu sprawił, że domyśliła się dlaczego; umilkła.

Skinął głową i potwierdził jej podejrzenia.

- Mam trochę gorączki. Rankiem mnie dopadło. Jak już z tym skończymy, zamierzam dotrzeć do następnego miasta i trochę odpocząć w

suchej izbie. Potrzebuję wypoczynku, żeby odzyskać siły.

- Miasto jest za daleko, żebyś dzisiaj tam dotarł.

- Na pewno? Mogę iść całkiem szybko. Przywykłem do wędrowania.

- Ja też - odparła Jennsen - a potrzebuję prawie całego dnia, żeby tam dojść. Zostało tylko kilka godzin do zmroku, a jeszcze musimy to zakończyć. Dziś nawet najszybszy koń nie doniósłby cię w pobliże miasta.

Sebastian westchnął.

- Cóż, jakoś sobie poradzę.

Ponownie klęknął i częściowo przetoczył żołnierza, żeby odpiąć nóż. Pochwa z pięknej czarnej skóry była - podobnie jak rękojeść - zdobiona srebrem i takimż symbolem. Sebastian, klęcząc, podał Jennsen ów wspaniały nóż.

- Niemądrze byłoby grzebać taką piękną broń. Weź go. Lepiej ci pasuje niż żelastwo, którym mi groziłaś.

Zdziwiła się i zmieszała.

- Powinien być twój.

- Wezmę tamte rzeczy. Bardziej mi pasują. Nóż jest twój. Prawo Sebastiana.

- Prawo Sebastiana?

- Piękno należy się pięknu.

Komplement znów przyprawił Jennsen o rumieniec. Ale to wcale nie była piękna rzecz. On nie miał pojęcia, jakie okropieństwa reprezentował ten nóż.

- Domyślasz się, co oznacza to „R” na rękojeści?

O tak, chciała mu odpowiedzieć. Aż za dobrze wiedziała, co to oznacza. Okropieństwo.

- To symbol domu Rahlów.

- Domu Rahlów?

- Lord Rahl, władca D'Hary - tymi prostymi słowy określiła koszmar.

ROZDZIAŁ 3

Kiedy wreszcie skończyli żmudne zasypywanie mogących napisać biedy zwłok d'harańskiego żołnierza, Jennsen w ogóle nie czuła rąk. Przesycony wilgocią wiatr przenikał przez odzienie i ziębił aż do kości. Uszy, nos i palce zupełnie jej zdętwiały.

Twarz Sebastiana pokrywała warstewka potu.

W końcu jednak przysypali nieboszczyka - najpierw żwirem, a potem kamieniami, których było mnóstwo u podstawy urwiska. Zwierzęta na pewno nie dostaną się do ciała przez te ciężkie kamienie. Robaki będą się mogły sycić bez przeszkód. Sebastian powiedział kilka słów, prosząc Stwórcę, by powitał w wieczności duszę zmarłego. Nie błagał go o litościwy osąd, Jennsen też nie.

Ciężką gałęzią zamiotła żwir, zacierając ślady ich działalności, przyjrzała się uważnie owemu miejscu i z ulgą przekonała się, że nikt nie będzie podejrzewał, iż kogoś tu pogrzebano. Gdyby się pojawili żołnierze, to nie domyśla się, że jeden z nich napotkał tu swój kres. Nie będą mieć powodu przepytawać miejscowych, chyba że się zechcą dowiedzieć, czy nikt go nie widział. Gładko przełkną kłamstewko, jakie wtedy usłyszą.

Jennsen dotknęła czoła Sebastiana. Potwierdziły się jej obawy.

- Płoniesz z gorączki.

- Już skończyliśmy. Teraz spokojnie wypocznię, nie obawiając się, że żołnierze wywloką mnie ze śpiwora i przepytają, grożąc mieczem.

Zastanawiała się, gdzie też zamierza spać. Mżawka stawała się coraz gęstsza. Lada moment zacznie lać. A zwarta powłoka ciemniejących chmur zapowiadała, że będzie padać całą noc. Zimny deszcz przemoczy go do suchej nitki, co tylko nasili gorączkę. Taki zimowy deszcz łatwo może uśmiercić kogoś, kto nie ma odpowiedniego schronienia.

Przyglądała się, jak Sebastian zapina bojowy pas. Nie umieścił topora z tyłu, na krzyżach, jak przedtem żołnierz, ale u prawego boku. Sprawdził ostrość miecza i - zadowolony - przytroczył go do pasa po lewej stronie. Zarówno topór, jak i miecz umocował tak, żeby móc łatwo po nie sięgnąć. Kiedy skończył, otulił się ciężką zieloną peleryną, która zasłoniła broń. Znowu wyglądał jak zwyczajny wędrowiec. Jednak Jennsen podejrzewała, że

jest kimś więcej. Miał swoje tajemnice. Ale nie ciążyły mu one i niezbyt je skrywał. Natomiast ona zazdrośnie strzegła swoich i bardzo się nimi gryzła.

Mieczem robił ze swobodą, którą daje wyłącznie długa praktyka. Wiedziała o tym, bo sama lekko i z gracją posługiwała się nożem, a taka swoboda przyszła z doświadczeniem i nieprzerwaną praktyką. Niektóre matki uczyły córki szyć i gotować. Matka Jennsen nie sądziła, że umiejętność szycia uratuje jej córkę. Nóż zresztą też by jej nie uratował, ale był lepszą obroną niż igła i nitka.

Sebastian podniósł plecak nieboszczyka i otworzył go.

- Podzielimy się prowiantem. Chcesz plecak?

- Powinieneś zatrzymać i plecak, i prowiant - powiedziała dziewczyna, podnosząc złowione ryby.

Skinieniem głowy wyraził na to zgodę. Przyjrzał się niebu, zasznurował plecak.

- Lepiej już pójdę.

- Gdzie?

Zamrugął zaczerwienionymi powiekami.

- Przed siebie. Powędruję. Przemaszuję kawałek, a potem spróbuję poszukać jakiegoś schronienia.

- Nadciąga deszcz - stwierdziła. - I nie trzeba być prorokiem, żeby to przewidzieć.

Uśmiechnął się.

- Pewnie, że nie. - Wyraz jego oczu świadczył, że spokojnie godzi się z tym, co go czeka. Przesunął dłoń po wilgotnych białych włosach, po czym naciągnął kaptur. - No, to dbaj o siebie, Jennsen Daggett. Przekaż ukłony matce. Wychowała uroczą córkę.

Jennsen się uśmiechnęła, podziękowała skinieniem głowy. Wilgotny wiatr smagał jej twarz, kiedy patrzyła, jak Sebastian się odwraca i rusza przez płaskie zwirowisko. Dokoła wznosiły się poszarpane skalne ściany, ośnieżone zbocza niknęły w niskich burych chmurach, przesłaniających ogrom gór i niemal nieskończone pasmo wysokich szczytów.

Jakie to się wydawało osobliwe i nadaremne, że w tej rozległej krainie ich drogi skrzyżują się tylko przelotnie, w tej właśnie chwili, z tak tragicznego powodu jak czyjaś śmierć... a potem znów się rozejdą i stracą z oczu w bezmiarze życia.

Jennsen z bijącym sercem słuchała, jak jego kroki chrzęszczą na żwirze, jak go od niej oddalają. Pospiesznie zastanawiała się, co powinna zrobić. Czy już zawsze ma unikać ludzi? Kryć się?

Czy już zawsze ma się wyrzekać - z powodu zbrodni, której nie popełniła - nawet najmniejszych okrucichów prawdziwego życia? Czy też się ośmieli i zaryzykuje?

Wiedziała, co powiedziałyby matka. Ale matka szczerze ją kochała i nie mówiłaby tego z okrucieństwa.

- Sebastianie?

Obejrzał się przez ramię, czekał, co powie.

- Jeśli nie znajdziesz schronienia, możesz nie dożyć jutra. No i wcale by mi się nie podobała myśl, że mokniesz tu do suchej nitki z taką gorączką.

Przyglądał się jej, a wiatr niósł między nimi mżawkę.

- I mnie by się to nie podobało. Wezmę sobie do serca twoje słowa i dołożę wszelkich starań, żeby znaleźć schronienie.

Zanim zdążył się odwrócić, Jennsen uniosła rękę i wskazała w przeciwną stronę. Zauważyła, że drżą jej palce.

- Mógłbyś pójść ze mną do domu.

- Twoja matka nie będzie miała nic przeciwko temu?

Matka będzie przerażona. Nigdy nie pozwoliłaby obcemu - bez względu na to, jak się okazał pomocny - nocować w domu. Gdyby ktoś obcy był w pobliżu, całą noc nie zmrużyłaby oka. Ale jeżeli Sebastian z taką gorączką zostanie na dworze, umrze. Matka Jennsen nie chciałaby, żeby go to spotkało. Miała dobre serce. To z czułości i troski, a nie przez złośliwość tak izolowała córkę.

- Dom jest mały, ale jest miejsce w pieczarze, gdzie trzymamy zwierzęta. Mógłbyś się tam przespać, gdybyś chciał. To nie takie złe, jak się wydaje. Sama tam czasem sypiam, kiedy w domu mi za ciasno. Rozpalę ci ogień przy wejściu. Będzie ci ciepło i odpoczniesz sobie, jak tego potrzebujesz.

Nie kwapił się z wyrażeniem zgody. Dziewczyna uniosła sznur z rybami.

- Nakarmimy cię - dodała zachęcająco. - Wygrzejesz się, odpoczniesz i dostaniesz jeść. Uważam, że ci się to przyda. Pomogłeś mi. Pozwolisz, że i ja ci pomogę?

Uśmiechnął się z wdzięcznością.

- Jesteś miłą kobietą, Jennsen. Jeżeli twoja matka się zgodzi, to przyjmę

twoją propozycję.

Rozchyliła pelerynę, ukazując piękny nóż, który zatknęła za pas.

- Damy jej nóż. Doceni to.

Uśmiechał się serdecznie i wesoło. Jennsen jeszcze nie widziała takiego uśmiechu.

- Coś mi się widzi, że dwie zbrojne w noże kobiety będą spokojnie spały mimo chorego nieznajomego.

Jennsen też tak myślała, ale się z tym nie zdradziła. Miała nadzieję, że i matka tak pomyśli.

- No, to ustalone. Chodź, zanim deszcz nas złapie.

Ruszyła w drogę, a Sebastian się z nią zrównał. Wyjęła mu z ręki plecak i zarzuciła sobie na ramię. Był osłabiony, a i tak miał co nieść - własny plecak i nową broń.

ROZDZIAŁ 4

- Poczekaj tutaj - powiedziała cicho Jennsen. - Pójdę jej powiedzieć, że mamy gościa.

Sebastian padł ciężko na niski skalny występ tworzący wygodne siedzisko.

- Powtórz jej, że zrozumiem, jeżeli nie zechce, by nocował u was obcy. Rozumiem, że nie byłaby to niedorzeczna obawa.

Spojrzała nań spokojnie, posępnie.

- Nie musimy się obawiać gościa.

Po jej tonie poznał, że nie była to wzmianka o zwyczajnej broni. Po raz pierwszy, od kiedy go poznała, zobaczyła w pewnym sobie spojrzeniu błękitnych oczu iskierkę niepewności - cień niepokoju, którego przedtem nie wywołała jej biegłość w posługiwaniu się nożem.

Na ustach Jennsen zaś - obserwującej, jak się zastanawia, jakież to mroczne niebezpieczeństwo może zagrażać mu z jej strony - pojawił się leciutki cień uśmiechu.

- Nie martw się. Pobytu tutaj powinni się obawiać ci, co chcą napytać kłopotów.

Unióś ręce w geście poddania.

- No, to jestem równie bezpieczny, jak niemowlę w ramionach matki.

Jennsen zostawiła Sebastiana na skalnej ławie i poszła ścieżką wijącą się wśród świerków, wykorzystując ich korzenie niczym stopnie, ku chacie stojącej w kępie dębów na niewielkiej półce w stoku góry. W pogodne dni ten trawiasty spłacheć był słoneczną polanką pośród olbrzymich starych drzew. Było tu dość miejsca, by mogły trzymać kozę oraz kilka kaczek i kur. Z tyłu wznosiły się strome skały, więc nikt nie mógł niespodziewanie nadejść z tamtej strony. Dojść tu można było wyłącznie ścieżką, od przodu.

Na wypadek zagrożenia matka i Jennsen przygotowały drogę ucieczki: na wąski skalny występ, a potem krętym szlakiem płowej zwierzyny, który wyprowadziłby je wąwozem. Ową drogą nie można się było dostać do chaty, chyba że się dokładnie znało jej bieg przez labirynt skalnych ścian, szczelin i wąskich występów. Ale i tak zadbały, żeby dobrze zamaskować ważne przejścia odpowiednio rozmieszczonym suchym drewnem i specjalnie

zasadzonymi krzakami.

Od dzieciństwa Jennsen często się przeprowadzały i nigdy zbyt długo nie pozostawały w jednym miejscu. Tutaj czuły się bezpieczne i dlatego mieszkały w chacie ponad dwa lata. Wędrowcy nigdy nie odkryli ich górskiego schronienia, jak to się zdarzało winnych miejscach, natomiast mieszkańcy Briarton, najbliższego miasta, nigdy nie zapuszczali się tak głęboko w te mroczne i posępne lasy.

W pobliżu był jedynie rzadko używany szlak wokół jeziora i właśnie z tego szlaku spadł żołnierz. Jennsen tylko raz była z matką w Briarton. Mało prawdopodobne, by ktokolwiek wiedział, że mieszkają wśród tych górskich bezdroży, z dala od gospodarstw i miasta. Wcześniej, przed przypadkowym spotkaniem z Sebastianem, nigdy nie widziały nikogo w pobliżu swojej chaty. To było najbezpieczniejsze miejsce, jakie kiedykolwiek znalazły, i dlatego Jennsen nabierała śmiałości, żeby myśleć o nim jak o domu.

Jennsen tropiono, odkąd skończyła sześć lat. Choć jej matka była nadzwyczaj ostrożna, kilka razy niemal by wpadły. Ten, co ją ścigał, nie był zwyczajnym człowiekiem i nie musiał poprzestawać na zwyczajnych metodach tropienia. Z tego, co Jennsen wiedziała, wynikało, że mógł ją obserwować oczami sowy przyglądającej się z wysokiej gałęzi, jak idzie skalistą ścieżką.

Kiedy dotarła do chaty, matka właśnie wyszła na zewnątrz i otulała się peleryną. Była tego samego wzrostu co Jennsen, miała równie gęste, sięgające tuż za ramiona włosy, lecz bardziej kasztanowe niż rude. Nie doszła jeszcze trzydziestu pięciu lat i była najładniejszą kobietą, jaką Jennsen w życiu widziała. Sam Stwórca by się nią zachwycił. W innych okolicznościach matka na pewno miałaby mnóstwo starających się, a niektórzy z nich bez wątpienia ofiarowaliby bająnskie sumy za jej rękę. Jednak serce matki było równie piękne jak jej twarz i dlatego poświęciła wszystko, żeby chronić córkę.

Kiedy czasami Jennsen się nad sobą litowała, bo omijały ją zwykłe życiowe sprawy, myślała o matce, która dla jej bezpieczeństwa dobrowolnie zdecydowała się na jeszcze większe wyrzeczenia. Jej matka była wcielonym duchem opiekuńczym.

- Jennsen! - Matka podbiegła do niej i złapała ją za ramiona. - Och, Jenn, już się zaczynałam martwić. Gdzieś była? Wybierałam się na poszukiwania.

Pomyślałam, że masz jakieś kłopoty, i...

- I miałam - przyznała dziewczyna.

Matka umilkła i bez dodatkowych pytań objęła opiekuńczo córkę. A ta - po tych wszystkich przerażających przeżyciach - z zadowoleniem przyjęła kojący uścisk. Potem, pocieszająco otaczając ramieniem barki Jenn, matka pociągnęła ją ku drzwiom.

- Wejdz i wysusz się. Widzę, że połów był dobry. Zjemy porządną kolację i opowiesz mi...

Jennsen się ociągała.

- Przeprowadziłam kogoś, mamó.

Kobieta przystanęła i uważnie popatrzyła jej w twarz, wypatrując wiadomych oznak natury i powagi tarapatów.

- To znaczy? Kogoś przeprowadziła?

- Czeka tam. - Jennsen skinęła dłonią ku ścieżce. - Kazałam mu zaczekać. Powiedziałam, że cię zapytam, czyby nie mógł się przespać w pieczarze ze zwierzętami...

- Co?! Zostać tutaj?! Co ty sobie myślisz, Jenn?! Nie możemy...

- Wysłuchaj mnie, mamó. Proszę. Coś okropnego się dzisiaj zdarzyło. Sebastian...

- Sebastian?

Jennsen kiwnęła głową.

- Człowiek, którego przeprowadziłam. Pomógł mi. Natrafiłam na żołnierza, który spadł ze ścieżki, z tego wysokiego szlaku wokół jeziora.

Twarz matki poszarzała. Kobieta nie powiedziała słowa.

Dziewczyna głęboko odetchnęła, żeby się uspokoić, i podjęła:

- W wąwozie poniżej górnego szlaku znalazłam martwego d'harańskiego żołnierza. Nie było innych śladów, sprawdziłam. Był nadzwyczaj wielki i ciężko uzbrojony. Miał topór bojowy, miecz u pasa i drugi umocowany za barkami.

Matka przekrzywiła głowę.

- Co przede mną ukrywasz, Jenn?

Jennsen chciała to zataić, dopóki nie opowie o Sebastianie, lecz matka wyczytała to w jej oczach, usłyszała w głosie. Zupełnie jakby owa groźna kartka z dwoma słowami, ukryta w kieszeni dziewczyny sama dawała znać o swoim istnieniu.

- Pozwól, mamó, że opowiem to po swojemu.

Kobieta dotknęła policzka Jennsen.

- No dobrze. Opowiedz mi to po swojemu.

- Przeszukiwałam żołnierza, chcąc znaleźć coś ważnego. I znalazłam. Ale wtedy pojawił się ten wędrowiec. Przepraszam, mamó, ale tak mnie wystraszył ten żołnierz i to, co znalazłam, że nie byłam tak ostrożna, jak powinnam. Wiem, że głupio się zachowałam.

- Nie, dziecinko - matka się uśmiechnęła - wszyscy popełniamy błędy. Nikt nie jest doskonały. Czasami wszyscy popełniamy błędy. To wcale nie znaczy, że jesteś głupia. Nie mów tak o sobie.

- Ale głupio się poczułam, kiedy się odezwał, a ja się odwróciłam i zobaczyłam go. No i wyciągnęłam nóż. - Matka kiwała głową, uśmiechając się z aprobatą. - No i zobaczył, że tamten zleciał i się zabił. On, ma na imię Sebastian, powiedział, że jeżeli tak zostawimy tego żołnierza, to najpewniej inni żołnierze go znajdą, zaczną nas wszystkich przepytować i winić za jego śmierć.

- Wygląda na to, że ten Sebastian wie, co mówi.

- I ja tak pomyślałam. Miałam zamiar przysypać tego martwego żołnierza, żeby go ukryć, ale był wielki. Sama nigdy bym nie dała rady zawlec go do szczeliny. Sebastian zaproponował, że pomoże mi pochować tego nieboszczyka. Razem go powlekliśmy i wrzuciliśmy do głębokiego pęknięcia w skale. Porządnie go przysypaliśmy. Sebastian położył kilka ciężkich kamieni na żwirze, com go wsypała do rozpadliny. Nikt go nie znajdzie.

Matce najwyraźniej ulżyło.

- Słusznie zrobiliście.

- Zanim go pochowaliśmy, Sebastian uznał, że dobrze będzie zabrać wszystko, co się może przydać, bo szkoda, żeby to się zmarnowało w ziemi.

Matka uniosła brew.

- Naprawdę?

Jennsen potaknęła. Wyciągnęła z kieszeni monety. Położyła je na dłoni matki.

- Sebastian nalegał, żebym wzięła wszystkie. Są tu i złote marki. Nie chciał dla siebie ani jednej.

Matka popatrzyła na spoczywające w jej dłoni bogactwo, rzuciła okiem ku ścieżce, przy której czekał Sebastian. Pochyliła się ku dziewczynie.

- Skoro przyszedł tu z tobą, Jenn, to może uważa, że odzyska pieniądze, kiedy zechce. Dzięki nim mógł się wydać szczodry i zdobyć twoje zaufanie. No i być w pobliżu, żeby je odzyskać, kiedy zechce.

- I ja wzięłam to pod uwagę.

Głos matki złagodniał.

- To nie twoja wina, Jenn, bo tak cię przed wszystkim osłaniałam, ale nie wiesz, jacy potrafią być ludzie.

Jennsen odwróciła wzrok od przenikliwych oczu matki.

- Przypuszczam, że mogłoby tak być, ale uważam, że nie jest.

- A czemu?

Dziewczyna znów na nią spojrzała, tym razem z naciskiem.

- Ma gorączkę, mamó. Nie jest zdrowy. Zbierał się do odejścia i wcale nie pytał, czy może tu ze mną przyjść. Pożegnał się ze mną. Wystraszyłam się, że taki zmęczony i z gorączką umrze nocą na tym deszczu. Zatrzymałam go i powiedziałam, że jeżeli się zgodzisz, to będzie się mógł przespać w pieczarze, gdzie trzymamy zwierzęta. - Po chwili ciszy Jennsen dodała: - Powiedział, że zrozumie i odejdzie, jeśli nie będziesz sobie życzyć obecności obcego.

- Tak powiedział? Ten człowiek jest albo bardzo uczciwy, albo bardzo przebiegły, Jenn. - Wpatrywała się w nią bacznie. - No, a jaki jest według ciebie, hmmm?

Jennsen splotła palce.

- Nie wiem, mamó. Naprawdę nie wiem. Też się nad tym zastanawiałam, uwierz mi. - Nagle coś sobie przypomniała. - Powiedział, że chce, żebyś to dostała i nie musiała się bać śpiącego w pobliżu obcego.

Odpięła od pasa pochwę z nożem i podała matce. Srebrna rękojeść zaślniła w słabym żółtym świetle padającym z małego okna za plecami kobiety. Matka, przyglądając się temu ze zdumieniem, powoli uniosła oręż w dłoniach.

- Drogie duchy... - wyszeptała.

- Wiem - odezwała się Jennsen. - O mało nie wrzasnęłam ze strachu, jak to zobaczyłam. Sebastian powiedział, że to wspinała broń, zbyt piękna, żeby ją zasypać, i chciał, żebym wzięła ten nóż. Sobie zatrzymał krótki miecz i topór bojowy żołnierza. Powiedziałam Sebastianowi, że dam nóż tobie. A on na to, że ma nadzieję, że dzięki temu będziesz się czuła bezpieczniej.

Matka z wolna pokręciła głową.

- Świadomość, że noszący go żołnierz kręcił się w pobliżu nas, Jenn, wcale mi nie pozwala czuć się bezpiecznie. Ani trochę mi się to nie podoba. Ani trochę.

Wyraz matczynych oczu świadczył, że martwiło ją coś więcej niż człowiek, którego dziewczyna przyprowadziła do domu.

- Sebastian jest chory, mamó. Może zostać w pieczarze? Dałam mu do zrozumienia, że ma powody bardziej się nas obawiać niż my jego.

Matka popatrzyła na nią, uśmiechając się szelmowsko.

- Mądra dziewczynka.

Wiedziały, że muszą działać wspólnie, jeżeli chcą przetrwać, odgrywając - bez konieczności uzgadniania tego - dobrze wyćwiczone role.

Kobieta westchnęła, przytłoczona świadomością tego wszystkiego, co jej córce umykało z życia. Czule pogładziła włosy Jennsen, położyła dłoń na jej ramieniu.

- No dobrze, dziecinko - rzekła w końcu. - Pozwolimy mu zostać na noc.

- I nakarmimy go. Powiedziałam, że dostanie gorący posiłek za to, że mi pomógł.

Ciepły uśmiech matki stał się jeszcze wyraźniejszy.

- No to i nakarmimy.

Ostatecznie wysunęła nóż z pochwy. Przyjrzała mu się uważnie, z każdej strony. Sprawdziła ostrość, ciężar. Okręciła w smukłych palcach, żeby wyczuć wyważenie. Potem położyła go na dłoni i w milczeniu wpatrywała się w symbol domu Rahlów - „R” - Jennsen zaś nie miała pojęcia, jakie straszliwe myśli i wspomnienia ją dręczą.

- Drogie duchy - wyszeptała znów do siebie matka.

Dziewczyna milczała. W pełni to rozumiała. Był to wstrętny, zły przedmiot.

- Mamó - szepnęła, kiedy kobieta przez całą wieczność wpatrywała się w rękojeść - już prawie ciemno. Mogę tam wrócić i zaprowadzić Sebastiana do pieczary?

Kobieta wsunęła nóż do pochwy i wraz z tym postarała się odepchnąć bolesne wspomnienia.

- Tak, lepiej idź do niego. Zaprowadź go do pieczary. Rozpal ogień. Przygotuję ryby i przyniosę trochę ziół, żeby się mógł przespać mimo

gorączki. Czekał przy nim, dopóki nie przyjdę. Miej go na oku. Zjemy tam razem z nim. Nie chcę go w domu.

Jennsen potaknęła. Dotknęła ramienia matki, nie pozwalając jej odejść do domu. Miała jej coś jeszcze do powiedzenia. I bardzo tego żałowała. Nie chciała przysparzać matce takiego zmartwienia, ale musiała.

- Mamo - wyszeptała ledwo słyszalnie - będziemy musiały stąd odejść.

Kobieta najwyraźniej się przestraszyła.

- Znalazłam coś przy d'harańskim żołnierzu.

Wyjęła z kieszeni kartkę, rozłożyła ją i wyciągnęła ku matce na otwartej dłoni. Kobieta zobaczyła dwa słowa.

- Drogie duchy... - Tylko to była w stanie powiedzieć.

Odwróciła się i spojrzała na chatę, łzy napłynęły jej do oczu. Jennsen wiedziała, że i matka traktuje to miejsce jak ich własny dom.

- Drogie duchy - wyszeptała jeszcze raz, przybita kolejną stratą.

Dziewczyna sądziła, że matka załamie się pod tym brzemieniem i wybuchnie płaczem. Sama też miała na to ochotę. Jednak żadna z nich tego nie zrobiła.

Kobieta otarła oczy i spojrzała na Jennsen. A potem załkała - jeden jedyny szloch bezradności.

- Tak mi przykro, dziecinko.

Jennsen pękało serce, kiedy patrzyła na udrękę matki. Bo ta podwójnie przeżywała te wyrzeczenia. Raz za siebie, drugi raz za córkę. I jeszcze na dodatek musiała być silna.

- Wyruszymy o brzasku - powiedziała na koniec. - Podróż nocą i w deszczu nic dobrego by nie dała. Musimy znaleźć nowe schronienie. Bo on podchodzi zbyt blisko tego.

Jennsen z trudem powstrzymywała łzy, ledwo zdołała wyszeptać:

- Tak mi przykro, mamo, że masz przeze mnie tyle kłopotów. - Rozpłakała się, zmięła w dłoni kartkę. - Tak mi przykro, mamo. Lepiej byłoby, żebyś cię od siebie uwolniła.

Matka objęła ją, przytuliła do ramienia jej głowę i płakała.

- Nie, dziecinko, nie. Nie mów takich rzeczy. Jesteś moim słonkiem, moim życiem. To inni są źródłem kłopotów. Nigdy nie obwiniaj się z powodu ich zła. Jesteś moim cudownym życiem. Tysiąc razy wszystko bym za ciebie oddała, a potem raz jeszcze, i radowałabym się, robiąc to.

Jennsen cieszyła się, że nigdy nie będzie miała dzieci, bo wiedziała, że nie ma siły matki. Przywarła do jedynej na świecie osoby, która dodawała jej otuchy.

Potem jednak wysunęła się z uścisku matki.

- Sebastian jest z daleka, mamó. Powiedział mi. Mówił, że jest spoza D'Hary. Są inne miejsca, inne ziemie. On je zna. Czyż to nie wspaniałe? Jest kraina nie będąca D'Harą.

- Ale te ziemie leżą poza granicami, których nie można przekroczyć.

- Więc to skąd on się tu wziął? Można je przebyć, bo inaczej by się tu nie znalazł.

- A Sebastian jest z jednej z tych krain?

- Mówił, że z południa.

- Z południa? Nie pojmuję, jak to możliwe. Jesteś pewna, że tak powiedział?

- Tak. - I Jennsen jeszcze potwierdziła to skinieniem głowy. - Powiedział, że z południa. Tylko o tym wspomniał. Nie wiem, jak to możliwe, ale jeśli mimo wszystko tak jest? Mamó, może on mógłby nas tam zaprowadzić. Może, gdybyśmy go poprosiły, zabrały nas z tej okropnej krainy.

Choć matka była tak opanowana, Jennsen dostrzegła, że rozważa tę szaleńczą myśl. To nie było szaleństwo - skoro mama nad tym myślała, to nie mogło to być szaleństwo. Dziewczynę nagle ogarnęła nadzieja, że może wpadła na coś, co je ocali.

- A czemu miałyby to dla nas zrobić?

- Nie wiem. Nie mam pojęcia, czy zechciałyby to rozważyć lub czego by w zamian chciały. Nie pytałam. Nawet nie ośmieliłam się o tym napomknąć przed rozmową z tobą. To jeden z powodów, dla których chciałam, żeby tu został. Chciałam, żebyś go mogła wypytać. Bałam się zaprzepaścić możliwość poznania, czy to w ogóle możliwe.

Matka znów spojrzała na dom. Była to niewielka chata, z jedną izbą, nic wyszukanego - same ją zbudowały z kłód - ale była ciepła, sucha i przytulna. Strasznie było myśleć, że trzeba by ją porzucić w środku zimy. Jednak świadomość, że inaczej mogliby je pochwytać, była o wiele gorsza.

Jennsen wiedziała, co by się stało, gdyby je złapali. Śmierć nie nadeszłaby szybko. Gdyby je złapali, śmierć przyszłaby dopiero po nie kończącej się męczarni.

Matka w końcu się opanowała i rzekła:

- Dobry pomysł, Jenn. Nie wiem, czy coś z tego wyjdzie, ale porozmawiamy z Sebastianem i przekonamy się. Jedno jest pewne: musimy stąd odejść. Nie powinniśmy tego odkładać do wiosny, skoro są już tak blisko. Wyruszymy o świcie.

- A gdzie pójdziemy tym razem, mamó, jeżeli Sebastian nie wyprowadzi nas z D'Hary?

Kobieta się uśmiechnęła.

- Dziecinko, świat jest wielki. A my jesteśmy tylko dwie. Znikniemy raz jeszcze. Wiem, że to trudne, ale jesteśmy razem. Wszystko będzie dobrze. Zobaczymy nowe okolice, nieprawdaż? Więcej świata. A teraz idź do Sebastiana i zaprowadź go do pieczary. Ja tymczasem zabiorę się do kolacji. Wszystkim nam przyda się porządny posiłek.

Jennsen cmoknęła matkę w policzek i pognęła ścieżką. Zaczęło padać i wśród drzew było tak ciemno, że mało co widziała. Drzewa wydawały się jej olbrzymimi d'harańskimi żołnierzami, silnymi i groźnymi. Wiedziała, że będą ją dręczyć koszmary, skoro zobaczyła w pobliżu D'Harańczyka.

Sebastian wciąż siedział na skale. Wstał, kiedy doń podbiegła.

- Mama powiedziała, że możesz spać w pieczarze ze zwierzakami. Zabrała się do gotowania ryb dla nas. Chce tu do ciebie przyjść.

Był zbyt zmęczony, żeby się ucieszyć, ale zdołał się leciutko uśmiechnąć. Jennsen chwyciła go za rękę i pociągnęła za sobą. Już miał dreszcze, przemókł. Ale rękę miał rozpaloną. Wiedziała, że właśnie tak objawia się gorączka. Trzęsiesz się, choć jesteś rozpalony. Była przekonana, że posiłek, zioła i dobry sen szybko przywrócą mu zdrowie.

Jednak nie była pewna, czy im wtedy pomoże.

ROZDZIAŁ 5

Betty, ich brązowa koza, obserwowała bacznie ze swojej zagrody - od czasu do czasu głośno wyrażając niezadowolenie z tego, że będzie dzielić swoją pieczarę z obcym - jak Jennsen pospiesznie układa słomę dla przybysza. Uspokoila się dopiero wtedy, kiedy dziewczyna czule podrapała ją za uszami, poklepała po zaokrąglonym, pokrytym sztywnawą sierścią boku i nakarmiła kawałkiem marchewki wziętej ze schowka na wysoko położonej półce. Betty energicznie machała krótkim ogonkiem.

Sebastian zrzucił plecak i pelerynę, lecz nie odpiął pasa z dopiero zdobytą bronią. Odczepił przymocowany pod plecakiem śpiwór i rzucił go na słomiane posłanie. Choć Jennsen nalegała, nie chciał się położyć i odpocząć, gdy ona będzie rozniecać ogień przy wylocie pieczary.

Kiedy pomagał jej układać podpałkę, w słabym blasku padającym z okna chaty stojącej po drugiej stronie polany widziała krople potu na jego twarzy. Kilka razy przeciągnął nożem po gałęzi i już miał zbitek puszystych wiórków. Parokrotnie uderzył żelazem o krzemień, a iskry poleciały przez mrok na hubkę, którą przed chwilą zrobił. Wziął zbitek wiórków w stulone dłonie i delikatnym, ostrożnym chuchaniem pobudzał małe płomyki, aż nabrały siły. Wtedy położył płonącą hubkę pod rozpałką i płomienie raz-dwa ogarnęły suche gałązki. Płonące drewno wydzielalo miłą, balsamiczną woń.

Jennsen zamierzała pobiec do chaty po parę rozżarzonych węgli i tak rozpalić ogień, lecz Sebastian załatwił całą sprawę, zanim zdążyła o tym napomknąć. Dygotał, więc uznała, że bardzo mu brakuje ciepła, choć jednocześnie płonął z gorączki. Czula dolatującą od strony chaty woń smażonych ryb, a nawet słyszała, jak skwierczą, kiedy nie zagłuszał tego wiatr szumiący w gałęziach sosen.

Kury wycofały się w głąb pieczary, chowając się przed blaskiem ognia. Betty postawiła uszy i uważnie obserwowała Jennsen, wypatrując kolejnej marchewki. Od czasu do czasu machała ogonkiem.

To zagłębienie w skale było jedynie miejscem, z którego w odległej przeszłości wypadł ogromny głaz, niczym obruszony wielki granitowy żąb, który stoczył się po zboczu, zostawiając po sobie suchy dół. Teraz wśród takich głazów rosły drzewa. Pieczara była głęboka zaledwie na jakieś

dwadzieścia stóp, ale wybrzuszenie skały ponad wlotem osłaniało ją i chroniło od deszczu. Jennsen była wysoka, lecz prawie nigdzie nie musiała się schylać, a Sebastian przewyższał ją tylko trochę, więc i on nie szorował po stropie swoimi sterczącymi białymi włosami - teraz soczyście pomarańczowymi od blasku ognia - kiedy poszedł po ułożone w głębi drewno. Zaniepokojone kury gdaknęły, ale szybko się uspokoiły.

Jennsen przykucnęła za ogniskiem, naprzeciwko mężczyzny, plecami do deszczu; widziała jego twarz, kiedy grzali dłonie w ciepłe bijącym od trzaskających płomieni. Rozkosznie było tak się grzać przy ognisku po całym dniu spędzonym na zimnie i wilgoci. Dziewczyna wiedziała, że zima powróci prędzej czy później i da się we znaki. Teraz jest zimno i niemiło, a będzie jeszcze gorzej. Starła się nie myśleć o tym, że muszą porzucić zaciszną chatę, i to w takiej porze roku. Wiedziała o tym od chwili, kiedy zobaczyła tę kartkę; wiedziała, że będą musiały odejść.

- Głodnyś? - spytała.

- Umieram z głodu - odparł, równie niecierpliwie czekając na ryby jak Betty na marchewkę.

Smakowite wonie sprawiały, że i Jenn burczało w brzuchu.

- To dobrze. Mama zawsze mówi, że jeśli jesteś chory, ale mimo to masz apetyt, to nie jest to żadna poważna choroba.

- Wydobrzeję za dzień lub dwa.

- Wypoczynek dobrze ci zrobi. - Jennsen wyciągnęła nóż z wiszącej u pasa pochwy. - Nigdy przedtem nie pozwoliłyśmy tu zostać nikomu obcemu. Zrozumiesz więc, że poczynimy środki ostrożności.

Wyraz oczu Sebastiana świadczył, że nie ma pojęcia, o czym ona mówi, lecz ruchem ramienia potwierdził zrozumienie dla jej przezorności.

Nóż Jennsen w niczym nie przypominał wspaniałego noża żołnierza. Nie mogły sobie pozwolić na tak piękną broń. Jej miał zwyczajny uchwyt z rogu jelenia i cienkie ostrze, lecz dbała, żeby był ostry jak brzytwa.

Dziewczyna płytko nacięła wewnętrzną stronę przedramienia. Mężczyzna się nachmurzył, chciał wstać i protestować. Powstrzymało go jednak jej gniewne spojrzenie. Na powrót usiadł i z rosnącym zaniepokojeniem patrzył, jak przesunęła dwiema stronami ostrza przez sączące się z rany purpurowe krople krwi. Jennsen spojrzała mu w oczy, odwróciła się i przysunęła bliżej wylotu pieczary, tam gdzie deszcz zwilżył

ziemię.

Pomazanym krwią nożem narysowała duży krąg. Czując spojrzenie Sebastiana, przeciągnęła czubkiem ostrza tak, by powstał kwadrat dotykający wierzchołkami okręgu. Potem narysowała mniejszy krąg, dotykający boków kwadratu. Cały czas odmawiała modły, prosząc dobre duchy, by prowadziły jej dłoń. Wydawało się to wskazane. Wiedziała, że Sebastian słyszy cichy zaśpiew, lecz nie rozróżnia słów. Nagle przyszło jej na myśl, że to musi być tak jak z głosem w jej głowie. Czasami słyszała, jak ów głuchy głos wymawia jej imię, kiedy rysowała zewnętrzny krąg. Potem nakreśliła ośmioramienną gwiazdę - promienie przecinały wewnętrzny krąg, kwadrat i krąg zewnętrzny. Co drugi promień przepoławiał kąt kwadratu.

Owe promienie miały ponoć symbolizować dar Stwórcy, więc rysując ośmioramienną gwiazdę, Jennsen zawsze szeptała dziękczynną modlitwę za dar swojej matki.

Kiedy skończyła i podniosła wzrok, stwierdziła, że matka stoi przed nią, jakby się wyłoniła z cieni lub zmaterializowała na skraju rysunku, oświetlona tańczącymi za Jennsen płomieniami. W blasku ognia kobieta wyglądała jak wizja przepięknego ducha.

- Wiesz, młodzieńcze, co symbolizuje ten rysunek? - zapytała najcichszym szeptem matka Jennsen.

Sebastian gapił się na nią, jak zawsze gapili się ludzie, którzy ją pierwszy raz widzieli. Potrząsnął głową.

- To jest Grace. Mający dar magii rysowali go od tysięcy lat, niektórzy twierdzą, że od zarania świata. Zewnętrzny krąg reprezentuje wieczność zaświatów, świata zmarłych Opiekuna. Krąg wewnętrzny to świat istot żywych. Kwadrat to dzieląca oba te światy zasłona, zasłona rozdzielająca życie od śmierci. W pewnych punktach dotyka obu światów. Gwiazda zaś to blask daru Stwórcy, magii, który przenika życie i sięga aż do świata zmarłych.

Płomienie syczały i trzaskały, a matka Jennsen, niczym zjawa, stała nad nimi. Sebastian milczał. Kobieta powiedziała prawdę, lecz była to prawda mająca wywołać błędne wrażenie.

- Moja córka narysowała Grace, by chronił tej nocy twój odpoczynek i by chronił nas. Przed drzwiami chaty również jest Grace. - Pozwoliła, by przez

chwilę panowała cisza, i dodała: - Nieroztropnie byłoby przejść po którymś z nich bez naszej zgody.

- Rozumiem, pani Daggett. - Oświetlona przez ogień twarz Sebastiana niczego nie zdradzała.

Przeniósł błękitne oczy na Jennsen. Minę miał nadal poważną, lecz na jego ustach pojawił się cień uśmiechu.

- Jennsen Daggett, jesteś zdumiewającą kobietą. Bardzo tajemniczą kobietą. Tej nocy będę spać bezpiecznie.

- I dobrze - odezwała się matka dziewczyny. - Oprócz kolacji przyniosłam zioła, które pomogą ci dobrze spać.

Trzymając w jednej ręce miskę pełną smażonych ryb, położyła drugą dłoń na ramieniu córki i poprowadziła ją za ognisko. Jennsen usiadła pomiędzy matką a Sebastianem. Mina mężczyzny wskazywała, że ich pokaz odniósł pożądany skutek. Kobieta spojrzała na Jenn i posłała jej uśmiech, którego Sebastian nie mógł dostrzec. Dziewczyna dobrze się spisała.

Matka podsunęła Sebastianowi misę, częstując go rybami, i powiedziała:

- Chciałabym ci, młodzieńcze, podziękować za to, że pomogłeś dzisiaj Jennsen.

- Proszę mi mówić Sebastian.

- Tak właśnie powiedziała mi Jennsen.

- Rad pomogłem. Bo, prawdę mówiąc, i sobie pomagałem. Nie chciałem, żeby ścigali mnie d'harańscy żołnierze.

- Proponuję tę. - Wskazała matka dziewczyny. - Ta na wierzchu jest obtoczona w ziołach, które pomogą ci zasnąć.

Nabił na nóż ciemniejszy kawałek, obtoczony w ziołach. Jennsen otarła nóż o spódnicę, a potem też wzięła rybę.

- Moja córka mówi, że jesteś spoza D'Hary.

Popatrzył na mówiącą, żując rybę, a potem odparł:

- To prawda.

- Trudno mi w to uwierzyć. D'Harę otacza granica nie do przebycia. Za mojego życia nikt nie mógł ani przybyć do D'Hary, ani stąd odejść. Więc jak to możliwe, że tobie się to udało?

Sebastian zsunął zębami z noża kawałek ryby obtoczonej w ziołach. Wciągnął powietrze, żeby ostudzić kęs. Potem, jedząc, zatoczył łuk ostrzem.

- Jak długo tkwicie samotnie w tych rozległych lasach? Nie widując ludzi?

Bez nowych wieści?

- Kilka lat.

- Aha. No to teraz rozumiem, że nic nie wiesz. Kiedy tu tkwiłyście, granice zniknęły.

Matka i Jennsen w milczeniu przyjęły tę zdumiewającą, niezrozumiałą wieść. I w milczeniu ośmieliły się zacząć brać pod uwagę oszałamiające możliwości. Ucieczka - po raz pierwszy od przyjścia na świat Jennsen - wydawała się do pomyślenia. Jedna podróż i spełni się nieziszczalne dotąd marzenie o wolnym życiu. Od zawsze przenosiły się z miejsca na miejsce i ukrywały. Teraz podróż zdawała się dobiegać kresu.

- Sebastianie - odezwała się matka - dlaczego pomogłeś dzisiaj Jennsen?

- Lubię pomagać ludziom. A ona potrzebowała pomocy. Widziałem, jak tamten ją wystraszył, choć nie żył. - Uśmiechnął się do Jennsen. - Taka była ładniutka. Chciałem jej pomóc. A poza tym - przyznał wreszcie - nie przepadam za d'harańskimi żołnierzami.

Uniosła ku niemu misę, a on nabił na nóż kolejny kawałek ryby.

- Szybko zasnę, pani Daggett. Więc może wreszcie usłyszę, o co chodzi?

- Tropią nas d'harańscy żołnierze.

- Dlaczego?

- To opowieść na inny wieczór. Może ją poznasz, jeśli ta noc dobrze się skończy. Teraz ważne jest to, że nas ścigają, i to bardziej Jennsen niż mnie. Jeżeli schwytają nas d'harańscy żołnierze, moja córka zostanie zabita.

Matka powiedziała to tak zwyczajnie. Ale on nie dopuściłby, żeby to było takie proste. Byłoby to znacznie bardziej przerażające niż zwyczajne zabójstwo. Śmierć byłaby nagrodą zdobytą po niewyobrażalnej męce i nie kończącym się błaganiu.

- Nie podobałoby mi się to. - Sebastian popatrzył na Jennsen.

- No to wszyscy troje jesteśmy tego samego zdania - mruknęła matka.

- To dlatego jesteście tak świetnie zaznajomione z nożami, które trzymacie pod ręką - rzekł mężczyzna.

- Właśnie - potwierdziła matka.

- Więc się boicie, że znajdują was d'harańscy żołnierze. Ale d'harańscy żołnierze nie są żadną osobliwością. Tymczasem ten dzisiaj porządnie was wystraszył. Dlaczego się aż tak przerażyliście?

Jennsen dorzuciła drewna do ognia, zadowolona, że matka zajmuje się

wyjaśnianiem. Betty mezczała, domagając się marchewki lub przynajmniej uwagi. Kury kwokały, niezadowolone z hałasu i światła.

- Jennsen - odezwała się kobieta - pokaż Sebastianowi kartkę, którą znalazłaś przy D'Harańczyku.

Jennsen, zaskoczona, poczekała, aż matka na nią popatrzy. Wymieniły spojrzenie, które wyjaśniło dziewczynie, że matka zdecydowała się zaryzykować i dlatego muszą mu choć trochę powiedzieć. Wyciągnęła więc z kieszeni pomietą kartkę i podała ją Sebastianowi.

- Znalazłam ją w kieszeni d'harańskiego żołnierza. - Przełknęła ślinę, przypomniawszy sobie, jak zobaczyła nieboszczyka. - Zanim się zjawiłeś.

Sebastian rozłożył i rozprostował kartkę, a potem popatrzył na nie podejrzliwie. Przysunął kartkę bliżej światła, żeby zobaczyć owe dwa słowa.

- Jennsen Lindie - odczytał. - Nie rozumiem. Kto to ta Jennsen Lindie?

- To ja. A przynajmniej jakiś czas tak się nazywałam.

- Jakiś czas? Nie pojmuję.

- To było moje nazwisko. Używałam go parę lat temu, kiedy mieszkaliśmy dalej ku północy. Często się przenosimy, żeby uniknąć schwytania. Za każdym razem zmieniamy nazwisko, żeby trudniej było nas wyśledzić.

- To... i Daggett nie jest prawdziwym nazwiskiem?

- Nie jest.

- Więc jakie jest prawdziwe?

- To część opowieści na inny wieczór. - Ton matki świadczył, że nie zamierza o tym rozmawiać. - Chodzi o to, że ów żołnierz znał to nazwisko. A to może jedynie oznaczać najgorsze.

- Ale sama mówiłaś, że tego nazwiska już nie używacie. Tu jesteście Daggett. Nikt nie wie, że byliście Lindie.

Matka pochyliła się ku Sebastianowi. Jennsen wiedziała, że obrzuciła go spojrzeniem budzącym niepokój. Matka potrafiła wytrącać ludzi z równowagi, wbijając w nich baczny, przenikliwy wzrok.

- To nazwisko już nie jest nasze, korzystaliśmy z niego dalej na północy, ale on miał je zapisane i był tutaj, ledwie parę mil od naszej chaty. A to oznacza, że jakoś połączył z nami tamto nazwisko, że połączył je z dwiema kobietami samotnie mieszkającymi na odludziu. On je powiązał, albo raczej powiązał je z nami człowiek, który nas ściga, i nasłał na nas tego żołnierza.

Szukają nas tutaj.

Sebastian odwrócił oczy od jej spojrzenia, głęboko odetchnął.

- Pojmuję, o co ci chodzi - stwierdził i zajął się jedzeniem nabitej na nóż ryby.

- Z tym martwym żołnierzem mogli być inni - odezwała się matka.

- Zyskałeś dla nas czas, grzebiąc go. Nie będą wiedzieć, co się z nim stało. Na nasze szczęście. Mamy nad nimi trochę przewagi. Musimy to wykorzystać i odejść, zanim zacisną pętlę. Powinnyśmy wyruszyć rankiem.

- Na pewno? - Zatoczył krąg nożem. - Ułożyłyście tu sobie życie. Mieszkacie na odludziu, w ukryciu. Nigdy bym was nie znalazł, gdybym nie spotkał Jennsen przy martwym żołnierzu. Jak mogliby was tu odnaleźć? Macie tutaj chatę, dobrą kryjówkę.

- We wszystkim, coś powiedział, liczy się słowo „życie”. Znam człowieka, który nas ściga. Ułatwiają mu to tysiąclecia krwawego dziedzictwa. Nie spocznie. Jeżeli tu zostaniemy, wcześniej czy później nas odnajdzie. Musimy uciekać, dopóki jeszcze możemy. - Kobieta wyciągnęła zza pasa wspaniały nóż martwego D’Harańczyka. Okręciła go w palcach i - nie wyciągając z pochwy - skierowała rękojeścią ku Sebastianowi. - Litera „R” na rękojeści oznacza dom Rahlów. Ród tego, który nas ściga. Tak wspaniałą broń mógł dać jedynie wybranemu żołnierzowi. Nie chcę oręza pochodzącego od tego złego człowieka.

Sebastian popatrzył na podawany mu nóż, lecz go nie wziął. Obrzucił je spojrzeniem, które nieoczekiwanie zmroziło Jennsen aż do szpiku kości. W owym spojrzeniu malowała się niezachwiana determinacja.

- W moich rodzinnych stronach uważamy, że najlepszą bronią przeciwko wrogowi jest to, co od niego pochodzi albo do niego należało.

Jennsen nigdy o czymś takim nie słyszała. Jej matka się nie poruszyła, nóż dalej leżał na jej dłoni.

- Nie chcę...

- Zdecydujesz się obrócić przeciw niemu to, co nieopatrznie ci dał? Czy też wolisz być jego ofiarą?

- Co masz na myśli?

- Czemu go nie zabijesz?

Dziewczyna otworzyła usta. Matka wydawała się mniej zdumiona.

- Nie możemy tego zrobić - upierała się. - To potężny człowiek. Ochronia

go wielu ludzi: od prostych żołnierzy wyćwiczonych w zabijaniu, jak ten, co go dziś pogrzebałeś, do osób z darem, które mogą się posłużyć magią. A my jesteśmy jedynie prostymi kobietami.

Ale jej słowa nie wzruszyły Sebastiana.

- Nie spocznie, dopóki was nie zabije. - Uniósł kartkę i obserwował, jak ona się jej przygląda. - Ta notka tego dowodzi. Nigdy nie spocznie. Czemu nie miałybyś go zabić, zanim on zabije ciebie, zanim zabije twoją córkę? A może wolisz, żebyście były kolejnymi zwłokami w jego kolekcji?

- A jak według ciebie mamy zabić lorda Rahla? - spytała zapalczywie matka.

Sebastian nabił na nóż kolejny kawałek ryby.

- Na początek powinnaś zatrzymać nóż. Jest o wiele lepszy niż twój. Walcz z nim tym, co do niego należy. Twoje sentymentalne opory działają na korzyść właściciela noża, a nie twoją czy Jennsen.

Kobieta siedziała nieruchomo jak głaz. Jennsen nigdy przedtem nie słyszała, żeby ktoś tak mówił. Słowa Sebastiana sprawiały, że widziała pewne sprawy inaczej niż dotychczas.

- Muszę przyznać, że mówisz całkiem do rzeczy - odezwała się matka. Głos miała cichy, brzmiało w nim cierpienie, a może żal. - Otworzyłeś mi oczy. Choć częściowo. Nie przyznaję ci racji w tym, że powinniśmy go zabić, bo aż za dobrze go znam. Taki zamach w najlepszym razie równałby się samobójstwu, a w najgorszym byłby realizacją jego celu. Jednak zatrzymam nóż dla swojej i córki obrony. Dzięki, Sebastianie, żeś wlał mi trochę rozumu do głowy, choć się przed tym broniłam.

- Rad jestem, że przynajmniej zatrzymasz nóż. - Zsunął zębami z własnego noża kęs ryby. - Mam nadzieję, że dobrze ci posłuży. - Wierzchem dłoni otarł pot z czoła. - Skoro nie chcesz spróbować go zabić w swojej obronie, to co zamierzasz? Wciąż uciekać?

- Mówiłeś, że granice zniknęły. Chciałabym opuścić D'Harę. Spróbujemy dotrzeć do innej krainy, gdzie Rahl Posępny nie mógłby nas ścigać.

Sebastian popatrzył na nią, nabił na nóż kawałek ryby.

- Rahl Posępny? Rahl Posępny nie żyje.

Jennsen - która uciekała przed nim od małości; która niezliczone razy miewała koszmary, że jego błękitne oczy wpatrują się w nią z każdego cienia lub że rzuca się, by ją schwytać, a jej stopy poruszają się o wiele za

wolno; która każdego dnia zastanawiała się, czy to tego właśnie dnia on ją wreszcie dopadnie; która tysiące razy wyobrażała sobie, jakimż to straszliwym i okrutnym męczarniom ją podda; która się codziennie modliła do dobrych duchów o uwolnienie od bezlitosnego prześladowcy i jego zawziętych sługusów - osłupiała. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że zawsze miała go za niemal nieśmiertelnego. Równie nieśmiertelnego jak samo zło.

- Rahl Posepny... nie żyje?... To niemożliwe - powiedziała Jennsen, płacząc z ulgi. Przepętniła ją szaleńcza nadzieja... i jednocześnie niewytłumaczalne uczucie grozy.

- To prawda - potwierdził Sebastian. - Jak słyszałem, od jakichś dwóch lat.

- No to już nie jest dla nas zagrożeniem - wyraziła głośno nadzieję, po czym na chwilę umilkła. - Ale skoro Rahl Posepny nie żyje...

- Teraz syn Rahla Posepnego jest lordem Rahlem - wyjaśnił mężczyzna.

- Jego syn? - Jennsen poczuła, jak przerażenie niszczy jej nadzieję.

- Ściga nas lord Rahl - odezwała się matka. Spokojny, zdecydowany głos kobiety nie miał w sobie ani isierki nadziei. - Lord Rahl to lord Rahl. Tak jest teraz i tak było. I tak zawsze będzie.

Równie nieśmiertelny jak samo zło.

- Richard Rahl - wtrącił Sebastian. - Teraz on jest lordem Rahlem.

Richard Rahl. Jennsen poznała wreszcie imię tego, który je ścigał. Przyszło jej na myśl coś przerażającego. Przedtem głos mówił tylko „wyrzeknij się” lub wypowiadał jej imię albo czasem te dziwaczne obce słowa, których nie rozumiała. A teraz żądał, żeby się wyrzekła ciała i woli. Jeśli - jak twierdziła matka - był to głos tego, który je ścigał, to ten nowy lord Rahl musi być o wiele, wiele potężniejszy niż jego niegodziwy ojciec. Po przelotnej nadziei nastąpiła czarna rozpacz.

- Ten Richard Rahl - odezwała się matka, usiłując pojąć zadziwiające wieści - doszedł do władzy w D’Harze, kiedy jego ojciec zmarł?

Sebastian pochylił się wprzód, w jego oczach zapłonął tajony dotąd gniew.

- Richard Rahl stał się lordem Rahlem D’Hary, kiedy zamordował ojca i przejął władzę. A jeśli zamierzacie się łudzić, że może syn jest łagodniejszy niż ojciec, to was rozczaruję. To Richard Rahl zniszczył granice.

Jennsen przerwała mu, bo jej się mieszało w głowie:

- Ależ dzięki temu ci, którzy by chcieli być wolni i uciec przed nim, mogą opuścić D'Hare.

- Nie. Zniszczył te starożytne ochronne granice, żeby rozszerzyć swoją tyrańską władzę na kraje, które były poza zasięgiem jego ojca. - Sebastian uderzył się pięścią w pierś. - Chce mojej krainy! Lord Rahl to szaleniec. D'Hara mu nie wystarcza. Pragnie władać całym światem.

Matka Jennsen, przygnębiona, zapatrzyła się w płomienie.

- Zawsze myślałam, a właściwie miałam nadzieję, że jeżeli Rahl Posępny umrze, to może będziemy mieć jakąś szansę. Ale ta kartka z jej imieniem, którą Jennsen dziś znalazła, utwierdza mnie w przekonaniu, że syn jest bardziej niebezpieczny niż ojciec i że się tylko łudziłam. Nawet Rahl Posępny nie dotarł tak blisko nas.

Gwałtowne przeżycia sprawiły, że Jennsen czuła się odrętwiała, jeszcze bardziej przerażona niż przedtem, pozbawiona nadziei. Zrozpaczona twarz matki zadawała jej szarpiący serce ból.

- Zatrzymam nóż. - Postanowienie matki zdradzało, jak bardzo obawia się ona nowego lorda Rahla i jak przerażające jest ich położenie.

- Dobrze.

Słabe światło padające z okna chaty odbijało się w kałużach przed wlotem jaskini, a szumiący deszcz rozbijał owe odblaski na tysiące iskier, podobnych łzom dobrych duchów. Za dzień lub dwa woda zamarznie. Podróż w mróz będzie łatwiejsza niż w takim zimnym deszczu.

- Sebastianie - spytała Jennsen - czy według ciebie... czy według ciebie uda się nam uciec z D'Hary? Może dotrzeć do twoich rodzinnych stron... uciec spod władzy tego potwora?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Może i tak. Ale dopóki ktoś nie zabije tego szaleńca, to czyż gdziekolwiek będziecie bezpieczne?

Matka zatknęła za pas wspaniały nóż, a potem wsparła o kolano splecione dłonie.

- Dziękuję, Sebastianie. Pomogłeś nam. Przez to ukrywanie się byliśmy, niestety, pozbawione wieści. Choć trochę nas oświeciłeś.

- Żałuję, że to nie były lepsze wiadomości.

- Prawda to prawda. Pomaga nam pojąć, co trzeba zrobić. - Matka

uśmiechnęła się do dziewczyny. - Jennsen zawsze się starała poznać prawdę. Nigdy jej tego nie zabraniałam. Niczego przed nią nie ukrywałam. Bo tylko prawda pozwala przetrwać.

- Jeśli nie chcesz go zabić i pozbyć się zagrożenia, to może spróbuj znaleźć jakiś sposób, żeby nowy lord Rahl przestał się interesować tobą... i Jennsen.

Matka pokręciła głową.

- To zbyt skomplikowane, żebyśmy mogły ci teraz wszystko wyjaśnić. Wchodzą tu w grę sprawy, o których nie masz pojęcia. To przez nie on nigdy nie spocznie, nigdy nie zrezygnuje. Nie wiesz, ilu starań gotów jest dołożyć lord Rahl, każdy lord Rahl, żeby zabić Jennsen.

- Skoro tak, to pewnie masz rację. Może obie powinnyście uciec.

- A pomożesz nam... pomożesz jej... wydostać się z D'Hary?

Spojrzał najpierw na jedną, potem na drugą.

- Spróbuję, jeżeli zdołam. Ale powtarzam: nie ma się gdzie ukryć. Jeśli zechcesz się uwolnić, to będziesz go musiała zabić.

- Nie jestem asasynem - odezwała się Jennsen. Był w tych słowach nie tyle protest, ile świadomość kruchości w obliczu tak brutalnej siły. - Chcę żyć, lecz nie mam talentu asasyna. Będę się bronić, ale wątpię, czybym potrafiła kogoś zamordować. Przykro mi, ale to nie dla mnie. On jest urodzonym zabójcą. Ja nie.

Sebastian popatrzył na nią lodowato. Jego białe, połyskujące czerwienią blasku ognia włosy stanowiły obramowanie chłodnych błękitnych oczu.

- Zdziwiłabyś się, gdybyś wiedziała, do czego jest zdolny ktoś, kto ma odpowiednią motywację.

Matka uciszyła go uniesieniem dłoni. Była realistką, nie lubiła marnować czasu na próżne gadanie.

- Teraz najważniejsza jest ucieczka. Służalcy lorda Rahla dotarli zbyt blisko tego miejsca. Taka jest prawda. Ten nóż i wasz opis wskazują, że martwy żołnierz najprawdopodobniej należał do bojówki.

Sebastian spojrzał na nią chmurnie.

- Do czego?

- Zespołu czterech asasynów. Niekiedy kilka bojówek działa wspólnie: jeśli cel okazał się szczególnie nieuchwytny lub ma niezwykle znaczenie. Obie te możliwości dotyczą Jennsen.

Sebastian oparł rękę na kolanie.

- Sporo wiesz o tych bojówkach jak na kogoś, kto całe lata ucieka i żyje w ukryciu. Jesteś tego pewna?

Migotliwe płomienie odbijały się w oczach matki. Jej głos nabrał chłodniejszych nutek.

- Za młodu mieszkałam w Pałacu Ludu. Widywałam tych z bojówek. Rahl Poępny nasyłał ich na ludzi. Nawet sobie nie potrafisz wyobrazić, jak są bezlitośni i bezwzględni.

Mężczyzna wyglądał na zaniepokojonego.

- Cóż, pewnie wiesz to lepiej niż ja. No to rankiem wyruszamy. - Ziewnął, przeciągnął się. - Twoje zioła zaczynają działać, no i ta gorączka mnie wyczerpała. Porządnie się wyśpię i skoro tego chcecie, pomogę się wam wydostać i stąd, i z D'Hary, i dotrzeć do Starego Świata.

- Tego właśnie chcemy. - Matka się podniosła. - Zjedzcie resztę ryb. - Odchodząc, czule pogładziła włosy Jennsen. - Pójdę zabrać trochę rzeczy, popakować to, co zdołamy unieść.

- Zaraz przyjdę - powiedziała Jenn. - Jak tylko dołożę do ogniska.

ROZDZIAŁ 6

Ulewa przybierała na sile. Płachta deszczówki spływała ze skalnego występu nad wlotem pieczary. Jennsen drapała meczącą Betty za uszami, lecz koza nie chciała się uspokoić. Zawsze była nerwowa, teraz zaś nie można było jej pocieszyć. Może wyczuwała, że stąd odejdą. A może po prostu było jej smutno, że matka dziewczyny poszła do chaty. Betty ogromnie ją kochała i często chodziła za nią jak szczeniaczek. Gdyby jej na to pozwoliły, chętnie spałaby w chacie jak one.

Sebastian najadł się do syta i owinął peleryną. Próbował patrzeć, jak Jennsen zabezpiecza ogień na noc, ale oczy mu się zamykały. Uniósł głowę i chmurnie spojrzał na niespokojną kozę.

- Betty się uspokoi, jak odejdę do chaty - rzekła Jennsen.

Zasypiający Sebastian mruknął na temat Betty coś, czego Jennsen nawet nie dosłyszała poprzez szum deszczu. Wiedziała, że niej było to nic ważnego, i nie poprosiła, żeby powtórzył. Potrzebował snu. Ziewnęła. Plusk ulewy i ją usypiał, choć tak ją wzburzyły wydarzenia dnia i niepokój o to, co przyniesie jutro.

Ogromnie chciała go zapytać, co jest poza D'Harą, lecz życzyła mu dobrego snu, chociaż wątpiła, czy ją dosłyszał przez deszcz. Będzie miała dość czasu, żeby go o wszystko wypytać. Matka pewnie czeka, żeby jej pomogła wybrać to, co zabiorą, i potem przy pakowaniu. Nie miały dużo, lecz i tak będą musiały część zostawić.

Przynajmniej ten niezdarny d'harański żołnierz zaopatrzył je w monety, kiedy się im najbardziej przydadzą. Wystarczy na kupno koni i żywność, co pozwoli się im wydostać z D'Hary. Nowy lord Rahl - bękarci pomiot bękarciowego pomiotu z długiej, nieprzerwanej linii drani - mimowolnie dostarczył im środków na wyrwanie się z jego szponów.

Życie było takie cenne. Chciała, żeby wraz z matką mogły żyć po swojemu, własnym życiem. Ich nowe życie czekało gdzieś za dalekim, ciemnym horyzontem.

Jennsen narzuciła pelerynę. Nasunęła kaptur, żeby się chronić przed deszczem, lecz tak lało, że wiedziała, iż zmoknie, biegnąc do chaty. Miała nadzieję, że pierwszy dzień ich wędrówki będzie jasny, żeby mogli zostawić

pogoń za sobą. Z zadowoleniem patrzyła, jak Sebastian twardo śpi. Bardzo tego potrzebował. Cieszyła się, że się pojawił w ich życiu, na przekór całej niesprawiedliwości i cierpieniom.

Podniosła misę z resztą ryb, okryła ją peleryną, wstrzymała oddech, pochyliła głowę i wybiegła w ulewę. Zimny prysznic sprawił, że aż się zachłysnęła oddechem, kiedy biegła do chaty, rozchlapując ciemne kałuże.

Dopadła chaty; słaby blask kaganków i ognia padający z okna zlewał się przez mokre rzęsy w jedną smugę. Z rozmachem otworzyła drzwi i wpadła do środka.

- Ziąb jak serce Opiekuna! - zawołała do matki, wbiegając.

Z takim impetem zderzyła się z twardą ścianą, której tu nigdy nie było, że aż jej dech zaparło. Aż ją odrzuciło w tył. Podniosła wzrok... i zobaczyła, jak odwracają się szerokie plecy, jak sięga po nią wielka ręka.

Ręka chwyciła wyłącznie pelerynę. Ciężka wełniana peleryna zsunęła się z cofającej się Jennsen. Misa z rybą uderzyła o podłogę i zawirowała jak oszalały bąk. Drzwi odbiły się od ściany i zatrzasnęły za dziewczyną, nim uderzyła o nie plecami.

Jennsen, dławiąc się oddechem, zadziałała.

Było to działanie czysto instynktowne, bez planu.

Jennsen.

Przerażenie, nie rutyna.

Wyrzeknij się.

Rozpacz, nie zamysł.

Ogień z paleniska wyraźnie oświetlał toporną gębę mężczyzny, który skoczył ku niej. Potwór z posklejanymi, mokrymi włosami. Mięśnie i ścięgna napięte i poskręcane z wściekłości. Jennsen uderzyła nożem, straszliwe przerażenie spotęgowało jej siły. Krzyk dziewczyny był właściwie sapnięciem z wysiłku. Nóż uderzył w bok głowy napastnika. Ostrze dotarło do kości policzkowej i pękło w połowie. Siła ciosu zakołysała głową mężczyzny. Krew obryzgała mu twarz.

Jego młócaca szaleńczo ręka trafiła Jennsen w twarz. Dziewczyna uderzyła ramieniem w ścianę. Rękę przeszył ból. O coś się potknęła. Straciła równowagę i upadła.

Uderzyła twarzą o podłogę tuż obok drugiego wielkoluda. Przypominał martwego żołnierza, którego pogrzebała. Usiłowała pojąć to, co widziała.

Skąd się wzięli? Co robią w jej chacie?

Noga Jennsen leżała na nieruchomych nogach mężczyzny. Podniosła się, usiadła. Tamten opierał się o ścianę. Jego martwe oczy wpatrywały się w dziewczynę. Stercząca w pobliżu ucha rękojeść z ozdobnym „R” połyskiwała w blasku ognia. Czubek ostrza wystawał z drugiej strony szerokiej szyi. Nieboszczyk miał na sobie moką czerwoną koszulę.

Poddaj się.

Złodowaciała z przerażenia zobaczyła zbliżającego się napastnika.

Zaciskając w dłoni złamany nóż, podniosła się i obróciła ku zagrożeniu. Zobaczyła leżącą na podłodze matkę. Jakiś człowiek trzymał ją za włosy. Wszędzie było pełno krwi.

Wszystko było takie nierealne.

Jak w koszmarnym śnie, zobaczyła leżącą na podłodze odciętą rękę matki z bezwładnie rozwartymi palcami. Czerwone rany.

Jennsen.

Panika zawiązała jej umysł. Słyszała własne urywane krzyki. Krew na podłodze lśniła w blasku ognia. Gwałtowny ruch. Napastnik runął na nią, rzucił ją o ścianę. Straciła oddech. Ból w piersi.

Poddaj się.

- Nie! - Jej głos zdawał się nieprawdziwy.

Cięła złamanym nożem, kalecząc ramię napastnika. Wyryczał paskudne przekleństwo.

Ten, który trzymał za włosy matkę, puścił ją i skoczył ku Jennsen. Szaleńczo, rozpaczliwie godziła nożem w okrążających ją mężczyzn. Zewsząd wyciągnęły się ku niej ręce. Wielka dłoń złapała ją za rękę trzymającą nóż.

Poddaj się.

Jennsen cicho krzyknęła. Szarpała się dziko. Kopała. Gryzła. Napastnicy klęli. Drugi z mężczyzn złapał ją za gardło żelaznymi paluchami.

Brak tchu. Brak tchu. Próbowwała, ale nie mogła oddychać. Desperacko się starała, ale nie mogła wciągnąć powietrza.

Uśmiechnął się szyderczo i ścisnął jej gardło. Ból aż w skroniach. Z zadanej nożem rany, sięgającej mu od ucha do ust, kapła krew. W ziejącej ranie widziała połyskujące czerwienią zęby.

Jennsen walczyła, lecz nie mogła oddychać. Dostała pięścią w żołądek.

Kopnęła. Unieruchomił jej kostkę, zanim znów zdołała go kopnąć. Jeden nie żył. Dwaj ją dopadli. Matka pokonana.

Pole widzenia zwężało się w mroczny tunel. W piersi paliło. Tak bolało. Tak bardzo bolało.

Dźwięki były stłumione.

Usłyszała głucho uderzenie w kość.

Ten przed nią, który ją trzymał za gardło, zachwiał się, głowa mu skoczyła.

Nie miało to dla niej żadnego sensu. Zniknął ucisk na gardle. Chciwie zaczerpnęła powietrza. Głowa napastnika pochyliła się w przód. W karku mężczyzny tkwiło półksiężycowate ostrze topora, które przecięło mu kręgi.

Upadł, a trzonek topora zatoczył łuk. Za nim stał Sebastian, białowłosa wcielona furia.

Ostatni napastnik puścił jej ramię. Drugą ręką uniósł ociekający krwią miecz. Sebastian był szybszy.

Jennsen była jeszcze szybsza niż Sebastian.

Podдай się.

Wrzasnęła. Był to zwierzęcy odgłos, dziki, nieokiełznany. Przerazenie i wściekłość. Cięła złamanym nożem szyję napastnika. Pęknięte ostrze dotarło głęboko, przecięło tętnicę, poszarpało mięśnie. Mężczyzna krzyknął. Padając, uderzył w drugą ścianę, a krew zdawała się szybować w powietrzu. Jennsen włożyła w cios taką siłę, że upadła razem z nim. Krótki miecz Sebastiana uderzył jak błyskawica, spadł na potężną pierś tamtego, gruchocząc mu kości.

Jennsen pełzła po ciałach, ślizgając się we krwi. Widziała jedynie matkę, na wpół siedzącą, opartą o przeciwległą ścianę. Patrzącą, jak się ku niej zbliża. Jennsen nie potrafiła przestać krzyczeć; histeryczny krzyk utrudniał jej oddychanie.

Matka - zalana krwią, z na wpół zamkniętymi oczami - wyglądała, jakby zapadała w sen. Ale na widok Jennsen w jej oczach błysnęła radosna iskierka. Zawsze ta sama radosna iskra. Na policzku widniały krwawe ślady wielkich paluchów. Uśmiechnęła się ślicznie do córki.

- Dziecinko... - wyszeptała.

Jennsen nie mogła powstrzymać krzyku i drżenia. Nie patrzyła na okropne czerwone rany.

Widziała jedynie twarz matki.

- Mamo, mamo, mamo.

Objęło ją ramię. Drugiego już nie miała. Zniknęło prawe ramię.

Tulące ją ramię niosło miłość, pociechę, schronienie.

Matka uśmiechnęła się znużona.

- Dobrze się spisałaś... dziecinko. A teraz posłuchaj.

Sebastian znalazł się obok, z zapamiętaniem usiłował obwiązać czymś to, co zostało z prawego ramienia matki, żeby zatamować krew. Kobieta patrzyła wyłącznie na Jennsen.

- Jestem przy tobie, mamo. Wszystko będzie dobrze. Jestem tutaj. Mamo... nie umieraj... nie umieraj. Trzymaj się, mamo. Trzymaj się.

- Posłuchaj. - Głos był ledwo dosłyszalny.

- Słucham, mamo - załkała Jennsen. - Słucham.

- Odchodzę. Przechodzę do świata dobrych duchów.

- Nie, mamo. Proszę, nie.

- Nic na to nie poradzę, dziecinko... Wszystko dobrze. Dobre duchy się mną zaopiekują.

Jennsen ujęła w dłonie twarz matki, starała się patrzeć na nią przez łyzy. Dławiła się płaczem.

- Mamo... nie zostawiaj mnie samej. Nie zostawiaj mnie. Proszę, nie, proszę. Kocham cię, mamo.

- I ja cię kocham, dziecinko. Ponad wszystko. Nauczyłam cię, czego tylko mogłam. Posłuchaj.

Jennsen skinęła głową, nie chcąc utracić choć jednego cennego słowa.

- Zabierają mnie dobre duchy. Musisz to zrozumieć. Kiedy odejdę, to ciało już nie będzie mną. Rozumiesz? Już nie będzie mi potrzebne. To wcale nie boli. Ani trochę. Czyż to nie cudowne? Jestem z dobrymi duchami. Musisz być teraz silna i porzucić to, co już nie jest mną.

- Mamo. - Dziewczyna mogła jedynie łkać z rozpacz, trzymając w dłoniach twarz droższą jej niż życie.

- Idzie po ciebie, Jenn. Uciekaj. Nie zostawaj przy ciele, które już nie jest mną, bo odeszłam do dobrych duchów. Rozumiesz?

- Nie, mamo. Nie mogę cię zostawić. Nie mogę.

- Musisz. Nie ryzykuj głupio życia, żeby pochować to bezużyteczne ciało. To nie ja. Jestem w twoim sercu i z dobrymi duchami. To ciało nie jest mną.

Rozumiesz, dziecinko?

- Tak, mam. To nie ty. Będziesz z dobrymi duchami. Nie tutaj.

Kobieta skinęła głową podtrzymywaną przez Jennsen.

- Mądra dziewczynka. Weź nóż. Jednego nim zabiłam. To dobry oręż.

- Kocham cię, mam. - Jennsen chciałaby powiedzieć coś ważniejszego, lecz nie potrafiła. - Kocham cię.

- I ja cię kocham... i dlatego musisz uciekać, dziecinko. Nie chcę, żebyś straciła życie przez coś, co już nie jest mną. Twoje życie jest zbyt cenne. Porzuć to puste naczynie. Uciekaj, Jenn. Bo inaczej on cię dopadnie. Uciekaj.

- Popatrzyła na Sebastiana. - Pomożesz jej?

Skinął głową.

- Przysięgam.

Znow patrzyła na dziewczynę, uśmiechając się słodko, z miłością.

- Zawsze będę w twoim sercu, dziecinko. Zawsze. Zawsze będę cię kochać.

- Wiesz, że cię kocham, mam. I zawsze będę.

Kobieta uśmiechnęła się, patrząc na córkę. Palce Jennsen gładziły jej piękną twarz. Matka spoglądała na nią przez ulotną wieczność. Dopóki Jennsen nie uświadomiła sobie, że matka już niczego na tym świecie nie widzi.

Przypadła do matki, przerażona, zalana łzami. Dławiła się szloch. Wszystko się skończyło. Skończył się zwariowany, bezsensowny świat.

Wyciągała ręce ku matce, bo ją od niej odciągano.

- Jennsen - szepnął jej do ucha. - Musimy zrobić to, czego chciała.

- Nie! Proszę, nie, och nie - zawodziła.

Odciągał ją delikatnie.

- Zrób, o co prosiła, Jennsen. Musimy.

Dziewczyna biła pięściami w okrwawioną podłogę.

- Nie! - Świat się skończył. - Och, błagam, nie. Nie, to nie może być.

- Musimy odejść, Jenn.

- To idź - załkała. - Już o nic nie dbam. Poddaję się.

- Nie, Jenn, wcale nie. Nie możesz.

Podniosło ją otaczające jej talię ramię, postawiło na nogach. Jennsen, odrętwiała, nie mogła się poruszyć. Wszystko było nierealne. Jak we śnie. Świat się rozpadał.

Sebastian potrząsnął nią.

- Musimy stąd iść, Jennsen.

Odwróciła głowę i popatrzyła na matkę leżącą na podłodze.

- Musimy coś zrobić. Błagam. Musimy coś zrobić.

- Tak, musimy. Musimy zniknąć, zanim się pojawią następni.

Miał mokrą twarz. Zastanawiała się, czy to od deszczu. Miała wrażenie, że patrzy na siebie z wielkiej dali; własne myśli zdawały się jej obłąkane.

- Posłuchaj, Jennsen. - Jej matka to powiedziała, to było ważne. - Posłuchaj. Musimy stąd odejść. Twoja matka miała rację. Musimy odejść.

Odwrócił się ku plecakowi, leżącemu obok kaganka na stole przy bocznej ścianie izby. Jennsen osunęła się na podłogę. Z łomotem uderzyła w nią kolanami. Nie zwracała na nic uwagi, nie potrafiła opanować rozpacz. Dlaczego wszystko musiało być takie okropne?

Pełzła ku śpiącej matce. Ona nie może umrzeć. Nie może. Nie może umrzeć, bo Jennsen za bardzo ją kocha.

- Jennsen! Później będziesz rozpaczać! Musimy stąd uciekać!

Za otwartymi drzwiami lało.

- Nie zostawię jej!

- Matka się dla ciebie poświęciła, żebyś ocalała życie. Nie zaprzepaść jej ostatniego męznego czynu.

Upychał w plecaku, co tylko znalazł.

- Musisz zrobić, jak mówiła. Kocha cię i chce, żebyś żyła. Kazała ci uciekać. Przysiągłem, że ci pomogę. Musimy uciec, zanim nas tu złapią.

Wpatrywała się w drzwi. Przed chwilą były zamknięte. Pamiętała, jak na nie wpadła. Teraz zaś były otwarte. Może zasuwka się złamała...

Z deszczu wyłonił się wielki cień, wniknął do chaty przez otwarte drzwi.

Krzepki wielkolud wbijał wzrok w Jennsen. Ogarnął ją szaleńczy strach. A napastnik ruszył ku niej. Coraz szybciej.

Widziała nóż z ozdobnym „R” sterczący z szyi zabitego. Nóż, który matka kazała jej wziąć. Nie był daleko. Matka straciła ramię - życie - żeby go zabić.

Napastnik, najwyraźniej nie widząc Sebastiana, rzucił się ku Jennsen. Ona rzuciła się po nóż. Lepkimi od krwi palcami chwyciła rękojeść. Przywarły do ozdobnego uchwytu, nie ześliznęły się. Sztuka, ale użyteczna. Śmiercionośna sztuka. Dziewczyna zacisnęła zęby, wyszarpnęła nóż i

przetoczyła się po podłodze.

Zanim wojownik zdążył ją pochwycić, Sebastian wbił mu w czaszkę swój bojowy topór. Żołnierz runął na podłogę obok Jennsen, przygniatając ją potężnym ramieniem. Wrzasnęła i wydostała się spod jego ręki; wokół głowy zabitego rozlewała się już kałuża krwi. Sebastian pomógł Jennsen wstać.

- Bierz wszystko, co chcesz zabrać - nakazał.

Chodziła po izbie jak we śnie. Świat oszalał. A może to ona w końcu zwariowała. Głos rozlegający się w jej głowie szeptał w tym swoim dziwnym języku. Stwierdziła, że go słucha, że to jej dodaje otuchy.

Tu vash misht. Tu vask misht. Grushdeva du kalt misht.

- Musimy iść - odezwał się Sebastian. - Pakuj, co chcesz zabrać.

Nie potrafiła myśleć. Nie wiedziała, co robić. Stłumiła głos i zmusiła się do wykonania polecenia matki.

Podeszła do szafy i zaczęła wyjmować to, co zawsze zabierały w podróż - co zawsze było przygotowane. W jej plecaku była odzież podróżna, w każdej chwili gotowa do zabrania. Wrzucała na nią zioła, korzenie, suszoną żywność. Wyjęła jeszcze jakieś ubrania, szczotkę, małe lustro - były w zwykłej skrzyni zrobionej ze splecionych gałęzi.

Zamarła, kiedy zaczęła wyjmować ubrania matki. Tkwiła tak, z drżącymi palcami, skupiając się na matczyńskich poleceniach. Nie potrafiła myśleć, więc działała jak wytresowane zwierzątko, robiąc, co jej kazano. Muszą uciec, zanim...

Rozejrzała się po izbie. Czterech martwych D'Harańczyków. Jeden tego ranka. To razem pięciu. Bojówka plus jeden. Gdzie trzej pozostali? W mroku za drzwiami? Pośród drzew? Zaczajeni w ciemnym lesie? Zaczajeni, żeby ją zabrać do lorda Rahla, by ją zadręczono na śmierć?

Sebastian oburącz złapał ją za nadgarstek.

- Co robisz, Jennsen?

Uświadomiła sobie, że dźga nożem powietrze.

Patrzyła, jak wyjmuje jej nóż z ręki i wsuwa do pochwy. Potem zatknął go jej za pas. Podniósł pelerynę Jennsen, którą zdarł z niej wielki d'harański żołnierz, kiedy dziewczyna wpadła wprost w koszmar.

- Pospiesz się, Jennsen. Bierz, co jeszcze chcesz.

Sebastian przeszukał kieszenie zabitych żołnierzy, zabrał pieniądze i wepchnął je do swoich kieszeni. Wszystkim czterem odpiął noże, choć żaden

nie był tak dobry jak ten, który zatknął za pas Jenn, jak ten z ozdobnym „R” na rękojeści, należący do nieboszczyka, który spadł ze szlaku, jak ten, którym walczyła matka.

Schował je do plecaka i krzyknął, żeby się pospieszyła. Chwyliła świecę i upchnęła je w plecaku. Sebastian przypasał miecz. Dziewczyna łapała drobne sprzęty - przybory kuchenne, naczynia - i wciskała je do swojego plecaka. Niezbyt zdawała sobie sprawę z tego, co zabiera. Po prostu łapała to, co jej wpadło w oko, i wkładała do plecaka.

Sebastian podniósł plecak, ujął jej przegub i przesunął rękę Jenn pod rzemieniem, jakby należała do szmacianej lalki. Powtórzył to samo z drugą ręką, a potem narzucił dziewczynie pelerynę na ramiona. Nasunął jej na głowę kaptur i dokładnie schował pod nim jej rude włosy.

Sam trzymał plecak jej matki. Szarpnął dwukrotnie i wyciągnął topór z czaszki żołnierza. Krew ciekła po trzonku, kiedy mocował go do pasa. Oparł prawą dłoń o plecy Jenn i popychał ją ku wyjściu.

- Coś jeszcze? - spytał, kiedy szli ku drzwiom. - Jennsen, chcesz coś jeszcze zabrać z chaty, zanim odejdziemy?

Obejrzała się przez ramię na leżącą na podłodze matkę.

- Odeszła, Jennsen. Teraz opiekują się nią dobre duchy. Teraz uśmiecha się do ciebie z góry.

- Naprawdę? - Popatrzyła na niego. - Tak myślisz?

- Tak. Teraz jest w lepszym świecie. Kazała nam stąd odejść. Musimy zrobić, co nakazała.

W lepszym świecie. Jennsen uczepiła się tej myśli. Bo w jej świecie był tylko lęk.

Szła ku drzwiom, jak kazał Sebastian. On rozglądał się badawczo. Ona jedynie szła za nim, przekraczając zwłoki, przekraczając okrwawione ramiona i nogi. Była zbyt przerażona, by cokolwiek odczuwać, zbyt zrozpaczona, by o cokolwiek dbać. Miała w głowie zamęt. Zawsze była dumna z tego, że jasno myśli. I gdzież się podziała ta jasność myśli?

Wyszli w deszcz, pociągnął ją ku ścieżce.

- Betty - powiedziała, zapierając się piętami. - Musimy wziąć Betty.

Spojrzał na ścieżkę, potem ku pieczarze.

- Nie sądzę, żebyśmy musieli się przejmować kozą, ale muszę zabrać mój plecak, moje rzeczy.

Zobaczyła, że stoi w deszczu bez peleryny. Był przemoczony do suchej nitki. Pojęła, że nie tylko ona przestała jasno myśleć. Sebastian był tak zaprzątnięty ucieczką, że omal nie zostawił własnych rzeczy. Umarłby przez to. Nie mogła dopuścić, by umarł. Betty by się przydała, lecz Jenn przypomniała sobie coś jeszcze. Pobiegnęła do chaty.

Nie zwróciła uwagi na wrzaski Sebastiana. W środku bez zwłoki podbiegła do niewielkiej drewnianej skrzyni, tuż przy drzwiach. Nie rozglądając się, wyjęła dwie zrolowane peleryny z baranich skór - swoją i matki. Trzymały je tu, zwinięte i związane, na wypadek gdyby musiały pospieszenie odejść. Spoglądał od drzwi, niecierpliwy, lecz zamilczał, kiedy zobaczył, co Jenn robi. Nie patrząc na umarłych, po raz ostatni wybiegła z chaty.

Pobiegli do pieczary. Ogień jeszcze płonął. Betty dreptała i dygotała, lecz była dziwnie cicha, jakby wiedziała, że stało się coś strasznego.

- Najpierw się trochę wysusz.

- Nie marny czasu! Musimy uciekać. Inni mogą się zjawić w każdej chwili.

- Zamarzniesz, jeśli się nie wysuszysz. I co ci wtedy da ucieczka? Śmierć to śmierć. - Zaskoczyły ją własne rozsądne słowa.

Wyciągnęła spod okrycia dwie zrolowane peleryny z baranich skór i zaczęła rozplątywać rzemienie.

- Te uchronią przed przemoknięciem, ale najpierw musisz się wysuszyć, bo inaczej za bardzo zamarzniesz.

Kiwał głową, dygocząc i grzejąc ręce przy ognisku; rozsądne słowa Jenn wreszcie wzięły górę nad pragnieniem ucieczki. Zastanawiała się, jak mu się udało tego wszystkiego dokonać, z taką gorączką i po ziołach nasennych. Strach, zgadywała. Przerażliwy strach. To pojmowała.

Wszystko ją bolało. Była nie tylko potłuczona, ale też - dopiero teraz to zobaczyła - krwawił jej bark. Rana nie była ciężka, ale pulsowała boleśnie. Przerazenie wyczerpało ją i otępiło.

Niczego tak nie pragnęła, jak położyć się i wypłakać, lecz matka kazała jej uciekać. Teraz powodowały ją jedynie matczyne słowa. Bez tych ostatnich poleceń nie potrafiłaby działać. A tak robiła to, co matka jej nakazała.

Betty była ogromnie niespokojna. Oszalała koza usiłowała przeleźć przez ogrodzenie, żeby się dostać do Jennsen. Sebastian grzał się przy ognisku,

Jenn zaś zawiązała sznurek na szyi Betty. Koza była tak wdzięczna, że też idzie, jak tylko kozy potrafią być.

Pozwolą Betty odwdziżyć się za tę łaskę. Kiedy w drodze znajdą jakieś tymczasowe schronienie, może się zdarzyć, że w tak deszczowy czas nie zdołają rozpalić ognia. Jeżeli uda się im znaleźć suchą norę, miejsce pod skalnym występem lub pod zwałonym drzewem, schowają się tam razem z kozą. I Betty ogrzeje oboje, dzięki czemu nie zmarzną na śmierć.

Jennsen rozumiała płacziwe meczenie Betty słane ku chacie. Zwierzę czujnie nastawiło uszu. Betty martwiła się o kobietę, która z nimi nie szła. Dziewczyna zabrała z półki wszystkie marchewki i żołądźce, upchnęła je w kieszeniach i plecakach.

Kiedy Sebastian był suchy i gotowy do drogi, okryli się wełnianymi pelerynami, a na nie zarzucili baranice. Jennsen prowadziła Betty na sznurku. Ruszyli w ulewną noc. Sebastian skierował się ku ścieżce, którą tu przyszedł. Jennsen chwyciła go za ramię i zatrzymała.

- Mogą tam na nas czekać.
- Ale przecież musimy się stąd wydostać.
- Znam lepszą drogę. Przygotowałyśmy ją na wypadek ucieczki.

Chwilę się jej przyglądał przez rozdzielający ich lodowaty deszcz, a potem bez protestu poszedł za nią w nieznane.

ROZDZIAŁ 7

Oba Schalk złapał kurę za szyję i uniósł z gniazda. Łeppek ptaka wydawał się maleńki w jego potężnej pięści. Drugą dłonią wybrał z zagłębienia w słomie ciepłe brązowe jajko. Ostrożnie ułożył je w koszyku wraz z innymi.

Oba nie posadził kury.

Uśmiechnął się szeroko, przysunął kurę do twarzy, przyglądał się, jak kręci łepkiem, otwiera i zamyka dziób, otwiera i zamyka. Zbliżył usta do rozwartego dzioba, aż się zetknęły, i z całej siły dmuchnął.

Kura skrzeczała i szarpała się, szaleńczo próbując uciec z trzymającej ją niczym imadło pięści. Oba zaśmiał się basowo.

- Oba! Gdzie jesteś, Oba?!

Kiedy usłyszał wołanie matki, puścił ptaka na gniazdo. Głos matki dobiegał z pobliskiej stajni. Kura, skrzecząc z przerażenia, uciekła z kurnika. Oba wyszedł za nią i potruchtął ku wrotom stajni.

Tydzień wcześniej spadł zimowy deszcz. Następnego dnia kałuże zamarzły, a deszcz przeszedł w śnieg. Nawiany śnieg przykrył lód i łatwo się było pośliznąć. Oba, chociaż wielki, radził sobie całkiem nieźle. Szczycił się swoją zwinnością.

Nie należało pozwalać, żeby ciało czy umysł stały się powolne i ociężałe. Oba uważał, że trzeba się uczyć nowych rzeczy. Że należy się rozwijać. I że trzeba wykorzystywać to, czego się nauczyło. Właśnie dzięki temu ludzie się rozwijają.

Chata i stajnia były jednym niewielkim budyneczkiem z plecionki obrzuconej tynkiem - same poprzepłatane gałęzie pokryte mieszaniną gliny, słomy i nawozu. Chatę i stajnię oddzielała kamienna ściana. Oba najpierw zbudował dom, a potem ułożył wewnętrzną ścianę z płaskich szarych polnych kamieni. Nauczył się tej metody, obserwując, jak sąsiad układa kamienie obok swego pola. Owa ściana była zbytkiem, którego brakowało większości chat.

Usłyszał, jak matka znów wyrzaskuje jego imię, i zaczął się zastanawiać, co też mógł źle zrobić. Przeglądał w myślach listę robót, które mu zleciła, lecz nie mógł sobie przypomnieć, by przeoczył coś w stajni. Oba nie był zapominalski, a poza tym często te wszystkie roboty wykonywał. W

stajni nic jej nie powinno rozeźlić.

To wszystko prawda, ale i tak nie chroniło go to przed wzbudzeniem matczynego gniewu. Zawsze mogła wymyślić jakieś niezbędne czynności, nigdy przedtem nie wykonywane.

- Oba! Oba! Ileż razy mam cię wołać!

Widział ją w wyobraźni, wymawiającą jego imię wąskimi, ściągniętymi ustami i oczekującą, że zjawi się w chwili, kiedy go skrzekliwie zawoła. Baba miała głos jak zgrzyt metalu po szkłe.

Oba obrócił się bokiem, żeby przepchnąć bary przez małe boczne wejście. Szczury zapiszczały i uciekły mu spod stóp. W stajni ze stryżkiem na siano trzymali mleczną krowę, dwa wieprze i dwa woły. Teraz była tu tylko krowa. Wieprzki wypuścili do dąbrowy, żeby szukały żołędzi pod śniegiem. A przez większe wrota, prowadzące na podwórze po drugiej stronie, Oba widział zady obu wołów.

Matka stała na kupce zamarzniętego gnoju. Wsparła się pod boki, a para oddechu unosiła się z jej nosa niczym dym z nozdrzy smoka.

Matka Oby była grubokoścista, szeroka w barkach, rozłożysta w biodrach. W ogóle jakaś taka rozłożysta. Nawet czoło miała szerokie. Oba słyszał od ludzi, że za młodu była ładna - i rzeczywiście, kiedy był mały, miała wielu starających. Ale ciężkie życie rok po roku odbierało jej urodę, zostawiając głębokie zmarszczki i obwisłe fałdy ciała. A kawalerowie już dawno przestali się przy niej kręcić.

Oba przemaszerował po czarnej, lodowatej polepie i stanął przed matką; ręce trzymał w kieszeniach. Uderzyła go w ramię grubym kijem.

- Oba.

Wzdrygnął się, kiedy przyłożyła mu jeszcze trzy razy, za każdym wymawiając jego imię.

- Oba. Oba. Oba.

Kiedy był chłopcem, takie razy zostawiały siniaki. Teraz był za duży i zbyt krzepki, żeby jej kij mógł mu zaszkodzić. I to też ją złościło.

Chociaż obecnie, kiedy dorósł, razy kijem nie bardzo mu dokuczały, potępienie brzmiące w głosie matki, gdy wymawiała jego imię, dalej sprawiało, że paliły go uszy. Z tymi małymi zaciśniętymi wargami przypominała mu pająka. Czarną wdowę.

Przygarbił się, żeby odjąć sobie wzrostu.

- Co jest, mamó?

- Gdzie się włóczysz, kiedy matka woła? - Wykrzywiła twarz od dawna pomarszczoną jak suszona śliwka. - Oba wół. Oba głupek. Oba niedorajda. Gdzieżeś był?!

Zasłonił się ramieniem, bo znów przyłożyła mu kijem.

- Wybierałem jajka, mamó. Wybierałem jajka.

- Spójrz na ten śmietnik! Nigdy nie wpadniesz na to, żeby coś tu zrobić, dopóki ci tego nie każe ktoś z głową na karku?

Oba rozejrzał się, ale nie dostrzegł niczego, co by wymagało natychmiastowej roboty - poza tą codzienną - i mogło aż tak matkę rozsierdzić. Tu zawsze było coś do zrobienia. Szczury wystawiały pyszczki spod drewnianych stajennych przegród. Węszyły, poruszając wąsami, rozglądały się czarnymi paciorkowatymi ślepkami i nasłuchiwały. Znów popatrzył na matkę, lecz nie znalazł dla niej żadnej odpowiedzi. I tak żadna by jej nie zadowoliła.

Wskazała na polepę.

- Przypatrz się! Nie przyjdzie ci do głowy, żeby wyrzucić gnój? Wkrótce się roztopi i zacznie przeciekać pod ścianą do chaty, w której śpię. Uważasz, że na darmo cię żywię? Że nie musisz zarobić na swoje utrzymanie, ty leniwy niedojdo? Oba niedorajda.

Wyczerpała swój repertuar obelg. Oba dziwił się czasem, że nie była bardziej pomysłowa, że się niczego nowego nie nauczyła. Kiedy był mały, wydawała mu się osobą biegle czytającą w myślach i dotkliwie smagającą słowami. Teraz zaś, kiedy ją przerósł, zastanawiał się niekiedy, czy i inne matczyne cechy nie są aby mniej groźne, niż się niegdyś obawiał, czy jej władza nad nim nie jest w gruncie rzeczy... pozorna. Iluzoryczna. Strach na wróble ze złośliwie zaciśniętymi wargami.

Ale wciąż potrafiła go upokorzyć. No i była jego matką. A matkę powinno się szanować. To najważniejsza powinność. Dobrze mu to wbiła do głowy.

Oba wcale nie sądził, że powinien jeszcze ciężiej pracować na swoje utrzymanie. Tyrał od świtu do zachodu słońca. Szczycił się swoją pracowitością. Był człowiekiem czynu. Był krzepki i pracował za dwóch. Dałby radę każdemu, kogo znał. Mężczyźni go nie przerażali. Za to kobiety... to był problem. Nie miał pojęcia, jak z nimi postępować. Był taki wielki, a one sprawiały, że się czuł całkiem mały.

Poszurał butem po ciemnej, jakby pofalowanej, szklistej powierzchni usypiska, otaksował twardą jak skała stertę. Zwierzęta stale produkowały nowy nawóz, a ten przeważnie zamarzał, zanim się go zdążyło wyrzucić. Odkładał się warstwami przez całą długą, mroźną zimę. Od czasu do czasu Oba rzucał na wierzch słomę, żeby się lepiej chodziło. Nie chciał, żeby matka się pośliznęła i upadła. Ale warstwa słomy raz-dwa pokrywała się nawozem i znów było ślisko, więc trzeba było dorzucać nowej słomy.

- Ale wszystko jest zamarznęte, mamó.

Przedtem zawsze to wyrzucał, gdy odtajało i było odpowiednio miękkie. Wiosną, gdy robiło się cieplej i w stajni brzęczały muchy, nawóz odchodził warstwami, tak jak był przełożony słomą. Ale nie teraz. Teraz wszystko tworzyło jednolitą twardą masę.

- Zawsze jakaś wymówka. Nieprawdaż, Oba? Zawsze jakaś wymówka mydląca oczy matce. Ty nędzny bękarcie.

Skrzyżowała ramiona i patrzyła na niego gniewnie. Dobrze wiedziała, że syn nie może uciec przed prawdą, że nie może się wyprzeć.

Oba rozejrzał się po ciemnej stajni, dostrzegł ciężką żelazną łopatę opartą o ścianę.

- Wyrzucę to, mamó. Wracaj do swojego przedzenia, a ja oczyszczę stajnię.

Nie miał pojęcia, jak poradzi sobie z zamarznętym na kość gnojem, lecz wiedział, że musi.

- No to zaczynaj od razu - fuknęła. - Wykorzystaj resztkę dziennego światła. Jak się ściemni, pójdziesz do miasta, do Lathei, po lekarstwo dla mnie.

Nooo, teraz już wiedział, czemu zajrzała do stajni i szukała go.

- Znowu mnie bolą kolana - poskarżyła się, jakby chciała zdusić ewentualne protesty Oby, choć nigdy nie protestował głośno, tylko w myślach. Zdawało się jednak, że zawsze wiedziała, co Oba sobie myśli. - Dzisiaj zaczniesz, a jutro dokończysz. Wydrapiesz do czysta ten zamarznęty nawóz. Ale dziś, jeszcze przed nocą, masz pójść po moje lekarstwo.

Oba pociągnął się za ucho, łypnął na polepę. Nie miał ochoty iść do Lathei, niewiasty od leków. Nie lubił jej. Zawsze patrzyła na niego jak na nędznego robaka. Była wredną jędzą. I co gorsza, była czarodziejką.

Jak Lathea kogoś nie lubiła, to takiemu komuś nie było lekko. Wszyscy jej się bali, więc Oba nie był tu wyjątkiem. Ale i tak nie lubił do niej zachodzić.

- Pójdę, mamó. Przyniosę ci lekarstwo. I nie trap się, tak jak kazałaś, zabiorę się do wywalania tego gnoju.

- O wszystkim muszę ci mówić, nieprawdaż, Oba? - Wbijiała w niego płonący gniewem wzrok. - Nie mam pojęcia, czemu zawracałam sobie głowę hodowaniem takiego bękarta - dodała pod nosem. - Powinnam na początku zrobić to, co mi radziła Lathea.

Oba często to słyszał, kiedy się nad sobą użalała - kiedy narzekała, że już się nie kręcą przy niej absztyfikanci, że nikt się nie chciał z nią ożenić. Oba był dopustem, który znosiła z gorzkim żalem. Bękartem, który od początku ściągał na nią kłopoty. Gdyby nie Oba, może by sobie znalazła męża, który by o nią dbał.

- No i nie zatrzymuj się za długo w miasteczku i nie marnuj czasu na głupoty.

- Dobrze, mamó. Przykro mi, że cię dziś bolą kolana.

Przyłożyła mu kijem.

- Nie bolałyby tak bardzo, gdybym nie musiała chodzić za wielkim, tępym wołem i sprawdzać, czy robi to, co powinien.

- Tak, mamó.

- Wybrałeś jajka?

- Tak, mamó.

Przyjrzała mu się podejrzliwie, a potem wyciągnęła monetę z kieszeni lnianego fartucha.

- Powiedz Lathei, żeby razem z moim lekarstwem przygotowała i lek dla ciebie. Może uda się nam wypłenić z ciebie zło Opiekuna. Gdybyśmy zdołały wypłenić z ciebie zło, może byś się do czego nadał.

Matka od czasu do czasu usiłowała wypłenić z niego wrodzone zło. Wypróbowywała najrozmaitsze leki. Kiedy był mały, często zmuszała go do picia mikstury z piekącego proszku i mydlin, potem zaś zamykała go w zagrodzie w stajni w nadziei, że zło zaświatów nie będzie chciało być jednocześnie podpiekane i zamknięte i wyniesie się z jego uwięzionego ziemskiego ciała.

Zagroda Oby - w przeciwieństwie do tych dla zwierząt - nie miała żadnej szpary. Była z solidnych desek. W lecie było w niej jak w piecu. Kiedy już

wmusiła w niego piekący proszek, zawlokła do zagrody i tam zamknęła, był bliski śmierci ze strachu, że nigdy go nie wypuści i nigdy już nie pozwoli chociaż na łyk wody. Z radością przyjmował lanie, które mu dawała, żeby uciszyć jego wrzaski, bo przynajmniej go wypuszczała.

- Kupisz od Lathei lekarstwo dla mnie i specyfik dla siebie. - Matka uniosła małą srebrną monetę, złośliwie zmrużyła oczy. - A nie roztrwoń ani centa na kobiety.

Oba poczuł, jak go palą uszy. Za każdym razem, gdy go po coś wysyłała - po leki, garnki, coś ze skóry, coś do gospodarstwa - napominała go, żeby nie roztrwoił pieniędzy na kobiety.

Dobrze wiedział, że z niego drwiła, kiedy żądała, żeby nie trwoił monet na kobiety.

Oba nie miał odwagi rozmawiać z kobietami. Zawsze kupował to, co matka mu kazała kupić. Ani razu nie roztrwoił grosza - bał się matczynego gniewu.

Nie cierpiał tego stałego napominania, by nie marnował pieniędzy, skoro nigdy tego nie robił. Miał przez to wrażenie, że zdaniem matki zamierza źle postąpić, choć wcale tak nie było. Czuł się winny, chociaż nic złego nie robił. To zmieniało w występek wszystko, o czym pomyślał, choćby było najniewinniejsze.

Potar mosił piekące ucho.

- Nie roztrwoię, mamó.

- I ubierz się starannie, nie jak jakiś tępó wół. Już i tak przynosisz mi ujmę.

- Porządnie się odzieję, mamó. Przekonasz się.

Pobiegł do domu i przyniósł filcowy kaszkiet oraz brązową wełnianą kurtę - strój na drogę do Gretton, parę mil ku północnemu zachodowi. Matka bacznie go obserwowała, kiedy starannie wieszał rzeczy na kołku, gdzie miały czekać, czyste, aż będzie gotów wyruszyć do miasteczka.

Potem złapał łopatę i zabrał się do usuwania twardego niczym skała nawozu. Żelazna łopata dźwięczała jak dzwon za każdym razem, kiedy uderzał w zmarzlinę. Każdemu potężnemu łupnięciu towarzyszyło stęknięcie Oby. Leciwały odpryski czarnego lodu, obryzgując mu spodnie. Każdy z nich był zaledwie maleńką częścią ciemnej góry gnoju. Usunięcie jej długo potrwa i będzie wymagało wiele roboty. Ale Oba nie bał się ciężkiej

pracy. A czasu miał całe mnóstwo.

Matka obserwowała go kilka minut z wrót stajni, chcąc się upewnić, że w pocie czoła rozbija zamarznięty nawóz. Kiedy zadowolono ją to, co zobaczyła, wróciła do własnej roboty, wydając syna na pastwę rozmyślań o zbliżającej się wizycie u Lathei.

Oba.

Oba znieruchomiał. Pochowane w kątach szczury zmarły. Czarnymi ślepkami patrzyły, jak się im przygląda. Potem znów zajęły się szukaniem pokarmu. Oba nasłuchiwał znajomego głosu. Usłyszał, jak zamykają się drzwi chaty. Matka, prząsniczka, wracała do przedzenia wełny. Kupował ją później od niej pan Tuchmann, który miał warsztat tkacki. Skromny zarobek ułatwiał jej utrzymanie i siebie, i nieślubnego syna.

Oba.

Oba dobrze znał ten głos. Słyszał go, odkąd sięgał pamięcią. Matce nigdy o nim nie wspomniał. Gniewałaby się i uważała, że to zły Opiekuna go nawołuje. Próbowałaby go zmuszać do łykania kolejnych mikstur i leków. Był już za duży na to, żeby go zamykać w zagrodzie. Ale nie dość duży, by nie móc łykać leków Lathei. Kiedy jeden ze szczurów przemykał obok niego, Oba nadepnął mu na ogon.

Oba.

Szczur pisnął cienko. Wywijał małymi łapkami, próbując uciec. Pazurki drapały ciemny lód.

Oba wyciągnął rękę i złapał pulchne futrzaste ciało. Łypnął na pyszczek z wąsikami. Zwierzątko bezradnie kręciło łepkiem. Patrzyło na Obę czarnymi paciorkowatymi ślepkami. Ślepkami pełnymi strachu.

Podдай się.

Oba pomyślał, że uczenie się nowych rzeczy jest ogromnie ważne. Szybki niczym lis, odgryzł szczurzy łepiek.

ROZDZIAŁ 8

Z najspokojniejszego jej zdaniem kąta izby Jennsen obserwowała drzwi i hałaśliwy tłum. Kawalek dalej Sebastian, oparty o drewniany szynkwas, rozmawiał z karczmarką. Była to wielka kobieta o groźnej minie, świadczącej, że jest przyzwyczajona do tarapatów i radzenia sobie z nimi.

Towarzystwo, przeważnie mężczyźni, było wesołe. Niektórzy grali w kości lub inne gry. Inni siłowali się na ręce. Większość popijała i opowiadała dowcipy pobudzające ich towarzyszy do gromkiego śmiechu.

Śmiech wydawał się Jennsen nieprzyzwoity. W jej świecie nie było radości. Nie mogło być.

Cały poprzedni tydzień był jak za mgłą. A może więcej niż tydzień? Nie potrafiła sobie dokładnie przypomnieć, jak długo podróżowali. Zresztą jakie to miało znaczenie? Czy w ogóle coś miało znaczenie?

Jennsen nie była przyzwyczajona do ludzi. Dla niej ludzie zawsze równali się zagrożeniu. Grupy budziły w niej niepokój - a już zwłaszcza ci pijący i uprawiający hazard bywalcy gospody.

Kiedy mężczyźni zauważyli Jennsen stojącą u końca szynkwasu, tuż przy ścianie, zapomnieli o dowcipach, poniechali gry w kości i zagapili się na nią. Ona zaś, widząc ich spojrzenia, zsunęła kaptur peleryny i pozwoliła opaść na ramiona gęstym puklom rudych włosów. To wystarczyło, żeby odwrócili oczy i zajęli się swoimi sprawami.

Rude włosy Jennsen budziły w ludziach strach, zwłaszcza w tych zabobonnych. Rzadko się trafiały i dlatego rodziły podejrzenia. Ludzie zaczęli się niepokoić, że może ona ma dar, albo w ogóle jest wiedźmą. Jennsen, wyniośle odpowiadając wzrokiem na ich spojrzenia, wyzyskiwała te ich lęki. W przeszłości była to jej ochrona, i to często lepsza niż nóż.

Za to w chacie nie zdała się na nic.

Kiedy mężczyźni uciekli od niej wzrokiem i wrócili do swoich napitków i gry w kości, Jennsen spojrziała ku tamtej części szynkwasu. Krzepka karczmarka gapiała się na nią, na jej rude włosy. Jennsen spojrziała jej w oczy, a kobieta pospiesznie przeniosła wzrok na Sebastiana. Znów ją o coś zapytał. Odpowiadając, nachyliła się ku niemu. Dziewczyna nie mogła ich usłyszeć przez gwar rozmów, żartów, zakładów, objawów radości, przekleństw i

śmiejów. Sebastian przytaknął temu, co kobieta powiedziała mu na ucho. Karczmarka zaś wskazała ponad głowami gości, informując o kierunku.

Sebastian wyprostował się, wyciągnął z kieszeni monetę i pchnął ją po szynkwasiu ku karczmarce. Wzięła pieniądze i podała klucz z przegródki za swoimi plecami. Zabrał klucz z szynkwasu wygładzonego niezliczonymi kuflami i dłońmi. Złapał swój kufel i pożegnał się z karczmarką. Kiedy dotarł do końca szynkwasu, nachylił się ku Jennsen, żeby go mogła usłyszeć, i zakotłosał kuflem.

- Na pewno nie chcesz się napić?

Pokręciła głową.

Łypnął na tłum w izbie. Wszyscy zajmowali się swoimi sprawami.

- Dobrze, że zsunęłaś kaptur. Dopóki karczmarka nie zobaczyła twoich rudych włosów, udawała głupią. Dopiero potem się jej język rozwiązał.

- Zna ją? Ona ciągle mieszka w Gretton, jak mama mówiła? Karczmarka jest pewna?

Sebastian napił się, patrząc, jak wybuchają wiwaty na cześć zwycięzcy po rzucie kośćmi.

- Podała mi namiary.

- A dostałeś dla nas pokoje?

- Tylko jeden. - Znów łyknął; dostrzegł, jak na to zareagowała. - Lepiej być razem, na wypadek kłopotów. Pomyślałem sobie, że będziemy bezpieczniejsi w jednej izbie.

- Raczej prześpię się z Betty - palnęła i z zażenowaniem odwróciła wzrok, bo zdała sobie sprawę, jak to zabrzmiało. - To znaczy, nie w gospodzie. Wolę być sama niż tutaj, gdzie jest tylu ludzi. Bezpieczniej poczuję się w lasach niż zamknięta tu, w izbie. Nie zamierzałam...

- Wiem, o co ci chodzi. - Błękitne oczy Sebastiana też się uśmiechnęły. - Wygodniej ci będzie spać pod dachem, bo zapowiada się paskudna noc. A i Betty będzie lepiej w stajni.

Człowiek prowadzący stajnię trochę się zdziwił, że proszą go o przyjęcie na noc kozy, ale się zgodził, bo konie lubią towarzystwo kóz.

Pierwszej nocy Betty prawdopodobnie uratowała im życie. Sebastian, trawiony gorączką, nie przeżyłby, gdyby Jennsen nie znalazła suchego miejsca pod skalnym występem. Mała rozpadlina w środku jeszcze się zwężała, ale miejsca wystarczyło dla obojga. Dziewczyna nacięła gałęzi

jedliny i wysłała nimi zagłębienie, żeby zimna skała nie wysssała z nich ciepła. Potem wraz z Sebastianem ułożyli się w głębi szczeliny. Betty - posłuszna zachętom Jennsen i pociągnięciom sznurka - uklękła za gałęziami osłaniającymi wejście, a potem ułożyła się tuż przed ludźmi. Ogrzewała ich i osłaniała przed chłodem z zewnątrz. Mieli suche, ciepłe legowisko.

Jennsen cichutko przepłakała całą tamtą noc. Ulgę przynosiło jej jedynie to, że trawiony gorączką Sebastian mógł spać. Rankiem gorączka ustąpiła. Rankiem rozpoczął się pierwszy dzień nowego, smutnego życia Jennsen - życia bez matki.

Bezustannie trapiło ją to, że tak porzuciła w chacie jej ciało. Wspomnienie owej krwawej sceny sprowadzało koszmary. Śmierć matki pograżyła dziewczynę w straszliwym cierpieniu, była powodem nie wysychających łez. Życie zdawało się pozbawione wszelkiej wartości, puste.

Jednak Sebastian i Jennsen uciekli. Przeżyli. Instynkt przetrwania i świadomość tego, co zrobiła matka, żeby ocalić jej życie, dodawały Jennsen sił. Czasem pragnęła nie być takim tchórzem, pogodzić się z losem i raz na zawsze z tym skończyć. A kiedy indziej gnał ją naprzód strach przed pogonią. Niekiedy zaś czuła zawziętą wolę życia, niezgodę na to, by matczyne poświęcenie poszło na marne.

- Należy się nam kolacja - odezwał się Sebastian. - Mają tu gulasz z jagnięciny. A potem powinnaś się porządnie wyspać w ciepłym łóżku, zanim pójdziemy do tej waszej starej znajomej. Ty sobie pośpisz, a ja będę czuwać.

Jennsen pokręciła głową.

- Nie. Lepiej od razu do niej chodźmy. Potem się prześpiemy.

Widziała ludzi zajadających gęsty gulasz z drewnianych misek. Nie miała ochoty jeść.

Sebastian przyjrzał się jej minie i zrozumiał, że jej nie przekona. Osuszył kufel i odstawił na szynkwias.

- To niedaleko. Jesteśmy we właściwej części miasteczka.

Kiedy już wyszli w zapadający zmierzch, spytała:

- Czemu chciałeś się zatrzymać właśnie w tej gospodzie? Były o wiele przyjemniejsze miejsca, gdzie ludzie nie wydawali się tacy... ordynarni.

Błękitne oczy przyjrzały się domom, ciemnym wejściom, zaułkom. Palce dotknęły peleryny, szukając otuchy w gardzie miecza.

- Grubiański tłumek zadaje niewiele pytań, a zwłaszcza takich, na które

byśmy woleli nie odpowiadać.

Wydawał się jej człowiekiem biegłym w unikaniu zbytecznych pytań.

Jennsen szła wzdłuż wąskiej, zamarzniętej koleiny ku domowi kobiety, którą jedynie mgliście pamiętała. Kurczowo trzymała się nadziei, że kobieta owa potrafi jej pomóc. Matka musiała mieć jakieś powody, by nigdy więcej jej nie odwiedzać, lecz Jennsen nie widziała innej możliwości, jak tylko poprosić ją o pomoc.

Bo Jennsen - pozbawiona matki - potrzebowała pomocy. Trzej pozostali członkowie bojówki na pewno ją ścigali. Pięć trupów świadczyło, że były co najmniej dwa oddziały. A z tego wynikało, że trzech zabójców dalej było na jej tropie. Całkiem możliwe, że więcej. Jeżeli nie teraz, to już wkrótce.

Uciekli zamaskowanym szlakiem - tamci pewnie się tego nie spodziewali - więc, przynajmniej na razie, zdołali się oddalić od pościgu na bezpieczną odległość. Deszcz zaś bez wątpienia zrobił swoje i zatarł ślady. Bardzo możliwe, że umknęli, nie zostawiając śladów, i przez jakiś czas będą bezpieczni. Jednak ścigał ją sam lord Rahl, więc mogło być i tak, że zabójcy, korzystając z jakichś mrocznych i tajemniczych sposobów, podchodzili coraz bliżej.

Najście wielkich żołnierzy na chatę sprawiło, że Jennsen ogromnie się bała tej ewentualności.

Na opustoszałym rogu ulicy Sebastian wskazał w prawo.

- Tędy.

Mijali ciemne budynki, przysadziste i pozbawione okien, pewnie służące wyłącznie jako magazyny. Wyglądało na to, że nikt tu nie mieszka. Wkrótce zostawili je za sobą. Bezlistne drzewa, smagane zimnym wiatrem, zbijały się w kępy. Dotarli do wąskiej uliczki i Sebastian stwierdził:

- Ze wskazówek karczmarki wynika, że to dom przy końcu uliczki, wśród tamtych drzew.

Najwyraźniej mało kto tędy chodził. Słaby blask z odległego okna sączył się przez nagie gałęzie dębów i olch. I nie tyle serdecznie zapraszał, ile gniewnie ostrzegał, żeby się trzymać z daleka.

- Lepiej tu poczekać - odezwała się Jennsen. - Może powinnam iść sama.

Podsuwała mu wymówkę. Większość ludzi wołała nie mieć do czynienia z czarodziejką. Sama Jennsen też wołałaby inne rozwiązanie.

- Pójdę z tobą.

Okazał całkowitą nieufność wobec magii. To zaś, jak obserwował odległy domek przez gałęzie i zarośla, świadczyło, że starał się wydać odważniejszy, niż był.

Jennsen strofowała się za takie myśli. Walczył przecież z d'harańskimi żołnierzami, którzy przewyższali go nie tylko wzrostem i siłą, ale i liczebnością. A mógł zostać w pieczarze i nie narażać życia. Mógł porzucić miejsce takiej rzezi i uciec, ratując życie. Strach przed magią dowodził jedynie, że Sebastian jest zdrowy na umyśle. Właśnie ona, Jennsen, doskonale rozumiała strach przed magią.

Dotarli do końca uliczki i skręcili w wąską dróżkę biegnącą pośród drzew. Śnieg skrzypiał pod ich butami. Sebastian rozglądał się na boki, natomiast uwagę Jennsen przykuwał domek. Za nim widniały zalesione stoki. Pomyślała, że ku tym drzwiom ośmielają się iść wyłącznie ci, których gna pałaca potrzeba. Rozumowała, że skoro czarodziejka mieszka tak blisko miasteczka, to najprawdopodobniej pomaga ludziom, oni zaś jej ufają. Całkiem możliwe, że owa kobieta jest ceniona i szanowana, że jest uzdrowicielką z oddaniem wspomagającą innych. A nie kimś, kogo należy się bać.

Zastukała w drzwi; wicher jęczał i zawodził wśród wielkich drzew. Sebastian badał wzrokiem gęstwę po obu stronach. Widoczne w oddali, za ich plecami, światła domów i warsztatów przynajmniej pomogą im odnaleźć drogę powrotną.

Kiedy tak czekała u drzwi i jej wzrok przyciągnęły okalające ich mroki, wyobrażała sobie obserwujące ich stamtąd oczy. Zjeżyły się jej włosy na karku.

Drzwi w końcu się uchylły, lecz tylko na tyle, żeby ukazać twarz wyglądającej zza nich kobiety.

- O co idzie?

Jennsen nie widziała wyraźnie skrytej w mroku twarzy, za to kobieta widziała ją w świetle padającym z uchylonych drzwi.

- Jesteś Lathea? Lathea... czarodziejka?

- Bo co?

- Powiedziano nam, że mieszka tutaj Lathea, czarodziejka. Jeżeli to ty, to czy możesz nas wpuścić?

Drzwi wcale nie otworzyły się szerzej. Dziewczyna mocniej otuliła się

peleryną, chroniąc się przed zimnym nocnym powietrzem i chłodnym przyjęciem. Kobieta przyjrzała się Sebastianowi, a potem znów Jennsen, osłoniętej ciężką peleryną.

- Nie jestem położną. Skoro chcesz się pozbyć kłopotów, w które się wpędziłaś, nie mogę ci w tym pomóc. Idź do położnej.

Jennsen poczuła się okropnie zażenowana.

- Nie po to tutaj przyszliśmy!

Kobieta przyglądała się przez chwilę obcym stojącym u jej drzwi.

- No to jakiego leku potrzebujecie?

- Żadnego. Trzeba nam... uroku. Już cię kiedyś spotkałam. Potrzeba mi uroku, jaki kiedyś na mnie rzuciłaś... gdy byłam mała.

Ocieniona twarz się nachmurzyła.

- Kiedy? Gdzie?

Jennsen odkaszlnęła.

- W Pałacu Ludu. Kiedy tam mieszkałam. Pomogłaś mi, gdy byłam mała.

- W czym ci pomogłam? Gadaj, dziewczyno.

- Pomogłaś... mnie ukryć. Myślę, że jakimś urokiem. Byłam wtedy mała i nie za dobrze pamiętam.

- Ukryć cię?

- Przed lordem Rahlem.

Odpowiedziała jej cisza.

- Przypominasz sobie? Mam na imię Jennsen. Byłam wtedy malutka. - Zsunęła z głowy kaptur, żeby kobieta mogła zobaczyć w padającym przez uchylone drzwi świetle jej rude pukle.

- Jennsen. Imienia sobie nie przypominam, ale włosy tak. Nieczęsto widuje się takie włosy jak twoje.

Dziewczyna poczuła ulgę.

- Minęło trochę czasu. Miło mi słyszeć...

- Nie zajmuję się czymś takim - odezwała się kobieta. - I nigdy nie zajmowałam. Nie rzucałam dla ciebie żadnego uroku.

Jennsen oniemiała ze zdumienia. Nie wiedziała, co powiedzieć. Była pewna, że kobieta rzuciła niegdyś urok, żeby jej pomóc.

- Odejdźcie. Oboje.

Drzwi zaczęły się zamykać.

- Poczekaj! Mogę zapłacić...

Jennsen sięgnęła do kieszeni i pospiesznie wyciągnęła monetę. Dopiero kiedy podała ją przez drzwi, zobaczyła, że jest złota.

Kobieta chwilę przyglądała się złotej marce, pewnie zastanawiając się, czy się jej opłaca znów mieszać w tak poważne przestępstwo, i to nawet za małą fortunę.

- No i co, przypomniałaś sobie? - spytał Sebastian.

Spojrzała na niego.

- A ty kto?

- Przyjaciel.

- Znowu potrzebuję twojej pomocy, Latheo. Mama... - Nie zdołała tego powiedzieć i zaczęła inaczej. - Pamiętam, jak mama mi o tobie opowiadała. O tobie i o tym, jak nam niegdyś pomogłaś. Byłam wtedy malutka, ale przypominani sobie, że rzucono na mnie urok. Osłabł i zanikł wiele lat temu. Znowu potrzebuję twojej pomocy.

- Trafiłaś do niewłaściwej osoby.

Jennsen zacisnęła dłonie na wełnianej pelerynie. To było jedyne wyjście. Jedyne, co zdołała wymyślić.

- Błagam, Latheo. Jestem w kropce. Potrzebuję pomocy.

- Dała ci pokazną sumkę - wtrącił się Sebastian. - Skoro twierdzisz, że trafiliśmy do niewłaściwej osoby i że nie pomożesz, to moim zdaniem powinniśmy zachować złoto dla właściwej osoby.

Lathea uśmiechnęła się doń przebiegle.

- Oooo, powiedziałam, że trafiła do niewłaściwej osoby, lecz wcale nie twierdziłam, że nie potrafiłabym zasłużyć na tę zapłatę.

- Nie rozumiem - odezwała się dziewczyna, otulając się peleryną i dygocząc z zimna.

Lathea przyglądała się jej chwilę, jakby się upewniała, czy istotnie bacznie słuchają.

- Szukasz mojej siostry, Althei. Ja jestem Lathea. Ona to Althea. To ona ci pomogła, nie ja. Twoja matka pewnie poplątała nasze imiona albo ty źle sobie przypomniałaś. Kiedy mieszkaliśmy razem, ludzie stale się mylili. Magiczny dar przyniósł Althei i mnie odmienne talenty. To ona pomogła tobie i twojej matce, nie ja.

Jennsen osłupiała i czuła się zawiedziona, ale przynajmniej nie wszystko było stracone. Wciąż istniała odrobina nadziei.

- Mogłabyś mi tym razem pomóc, Latheo? Zamiast siostry?
- Nie. Nic nie mogę dla ciebie zrobić. Nie potrafię tego. Tylko Althea widzi dziury w świecie. Ja nie. Jestem ślepa na takich jak ty.
- Jennsen nie miała pojęcia, co to znaczy „dziury w świecie”.
- Ślepa... na takich jak ja?
- Tak. Powiedziała ci, co potrafię. Odejdźcie.
- Kobieta cofała się od drzwi.
- Zaczekaj! Błagam! Możesz mi przynajmniej powiedzieć, gdzie mieszka twoja siostra?
- Czarodziejka popatrzyła na pełną nadziei twarz Jennsen.
- To niebezpieczny interes...
- To interes. - Głos Sebastiana był lodowaty jak ta noc. - Wart złotej marki. Za tę cenę powinniśmy się przynajmniej dowiedzieć, gdzie znajdziemy twoją siostrę.
- Lathea rozważyła jego słowa i równie lodowatym głosem powiedziała do dziewczyny:
- Nie chcę mieć nic wspólnego z takimi jak ty. Rozumiesz? Nic. Jeżeli Althea chce, to jej sprawa. Pytaj w Pałacu Ludu.
- Jennsen pamiętała mgliście podróż do kobiety, niezbyt daleko od pałacu. Sądziła, że to była Lathea, lecz to musiała być jej siostra, Althea.
- Nie możesz powiedzieć czegoś więcej? Gdzie mieszka, jak mam ją znaleźć?
- Jak ją ostatni raz widziałam, mieszkała tam, w pobliżu, ze swoim mężem. Możesz pytać o czarodziejkę Altheę. Jeżeli nadal żyje, ludzie powinni ją znać.
- Sebastian przytrzymał drzwi ręką, zanim kobieta zdążyła je zatrzasać.
- To nędzna namiastka informacji. Za tę cenę powinniśmy dostać więcej.
- To licha zapłata za to, co wam powiedziałam. Dałam wam informację, której potrzebujecie. Jeśli moja siostra chce kusić los, to jej sprawa. Bo ja za żadną cenę nie chcę kłopotów.
- Nie chcemy ci przysporzyć kłopotów - zapewniła ją Jennsen. - Po prostu potrzebujemy tego pomocnego uroku. Skoro nie możesz nam w tym pomóc, to dziękujemy za podanie imienia siostry. Poszukamy jej. Ale muszę się jeszcze dowiedzieć wielu ważnych rzeczy. Gdybyś mi mogła powiedzieć...
- Jeżeli masz choć odrobinę przyzwoitości, zostawisz Altheę w spokoju.

Tacy jak ty mogą nam tylko wyrządzić krzywdę. A teraz odejź od moich drzwi, zanim ześlę na ciebie koszmar.

Jennsen wpatrywała się w ocienioną twarz.

- Ktoś już to zrobił - powiedziała i odwróciła się.

ROZDZIAŁ 9

Oba - elegancki we własnych oczach, bo w kaszkiecie i brązowej wełnianej kurcie - szedł wąskimi uliczkami, nucąc melodyjkę, którą ktoś wygrywał na fujarce w jednej z mijanych po drodze gospod. Zanim skręcił w drogę prowadzącą ku chacie Lathei, musiał przepuścić jeźdźca. Koń nastawił ku niemu uszu, kiedy go mijał. Oba miał kiedyś konia i lubił na nim jeździć, ale matka uznała, że nie mogą sobie pozwolić na trzymanie go. Woły były o wiele pożyteczniejsze i wykonywały więcej roboty, lecz nie były tak miłym towarzystwem.

Kiedy tak szedł ciemną drogą, a pod butami skrzypiał mu zamarznięty śnieg, minęła go jakaś para zdążająca od chaty Lathei. Ciekaw był, czy chodzili do czarodziejki po lekarstwo. Kobieta obrzuciła go nieufnym spojrzeniem. Na ciemnej drodze taka reakcja nie była czymś zaskakującym, a poza tym Oba wiedział, że jego rozmiary przerażają niektóre kobiety. Wyminęła go szerokim łukiem. Towarzyszący jej mężczyzna spojrzął Obie w oczy - wielu tego nie robiło.

Ich spojrzenia przypomniały Obie szczura. Uśmiechnął się szeroko na to wspomnienie, rad, że uczy się czegoś nowego. Tamci pomyśleli, że to do nich się uśmiecha. On zaś uchylił kaszkietu przed damą. Odwzajemniła się słabiutkim uśmiechem. To był zdawkowy uśmiech, którym często obdarzały Obę kobiety. Czuł się wtedy jak pajac. Para zniknęła w mrokach ulic.

Oba wepchnął ręce w kieszenie kurty i skręcił ku domkowi Lathei. Nie cierpiał chodzić tu po nocy. Czarodziejka i tak budziła grozę, bez maszerowania ku niej ciemną dróżką. Westchnął niespokojnie.

Nie bał się mocnych mężczyzn, lecz wiedział, że jest bezsilny wobec tajemnic magii. Dobrze pamiętał, ile biedy napływały mu mikstury czarodziejki. Paliły, kiedy je łykał i kiedy się ich pozbywał. Nie tylko sprawiały ból, ale i pozbawiały samokontroli, przez co przypominał zwierzę. To było upokarzające.

Słyszał opowieści o takich, którzy rozgniewali czarodziejkę, a ta zesłała na nich gorsze plagi - gorączkę, ślepotę, powolną śmierć. Pewien mężczyzna oszalał i uciekł nagi na moczary. Ludzie gadali, że pewnie czymś rozzłościł czarodziejkę. Znaleźli go martwego, pokąsanego przez węże, opuchniętego i

spurpurowiałego, jak unosił się pośród oślizłych wodorostów. Oba nie potrafił sobie wyobrazić, co też ów biedak mógł zrobić, że czarodziejka zesłała nań taki los. On będzie mądrzejszy i ostrożniejszy z tą starą jędzą.

Czasem miewał koszmarne sny o tym, co mogłaby mu zrobić swoją magią. Wyobrażał sobie, że moc Lathei mogłaby mu zadać tysiąc ran, a nawet obdrzeć go z ciała do kości. Zagotować mu oczy. Albo sprawić, że język Oby będzie puchnął, dławiąc go i dusząc, zadając powolną, okropną śmierć.

Szedł pospiesznie dróżką. Im szybciej to się zacznie, tym szybciej się skończy. Oba się tego nauczył.

Dotarł do chaty i zastukał.

- Oba Schalk. Matka przysłała mnie po lekarstwo.

Czekał i obserwował obłoczki oddechu. Drzwi w końcu uchyliły się na tyle, żeby mogła nań zerknąć. Pomyślał, że jako czarodziejka powinna móc go zobaczyć bez uchylania wrót. Kiedy czasem czekał, aż Lathea sporządzi lek, zdarzało się, że ktoś przychodził, a ona zwyczajnie otwierała drzwi. Ale w przypadku Oby zawsze najpierw sprawdzała, czy to naprawdę on.

- Oba. - Głos i minę miała równie cierpkie.

Otworzyła drzwi, żeby go wpuścić. Wszedł ostrożnie i z uszanowaniem. Zerknął na boki, choć dobrze znał to miejsce. Uważał, żeby się nie zachowywać wobec niej zbyt śmiało. Nie bała się go, więc klepinięciem w ramię pogoniła go w głąb izby, by móc zamknąć drzwi.

- Znowu kolana twojej matki? - spytała czarodziejka, odcinając dostęp lodowatemu powietrzu.

Oba, wbijając wzrok w podłogę, potaknął.

- Mówi, że ją bolą i że by się jej przydało twoje lekarstwo. - Wiedział, że musi powiedzieć i resztę. - Prosiła, żebyś... żebyś przysłała i coś dla mnie.

Lathea uśmiechnęła się tym swoim szczwanym uśmieszkiem.

- Coś dla ciebie, Oba?

Oba wiedział, że ona doskonale rozumie, co ma na myśli. Przychodził do niej wyłącznie po dwa lekarstwa - jedno dla matki, a drugie dla siebie. Ale Lathea lubiła to z niego wyduszać. Była równie paskudna jak ćmienię zębów.

- I lek dla mnie, powiedziała mama.

Przybliżyła twarz. Łypnęła na niego, dalej zmijowato się uśmiechając.

- Lekarstwo na niegodziwość? - wysyczała. - Tak, Oba? Po to cię przysłała

matka Schalk?

Odchrząknął i potaknął. Przez ten jej uśmiezek czuł się nikim, więc znów wbił wzrok w podłogę.

Lathea wpatrywała się weń. A on się zastanawiał, co też się kryje w tym jej bystrym umyśle, jakie podstępne myśli, jakie ponure plany. W końcu poszła po ingrediencje, które trzymała w wysokiej szafce. Sosnowe drzwiczki zaskrzypiały, kiedy je otwierała. Przycisnęła do siebie flaszczyki drugą ręką, zaniósła je na stojący pośrodku izby stół.

- Ciągłe próbuje, co, Oba? - Jej głos stał się monotony, jakby mówiła do siebie. - Stale próbuje, choć to niczego nie zmienia.

Oba.

Stojący na prostym stole kaganek oświetlał flaszczyki, które tam odkładała po jednej, dokładnie się im najpierw przyglądając. Rozmyślała nad czymś. Może nad tą ohydną miksturą, którą tym razem dla niego przyrządzi, nad tym, jaką słabość nań sprowadzi przy tej próbie oczyszczenia go z nieokreślonego, lecz stale obecnego zła.

Dębowe kłody na kominku zarzyły się w złocisto-pomarańczowym blasku ognia, ogrzewając i oświetlając izbę. Oba i matka mieli tylko dołek na ogień pośrodku izby. Podobało mu się, że u Lathei dym ulatywał do komina i poza domek, miast zalegać w izbie i dopiero potem ulatywać przez niewielki otwór w dachu. Obie podobały się prawdziwe paleniska; pomyślał, że powinien takie zrobić dla siebie i matki. Ilekroć przychodził do Lathei, patrzył, jak jest zbudowany ten jej kominek. Zawsze należało się uczyć czegoś nowego.

Nie spuszczał też oka z pleców czarodziejki, nalewającej z flaszczyk jakieś płyny do szerokiego słoja. Mieszała miksturę szklaną pałeczką, powoli dodając nowe składniki. Kiedy wreszcie była zadowolona, przelała lekarstwo do małej buteleczki i zakorkowała ją.

- To dla twojej matki - powiedziała, podając mu naczynie.

Oba wręczył jej monetę, którą dostał od matki. Patrzyła mu w oczy, a jej guzowate palce wsunęły pieniążek do kieszeni sukni. W końcu odwróciła się ku stołowi, ku nowej robocie, i Oba wreszcie ośmielił się odetchnąć. Podniosła kilka flaszczyk, przyglądając się im w blasku ognia, a potem zaczęła mieszać lek dla niego. Jego przekłety lek.

Oba nie lubił rozmawiać z Lathea, lecz jej milczenie często było jeszcze

gorsze, drażniło go. Tak naprawdę, nie bardzo wiedział, co powiedzieć, ale uznał w końcu, że musi się odezwać.

- Mama się ucieszy z lekarstwa. Ma nadzieję, że jej pomoże na kolana.

- I liczy na coś, co wyleczy jej syna?

Oba wzruszył ramionami, żałując, że nawiązał rozmowę.

- Tak, proszę pani.

Czarodziejka zerknęła na niego przez ramię.

- Mówiłam matce Schalk, że nie wierzę, że to cokolwiek pomoże.

Oba też tak uważał, bo nie wierzył, że w ogóle było tu coś do leczenia. Kiedy był mały, uważał, że matka wie lepiej i nie dawałaby mu lekarstwa, gdyby go nie potrzebował. Jednak minął czas i zaczął w to wątpić. Już nie wydawała mu się taka bystra, za jaką ją niegdyś uważał.

- Ale ona się o mnie troszczy. I wciąż próbuje.

- Może ma nadzieję, że lek pomoże jej się ciebie pozbyć - powiedziała niemal odruchowo Lathea, zajęta pracą.

Oba.

Oba uniósł głowę. Wpatrywał się w plecy czarodziejki. Nigdy przedtem nie brał pod uwagę takiej możliwości. Może Lathea liczyła na to, że lek uwolni je obie od bękarta. Matka czasami zachodziła do Lathei. Może o tym rozmawiały.

Czyżby głupio wierzył w to, że obie kobiety chciały dla niego dobrze, że chciały mu pomóc, gdy tymczasem było przeciwnie? Może ułożyły plan. Może się zmówiły, żeby go otruć.

Gdyby coś mu się stało, matka już nie musiałaby go utrzymywać. Często narzekała, że za dużo je. W kółko mu powtarzała, że tyra przede wszystkim po to, żeby go wyżywić, i że przez niego nie może odłożyć ani centa. Gdyby odkładała pieniądze, które przez lata wydała na jego leki, toby miała teraz niezłą sumkę.

Ale gdyby coś mu się stało, matka musiałaby sama załatwiać całą robotę.

Może obie kobiety chciały to zrobić z czystej niktzemności.

Pewnie nie przemyślały tego tak dokładnie, jak Oba by to zrobił. Matka często go zdumiewała swoją naiwnością. Może obie siedziały sobie i gadały któregoś dnia i postanowiły być podłe.

Przyglądał się, jak błyski ognia igrają na rzadkich kosmykach włosów czarodziejki.

- Mama powiedziała dzisiaj, że powinna zrobić to, co jej zawsze, od początku, doradzałaś.

Lathea, wlewając do słoja gęsty brązowy płyn, znów spojrzała na Obę przez ramię.

- Naprawdę?

Oba.

- Co od początku doradzałaś mamie?

- Czyż to nie jasne?

Oba.

Zrozumiał, poczuł lodowaty dreszcz.

- Że powinna mnie zabić.

Nigdy przedtem nie odezwał się tak bezczelnie. Ani razu nie ośmielił się postawić czarodziejce - tak bardzo się jej bał. Tym razem jednak słowa pojawiły się w jego umyśle, podobnie jak czynił to głos, i Oba je wymówił, zanim zdążył się zastanowić, czy to rozsądne.

Zaskoczył Latheę jeszcze bardziej niż siebie. Znieruchomiła nad swoimi flaszeczkami, wpatrując się w niego, jakby się zmienił na jej oczach. Może i tak się stało.

Uświadomił sobie, że bardzo mu się podoba wyrażanie własnego zdania.

Nigdy wcześniej nie widział, by Lathea straciła pewność siebie. Może dlatego, że się czuła bezpieczna, krążąc wokół tematu, bezpieczna w zasłonie słów, gdy nie musiała niczego wydobywać na światło dnia.

- Właśnie tego zawsze od niej chciałaś, Latheo? Co? Żeby zabiła swojego bękarta?

Na jej chudej twarzy powoli pojawił się uśmiech.

- To nie było tak, jak zabrzmiało w twoich ustach, Oba. - Z głosu kobiety zniknęła wyniosłość. - Wcale nie. - Mówiła doń nie jak do bękarta, którego tolerowała, lecz jak do mężczyzny, niemal słodkim tonem. - Czasami lepiej, żeby kobiety nie rodziły dziecka. Lub żeby pozbyły się noworodka. To nie jest aż taki zły czyn. Bo to... jeszcze nie jest osoba.

Oba. Wyrzeknij się.

- Idzie ci o to, że byłoby łatwiej.

- Właśnie. - Ochoczo uczepiła się jego słów. - Byłoby łatwiej.

Głos Oby spowolniał, pojawiły się w nim ostre nutki - nawet nie wiedział, że tak potrafi.

- To znaczy, byłoby łatwiej... zanim na tyle podrosną, żeby się bronić.
Zdumiewał go zakres własnych, uśpionych dotąd zdolności.

To była noc nowych cudów.

- Nie, nie, wcale nie to miałam na myśli. - Ale on uznał, że właśnie to. Jej głos, w którym pobrzmiwał dopiero co nabyty respekt dla Oby, stał się niemal natarczywy: - Chodziło mi o to, że jest łatwiej, zanim kobieta zacznie kochać swoje dziecko. Wiesz, zanim dzieciak stanie się osobą, kimś. Prawdziwą osobą, obdarzoną rozumem. Wtedy jest łatwiej i czasami lepiej dla matki.

Oba dowiadywał się czegoś nowego, ale jeszcze nie poskładał tego. Czuł, że te nowe wiadomości są niezwykle ważne, że stoi na granicy prawdziwego zrozumienia.

- Jak by to mogło być najlepsze?

Lathea przestała przelewać płyn i odstawiła flaszkę.

- Cóż, czasami nowe dziecko to dopust. Dopust dla obojga. Czasem, naprawdę, lepiej dla obojga...

Podeszła żwawo do szafki. Kiedy wróciła z nową flaszką, stanęła po drugiej stronie stołu; już nie była zwrócona plecami do Oby. Większość ingrediencji do jego leków była płynna lub sproszkowana i nie miał pojęcia, co to właściwie jest. We flaszkę, którą Lathea przyniosła, był jeden z niewielu składników, które rozpoznawał: suszone czubki owoców róż górskiej gorączki. Wyglądały jak brązowe, pomarszczone krążki z gwiazdką pośrodku. Często dodawała jeden taki krążek do jego lekarstwa. Tym razem wysypała ich sporo na stuloną dłoń, zacisnęła pięść, krusząc je, i dodała delikatne brązowe okruszki do leku, który właśnie sporządzała.

- Lepiej dla obojga? - zapytał Oba.

Jej palce szukały sobie zajęcia.

- Tak, czasami. - Sprawiała wrażenie, że już nie chce o tym rozmawiać, lecz nie potrafi zakończyć tematu. - Czasami to więcej, niż kobieta może znieść, coś, co tylko zagraża i jej, i pozostałym dzieciom.

- Ale mama nie ma innych dzieci.

Lathea na chwilę zamilkła.

Oba. Wyrzeknij się.

Nastłuchiwał głosu, który stał się jakiś inny. O wiele bardziej pewny siebie, ważny.

- Nie ma, ale i tak byłeś dla niej dopustem. Kobiecie ciężko samotnie wychowywać dziecko. A zwłaszcza dziecko... - Ugryzła się w język i powiedziała co innego: - Miałam na myśli, że byłoby ciężko.

- Ale dokonała tego. Uważam, że się myliłaś. Nieprawdaż, Latheo? Nie miałaś racji. Nie mama, ale ty. Mama mnie chciała.

- I nigdy nie wyszła za mąż - warknęła Lathea. Gniew przywrócił jej spojrzeniu wyniosłą władczość. - Może gdyby... gdyby wyszła za mąż, miałyby pełną rodzinę, a nie tylko...

- Bękarta?

Tym razem nie odpowiedziała. Najwyraźniej żałowała, że podjęła ten temat. Gniewny błysk zniknął z jej oczu. Nieco drżącymi palcami położyła na dłoni stosik wysuszonych pączków kwiatowych, pospiesznie zgmiotła je w pięści i wyspała do leku. Odwróciła się i przyglądała płomieniom w kominku poprzez płyn w błękitnej flaszeczce.

Oba zbliżył się o krok do stołu. Lathea uniosła głowę i popatrzyła mu w oczy.

- Drogi Stwórco... - wyszeptała, patrząc Obie w oczy.

Zdał sobie sprawę, że mówi do siebie, nie do niego.

- Kiedy czasem go widzę, kiedy patrzę w te błękitne oczy...

Oba zmarszczył brwi, spoglądał na nią gniewnie.

Flaszeczką wysliznęła się Lathei z palców, uderzyła o stół, stoczyła na podłogę i rozbiła.

Oba. Wy rzeknij się. Wyrzeknij się swojej woli.

To było coś nowego. Głos nigdy przedtem tego nie mówił.

- Chciałaś, żeby mama mnie zabiła, prawda, Latheo?

Zrobił drugi krok ku stołowi.

Kobieta zeszywniała.

- Nie zbliżaj się, Oba.

W jej oczach był strach. Małych, szurzących ślepkach. To było coś całkowicie nowego. Poznawał nowe rzeczy szybciej, niż potrafił je przyswoić.

Zobaczył, jak podnosi ręce, oręż czarodziejki. Zatrzymał się. Stał spokojnie, uważał na nią.

Podдай mi się, Oba, a będziesz niepokonany.

To było nie tylko nowe, ale i wstrząsające.

- Chciałaś mnie zabić swoimi „lekami”, co, Latheo? Chciałaś, żebym nie

żył.

- Nie. Nie, Oba. To nieprawda. Przysięgam, że nie. - Uniosła ręce, zagięte palce otoczył blask. Czarodziejka przyzywała magię. - Oba - głos miała silniejszy, pewniejszy - nie ruszaj się z miejsca.

Podдай mi się, Oba, a będziesz niepokonany.

Oba szedł, aż uderzył udami o stół. Słoje zagrzechotały, stuknęły o siebie. Jeden z nich się zachybotał. Lathea patrzyła, jak się chwieje, niemal prostuje, a potem przewraca, rozlewając gęsty czerwony płyn.

Twarz kobiety wykrzywiły nagle nienawiść, gniew, wysiłek. Wyrzuciła ku Obie zakrzywione szponiasto dłonie, cisnęła weń całą swoją moc.

Blask zapłonął z grzmiącym hukiem, na moment wszystko w izbie zbieleło.

Widział, jak sunie ku niemu żółto-białe płomieniste ostrze - mająca go zabić śmiercionośna błyskawica.

Niczego nie poczuł.

W ścianie za nim blask wypalił dziurę rozmiarów człowieka, wyrzucił w noc płonące drzazgi. Z sykiem zagasł w śniegu.

Oba dotknął piersi, na którą czarodziejka skierowała całą swoją moc. Żadnej krwi. Żadnych ran. Nic mu się nie stało.

Pomyślał, że Latheę zdumiało to jeszcze bardziej niż jego. Rozdziawiła usta w zdziwieniu. I gapiła się na niego.

Całe życie bał się tego straszyciela.

Kobieta prędko się pozbierała i znów, krzywiąc z wysiłku twarz, uniosła ręce. Tym razem pojawiło się niesamowite, syczące błękitne światło. Powietrze miało zapach palących się włosów. Lathea odwróciła dłonie wnętrzem ku górze, śląc mu swą śmiercionośną magię, śląc mu śmierć. Gnała ku niemu z wrzaskiem moc, której nikt nie zdoła się przeciwstawić.

Błękitny blask przypalił ścianę za nim, lecz Oba znów nic nie poczuł. Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

Lathea ponownie poruszyła rękami, lecz tym razem wymówiła jakieś słowa, których Oba nie zrozumiał. Pobrmiewała w nich groźba magii. Rozkwitła kolumna ognia, zafalowała w powietrzu przed Obą: zmija o nadzwyczajnej mocy. Bez wątpienia miała zabić.

Oba podniósł ręce, żeby dotknąć węzowatej, iskrzącej się śmierci zaklętej przez czarodziejkę. Włożył palce w kolumnę blasku, ale nic nie poczuł. Jakby

patrzył na coś w innym świecie. Tutaj, a jednak gdzie indziej.

Jakby był... niepokonany.

Wrzasnęła z oburzenia i kolejny raz uniosła rękę.

Oba, szybki jak myśl, chwycił ją za gardło.

- Oba! - zaskrzeczała. - Oba, nie! Błagam!

To było coś nowego. Jeszcze nigdy nie słyszał, żeby Lathea błagała.

Trzymając czarodziejkę mięsistą łapą za gardło, przeciągnął ją ku sobie po blacie. Flaszeczki się poprzewracały, spadły na podłogę. Jedne stłukły się niczym jajka, inne odtoczyły na bok.

Oba zacisnął w pięści przetłuszczone włosy Lathei. Drapała go, desperacko przywołując swoją moc. Wymawiała słowa będące mistycznym błaganiem magii, jej daru, jej czarodziejskiej mocy. Co prawda nie pojmował słów, lecz wyczuwał ich śmiertelnościaną intencję.

Jednak Oba poddał się głosowi i stał się niepokonany.

Widział już, jak ona uwalnia swój gniew, teraz on wyładował swoją wściekłość.

Uderzył czarodziejkę o szafkę. Otworzyła usta w niemym krzyku.

- Czemuś chciała, żeby mama się mnie pozbyła?!

Jej oczy, wielkie i okrągłe, wpatrywały się w to, co budziło w niej przerażenie: w Obę. Całe życie uwielbiała straszyć innych. Teraz całe to przerażenie skupiło się na niej.

- Czemuś chciała, żeby mama się mnie pozbyła?!

Jedyną odpowiedzią były stłumione, urywane krzyki.

- Czemu! Czemu! - Oba zdarł z niej suknię. Z kieszeni wysypały się monety, potoczyły po podłodze. - Czemu!!! - Złapał białą koszulę, którą nosiła pod suknią. - Czemu!!!

Próbowała przytrzymać koszulę, lecz ją też zdarł i pchnął czarodziejkę na podłogę. Legła, rozkładając kościste ręce i nogi. Zniszczone piersi wisały jak wyschnięte wymiona. Potężna czarodziejka leżała teraz przed nim naga i była niczym.

Nareszcie mogła głośno krzyczeć. Zacisnął zęby, złapał ją za włosy i postawił na nogi. Znow uderzył nią o szafkę. Drewno popękało. Posypały się flaszeczki. Pochwycił jedną z nich i rozbił o szafkę.

- Czemu, Latheo? - Przytknął do ciała kobiety szyjkę stłuczonej butelki. Wrzeszczała jeszcze głośniejsze, a on wiercił szkłem przyłożonym do miękkiego

brzucha. - Czemu?! Czemu?!

- Błagam... o drogi Stwórco... błagam, nie...

- Czemu, Latheo?

- Bo - zaskowyczała - jesteś bękartem tego potwora Rahla Posępnego.

Oba znieruchomiał. To były zadziwiające nowiny - jeśli to prawda.

- Mamę zmuszono. Tak mi powiedziała. Powiedziała, że moim ojcem jest mężczyzna, którego nie znała.

- Oooo, znała go, znała. Kiedy była młodsza, pracowała w pałacu. Wtedy twoja matka miała duży biust i jeszcze większe plany. Kiepsko wykoncypowane plany. Była za głupia, żeby wiedzieć, że została zabawką na jedną noc mężczyzny, który mógł wybierać spośród nieprzeliczonych zastępów kobiet, równie chętnych jak ona lub opornych.

To było coś absolutnie nowego. Rahl Posępny był najpotężniejszym człowiekiem na świecie. Czyżby w żyłach Oby płynęła szlachetna krew Rahlów? Aż mu się zakręciło w głowie od możliwości.

Jeśli tylko czarodziejka mówiła prawdę.

- Matka by została w Pałacu Ludu, gdyby nosiła syna Rahla Posępnego.

- Nie jesteś dziedzicem z magicznym darem.

- No, ale gdybym był jego synem...

Choć tak cierpiała, zdołała mu posłać uśmiech oznaczający, że jest dla niej jedynie marnym prochem.

- Nie masz daru. Tacy jak ty byli dla niego nędznym robactwem. Bezlitośnie zabijał wszystkich, których dopadł. Gdyby o tobie wiedział, zadręczyłby i ciebie, i twoją matkę. Ale twoja matka uciekła, jak tylko się o tym dowiedziała.

Nowe informacje wprost zalewały Obę. Zaczynały mu się kłębić w głowie. Przyciągnął czarodziejkę bliżej.

- Rahl Posępny był potężnym czarodziejem. Ścigałby nas, gdyby twoje słowa były prawdziwe. - Znów łupnął nią o szafkę. - Byłby mnie ścigał! - Potrząsnął nią, żeby wydobyć z niej jakąś odpowiedź. - Na pewno by ścigał!

- I ścigał, ale nie potrafił dostrzec dziur w świecie.

Oczy jej uciekały w głąb czaszki. Kruche ciało czarodziejki nie mogło stawić oporu krzepie Oby. Z jej prawego ucha sączyła się krew.

- Co? - Uznał, że Lathea plecie od rzeczy.

- Tylko Althea może...

Przestała gadać do rzeczy. Zastanawiał się, ile było prawdy w tym, co powiedziała wcześniej.

Głowa czarodziejki osunęła się na bok.

- Powinnam... ocalić nas wszystkich... kiedy miałam okazję. Althea się myliła...

Potrząsnął nią, starając się wydobyć coś jeszcze. W nosie Lathei ukazała się krwawa piana. Pomimo wrzasków, próśb i potrząśnięcia kobietą Oba nie usłyszał już ani słowa. Przyciągnął ją bliżej. Patrzył gniewnie w jej błędne oczy, a jego ciężki, gorący oddech poruszał kosmykami rzadkich włosów Lathei.

Dowiedział się od niej wszystkiego, czego chciał.

Przypomniawszy sobie wszystkie dawki palącego proszku, które musiał wypić; wszystkie mikstury, które dla niego mieszała; dni, które spędził w zagrodzie. Przypomniawszy sobie, ile razy wymiotował, niemal przenicowując flaki i mimo to nie mogąc się pozbyć palenia w środku.

Warcząc, podniósł kościstą kobietę. Ryknął gniewnie i rzucił ją o ścianę. Krzyki Lathei jedynie rozpały w nim żądzę zemsty. Upajał się udręką czarodziejki.

Tłukł ją o ciężki stół, łamiąc i mebel, i ją. Z każdym uderzeniem coraz bardziej wiotczała, coraz bardziej krwawiła.

Jednak Oba dopiero zaczął wyładowywać na niej swój gniew.

ROZDZIAŁ 10

Jennsen nie chciała wracać do gospody, lecz było ciemno i zimno i nie wiedziała, co innego mogliby zrobić. Przygnębiało ją to, że Lathea nie udzieliła im odpowiedzi. Jennsen liczyła na pomoc owej kobiety.

- Co zrobimy jutro? - zapytał Sebastian.

- Jutro?

- Nadal chcesz, żebym ci pomógł opuścić D'Hare, jak prosiłyście z matką?

Właściwie to tego nie przemyślała. A po tym, co powiedziała jej Lathea, dziewczyna nie bardzo wiedziała, co robić. Szli po zmrożonym śniegu, ona zaś wpatrywała się bezmyślnie w pustą noc.

- Gdybyśmy poszli do Pałacu Ludu, mogłabym się czegoś dowiedzieć - rozmyślała na głos. - A może i uzyskać pomoc Althei.

Wizyta w Pałacu Ludu wiązała się z największym niebezpieczeństwem. Jednak magia lorda Rahla będzie ją ścigać i tak, bez względu na to, gdzie ucieknie, gdzie się schowa. Może Althea będzie mogła jej pomóc. Może potrafi jakoś ukryć Jennsen przed nim, żeby dziewczyna mogła zwyczajnie żyć.

Sebastian potraktował poważnie jej słowa. Wiatr uniósł długi obłok oddechu zestalonego w mroźnym powietrzu.

- No to pójdziemy do Pałacu Ludu. Odnajdziemy tę Altheę.

Jennsen uświadomiła sobie, że on nie protestuje, nie próbuje jej od tego odwieść... i poczuła się nieswojo.

- Pałac Ludu to serce D'Hary. Nie tylko serce D'Hary, ale i siedziba lorda Rahla.

- No to się pewnie nie spodziewa, że się tam zjawisz?

Czy ich oczekiwano, czy nie i tak szliby wprost w ostoję wroga. Każdy drapieźca błyskawicznie dostrzeże kręcącą się w pobliżu zdobycz. Byliby zupełnie bezbronni.

Jennsen spojrzała na idącą obok niej postać.

- Co robisz w D'Harze, Sebastianie? Wygląda na to, że wcale ci się tu nie podoba. Po co zjawileś się w krainie, której nie lubisz?

Zobaczyła, jak na jego osłoniętej kapturem twarzy pojawia się uśmiech.

- To aż tak rzuca się w oczy?

Wzruszyła ramionami.

- Już spotykałam wędrowców. Opowiadali o miejscach, które odwiedzili, o tym, co widzieli. Cuda. Przepiękne doliny. Zapierające dech góry. Fascynujące miasta. A ty nie mówisz o tym, gdzie byłeś, o tym, co widziałeś.

- Chcesz prawdy? - spytał z poważną miną.

Odwróciła wzrok. Poczowała się nagle niezręcznie, poczuła, że jest wścibska - zwłaszcza ze względu na to, co przed nim zataiła.

- Przepraszam. Nie mam prawa pytać o takie rzeczy. Zapomnij, że o tym wspomniałam.

- Nie mam ci tego za złe. - Popatrzył na nią z wymuszonym uśmiechem. - Nie podejrzewam, że akurat ty byś mnie wydała D'Harańczykom.

Sama myśl o tym ją przeraziła.

- Jasne, że nie.

- Lord Rahl i to jego imperium D'Hary chcą zawładnąć światem. Staram się temu zapobiec. Jak już mówiłem, pochodzę z ziem na południe od D'Hary. Przysłał mnie nasz wódz, imperator Starego Świata, Jagang Sprawiedliwy. Jestem strategiem imperatora Jaganga.

- No to jesteś kimś bardzo znaczącym - wyszeptała ze zdziwieniem. - Człowiekiem wysokiej rangi. - Zdziwienie szybko zmieniło się w onieśmienie. Bała się odgadnąć jego rangę, jego znaczenie, które w jej wyobraźni rosły z każdą chwilą. - Jak mam się zwracać do kogoś takiego jak ty?

- Sebastian.

- Ale jesteś przecież kimś ważnym. A ja nikim.

- Ależ jesteś kimś, Jennsen Daggett. Lord Rahl nie ścigałby byle kogo.

Dziewczyna poczuła dziwny, nieoczekiwany niepokój. Jasne, że nie kochała D'Hary, lecz poczuła się nieswojo, wiedząc, że Sebastian jest tutaj po to, żeby pomóc doprowadzić do upadku jej kraju. Zaskoczył ją ów poryw lojalności. W końcu lord Rahl nasłał żołnierzy, którzy zamordowali mamę. Lord Rahl ścigał Jennsen, pragnął jej śmierci.

Jednak to lord Rahl chciał jej śmierci, a nie mieszkańcy krainy. Góry, rzeki, rozległe równiny, drzewa i inne rośliny zawsze ją chroniły i żywiły. Nigdy tak o tym nie myślała: że kocha swój kraj, lecz nienawidzi tych, którzy nim władają.

Gdyby jednak zwyciężył ten Jagang Sprawiedliwy, uwolniłby ją od

prześladowcy. Gdyby D'Hara została pokonana, gdyby pokonano lorda Rahla, skończyłyby się rządy złych ludzi. A ona wreszcie mogłaby normalnie, swobodnie żyć.

Sebastian był wobec niej tak szczery, że poczuła się głupio, niemal się zawstydziała, że nie mówi mu, kim jest i dlaczego lord Rahl ją ściga. Sama wszystkiego nie wiedziała, lecz to, co wiedziała, wystarczyło, żeby zdawała sobie sprawę, że Sebastian podzieli jej los, jeśli ich razem pochwyca.

Kiedy tak o tym rozmyślała, zaczynała pojmować, dlaczego nie oponował przeciwko podróży do Pałacu Ludu, dlaczego gotów był zaryzykować tak niebezpieczną eskapadę. Pewnie jako strateg imperatora Jaganga bardzo chciałby rzucić okiem na główną siedzibę wroga.

- No to jesteśmy na miejscu - odezwał się Sebastian.

Podniosła wzrok i zobaczyła biało oszalowany front gospody. Zawieszony na wsporniku metalowy kufel chwiał się ze skrzypieniem na wietrze. W śnieżną ciszę nocy niosły się odgłosy śpiewów i tańców. Sebastian otoczył ramieniem barki Jennsen i osłaniał ją, kiedy szli przez obszerną izbę. Osłaniał ją przed wścibskimi spojrzeniami, prowadząc ku schodom w głębi. Było jeszcze tłoczniej i gwarniej - jeśli to w ogóle możliwe.

Nie zatrzymując się, pospiesznie weszli po schodach. Potem pokonali kawałek ciemnawego korytarza i Sebastian otworzył drzwi po prawej. Podkręcił knot kaganka stojącego na stoliku. Był tam dzban i miednica, a w pobliżu stolika - ława. Z boku królowało wysokie łóżko nierówno przykryte ciemnobrązowym kocem.

Izba była lepsza niż chata, którą Jennsen porzuciła, lecz mimo to nie spodobała się dziewczynie. Jedną ze ścian pokrywało szarawe zamalowane płótno. Otynkowane ściany były popstrzone przez muchy. Znajdowała się na drugim piętrze, więc jedyna droga do niej wiodła przez gospodę. Jennsen drażniła woń unosząca się w izbie: skwaśniała mieszanina fajkowego dymu i uryny. Nie opróżniono stojącego pod łóżkiem nocnika.

Dziewczyna wyjęła z plecaka kilka rzeczy i podeszła do stolika, żeby obmyć twarz, a Sebastian zszedł na dół. Kiedy skończyła się myć i uczesała, wrócił z dwiema miseczkami jagnięcego gulaszu. Miał też ciemny chleb i kufle piwa. Jedli, siedząc blisko siebie na krótkiej ławie, nachyleni nad stołem, w kręgu chybotliwego światła kaganka.

Gulasz smakował gorzej, niż wyglądał. Jennsen wybierała kawałki mięsa,

ale zostawiała bezbarwne, pozbawione smaku rozgotowane jarzyny. Maczała w sosie twarde chleb. Oddała piwo Sebastianowi i napiła się wody. Nie była przyzwyczajona do piwa. Uważała, że pachnie równie nieprzyjemnie jak kaganek. Ale jemu smakowało.

Skończyła jeść i chodziła po ciasnej izbie jak Betty po swojej zagrodzie. Sebastian usiadł okrakiem na ławie, oparł się plecami o ścianę. Wodził błękitnymi oczami za Jennsen, chodzącą od łóżka do pokrytej płótnem ściany i z powrotem. Zaczynała już wydeptywać drózkę na deskach.

- Połóż się i prześpij - powiedział łagodnie. - Będę czuwać nad twoim snem.

Czuła się jak zwierzę schwyte w sidła. Patrzyła, jak pociąga z kufla długi łyk piwa.

- A co zrobimy jutro?

To nie była tylko niechęć do gospody, do tej izby. Gryzło ją sumienie. Nie dała Sebastianowi odpowiedzi.

- Muszę ci powiedzieć, kim jestem, Sebastianie. Byłeś wobec mnie uczciwy. Nie mogę z tobą zostać i narażać na szwank twojej misji. Nie mam pojęcia o ważnych sprawach, którymi się zajmujesz, ale moje towarzystwo tylko naraziłoby cię na wielkie niebezpieczeństwo. Już pomogłeś mi więcej, niż mogłam się spodziewać, więcej, niżbym się ośmieliła prosić.

- I tak ryzykuję, będąc tutaj, Jennsen. Jestem we wrogim kraju.

- I jesteś kimś wysokiej rangi. Ważnym człowiekiem. - Potarła jedną dłońią o drugą, próbując rozgrzać zziębnięte palce. - Gdyby cię pochwycili, bo byłbyś ze mną... nie zniósłabym tego.

- Zaryzykowałam, zjawiając się tutaj.

- Ale nie byłam wobec ciebie uczciwa. Nie okłamałam cię, ale też nie powiedziałam ci tego, co już dawno powinnam. Jesteś zbyt ważnym człowiekiem, żeby się narażać na niebezpieczeństwo, towarzysząc mi, skoro nawet nie wiesz, dlaczego mnie ścigają i po co napadli na naszą chatę. - Przełknęła bolesną kulę w gardle. - Dlaczego mama straciła życie.

Nie wyrzekł ani słowa. Po prostu dał jej czas, żeby się wzięła w garść i opowiedziała wszystko po swojemu. Od początku - kiedy to przy pierwszym spotkaniu nie podszedł do niej, póki się bała - dawał jej swobodę, jakiej potrzebowała, żeby się czuć bezpiecznie. Zasługiwał na więcej niż to, czym mu się odpłacała.

Jennsen w końcu się zatrzymała i popatrzyła na niego, na jego błękitne oczy - błękitne jak oczy jej i jej ojca.

- Sebastianie, lord Rahl... poprzedni lord Rahl, Rahl Posępny... jest moim ojcem.

Nie dał po sobie niczego poznać. Nie wiedziała, co teraz myśli. Kiedy na nią spojrział - równie spokojnie jak wtedy, kiedy nie mówiła mu takich okropności - poczuła się bezpieczna.

- Matka pracowała w Pałacu Ludu. Należała do personelu pałacowego. Rahl Posępny... zwrócił na nią uwagę. Lord Rahl może mieć każdą kobietę, jakiej zechce, to jego przywilej.

- Jennsen, nie musisz...

Uniosła rękę, uciszając go. Chciała to wszystko z siebie wyrzucić, zanim jej zabraknie odwagi. Nigdy nie opuszczała matki, a teraz była sama i to budziło w niej strach. Bała się, że Sebastian ją zostawi, ale musiała mu powiedzieć to, co wiedziała.

- Miała czternaście lat. - Zaczęła opowieść z takim spokojem, na jaki mogła się zdobyć. - Była zbyt młoda, by w pełni rozumieć świat i ludzi. Widziałaś, jaka była piękna. Już wtedy jej uroda była w rozkwicie, mama stawiała się kobietą szybciej niż wiele dziewcząt w jej wieku. Promieniała uśmiechem i naiwną radością życia. Była nic nie znaczącą osobą i dlatego trochę jej pochlebiało, że zauważył ją i zaczął pożądać mężczyzna mający taką władzę i moc, mogący mieć każdą kobietę, jakiej zechciał. To było rzecz jasna głupie, ale przy jej wieku i pozycji, a i niewinnej naiwności, mogło się wydawać wspaniałe i olśniewające. Starsze kobiety pałacowe kąpały ją i rozpieszczały. Upięły jej włosy jak prawdziwej damie. Na spotkanie z władcą przywdziała piękny strój. Kiedy ją do niego przyprowadzono, skłonił się i delikatnie ucałował jej dłoń. Ucałował jej dłoń, chociaż była tylko służącą w jego wspaniałym pałacu. Urodą przyćmiewał najwspanialsze marmurowe posągi. Zasiedli do kolacji w pięknej komnacie, jadła wyszukane, egzotyczne potrawy, jakich nigdy przedtem nie kosztowała. Tylko oni przy wielkim stole i ludzie usługujący jej po raz pierwszy w jej życiu. Był czarujący. Chwalił jej urodę, jej wdzięk. Nalewał jej wina: sam lord Rahl. Kiedy w końcu została z nim sama, dał jej do zrozumienia, po co się tam znalazła. Była zbyt przerażona, by stawiać opór. Gdyby się pokornie nie poddała, i tak rzecz jasna zrobiłby to, czego chciał. Rahl Posępny był czarodziejem obdarzonym

wielką mocą. Potrafił być równie okrutny, jak bywał czarujący. Bez trudności zawładnąłby każdą kobietą. Wystarczyłby jeden jego rozkaz, by zadźwiczono na śmierć te, które sprzeciwiłyby się jego woli. Ale ona nigdy nie myślała o oporze. No i zapewne ów świat, ośrodek władzy i przepychu, wydawał się jej przez jakiś czas ekscytujący. Kiedy zaś stał się dla niej koszmarem, znosiła to w milczeniu. Nie był to gwałt, bo nie wzięto jej wbrew jej woli, przykładając nóż do gardła, ale i tak była to zbrodnia. Wstrętny czyn. - Jennsen odwróciła wzrok od błękitnych oczu Sebastiana. - Wziął mamę do łóżka na jakiś czas, dopóki się nią nie znudził i nie zajął innymi kobietami. A miał tam kobiet pod dostatkiem. Mama, nawet w tak młodym wieku, nie miała złudzeń, że cokolwiek dla niego znaczy. Wiedziała, że po prostu brał, co chciał, na tak długo, jak chciał, i że kiedy z nią skończy, prędko o niej zapomni. Spełniała służebną rolę. Może i hołubionej, lecz młodziutkiej i przerażonej służącej, która wiedziała, że nie ma sensu opierać się człowiekowi, który stał ponad prawem. - Nie potrafiła patrzeć na Sebastiana. Słabym głosem dopowiedziała ostatni szczegół opowieści: - Byłam rezultatem tej krótkiej udręki i początkiem o wiele gorszej.

Jennsen nigdy nie opowiadała nikomu tej okropnej historii, nie zdradziła przerażającej prawdy. Czuła się brudna i pusta. Mdlilo ją. A przede wszystkim ogromnie cierpiała z powodu tego, przez co musiała przejść jej mama, bolała nad jej zmarnowanym młodym życiem.

Mama nigdy nie opowiadała tej historii jednym ciągiem, jak przed chwilą Jennsen. Dziewczyna przez całe życie łączyła zasłyszane urywki, aż wreszcie utworzyły całość. I tak nie powiedziała Sebastianowi wszystkiego: zataiła to, jak obrzydliwie Rahl Posepny traktował mamę. Jennsen płonęła wstydem na myśl, że się musiała urodzić i swoją obecnością każdego dnia przywoływać straszliwe wspomnienia, których mama nawet nie potrafiła w całości jej opowiedzieć.

Kiedy wreszcie podniosła zapłakane oczy, stał tuż obok niej. Delikatnie dotknął palcami jej policzka. Było to najczulsze, najdelikatniejsze muśnięcie.

Otarła łzy.

- Kobiety i ich dzieci były dla niego niczym. Lord Rahl eliminował potomków nie mających daru. Miał wiele kobiet, więc i sporo dzieci. Pragnął tylko jednego: dziedzica mającego dar.

- Richard Rahl - odezwał się Sebastian.

- Richard Rahl - potwierdziła. - Mój przyrodni brat.

Richard Rahl, przyrodni brat, który ją ścigał jak przedtem ich ojciec. Richard Rahl, przyrodni brat, który wysłał żołnierzy, żeby ją zabili. Richard Rahl, przyrodni brat, który wysłał bojówki odpowiedzialne za śmierć mamy.

Ale dlaczego? Nie stanowiła żadnego zagrożenia dla Rahla Posępnego, a tym bardziej dla nowego lorda Rahla. Był potężnym czarodziejem rozkazującym wojsku, całym legionom ludzi posiadających dar i niezliczonym innym lojalnym poplecznikom. A ona? Była jedynie samotną kobietą, znającą bardzo niewielu ludzi i pragnącą żyć w spokoju. W niczym nie zagrażała jego panowaniu.

Cała jej opowieść zaś wywołałaby ledwie uniesienie brwi. Wszyscy wiedzieli, że każdy lord Rahl żył według własnych zasad. Uwierzyliby w jej opowieść, lecz nic by ich to nie obeszło. Co najwyżej mrugnęliby okiem lub pchnęli znacząco łokciem, myśląc o życiu wielkich, a Rahl Posępny był przecież najpotężniejszym z ludzi.

Całe życie Jennsen ześrodkowało się nagle w owym zasadniczym pytaniu: Dlaczego ojciec, człowiek, którego nigdy nie widziała, tak desperacko pragnął ją zabić? I dlaczego jego syn, Richard Rahl, jej brat przyrodni i obecny lord Rahl, też usilnie starał się ją zabić? To nie miało sensu.

Cóż mogłaby zrobić takiego, co by zaszkodziło któremuś z nich? Czymże mogłaby zagrozić takiej potędze?

Jennsen sprawdziła, czy nóż - ten z godłem domu Rahlów - jest dobrze przytwierdzony do pasa. Czy luźno tkwi w pochwie. Ostrze metalicznie brzęknęło, kiedy wsunęła je na miejsce. Podniosła leżącą na łóżku pelerynę i zarzuciła ją na ramiona.

Sebastian, patrząc, jak pospiesznie zawiązuje pelerynę, przesunął dłonią po białych włosach.

- A cóż ty zamierzasz?

- Wychodzę. Wkrótce wrócę.

Sięgnął po broń i pelerynę.

- W porządku, ja...

- Nie. Zostaw to mi, Sebastianie. Już i tak ryzykowałeś z mojego powodu. Chcę iść sama. Wrócę, kiedy z tym skończę.

- Co skończysz?

Pospieszyła ku drzwiom.

- To, co muszę zrobić.

Stał pośrodku izby, wsparty pod boki, i najwyraźniej wahał się, czy ma się sprzeciwić jej wyraźnym żądaniom. Jennsen szybko zamknęła drzwi. Zbiegła, pokonując po dwa stopnie naraz, by prędko wyjść z gospody i odejść, zanim Sebastian zmieni zdanie i ruszy za nią.

Tłum na dole był równie hałaśliwy jak przedtem. Szła ku drzwiom, nie zwracając uwagi na mężczyzn, ich hazardowe gry, tańce i śmiechy. Zanim jednak do nich dotarła, jakiś brodac objął ją w pasie i pociągnął z powrotem w tłum. Cichy okrzyk Jennsen utonął w gwarze zabawy. Lewą rękę miała unieruchomioną. Brodac okręcił dziewczynę, chwycił jej prawą dłoń i zaczął tańczyć.

Jennsen próbowała zsunąć kaptur i odsłonić swoje rude włosy, żeby go wystraszyć, lecz nie mogła uwolnić ręki. Trzymał jej drugą dłoń w żelaznym uścisku. Nie tylko nie mogła odsłonić włosów, ale i dosięgnąć noża, żeby się bronić. Ciężko oddychała ze strachu.

A brodac śmiał się z kamratami i wirował z nią w takt muzyki, trzymając ją krzepko, żeby się nie wyrwała. Jego oczy błyszczały rozbawieniem i nie było w nich groźby, lecz Jennsen wiedziała, że tylko dlatego, iż się jeszcze z całych sił nie opierała. Wiedziała, że przestanie być miłą, kiedy się przekona, że nie jest chętna.

Puścił talię i okręcił Jennsen. W sękatych palcach więził tylko jej prawą dłoń, więc miała nadzieję się wyrwać. Lewą sięgnęła na oślep po nóż, lecz był pod peleryną, niedostępny. Tłum klaskał do taktu melodii wygrywanej przez piszczałki i bębenki. Kiedy Jennsen się okręciła i cofnęła, drugi mężczyzna objął ją w pasie, zderzając się z nią z taką siłą, że na chwilę straciła oddech. Wyrwał jej dłoń kamratowi. Straciła okazję zrzucenia kaptura, bezskutecznie sięgając po nóż.

Dryfowała w morzu mężczyzn. Pozostałe nieliczne kobiety - przede wszystkim posługaczki - albo chętnie brały w tym udział, albo się śmiały i potrafiły się uwolnić i odejść, niczym owady umiejące chodzić po wodzie. Nie miała pojęcia, jak one to robiły. Bała się, że utonie w morzu mężczyzn, którzy ją sobie przekazywali.

Kiedy dostrzegła drzwi, wyrwała się ostatniemu tancerzowi. Nie spodziewał się tego. Kamraci się z niego śmiali, on zaś - jak się spodziewała -

spochmurniał. Pozostali życzliwiej, niż oczekiwała, potraktowali jej ucieczkę i nagrodzili ją wiwatami. Jej ostatni tancerz tymczasem nie okazał gniewu, skłonił się przed nią.

- Dzięki, wdzięczna dziewczeczko, za uroczy taniec. Miło, żeś ciągała taką starą kłodę jak ja.

Znów się szeroko uśmiechał. Mrugnął do Jennsen, a potem zaczął z innymi klaskać do taktu.

Jennsen stała zdumiona, uświadamiając sobie, że nie było to zagrożenie, którego się spodziewała. Mężczyźni się zabawiali, nie chcieli nikogo skrzywdzić. Żaden z nich nie dotknął jej w niestosowny sposób, nie odezwał się grubiańsko. Tylko się uśmiechali, śmiali i tańczyli z nią. Ale i tak prędko podeszła do drzwi.

Zanim zdążyła wyjść, znów czyjeś ramię objęło ją w talii. Zaczęła się wrywać.

- Nie wiedziałem, że lubisz tańczyć.

To był Sebastian. Uspokoila się i pozwoliła wyprowadzić z gospody.

Wyszli w noc i zimne powietrze przyniosło jej ulgę. Wciągnęła je głęboko, szczęśliwa, że uwolniła się od obcej woni piwa, tytoniowego dymu, spoconych mężczyzn, gwaru tłumu.

- Mówiłam, że sama to załatwię.

- To znaczy co?

- Idę do Lathei. Zostań tutaj, Sebastianie. Proszę.

- Jeśli powiesz, czemu nie chcesz, żebym poszedł.

Uniosła rękę, lecz pozwoliła jej bezwładnie opaść.

- Jesteś ważnym człowiekiem, Sebastianie. Już i tak czuję się okropnie z powodu niebezpieczeństwa, w jakim się przeze mnie znalazłeś. To moja sprawa, nie twoja. Moje życie jest... sama nie wiem. Nie mam życia. A ty tak. Nie chcę, żebyś się zaplątał w moje kłopoty. - Ruszyła po chrzęszczącym śniegu. - Zaczekaj tutaj.

Wepchnął ręce w kieszenie, idąc obok niej.

- Jestem dorosły, Jennsen. Nie decyduj za mnie, co powinienem zrobić, dobrze?

Nie odpowiedziała i skręciła w opustoszałą ulicę.

- Powiedz, czemu znów chcesz się zobaczyć z Latheą?

Zatrzymała się przy nie zamieszkanym budynku, w pobliżu drogi

prowadzącej do domku Lathei.

- Całe życie uciekałam, Sebastianie. Mama większość życia straciła, uciekając przed Rahlem Posepnym i ukrywając mnie. Umarła, uciekając przed jego synem, Richardem Rahlem. To mnie ścigał Rahl Posepnny i mnie chciał zabić, teraz zaś ściga mnie i chce zabić Richard Rahl, a ja nie wiem dlaczego. Mam tego dosyć. Moje życie to wyłącznie ucieczka, ukrywanie się i strach. Tylko to robię. Tylko o tym myślę. Takie jest całe moje życie. To uciekanie przed człowiekiem, który chce mnie zabić. Staram się go wyprzedzać o krok i zachować życie.

Sebastian nie dyskutował z nią.

- No więc dlaczego chcesz iść do czarodziejki? - powtórzył pytanie.

Jennsen schowała ręce pod pelerynę i wsunęła dłonie pod pachy, żeby je rozgrzać. Spojrzała na ciemną drogę wiodącą do domku Lathei, na koronkowy baldachim bezlistnych gałęzi kołysanych wiatrem. Niektóre ocierały się o siebie, trzeszczały i skrzypiały.

- Przed Latheą też uciekałam. Nie wiem, czemu lord Rahl mnie ściga, ale ona to wie. Bałam się nalegać, żeby mi powiedziała. Zamierzałam dotrzeć do Pałacu Ludu i odnaleźć jej siostrę w nadziei, że jeśli stanę pokornie przed drzwiami Althei, to może raczy mi to powiedzieć, pomóc mi. A gdyby nie zechciała? Gdyby i ona mnie odprawiła? Co wtedy? Czyż istnieje dla mnie większe zagrożenie niż wyprawa do Pałacu Ludu? I po co? W próżnej nadziei, że może w końcu ktoś zechce pomóc samotnej kobiecie ściganej przez potężną armię narodu, którym rządzi zbrodniczy bękart i potwór? Nie rozumiesz? Jeżeli nie zadowolę się „nie” i skłonię Latheę do odpowiedzi, to może uniknę niebezpiecznej podróży do jeszcze niebezpieczniejszego serca D’Hary. Po raz pierwszy w życiu byłabym wolna. A już miałam odrzucić tę szansę, bo i Lathei się bałam. Mam powyżej uszu lęku.

Sebastian rozważał jej słowa.

- No to odejźmy stąd. Jeśli tego właśnie chcesz, to pozwól, żebym cię zabrał z D’Hary.

- Nie. Najpierw muszę się dowiedzieć, czemu lord Rahl chce mnie zabić.

- Co za różnica, Jennsen...

- Nie! - Zacisnęła pięści. - Najpierw muszę się dowiedzieć, czemu mama musiała umrzeć!

Czuła, jak zamarzają łzy spływające jej po policzkach.

W końcu Sebastian skinął głową.

- Rozumiem. Chodźmy do Lathei. Pomogę ci wydobyć z niej odpowiedź. Może wtedy pozwolisz mi się zabrać z D'Hary tam, gdzie będziesz bezpieczna.

Otarła łzy.

- Dziękuję, Sebastianie. Ale czyż nie masz tu jakiegoś zadania? Nie pozwolę, żeby moje sprawy dłużej ci przeszkadzały. To moje problemy, nie twoje. Musisz wrócić do własnego życia.

Uśmiechnął się.

- Nasz duchowy przywódca, brat Narev, głosi, że najważniejszym zadaniem każdego w tym życiu jest pomaganie tym, którzy potrzebują pomocy.

Te słowa dodały Jennsen otuchy, której się w ogóle nie spodziewała.

- Musi być wspaniałym człowiekiem.

- I jest.

- Ale przecież przysłał cię tu z misją twój wódz, Jagang Sprawiedliwy?

- Brat Narev jest też bliskim przyjacielem i duchowym przewodnikiem imperatora Jaganga. Obaj chcieliby, żebym ci pomógł, jestem tego pewny. W końcu lord Rahl jest i naszym wrogiem. Lord Rahl wpędził nasz lud w poważne tarapaty. Obaj, brat Narev i imperator Jagang, nalegaliby, żebym ci pomógł. Z całą pewnością.

Była tak wzruszona, że nie mogła mówić. Pozwoliła, żeby objął ją w tali i poprowadził. Idąc z Sebastianem w cichym mroku nocy, nasłuchiwała delikatnego skrzypienia zamarzniętego śniegu pod ich butami.

Lathea musi jej pomóc. Już Jennsen się o to postara.

ROZDZIAŁ 11

Oba nie chciał, żeby to się skończyło, ale wiedział, że koniec musi nadejść. Powinien wracać do domu. Matka będzie się złościć, jeżeli za długo zostanie w mieście. Poza tym nie mógł już wydusić z Lathei więcej przyjemności. Dała mu całe zadowolenie, jakie mogła dać.

Dopóki to trwało, było fascynujące. Bezgranicznie fascynujące. I nauczył się wielu nowych rzeczy. Zwierzęta nie dostarczały takich wrażeń, jakich dostarczyła mu Lathea. To prawda, że obserwowanie, jak umiera człowiek, pod wieloma względami przypominało przyglądanie się śmierci zwierzęcia, lecz było jednocześnie czymś bardzo odmiennym. Oba właśnie się tego dowiedział.

Któż wie, co tak naprawdę myśli sobie szczur, jeśli szczury w ogóle potrafią myśleć? Za to ludzie potrafią. W ich oczach dostrzegasz ich umysł i wiesz. Upajała go świadomość, że za tymi ludzkimi oczami o spojrzeniu, które wszystko wyjawia, są prawdziwe ludzkie myśli, a nie jakieś kurzo-króliczo-szczurze myślątka. Przyglądanie się udręce Lathei sprawiało mu rozkosz. Zwłaszcza gdy czekał na ów szczególny moment końcowej udręki, kiedy to dusza ulatywała z ludzkiego ciała i Opiekun zmarłych przyjmował ją do swego królestwa.

I zwierzęta dostarczały mu wrażeń, chociaż im brakowało owego ludzkiego elementu. Co za rozkosz przybijać zwierzaka do płotu albo ściany stajni i odzierać ze skóry, póki jeszcze żył. Jednak nie sądził, żeby miały duszę. One po prostu... umierały.

Lathea też umarła, ale to było zupełnie nowe doświadczenie.

Lathea sprawiła, że uśmiechał się tak szeroko jak nigdy przedtem.

Oba odkręcił wierzch lampki, wyjął knot i rozlał oliwę na podłogę, na szczątki połamanego stołu oraz wokół szafki z lekami Lathei leżącej pośrodku izby.

Choć bardzo by mu to odpowiadało, nie mógł jej tu tak zostawić, żeby ją ktoś znalazł. Gdyby ją znaleziono w takim stanie, na pewno zadawano by pytania. Obejrzał się na nią. No, zwłaszcza gdyby ją znaleźli w takim stanie.

Jednak ta myśl mu się spodobała. Cieszyłoby go słuchanie tego historycznego gadania. Wspaniale byłoby słuchać opowieści o straszliwym

końcu Lathei, ze wszystkimi makabrycznymi szczegółami. Człowiek, który w taki sposób uśmiercił potężną czarodziejkę, wzbudziłby sensację. Ludzie chcieliby wiedzieć, kto to taki. Dla niektórych byłby niosącym pomstę bohaterem. Wszyscy wokół by o tym gadali podekscytowani. A w miarę jak wieści o męce i okropnym końcu Lathei rozchodziłyby się coraz szerzej, gadanie osiągałoby punkt wrzenia. Ale byłaby zabawa.

Wylał resztkę oliwy i wtedy zobaczył swój nóż - leżał tam, gdzie go zostawił, obok wywróconej szafki. Postawił pustą lampę na stosie szczątków i schylił się po nóż. Ależ upačkany. Matka zawsze mówiła, że nie można przyrządzić omletu, nie rozbijając jajek. W kółko to powtarzała. Oba pomyślał, że w tym przypadku powiedzonko matki jest prawdziwe. Postawił na środku izby ulubiony fotel Lathei i zaczął starannie czyścić nóż o pikowane pokrycie. Nóż był bardzo użyteczny i Oba dbał, żeby był ostry jak brzytwa. Kiedy usunął krew i brud, przekonał się z ulgą, że ostrze zaczyna lśnić. Słyszał, że magia może szkodzić na najrozmaitsze sposoby. Przez chwilę obawiał się, że czarodziejka mogła mieć magiczną krew, żrącą niczym kwas, która - przelana - mogłaby zniszczyć nóż.

Rozejrzał się. Neeee, to całkiem zwyczajna krew. Całe mnóstwo.

Tak, mogła dostarczać ekscytujących wrażeń.

Jednak nie podobało mu się, że mogli się pojawić żołnierze i zacząć zadawać pytania. Żołnierze to podejrzliwi ludkowie. Było jasne jak słońce, że wtykaliby w to nosy. Wszystko by zepsuli tymi swoimi podejrzeniami i pytaniami. Nie sądził, żeby żołnierze doceniali omlety.

Neeee, lepiej, żeby domek Lathei się spalił. To, co prawda, nie dostarczy tyle radości, ile dałyby plotki i skandal, no ale nie będzie aż tak podejrzane. Siedziby ludzi ciągle się paliły - szczególnie w zimie. Kłody wypadały z palenisk, siejąc płonącymi odłamkami; iskry padały na zasłony i podpalały domy; świece się rozplywały i podpalały wszystko wokół. Wciąż się to zdarzało. A przy tych wszystkich błyskawicach i iskrach, które czarodziejka rzucała, chcąc nie chcąc, to prawdziwy cud, że domek już dawno się nie spalił. Ta kobieta była stałym zagrożeniem.

Pewnie, że ktoś mógł zauważyć ogień z drogi, ale wtedy i tak byłoby za późno. Już by się paliło na dobre i zar nikomu nie dałby podejść zbyt blisko. A jutro - jeśli nikt nie zobaczy pożaru - zostaną tu tylko zgliszcza.

Westchnął ze smutkiem, myśląc o poronionych domysłach, że to pożar

należy winić za śmierć Lathei.

Oba sporo wiedział o pożarach. W ciągu tych lat spłonęło parę jego domów. Spłonęły żywcem zwierzęta. To się działo w czasach, kiedy mieszkali w innych miastach, zanim jeszcze przybyli tutaj.

Lubił patrzeć, jak się pali, lubił słuchać kwików zwierząt. Lubił, kiedy w panice nadbiegali ludzie. Tak niewiele znaczyli przy jego dziele. Ludzie bali się ognia. Ryk ognia trawiącego dom zawsze napełniał Obę poczuciem siły.

Czasami - wołając o więcej rąk do pomocy - ludzie lali na ogień wodę kubłami albo starali się kocami zdusić szalejące płomienie, ale to nigdy nie ugasiło wznieconego przez Obę pożaru. Bo Oba nie był partaczem. Zawsze starannie wykonywał robotę. Wiedział, co robi.

Wreszcie skończył czyścić i polerować nóż. Rzucił zakrwawione pikowane okrycie na polanę oliwą drewno obok przewróconej szafki.

To, co zostało z Lathei, było przybite gwoździami do szafki leżącej drzwiczkami do podłogi. Czarodziejka wpatrywała się w sufit.

Oba uśmiechnął się szeroko. Wkrótce zabraknie sufitu do gapienia się. Uśmiech stał się jeszcze szerszy. I oczu, które mogłyby się gapić.

Coś lśniło na podłodze obok szafki. Schylił się i podniósł to. Złota moneta. Oba nigdy jeszcze nie widział złotej marki. Musiała, wraz z innymi, wypaść z kieszeni sukni Lathei. Wsunął złotą monetę do kieszeni, gdzie były już te, które podniósł z podłogi. Pod siennikiem znalazł jeszcze wypchaną sakiewkę.

Lathea uczyniła go bogaczem. Kto by się spodziewał, że czarodziejka jest taka bogata? W końcu wróciła do Oby część monet, które matka zarobiła, przędąc, i wydała na jego obrzydliwe lekarstwa. Sprawiedliwości stało się zadość.

Ruszył ku palenisku i w tej samej chwili usłyszał ciche, lecz nie do pomylenia z czymkolwiek, chrzęszczenie śniegu pod butami. Zamarł.

Kroki się zbliżały. Zmierzały ku drzwiom domku.

Któż mógł tak późną nocą zjawiać się u Lathei? Absolutny brak szacunku. Nie mogli poczekać do rana na te swoje lekarstwa? Nie mogli dać odpocząć biednej kobiecie? Niektórzy ludzie myślą wyłącznie o sobie.

Oba chwycił pogrzebacz oparty o kominek, pospiesznie wyciągnął z paleniska płonące dębowe drwa i rozrzucił je po oblanej oliwą podłodze. Oliwa, potrzaskane drewno, prześcieradła i pikowane okrycie zajęły się w

mgnieniu oka. Stos Lathei otoczył gęsty biały dym.

Oba, szybki jak lis, umknął przez dziurę w ścianie, którą paskudna czarodziejka - jak się okazało, dogodnie - wypaliła, próbując go zabić czarami.

Nie wiedziała, że stał się niepokonany.

Jennsen zatrzymała się nagle, bo Sebastian chwycił ją za ramię. Odwróciła się i popatrzyła mu w twarz w słabym blasku padającym z jedyne go okna. Owa pomarańczowa poświata tańczyła w jego oczach. Poważna mina mężczyzny powiedziała jej, że ma być cicho.

Sebastian bezszelestnie dobył miecza i podążył ku drzwiom, wyprzedzając Jennsen. Widziała reakcję profesjonalisty, człowieka obeznanego z takimi sprawami.

Przechylił się w bok, próbując zajrzeć przez okno bez wchodzenia w głęboki śnieg pod nim. Odwrócił się ku Jennsen i szepnął:

- Pali się!

Podbiegła do niego.

- Prędko. Pewnie śpi. Musimy ją ostrzec.

Przez moment się zastanawiał, a potem wpadł do domku. Jennsen wpadła tuż za nim. Z trudem pojmowała, co właściwie widzi. Wnętrze oblewał pulsujący pomarańczowy blask, rzucający na ściany monstrualne cienie. W owym blasku wszystko wydawało się nierealne, przerysowane, niesamowite.

Jednak kiedy dostrzegła szczątki leżące pośrodku izby, wszystko stało się aż nazbyt realne. Zobaczyła rozwartą kobiecą dłoń wystającą poza coś, co wyglądało jak przewrócona wysoka szafka. Zachłysnęła się dymem i wonią oliwy z lampy. Rzuciła się na pomoc, sądząc, że może upadająca szafka zraniła starą czarodziejkę.

Obiegła potrząskaną szafkę i zobaczyła to, co zostało z Lathei.

Znieruchomiała, wstrząśnięta do głębi. Nie mogła się poruszyć, mrugnąć szeroko rozwartymi oczami. Krztusiła się mdlącym odorem krwi i jatki. Wpatrywała się w to wszystko, a jej przerażony okrzyk utonął w ryku ognia i trzaskach płonącego drewna.

Sebastian przelotnie spojrział na szczątki Lathei przybite do pleców szafki. Był to kolejny szczegół, który zobaczył, omiatając izbę wzrokiem. Jennsen wywnioskowała z jego wprawnych ruchów, że często widywał

podobne sceny i ludzkie szczątki nie robiły na nim takiego wrażenia jak na niej.

Jennsen.

Zacisnęła palce na rękojeści noża. Czuła, jak wpijają się jej w dłoń ozdobne linie metalu, wybrzuszenia i wklęsnięcia tworzące literę „R”. Stłumiła wzbierające mdłości i wyciągnęła nóż.

Podporządkuj się.

- Byli tutaj - wyszeptwała. - Byli tu d'harańscy żołnierze.

W oczach Sebastiana dostrzegła zdumienie i zmieszanie.

Zmarszczył brwi i znów się rozejrzył.

- Naprawdę tak myślisz?

Jennsen.

Zignorowała rozlegający się w jej umyśle martwy głos i pomyślała o człowieku, którego minęli na drodze, kiedy pierwszy raz byli u czarodziejki. Był wielki, jasnowłosy, przystojny, jak większość d'harańskich żołnierzy. Wtedy nie pomyślała, że jest żołnierzem. A czy mógłby nim być?

Nie. Wyglądało na to, że bardziej się ich wystraszył niż oni jego. Żołnierze się tak nie zachowują.

- A któżby inny? Nie widzieliśmy wszystkich. To musi być reszta oddziału, który napadł na naszą chatę. Pewnie jakoś nas wysledzili, kiedy udało się nam uciec ukrytym szlakiem.

Wciąż się rozglądał, a płomienie rosły i lizały już sufit.

- Może i masz rację.

Podporządkuj się.

- Musimy zaraz stąd uciekać, Sebastianie, bo będziemy następni. - Złapała go za ramię i ciągnęła. - Mogą być w pobliżu.

- Ale jak się dowiedzieli?

- O, drogie duchy, lord Rahl jest czarodziejem! Jak robi to, co robi? Jak odnalazł naszą chatę?

Sebastian wciąż się rozglądał, dźgał gruz mieczem. Jennsen szarpała go za pelerynę, ciągnęła ku otwartym drzwiom.

- Twoją chatę... - powiedział, marszcząc brwi. - Tak, rozumiem, co masz na myśli.

- Musimy się stąd wydostać, zanim nas złapią!

Przytaknął, dodając jej otuchy.

- Gdzie chcesz iść?

Obserwowali przez ramię otwarte drzwi i nasilający się pożar po drugiej stronie izby.

- Teraz nie mamy wyboru - odezwała się Jennsen. - Tutaj jedynie Lathea mogła nam coś powiedzieć. Musimy pójść do Pałacu Ludu. Odnaleźć jej siostrę, Altheę. Tylko ona coś wie. Również jest czarodziejką i jedyną osobą, która może dostrzec dziury w świecie, cokolwiek to znaczy.

- Jesteś przekonana, że tego właśnie chcesz?

Pomyślała o głosie. Rozlegał się w jej umyśle taki chłodny i pozbawiony życia. Zaskoczył ją. Nie słyszała go, odkąd zamordowali mamę.

- A cóż innego nam pozostało? Jeżeli w ogóle mam się dowiedzieć, dlaczego lord Rahl chce mnie zabić, dlaczego zamordował mamę, dlaczego mnie ściga i jak mam mu na zawsze umknąć, to muszę odszukać tę Altheę. Muszę!

Pospiesznie wyszli w chłodną noc.

- Lepiej wracajmy do gospody i spakujmy się. Będziemy mogli wcześniej wyruszyć.

- Skoro są tak blisko, boję się, że nas złapią w gospodzie, jak będziemy spali. Mam pieniądze mamy. Ty masz to, coś zabrał żołnierzom. Możemy kupić konie. Musimy wyruszyć nocą i mieć nadzieję, że nikt nas tu nie widział, ani przedtem, ani teraz.

Sebastian wsunął miecz do pochwy. Rozmyślał, a jego oddech unosił się parą w powietrzu. Obejrzał się na drzwi.

- Ogień sprawi, że nie będzie śladu po tym, co się tutaj stało. Choć to działa na naszą korzyść. Nikt nas tu wcześniej nie widział, więc nikt nas o nic nie będzie pytał. Nikt się nie dowie, że znów tu byliśmy. Nie będą mieli powodu, żeby powiedzieć o nas żołnierzom.

- Jeśli znikniemy stąd, zanim to odkryją i wszyscy staną się podejrzliwi - powiedziała Jennsen. - Zanim żołnierze zaczną się dopytywać o obcych w mieście.

Ujął jej ramię.

- W porządku. No to się pospieszmy.

ROZDZIAŁ 12

A to ci dopiero. Obca i obcy. Tej nocy jeden dziw gonił drugi.

Oba, ukryty tuż za węglem, słyszał prawie całą rozmowę tych dwojga. Z początku był przekonany, że pobiegną po pomoc. Nie sądził, że uda się ugasić ogień, ale niepokoił się przez chwilę, że tych dwoje wyciągnie Latheę z domku - że ocalą jej szczątki z pożaru, żeby inni je zobaczyli. A wtedy miałby wrażenie, że ta nieznośna czarodziejka znalazła sposób, żeby wrócić i dalej go dręczyć, i to po jego robocie.

Ale oni woleli zostawić Latheę ogniowi. Też mieli nadzieję, że pożar zniszczy dowody prawdziwego kresu czarodziejce. Gadali prawie jak złodzieje: kobieta mówiła o zabraniu pieniędzy matki i że on odebrał gotówkę żołnierzom. To brzmiało podejrzenie.

Gdyby znaleźli tu złoto lub srebro, pewnie by je zabrali. Czyżby pracowali niczym niewolnicy całe życie, jak on, żeby w końcu odebrać należną im zapłatę? A może zmuszano ich ciągle do łykania przeklętych leków Lathei? Oba nie sądził, żeby tak było. W jego przypadku było inaczej. On jedynie odebrał pieniądze, które mu się słusznie należały i właściwie były jego. Poczul się urażony, że znalazł się w towarzystwie pospolitych złodziei.

Tej nocy jeden dziw gonił drugi. Zadziwiało go to, że całe dotychczasowe życie - dzień po dniu, rok po roku, miesiąc po miesiącu - było monotonne: te same obowiązki, ta sama robota, wszystko takie samo. A teraz, tej jednej nocy, wszystko się zmieniło.

Po pierwsze, stał się niepokonany. Dzięki temu uwolnił swoje prawdziwe ja i dowiedział się, że w jego żyłach płynie krew Rahlów. A teraz jeszcze pojawiła się ta dziwna para, żeby mu pomóc zataić prawdziwy koniec Lathei. Dziw nad dziwami.

Ciągle trwał w osłupieniu wywołanym zdumiewającą nowiną, że jest synem Rahla Pośępnego. Wychodziło na to, że on, Oba Schalk, jest kimś ważnym, szlachetnej krwi, szlachetnie urodzonym.

Zastanawiał się, czy powinien teraz myśleć o sobie jako o Obie Rahlu. Dumał, czy aby nie jest księciem.

Intrygująca sprawa. Niestety, matka wychowała go na prostego człowieka, więc nie znał się na takich sprawach i nie wiedział, jaka pozycja

czy tytuł słusznie mu się należały.

Uświadomił sobie również, że matka jest kłamczuchą. Ukryła przed swoim synem, krwią ze swojej krwi i kością ze swojej kości, jego prawdziwe pochodzenie. Ukryła przed nim, że był krwią z krwi i kością z kości Rahla Posępnego. Pewnie była urażona i zawistna i nie chciała, żeby Oba wiedział o swoim szlacheństwie. To byłoby do niej podobne. Zawsze starała się go poniżyć.

Suka. Dym płynący z otwartych drzwi nie niósł już zapachu oliwy z lampy. Teraz czuć w nim było woń piekącego się mięsa. Oba uśmiechnął się szeroko i zajrzał przez drzwi: ręka Lathei wystawała poza szafkę, czerniała w płomieniach, machała do niego ze świata zmarłych.

Oba przemykał się po śniegu, chcąc się ukryć za szerokim pniem dębu, i patrzył, jak para idzie pospiesznie dróżką wśród drzew, ku drodze. Kiedy zniknęli mu z oczu, ruszył ich śladem; cały czas się krył. Był za wielki, żeby się dobrze schować za drzewem, ale w mroku nie było to trudne.

Wiele go w tym spotkaniu zastanawiało i niepokoiło. Zdumiał się, że para nie przyzywała pomocy, lecz wołała uciec. Do ucieczki paliła się zwłaszcza kobieta, bo ze śmierci Lathei wywnioskowała, że ktoś jest na ich tropie. Jakaś bojówka, oddział, jak mówiła. I to go zaniepokoiło.

Oba słyszał już co nieco o bojówkach. Asasyni. Asasyni wysyłani przez samego lorda Rahla. Asasyni nasyłani na ważnych ludzi. Albo szczególnie niebezpiecznych ludzi. Może tych dwoje było właśnie takimi niebezpiecznymi ludźmi, a nie zwykłymi złodziejami.

Oba dosłyszał jej imię: Jennsen.

Ale szczególnie nastawił uszu, gdy dotarło doń, że Lathea ma siostrę imieniem Althea - kolejna przeklęta czarodziejka - i że ta Althea jest jedyną osobą widzącą dziury w świecie. To było najbardziej niepokojące, bo to samo Lathea powiedziała i jemu. Wtedy uznał, że stara czarodziejka gada już z duchami ze świata zmarłych, a może i z samym Opiekunem zaświatów, teraz zaś się okazało, że mówiła prawdę.

Ta jakaś Jennsen i Oba byli tym, co Lathea nazywała dziurami w świecie. To się wydawało ważne. Ta Jennsen była taka jak on. Byli w jakiś sposób złączeni. To go fascynowało. Chciałby się jej lepiej przyjrzeć. Po raz pierwszy spotkali się w ciemnościach. Za drugim razem miał tylko tyle światła, że bardzo mgliście ją widział. Kiedy się odwracała, zdążył jedynie rzucić okiem.

I zobaczył, że jest bardzo piękną młodą kobietą.

Postał chwilę za pnem, zanim ruszył przez śnieg ku kolejnej kryjówce, ku rosnącemu dalej drzewu. Tacy ludzie jak Jennsen i on sam, którzy byli dziurami w świecie, byli bardzo ważni. Bojówki nasyłano na ważnych ludzi - ludzi szczególnie zagrażających lordowi Rahlowi. Lathea powiedziała, że gdyby lord Rahl wiedział o Obie, to by go chciał zabić.

Oba nie miał pojęcia, czy wierzyć Lathei. Mogła być zazdrosna o wszystkich, którzy byli ważniejsi od niej. Ale też mógł być w niebezpieczeństwie i nie wiedzieć o tym: mogli go ścigać, bo jest kimś ważnym. To się wydawało dość naciągane, lecz - w świetle tego, czego się dowiedział ostatniej nocy - nie było wykluczone. Ważny człowiek, zainteresowany zdobywaniem nowych wiadomości, nie odrzuca takiej informacji bez dogłębnego jej rozważenia.

Oba wciąż starał się połączyć te nowe wiadomości. To było ogromnie skomplikowane - tego był pewny. Jeśli chciał to połączyć w całość, musiał wszystko wziąć pod uwagę.

Kiedy przemykał ku następnemu drzewu, uznał, że najlepiej będzie, jeżeli pójdzie do gospody i lepiej się przyjrzy Jennsen i temu Sebastianowi, który z nią był. Patrzył, jak docierają do drogi prowadzącej ku miastu.

Choć ciągle się rozglądali, w takich ciemnościach Oba bez trudu niepostrzeżenie za nimi podążał. A kiedy znów znaleźli się między budynkami, było jeszcze łatwiej. Zza węgła jednego z domów dostrzegł padające na ulicę światło, kiedy otworzyli drzwi pod kołyszącym się na wietrze metalowym kuflem. Doleciały go też śmiechy i muzyka, niczym z uroczystości po zgonie czarodziejki. To źle, iż nikt nie wiedział, że to Oba jest bohaterem, który wykończył zakałę ich życia. Gdyby ludzie wiedzieli, czego zdołał dokonać, pewnie by mu zafundowali napitki, jakich by sobie zażyczył. Patrzył, jak Jennsen i Sebastian znikają w środku. Drzwi zatrzęsnęły się za nimi. Zimowa noc znów stała się cicha i spokojna.

Oba nigdy nie miał okazji pójść do gospody i czegoś się napić. Nigdy nie miał ani centa. Jednak teraz miał pieniądze. To była ciężka noc, ale stał się nowym człowiekiem. Bogatym człowiekiem. Wytarł nos w rękaw kurty i ruszył ku drzwiom. Nastał czas, żeby wejść do przytulnej gospody i łyknąć sobie. Jeżeli ktoś zasłużył na kielicha, to na pewno był to Oba Rahl.

Jennsen obserwowała podejrzliwie twarze ludzi w gospodzie, wypatrując

kogoś, kto by zdradzał mordercze zamiary. Wciąż ją mdliło od tego, co zrobiono z Latheą. Tej nocy szalały potwory. Mężczyźni popatrywali na nią, ale błysk w ich oczach był wesoły, nie morderczy. Tylko jak to rozpoznać, zanim będzie za późno?

Już chciałyby wbiegać po dwa stopnie naraz.

- Spokojnie - szepnął Sebastian, najwyraźniej sądząc, że jest bliska panicznej ucieczki; może i była. Mocniej ścisnął jej ramię. - Nie budźmy w ludziach podejrzeń.

Weszli powoli po schodach, jak przystało parze zdążającej do izby.

Kiedy wreszcie znaleźli się w środku, Jennsen energicznie zabrała się do roboty: gromadziła rzeczy, które wyjęli z plecaków, na powrót je pakowała, mocowała rzemienie i sprzączki. Nawet Sebastian, sprawdzając broń, wydawał się wytrącony z równowagi tym, co się przydarzyło Lathei. Dziewczyna upewniła się, że nóż luźno siedzi w pochwie.

- Na pewno nie chcesz się trochę przespać? Lathea nie mogła im wszystkiego powiedzieć, nie wiedziała, że zatrzymaliśmy się w tej gospodzie. Może lepiej byłoby odpocząć i wyruszyć o brzasku.

Obdarzyła go wymownym spojrzeniem i zarzuciła plecak na ramiona.

- W porządku - powiedział, po czym chwycił ją za rękę. - Spokojnie, Jennsen. Jeśli będziesz biec, to ludzie zechcą się dowiedzieć dlaczego.

Był na terytorium wroga. Na pewno dobrze wiedział, jak nie wzbudzać podejrzeń. Jennsen skinęła głową.

- Co mam zrobić?

- Zachowuj się tak, jakbyśmy zeszli się czegoś napić lub posłuchać muzyki. Jeżeli chcesz od razu wyjść, idź spokojnie. Nie przyciągaj uwagi, biegnąc. Któż powie, że nie idziemy w odwiedziny do przyjaciół lub krewnych? Nie chcę, żeby ludzie się zastanawiali, co jest nie tak. Ludzie nie zwracają uwagi na to, co zwyczajne. Zapamiętują to, co się wydaje dziwne.

Skinęła głową speszona.

- Chyba nie jestem w tym dobra. To znaczy w uciekaniu im sprzed nosa. Całe życie uciekałam i kryłam się, ale nie tak, nie, kiedy są tak blisko, że prawie czuję na karku ich oddech.

Obdarzył ją tym swoim, tak dobrze doń pasującym serdecznym uśmiechem.

- Nie jesteś do tego przyuczona. Nie spodziewałem się, że będziesz

wiedzieć, co robić. Ale i tak nigdy jeszcze nie spotkałem kobiety, która by tak dobrze radziła sobie w takich tarapatkach. Wspaniale sobie radzisz, naprawdę.

Poczuła się odrobinę lepiej, wiedząc, że nie postępuje jak kompletna idiotka. Sebastian potrafił dodać jej wiary we własne siły, uspokoić, sprawić, że miała zrobić coś, na co przedtem by się nie zdobyła. Pozwalał jej decydować, a potem popierał jej decyzję. Niewielu mężczyzn zrobiłoby to dla kobiety.

Kiedy ponownie znaleźli się na dole, Jennsen patrzyła na drzwi po drugiej stronie izby jak tonący, dla którego byłyby jedynym ratunkiem. Bliskość ocierających się o nią ludzi niepokoiła ją, sprawiała, że desperacko chciała się stąd wyrwać.

Ale przekonała się już, że bywalcy gospody nie stanowią zagrożenia, którego się obawiała. Trochę się wstydziła, że tak źle ich oceniała. Tam, gdzie wcześniej dostrzegała jedynie złodziei i zbójów, teraz widziała bawiących się wspólnie rolników i robotników.

Jednak tej nocy gdzieś w pobliżu czaili się zabójcy. Nie miała co do tego wątpliwości po tym, co spotkało Latheę. Jennsen nie potrafiła sobie wyobrazić, że ktoś mógłby być aż takim sadystą. Zdawała sobie sprawę, że jeżeli ją złapią, to pewnie i z nią tak postąpią, zanim pozwolą jej umrzeć. Mdlilo ją na wspomnienie tego, co zobaczyła. Powstrzymywała łzy, lecz potrzebowała samotności nocy i powietrza na zewnątrz.

Kiedy tak przedzierałi się z Sebastianem przez tłum ku drzwiom, Jennsen zderzyła się z przechodzącym mężczyzną. Zatrzymał ją prawdziwy kolos; uniosła głowę i spojrzała na przystojną twarz. Pamiętała go. To jego widzieli na drodze do domku Lathei.

Uniósł na powitanie kaszkiet.

- Dobry wieczór - rzekł i uśmiechnął się do niej szeroko.

- Dobry wieczór - odparła.

Zmusiła się do uśmiechu, zwykłego i szczerego. Nie była pewna, czy jej się to udało, ale najwyraźniej w jego oczach wypadło to zwyczajnie.

Nie zachowywał się tak jak przedtem. Jego ruchy i sposób bycia świadczyły o większej pewności siebie. Może to tylko jej uśmiech zadziałał tak, jak chciała.

- Wyglądacie, jakby wam było potrzebne coś mocniejszego. - Kiedy

Jennsen zmarszczyła brwi, nie pojmując, o co mu chodzi, wskazał na jej twarz, a potem na Sebastiana. - Macie nosy czerwone z zimna. Mogę wam postawić piwo tej chłodnej nocy?

Zanim Sebastian zdążył się zgodzić, a tego się obawiała, Jennsen odparła:

- Dziękuję, nie. Musimy wyjść... zająć się pewnymi sprawami. Ale miło z twojej strony, żeś to zaproponował. - Znów zmusiła się do uśmiechu. - Dzięki.

Niepokoilo ją to, jak na nią patrzył. Stwierdziła, że sama równie bacznie wpatruje się w jego błękitne oczy, i nie rozumiała dlaczego. W końcu odwróciła wzrok, kiwnęła wielkoludowi głową na pożegnanie i ruszyła ku drzwiom.

- Coś w nim znajomego? - szepnęła do Sebastiana.

- Tak. Widzieliśmy go wcześniej, na ulicy, kiedy szliśmy do Lathei.

Obejrzała się przez ramię, zerkając poprzez kłębiący się tłum.

- Cóż, pewnie więc tylko to.

Zanim wyszła z gospody, tamten - jakby czując, że na niego patrzy - odwrócił się. Kiedy ich oczy się spotkały i uśmiechnął się, miała wrażenie, że poza nimi nikt się nie liczy. Uśmiech był uprzejmy, lecz przyprawił ją o zimne dreszcze, zupełnie jak niekiedy ten martwy głos w jej umyśle. Było coś przerażająco znajomego w uczuciu, które ją ogarniało, kiedy nań patrzyła, w sposobie, w jaki on na nią patrzył. Coś w jego spojrzeniu przypominało jej ów głos.

Jakby pamiętała tego człowieka z jakiegoś głębokiego snu, o którym aż do tej chwili całkiem zapomniała. Spotkanie z nim w realnym świecie wstrząsnęło nią.

Z ulgą wyszła w noc, ruszyła w drogę. Mocno zacisnęła kaptur wokół twarzy, chroniąc się przed zimnym wiatrem. Maszerowali pospiesznie przez śnieg, a potem ulicą. Czuła kłusający ziąb. Dobrze, że stajnia była blisko, lecz zdawała sobie sprawę, że to jedynie krótkie wytchnienie. To będzie długa, zimna noc, lecz nie mieli wyboru. Ludzie lorda Rahla byli zbyt blisko. Musieli uciekać.

Sebastian poszedł obudzić stajennego, a Jennsen wśliznęła się do środka. Zawieszona na belce latarnia dawała akurat tyle światła, że dziewczyna mogła dotrzeć do zagrody, w której uwiązano na noc Betty. Osłona przed

wiatrem, ciepłe ciała koni, słodki zapach siana i zakurzonego drewna czyniły ze stajni przytulne schronienie.

Betty zobaczyła Jennsen i zameczała załośnie, jakby się bała, że ją na dobre zostawiono. Dziewczyna przyklękła i objęła szyję kozy, ta zaś, uszczęśliwiona, energicznie machała ogonkiem. Jennsen wstała i gładziła jedwabiste uszy zwierzaka - Betty uwielbiała tę pieszczotę. Koń stojący w sąsiednim boksie wetknął łeb, żeby popatrzeć, a Betty stanęła na tylnych nogach, żeby przytulić się do przyjaciółki, szczęśliwa, że znowu są razem.

Jennsen poklepała pulchny bok kozy, pokryty sztywną sierścią.

- Grzeczna dziewczynka. - Skłoniła ją, by stanęła na podłodze. - I ja się cieszę, że znów jesteśmy razem, Betty.

Kiedy Jennsen miała dziesięć lat, była przy narodzinach kozy i nadała jej imię. Betty była jedyną przyjaciółką dziewczynki i cierpliwie wysłuchiwała wszelkich jej trosk i obaw. A kiedy zaczęły jej wyrastać różki, z kolei Betty pocierała łbem o wierną przyjaciółkę i była przez nią pocieszana. Właściwie Betty obawiała się tylko rozłączenia z dziewczyną.

Jennsen szperała w plecaku i w końcu znalazła marchewkę dla zawsze na to łasej kozy. Betty tańczyła, przyglądając się poszukiwaniom, a potem - z ekscytacją wymachując ogonkiem - przyjęła poczęstunek. Chcąc się pocieszyć po udręce tak długiej rozłąki, pocierała łbem o udo dziewczyny i zajadała przy tym marchewkę.

Klacz z sąsiedniej przegrody, obserwując je błyszczącymi inteligentnymi oczami, potrząsnęła łbem i cicho zarżała. Jennsen uśmiechnęła się, podała jej marchewkę i pogłaskała po białej gwiazdce.

Usłyszała pobrzękiwanie - to Sebastian wrócił ze stajennym. Wnieśli siodła i położyli je na ogrodzeniu Betty. Koza, wciąż jeszcze obawiająca się Sebastiana, cofnęła się o parę kroków.

- Szkoda, że się musiałaś rozstać z przyjaciółką - odezwał się stajenny, zatrzymując się obok Sebastiana i wskazując Betty.

- Dzięki za opiekę nad nią - powiedziała Jennsen, gładząc uszy kozy.

- Mało co zrobiłem. Noc jeszcze trwa. - Popatrzył na nią i na Sebastiana. - A czemuż to chcecie ruszać nocą? I kupić konie? Zwłaszcza o tej godzinie?

Jennsen zlodowaciała z przerażenia. Nie spodziewała się pytań, więc nie przygotowała sobie żadnych wyjaśnień.

- To przez moją matkę - zwierzył się Sebastian i westchnął przekonująco.

- Właśnie dostaliśmy wiadomość, że się źle poczuła. Nie wiedzą, czy dożyje do naszego przybycia. Nie mógłbym żyć ze świadomością, że... No, po prostu musimy zdążyć na czas.

Podjejrliwość stajennego zmieniała się we współczucie. Jennsen była zaskoczona, że słowa Sebastiana brzmią tak przekonująco. Starła się go naśladować.

- Rozumiem, synu. Przepraszam, nie pomyślałem o tym. Jak mogę pomóc?

- Które konie mógłbyś nam sprzedać? - spytał Sebastian.

Tamten podrapał się w zarośniętą brodę.

- Zostawicie kozę?

Sebastian rzekł „tak”, a Jennsen w tym samym czasie - „nie”. Duże ciemne oczy mężczyzny spojrzały najpierw na jedno, potem na drugie.

- Betty nie będzie nas opóźniać - powiedziała dziewczyna. - Dotrzyma tempa. Zdążymy do twojej matki.

Sebastian wsparł się biodrem o przegrodę.

- Coś mi się zdaje, że koza idzie z nami.

Stajenny westchnął zawiedziony i wskazał konia, którego Jennsen drapała za uchem.

- Ta tu Rusty dobrze się zgadza z waszą kozą. Będzie równie dobra jak reszta. Jesteś wysoka, więc ci się nada.

Jennsen kiwnęła głową na zgodę. Betty, jakby rozumiała, zamęczała z aprobatą.

- Mam krzepkiego kasztana, któremu nie przeszkodzi twój ciężar - rzekł do Sebastiana. - To ten po prawej, o tam. Pete. Chętnie wam go sprzedam razem z Rusty.

- Czemu nazywasz ją Rusty? - zacięła się dziewczyna.

- Ciemno tu, więc słabo widać, ale jest całkiem ryż, z wyjątkiem białej gwiazdki na czole.

Rusty powąchała Betty, a koza polizała jej pysk. Klacz cicho parsknęła.

- No to Rusty - orzekł Sebastian. - I ten drugi.

Stajenny znów podrapał się po zaroście i kiwnął głową na zgodę.

- To idę po Pete'a.

Kiedy wrócił z ogierem, Jennsen z zadowoleniem ujrzała, że Pete dotyka pyskiem na powitanie barku Rusty. Niebezpieczeństwo było tuż-tuż, więc

nie miała ochoty temperować boczących się na siebie koni. Te tutaj jednak najwyraźniej były zaprzyjaźnione. Mężczyźni rażno zabrali się do roboty. W końcu matka była na łożu śmierci.

Jazda konno obiecywała miłą ulgę po pieszej wędrówce. Koń nie pozwoli zmarznąć i łatwiej będzie znieść noc. Dla Betty mieli długą linkę, bo kozę po drodze na pewno zainteresują różne rzeczy, zwłaszcza jadalne.

Jennsen nie miała pojęcia, ile Sebastian zapłacił za konie i resztę, ani jej to nie obchodziło. To były pieniądze zabrane mordercom mamy, dzięki temu uciekną. A liczyła się wyłącznie ucieczka.

Skinęli na pożegnanie stajennemu przytrzymującemu dla nich wielkie wrota i pojechali w lodowatą noc. Oba konie, pomimo późnej pory najwyraźniej zadowolone z zapowiadającej się podróży, rażno szły stępa ulicą. Rusty odwróciła łeb, upewniając się, że Betty, drepcząca po lewej, nadąża.

Wkrótce minęli ostatni budynek i znaleźli się za miastem. Pędzone wiatrem lekkie chmury co rusz przesłaniały wznoszący się księżyc, ale przebijało się przez nie dość poświaty, by zamienić pokrytą śniegiem drogę w srebrną wstążkę wijącą się między dwiema ścianami mrocznych lasów.

Nagle linka Betty naprężyła się. Jennsen spojrzała przez ramię, podejrzewając, że koza obgryza jakąś gałązkę. Jednak Betty sztywno zapierała się kopytami w śniegu, odmawiając ruszenia się z miejsca.

- No chodź, Betty! - szepnęła surowo Jennsen. - Co z tobą? Chodź.

Koza była zbyt lekka, żeby stawić opór koniom, więc sunęła po ośnieżonej drodze wbrew swojej woli.

Kiedy koń Sebastiana zmienił trasę, potrącając Rusty, Jennsen zrozumiała, o co chodzi. Mijali idącego drogą mężczyznę. Ciemne odzienie sprawiło, że nie zauważyli go po prawej, na tle czarnych drzew. Wiedząc, że konie nie lubią niespodzianek, Jennsen poklepała kark Rusty, dając jej poznać, że nie należy się bać tego człowieka. Ale Betty była innego zdania i wykorzystwała całą długość linki, żeby ominąć go jak najszerszym łukiem.

Jennsen przekonała się, że to jasnowłosy wielkolud z gospody, ten, który im chciał postawić piwo, ten, który - nie wiedzieć czemu tak uważała - powinien zjawiać się podczas snu, a nie na jawie. Nie spuszczała zeń oka, kiedy go mijali. Była bardzo zmarznięta, a mimo to miała wrażenie, że otwarły się wrota do nieskończonej zimniejszej wiecznej nocy zaświatów.

Sebastian wymienił z nieznajomym pozdrowienie. Jak tylko go minęli, Betty pomknęła naprzód, naciągając linę, by znaleźć się jak najdalej od owego człowieka.

Grushdeva du kalt misht.

Jennsen wstrzymała oddech, niemal się zachłystując, i obejrzała się. Patrzyła szeroko otwartymi oczami na człowieka idącego za nimi drogą. Wyglądało to tak, jakby to on wymówił owe słowa. To jednak było niemożliwe: te dziwne obce słowa rozbrzmiały w jej umyśle.

Sebastian nie zwrócił na to uwagi, więc milczała, bojąc się, że uzna ją za wariatkę.

Jennsen ponagliła konia, a Betty nie zaprotestowała.

Nim zniknęli za zakrętem, Jennsen ostatni raz się obejrzała. W księżycowej poświacie dostrzegła, że mężczyzna uśmiecha się do niej szeroko.

ROZDZIAŁ 13

Oba zrzucił siano ze stryszku, kiedy usłyszał głos matki.

- Oba! Gdzie jesteś?! Złaż tutaj!

Szybko zsunął się po drabinie. Otrzeptał się z siana i wyprostował przed matką, czekającą nań z gniewną miną.

- Co jest, mammo?

- Gdzie moje lekarstwo? A twoje? - Omiotła wściekłym wzrokiem podłogę. - I ciągle jeszcze nie uprzątnąłeś ze stajni tego paskudztwa. Nie słyszałam, kiedy nocą wróciłeś. Co ci zabrało tyle czasu? Spójrz no na tę przegrodę! Jeszcze jej nie naprawiłeś? Coś robił cały czas? Zawsze mam ci mówić, co masz robić?

Oba nie wiedział, na które pytanie ma najpierw odpowiedzieć. Zawsze tak robiła - robiła mu mętlik w głowie, zanim zdążył odpowiedzieć. A kiedy się zająkiwał, to mu ubliżała i ośmieszała go. Lecz po tym, czego się dowiedział minionej nocy, po tym wszystkim, co się wydarzyło, uznał, że powinien bardziej zdecydowanie stawić czoło matce. Tak mu się przynajmniej wydawało.

Lecz teraz - w blasku dnia, w stajni, z matką tkwiącą przed nim jak chmura gradowa - Oba czuł się tak jak zawsze, kiedy nań napadała: zawstydzony, malutki, nic nie wart. A kiedy wrócił do domu, czuł się wielki. Ważny. Teraz zaś miał uczucie, że się kurczy. To jej słowa tak na niego działały.

- Byłem...

- Wałkoniełeś się! Oto, coś robił: marnowałeś czas! Czekam na lekarstwo, kolana mnie bolą, a mój głupawy synalek Oba kopie sobie drogą kamyk, zapominając, po co go posłałam.

- Nie zapomniałem...

- To gdzie moje lekarstwo? Gdzie?

- Nie przyniosłem go, mammo...

- Wiedziałam! Wiedziałam, że szastasz pieniędzmi, które ci dałam. Urabiam sobie, przędąc, palce do kości, a ty marnujesz moje ciężko zarobione pieniądze na dziwki! Łajdaczyłeś się! Właśnie tak, łajdaczyłeś się!

- Nie, mammo, nie roztrwoiłem ich na kobiety.

- To gdzie moje lekarstwo?! Czemuś go nie przyniósł, jak kazałam?!

- Nie mogłem, bo...

- Chcesz powiedzieć, że ci się nie chciało, ty bezużyteczny głupku?

Wystarczyło pójść do Lathei...

- Lathea nie żyje.

No, powiedział to. Jasno i wyraźnie.

Matka rozdziawiła usta, ale nie wylały się z nich żadne słowa. Jeszcze nigdy nie widział, żeby tak zamilkła, żeby coś nią tak wstrząsnęło, by zamarła z rozdziawioną gębą. Spodobało mu się to.

Oba wyłowili z kieszeni monetę, tę, którą odłożył, żeby ją oddać, by matka nie myślała, że wydał jej pieniądze. W niezwyklej, dramatycznej ciszy podał matce pieniądze.

- Lathea... nie żyje? - Wpatrywała się w leżącą na jej dłoni monetę. - Jak to, nie żyje? Zachorowała?

Oba pokręcił głową. Kiedy wspominał, co zrobił Lathei, jak sobie poradził z wredną czarodziejką, czuł, że wraca mu pewność siebie.

- Nie, mam. Jej domek się spalił. Zginęła w pożarze.

- Jej domek się spalił... - Matka zmarszczyła brwi. - Skąd wiesz, że nie żyje? Lathea nie dałaby się zaskoczyć płomieniom. Jest czarodziejką.

Oba wzruszył ramionami.

- Wiem tyle, że jak się zjawiłem w miasteczku, tam usłyszał raban. Ludzie biegli ku jej domkowi. Palił się. Zebrał się wielki tłum, ale ogień tak szalał, że nic się nie dało zrobić.

To ostatnie było do pewnego stopnia prawdą. Opuścił miasteczko i ruszył ku domowi, uznawszy, że skoro nikt nie zauważył pożaru, to może go nie zauważą do świtu. Nie chciał być tym, który zacznie wrzeszczeć: „Pali się”. To się mogło wydać podejrzane ze względu na przeszłość, zwłaszcza jego matce. Jest podejrzliwą kobietą - to jedna z jej wielu paskudnych wad. Oba zamierzał opowiedzieć matce o tym, co i tak się miało stać: o płonących zgliszczach, o znalezionym zwęglonym ciele. Jednak kiedy wracał do domu po wizycie w gospodzie, wkrótce po tym, jak minęli go ta Jennsen z Sebastianem, wybierający się na poszukiwanie Althei, usłyszał krzyki, że pali się domek Lathei. Pobiegł wraz z ludźmi długą ciemną drogą ku widocznej za drzewami pomarańczowej łunie. Był gapiem, jak wszyscy inni. Nie mieli powodu o cokolwiek go podejrzewać.

- Może Lathea uciekła z pożaru. - Brzmiało to tak, jakby matka chciała przekonać samą siebie, nie jego.

Oba pokręcił głową.

- Zostałem tam, mając taką samą nadzieję, mamó. Wiedziałem, że chciałabyś, żebym jej pomógł, gdyby była ranna. Zostałem, żeby zrobić co w mojej mocy. To dlatego tak się spóźniłem.

I to było częściowo prawdziwe; tkwił tam z ludźmi, gapiąc się na pożar i nasłuchując gadania. Upajał się domysłami tłumu. Plotkami. Przewidywaniami.

- To czarodziejka. Ogień nie powinien tknąć takiej kobiety.

Matka zaczynała być podejrzliwa. Oba się tego spodziewał. Nachylił się lekko ku niej.

- Kiedy pożar trochę przygasł, narzucaliśmy tam śniegu, żeby móc wejść w dymiące pogorzelsko. W środku znaleźliśmy kości Lathei.

Wyciągnął z kieszeni szerniałą kość palca. Podał ją matce. Wpatrywała się w ponury dowód, lecz nie wzięła go. Skrzyżowała ramiona. Oba, zadowolony z efektu, schował w końcu swój skarb do kieszeni.

- Była pośrodku izby, z dłonią uniesioną nad głową, jakby się starała dotrzeć do drzwi, ale zamroczył ją dym. Ludzie mówili, że to dym powalało nieszczęśników, a potem dopiero dopada ich ogień. Tak właśnie musiało być z Latheą. Dym ją zadławił. Potem spłonęła, leżąc na podłodze, z ręką wyciągniętą ku drzwiom.

Matka patrzyła nań ze złością, mocno zaciskając wąskie wargi, ale milczała. Choć raz zabrakło jej słów. Jednak jej gniewne spojrzenie było równie wredne. Przeszywała go nim jak sztyletem i Oba pojmował, że źle o nim myśli. O swoim bękarcie.

Bękart Rahla Posepnego. Niemal członek królewskiej rodziny.

Opuściła splecione dotąd ramiona, odwróciła się.

- Muszę wracać do roboty dla pana Tuchmanna. A ty uprzątnij ten gnój z polepy, słyszysz?

- Uprzątnę, mamó.

- I lepiej napraw przegrodę, zanim tu wrócę i zobaczę, żeś cały dzień próżnował.

Oba parę dni męczył się z gnojem zamarzniętym na podłodze stajni, ale słabo mu szło. Zrobiło się okropnie zimno, więc pagórek zamarzniętego na

kość nawozu stał się jeszcze twardszy. Usuwanie go potrwa równie długo jak łupanie granitowego występu. Albo zmiękczenie kamiennej stanowczości matki.

Miał, rzecz jasna, i inne obowiązki, których nie mógł zaniedbać. Naprawił przegrodę i złamany zawias wrót stajni. Trzeba się było zająć zwierzętami i jeszcze setką innych drobiazgów.

Pracował i obmyślał budowę kominka. Wykorzystał ścianę pomiędzy chatą a stajnią, bo już istnieje. W wyobraźni układał kamienie, tworząc komorę ogniową. Miał już na oku długi kamień, który się nada na zwornik. Wszystko zwiąże zaprawą. Kiedy Oba się zdecydował coś zrobić, wkładał w to całą duszę. Nie lubił połowiczności.

Wyobrażał sobie, jaka szczęśliwa i zdumiona będzie matka, kiedy zobaczy, co dla nich buduje. Wtedy przyzna, że i on jest coś wart. Wreszcie go doceni. Ale - zanim się zabierze do kominka - musi skończyć inną robotę.

A zwłaszcza jedno. Na powierzchni zamrożonej kupy gnoju widniały ślady wysiłków Oby. Była ospowata od dziur wybitych w miejscach, gdzie pęcherz powietrza lub sucha słoma pozwoliły mu kawałek odbić. Za każdym razem, kiedy taki fragment się oddzielał, Oba był przekonany, że wreszcie znalazł dojście do wnętrza okropnej góry lodu - lecz za każdym razem była to złudna nadzieja. Odbijanie odłamków łopata szło opornie, ale Oba nie tak łatwo się zniechęcał.

Zaczął się martwić, że może człowiek tak ważny jak on nie powinien marnować czasu na takie prostackie zajęcia. Usuwanie zamrożonego nawozu raczej nie było godne człowieka, który najprawdopodobniej jest księciem. Ale teraz przynajmniej wiedział, że jest kimś ważnym. Że ma w żyłach krew Rahlów. Że jest w prostej linii potomkiem człowieka, który władał D'Harą, synem Rahla Posępnego. Chyba nie było takiej osoby, która nie słyszałaby o Rahlu Posępnym. Ojcu Oby.

Wcześniej czy później unaocznili matce prawdę, którą przed nim skrywała - prawdę o tym, kim w rzeczywistości jest. Nie wiedział tylko, jak to zrobić tak, żeby się nie domyśliła, że to Latheą wypaplała tajemnicę, zanim utoczył jej krwi.

Zasapany po szczególnie energicznym ataku na zamrożony pagórek, wsparł się na stylisku i odpoczywał. Choć było tak zimno, pot zlepił mu blond włosy i kapał z nich na polepę.

- Oba głupek - odezwała się matka, wmaszerowując do stajni. - Stoi sobie, nic nie robi, nic nie myśli, nic nie jest wart. To o tobie, nieprawdaż? Obo, głupku?

Zatrzymała się, wydeła wąskie usta i patrzyła nań pogardliwie.

- Właśnie odpoczywam, mammo. - Wskazał zaścielające podłogę odłamki lodu, dowody jego wysiłków. - Pracowałem, mammo. Pracowałem.

Nie spojrzała tam. Świdrowała go gniewnym wzrokiem. Czekał, wiedząc, że chodzi jej o coś więcej niż pagórek zamarzniętego gnoju. Zawsze wiedział, kiedy zamierzała mu dołożyć, sprawić, żeby się czuł jak gnój, w którym stał. Z ciemnych szpar i dziur szczury obserwowały ich czarnymi ślepkami.

Patrząc nań ostro, matka podsunęła mu monetę. Trzymała ją między kciukiem a palcem wskazującym, by podkreślić jej znaczenie.

Oba był trochę zdezorientowany. Lathea nie żyła. Nigdzie w pobliżu nie było innej czarodziejki - a przynajmniej o żadnej nie słyszał - która mogłaby sporządzić matce lekarstwo... albo jemu. Jednak posłusznie podsunął otwartą dłoń.

- Przyjrzyj się - rozkazała, rzucając mu monetę.

Oba uniósł pieniążek ku padającemu od wrót światłu i starannie się przyjrzał. Wiedział, iż spodziewa się, że coś znajdzie - ale nie miał pojęcia, co by to miało być. Odwrócił monetę i ostrożnie lypnął na matkę. Dokładnie obejrzał rewers, lecz nie dostrzegł niczego niezwykłego.

- I co, mammo?

- Zauważyłeś coś dziwnego?

- Nie, mammo.

- Nie ma zadrapania na brzegu.

Oba przez chwilę łamał sobie nad tym głowę, po czym znów spojrzał na monetę, tym razem dokładnie oglądając brzeg.

- Nie ma, mammo.

- Ten pieniąż mi oddałeś.

Przytaknął, nie mając powodu jej nie wierzyć.

- Tak, mammo. Tę monetę dałaś mi dla Lathei. Ale, jak mówiłem, Lathea zginęła w pożarze, więc nie mogłem kupić ci lekarstwa. Dlatego oddałem ci monetę.

Patrzyła nań z morderczą wściekłością, lecz głos miała zadziwiająco

chłodny i opanowany.

- To nie jest ta sama moneta, Oba.

Uśmiechnął się szeroko.

- Jasne, że ta sama, mamó.

- Ta, którą ci dałam, miała na brzegu znak. Sama go zrobiłam.

Uśmiech Oby zniknął, myśli kłębiły się jak szalone. Chłopak usiłował wymyślić, co powiedzieć - co powinien powiedzieć - żeby mu uwierzyła. Nie mógł utrzymać, że włożył monetę do kieszeni, a potem wyjął inną i tę oddał matce, bo nigdy nie miał własnych pieniędzy. Dobrze wiedziała, że nie miał żadnych pieniędzy. Nie dopuściłaby do tego. Uważała, że nic z niego dobrego i że na pewno by je roztrwonił.

Jednak teraz miał pieniądze. Wszystkie pieniądze Lathei - fortunę. Przypomniawszy sobie, jak zbierał pospiesznie te wszystkie monety, które wysypały się z kieszeni czarodziejki, w tym i monetę matki, którą dopiero co jej dał. Kiedy potem odkładał pieniążek dla matki, nie wiedział, że naznaczyła ten, który mu dała. Oba miał pecha i oddał nie tę monetę, którą dostał.

- Ale, mamó... jesteś tego pewna? Może tylko miałaś zamiar naznaczyć tę monetę. Może zapomniałaś.

Pokręciła z wolną głową.

- Nie. Naznaczyłam ją, żeby móc w razie potrzeby sprawdzić, coś robił, czyś jej nie przepuścił na pijaństwo lub kobiety.

Podstępna suka. Nie wierzyła własnemu synowi. Cóż to za matka?

Jakież inny dowód miała poza brakiem leciutkiego zadrapania na brzegu monety? Żadnego. Ta kobieta była obłąkana.

- Musisz się mylić, mamó. Nie mam pieniędzy, przecież o tym wiesz. Skąd bym wziął inną monetę?

- To właśnie bym chciała wiedzieć. - Jej spojrzenie budziło grozę; z trudem łapał oddech, świdrowany jej palącym, badawczym wzrokiem; lecz głos nadal miała opanowany. - Kazałam ci kupić lek za tę monetę.

- Ale jakżem mógł? Lathea umarła. Oddałem ci monetę.

Stała przed nim rozłożysta i krzepka niczym wcielenie ducha pomsty, który zjawił się, by się ująć za zmarłą. Może to powrócił duch Lathei, żeby na niego donieść. Tej możliwości Oba nie brał pod uwagę. To byłoby podobne do tej wrednej czarodziejki. Była podstępna. Mogłaby tak właśnie zrobić,

żeby podać w wątpliwość jego znaczenie i należny mu prestiż.

- Wiesz, czemu ci dałam na imię „Oba”?

- Nie, mammo.

- To stare d'harańskie imię. Wiedziałaś o tym, Oba?

- Nie, mammo. - Ciekawość wzięła górę. - A co ono znaczy?

- Ma dwojakie znaczenie. Sługa i król. Nazwałam cię „Oba” w nadziei, że może zostaniesz kiedyś królem, a jeżeli nie, to przynajmniej będziesz sługą Stwórcy. Głupców rzadko obierają królami. Nigdy nie będziesz królem. To było szalone marzenie młodej matki. Czyli zostaje „sługa”. Komu służysz, Oba?

Oba doskonale wiedział, komu służy. Decydując się na to, stał się niepokonany.

- Skąd wzięłaś tę monetę, Oba?

- Mówiłem ci, mammo, że nie mogłem kupić lekarstwa, bo Lathea zginęła w pożarze swojego domku. Może twój znak stał się o coś w mojej kieszeni.

Sprawiała wrażenie, że rozważa jego słowa.

- Jesteś tego pewny, Oba?

Kiwnął głową, mając nadzieję, że może w końcu odwróci jej myśli od tego zamieszania z monetą.

- Jasne, mammo. Lathea umarła. Dlatego oddałem ci monetę. Nie mogłem ci kupić lekarstwa.

Uniosła brew.

- Czyżby, Oba?

Wolniutko wysunęła rękę z kieszeni sukni. Nie widział, co w niej trzyma, ale poczuł ulgę, że wreszcie zaczyna ją przekonywać.

- Właśnie, mammo. Lathea nie żyła. - Stwierdził, że lubi to powtarzać.

- Naprawdę, Oba? Nie mogłeś kupić leku? Nie okłamałbyś matki, prawda?

Przesadnie potrząsnął głową.

- Nie, mammo.

- No to cóż to takiego? - Odwróciła dłoń, unosząc buteleczkę z lekiem, którą Lathea dała mu, zanim się z nią rozprawił. - Znalazłam to w kieszeni twojej kurty, Oba.

Gapił się na przekłętą flaszeczkę, na zemstę tej wrednej czarodziejki. Powinien ją zabić natychmiast, zanim dała mu tę zdradziecką buteleczkę z

lekiem. Zupełnie zapomniał, że ją włożył do kieszeni kurty i zamierzał wyrzucić w lesie, gdy będzie nocą wracać do domu. Dowiedział się takiego mnóstwa nowych rzeczy, że przez to całkiem zapomniał o tej przeklętej buteleczce.

- Cóż... to... to pewno musi być stara flaszeczka...

- Stara flaszeczka? Jest pełna! - Powrócił ostry jak brzytwa ton. - Jak ci się udało dostać flaszeczkę leku od martwej kobiety, w domku, co właśnie się spalił? Jak, Oba? I czemu oddałeś mi inną monetę niż ta, co ci ją dałam, żebyś miał czym zapłacić? Jak?! - Przysunęła się. - Jak, Oba?

Cofnął się o krok. Nie mógł odwrócić oczu od przeklętego lekarstwa. Nie potrafił spojrzeć w srogie oczy matki. Wiedział, że gdyby to zrobił, zmusiłaby go do płaczu swoim zawziętym spojrzeniem.

- No, ja...

- No, ja co, Oba? No, ja co, ty wstrętny bękarcie? Ty nic niewart, leniwy bękarcie. Ty nędzny, ohydny, podstępny, kłamliwy bękarcie, Oba Schalku.

Oba podniósł wzrok. Miał rację: wbijała weń zawzięte, gniewne spojrzenie.

Jednak on stał się niepokonany.

- Oba Rahl - rzekł.

Nie drgnęła. Wtedy sobie uświadomił, że starała się go sprowokować do wyznania, że wie. Zaplanowała to wszystko. To nazwisko - Rahl - wykrzyczało, jak je poznał, zdradziło wszystko matce. Oba stał nieruchomo, a myśli dziko mu się kłębiły - przypominał szczura, któremu przydepnięto ogon.

- Niech mnie duchy - odezwała się cicho. - Powinnam zrobić to, co mi zawsze radziła Lathea. Oszczędziłabym nas wszystkich. Zabiłeś ją. Ty obmierzły bękarcie. Ty podły, kłamliwy...

Oba, szybki jak lis, zamachnął się łopata, wkładając w to całą swoją siłę. Stał zabrzęczała jak dzwon, trafiwszy w czaszkę matki.

Osunęła się jak zrzucony ze stryszku worek ziarna. Pac.

Oba prędko się cofnął ze strachu, że pomknie ku niemu niczym pająk i ugryzie go w kostkę tymi swoimi wąskimi ustami. Uważał, że byłaby do tego zdolna. Podstępna suka.

Błyskawicznie przyskoczył i znów przyłożył jej łopata, w to samo miejsce na czole. Potem cofnął się poza zasięg jej zębów, zanim go zdążyła ukąsić jak

pająk. Często myślał o niej jak o pająku. Czarna wdowa.

Echo uderzenia metalu w czaszkę wisiało w nieruchomym powietrzu stajni. Cichło bardzo, bardzo, bardzo powoli. Obę spowiła ciężka niczym całun cisza.

Stał, gotowy na wszystko, z łopata opartą o ramię i przyszykowaną do kolejnego ciosu. Bacznie ją obserwował. Z jej uszu sączył się na zamarznięty gnój przejrzysty różowawy płyn.

Rzucił się ku niej, oszalały ze strachu i gniewu, i raz po raz bił łopata w jej głowę. Dźwięczne uderzenia metalu o kość odbijały się echem po stajni, zlewając w brzękliwy łoskot. Szczury, przyglądające się temu swoimi czarnymi ślepkami, umknęły do dziur.

Oba cofnął się chwiejnie, z trudem chwytając powietrze po gwałtownym wysiłku, by ją uciszyć. Dyszał i przyglądał się nieruchomej postaci rozciągniętej na pagórku zamarznętego gnoju. Rozrzuciła szeroko ramiona, jakby się dopominała uścisku. Podstępna suka. Pewnie coś knuła. Pewnie łudziła go nagrodą. Ofiarowała uścisk, jakby to było, jakby to mogło być, wynagrodzenie za czas, który spędził w zagrodzie.

Jej twarz wyglądała inaczej. Miała dziwny wyraz. Podszedł ostrożnie, żeby się przyjrzeć. Czaszka była zniekształcona - jak dojrzały melon, który pękł, uderzając o ziemię.

To było coś tak odmiennego, że nie mógł zebrać myśli.

Pęknięta niczym melon głowa mamy.

Dla pewności łupnął ją jeszcze trzy razy, najszybciej jak zdołał, i wycofał się na bezpieczną odległość, trzymając w pogotowiu łopata, na wypadek gdyby się nagle poderwała i zaczęła na niego wrzeszczeć. To byłoby w jej stylu. Podstępne. Ta kobieta była wariatką.

W stajni panowała cisza. Widział, jak jego oddech unosi się mgiełką w lodowatym powietrzu. Od matki nie leciała żadna mgiełka oddechu. Pierś miała nieruchomą. Szkarłatna kałuża wokół jej głowy ściekała z pagórka gnoju. Część dziur, które wybił, wypełniła się paćką z tej jej dziwnej, melonowatej głowy, całkiem rozbitej głowy.

Teraz Oba zaczynał nabierać pewności, że matka już nigdy nie obrzuci go nienawistnymi słowami. Nie była zbyt bystra, więc pewnie uwierzyła w gadaninę Lathei i pod jej wpływem znienawidziła Obę, swojego jedyne go syna. Te kobiety zawładnęły jego życiem. Był jedynie bezbronnym sługą

dwóch harpii.

Na szczęście w końcu stał się niepokonany i wyzwolił się od nich.

- Chcesz wiedzieć, komu służę, mamó? Służę głosowi, co mnie uczynił niepokonanym. Głosowi, co mnie od ciebie uwolnił!

Matka nie miała nic do powiedzenia. W końcu nie miała nic do powiedzenia.

I Oba szeroko się uśmiechnął.

Wyciągnął nóż. Był nowym człowiekiem. Człowiekiem, który realizował intelektualne zainteresowania, kiedy się pojawiały. Uznał, że powinien rzucić okiem na inne dziwne i osobliwe rzeczy, ukryte w tej oszalałej matce.

Oba lubił się uczyć.

Oba jadł lunch - jajka ugotowane w palenisku, które zaczął dla siebie budować - kiedy usłyszał wóz wjeżdżający na podwórze. To już ponad tydzień, jak jego podstępna matka po raz ostatni otworzyła te swoje zaciśnięte, wąskie usta.

Podszedł do drzwi, odrobinę je uchylił i zajadając jajka, zerkał na tył stojącego w pobliżu wozu. Z wozu zsunął się jakiś człowiek.

To był pan Tuchmann, który regularnie przywoził wełnę. Matka Oby pracowała dla niego, a on tkał z jej przędzy. Tyle nowych rzeczy zaprzętało ostatnio uwagę chłopaka, że całkiem zapomniał o panu Tuchmannie. Spojrzał w róg izby, sprawdzając, ile przędzy przygotowała matka. Niewiele. Bele wełny leżały z boku, czekając na uprzedzenie. Matka powinna bardziej przykładać się do roboty, zanim zaczęła mieszać.

Oba nie wiedział, co robić. Kiedy znów spojrział na drzwi, mężczyzna stał już w nich i zaglądał do środka. Był wysoki, chudy, miał wielki nos i także uszy. Włosy miał siwiejące i kręcone jak wełna, którą się zajmował. Niedawno owdowiał. Oba wiedział, że matka lubiła pana Tuchmanna. Może mógłby trochę zmniejszyć jej zapas jadu. Odrobinę ją zmiękczyć. Ciekawa sprawa do przemyślenia.

- Dzień dobry, Oba. - Oczy, które Oba zawsze uważał za osobliwie wodniste, wpatrywały się w szparę, lustrując chatę. - Jest twoja matka?

Oba - mając poczucie, że wścibskie oczy tamtego zakłócają jego spokój - stał, trzymał talerz z jajkami i usiłował wymyślić, co zrobić, co powiedzieć. Wzrok pana Tuchmanna spoczął na kominku.

Oba tkwił nieswój za drzwiami. Napomniął się, że jest teraz nowym

człowiekiem. Ważnym człowiekiem. A ważnym ludziom nie brakowało pewności siebie. W lot chwytali okazję i kreowali własną wielkość.

- Mama? - Odstawił talerz i spojrzał na kominek. - Och, jest gdzieś w pobliżu.

Kędzierzawy pan Tuchmann chwilę przypatrywał się z kamienną twarzą szerokiemu uśmiechowi chłopaka.

- Słyszałeś o Lathei? O tym, co znaleźli w jej domku?

Oba pomyślał, że usta tego człowieka przypominają usta matki. Są wąskie. Zacięte.

- Lathea? - Wyssał tkwiący pomiędzy zębami kawałek jajka. - Nie żyje. Co mogliby znaleźć?

- A dokładniej, czego nie znaleźli, mógłbyś powiedzieć. Pieniądzy. Wszyscy wiedzieli, że Lathea ma pieniądze. Ale w domku ich nie znaleźli.

Oba wzruszył ramionami.

- Może spłonęły. Stopiły się.

Pan Tuchmann chrząknął z powątpiewaniem.

- Może tak. Może nie. Niektórzy gadają, że mogły zniknąć, zanim się zaczęło palić.

Chłopak oburzył się, że ludzie nie dawali temu spokoju. Nie mieli własnych spraw? Nie mogli się od tego odczepić? Powinni się cieszyć, że czarodziejka zniknęła z ich życia, i resztę zostawić w spokoju. Ale musieli się na to rzucić jak gęsi na ziarno. Plotkarze, wścibscy plotkarze - oto, kim byli.

- Powiem mamie, że pan był.

- Potrzebna mi przędza. I mam dla niej kolejny ładunek wełny. Muszę jechać dalej. Inni czekają.

Miał całe stadko kobiet, które dla niego przędły. Nigdy nie pozwalał swoim prządkom odpocząć?

- Hmm, boję się, że mama nie miała czasu...

Tuchmann znów gapił się na kominek, tym razem baczniej. Jego mina wyrażała nie tylko zaciekawienie, ale i gniew. Przyzwyczajony do rozkazywania innym i bezczelniejszy, niż Oba mógł znieść, wszedł do chaty, na środek izby, wciąż patrząc na kominek. Wskazał coś.

- Co... co to jest? Drogi Stwórco...?

Oba spojrzał na to, co tamten wskazywał: na nowy kominek budowany przy kamiennej ścianie, która oddzielała chatę od stajni. Uznał, że nieźle

wykonał robotę - solidnie i precyzyjnie. Przyglądał się innym kominkom i uczył się, jak były wykonane. I choć komin nie był jeszcze skończony, korzystał z niego. Miał z niego pożytek.

I wtedy Oba zobaczył, co tak naprawdę wskazywał pan Tuchmann.

Żuchwa mamy.

A to ci dopiero. Oba nie spodziewał się gości, zwłaszcza takich wścibskich. Co dawało temu typkowi prawo wścibiać nos do domów ludzi, choćby i przedli dla niego wełnę?

Tuchmann zaczął się cofać ku drzwiom. Oba wiedział, że tkacz będzie gadać o tym, co widział. Był plotkarzem - już plótł ozorem każdemu, kto chciał słuchać, o zaginionych pieniądzach Lathei. A one w końcu należały się Obie, biorąc pod uwagę, jak się przez całe życie męczył, żeby na nie zasłużyć. I kim w ogóle byli ci wszyscy ludzie, którzy się odrywali od siekiery, żeby brać stronę tej wrednej czarodziejki?

Kiedy pan Tuchmann zacznie paplać o tym, co widział w kominku, to jak amen w pacierzu pojawią się pytania. Każdy zechce wściubić w to nos i dowiedzieć się, czyja to żuchwa. I pewnie zaczną się trapić o matkę, jak się już martwili o czarodziejkę.

Oba - nowy człowiek, człowiek czynu - nie mógł dopuścić, żeby się tak stało. Był kimś ważnym, wiele się nauczył. W końcu w jego żyłach płynęła krew Rahlów. A ważni ludzie działali - rozwiązywali problemy, kiedy się pojawiały. Szybko. Sprawnie. Skutecznie. Zdecydowanie.

Złapał pana Tuchmanna za kark i zatrzymał. Biedak energicznie się wrywał. Był wysoki i żylasty, ale nie dorównywał Obie ani siłą, ani szybkością.

Oba stęknął z wysiłku i wbił mu nóż w brzuch. Mężczyzna szeroko rozdziawił usta. Jego oczy, zawsze takie wodniste i ciekawskie, też otworzyły się szeroko, pojawiła się w nich groza.

Oba ułożył nieznośnego gościa na podłodze. Czekala ich robota. Oba nigdy się nie bał ciężkiej roboty. Najpierw trzeba się rozprawić z tym kędzierzawym ciekawskim. Potem zająć się jego wozem. Ludzie pewnie będą go szukać. Życie Oby bardzo się komplikowało.

Pan Tuchmann zawołał o ratunek. Oba dźgnął go nożem w szyję, pod brodą. Nachylił się nad nim i obserwował, jak się rzuca, wiedząc, że umrze.

Oba nie miał nic przeciwko panu Tuchmannowi, naprawdę - choć był to

gość bezczelny i apodyktyczny. To wszystko wina tej wrednej czarodziejki. Wciąż rzucała Obie kłody pod nogi. Pewnie wysłała z zaświatów jakąś wiadomość matce, a potem panu Tuchmannowi. Suka. Matka stała się podejrzliwa i podstępna. A teraz jeszcze ten wkurzający utrapienie, pan Tuchmann. Zjawili się nie wiadomo skąd niczym rój szarańczy, żeby mu uprzykrzać życie.

Wszystko dlatego, że jest taki ważny.

Chyba czas na zmiany. Nie mógł tu tkwić i pozwalać, żeby naprzykrzali mu się pytaniami ludzie, którzy go znali. I tak jest zbyt ważny, żeby zostać w takiej dziurze.

Pan Tuchmann stękał z wysiłku, bezskutecznie starając się uciec. Czas, żeby nieszczęsny wdowiec dołączył do obłąkanej matki Oby i tej wrednej czarodziejki, żeby wraz z nimi znalazł się u Opiekuna zaświatów, w świecie zmarłych.

A potem czas, żeby Oba zaczął ważne życie, jako nowy człowiek, i przeniósł się w bardziej dlań odpowiednie miejsca.

Zdał sobie sprawę, że już nigdy nie będzie musiał iść do stajni i patrzeć na kupę zamarznętego gnoju, której nie mógł rozbić łopata, co uparcie nakazywała mu zwariowana matka - i w tej samej chwili przyszło mu na myśl, że szybko by sobie z tym poradził, gdyby zamiast łopaty wziął kilof.

A to ci dopiero.

ROZDZIAŁ 14

Friedrich Gilder wprawnie zdjął płatek złota delikatnym pędzelkiem i nałożył go. Płatek, tak leciutki, że uleciałby z najlżejszym ruchem powietrza, jak zaczarowany osiadł na wilgotnym gipsie. Friedrich pochylił się nad stołem warsztatowym i w skupieniu, ostrożnie gładził tamponem owczej wełny świeżo pozłożoną powierzchnię małej, stylizowanej figurki ptaka, szukając ewentualnej skazy.

Od czasu do czasu deszcz dzwonił o okno. Było południe, lecz kiedy nadciągały chmury i zaczynało padać, robiło się ciemno jak o zmierzchu.

Z pomieszczenia na tyłach, w którym pracował, zaglądał niekiedy przez otwarte drzwi do głównej izby i przyglądał się znajomym gestom żony, rzucającej kamienie na Grace. Wiele lat temu pozłocił linie wyznaczające ten jej Grace - ośmioramienną gwiazdę tkwiącą w kole wpisanym w czworokąt, który widniał w drugim kole - dopiero wtedy, rzecz jasna, kiedy go dokładnie wyrysowała. Gdyby on go narysował, Grace byłby bezużyteczny. Żeby Grace był prawdziwy, musiał go wykreślić ktoś mający dar.

Z radością robił co w jego mocy, żeby upiększyć jej życie. Ona zaś sprawiła, że jego życie było cudowne. Uważał, że sam Stwórca pozłocił jej uśmiech.

Friedrich widział też kobietę, która przyszła do ich domu po wróżbę - nachylała się wyczekująco, bacznie obserwując rzut. Gdyby ludzie naprawdę widzieli takie rzeczy, nie przychodziliby do Althei po wróżbę, jednak zawsze bacznie patrzyli, jak kamienie wylatują ze smukłych palców jego żony i toczą się po planszy z wyrysowanym Grace.

Ta kobieta, owdowiała, w średnim wieku i miła, już dwukrotnie odwiedziła Altheę; ale to było parę lat temu. Zajęty własną pracą, słuchał mimowolnie, jak opowiada o kilku swoich dorosłych i pożenionych dzieciach, mieszkających blisko niej, mówi, że w drodze jest pierwszy wnuk. Ale teraz kobietę interesował wyłącznie układ kamieni, nie dziecko.

- Znowu? - spytała, choć było to nie tyle pytanie, ile zdziwienie. - Znowu to zrobiły.

Althea milczała. Friedrich polerował świeżo nałożone złoto i słuchał znajomych odgłosów kamieni, które żona zbierała z planszy.

- Często tak robią? - spytała kobieta, odwracając szeroko otwarte oczy od planszy Grace ku twarzy Althei. Ta nie odpowiedziała, a kobieta tak mocno potarła kłykcie, że Friedrich pomyślał, iż obetrze sobie skórę. - Co to znaczy?

- Ciiiicho - szepnęła Althea, postukując kamieniami.

Friedrich jeszcze nigdy nie widział żony tak małomówniej w obecności klientki. Kamienie jakoś niepokojąco grzechotały w dłoni Althei. Kobieta pocierała kłykcie, czekając na wieści o swoim losie.

I znów siedem kamieni potoczyło się po planszy, żeby ujawnić święte tajemnice losu.

Friedrich nie mógł ze swego miejsca zobaczyć, jak kamienie padają, lecz słyszał znajome odgłosy towarzyszące toczeniu się nierównych powierzchni po planszy. Po tych wszystkich latach rzadko obserwował, jak Althea wykonuje swój zawód, to znaczy, rzadko przyglądał się kamieniom. Jednak pomimo tych wszystkich lat radował go widok Althei. Uśmiechnął się, patrząc na zdecydowanie zarysowaną linię jej podbródka, na wciąż jeszcze złociste włosy, spływające na ramiona niczym słoneczny blask.

Kobieta gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Znowu! - zagrzmiało, jakby dla podkreślenia jej uwagi. - Cóż by to mogło znaczyć, pani Altheo? - W głosie gościa słychać było lęk.

Althea siedziała na poduszce, na podłodze, podpierając się ręką, niewładne nogi wyciągnęła w bok. Wyprostowała się. Wreszcie spojrzała na kobietę.

- To znaczy, Margery, że jesteś kobietą silną duchem...

- To jeden z tych dwóch kamieni? To ja? Silna duchem?

- Właśnie - potwierdziła Althea i jeszcze poparła to skinieniem głowy.

- No, a ten drugi? To nie może być dobrze. Nie tu. To może tylko oznaczać najgorsze.

- Akurat miałam ci powiedzieć, że ten drugi kamień, który jest obok twojego przy każdym rzucie, to również silny charakter. Męczyzna silnego charakteru.

Margery znów zerknęła na kamienie na planszy. Potarła kłykcie.

- Ale one oba... - Wskazała. - One stale wychodzą... tam. Poza zewnętrzny krąg. Do zaświatów. - Niespokojnymi oczami wpatrywała się w twarz Althei.

Althea pociągnęła nogi przed siebie, żeby je skrzyżować. Choć były bezwładne i prawie bezużyteczne, lepiej się jej siedziało na poduszce, kiedy

je skrzyżowała.

- Nie, nie, moja droga. Wcale nie. Nie rozumiesz? To znakomicie. Oba silne duchy idą razem przez życie i zostają razem na zawsze. To najlepsza z wróżb.

Margery znów z niepokojem spojrzała na planszę.

- Naprawdę? Naprawdę, pani Altheo? Więc uważasz, że to dobrze, że one stale... tak robią?

- Oczywiście, Margery. To znakomicie. Złączone dwa silne duchy.

Kobieta przytknęła palec do warg, spojrzała na Altheę.

- Ale kto to jest? Kim jest ten tajemniczy mężczyzna, którego mam spotkać?

Czarodziejka wzruszyła ramionami.

- Za wcześnie, by powiedzieć. Jednak kamienie mówią, że spotkasz mężczyznę... - mocno przycisnęła do siebie palec wskazujący i środkowy -...i będziecie nierozłączni. Gratulacje, Margery. Wygląda na to, że niedługo znajdziesz szczęście, którego szukasz.

- Kiedy? Jak szybko?

Althea znów wzruszyła ramionami.

- Za wcześnie, by powiedzieć. Kamienie mówią jedynie „będzie”, a nie „kiedy”. Może jutro, może w przyszłym roku. Najważniejsze jednak, że wkrótce spotkasz odpowiedniego mężczyznę, Margery. Musisz teraz mieć oczy otwarte. Nie kryj się w domu, bo go przegapisz.

- Ale skoro kamienie mówią...

- Kamienie mówią, że jest silny i gotowy na spotkanie z tobą, ale nie gwarantują tego. To zależy wyłącznie od ciebie i tego mężczyzny. Kiedy pojawi się w twoim życiu, to pozwól mu się rozpoznać, bo inaczej cię minie, nie widząc.

- Zrobię tak, pani Altheo. - W jej głosie przeważało zdecydowanie. - Zrobię. Będę na to przygotowana i kiedy się pojawi w moim życiu, rozpoznamy się, dokładnie jak przepowiedziały kamienie.

- Znakomicie.

Kobieta szperała w wiszącej u paska skórzanej sakiewce, aż znalazła monetę. Zwawo podała ją Althei zadowolona z wróżby.

Friedrich od blisko czterdziestu lat patrzył, jak Althea wróży. I przez cały ten czas nigdy nie widział, żeby kogoś okłamała.

Kobieta wstała i wyciągnęła rękę.

- Pomóc pani, pani Altheo?

- Dziękuję, moja droga. Friedrich mi potem pomoże. Teraz chcę zostać przy mojej planszy.

Kobieta uśmiechnęła się, pewnie marząc o czekającym ją nowym życiu.

- To lepiej już pójdę, zanim nadciągnie wieczór. Czekam mnie jeszcze długa powrotna jazda. - Przechyliła się i pomachała mu przez drzwi. - Do widzenia, mistrzu Friedrichu.

Deszcz uderzał w okno. Friedrich spostrzegł, że niebo pociemniało, osnuwając ich moczary szarawym mrokiem. Podniósł się z ławy i skinął ku kobiecie.

- Odprowadzę panią do drzwi, Margery. Ktoś na panią czeka i razem będziecie wracać, prawda?

- Mój zięć czeka z końmi na skraju kanionu, tam gdzie się zaczyna dróżka. - Przystanęła w drzwiach, wskazała na jego dzieło. - Piękną rzecz zrobiłeś.

Friedrich się uśmiechnął.

- Mam nadzieję znaleźć w pałacu klienta, który też tak uzna.

- Znajdziesz, znajdziesz. Twoje wyroby są wspaniałe. Wszyscy tak mówią. Ci, którzy mają coś, co zrobiłeś, uważają się za szczęśliwców.

Margery radośnie skłoniła się Althei, ponownie jej dziękując, a potem zdjęła z haka obok drzwi swoją pelerynę z jagnięcych skór. Uśmiechnęła się do zachmurzonego nieba, narzuciła pelerynę i nasunęła na głowę kaptur - spieszno jej było w drogę ku nowemu mężczyźnie. Powrót do domu potrwa długo. Friedrich, nim zamknął drzwi, ostrzegł Margery, żeby nie zbaczała ze ścieżki i uważała na każdy krok. Odparła, że pamięta zalecenia, i obiecała, że się do nich dostosuje.

Przyglądał się, jak pospiesznie odchodzi, znika w mroku i mgle, a potem zamknął drzwi, chroniąc się przed paskudną pogodą. W domu znów zapanowała cisza. Na zewnątrz przetoczył się grzmot niczym odgłos niezadowolenia.

Friedrich stanął za żoną.

- Pomogę ci się przesiąść na fotel.

Althea zebrała kamienie. Znów zagrzechotały w jej dłoni niczym kości duchów. Nie zareagowała, co było zupełnie do niej niepodobne. A już

całkiem dziwne było to, że rzuciła kamieniami po wyjściu klientki. Ta metoda wróżenia odwoływała się do jej daru w sposób, który Friedrich niezupełnie rozumiał, lecz dobrze widział, jak ją to męczyło. Wróżebne rzucanie kamieni tak ją wyczerpywało, że traciła zainteresowanie światem i nie miała ochoty tego powtarzać.

Teraz jednak kierowała nią jakaś wewnętrzna potrzeba.

Poruszyła nadgarstkiem i otworzyła dłoń, rzucając kamienie na planszę z takim kunsztem, z jakim Friedrich nakładał cieniutkie listki złota. Gładkie, ciemne, nieregularne kamienie potoczyły się, podskakując na planszy, rozsypując na poślacanym Grace.

Friedrich mnóstwo razy widział, jak Althea rzuca kamienie. Niekiedy, podobnie jak jej klienci, próbował dostrzec w ich układzie jakiś sens. Nigdy mu się to nie udało.

Althei natomiast udawało się zawsze.

Czytała z nich to, czego nie mógł dostrzec żaden zwyczajny śmiertelnik. W przypadkowym układzie kamieni dostrzegała sens, który jedynie czarodziejka mogła odcyfrować. Dostrzegała magiczne wzory.

Sam rzut nic nie znaczył - siły, o których wołał nie rozmyślać, a które przemawiały tylko do czarodziejki za pośrednictwem jej daru, oddziaływały dopiero na układ kamieni. Z przypadkowego układu kamieni mogła odczytać przepływ owych sił przez świat istot żywych, a nawet - czego się obawiał - przez świat zmarłych, chociaż nigdy o tym nie mówiła. Choć byli tak zjednoczeni ciałem i duszą, tego jednego nie mogli dzielić.

Tym razem jeden z kamieni zatrzymał się dokładnie pośrodku planszy. Dwa - w przeciwległych narożnikach czworokąta, dotykających zewnętrznego kręgu. Dwa - w przeciwległych punktach styczności czworokąta i wewnętrznego kręgu. Ostatnie dwa kamienie zaś zatrzymały się poza zewnętrznym kręgiem symbolizującym zaświaty.

Błysnęło i w parę sekund później zagrzmiało.

Friedrich patrzył z niedowierzaniem. Zastanawiał się, z jakiego powodu kamienie tym razem zatrzymały się w tych właśnie punktach Grace. Nigdy przedtem nie widział, żeby utworzyły jakikolwiek wyraźny wzór.

Althea również wpatrywała się w swoją planszę.

- Widziałaś kiedyś coś takiego?

- Obawiam się, że tak - odparła cicho, zbierając kamienie smukłymi

palcami.

- Naprawdę? - Na pewno by sobie przypomniał tak niezwykle przypadek, taki zastanawiający układ. - A kiedy?

Grzechotała zamkniętymi w dłoni kamieniami.

- W czterech poprzednich rzutach. Ten był piąty, a i tak każdy kamień zatrzymał się w tym samym miejscu co poprzednio.

I znów kamienie padły na planszę. W tej samej chwili niebo się otwarło i ulewa runęła na dach. Huk deszczu rozbrzmiewał w całym domu. Friedrich mimo woli zerknął na sufit, potem zaś wraz z Althea patrzył, jak kamienie toczą się po planszy.

Pierwszy zatrzymał się w samym środku Grace. Błysnęło. Pozostałe, tocząc się z pozoru zupełnie swobodnie, zatrzymały się niby dowolnie - tyle że w tych samych miejscach co poprzednio.

- Sześć - wyszeptała Althea.

Huknął grom.

Friedrich nie wiedział, czy mówiła do niego, czy do siebie.

- Ale cztery pierwsze rzuty były dla tej kobiety, dla Margery. Rzuciłaś dla niej. Na jej wróżbę.

Nawet w jego uszach zabrzmiało to jak błaganie, a nie argument.

- Margery przyszła po wróżbę - odparła Althea. - Ale to wcale nie znaczy, że kamienie zechciały jej udzielić przepowiedni. Zdecydowały, że ta wróżba będzie przeznaczona dla mnie.

- No i co to oznacza?

- Nic. A przynajmniej na razie. W tej chwili to jedynie możliwość, chmura burzowa na horyzoncie. Kamienie mogą jeszcze powiedzieć, że ta burza nas ominie.

Patrzył, jak zbiera kamienie, i ogarnął go lęk.

- Wystarczy, musisz odpocząć. Zabrać cię z poduszki, Altheo? Przygotuję coś do jedzenia. - Widział, jak podnosi ostatni kamień, ten ze środka planszy. - Daj spokój kamieniom. Zaparzę pysznej herbaty.

Nigdy wcześniej nie widział w kamieniach niczego zwłówieszczego. Teraz jednak zdawało mu się, że wprowadzają w ich życie element zagrożenia.

Nie chciał, żeby ponownie rzuciła.

Przysiadł obok niej.

- Altheo...

- Ciiii, Friedrichu - powiedziała stanowczo. Nie był to rezultat gniewu czy wyrzut, lecz zwykła konieczność.

Deszcz wściekle bębnił o dach. Woda z hukiem spływała z okapu. Mrok za oknami rozjaśniały błyskawice.

Słuchał grzechotu kamieni; jakby przemawiali do niej zmarli. Po raz pierwszy w ich wspólnym życiu poczuł do kamieni nienawiść, jakby były kochankiem, który przybył, żeby mu ją odebrać.

Althea, siedząc na swojej czerwono-złotej poduszce, ponownie rzuciła kamienie na Grace.

Toczyły się po planszy, a Friedrich patrzył z rezygnacją, jak się zatrzymują - najzwyczajniej w świecie - dokładnie na tych samych miejscach co poprzednio. Zdziwiłby się dopiero wtedy, gdyby się ułożyły inaczej.

- Siedem - wyszeptała. - Siedem razy siedem kamieni.

Przetoczył się basowy grzmot, jak głos niezadowolenia duchów w zaświatach.

Friedrich położył dłoń na ramieniu żony. Coś pojawiło się w ich domu - wdarło się w ich życie. Nie widział tego, lecz wiedział, że tutaj jest. Ogarnęło go wielkie znużenie, jakby nagle przygniotły go wszystkie lata, które przeżył, i sprawiły, że poczuł się okropnie stary. Ciekaw był, czy coś podobnego odczuwa Althea, kiedy nuży ją rzucanie wróżebnych kamieni. Aż zadrżał, myśląc o bezustannym wystawianiu się na takie emocjonalne zawirowania. Jego świat i praca złotnika wydawały się tak proste i błogie, bo nie miał pojęcia o kłębiących się wokół mocach.

A najgorsze było to, że nie mógł jej chronić przed tym niewidzialnym zagrożeniem. W tym przypadku był bezsilny.

- Co to oznacza, Altheo?

Nie drgnęła. Wpatrywała się w gładkie, ciemne kamienie leżące na Grace.

- Nadchodzi osoba słyszająca głosy.

Oślepiająca gniewna błyskawica rozjaśniła izbę białą. Aż się kręciło w głowie od nagłego kontrastu pomiędzy jaskrawym blaskiem a mrokiem. Gwałtowny błysk i grom, który wstrząsnął ziemią. Zaraz potem rozdierający huk, łoskot dorównujący efektem błyskom.

Friedrich przełknął ślinę.

- Wiesz, kto to?

Poklepała go po dłoni spoczywającej na jej ramieniu.

- Mówiłeś coś o herbacie? Zimno mi od tego deszczu. Chętnie się napiję herbaty.

Przeniósł wzrok z jej uśmiechniętych oczu na leżące na Grace kamienie. Z jakiegoś powodu nie chciała na razie odpowiadać na to pytanie. Więc zadał inne:

- Czemu kamienie tak się układają, Altheo? Co znaczy ten układ?

Gdzieś blisko uderzył piorun. Grzmot zabrzmiał tak, jakby rozszczepiał litą skałę powietrza. Kłęby deszczu waliły w okno.

Althea w końcu odwróciła oczy od okna, od gniewu Stwórcy, i popatrzyła na planszę. Położyła palec wskazujący na kamieniu leżącym pośrodku.

- Stwórca? - próbował zgadywać na głos Friedrich, zanim zdążyła coś powiedzieć.

Pokręciła głową.

- Lord Rahl.

- Ale gwiazda w centrum symbolizuje Stwórcę, jego dar.

- Tak, w Grace. Jednak musisz pamiętać, że to wróżba. Czyli coś innego. Wróżba jedynie korzysta z Grace i w tym przypadku kamień w centrum symbolizuje osobę z jego darem.

- Więc to może być ktokolwiek - stwierdził Friedrich. - Ktokolwiek mający dar.

- Nie. Linie biegnące od ośmiu wierzchołków gwiazdy symbolizują dar, który przenika życie i poprzez zasłonę między światami sięga poza zewnętrzny krąg, w zaświaty. Symbolizują więc dar, którego nie ma nikt inny: dar magii obu światów, świata istot żywych i świata zmarłych, magii addytywnej i subtraktywnej. Kamień w centrum styka się z obydwoma.

Friedrich znów spojrział na kamień tkwiący pośrodku Grace.

- Ale czemu miałyby symbolizować lorda Rahla?

- Bo tylko on, pierwszy od trzech tysięcy lat, urodził się z darem obu magii. Wcześniej, zanim obudził się jego dar, żaden z kamieni nie zatrzymywał się w tym miejscu. Bo nie mógł. Ileż to minęło? Dwa lata, jak nastał po swoim ojcu? Mniej, odkąd zbudził się w nim dar, co już samo w sobie nasuwa kłopotliwe kwestie.

- Ale pamiętam, jak mi mówiłaś przed laty, że Rahl Posepny posługuje się

obiema stronami daru.

Althea, zapatrzona w mroczne wspomnienia, potrząsnęła głową.

- Korzystał też z mocy subtraktywnych, ale nie był to dar wrodzony. W zamian za przychyłność ofiarowywał Opiekunowi zaświatów czyste dusze dzieci. Rahl Posepny musiał kupować ograniczoną możliwość korzystania z owych mocy. Za to ten człowiek, ten lord Rahl, podobnie jak ci z dawnych czasów, urodził się z darem obu magii.

Friedrich nie wiedział, jak to potraktować, nie wiedział, jakie zagrożenie tak silnie odczuwa. Dobrze pamiętał dzień, kiedy nowy lord Rahl doszedł do władzy. Kiedy nastąpiło owo ważne wydarzenie, Friedrich był w pałacu ze swoimi złożonymi cackami. Zobaczył wówczas nowego lorda Rahla, Richarda.

To była chwila, którą się pamięta do śmierci: trzeci lord Rahl u władzy za życia Friedricha. Wyraźnie pamiętał tego nowego lorda Rahla - wysokiego, silnego, o spojrzeniu drapieżnego ptaka - maszerującego przez pałac i wydającego się jednocześnie na swoim i nie na swoim miejscu. No i miał ten miecz, legendarny miecz nie widziany w D'Harze od czasów, kiedy Friedrich był małym chłopcem, zanim jeszcze pojawiły się granice, odcinając krainę od reszty Nowego Świata.

Nowy lord Rahl szedł korytarzami Pałacu Ludu ze starcem - ludzie gadali, że to czarodziej - i z piękną, dumną kobietą. Kobieta owa, o wspaniałych włosach, odziana w białą atlasową szatę, sprawiała, że blask przepych i majestat pałacu.

Richard Rahl i ta kobieta pasowali do siebie. Friedrich zauważył, jak na siebie patrzyli. W szarych oczach mężczyzny i w zielonych oczach kobiety widać było oddanie, lojalność i więź, głębokie i łatwe do rozpoznania.

- A inne kamienie?

Althea wskazała poza szerszy krąg Grace, gdzie ośmielały się zapuszczać jedynie złożone promienie daru Stwórcy: na dwa ciemne kamienie tkwiące w świecie zmarłych.

- To ci, którzy słyszą głosy.

Skinął głową, bo potwierdziło to jego podejrzenia. W takich związanych z magią przypadkach nieczęsto potrafił się domyślić prawdy ukrytej za tym, co pozornie oczywiste.

- A pozostałe?

Wpatrywała się w kamienie leżące na granicy linii. Głos miała cichy, wtapiający się w szum deszczu.

- To protektorzy.

- Chronią lorda Rahla?

- Chronią nas wszystkich.

Wtedy spostrzegł łzy spływające po jej ogorzałych policzkach.

- Módl się - wyszeptała - żeby wystarczyli, bo inaczej Opiekun dopadnie nas wszystkich.

- Chcesz powiedzieć, że tylko ci czterej nas chronią?

- Są i inni, ale ci mają kluczowe znaczenie. Bez nich wszystko jest stracone.

Friedrich oblizał wargi, wystraszony o los czterech wartowników stojących przeciwko Opiekunowi zmarłych.

- Wiesz, kim oni są, Altheo?

Obróciła się, objęła go i przytuliła policzek do jego piersi. Był to dziecinny gest poruszający jego serce i sprawiający, że aż boleśnie ją kochał. Łagodnie otoczył ją ramionami i pocieszał, choć po prawdzie nie mógł jej ochronić przed tym, czego się słusznie bała.

- Zaniesiesz mnie na fotel, Friedrichu?

Kiwnął głową i uniósł w ramionach obejmującą go za szyję żonę. Zakołysały się jej bezwładne, bezużyteczne nogi. Dysponowała mocą, dzięki której otaczała zimą ich dom ciepłymi, smaganymi deszczem moczarami, a potrzebowała go, żeby ją przeniósł na fotel. Jego, Friedricha, zwyczajnego człowieka, którego kochała - człowieka pozbawionego daru. Człowieka, który ją kochał.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie, Altheo.

Mocniej objęła go za szyję.

- Jednym z tych czterech ochronnych kamieni jestem ja - wyszeptała.

Friedrich spojrział wielkimi oczami na Grace i leżące na nim kamienie. Szczęka mu opadła, kiedy zobaczył, że jeden z czterech kamieni rozsypał się w pył.

Nie musiała patrzeć.

- Jednym była moja siostra - powiedziała wtulona w jego ramiona. Wyczuł żałosny szloch. - Teraz są tylko trzy.

ROZDZIAŁ 15

Jennsen usunęła się z drogi ciągnącym od południa ludziami. Tuląc się do Sebastiana dla osłony przed wichrem, pomyślała przelotnie, czyby się nie zwinąć w kłębek na zamarzniętym poboczu i nie zasnąć. W brzuchu burczało jej z głodu.

Kiedy Rusty odsunęła się w bok, Jennsen chwyciła cugle bliżej wędzidła. Betty - oczy, uszy i ogonek kozy wyrażały czujność - przycisnęła się do uda dziewczyny, szukając otuchy. Bolały ją kopyta i od czasu do czasu parskala z irytacją na mijające ich tłumy. Gdy Jennsen poklepywała ją po pulchnym boku, ogonek Betty aż śmigał. Koza popatrzyła na dziewczynę, liznęła pysk Rusty i ułożyła się u stóp właścicielki.

Sebastian, opiekuńczo otaczając ramieniem barki Jennsen, przyglądał się wozom, wózkom i ludziom ciągnącym ku Pałacowi Ludu. Turkot wozów, głosy i śmiechy ludzi, szuranie stóp, tupot końskich kopyt zlewały się w jednostajny hałas, ponad który wybijały się brzęk metalu i miarowe poskrzypywanie osi. Wzbijane z drogi tumany kurzu niosły ze sobą woń nóg oraz odór potu ludzi i zwierząt, pozostawiając na języku Jennsen posmak brudu.

- I co myślisz? - zapytał cicho Sebastian.

Zimowy brzask spowijał lawendowym blaskiem odległe strome stoki wielkiego płaskowyżu. Urwiska wznosiły się tysiące stóp ponad równiny Azrith, a tkwiące na płaskowyżu dzieło człowieka sięgało jeszcze wyżej. Mrowie dachów za potężnymi murami tworzyło zbudowane tam miasto. Promienie nisko wiszącego słońca nasyciły ciepłym blaskiem niebotyczne marmurowe mury i kolumny.

Jennsen była malutka, kiedy matka ją stąd zabrała. Dziecinne wspomnienia o pobycie w mieście nie przygotowały jej dorosłych odczuć na przepych pałacu. Serce D'Hary stało, wyniosłe i dumne, triumfalnie górowało nad jałową ziemią. Podziw dziewczyny mącił jedynie fakt, że była to również siedziba rodu lorda Rahla.

Przesunęła dłonią po twarzy i na chwilę zamknęła oczy, broniąc się przed przeraźliwym bólem głowy, przed świadomością, że stanie się łupem lorda Rahla. To była trudna i wyczerpująca podróż. Za każdym razem, kiedy

zatrzymywali się na noc, ona przygotowywała obozowisko, Sebastian zaś ruszał na zwiady pod osłoną mroku. Wielokrotnie wracał pospiesznie, niosąc przerażające wieści o zbliżającej się pogoni. Musieli się zwijać i uciekać - pomimo wyczerpania, pomimo jej łez.

- Myślę, że zjawiliśmy się tu z konkretnego powodu - odparła w końcu. - Nie czas tracić odwagę.

- Teraz mamy ostatnią okazję, by stracić odwagę.

Przyglądała się przez chwilę ostrzegawczemu błyskowi w jego błękitnych oczach, a potem - i to była jej odpowiedź - włączyła się w ludzką rzekę. Betty się zerwała i popatrując na obcych, szła tuż przy lewej nodze Jennsen. Sebastian znalazł się po drugiej stronie.

Do Jennsen uśmiechała się starsza kobieta z mijającej ich furmanki.

- Sprzedałabyś kozę, kochanie?

Dziewczyna - jedną ręką trzymając linkę Betty i lejce Rusty, a drugą zaciskając kaptur peleryny, żeby go nie zwiały porywy wiatru - odwzajemniła uśmiech, ale pokręciła głową. Kobieta z furmanki uśmiechnęła się z rozczarowaniem i popędziła konie; Jennsen zauważyła wywieszkę o sprzedaży kielbas.

- Sprzedajecie dziś kielbasę?

Kobieta sięgnęła za siebie, odsunęła pokrywę i włożyła rękę do jednego z kociołków otulonych kocami i płótnem. Wyciągnęła spore pęto.

- Świeża, rankiem ugotowana. Zachęcam. Tylko srebrny pens, a jest tego warta.

Jennsen energicznie kiwnęła głową na zgodę, a Sebastian podał kobiecie monetę. Potem przeciął kielbasę i wręczył połowę Jennsen. Była cudownie gorąca. Dziewczyna prędko pochłonęła parę kęsów, prawie ich nie żując. Co za ulga, głód przestał być tak dotkliwy. Dopiero teraz zaczęła doceniać smak kielbasy.

- Jest pyszna! - zawołała do kobiety, która się uśmiechnęła, bynajmniej nie zdziwiona pochwałą. Po chwili, idąc obok wozu, spytała: - Znasz może kobietę o imieniu Altheą?

Sebastian zerknął ukradkiem na mijających ich ludzi. Tymczasem kobieta, w ogóle nie zaniepokojona pytaniem, pochyliła się ku Jennsen.

- Więc przyszedł po wróżbę?

Dziewczyna uznała, że lepiej się z tym zgodzić.

- Właśnie. Wiesz, gdzie ją mogę znaleźć?

- Nie znam jej, moja droga, ale znam jej męża, Friedricha. Zjawia się w pałacu, żeby sprzedawać swoje pozłacane figurki.

Wielu podążających drogą ludzi na pewno miało towary na sprzedaż. Jennsen przypominała sobie mgliście, że w czasach, kiedy była malutka, w pałacu ciągle było rojno, że co dnia przybywały tam tłumy sprzedające wszystko - od żywności po biżuterię. Wiele miast, w pobliżu których potem mieszkała, miało swój dzień targowy. Jednak Pałac Ludu był wielkim ośrodkiem, w którym handlowano co dnia. Przypomniła sobie, jak mama zabierała ją do straganów, żeby kupić żywność, a raz nawet materiał na sukienkę.

- A wiesz może, gdzie znajdziemy tego Friedricha albo kogoś, kto nam wskaże drogę?

Kobieta wyciągnęła rękę ku pałacowi.

- Friedrich ma niewielki stragan na placu targowym. Na górze. Słyszałam, że potrzebne jest zaproszenie, żeby się zobaczyć z Altheą. Radzę ci pogadać z Friedrichem.

Sebastian położył dłoń na plecach Jennsen, pochylił się ponad nią.

- Na górze? - spytał kobietę.

Kiwnęła głową.

- No wiesz, na górze, tam gdzie jest pałac. Sama tam nie jeżdżę.

- No to gdzie sprzedajesz kielbasę? - dopytywał się.

- Och, mam furę i konia, więc zostaję na drodze i sprzedaję tym, co idą do pałacu, i tym, co wracają. Gdybyście chcieli iść do męża Althei, to nie pozwolą wam zabrać koni na górę. No i kozy też nie. W środku są podjazdy dla koni żołnierzy i tych z urzędowymi sprawami, ale wozy z zaopatrzeniem przeważnie jeżdżą górską drogą od wschodniej strony. Nie pozwalają ot tak sobie wjeżdżać konno na górę. Tylko żołnierze trzymają tam swoje konie.

- No cóż - odezwała się Jennsen - musimy je zostawić w jakiejś stajni, jeżeli chcemy poszukać męża Althei.

- Friedrich rzadko się zjawia. Będziecie mieli szczęście, jeśli na niego traficie. Ale lepiej, żebyście z nim pogadali.

Dziewczyna połknęła kolejne kęsy kielbasy.

- Będzie tu dziś, według ciebie? A może wiesz, w jakie dni przychodzi do pałacu?

- Przykro mi, kochanie, ale nie mam pojęcia. - Kobieta nakryła głowę dużą czerwoną chustą, mocno zawiązała supeł pod brodą. - Widuję go od czasu do czasu, to wszystko. Raz czy dwa sprzedałam mu kiełbasę. Zabrał ją dla żony.

Jennsen spojrzała na niebotyczny Pałac Ludu.

- No to musimy tam pójść, nie ma rady.

Jeszcze nie znaleźli się w środku, a serce Jennsen już tłukło się szaleńczo. Widziała, jak Sebastian wsuwa dłoń pod pelerynę i dotyka rękojeści miecza. Nie mogła się oprzeć, żeby nie przycisnąć ramienia do boku i nie wyczuć dodającego otuchy noża schowanego pod peleryną. Miała nadzieję, że nie zabawi długo w pałacu. Wyruszą, jak tylko się dowiedzą, gdzie mieszka Althea. Im szybciej, tym lepiej.

Zastanawiała się, czy lord Rahl jest pałacu, czy też wojuje w ojczyźnie Sebastiana. Bardzo współczuła jego ziomkom, wydanym na łaskę Richarda Rahla - wiedziała, że ten człowiek nie zna litości.

Kiedy zdążali ku Pałacowi Ludu, pytała Sebastiana o jego ojczyznę. Opowiedział jej o przekonaniach i wierzeniach ludzi Starego Świata, o ich wrażliwości na ciężki los bliźnich, tęsknocie do błogosławieństwa Stwórcy. Z żarem mówił o ukochanym duchowym przywódcy Starego Świata, Bracie Narewie, i o jego uczniach z Ładu, którzy nauczali, że dobro innych to nie tylko powinność, ale i uświęcony obowiązek wszystkich ludzi. Nigdy nie sądziła, że istnieją krainy, których mieszkańcy są tak litościwi i pełni współczucia.

Sebastian mówił, że Imperialny Ład bohatersko walczy z najeźdźcami dowodzonymi przez lorda Rahla. Ona zaś doskonale rozumiała, co to znaczy bać się owego człowieka. To właśnie ten strach trapił ją w drodze do pałacu. Bała się, że jeżeli lord Rahl tam będzie, to dzięki swej mocy dowie się o jej przybyciu.

Przejechała, kierując się w przeciwną stronę, karna kolumna żołnierzy w kolczugach i ciemnych skórzanych pancerzach. Ich broń - miecze, topory i lance - połyskiwała groźnie w promieniach porannego słońca. Jennsen wbijała wzrok w ziemię, starając się nie patrzeć na żołnierzy. Bała się, że wyłowią ją z tłumu, jakby nosiła znak widoczny wyłącznie dla nich. Zakrywała kapturem rude włosy, żeby nie przyciągały uwagi.

Znaleźli się bliżej wielkich portali prowadzących w głąb płaskowyżu i

tłum zgęstniał. Na południe od urwistych skał powstało na równinach Azrith prowizoryczne miasteczko, utworzone przez budki i stragany sprzedawców. Przybysze ustawiali się tam, gdzie znaleźli miejsce. Wszyscy byli w dobrych nastrojach pomimo chłodu; wypakowywali i ustawiali swoje towary. Wielu już załatwiała interesy.

Wszędzie chodzili d'harańscy żołnierze. Byli wysocy, odziani w kolczugi i skórę, mieli wełniane mundury. Każdy nosił przynajmniej miecz, lecz wielu miało dodatkowy oręż - topór, morgenstern lub nóż. Byli czujni i uważni, ale nie naprzykrzali się kupcom i nie przeszkadzali im w interesach.

Kobieta sprzedająca kielbasę pomachała na pożegnanie Jennsen i Sebastianowi, po czym zjechała z drogi na wolne miejsce obok trzech mężczyzn, ustawiających na niskim stole beczułki wina. Wszyscy mieli mocno zarysowane podbródki, szerokie bary i rozczochrane włosy - najwyraźniej byli braćmi.

- Uważajcie, komu zostawiacie zwierzęta! - zawołała za nimi.

Wielu z tych, którzy rozstawili stragany na równinie, miało zwierzęta i wygodniej im było załatwiać sprawy tutaj, niż iść do pałacu. Jeszcze inni bładzili w tłumie, oferując różne towary. Może ich skromne produkty lepiej się sprzedawały na targu pod otwartym niebem. Niektórzy - jak kobieta z wozu - zjawili się, żeby sprzedać własnoręcznie wyprodukowaną żywność, a ponieważ było tu mnóstwo ludzi, nie musieli iść dalej. Jennsen podejrzewała, że część wołała nie narażać się na dokładniejszą kontrolę urzędników, a tym bardziej straży, we właściwym pałacu.

Sebastian przyglądał się wszystkiemu, choć nie natrętnie. Wyobrażała sobie, że liczy żołnierzy. Innym mogło się wydawać, że rozgląda się po straganach, skuszony różnorodnością wystawionych na sprzedaż towarów, lecz Jennsen widziała, że wpatruje się w wielkie wrota pomiędzy olbrzymimi kolumnami z kamienia.

- Co zrobimy z końmi? - zapytała. - I z Betty?

Wskazał na jedno z ogrodzeń, w którym uwiązano konie.

- Musimy je zostawić.

Nie dość, że była tak blisko siedziby człowieka, który próbował ją zabić, to jeszcze musiała znosić obecność rzeszy ludzi. Czuła taki niepokój, że nie potrafiła jasno myśleć. Poza tym zostawienie Betty w mieście, w stajni, to jedno, a zostawienie jej pośród tych wszystkich ludzi to zupełnie co innego.

Wskazała brodą niechlujnych mężczyzn pilnujących zagrody ze zwierzętami. Byli zaabsorbowani grą w kości.

- Sądziysz, że możemy powierzyć zwierzęta takim ludziom? A może to złodzieje? Chyba lepiej, żebyś został z końmi, a ja pójde poszukać męża Althei.

Sebastian przerwał obserwację żołnierzy strzegących wejścia.

- Rozdzielanie się w takim miejscu, Jenn, to zły pomysł. Poza tym nie chcę, żebyś sama tam szła.

Spojrzała w jego pełne troski oczy.

- A jeżeli wpadniemy w tarapaty? Naprawdę sądziysz, że przebijemy się na zewnątrz?

- Nie. Musisz się posługiwać rozumem, nie wolno ci tracić głowy. Przyszedłem z tobą aż tutaj, więc nie zamierzam cię teraz zostawić i pozwolić, żebyś sama tam szła.

- A jeżeli dobędą na nas mieczy?

- Jeśli się tak stanie, w takim miejscu jak to walka nic nam nie da. Lepiej wzbudzić strach, sprawić, żeby myśleli, jakaś groźna, niż od razu rwać się do walki. Musisz mydlić oczy.

- Nie jestem w tym dobra.

Zaśmiał się.

- Całkiem nieźle ci idzie. Udało ci się ze mną tej pierwszej nocy, kiedyś narysowała Grace.

- Ale wtedy byłeś sam, no i mama była w chacie. A tu jest tylu ludzi.

- Zrobiłaś to też w gospodzie, pokazując karczmarce rude włosy. To jej rozwiązało język. I trzymasz mężczyzn na dystans postawą i spojrzeniem. Potrafisz tak ich wypłoszyć, że cię zostawiają w spokoju.

Nigdy nie myślała o tym w ten sposób. Widziała w tym raczej desperację niż rozmyślnie wprowadzanie w błąd.

Betty pocierała łbem o nogę Jennsen, więc dziewczyna odruchowo gładziła uszy kozy, patrząc, jak mężczyźni przerywają grę w kości i odbierają konie od podróżnych. Nie spodobało się jej ich niedelikatne postępowanie, to, że używali szpicruty.

Przeszukała wzrokiem tłum i dostrzegła czerwoną chustę. Skróciła linkę Betty i ruszyła, ciągnąc za sobą również Rusty. Sebastian, zdziwiony, szybko znalazł się przy niej.

Kobieta w czerwonej chuście właśnie wystawiała kociołki z kielbasą, kiedy Jennsen do niej dotarła.

- Szanowna pani?

- Słucham, kochanie? Jeszcze kielbasy? - Uniosła pokrywę. - Dobra, nieprawdaż?

- Przepyszna. Ale ciekawam, czy przyjęłaby pani zapłatę za dojrzenie naszych koni i Betty.

Kobieta odłożyła pokrywkę na miejsce.

- Zwierzęta? Nie jestem stajenną, kochaniutka.

Dziewczyna, trzymając w dłoni linkę i lejce, oparła przedramię o bok wozu. Betty podwinęła nóżki i ułożyła się obok koła.

- Sądziłam, że nie miałyby pani nic przeciwko towarzystwu mojej kozy. Betty jest grzeczna i nie sprawi kłopotów.

Kobieta z uśmiechem spojrzała na zwierzaka.

- Więc to Betty? Cóż, chyba mogę popilnować twojej kozy.

Sebastian podał jej srebrną monetę.

- Gdybyśmy mogli uwiązać nasze konie przy twoich, byłibyśmy spokojni, że są w dobrych rękach, że będziesz miała na nie oko.

Kobieta dokładnie obejrzała monetę, a potem jeszcze dokładniej otaksowała wzrokiem Sebastiana.

- Długo wam zejdzie? Jak sprzedam kielbasę, zamierzam wracać do domu.

- Niedługo - odparła Jennsen. - Chcemy tylko znaleźć tego człowieka, o którym wspomniałaś, tego Friedricha.

Sebastian bez ceregieli wskazał monetę, którą kobieta wciąż trzymała w palcach.

- Jak wrócimy, dam ci jeszcze jedną w podzięcie za dojrzenie naszych zwierząt. A jeśli nie zdążymy wrócić, zanim sprzedasz kielbasę, dam dwie za poczekanie na nas.

Kobieta w końcu skinęła głową.

- No dobrze. Będę tu sprzedawać kielbasę. Przywiąż kozę do koła będę jej pilnować do twojego powrotu. - Skinęła ponad ramieniem. - A ty możesz zostawić konie przy moich, o tam. Mojej klaczce spodoba się towarzystwo.

Betty łakomie wzięła kawałek marchewki z dłoni Jennsen. Rusty trąciła łbem ramię dziewczyny, przypominając o sobie, więc i ona dostała porcję.

Potem Jennsen podała kawałek marchewki Sebastianowi, żeby i Pete nie został pominięty.

- Gdybyście mnie nie znaleźli, to pytajcie o Irmę, kiełbasianą damę.

- Dziękujemy, Irmo. - Jennsen gładziła uszy Betty. - Doceniam twoją pomoc. Wrócimy, zanim się obejrzysz.

Wmieszali się w tłum podążający na wielki płaskowyż i Sebastian otoczył ramieniem kibić Jennsen, towarzysząc jej w drodze ku szeroko otwartemu wejściu do pałacu lorda Rahla. Jennsen słyszała w dali żałosne meczenie opuszczonej Betty.

ROZDZIAŁ 16

Żołnierze w lśniących napierśnikach, trzymający na sztorc piki z połyskującymi w słońcu ostrymi jak brzytwa grotami przyglądali się w milczeniu ludziom przechodzącym między olbrzymimi kolumnami. Kiedy spojrzeli badawczo na Jennsen i Sebastiana, dziewczyna uważała, żeby nie patrzeć im w oczy. Opuściła głowę i szła krok w krok z tłumem sunącym obok szeregu żołnierzy. Nie wiedziała, czy strażnicy zwrócili na nich szczególną uwagę, lecz żaden nie usiłował jej pochwycić, więc szła dalej.

Obszerne, przypominające jaskinię wejście wyłożone było kamienną okładziną w jasnych barwach i Jennsen wydawało się, że wchodzi do wielkiego holu, a nie kroczy tunelem na płaskowyż o rozmiarach góry. W osadzonych w ścianach uchwytach tkwiły skwierczące pochodnie, które oświetlały drogę. Powietrze pachniało palącą się smołą, ale było tu ciepło i nie docierał zimowy wiatr.

Po obu stronach znajdowały się wykute w skale pomieszczenia. Większość z nich była zaledwie wgłębieniami, oddzielonymi niską ścianką, za którą kupcy sprzedawali swoje towary. W wielu małych niszach ściany zdobiły materie o jasnych barwach lub malowane deski. Wyglądało na to, że każdy może tu założyć sklepik i sprzedawać swoje produkty. Jennsen pomyślała, że handlujący w tunelu muszą płacić czynsz za swoje pomieszczenia, ale za to mają ciepłe i suche sklepiki, w których klienci chętniej się na dłużej zatrzymują.

Obok szewca stały grupki rozmawiających ludzi, którzy czekali na naprawę butów; inni stali po piwo, chleb czy miseczki gorącego gulaszu. Jakiś mężczyzna śpiewnie nawoływał do odwiedzenia swojego kramu, w którym sprzedawał pasztety. W gwarnym i rojnym pomieszczeniu upinano lub kręcono włosy kobietom i ozdabiano fryzury kolorowymi szkiełkami osadzonymi w delikatnych łańcuszkach. W innym robiono im makijaż lub malowano paznokcie. W kolejnych sklepikach sprzedawano przepiękne wstążki, niektóre przycięte na kształt kwiatów, do zdobienia sukien. To wszystko uświadomiło Jennsen, że wielu ludzi chciało jak najlepiej wyglądać, kiedy się zjawią w pałacu, gdzie chcieli się pokazać i gdzie miano ich oglądać.

Sebastiana to wszystko najwyraźniej dziwiło tak samo jak ją. Jennsen zatrzymała się obok kramu, przy którym nie było klientów. Niewysoki mężczyzna z przyklejonym do warg uśmiechem ustawiał cynowe kufle.

- Czy znacie, panie, złotnika imieniem Friedrich?

- Na dole nie ma nikogo o tym imieniu. A takie cacka zwykle sprzedaje się na górze.

Weszli głębiej w podziemne przejście i ramię Sebastiana znów otoczyło kibić Jennsen. Jego bliskość, przystojna twarz i skierowany ku niej uśmiech dodawały dziewczynie otuchy. Sterczące krótkie białe włosy wyróżniały go spośród innych - czyniły kimś wyjątkowym i niezwykłym. Błękitne oczy znały wyjaśnienie tak wielu tajemnic szerokiego świata, którego ona nigdy nie widziała. Dzięki niemu niemal zapomniała o bólu po stracie matki.

Tłum mijał ciągiem szeroko otwartych żelaznych wrót. Jennsen czuła się nieswojo, przechodząc przez nie, świadoma, że jeżeli się zamkną, znajdzie się w pułapce. Dalej znajdowały się szerokie marmurowe schody - jaśniejsze niż słoma, białe żyłkowane - prowadzące na obszerne podesty otoczone mocną kamienną balustradą. Pięknie wykonane drewniane drzwi - tak inne od wielkich żelaznych wrót wiodących w głąb podstawy płaskowyzu - zamykały niektóre pomieszczenia. Bielone korytarze, doskonale oświetlone lampami z odbłyśnikiem, pozwalały zapomnieć, że jest się wewnątrz skały.

Schody zdawały się nie mieć końca - niekiedy rozgałęziały się w różne strony. Z części podestów można było przejść do obszernych pasaży - docelowego punktu wielu ludzi. Wyglądało to jak pogrążone w wiecznej nocy miasto, oświetlone setkami ściennych lamp z lustrami i licznymi lampkami zamocowanymi na prętach sięgających od stropu do podłogi. Tu i ówdzie stały piękne kamienne ławy, na których można było odpocząć. Na pewnych poziomach znajdowały się małe sklepiki, w których sprzedawano chleb, sery, mięsiwo; i tu gdzieś stały stoliki i ławy. Nie było tu wcale ciemno i ponuro, raczej przytulnie, nawet romantycznie.

Wejścia do części pasaży strzegły wielkie wrota oraz strażę - prawdopodobnie znajdowały się tam koszary. Raz Jennsen dostrzegła spiralną rampę, po której zjeżdżali konni.

Dziewczyna bardzo mgliście pamiętała z dzieciństwa owo miasto pod pałacem. Teraz było to dla niej miejsce nieustannych zadziwień.

Kiedy zmęczyła się wchodzeniem po schodach i maszerowaniem

korytarzami, pojęła, dlaczego wielu ludzi wolało zostawać na równinie. Droga na górę była długa i trudna, zabierała mnóstwo czasu. Z zasłyszanych rozmów wynikało, że całkiem sporo ludzi zamierza pozostać tu dłużej i wynajmie pokoje w pałacu, który był jak miasto.

Wreszcie trud Jennsen i Sebastiana został nagrodzony: wyszli w światło dnia. Marmurowy hol okalały trzy kondygnacje balkonów z kolumnami podtrzymującymi łukowate prześwity. Przeszklone okna wpuszczały światło; Jennsen nigdy jeszcze nie widziała takiego pomieszczenia. Wzruszyło ją jego piękno, Sebastian zaś stał jak rażony piorunem.

- Jak ludzie mogli zbudować coś takiego? - wyszeptał. - I dlaczego?

Jennsen nie umiała odpowiedzieć na żadne z tych pytań. Jednak chociaż tak nienawidziła tych, którzy rządzą jej krajem, pałac i tak przepętniał ją podziwem. Zbudowali go ludzie, których rozum i wyobraźnia przekraczały jej pojmowanie.

- Tyle jest nędzy na świecie - mruknął do siebie Sebastian - a ród Rahlów buduje sobie ten marmurowy monument.

Pomyślała, że z Pałacu Ludu korzysta nie tylko sam lord Rahl, ale i wiele tysięcy innych ludzi - ci, którzy dzięki pałacowi zarabiają na życie, najrozmaitsi ludzie, aż do Army, kiełbasianej damy - jednak nie chciała niszczyć swojego zachwyty wyjaśnieniami.

Korytarz zajmowały warsztaty mieszczące się pod balkonami. Niektóre były zwyczajne, z jednym rzemieślnikiem, lecz wiele odgradzały szyby. Te miały drzwi i szyldy, a wewnątrz pracowało paru ludzi. Strzyżono tu włosy, wrywano zęby, malowano portrety, szyto odzież i sprzedawano najrozmaitsze rzeczy - od zwyczajnych produktów i ziół po bezcenne pachnidła i klejnoty. Od aromatów potraw śliska napływała do ust. Widoki oszałamiały.

Jennsen przyglądała się wszystkiemu, szukając warsztatu złotnika, gdy nagle zauważyła dwie kobiety w brązowych skórzanych uniformach. Każda z nich splotła długie jasne włosy w warkocz. Dziewczyna wczepiła się w ramię Sebastiana i pociągnęła go w boczne przejście. Wlokła go za sobą w milczeniu, starając się iść na tyle wolno, żeby nie wzbudzić podejrzeń ludzi, a jednocześnie możliwie najszybciej zejść z oczu tamtym dwóm. Schowała się natychmiast za pierwszą z wielkich kolumn w bocznym holu i pociągnęła ku sobie Sebastiana. Ludzie popatrzyli na nich, więc usiedli na kamiennej

ławie pod ścianą, starając się wyglądać zupełnie zwyczajnie. Spod przeciwległej ściany spoglądał na nich posąg nagiego mężczyzny wspartego o włócznię.

Niepewnie, ostrożnie wyrzeli zza kolumny. Jennsen patrzyła, jak odziane w skórę kobiety mijają odgałęzienie; obserwowały ludzi chłodnymi, przenikliwymi, inteligentnymi oczami. Były to oczy kobiet mogących w jednej chwili, bez żalu zdecydować o życiu lub śmierci. Kiedy jedna z nich zerknęła ku bocznemu holowi, Jennsen zanurkowała za kolumnę i przywarła do ściany. Z ulgą patrzyła na plecy tamtych, kiedy w końcu odeszły głównym korytarzem.

- Co się stało? - zapytał Sebastian, kiedy wreszcie odetchnęła z ulgą.

- Mord-Sith.

- Co?

- Te dwie kobiety. To były Mord-Sith.

Ostrożnie wyrzwał, by rzucić na nie okiem, ale już zniknęły.

- Wiem o nich tylko tyle, że są swego rodzaju strażniczkami. - Uświadomiła sobie, że może o nich nie wiedzieć, skoro jest z innego kraju. - Na swój sposób. Mord-Sith to bardzo specjalna straż. O ile wiem, tworzą straż przyboczną samego lorda Rahla. Chronią go i w ogóle. Torturami wydobywają informacje z ludzi z darem.

- Masz na myśli tych z darem zwyczajnej magii.

- Każdej magii. Nawet czarodziejkę. Nawet czarodzieja.

Najwyraźniej nie dowierzał jej.

- Czarodziej włada potężną magią. Mógłby swoją mocą zdruzgotać te kobiety.

Matka opowiadała Jennsen o Mord-Sith, o tym, jak są niebezpieczne i że powinna ich za wszelką cenę unikać. Matka nigdy nie tała przed nią natury śmiertelnych zagrożeń.

- Nie. Mord-Sith przywłaszcza sobie magię innych, nawet czarodzieja lub czarodziejki. Potrafi zawładnąć nie tylko osobą, ale i jej magicznym darem. Nie ma ucieczki przed Mord-Sith, chyba że sama kogoś uwolni.

Sebastiana oszołomiło to jeszcze bardziej.

- Jak to „przywłaszcza sobie magię innych”? To nie ma sensu. Na co im cudza magia? To jakby wyrwać komuś zęby i próbować nimi jeść.

Jennsen wsunęła pod kaptur rude pukle, które się wysliznęły.

- Nie wiem, Sebastianie. Słyszałam, że wykorzystują magię swoich więźniów przeciwko nim, żeby ich krzywdzić, zadawać im ból.

- To czemu mamy się ich obawiać?

- Mogą torturami wydobywać informacje z posiadających dar wrogów lorda Rahla, ale potrafią skrzywdzić każdego. Zauważyłeś ich broń?

- Nie. Nie zauważyłem u nich żadnej broni. Miały tylko niewielki pręt z czerwonej skóry.

- To właśnie ich oręż. Zwą go Agiel. Noszą go na łańcuszku zapiętym wokół przegubu, żeby zawsze był pod ręką. To magiczna broń.

Rozważał jej słowa, lecz najwyraźniej ich nie pojmował.

- Co robią tym swoim Agielem?

Od niedowierzania przeszedł do spokojnego, systematycznego zdobywania informacji. Znowu wykonywał zadanie, z którym przysłał go tu Jagang Sprawiedliwy.

- Nie bardzo się na tym znam, ale słyszałam, że dotknięcie Agielem może zadać straszliwy ból, połamać kości, zabić. Mord-Sith decydują o natężeniu bólu, o tym, czy kości mają się łamać, czy ofiara ma umrzeć.

Patrzył ku skrzyżowaniu i dumiał nad tym, co powiedziała.

- Dlaczego tak się ich boisz? I dlaczego tak się lękasz tego wszystkiego, skoro tylko o tym słyszałaś?

Teraz ona nie dowierzała.

- Całe życie ściga mnie lord Rahl, Sebastianie. Te kobiety są jego przybocznymi zabójczyniami. Jak myślisz, chętnie by mnie rzuciły swemu panu pod nogi?

- Przypuszczam, że tak.

- Przynajmniej były w brązowej skórze. Czerwoną noszą, gdy czują zagrożenie lub gdy kogoś torturują. Na czerwonym krew się tak nie odznacza.

Przesunął dłońmi po oczach, a potem po sterczących białych włosach.

- Ten twój kraj jest jak z koszmaru, Jennsen Daggett.

O mało nie sprostowała: Jennsen Rahl. Jennsen po matce. Rahl po ojcu.

- Sądzisz, że tego nie wiem?

- A co, jeżeli ta czarodziejka nie zechce ci pomóc?

Skubała nitkę na kolanie.

- Nie wiem.

- Będzie cię ścigać. Lord Rahl nigdy nie da ci spokoju. Nigdy nie będziesz wolna.

...chyba, że go zabijesz - dosłyszała to, co przemilczał.

- Althea musi mi pomóc... Mam już dosyć lęku. - Jennsen była bliska łez. - Dość uciekania.

Delikatnie położył dłoń na jej ramieniu.

- Rozumiem.

Żadne słowo nie byłoby ważniejsze w takiej chwili. Zdołała jedynie skinąć głową w podzięcie.

- I my mamy takie kobiety z darem jak Althea - powiedział żarliwie. - Są z sekty. To Siostry Światła, które mieszkały w Pałacu Proroków w Starym Świecie. Kiedy Richard Rahl najechał Stary Świat, zniszczył ich pałac. Mówią, że była to piękna i szczególna budowla, ale on ją zniszczył. Teraz Siostry są przy imperatorze Jagangu, pomagają mu. Może i nasze czarodziejki mogłyby ci pomóc, Jennsen.

Spojrzała w jego pełne troski oczy.

- Naprawdę? Może te, które są przy imperatorze, znalazłyby sposób, żeby mnie ukryć przed czarami mojego zbrodniczego przyrodniego brata? Ale on jest zawsze o krok i czeka, żebym się potknęła, bo wtedy mógłby uderzyć. Nie sądzę, Sebastianie, żebym dotarła aż tak daleko. Althea już kiedyś pomogła ukryć mnie przed lordem Rahlem. Muszę ją przekonać, żeby znowu mi pomogła. Jeżeli nie zechce, to obawiam się, że już po mnie.

Znów się wychylił zza kolumny, rozejrzał i uśmiechnął do niej porozumiewawczo.

- Odnajdziemy Altheę. Jej magia cię ukryje i wtedy będziesz mogła stąd uciec.

Poczuła się lepiej i odwzajemniła uśmiech.

Uznali, że jest bezpiecznie, skoro Mord-Sith odeszły, więc wrócili do holu, by poszukać Friedricha. Dopytywali się o niego w paru miejscach, aż wreszcie Jennsen znalazła kogoś, kto wiedział o rzemieślniku. Z nową nadzieją ruszyli w głąb pałacu - kierując się otrzymanymi wskazówkami - ku zbiegowi głównych korytarzy.

Tu, pośrodku skrzyżowania dwóch głównych korytarzy, Jennsen ze zdumieniem zobaczyła spokojny plac z czworokątnym zbiornikiem ciemnej wody. Sadzawkę okalały płyty, a nie zwyczajny marmur. Na skraju płyt stały

cztery kolumny podtrzymujące ramy prześwietu teraz, zimną, zakrytego ciężkimi szklanymi płytami. Ukośne tafle szkła sprawiały, że padające światło było migotliwe i jakby płynne.

W sadzawce, nieco w bok od środka - co wydało się Jennsen właściwe, choć nie za bardzo rozumiała dlaczego - stał czarny dziobaty głaz, na którym ustawiono dzwon. Było to tchnące spokojem sanktuarium pośrodku ruchliwego placu.

Widok czworokątnej sadzawki z dzwonem przywołał wspomnienia o podobnych miejscach. Jennsen przypomniała sobie, że dźwięk dzwonu zwoływał ludzi: gromadzili się, nisko kłaniali i recytowali modły do lorda Rahla. Podejrzewała, że taki hołd był ceną płaconą za zaszczyt przebywania w jego pałacu.

Ludzie siedzieli na niskim murku okalającym sadzawkę, rozmawiali przyciszonymi głosami i przyglądali się pomarańczowym rybom pływającym w ciemnej wodzie. Nawet Sebastian przyglądał się przez parę minut, zanim ruszył w dalszą drogę.

Wszędzie widać było czujnych żołnierzy. Niektórzy trzymali straż w newralgicznych punktach. Oddziałki krążyły korytarzami, obserwując ludzi i zatrzymując niektórych, żeby o coś zapytać. Jennsen nie wiedziała, o co pytali, ale ogromnie ją to niepokoiło.

- Co powiemy, jak nas spytają? - odezwała się do Sebastiana.

- Lepiej nic nie mówić, dopóki się nie musi.

- Ale jeżeli się musi, to co wtedy?

- Powiedz im, że mieszkamy na farmie, na południu. Rolnicy żyją na uboczu i niewiele wiedzą o tym, co się dzieje poza ich gospodarstwem, więc nie będzie podejrzane, jeżeli powiemy, że o niczym innym nie mamy pojęcia. Przyszliśmy, żeby zobaczyć pałac, a może i kupić przy okazji parę rzeczy, na przykład ziół i innych takich.

Jennsen spotykała rolników i wcale nie uważała, że tak słabo się we wszystkim orientują, jak sądził Sebastian.

- Rolnicy uprawiają zioła albo je zbierają - wyjaśniła. - Wątpię, by przychodzili do pałacu, żeby je kupić.

- Hmm, no to... no to przyszliśmy po jakieś delikatne płótno, żebyś mogła uszyć dziecku ubranka.

- Dziecku? Jakiemu dziecku?

- Twojemu. Jesteś moją żoną i właśnie odkryłaś, że jesteś w ciąży. Będziesz miała dziecko.

Jennsen poczuła, jak się czerwieni. Nie mogła powiedzieć, że jest w ciąży. To by tylko wywołało kolejne pytania.

- No dobrze. Jesteśmy rolnikami i chcemy kupić parę drobiazgów, w tym zioła. Rzadko spotykane zioła, których sami nie uprawiamy.

W odpowiedzi jedynie zerknął na nią spod oka i uśmiechnął się. Znow objął ją w tali, pewnie żeby rozwiązać jej skrępowanie.

Minęli kolejne przecięcie korytarzy i, zgodnie z otrzymanymi wskazówkami, skręcili w prawo, w następny hol. Ten również otaczały kramy sprzedawców. Jennsen natychmiast spostrzegła kram, przed którym wisiała poślacana gwiazda. Nie wiedziała, czy to zamierzone czy nie, lecz poślacana gwiazda była ośmioramienna, jak gwiazda w Grace. Wystarczająco często rysowała Grace, żeby to wiedzieć.

Z Sebastianem u boku pospieszyła ku owemu kramowi. Serce w niej zamarło, kiedy zobaczyła puste krzesło - ale nadal był ranek i tłumaczyła sobie, że może po prostu nie zdążył jeszcze przyjść. Pobliskie kramy też były zamknięte.

Przystanęła kilka stoisk dalej, tam gdzie sprzedawano skórzane kubki.

- Nie wiesz, czy będzie dzisiaj złotnik? - spytała mężczyznę, który tam pracował.

- Wybacz, ale nie mam pojęcia - odparł, nie odrywając oczu od roboty. Właśnie wycinał ozdoby. - Dopiero co zacząłem.

Pospieszyła do następnego otwartego straganu, w którym oferowano makatki w barwne wzory. Odwróciła się, żeby odezwać się do Sebastiana, ale akurat pytał o coś w pobliskim straganie.

Kobieta za niską ladą haftowała na prostokącie grubo tkanego płótna błękitny strumyk płynący pośród gór. Z niektórych kawałków ozdobionego tak materiału uszyto poduszki, wyłożone na stojącym w głębi stelażu.

- Nie wiecie może, czy będzie tu dziś złotnik?

Kobieta uśmiechnęła się do niej.

- Przykro mi, ale o ile wiem, dziś go nie będzie.

- Oooo, rozumiem. - Jennsen, rozczarowana niepomyślnymi wieściami, zamilkła, nie wiedząc, co powiedzieć. - A wiecie przynajmniej, kiedy tu wróci?

Kobieta wbiła igłę, dodając kolejny błękitny ścieg wody.

- Nie, nie wiem. Kiedy go ostatnio widziałam, ponad tydzień temu, mówił, że przez jakiś czas może go nie być.

- Dlaczego? Nie wiecie?

- Nie mam pojęcia. - Wyciągnęła długą nić z naprężonego płótna. - Czasem przez jakiś czas się nie pojawia. Pracuje nad swoimi złoceniami, szykując tyle, żeby mu się opłaciła podróż do pałacu.

- A może wiecie, gdzie mieszka?

Kobieta spojrzała na nią spod zmarszczonych brwi.

- A czemu chcesz to wiedzieć?

Dziewczyna zastanawiała się pospiesznie. Powiedziała to, co jej przyszło na myśl, czego się dowiedziała od Irmy, kielbasianej damy, pilnującej Betty.

- Chciałabym pójść po wróżbę.

- Ach - rzekła kobieta, robiąc kolejny ścieg. Ta odpowiedź rozwiała jej podejrzenia. - Czyli tak naprawdę chcesz się zobaczyć z Altheą.

Jennsen potwierdziła.

- Mama zabrała mnie do Althei, kiedy byłam mała. Teraz, kiedy mama... odeszła, chciałabym znowu zobaczyć się z Altheą. Pomyślałam, że może wróżba doda mi otuchy.

- Przykro mi z powodu twojej mamy, kochanie. Rozumiem cię. Kiedy straciłam swoją, też przeżyłam ciężkie chwile.

- Powiecie mi, jak znaleźć Altheę?

Hafciarka odłożyła robótkę i podeszła do niskiej ścianki przed swoim straganem.

- Do Althei kawał drogi, na zachód, przez opustoszałe ziemie.

- Równiny Azrith.

- Właśnie. Dalej na zachód teren staje się nierówny, górzysty. Za najwyższymi ośnieżonymi górami, dokładnie na zachód od pałacu, skręć na północ, trzymaj się blisko skał i idź przed siebie, a dotrzesz do paskudnej, nisko położonej okolicy. Bagnistej. Tam mieszkają Althea i Friedrich.

- Na moczarach? Ale nie w zimie.

Kobieta nachyliła się ku niej i zniżyła głos.

- Ludzie gadają, że nawet w zimie. Moczary Althei to parszywe miejsce. Niektórzy gadają, że to nie jest prawdziwe, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- Mówisz o jej... magii?

- Niektórzy tak gadają. - Wzruszyła ramionami.

Jennsen podziękowała i powtórzyła wskazówki:

- Za największymi ośnieżonymi górami na zachód stąd trzymać się skał i iść na północ. Potem moczarami.

- Paskudna, niebezpieczna i bagnista okolica. - Kobieta podrapała się w głowę długim paznokciem. - Ale nie idź tam, póki cię nie zaproszą.

Dziewczyna rozejrzała się, żeby dać znak Sebastianowi, ale nie było go w pobliżu.

- A jak dostać zaproszenie?

- Większość ludzi prosi Friedricha. Widziałam, jak tu przychodzą, gadają z nim i odchodzą, w ogóle nie patrząc na jego cacka. Pewnie pyta Altheę, czy się zechce z nimi zobaczyć, i jak znów się tu zjawia ze swoimi cackami, to ich zaprasza. Czasem ludzie dają mu list dla żony. Niektórzy jadą tam i czekają. Słyszałam, że czasem Friedrich przychodzi z moczarów do tych ludzi i przekazuje im zaproszenie Althei. Ale niektórzy wracają ze skraju moczarów, nie zobaczywszy się z Althea, a całe ich długie czekanie idzie na marne. Są i tacy, którzy ośmielają się tam zapuścić bez zaproszenia. Ale nikt nigdy nie wrócił, żeby o tym opowiedzieć, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- Mówicie, że powinnam tam pójść i po prostu czekać? Czekać, aż ona lub jej mąż po nas przyjdą?

- Tak mi się widzi. Ale to nie Althea przyjdzie. Słyszałam, że ona nigdy nie opuszcza swoich moczarów. Możesz tu przychodzić każdego ranka, dopóki Friedrich znów się nie zjawi ze swoimi cackami. Nigdy nie znikał na dłużej niż miesiąc. Według mnie wróci do pałacu w kilka tygodni.

Tygodnie. Jennsen nie mogła tkwić w jednym miejscu, skoro ścigali ją ludzie lorda Rahla i byli coraz bliżej. Sebastian mówił, że są tak blisko, więc pewnie nie zostało jej wiele dni, a tym bardziej tygodni, zanim ją złapią.

- Dziękuję za pomoc. Pewnie przyjdę któregoś dnia sprawdzić, czy Friedrich wrócił, i zapytać go, czy mogę iść po wróżbę.

Kobieta uśmiechnęła się, usiadła i podniosła robótkę.

- Tak będzie najlepiej. - Spojrzała na Jennsen. - Przykro mi było usłyszeć o twojej mamie, skarbie. Wiem, jakie to trudne.

Dziewczyna skinęła głową; bliska płaczu, wołała się nie odzywać. Stała jej przed oczami tamta scena. Żołnierze, pełno krwi, przerażenie, że ją dopadli, mama na podłodze, poraniona, z odciętą ręką. Z trudem odsunęła

od siebie to wspomnienie, bo inaczej zatraciłaby się w rozpacz i gniewie.

Domagały się rozwiązania świeże problemy. Odbyli długą i ciężką podróż zimą, żeby odnaleźć Altheę, żeby uzyskać od niej pomoc. Nie mogli tu czekać z nadzieją, że zostaną zaproszeni do niej - ludzie lorda Rahla byli tuż-tuż. Kiedy ostatnio Jennsen się zawahała, straciła okazję: Lathea została zamordowana. To się mogło powtórzyć. Musiała się dostać do Althei przed tymi żołnierzami, żeby jej chociaż opowiedzieć o siostrze i ostrzec.

Dziewczyna rozglądała się po rozległym holu, wypatrując Sebastiana. Nie mógł odejść zbyt daleko. Zobaczyła go, a właściwie jego plecy, po przeciwnej stronie szerokiego korytarza: akurat odchodził od kramu, w którym sprzedawano srebrne kosztowności. Zanim zrobiła dwa kroki, ujrzała, jak zjawiają się żołnierze i otaczają go. Znieruchomiła. Sebastian też. Jeden z żołnierzy ostrożnie uniósł tył peleryny Sebastiana, odsłaniając broń przypiętą do pasa. Jennsen była zbyt przerażona, żeby się poruszyć, zrobić kolejny krok.

W Sebastiana wycelowano kilka pik o lśniących, ostrych jak brzytwa grotach. Dobyto mieczy. Ci, którzy byli blisko, cofnęli się, inni się odwrócili, żeby popatrzeć. Sebastian, otoczony pierścieniem olbrzymich d'harańskich żołnierzy, rozłożył ręce w geście poddania.

Podдай się.

I wtedy zabrzmiał dzwon, ten na placu.

ROZDZIAŁ 17

Samotny ton dzwonu zwołującego ludzi na modły niósł się echem po rozległych holach. Dwaj wielcy żołnierze chwycili Sebastiana za ramiona i zaczęli go ciągnąć. Jennsen patrzyła bezradnie, jak reszta D'Harańczyków otacza ich zwartą grupą, połyskującą stalą nie tylko po to, żeby trzymać więźnia w szachu, ale i zapobiec każdej próbie odbicia go. Natychmiast zrozumiała, że byli przygotowani na każdą możliwość i nie ryzykowali, nie mając pojęcia, czy ten pojedynczy uzbrojony człowiek nie jest forpoczta sił gotowych szturmować pałac.

Dziewczyna widziała, że i inni odwiedzający pałac mieli miecze. Może podejrzenia żołnierzy wzbudził fakt, że Sebastian miał też inną broń, ukrytą. Ale przecież nic złego nie robił. Była zima, więc to normalne, że owijał się peleryną. Nie czynił żadnej szkody. Jennsen chciała zawołać do żołnierzy, żeby go zostawili w spokoju, ale się bała, że wtedy i ją zabiorą.

Ludzie, którzy się odsunęli od potencjalnego punktu zapalnego, zaczęli - wraz z innymi przemierzającymi korytarze - podążać w stronę placu. Pracownicy z warsztatów i kramów odłożyli robotę i przyłączyli się do nich. Nikt się zbyt nie interesował żołnierzami. Ów pojedynczy dźwięk, ciągle jeszcze wiszący w powietrzu, sprawił, że śmiechy i rozmowy przeszły w pełne szacunku szepty.

Jennsen zobaczyła, że żołnierze kierują Sebastiana w boczny korytarz, i ogarnęła ją panika. Jego białe włosy kontrastowały z otaczającymi go ciemnymi pancerzami. Nie wiedziała, co robić. To się nie powinno stać. Przyszli tu tylko po to, żeby odnaleźć złotnika. Chciała krzyknąć do żołnierzy, żeby go puścili. Ale nie śmiała.

Jennsen.

Dziewczyna opierała się strumieniowi ludzi, usiłowała nie stracić z oczu Sebastiana i jego strażników. Lord Rahl ją ścigał, a teraz oni pojмали Sebastiana. Mamę zamordowano, a teraz oni zabierali gdzieś Sebastiana. To nie było sprawiedliwe.

Kiedy tak patrzyła, bojąc się zrobić cokolwiek, żeby powstrzymać żołnierzy, zawstydziała się własnego strachu. Sebastian tyle dla niej zrobił. Tak wiele dla niej poświęcił. Zaryzykował życie, żeby ją ocalić.

Oddychała z trudem, nierówno. Ale cóż mogła zrobić?

Poddaj się.

Nie było w porządku to, co robili z Sebastianem, z nią, z niewinnymi ludźmi. Gniew przeważał nad strachem.

Tu vash misht.

Znalazł się tutaj wyłącznie z jej powodu. Prosiła, żeby z nią poszedł.

Tu vask misht.

A teraz znalazł się w opałach.

Grushdeva du kalt misht.

Słowa brzmiały tak słusznie. Rozbłysły w niej niesione rozpalającym się gniewem.

Ludzie ją potrącali. Warczała przez zaciśnięte zęby i przepychała się przez ciżbę, starając się iść za żołnierzami prowadzącymi Sebastiana. To nie było w porządku. Chciała, żeby się zatrzymali. Po prostu zatrzymali. Zatrzymali.

Bezradność doprowadzała ją do rozpacz. Miała jej dość. Coraz bardziej ją złościło, że szli dalej, że nie chcieli się zatrzymać.

Poddaj się.

Jennsen wsunęła rękę pod pelerynę. Ucieszył ją dotyk zimnej stali. Zaciśnęła palce na rękojeści noża. Czowała, jak się jej wbija w dłoń ozdobny symbol rodu Rahlów.

Jakiś żołnierz łagodnie ją przesunął, obrócił w stronę, w którą podążał tłum.

- Plac modlitewny jest tam, pani.

Brzmiało to jak wskazówka, lecz miało w sobie rozkazującą nutę.

Spojrzała mu w oczy, rozgniewana. Zobaczyła oczy martwego żołnierza. Zobaczyła żołnierzy w swojej chacie - leżących na podłodze, martwych, rzucających się ku niej, chwytających ją. Zobaczyła poprzez purpurowy blask krwi jakieś drgnienia.

Kiedy patrzyli sobie w oczy, Jennsen poczuła, jak jej nóż wysuwa się z wiszącej u pasa pochwy.

Pociągnęła ją czyjaś dłoń.

- Tędy, kochanie. Pokażę ci, gdzie to jest.

Dziewczyna zamrugała. To była kobieta, która powiedziała jej, jak trafić do Althei. Która siedziała w pałacu tego krwiożerczego łotra lorda Rahla i

haftowała spokojne obrazki gór i strumyków.

Jennsen wpatrywała się w kobietę, w jej niewytłumaczalny uśmiech i starała się to jakoś pojąć. Wszystko dokoła wydawało się jej dziwnie niezrozumiałe. Wiedziała jedynie, że trzyma w dłoni rękojeść noża i pragnie go dobyć.

Jednak nóż z jakiegoś powodu uparcie tkwił tam, gdzie był.

Początkowo Jennsen uznała, że zawładnęła nią jakaś wroga magia, lecz ostatecznie stwierdziła, że to owa kobieta ciasno, po matczynemu obejmuje ją ramieniem. To ta kobieta, nawet o tym nie wiedząc, nie pozwalała nożowi dziewczyny wysunąć się z pochwy. Jennsen zaparła się i nie pozwoliła odciągnąć.

Teraz w oczach kobiety pojawiło się ostrzeżenie.

- Nikt nie opuszcza modłów, kochanie. Nikt. Zaprowadzę cię tam.

Żołnierz z ponurą miną patrzył, jak Jennsen ustąpiła i pozwoliła kobiecie się poprowadzić. Obie wtopiły się w tłum dążący na plac, zostawiły strażnika za sobą. Jennsen spojrzała na uśmiechniętą twarz kobiety. Wydawało jej się, że cały świat, że wszyscy płyną w jakimś osobliwym blasku. Głosy zlewały się w szum, z którego wybijały się krzyki z jej chaty.

Jennsen.

Głos, ostry i wyraźny na tle szmerów, przykuł jej uwagę. Nasłuchiwała, ciekawa, co może jej rzec.

Wyrzeknij się swojej woli, Jennsen.

To na swój sposób miało sens.

Wyrzeknij się swojego ciała.

Nic już nie miało znaczenia. Nic z tego, czego próbowała przez całe życie, nie uratowało jej, nie przyniosło bezpieczeństwa czy spokoju. Wprost przeciwnie - wydawało się, że wszystko przepadło. Nie było już nic do stracenia.

- To jesteśmy na miejscu, kochanie - powiedziała kobieta.

- Słucham? - Jennsen rozejrzała się.

- Jesteśmy na miejscu.

Dziewczyna poczuła, jak dotyka kolanami płyt posadzki, bo kobieta przynagliła ją, żeby uklęknęła. Otaczali je ludzie. Przed nimi znajdował się czworobok z sadzawką spokojnej wody pośrodku. Chciała usłyszeć głos.

Jennsen. Poddaj się.

Głos stał się chrapliwy, rozkazujący. Podsycił płomienie jej złości, gniewu, wściekłości.

Pochyliła się, drżąca, szarpana gniewem. W najodleglejszych zakątkach jej umysłu czaił się strach. Jednak - pomimo mglistego przecucia - to gniew zyskiwał przewagę nad jej wolą.

Poddaj się.

Ciężko oddychała, widziała strużki śliny płynące z własnych rozchylonych ust. Na płyty posadzki padały łzy. Ciekło jej z nosa. Oddech miała przerywany. Oczy otwarta tak szeroko, że aż bolało. Trzęsła się niczym podczas najzimniejszej, najciemniejszej zimowej nocy. Nie mogła nad sobą zapanować.

Ludzie pochyliłi się nisko, wsparli dłonie o płyty. Chciała dobyć noża.

Jennsen pragnęła usłyszeć głos.

- Prowadź nas, mistrzu Rahlu.

To nie był głos. To otaczający ją ludzie chóralnie, śpiewnie zaczęli modły. I pochyliłi się jeszcze bardziej, aż dotknęli czołami płyt posadzki. Tuż obok przeszedł żołnierz, obserwując, jak Jennsen klęka, pochyła się, wspiera dłonie o posadzkę i niepohamowanie dygocze.

Z trudem oddychała, dyszała i dygotała, a jej głowa zniżała się cal po calu, aż i Jennsen dotknęła czołem posadzki.

- Nauczaj nas, mistrzu Rahlu.

Nie to chciała usłyszeć.

Chciała usłyszeć głos. Z całej siły. Chciała dobyć noża. Chciała krwi.

- Chronij nas, mistrzu Rahlu - śpiewali ludzie jednym głosem.

Jennsen, oddychając urywanie, spazmatycznie i trawiona nienawiścią, pragnęła usłyszeć głos i wyciągnąć nóż. Jednak jej dłonie spoczywały płasko na posadzce.

Nastłuchiwała głosu, lecz słyszała wyłącznie śpiewane modły.

- Rozkwitamy w twojej chwale. Osłania nas twoje miłosierdzie. Twoja mądrość przerasta nasze zrozumienie. Żyjemy tylko po to, żeby ci służyć. Nasze życie należy do ciebie.

Jennsen jedynie mgliście pamiętała to z dzieciństwa, z czasów, kiedy mieszkała w pałacu. Lecz gdy teraz usłyszała modły, pamięć wróciła. Znała te słowa. Wyśpiewywała je, kiedy była mała. Kiedy opuściły pałac, uciekając przed lordem Rahlem, wyrzuciła z pamięci słowa hołdu dla człowieka, który

starał się zabić i ją, i jej mamę.

A teraz, gdy tęskniła za głosem nakazującym jej się poddać, poczuła, jak jej drżące wargi - niemal z własnej woli, jakby kierował nimi ktoś inny - zaczynają wypowiadać owe słowa.

- Prowadź nas, mistrzu Rahlu. Nauczaj nas, mistrzu Rahlu. Chroń nas, mistrzu Rahlu. Rozkwitamy w twojej chwale. Osłania nas twoje miłosierdzie. Twoja mądrość przerasta nasze zrozumienie. Żyjemy tylko po to, żeby ci służyć. Nasze życie należy do ciebie.

Kadencja szeptanych słów wypełniała wielki hol. Wielu było ludzi, lecz jeden głos odbijający się echem od ścian. Jennsen ze wszystkich sił nasłuchiwała głosu, który towarzyszył jej, jak daleko sięgała pamięcią - ale go nie było.

Wbrew własnej woli dołączyła do innych. Słyszała, jak wymawia te słowa.

- Prowadź nas, mistrzu Rahlu. Nauczaj nas, mistrzu Rahlu. Chroń nas, mistrzu Rahlu. Rozkwitamy w twojej chwale. Osłania nas twoje miłosierdzie. Twoja mądrość przerasta nasze zrozumienie. Żyjemy tylko po to, żeby ci służyć. Nasze życie należy do ciebie.

Jennsen raz za razem powtarzała ze wszystkimi słowa hołdu. Wciąż i wciąż, bez chwili wytchnienia. Wciąż i wciąż, lecz bez pośpiechu.

Zaśpiew wypełniał jej umysł. Przyzywał ją, przemawiał do niej. Przepelniał jej myśli, kiedy go na nowo powtarzała. Wypełniał ją tak, że nie było miejsca na nic innego.

Wyciszył ją i uspokoił.

Czas upływał, przypadkowy, niepozorny, bez znaczenia.

Cichy śpiew przyniósł jej spokój. Przypomniał Jennsen, jak Betty się uspokajała, kiedy się gładziło jej uszy. Ugłaskano i gniew dziewczyny. Broniła się przed tym, lecz stopniowo była wciągana w modły, ku niesionej przez nie obietnicy, ugłaskiwana i uspokajana.

Zrozumiała, dlaczego nazywano to modłami.

Uczyniły w niej pustkę - na przekór wszystkiemu - a potem wypełniły głębokim spokojem, pogodnym poczuciem przynależności.

Już nie odpychała tych słów. Pozwoliła sobie na ich powtarzanie, pozwoliła, żeby ją uwalniały od bolesnych zadr. I przez czas - kiedy tak klęczała z czołem opartym o płyty posadzki, zajęta wyłącznie powtarzaniem tych słów - była niezależna od wszystkich i wszystkiego, wolna.

Kiedy tak śpiewała ze wszystkimi, minął ją cień rzucany na posadzkę przez słupek okna umieszczony wysoko ponad ich głowami i znalazła się w blasku słońca. Ciepłym i dającym poczucie bezpieczeństwa. Jak serdeczny uścisk mamy. Czowała się lekko i swobodnie. Otaczający ją delikatny blask sprawił, że Jennsen przypomniało się, jak wyobrażała sobie dobre duchy.

Godziny modłów skończyły się chwilę później.

Jennsen powoli się wyprostowała, usiadła z innymi. Nagle załkała.

- Coś się stało?

Stał przy niej wielki żołnierz.

Siedząca obok kobieta otoczyła ramieniem barki Jennsen.

- Niedawno zmarła jej matka - wyjaśniła spokojnie.

Żołnierz, skrzępowany, przestąpił z nogi na nogę.

- Przykro mi, pani. Najserdeczniejsze wyrazy współczucia dla ciebie i twojej rodziny.

Po wyrazie jego niebieskich oczu dziewczyna poznała, że mówił to szczerze.

Oniemiała ze zdumienia patrzyła, jak się odwraca - wielki i silny, odziany w skórę zabójca służący lordowi Rahlowi - i podejmuje przerwany patrol. Współczucie w zbroi. Gdyby wiedział, kim jest, wydałby ją w ręce tych, którzy już by się postarali, żeby długo cierpiała przed śmiercią.

Jennsen wtuliła twarz w ramię obcej kobiety i płakała za mamą, której uścisk był tak serdeczny.

Przeraźliwie tęskniła za mamą. A teraz jeszcze bała się o Sebastiana.

ROZDZIAŁ 18

Jennsen podziękowała kobiecie, która wyszywała sielskie widoczki i udzielała jej informacji. Dopiero kiedy ruszyła holem, uświadomiła sobie, że nie zna imienia tamtej. Ale to nie miało znaczenia. Obie straciły matki. Obie rozumiały i dzieliły te same uczucia.

Modły się skończyły i donośny gwar ludzi wypełniających pałac znów odbijał się echem od marmurowych ścian i kolumn. Rozbrzmiewał śmiech. Ludzie wrócili do swoich spraw: sprzedawali, kupowali, wymieniali się, rozprawiali o własnych chęciach i potrzebach. Strażnicy patrolowali teren, a pałacowy personel - przeważnie w jasnych strojach - wypełniał obowiązki: nosił wieści i doglądał spraw, których Jennsen mogła się jedynie domyślać. Robotnicy naprawiali zawiasy wielkich, dwuskrzydłowych dębowych drzwi bocznego korytarza.

Wróciły sprzątaczkі, znów odkurzały, zmywały i polerowały. Matka Jennsen była niegdyś jedną z takich kobiet, pracowała w zamkniętej dla zwykłych ludzi części pałacu: w gabinetach, gdzie zajmowano się sprawami państwowymi, w kwaterach urzędników i personelu pałacowego, no i oczywiście w komnatach lorda Rahla.

Po wielogodzinnych modłach Jennsen miała tak jasny umysł, jakby długo wypoczywała - co było jej bardzo potrzebne. I teraz, wypoczęta i pokrzepiona, podjęła decyzję. Wiedziała, co musi zrobić.

Pospiesznie wracała drogą, którą tu przyszła. Nie było czasu do stracenia. Mieszkańcy pałacu, wykonujący swoje obowiązki, patrzyli z balkonów na tych, którzy przyszli podziwiać te wspaniałości. Jennsen, mając się na baczności, szła przez tłum.

Sebastian ostrzegał ją, żeby nie biegła, prowokując tym ludzi do zastanawiania się, co jest nie tak. Radził, żeby się zachowywała normalnie, bo inaczej wszyscy zwrócą na nią uwagę. Jednak zagrożenie związane z pobytem w pałacu było tak wielkie, że Sebastiana pojmano, choć wiedział, jak postępować. Jeżeli i ona wzbudzi podejrzenia, to żołnierze na pewno ją zatrzymają. A jeżeli żołnierze pojmagają ją i dowiedzą się, kim jest...

Jennsen pragnęła, żeby Sebastian znów był przy niej. Strach o niego gnał ją korytarzem. Musiała wyrwać go d'harańskim żołnierzom, zanim mu

zrobią coś okropnego. Wiedziała, że dopóki jest w ich rękach, zagraża, mu śmiertelne niebezpieczeństwo.

Może nie wytrzymać, jeżeli będą go torturować. A jeżeli wyzna, kim jest, to go skazą na śmierć. O mało nie zemdlą na myśl o tym, że mogliby go zabić. Torturowani są w stanie przyznać się do wszystkiego, obojętnie, czy to prawda czy nie. Jeżeli postanowią torturami wydobyć z niego zeznanie, to już po nim. Aż ją mdliło na myśl o torturowanym towarzyszu.

Musi go ocalić.

Ale do tego jest jej potrzebna pomoc czarodziejki. Jeżeli Althea zechce jej pomóc, rzuci ochronny urok, Jennsen będzie mogła spróbować uwolnić Sebastiana. Althea musi jej pomóc. Jennsen ją przekona. Od tego zależy życie Sebastiana.

Dotarła do schodów, którymi tu weszli. Ludzie wciąż osiągnęli ich szczyt, niektórzy spoceni i dyszący z wysiłku. Niewielu schodziło. Stała u ich szczytu z ręką na marmurowej poręczy i rozejrzała się ostrożnie, upewniając się, że nikt za nią nie szedł, że nikt jej nie obserwuje. Miała ochotę pobiec, lecz zmusiła się do zachowania spokoju. Niektórzy się jej przyjrzeni, ale tak samo jak innym. Patrolujący żołnierze byli daleko. Jennsen ruszyła w dół.

Szła najszybciej, jak się dało, bez wzbudzania podejrzeń, że ucieka, by ratować życie. Życie Sebastiana. Ale tak właśnie było. Gdyby nie Jennsen, nie wpadłby w tarapaty.

Sądziła, że schodzić będzie łatwo, lecz po setkach stopni przekonała się, że to bardzo męczy nogi. Aż piekły z wysiłku. Powiedziała sobie, że skoro nie powinna biec, to przynajmniej może iść, nie zatrzymując się, i dzięki temu szybciej dotrze na dół.

Na podestach ścinała zakręty, zmniejszając w ten sposób dystans. Kiedy nikt nie widział, zeskakiwała po dwa stopnie naraz. Przecinając korytarze, starała się kryć za grupkami ludzi, żeby nie rzucać się w oczy czujnym strażnikom. Na ławach siedzieli ludzie, jedli chleb lub paszteciki, pili piwo, rozmawiali z przyjaciółmi. Patrzyli na nią tak jak na wszystkich innych. Była jeszcze jedną zwiedzającą.

Przyrodnia siostra lorda Rahla w ich gronie.

Znów schody i szła szybko, a mięśnie nóg drżały z nieustannego wysiłku. Mięśnie domagały się odpoczynku, lecz im nań nie pozwalała. Za to przyspieszała, ilekroć tylko mogła. Na pustej kondygnacji, pomiędzy dwoma

podestami, osłoniętej przed wzrokiem ciekawskich, bo biegnącej pod innym kątem, Jennsen co sił pomknęła w dół. Zwolniła dopiero wtedy, kiedy na dolny podest dotarła para - ramię przy ramieniu, głowy pochylone ku sobie, śmiechy i szepty - i ruszyła w górę.

W miarę jak schodziła, robiło się coraz chłodniej. Na jednym z poziomów, na którym strażnicy roili się niczym wiosną muchy w stajni, pewien żołnierz spojrzął jej prosto w oczy i uśmiechnął się. Aż przystanąła, zdumiona, a potem uświadomiła sobie, że się do niej uśmiechnął jak mężczyzna do kobiety, a nie jak zabójca do swojej ofiary. Odwzajemniła uśmiech uprzejmie, serdecznie, lecz nie na tyle, by odniósł wrażenie, iż go zachęca. Mocniej otuliła się peleryną i ruszyła w dół. Kiedy się obejrzała przez ramię, mijając podest, żołnierz stał z dłonią opartą o poręcz i przyglądał się jej. Znów się uśmiechnął i pomachał jej na pożegnanie, a potem wrócił do swoich obowiązków.

Jennsen, nie mogąc pohamować strachu, ruszyła w dół po dwa stopnie naraz i pobięła holem. Mijała małe stoiska z żywnością, broszkami i pięknie zdobionymi sztyletami, mijała zwiedzających, którzy przysiedli na kamiennych ławach przy marmurowej balustradzie. Biegła ku następnej kondygnacji schodów, dopóki nie uświadomiła sobie, że ludzie się jej przyglądają. Zwolniła, starała się sprawić wrażenie, że pędziła tak z młodzieńczej radości życia. Udało się. Spostrzegła, że ludzie, którzy się jej przyglądali, dochodzą do wniosku, iż to tylko biega sobie radosna dziewczyna. Wrócili do własnych spraw. Ponieważ się udało, Jennsen od czasu do czasu stosowała tę sztuczkę i dzięki temu szybciej posuwała się naprzód.

Zasapana, dotarła wreszcie do obszernego wejścia ze skwierczącymi pochodniami. Przy portalu wiodącym w głąb podstawy wielkiego płaskowyzu było mnóstwo żołnierzy, więc zwolniła i szła tuż za starszą parą, by wyglądało, że to rodzice z córką. Para rozprawiała z ożywieniem o tym, czy znajomemu dobrze pójdzie z nowym sklepikiem, w którym sprzedawał peruki na wyższym poziomie pałacu. Kobieta uważała, że to dobry interes. Mężczyzna był zdania, że znajomemu zabraknie chętnych do sprzedawania włosów i że w końcu większość czasu będzie spędzał na poszukiwaniu nowych.

Dziewczyna pomyślała, że to chyba najgłupszy temat rozmowy w chwili,

kiedy kogoś uwięziono, miano torturować i najprawdopodobniej uśmiercić. Dla niej d'harański pałac był tylko i wyłącznie ohydną, śmiercionośną pułapką. Musiała stąd wydostać Sebastiana. Musiała.

Żadne nie zauważyło idącej tuż za nimi Jennsen, która z pochyloną głową utrzymywała ich powolne tempo. Wzrok strażników przemknął po tej trójce. Stała w progu wielkich wrót i lodowaty wiatr zaparł jej dech w piersi. Tak długo przebywała w rozjaśnianym lampami mroku, że teraz musiała zmrużyć oczy, chroniąc je przed jasnym blaskiem dnia. Jak tylko znaleźli się na placu targowym, skręciła w jedną z prowizorycznych uliczek i pospieszyła na poszukiwania Irmy, kiełbasianej damy.

Szła pospiesznie obok rzędów stoisk i wyciągała szyję, wypatrując czerwonej chusty. To, co przedtem wyglądało tak okazale, po pobycie w pałacu wydawało się nędzne. W całym swoim życiu nie widziała niczego podobnego do Pałacu Ludu. Nie mogła pojąć, jak to jest, że w tak pięknej budowli mieszka taka ohyda jak ród Rahlów.

Zbliżył się przekupień.

- Talizmany dla paniusi? Na pewno dadzą szczęście. - Jennsen się nie zatrzymała; jego oddech cuchnął. - Specjalne talizmany, magiczne. Za srebrnego pensa.

- Nie, dziękuję.

Szedł z boku, trochę przed nią, odwracając się ku niej.

- Tylko srebrnego pensa, moja paniusiu.

Bała się, że się potknie o jego stopy.

- Nie, dziękuję. Zostaw mnie w spokoju.

- No to miedziaka.

- Nie.

Dziewczyna odpychała go za każdym razem, kiedy na nią wpadał, jazgocząc o swoich talizmanach. Wciąż przysuwał twarz do jej twarzy, zerkał na nią, dreptał obok i szeroko się uśmiechał.

- To piękniutkie talizmany, paniusiu. - Stale ją potraçał, zderzał się z nią, a ona uparcie szła dalej i wyciągała szyję, wypatrując czerwonej chusty. - Talizmanik dla ciebie.

- Mówiłam już, że nie. - Niemal się o niego potknęła, więc szorstko go odepchnęła. - Zostaw mnie w spokoju!

Odetchnęła z ulgą, kiedy zajął się idącym w przeciwną stronę starszym

mężczyzną. Słyszała cichnący w oddali głos, zachwalający talizmany za srebrnego pensa. Pomyślała, że to prawdziwa ironia losu: ów człowiek oferował jej magię, a ona odmówiła, bo spieszno jej było szukać magicznej pomocy u kogoś innego.

Minęła puste miejsce i zatrzymała się gwałtownie przed stołem z antałkami. Podniosła wzrok i zobaczyła trzech braci. Jeden nalewał klientowi wina do skórzanego pucharka, a dwaj pozostali zdejmowali z wozu pełny antałek. Odwróciła się i wpatrywała w opustoszały plac. To tutaj była Irma. Jennsen czuła, że serce podchodzi jej do gardła. Irma miała ich konie. Irma miała Betty.

Przerazona, chwyciła za ramię jednego z braci, tego stojącego za stołem. Klient tymczasem odszedł.

- Możesz mi powiedzieć, gdzie jest Irma?

Podniósł wzrok, zmrużył oczy w słońcu.

- Kiełbasiana dama?

- Tak. Gdzie jest? Nie mogła już odjechać. Miała kiełbasy do sprzedania.

Mężczyzna szeroko się uśmiechnął.

- Mówiła, że stojąc obok nas, handlujących winem, sprzedaje kiełbasy o wiele szybciej niż przedtem.

Jennsen wpatrywała się w niego.

- Już odjechała?

- A szkoda, wielka szkoda. Dzięki jej kiełbasom wino lepiej się sprzedawało. Ludziska jedli te jej ostro przyprawione kozie kiełbasy i musieli je popijać naszym winem.

- Jej co? - wyszeptała Jennsen.

Przestał się uśmiechać.

- Jej kiełbasy. Coś się stało, panienko? Wyglądasz, jakby cię poklepał po ramieniu duch z zaświatów.

- Mówiłeś, że co ona sprzedaje? Kiełbasy z koziny?

Przytaknął, zatroskany.

- Takie też. Próbowałem wszystkich, ale najbardziej zasmakowały mi te ostro przyprawione, z koziego mięsa. - Wskazał przez ramię kciukiem na obu braci. - Joe najbardziej lubi te z wołowiny, Clayton wieprzowinę, ale ja tam wolę te z koziny.

Jennsen dygotała, i to nie z zimna.

- Gdzie ona jest? Muszę ją odnaleźć!

Poskrobał się w głowę pokrytą rozczochranymi blond włosami.

- Przykro mi, ale nie mam pojęcia. Zjawia się tutaj, by sprzedawać kiełbasę. Większość ludzi tutaj już ją widywała. Przyjemna kobieta, zawsze uśmiechnięta, każdemu powie coś miłego.

Jennsen czuła, jak po policzkach spływają jej - i zamarzają - łzy.

- Ale gdzie się podziała? Gdzie mieszka? Muszę ją odnaleźć.

Mężczyzna chyba się wystraszył, że Jennsen upadnie, bo złapał ją za ramię.

- Przykro mi, panienko, ale nie wiem. A co? Co się stało?

- Ma moje zwierzęta. Konie. I Betty.

- Betty?

- Moją kozę. Są u niej. Zapłaciliśmy, żeby ich pilnowała do naszego powrotu.

- Ooooh - zasmucił się, że nie ma dla niej lepszych wieści. - Przykro mi. Jej kiełbasy świetnie się sprzedawały i szybko zniknęły. Zwykle trzeba dnia, żeby sprzedała, co ugotuje, ale czasem idzie jej lepiej. Jak już sprzedała kiełbasy, dość długo posiedziała z nami i pogadała. W końcu westchnęła i rzekła, że już musi jechać do domu.

Jennsen aż wirowało w głowie. Miała wrażenie, że cały świat wiruje wraz z jej myślami. Nie wiedziała, co robić. Była oszołomiona, zdezorientowana.

- Mogłabym - zaczęła zdławionym przez łzy głosem - mogłabym wypożyczyć jednego z waszych koni?

- Jednego z naszych koni? A jak doprowadzimy wóz do domu? Poza tym to konie pociągowe. Nie mamy ani siodła, ani uprzęży dojazdy wierzchem, ani...

- Błagam! Mam złoto! - Dotknęła pasa. - Mogę zapłacić. - Przesunęła dłonią po pasie, lecz nie wyczuła małego skórzanego mieszka ze srebrnymi i złotymi monetami. Odrzuciła pelerynę i sprawdziła. Obok noża znalazła jedynie kawałeczek równiutko obciętego rzemienia. - Moja sakiewka... moja sakiewka zniknęła. - Nie mogła złapać tchu. - Moje pieniądze...

Z posmutniałą twarzą patrzył, jak Jennsen wyciąga z za pasa resztki rzemyka.

- Kręcą się tutaj różni i tylko patrzą, co by ukraść...

- Ale są mi potrzebne.

Umilkł. Dziewczyna obejrzała się, wypatrując przekupnia z amuletami. Wszystko się jej przypomniało. Zderzał się z nią, popychał ją. A tak naprawdę odcinał sakiewkę. Nie mogła sobie przypomnieć, jak wyglądał - pamiętała tylko, że był niechlujny. Nie miała ochoty spojrzeć mu w twarz, w oczy. Wstrzymała oddech i w panice rozglądała się, wypatrując człowieka, który ukradł jej pieniądze.

- Nnnnie... - chlipnęła zbyt przybita, by wiedzieć, co mówi. - Och, nie, błagam. - Osunęła się na ziemię i usiadła obok stołu. - Potrzebuję konia. Drogie duchy, potrzebuję konia.

Mężczyzna pospiesznie nalał wina do kubka i przysiadł obok niej. Jennsen łkała.

- Napij się. Napij.

- Nie mam pieniędzy - wykrztusiła przez łzy.

- Nie szkodzi - rzekł, pokazując we współczującym uśmiechu białe zęby. - To ci pomoże. Wypij.

Za stołem stali Joe i Clayton. Trzymali ręce w kieszeniach, ze smutkiem pochylili głowy. Współczuli kobiecie, którą usiłował pocieszyć ich brat.

Mężczyzna przytknął jej kubek do ust, próbował skłonić, żeby wypić. Trochę wina pociekło jej po brodzie, trochę wlało się do ust i musiała je przełknąć.

- Po co ci koń?

- Muszę się dostać do Althei.

- Althei? Tej starej czarodziejki?

Jennsen skinęła głową, ocierając wino z brody i łzy z policzków.

- Zaproszono cię tam?

- Nie - przyznała dziewczyna. - Ale muszę tam jechać.

- Czemu?

- To sprawa życia lub śmierci. Potrzebuję pomocy Althei dla człowieka, któremu grozi śmierć.

Wciąż kuczał obok niej, trzymając kubek z winem. Przyjrzał się widocznym pod kapturem rudym pukłom. Potem oparł dłonie o kolana i wstał. Wrócił do braci, zostawiając Jennsen, która nie mogła powstrzymać płaczu. Płakała też ze strachu o Betty. Betty była jej przyjaciółką i towarzyszką, łącznikiem z matką. Biedna koza pewnie czuła się porzucona i niekochana. Jennsen oddałaby wszystko, żeby zobaczyć, jak ta radośnie

macha ogonkiem. Powiedziała sobie, że nie może tak siedzieć i zachowywać się jak dzieciuch. To nic nie da. Musi coś zrobić. W cieniu pałacu lorda Rahla nie znajdzie pomocy, no i nie ma pieniędzy. Nie mogła liczyć na nikogo, z wyjątkiem Sebastiana, a jemu z kolei mogła pomóc tylko ona. Teraz jego życie zależało wyłącznie od jej postępowania. Nie mogła tak siedzieć i litować się nad sobą. Mama nie tego ją uczyła.

Nie miała pojęcia, jak ocalić Betty, przynajmniej jednak wiedziała, co zrobić, żeby uratować Sebastiana. To było teraz najważniejsze i tym się musiała zająć. A marnowała cenny czas.

Wstała, gniewnie otarła łzy z twarzy i osłoniła dłonią oczy od słońca. Wiele czasu spędziła w pałacu, więc trudno jej się było zorientować, lecz oceniła, że jest późne popołudnie. Wzięła pod uwagę położenie słońca na niebie i porę roku i ustaliła, gdzie jest zachód. Gdyby miała Rusty, zajęłoby jej to mniej czasu. Gdyby miała pieniądze, mogłaby kupić lub wynająć innego konia.

Nie ma sensu żałować tego, co stracone i nie da się odzyskać. Będzie musiała iść pieszo.

- Dzięki za wino - rzekła do przyglądającego się jej niespokojnie blondyna.

- Nie ma za co - odparł, opuszczając wzrok.

Już miała odejść, kiedy zebrał się na odwagę. Wyszedł na pylistą drogę i chwycił Jennsen za ramię.

- Chwileczkę, panienko. Co zamierzasz zrobić?

- Od podróży do Althei zależy życie pewnego człowieka. Nie mam wyboru. Muszę iść pieszo.

- Jakiego człowieka? Dlaczego życie zależy od tego, czy się zobaczysz z Altheą?

Dziewczyna spojrzała w niebieskie jak niebo oczy mężczyzny i łagodnie uwolniła ramię. Wielki i jasnowłosy, krzepki, z mocno zarysowanym podbródkiem przypominał jej żołnierzy, którzy zamordowali mamę.

- Przykro mi, ale nie mogę powiedzieć.

Mocniej przytrzymała kaptur, żeby go nie zwiały porywy wiatru, i ruszyła. Zanim zrobiła kilkanaście kroków, był przy niej. Znow delikatnie chwycił ją za ramię i zatrzymał.

- Powiedz - odezwał się spokojnie, kiedy gniewnie nań spojrzała - a masz

choć jaki prowiant?

Gniew Jennsen zniknął, musiała powstrzymać łzy.

- Wszystko jest przy koniach. Irma, kiełbasiana dama, ma wszystko. Z wyjątkiem pieniędzy, które ma rzezimieszek.

- No to nie masz nic. - To nie było pytanie, lecz kpina z jej dziecinnych zamiarów.

- Mam siebie i wiem, co muszę zrobić.

- I zamierzasz gnać do Althei, zimą, pieszo, bez prowiantu?

- Całe życie mieszkałam w lasach. Poradzę sobie.

Próbowała się uwolnić, ale wielka łapa trzymała ją krzepko.

- Może i tak, ale równiny Azrith to nie lasy. Nie będziesz miała z czego zbudować szałasów. Ani patyczka na ogień. A gdy zachodzi słońce, robi się lodowato jak w sercu Opiekuna. Nie masz prowiantu, w ogóle nic. Co zamierzasz jeść?

Tym razem mocno się szarpnęła i uwolniła ramię.

- Nie mam wyjścia. Może tego nie rozumiesz, ale są rzeczy, które trzeba zrobić, choćby się ryzykowało życie, bo inaczej traci ono sens.

I zanim zdążył ją zatrzymać, Jennsen wmieszała się w ludzką rzekę płynącą prowizorycznymi uliczkami. Przeciskała się przez tłum, mijając ludzi sprzedających potrawy i napoje, których nie mogła kupić. To wszystko tylko przypominało jej, że nic nie jadła od porannej kiełbasy. Świadomość, że Sebastian może nie dożyć kolejnego posiłku, dodawała jej skrzydeł.

Skręciła w pierwszą drogę biegnącą na zachód. Popołudniowe słońce ogrzewało lewą stronę jej twarzy - wspomniała słoneczny blask w pałacu, kiedy była na modłach, to, że był jak uścisk mamy.

ROZDZIAŁ 19

Jennsen szła pośród ludzi płataniną uliczek u stóp płaskowyżu i wyobrażała sobie, że stąpa wśród drzew, wędruje lasami, w których czuła się jak w domu. To właśnie tam pragnęła być: w spokojnym lesie, pod osłoną drzew, z mamą. Patrzyłyby, jak Betty szczybie młode pędy. Niektórzy - przystający przed straganami, sprzedawcy lub przechodnie - popatrywali na Jennsen, lecz głowę trzymała opuszczoną i nie zmniejszała tempa.

Ogromnie niepokoiła się o Betty. Kiełbasiana dama, Irma, sprzedawała kozie mięso. Pewnie dlatego chciała wtedy kupić Betty. Biedna koza z pewnością cierpiała i bała się, skoro ją zabrał ktoś obcy. Jednak choć Jennsen tak się niepokoiła o Betty i tak pragnęła ją odzyskać, nie mogła tego załatwić kosztem życia Sebastiana.

Stragany z żywnością tylko jej przypominały, jaka jest głodna, zwłaszcza po wyczerpującym wspinaniu się po schodach do pałacu. Nie jadła od rana i chętnie by coś kupiła, lecz teraz było to niemożliwe. Ludzie gotowali strawę na ogniskach, drwa na pewno przywieźli ze sobą. Na patelniach skwierczały masło, czosnek, przyprawy. Unosiły się aromaty pieczonych mięs. Te apetyczne wonie odurzały i sprawiały, że głód stawał się nie do wytrzymania.

Kiedy głód zbytnio zaprzętał myśli, dziewczyna przypominała sobie o Sebastianie. Każda chwila zwłoki to dla niego kolejne smagnięcie biczem, kolejne skaleczenie, wykręcenie ręki lub nogi, kolejna złamana kość. Na myśl o tym czuła w gardle smak złości. Nic dziwnego, że się tu zjawił, by pomagać w pokonaniu D'Hary.

Nagle wstrząsnęła nią jeszcze bardziej przerażająca myśl: Mord-Sith. Kiedy podróżowały z mamą po D'Harze, przekonała się, że ludzie nikogo i niczego się tak nie boją jak właśnie Mord-Sith. Bo strażniczki lorda Rahla słynęły ze swoich umiejętności zadawania bólu, dręczenia. Mówiono, że po tej stronie granicy królestwa Opiekuna Mord-Sith nie mają sobie równych.

A jeżeli D'Harańczycy wydali Sebastiana na tortury jednej z tych kobiet? Był co prawda pozbawiony magicznego daru, ale to nie miało znaczenia. Tym swoim Agielem - i kto wie, czym jeszcze - Mord-Sith mogły dręczyć każdego. A potrafiły też ovladnąć osobami z magicznym darem. Ktoś nie

mający daru, jak Sebastian, dostarczyłby im tylko krótkiej krwawej zabawy.

Dotarła do skraju placu targowego i tłum znacznie się przerzedził. Prowizoryczna uliczka, którą Jennsen szła, zniknęła przy ostatnim kramie, tam gdzie kościsty mężczyzna sprzedawał skórzaną uprząż i używane wyposażenie wozów. Za jego załadowanym najrozmaitszymi częściami zaprzęgiem była już tylko wyludniona, niegościnna równina. Droga na południe płynęła nie kończąca się rzeka ludzi. Dziewczyna widziała unoszący się w powietrzu kurz - znacznik odległych odcinków drogi na południe i jej odgałęzień wiodących na południowy zachód i południowy wschód. Na zachód nie prowadziła żadna droga.

Nieliczni ludzie z obrzeża placu targowego patrzyli za Jennsen, kiedy ruszyła ku zachodzącemu słońcu. Chociaż przyglądali się, nikt nie poszedł za nią na pustkowie, jakimi były równiny Azrith. Z ulgą została sama. Ludzka rzesza okazała się równie niebezpieczna, jak się cały czas obawiała. Szła na zachód i szybko zostawiła za sobą plac targowy.

Wsunęła dłoń pod pelerynę, dotknęła noża. Tkwił przy jej ciele, więc był ciepły, jakby był żywą istotą, a nie przedmiotem ze srebra i stali.

Złodziej zabrał jej pieniądze, lecz zostawił nóż. Gdyby miała wybierać, wołałaby właśnie nóż. Całe życie przeżyła bez pieniędzy, zapewniały sobie z mamą byt. Ale nóż był niezbędny w takim życiu. Jeżeli mieszkasz w pałacu, potrzebujesz pieniędzy. Jeśli żyjesz pod gołym niebem, potrzebujesz noża - a Jennsen nigdy nie widziała lepszego niż ten, pomimo jego pochodzenia.

Odwróciła się i z ulgą stwierdziła, że nikt za nią nie idzie. Płaskowyz zmalął wraz z odległością i wszyscy ludzie u jego podnóża wyglądali jak powolne mrówki, kręcące się tu i ówdzie. Dobrze było być daleko od tego miejsca, ale wiedziała, że jeśli chce ocalić Sebastiana, to będzie musiała tu wrócić po wizycie u Althei.

Jakiś czas szła tyłem, żeby nie wiał jej w twarz lodowaty wicher. Powiodła wzrokiem po drodze wspinającej się zakosami na strome urwisko, aż do potężnych kamiennych murów otaczających pałac. Przedtem ich nie widziała, bo przyszli z południa. W pewnym momencie most łączył brzegi szczególnie zdradzieckiej szczeliny skalnej. Był podniesiony. Gdyby same urwiska nie wystarczyły, wysokie kamienne mury okalające Pałac Ludu mogły chronić przed każdą próbą ataku nieproszonych gości.

Jennsen miała nadzieję, że do Althei łatwiej będzie dotrzeć.

W którymś z pomieszczeń tej rozległej budowli więziono Sebastiana. Zastanawiała się, czy i on uważa się za całkiem porzuconego - bo Betty pewnie tak. Wyszepiała modlitwę do dobrych duchów, prosząc je, żeby Sebastian się nie poddawał, żeby go jakoś powiadomiły, że ona go uwolni.

Odwróciła się, kiedy zmęczył ją marsz tyłem i patrzenie na Pałac Ludu. Znow musiała znosić uderzenia wichru, czasem aż zapierające dech. I sypiące pyłem w oczy.

Grunt był płaski, suchy, nic nie przyciągało oka - głównie zlepieniec, poprzecinany tu i ówdzie pasami piaszczystej gleby. Brązowy krajobraz miejscami przybierał ciemniejszy odcień. Roślinność pojawiała się nadzwyczaj rzadko: były to niskie, cherlawe roślinki, teraz - w zimie - zeschnięte i łamliwe.

Na zachodzie rysowała się zygzakowata linia gór. Wyglądało na to, że środkowy szczyt może być ośnieżony, lecz trudno było się dokładnie zorientować, patrząc pod słońce. Nie miała pojęcia, jak daleko jest do owych gór. Nie była przyzwyczajona do płaskiego terenu i nie bardzo potrafiła ocenić odległość. Może dotrze tam za parę godzin albo i dni. Przynajmniej nie musiała brnąć w śniegu, jak to się im często zdarzało w drodze do Pałacu Ludu.

Jennsen zdała sobie sprawę, że - choć jest zima - będzie potrzebować wody. Uznała, że na tych moczarach wody na pewno nie zabraknie. Przypomniała też sobie, że kobieta, która podała jej kierunek, mówiła, że to długa droga, lecz nie sprecyzowała, co to według niej znaczy. Może to, co dla niej było długą drogą, okaże się dla Jennsen ledwie krótkim, kilkugodzinnym marszem. A może kobieta miała na myśli dni. Dziewczyna pomodliła się szeptem, żeby to nie były dni, chociaż nie uśmiechała się jej wyprawa na moczary.

W pewnej chwili jakiś dźwięk wybił się ponad szum wiatru; odwróciła się i ujrzała wznoszący się w oddali tuman kurzu. Zmrużyła oczy i w końcu dostrzegła, że nadjeżdża wóz.

Określiła się dokoła, wypatrując na ogołoconej równinie jakiejś kryjówki. Wcale się jej nie podobało, że mogą ją dogonić - samiutką - na otwartym terenie. Pomyślała, że ludzie z placu targowego mogli popatrzeć, jak odchodzi, odczekać, aż zostanie sama, i wtedy dopiero ją zaatakować.

Ruszyła biegiem. Wóz nadjeżdżał od strony pałacu, więc biegła tam,

dokąd szła: na zachód, ku ciemnej linii gór. Biegła i zachłystywała się powietrzem tak lodowatym, że aż raniło gardło. Rozciągająca się przed nią równina pozbawiona była najmniejszej szczeliny, w której mogłaby się ukryć. Wbiła wzrok w ciemną linię gór i biegła ku nim ile sił, lecz cały czas wiedziała, że są zbyt daleko.

Wkrótce przystanęła. Głupio postępowała. Koniom nie ucieknie. Pochyliła się, wsparła dłonie o uda i odpoczywała, obserwując jadący ku niej wóz. Jeżeli ten ktoś zamierzał ją napaść, to ucieczka tylko wyczerpałaby ją, byłaby więc najgłupszym z możliwych rozwiązań.

Obróciła się twarzą ku słońcu i ruszyła przed siebie, ale w takim tempie, żeby się zanadto nie zmęczyć. Jeżeli będzie musiała walczyć, nie może być zdyszana. Mogło się poza tym okazać, że to jedynie ktoś wracający do domu i że skręci w inną stronę. Zauważyła ich przecież tylko dlatego, że wzbijali kurz i wóz turkotał. Oni prawdopodobnie w ogóle jej nie dostrzegali.

Przeszyła ją przerażająca myśl: a może Mord-Sith zdążyły już mękami wydobyć z Sebastiana zeznanie. Może złamała go już jedna z tych bezlitosnych kobiet. Jennsen bała się pomyśleć, co sama by zrobiła, gdyby ktoś metodycznie łamał jej kości. Nie mogła być pewna, jak by się zachowała, poddana tak przeraźliwej męce.

A może w tej straszliwej męczarni wymienił imię Jennsen. Wszystko o niej wiedział. Wiedział, że jej ojcem jest Rahl Posępny, że Richard Rahl to jej przyrodni brat i że chciała iść po pomoc do czarodziejki.

Może obiecali mu, że przestaną go dręczyć, jeżeli ją wyda. Czyż w takich okolicznościach mogłaby go winić za to, że ją zdradził?

Może w pędzącym ku niej wozie było pełno wielkich, ponurych d'harańskich żołnierzy, którzy mieli ją pojmać. I koszmar dopiero się zacznie. Może oto nadszedł dzień, którego bała się przez całe życie.

Jennsen, z oczami pełnymi łez strachu, wsunęła rękę pod pelerynę i sprawdziła, czy nóż luźno siedzi w pochwie. Uniosła go nieco i wepchnęła z powrotem; szcęk metalu dodał jej otuchy.

Czas włókł się, kiedy tak szła, czekając, aż wóz ją dogoni. Starła się zapanować nad strachem i przypomnieć sobie to wszystko, czego mama nauczyła ją o posługiwaniu się nożem. Była sama, lecz nie była bezbronna. Wiedziała, co robić. Kazała sobie o tym pamiętać.

Jednak nic jej nie uratuje, jeżeli żołnierzy będzie zbyt wielu. Aż za dobrze

pamiętała, jak ją złapali ci w chacie i jaka wtedy była bezradna. Wzięli ją przez zaskoczenie, ale to nie miało znaczenia - liczyło się to, że ją pojмали. Tylko to miało znaczenie. I gdyby nie Sebastian...

Kiedy się znów odwróciła, wóz już ją doganiał. Stanęła, lekko rozchyliła pelerynę, żeby móc pochwycić nóż i zaskoczyć napastnika. Zaskoczenie mogło być znakomitym sprzymierzeńcem, i jedynym, na którego mogła liczyć.

Wtedy zobaczyła promienny, nieco asymetryczny uśmiech odsłaniający proste białe zęby. Wielki blondyn podprowadził wóz bliżej, wzbijając kurz i rozpryskując żwir. Zatrzymał zaprzęg i tuman się rozwiął. To był mężczyzna z targowiska, który handlował przy stanowisku Irmy, który napił Jennsen winem. Był sam.

Dziewczyna, niepewna jego zamiarów, trzymała dłoń w pobliżu noża.

- Skąd się tu wzięłeś? - spytała szorstko.

Wciąż się uśmiechał.

- Przyjechałem, żeby cię podwieźć.

- A twoi bracia?

- Zostawiłem ich przy pałacu.

Nie ufała mu. Nie miał powodu się tu zjawić, żeby ją podwieźć.

- Dziękuję, ale uważam, że lepiej będzie, jak wrócisz do własnych spraw.

Ruszyła w drogę.

Zeskoczył z wozu i z łoskotem wylądował na ziemi. Odwróciła się, żeby być w pogotowiu, gdyby ją zaatakował.

- Słuchaj, nie czułbym się z tym dobrze.

- Z czym?

- Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdybym się trzymał z boku i pozwolił ci iść na pewną śmierć, bo to by cię czekało bez wody, bez jedzenia, bez czegokolwiek. Myślałem o tym, co rzekłaś, że musisz coś zrobić, bo inaczej życie przestałoby być cokolwiek warte. Nie wybaczyłbym sobie, wiedząc, że cię tak zostawiłem na pewną śmierć. - Jego nieustępliwość osłabła, głos nabrał proszących tonów. - Wejdiesz na wóz i pozwolisz się podwieźć?

- A co z twoimi braćmi? Zanim się przekonałam, że straciłam pieniądze, nawet konia mi nie chciałeś wynająć. Mówiłeś, że musicie wracać.

Zatknął kciuk za pas, pogodzony z tym, że musi się wytłumaczyć.

- Dobrze nam dziś szła sprzedaż wina i zarobiliśmy okrągłą sumkę. Joe i

Clayton chcieli zostać w pałacu i dla odmiany trochę się zabawić. To Irma, sprzedając obok swoje ostro przyprawione kiełbasy, zapewniła nam dobry utarg. - Wzruszył ramionami. - Więc skoro ona tak nam pomogła, to i ja mogę wspomóc ciebie. Zabrała twoje konie i zapasy, to uznałem, że przynajmniej mogę cię podwieźć. Żeby choć trochę ci to wynagrodzić. To tylko przejażdżka. Nie ryzykuję życia ani nic w tym rodzaju. To odrobina pomocy ofiarowana komuś, kto jej potrzebuje.

Jennsen pomoc na pewno by się przydała, lecz bała się zaufać temu nieznanemu.

- Mam na imię Tom - powiedział, jakby czytał w jej myślach. - Będę wdzięczny, jeżeli pozwolisz mi sobie pomóc.

- Co masz na myśli?

- Jak samaś mówiła, niektóre postęпки nadają życiu większą wartość. - Musnął spojrzeniem jej rude loki okryte kapturem i spowaźniał. - I... dlatego byłbym wdzięczny, gdybyś mi pozwoliła coś takiego zrobić.

Pierwsza odwróciła wzrok.

- Mam na imię Jennsen. Ale nie...

- No to wsiadaj. Mam trochę wina...

- Nie lubię wina. Po nim jeszcze bardziej chce mi się pić.

Wzruszył ramionami.

- Mam mnóstwo wody. Wziąłem też parę pasztecików. Ciągle jeszcze są gorące, więc się pośpiesz i zjedz trochę.

Obserwowała jego błękitne oczy, błękitne jak u jej wstrętnego ojca. Jednak w tych oczach była szczerść. A uśmiech nie był zarozumiały, tylko skromny.

- Nie musisz wracać do żony?

Tym razem Tom opuścił wzrok.

- Nie, panienko. Nie jestem żonaty. Wiele podróżuję. Nie sędzę, żeby kobieta lubiła taki tryb życia. Poza tym przez te podróże nie miałem okazji poznać jakiejś na tyle dobrze, żeby myśleć o małżeństwie. Mam jednak nadzieję, że pewnego dnia spotkam kobietę, która zechce dzielić ze mną życie, która podaruje mi uśmiech, z którą będę szczęśliwy.

Jennsen była zdumiona, że to pytanie wywołało na jego twarzy rumieniec. Przyszło jej do głowy, że rozmawiając z nią i proponując podwiezienie, zachował się śmieiej niż zwykle. Był bardzo uprzejmy, a przy

tym ogromnie nieśmiały. Coś w tym mężczyźnie - tak wielkim i silnym, a mimo to onieśmielonym przez nią, samotną kobietę na pustkowiu, przez jej pytania o sprawy sercowe - sprawiło, że poczuła się pewniej i swobodniej.

- Jeżeli to nie ze szkodą dla ciebie, dla twojego zarabiania na życie...

- Nie - wpadł jej w słowo. - Wcale. - Wskazał ku płaskowyżowi. - Sporo dzisiaj zarobiliśmy i możemy sobie pozwolić na krótki odpoczynek. Bracia nie mają nic przeciwko temu. Jeździmy tu i tam i skupujemy, co się tylko da, po rozsądnych cenach. Bierzymy wszystko, od wina po dywany i wiosenne kurczątko, a potem przywozimy to tutaj i sprzedajemy. Odpoczynek naprawdę przyda się braciom.

Jennsen skinęła głową.

- Chętnie skorzystam z podwiezienia, Tomie.

Spoważniał.

- Rozumiem. Chodzi o życie człowieka. - Wspiął się na wóz i wyciągnął do niej rękę. - Ostrożnie, panienko.

Chwyciła jego wielką dłoń i postawiła stopę na żelaznej szprysze.

- Mam na imię Jennsen.

- Tak i powiedziałaś, panienko.

Ostrożnie podciągnął ją na kozioł. Jak tylko usiadła, sięgnął do tyłu po koc i położył go Jennsen na kolanach. Najwyraźniej nie chciał się wydać arogancki i samowolnie ją opatulać. Owinęła się kocem i uśmiechnęła, doceniając ciepłe wełniane okrycie. Tom znów sięgnął do tyłu, pogrzebał pod stertą wysłużonych okryć i wyciągnął mały tobołek. Obdarzył ją tym swoim asymetrycznym uśmiechem i podał pasztet zawinięty w białe płótno. Jak zapowiedział, pasztet był jeszcze ciepły. Znalazł też bukłak i położył na siedzisku między nimi.

- Jeżeli wolisz, możesz jechać w tyle. Zabrałem mnóstwo koców, żebyś nie zmarzła, i może ci być na nich wygodniej niż na drewnianym koźle.

- Na razie mi tu dobrze - odparła i uniosła pasztecik. - Jak odzyskam zapasy i pieniądze, to ci za wszystko zapłacę. Prowadź rachunek, a ja za wszystko zwrócę.

Poluzował hamulec i potrząsnął lejcami.

- Skoro taka twoja wola, chociaż ja wcale tego nie chcę.

- Ale ja tak - powiedziała, kiedy wóz ruszał.

Zmienił kierunek na bardziej północno-zachodni. Natychmiast stała się

podejrzliwa.

- Co robisz? Gdzie właściwie jedziesz?

Ten brak zaufania trochę go wypłoszył.

- Mówiłaś, że chcesz się dostać do Althei, prawda?

- Tak, ale powiedziano mi, że mam dotrzeć do najwyższej ośnieżonej góry, obejść ją, skręcić na północ i trzymać się urwiska...

- Och. - Uświadomił sobie, co myślała i czemu. - To jeśli zamierzasz stracić dodatkowy dzień.

- Czemu tamta kobieta miałaby mi wskazać dłuższą drogę?

- Pewnie dlatego, że wszyscy tamtędy chodzą do Althei i że nie wiedziała, że ci się spieszy.

- Po co wysyłać ludzi dłuższą drogą?

- Ludzie chodzą tamtędy, bo się boją moczarów. A tą drogą dochodzisz najbliżej Althei, omijając sporą część mokradeł. No i pewnie nie знаła innej drogi.

Jennsen musiała się przytrzymać drabiny, bo wóz podskoczył na wyrzuceniu kamienistego gruntu. Tom miał rację: drewniany kozioł był twardy, a wóz, przystosowany do ciężkich ładunków, bardziej trząśł, kiedy był pusty.

- Pewnie i ja się powinnam bać moczarów? - spytała na koniec.

- Pewnie tak.

- To czemu mam iść tą drugą drogą?

Znów na nią spojrzał, musnął wzrokiem jej włosy. Dawno już się do tego przyzwyczaiła. Większość ludzi nie mogła się powstrzymać od zerkania na jej loki.

- Mówiłaś, że chodzi o życie człowieka - powiedział, jego nieśmiałość zaś zniknęła. - To krótsza droga. Zyskujesz na czasie, idąc po tej stronie szczytu, o którym ci mówiła, i dzięki temu zostawiając z boku wijący się wąwóz pod urwiskiem. Cały problem w tym, że wchodzisz na moczary od tyłu, więc musisz przeciąć większy ich obszar, żeby dotrzeć do Althei.

- A czy przejście przez większy obszar mokradeł nie trwa dłużej?

- Owszem, ale i wtedy zyskujesz dzień w każdą stronę. Czyli razem dwa dni.

Jennsen nie lubiła moczarów. A już zwłaszcza tego, co w nich żyło.

- Czy to nie jest bardziej niebezpieczne?

- Gdyby to nie było takie ważne, nie wyruszyłabyś samotnie, bez zapasów. Gdyby to nie była sprawa życia lub śmierci. Skoro byłaś gotowa zaryzykować życie, uznałem, że chcesz zaoszczędzić tyle czasu, ile zdołasz. Ale jeśli wolisz, mogę cię zawieźć dłuższą drogą, żebyś potem miała krótszą trasę przez moczary. Decyzja należy do ciebie. Jeśli jednak liczy się czas, stracisz wtedy dwa dni.

- Nie, masz rację. - Pasztecik na jej kolanach był ciepły, przyjemnie grzał palce; ładnie ze strony Toma, że go przywiózł. - Dziękuję, żeś pomyślał o zaoszczędzeniu czasu.

- A o czyje życie lub śmierć chodzi?

- Przyjaciela.

- To musi być dobry przyjaciel.

- Już bym nie żyła, gdyby nie on.

Milczał. Jechali ku odległej, ciemnej linii gór. Jennsen zastanawiała się, co też żyje na moczarach. No i martwiła się, co spotka Sebastiana, jeżeli ona na czas nie zdobędzie pomocy Althei.

- Długo jeszcze? Kiedy dotrzemy do moczarów?

- Zależy od tego, ile śniegu jest na przełęczy, i od paru innych rzeczy. Rzadko tędy jeżdżę, więc nie wiem dokładnie. Gdybyśmy jechali całą noc, to przypuszczam, że rankiem dotarlibyśmy na skraj moczarów.

- I ile jeszcze będzie wtedy do Althei? To znaczy, przez te moczary?

Spojrzał na nią z zakłopotaniem.

- Przykro mi, Jennsen, ale nie mam pojęcia. Nigdy nie byłem na moczarach Althei.

- A jak przypuszczasz?

- Podejrzewam, że tak jak się sprawy mają, droga tam i z powrotem nie powinna potrwać dłużej niż dzień. No, ale to domysły. I nie wliczam w to czasu, jaki spędzisz u Althei. - Zakłopotanie powróciło. - Dowiozę cię do Althei tak szybko, jak zdołam.

Jennsen musiała pomówić z Altheą o lordzie Rahlu - tak o ojcu, jak i obecnym lordzie Rahlu, Richardzie, jej przyrodnim bracie. Nie byłoby dobrze, gdyby Tom się dowiedział, kim jest i jaki cel jej przyświeca. Natychmiast straciłby ochotę do pomagania - w najlepszym razie. Uznała, że powinien pozostać na uboczu, bo inaczej nabierze podejrzeń. Pokręciła głową.

- Myślę, że powinieneś zostać przy wozie i koniach. Skoro masz powozić całą noc, będziesz musiał wypocząć, żebyśmy mogli ruszyć zaraz po moim powrocie. Przez to zyskamy na czasie.

Kiwnął głową, przyznając jej rację.

- Słusznie. Ale i tak mógłbym...

- Nie. Doceniam podwiezienie, posiłek, wodę i ciepły koc, ale nie chcę, żebyś i ty ryzykował życie. Bardziej mi pomożesz, czekając przy wozie i odpoczywając, żeby być gotowym do drogi, jak tylko wrócę.

Patrzyła, jak wiatr igra z jego blond włosami, kiedy się namyślał.

- Niech będzie, skoro tego chcesz. Rad jestem, żeś mi pozwoliła wziąć w tym udział, pomóc sobie. A gdzie pojedziemy po spotkaniu z Altheą?

- Z powrotem do pałacu.

- No, to jak dobrze pójdzie, pojutrze odwiozę cię do pałacu.

Dla Sebastiana będą to trzy dni. Nie wiedziała, czy zostały mu jeszcze trzy dni, czy może raczej trzy godziny. A może ledwie trzy minuty. Musiała się zapuścić na moczary, dopóki istniała szansa, że Sebastian wciąż żyje.

Złe przeczucia nie przeszkodziły jej sycić się wspaniałym pasztecikiem. Jennsen była taka głodna, że wszystko by jej smakowało. Wyciągnęła z ciasta spory kawałek mięsa i nakarmiła Toma.

- Księżyc wzejdzie wkrótce po zachodzie słońca - powiedział z pełnymi ustami - więc jak dotrzemy do przełęczy, będzie na tyle jasno, że będę mógł dalej powozić. Z tyłu jest mnóstwo koców. Przenieś się tam, jak zapadnie noc, i spróbuj przespać do jutra. Musisz wypocząć. Rankiem ja się prześpię, a ty pójdziesz do Althei. Jak wrócisz, pojedę całą noc i odstawię cię do pałacu. Mam nadzieję, że w ten sposób zyskamy tyle na czasie, że pomożesz przyjacielowi.

Kołysała się na koźle obok wielkoluda, którego dopiero co spotkała i który robił to wszystko dla obcej osoby.

- Dziękuję, Tom. Porządny z ciebie człowiek.

Uśmiechnął się szeroko.

- Moja mama zawsze to powtarza.

Akurat odgryzła kolejny kęs, gdy dodał:

- Mam nadzieję, że i lord Rahl tak uważa. Powiesz mu to, jak go zobaczysz, co?

Nie miała pojęcia, o co mu chodzi, a bała się go o to zapytać. Żuła

odgryziony przed chwilą kęs, wykorzystując to jako pretekst do zwłoki, i gorączkowo się zastanawiała. Byle jaka odpowiedź mogła ją wpędzić w kłopoty. A w grę wchodziło życie Sebastiana. Uznała, że należy się uśmiechnąć i odpowiedzieć w tym samym tonie. Przełknęła przezuty kęs.

- Jasne.

Delikatny uśmiech, który wypłynął na usta trzymającego lejce Toma, świadczył, że była to właściwa odpowiedź.

ROZDZIAŁ 20

Znienacka blask uraził jej oczy. Jennsen osłoniła je dłonią i zobaczyła, że Tom ściąga z niej koce. Przeciągnęła się i ziewnęła, lecz przestała ziewać, kiedy tylko uświadomiła sobie, że leży w tyle wozu oraz gdzie i po co przyjechali. Usiadła. Zaprzęg stał na skraju bujnej łąki.

Wsparła dłoń na burcie o wygładzonej górnej krawędzi i rozejrzała się. Za nimi wznosiła się urwista szara skała, w jej szczelinach i pęknięciach zaś przycupnęły niskie, krzepkie krzaki, poskręcane i przygięte niczym pod nieustannym wichrem. Jennsen powiodła wzrokiem po zwiertzałej skale aż do miejsca, gdzie ta znikwała we mgle. U stóp skały, za łąką i przy przecinającej kamienną ścianę wąskiej rozpadlinie, rósł splątany gąszcz. Tomowi jakoś udało się przeprowadzić wóz pomiędzy tymi stromymi urwiskami. Dwa wielkie konie pociągowe, jeszcze nie wyprężone, szczypały trawę.

Przed nimi, za łąką, teren opadał w mrok między rozłożystymi drzewami, pnączami i festonami mchu. Spod zielonej zasłony dobiegały dziwne odgłosy, klekoty i pogwizdywania.

- W samym środku zimy... - Tylko tyle zdołała powiedzieć Jennsen.

Tom zdjął z wozu worki z obrokiem.

- To by mogło być całkiem miłe miejsce na spędzenie zimy - skinął głową ku pokrytemu gąszczem wzgórz - gdyby nie to, co stamtąd wyłazi. Według tego, co powiadają. Założę się, że gdyby to były tylko bajki, już by się znalazł jakiś głupi, który by tego spróbował. Ale jak się tylko jakiś śmiałek odważył, to zaraz zniknął, wciągnięty przez jakiegoś stwora, i nigdy nie wracał.

- Naprawdę uważasz, że są tam jakieś... potwory?

Oparł się o bok wozu i pochylił nad dziewczyną.

- Ja tam nie straszę niewiast, Jennsen. Kiedym był chłopcem, niektórzy z nas uwielbiali machać ku dziewczynom wijącym się węzłem, żeby usłyszeć ich wrzaski. Nigdy tego nie robiłem. Nie próbuję cię wystraszyć. Ale nigdy bym sobie nie wybaczył, gdybym pozwolił ci tam się zapuścić, tak dla zabawy, a ty byś nie wróciła. Może to tylko ludzkie gadanie, nie wiem, bom się nigdy tam nie zaawanturował. Nie znam też nikogo, kto by się tu zapędził bez zaproszenia, a i to od tamtej strony. Ludzie gadają, że nie

można iść od tyłu i wrócić, żeby o tym opowiedzieć. Jeżeli ktoś ma powody, żeby tego spróbować, to na pewno ty. Wiem, żeś tu jest z ważnych powodów, to się i nie spodziewam, żebyś tu całe dni siedziała i czekała na zaproszenie.

Jennsen przełknęła ślinę. Czuła w ustach gorzki smak. Skinęła głową w podzięcie, nie mając pojęcia, co odpowiedzieć.

Tom odgarnął w tył blond włosy.

- Chciałem ci tylko powiedzieć to, co wiem.

Poszedł ku koniom z workami obroku.

Cóż, jest tam to, co jest. Musi tam pójść i tyle. Nie ma wyboru; musi tam pójść, jeżeli chce uwolnić Sebastiana. Musi tam pójść, jeśli się chce uwolnić od lorda Rahla. Sięgnęła pod pelerynę i dotknęła rękojeści noża. Nie jest jakąś miastową dziewczyną, bojącą się własnego cienia, nie potrafiącą się bronić.

Jest Jennsen Rahl.

Jennsen zrzuciła z siebie koce i zeszła z wozu, wykorzystując szprychę tylnego koła jako stopień. Wracał Tom, niosąc bukłak.

- Napijesz się? To woda. Bukłak wisiał na rożku u chomąta i konie nie dały jej zamarznąć.

Ziąb wysuszył Jennsen gardło, więc chętnie się napiła. Zobaczyła, że Tom ociera pot z czoła, i dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, jak tu jest ciepło. Uznała, że żadne szanujące się moczary - na dodatek pełne potworów - nie pozwoliłyby sobie na zamarznienie.

Tom odwinął z płótna coś, co trzymał w dłoni.

- Śniadanko?

Uśmiechnęła się na widok pasztecika z mięsem.

- Jesteś nie tylko porządnym, ale i troskliwym człowiekiem.

Uśmiechnął się szeroko, podał Jennsen pasztet i zabrał się do wyprzęgania koni.

- Pamiętaj, żeś obiecała powiedzieć o tym lordowi Rahlowi! - zawołał do niej.

Zmieniła temat, bo nie chciała rozmawiać o tym, który ją ścigał.

- Więc będziesz tu? Jak wrócę? Będziesz czekał?

Obejrzał się na nią, przerzucając ramię ponad końskim zadem.

- Masz moje słowo, Jennsen. Nie porzucę cię tutaj.

Miał taką minę, jakby składał przysięgę. Uśmiechnęła się doń z

wdzięcznością.

- Powinieneś trochę odpocząć. Powoziłeś całą noc.

- Postaram się.

Odgryzła kolejny kęs pasztecika. Był zimny, ale smaczny i sycący. Jadła, patrząc na zieloną ścianę za łąką, na panujący tam mrok, a potem przyjrzała się stalowemu niebu.

- Orientujesz się, jaka to pora dnia?

- Słońce weszło jakąś godzinę temu - odparł, sprawdzając połączenia rzemieni; wskazał na drogę, którą tu dotarli. - Zanim zaczęliśmy tu zjeżdżać, byliśmy powyżej mgły i oparów. Tam wysoko było słonecznie.

Pod zasnutym chmurami niebem było tak ciemno, że Jennsen zdziwiły słowa Toma. Tutaj wyglądało tak, jakby świt miał dopiero nadejść. Trudno było uwierzyć, że niedaleko świeciło słońce, lecz widywała już wcześniej takie gęste tumany mgły, kiedy patrzyła w dół z wyżej położonych miejsc.

Jennsen skończyła pasztecik, otrzepała dłoń z okruchów i czekała na Toma, który odpinał popręg opasujący krzepką pierś jednego z koni. Oba wielkie, dobrze utrzymane zwierzęta były siwe, z czarną grzywą i ogonem. Jeszcze nie widziała tak dużych koni. Wydawały się jej nieproporcjonalnie wielkie, dopóki nie zobaczyła krzątającego się koło nich Toma. Przy nim nie były już tak okazałe, zwłaszcza że czule je poklepywał. Najwyraźniej sprawiało im to przyjemność.

Konie od czasu do czasu oglądały się na Toma, kiedy zdejmował uprząż, lub toczyły czarnymi oczami ku Jennsen, lecz przede wszystkim obserwowały cienie poza obrzeżem łąki. Uszy miały czujnie nastawione, skierowane ku moczarom.

- Lepiej już pójść. Nie ma czasu do stracenia.

Skinął tylko krótko głową.

- Dziękuję, Tom. Dziękuję, żeś mi pomógł, bo mogę już nie mieć okazji ci tego powiedzieć. Niewielu ludzi zrobiłoby to co ty.

Nieśmiały uśmiech znów lekko odsłonił jego zęby.

- Większość by ci pomogła. Rad jestem, że to właśnie ja mogłem to zrobić.

Była przekonana, że miał na myśli coś, czego ona nie pojmuje. Ale na razie miała większe zmartwienia.

Popatrzyła ku moczarom, od których dobiegały rozmaite głosy. Trudno

było ocenić, jak wysokie są drzewa, bo ich szczyty niknęły we mgle. Ale wyglądało na to, że pnie muszą być olbrzymie. Z mgły zwieszały się pnącza i rozmaite wijące się rośliny, oplatające konary wielkich drzew, jakby próbowały je wciągnąć w zalegające poniżej mroki.

Jennsen przyjrzała się obrzeżu i wypatrzyła grań biegnącą od skraju łąki niczym kręgosłup jakiejś tkwiącej pod ziemią wielkiej bestii. Znikała pod rozłożystymi gałęziami. Właściwie nie była to dróżka, lecz coś, czym można wyruszyć. Całe życie spędziła w lasach i potrafiła odnaleźć szlaki, których istnienia inni nawet nie podejrzewali. Nie było szlaku wiodącego do tego miejsca. Jakby nic tu nigdy nie przychodziło. Jennsen sama musiała znaleźć drogę.

Odwróciła się od skraju łąki i długo patrzyła w błękitne oczy wielkoluda. Uśmiechnął się do niej lekko - szanował ją za to, co robiła.

- Oby towarzyszyły ci i strzegły cię dobre duchy.

- I ciebie, Tomie. Prześpij się. Jak wrócę, trzeba będzie szybko jechać do pałacu.

- Jak rozkażesz. - Skłonił się.

Uśmiechnęła się, trochę zdziwiona jego zachowaniem, a potem odwróciła się ku mrokom i wyruszyła.

Pod zieloną okrywą moczarów było bardzo gorąco. Wilgoć sprawiała wrażenie jakiejś istoty, czekającej, by odepchnąć intruzów. Z każdym krokiem robiło się ciemniej. Cisza była tak gęsta jak wilgotne powietrze, a rozlegające się w mrokach nieliczne głosy jedynie podkreślały panujący spokój.

Jennsen szła krętą granią, schodziła coraz niżej. Gałęzie rosnących po obu stronach drzew obwisały pod ciężarem spowijających je pnączy i mchów. Idąc skalistym szlakiem, musiała niekiedy przysiąść i nurkować pod konarami. Kiedy indziej zaś musiała odsuwać na bok pnącza. W martwym, nieruchomym powietrzu unosił się odór rozkładu.

Odwróciła się i spojrzała za siebie - jasny tunel wznosił się ku łące. W świetlistym kręgu u jego wylotu dostrzegła sylwetkę wysokiego mężczyzny: stał, wsparty pod boki, i patrzył ku niej. W tych mrokach na pewno jej nie widział. Ona zaś dostrzegła go tylko dlatego, że stał pod światło. Ale i tak stał i patrzył.

Dziewczyna nie mogła się zdecydować, co właściwie o nim myśli. Trudno

go było rozgryźć. Wydawał się życzliwy, ale ona nikomu nie ufała. Z wyjątkiem Sebastiana. Jemu wierzyła.

Kiedy oczy przyzwyczyły się do mglistego światła, zorientowała się, że idzie jedyną prowadzącą w głąb trasą - innej w zasięgu wzroku nie było. Dokoła wznosiły się stronie skały. Łąka tworzyła zaledwie półkę w opadającym ku moczarom urwisku. Skały poniżej porastała gęstwa roślin wspinających się z moczarów. Grań, którą schodziła, była tylko skalnym fałdem, jedyną dostępną trasą w dół. Inaczej skały byłyby zbyt strome.

Rozejrzała się, głęboko zaczerpnęła powietrza, żeby dodać sobie ducha, i znów ruszyła w dół po wijącej się grani, coraz głębiej i głębiej między drzewa. Miejscami grunt po obu stronach trasy opadał przerażająco stromo. W pewnej chwili był tam wyłącznie mrok, jakby szła skalną kładką łączącą brzegi wyrwy w świecie. Zerknęła w głąbię, wyobraziła sobie czyhającego na nieostrożnych Opiekuna zaświatów i bardziej uważała.

Prędko zorientowała się, że wiele drzew, które widziała z góry, było jedynie koronami olbrzymich starych dębów, wyrastających ze skalnych krawędzi. Błędnie wzięła za pnie ich górne konary. Jennsen jeszcze nie widziała takich wielkich drzew. Prawie cały jej strach zmienił się w podziw. Wpatrywała się w mijane konary. W oddali widziała gniazda - tkwiące w rozwidleniu gałęzi zwitki gałązek i łodyg oplecione puszystym mchem i porostami. Nie mogła dostrzec, jakie ptaki budują tak okazałe schronienia, lecz zgadywała, że drapieżne.

Pochyliła się, chcąc się precyzyjnie pod wiszącą nad granią siecią ciasno splecionych konarów, i ujrzała panoramę rozległej krainy schowanej pod gęsto ulistnionym sklepieniem. Jakby spojrzała na nowy świat, ukryty i jeszcze przez nikogo nie odwiedzany. Z trudem docierały tu snopy przytłumionego światła. Tu i ówdzie z gęstego, mrocznego sklepienia zwieszały się pnącza. W otchłannym mroku cicho unosiły się ptaki. Z oddali doleciał ją głos jakiegoś zupełnie jej nie znanego zwierza. A z przeciwnej strony napłynęła odpowiedź.

Jennsen pomyślała, że choć okolica jest pierwotna i ponura, to jednak mrocznie piękna. Miała wrażenie, że znalazła się w ogrodzie w zaświatach, gdzie rośliny pławią się w wieczystym mroku. Zaświaty mogły być lodowatym królestwem Opiekuna, lecz wiekuisty blask Stwórcy ogrzewał i żywił dobre dusze.

Moczary na swój sposób przypominały jej D'Harę - mroczną, groźną i niebezpieczną, a zarazem boleśnie piękną. Podobnie jak jej nóż - jednocześnie wspaniały i symbolizujący ohydę rodu Rahlów.

Drzewa trzymały się korzeniami skalistego stoku niczym szponami, jakby się bały, że zostaną wciągnięte w niższe rejony, gdzie nie wiadomo co się czai. Niektóre stare sosny, od dawna martwe, wisiały na konarach krewniaczek. Pobliskie drzewa obejmowały je, jakby się starały im pomóc. Po nachylonych pniach wspinały się rośliny pnące i miejscami było spod nich widać sinawe, martwe drewno. Jedno ze starych drzew zagradzało drogę Jennsen. Wyglądało jak nadtopione, dopasowane do każdego zagłębienia i wypukłości grani. Rozpadające się drewno było gąbczaste, roiło się od owadów.

Siedząca na gałęzi sowa przyglądała się schodzącej dziewczynie. Po ziemi maszerowały mrówki dźwigające z wilgotnego lasu swoje skarby. Karaluchy - duże, twarde i połyskliwe brązowe - śmigały po ściółce z liści. Coś w gęstym podszyciu kotysało gałęziami, oddalając się od Jennsen.

A Jennsen całe życie spędziła w lasach i widziała wszystko: od wielkich niedźwiedzi po małe jelonki, od ptaków po robaki, od nietoperzy po trytony. Niektóre zwierzęta budziły w niej niepokój, jak węże czy niedźwiedzice z małymi, lecz dobrze je znała. Przeważnie bały się ludzi i chciały, żeby je zostawić w spokoju, więc się ich nie lękała. Nie wiedziała jednak, co się może czaić w tych mrokach, jakie stwory z ociekającymi jadem kłami. Nie miała pojęcia, jakie magiczne bestie, nie obawiające się niczego, mogą grasować w niżej położonych partiach matecznika tej czarodziejki.

Widziała pająki, tłuste i ciemne, które - powoli przebierając odnóżami w ociekającym wilgocią powietrzu - zwinnie zsuwały się po zaczepionych gdzieś wysoko niciach. Znikały w pokrywającym ziemię gąszczu paproci. Choć było gorąco i wilgotno, Jennsen szczelnie otulała się peleryną i nie zsunęła z głowy kaptura, żeby się chronić przed nimi.

Ukąszenie pająka może być śmiertelne, podobnie jak ukąszenie przez każde inne zwierzę. A śmierć to śmierć, bez względu na to, co ją spowodowało. Opiekun zmarłych nie udzielał specjalnej dyspensy tylko dlatego, że śmiertelny jad wpuściło coś niewielkiego i pozornie mało znaczącego. Opiekun zmarłych spowijał wieczystym mrokiem wszystkich, którzy przybywali do jego królestwa - przyczyna się nie liczyła. Powód

śmierci nie gwarantował łaski.

Chociaż Jennsen czuła się pod gołym niebem jak w domu i choć moczary były niepokojąco piękne, nieustannie bacznie się rozglądała i serce jej się tłukło w piersi. Każde pnącze lub zielony pęk, których dotknęła, wydawały się jej groźne i niekiedy aż podskakiwała.

Miała wrażenie, że w pobliżu czai się śmierć.

A potem skalny grzbiet, jej jedyna droga w dół, skończył się w nieruchomym, płaskim, cuchnącym, zapleśniałym i porośniętym mchem miejscu z płataniną korzeni. Wyglądało to tak, jakby drzewa bały się mrocznej wilgoci i starały się trzymać korzenie poza nią. Ziemię wokół tego miejsca porastała bujna płożąca się roślinność.

Jennsen dostrzegła charakterystyczny kształt kości udowej, sterczącej z błotnistej połaci. Kość pokrywała zielona, puszysta pleśń, lecz dało się ją rozpoznać. Dziewczyna nie miała pojęcia, do jakiego zwierza mogła ona należeć. Przynajmniej miała nadzieję, że była to kość zwierzęcia.

Zdziwiła się, natrafiwszy na błotniste oczka, które wyglądały tak, jakby błoto się gotowało. Wydymały się maziowate bąble ciemnobrązowego blocka - niczym przy gotowaniu na wolnym ogniu - i pękały, rozrzucając pacyny gęstego błota i wypuszczając kłęby pary. Na takich zapadniętych obszarach parującego blocka nic nie rosło. Tu i ówdzie błoto stwardniało, tworząc krótkie stożki, z których unosiła się żółtawa mgiełka.

Jennsen ostrożnie wybierała drogę pomiędzy płataniną korzeni, dymiącymi otworami i gotującym się błotem, coraz głębiej wchodziła w mroki pod drzewami. Zorientowała się, że stojąca woda zaczyna zajmować miejsce błotnistych obszarów. Najpierw były to sadzawki i kałuże, które wrzały i syczały, wydzielając pióropusze gryzącego dymu. Zostawiła za sobą gorące źródła i pojawiły się stawki, otoczone wysokimi trzciniami wyciągającymi się ku obłokom malutkich muszek.

Wreszcie wszystko pokryła stojąca woda, dno lasu stało się mroczne i płynne. Martwe pnie tkwiły w czarnej wodzie niczym strażnicy czuwający nad cuchnącą zgnilizną krainą. Z jeszcze mroczniejszych miejsc niosły się nad wodą głosy i nawoływania zwierząt. Tu i ówdzie tuż przy bujnie zielonych brzegach rosła rzęsa i kusila zwodniczo nieostrożnych, udając zielonawą ziemię, po której łatwo się przedostać. Jennsen zauważyła oczy lypiące przez rzęsę, obserwujące ją, kiedy przechodziła.

Grunt stawał się gąbczasty i wreszcie powoli zniknął pod stojącą wodą. Początkowo dostrzegała dno, ledwie cale pod szklistą powierzchnią, wkrótce jednak było już tak głęboko, że widziała tylko mrok. A w owym mroku dostrzegała prześlizgujące się jeszcze ciemniejsze kształty.

Dziewczyna przechodziła z korzenia na korzeń, starając się utrzymać równowagę bez wspierania się o oślizłe często pnie drzew. Stawała na grzbietach korzeni i dzięki temu nie musiała wchodzić do wody. Bała się, że woda może skrywać jakąś dziurę, która ją wciągnie.

Z każdym krokiem, kiedy to wystające korzenie były coraz rzadsze, Jennsen czuła coraz mocniejszy ucisk w żołądku. Zatrzymała się, pełna obaw, że zapuści się za daleko, że dotrze do miejsca, z którego nie będzie mogła zawrócić. Nie potrafiła zwątpić w swój osąd, że to najlepsza droga, bo przecież nie miała wyboru - to była jedyna droga. Pochyliła się i przymrużonymi oczami spojrzała w mrok, starając się dojrzeć coś za festonami mchu i bogato ulistnionych pnączy. Wydawało się jej, iż przez mgłę i cienie wypatrzyła, że niedaleko grunt znów się wznosi i droga staje się suchsza.

Jennsen głęboko zaczerpnęła parnego powietrza i wyciągnęła nogę, chcąc ją postawić na kolejnym korzeniu, lecz nie mogła go dosięgnąć. Lekko przysiadła i mocniej się wychyliła, usiłując przekroczyć odnogę nieruchomej wody, lecz korzeń był za daleko. Wyprostowała się, żeby to na nowo ocenić.

Będzie musiała przeskoczyć na odległe wyrzucenie. Właściwie był to skok, a nie sus. Jednak wcale nie miała ochoty się przekonać, co będzie, jeżeli się pośliznie i upadnie. Nie chciała też balansować na jedynym sterczącym z wody korzeniu. Gdyby wystarczająco mocno się wybiła, a potem dobrze skoczyła z tamtego korzenia, mogłaby wylądować na przeciwległym brzegu.

Podparła się czubkami palców o gładki, ale lepki pień. Przynajmniej nie był oślizły, bo wtedy ręka mogłaby się jej osunąć w najmniej odpowiednim momencie. Oceniała odległość. Było daleko, ale to i tak najbliższe miejsce dające pewne, suche podparcie dla stopy. Odpowiedni wysiłek - i powinna przeskoczyć na kolejny korzeń, już na suchszym gruncie.

Głęboko odetchnęła i stęknawszy z wysiłku, odepchnęła się od drzewa. Poszybowała nad taflą wody.

Korzeń poruszył się akurat wtedy, kiedy na nim lądowała. Było za późno - już nie mogła zmienić kierunku.

Korzeń, grubszy niż jej noga w kostce, nagle drgnął i zniknął. W tej samej chwili gruby zwój otoczył łydkę Jennsen, a kolejny fragment pokrytego zimnymi łuskami cielska owinał się wokół jej kolana.

Wszystko działo się tak szybko, że dziewczyna częściowo wciąż jeszcze podążała do korzenia, który ją pochwycił, częściowo zaś usiłowała się cofnąć. W pobliżu nie było niczego, na czym mogłaby się wesprzeć.

Jennsen instynktownie sięgnęła po nóż, ale stwór gwałtownie się skręcił i pchnął ją twarzą w wodę. Wyrzuciła przed siebie ręce, żeby choć trochę wyhamować upadek. Woda zapieniła się pod nią. Wczepiła się w korzenie na skraju wody, w prawdziwe korzenie, wilgotne, ale szorstkie i pewne.

Jednak chociaż zdołała się rozpaczliwie ucześcić korzeni, których ledwie sięgnęła, i tak nie umknęła przed splotami olbrzymiego węża, który wynurzył się pod nią z kipieli.

ROZDZIAŁ 21

Jennsen wyęczała wszystkie siły, czepiała się korzeni i usiłowała się wyrwać. Krzyknęła, kiedy sploty ją owinęły, szarpnęły, aż puściła korzenie, i przewróciły na plecy. Rozpaczliwie biła rękami wodę, usiłując się czegoś złapać. Znowu się wyciągnęła i udało jej się chwycić grubych korzeni - najpierw jedną dłonią, potem drugą - w sam czas, żeby się uratować przed wciągnięciem pod powierzchnię.

Z głębin wynurzył się łeb i przesunął się w górę po brzuchu dziewczyny, jakby stwór zamierzał zlustrować swoją oporną ofiarę. To był największy wąż, jakiego Jennsen w życiu widziała. Cielsko, pokryte opalizującymi zielonymi łuskami, lśniło w mglistym blasku. Napinały się potężne mięśnie, a światło odbijało się od ich wybrzuszeń połyskliwymi pasami. Groźne żółte ślepia okalały czarne otoki, przez co wydawało się, że wąż nosi maskę. Wysuwał się i chował czerwony język. Ciemnozielony łeb sunął w górę pomiędzy piersiami Jennsen ku jej głowie.

Krzyknęła i odchyliła głowę. Muskularne cielsko skrzywiło się i mocniej ją ścisnęło, starając się wciągnąć ofiarę na głębszą wodę. Jednak ona z całej siły trzymała się korzeni. Usiłowała się wydostać z wody, ale wąż był zbyt ciężki i zbyt silny.

Próbowała kopać, lecz gad zdążył się już owinać wokół nóg. Sploty zaciskały się wokół niej, wciągały ją głębiej. Dziewczyna wykaszliwała wodę i starała się walczyć z ogarniającą ją paniką równie energicznie, jakby to też był żywy stwór.

Potrzebny był jej nóż. Ale żeby go dosięgnąć, musiałaby się puścić korzeni. Tyle że jeśli je puści, stwór wciągnie ją pod wodę i utopi.

Jedna ręka, powiedziała sobie. To zupełnie wystarczy - jedna ręka. Jeśli jedną dłonią puści się korzeni, dosięgnie noża. Ale bezlitosny wąż falował, uparcie sunąc w górę ciała Jennsen. Już dotarł do talii, więc strach sprawiał, że jeszcze mocniej wczepiała się w korzenie.

Wreszcie szeroki łeb znów się wynurzył i zaczął podążać po jej ciele. Jennsen, najsilniej jak mogła, zacisnęła na korzeniu lewą dłoń. Z rozpaczliwą determinacją oderwała od korzenia prawą rękę i wepchnęła ją pod pelerynę. Namoknięty materiał wybrzuszał się pod naciskiem dłoni. Nie mogła się

dostać pod spód. Gad przycisnął łeb do jej piersi, jakby chciał jej zasygnalizować, że zamierza zgnieść jej płuca, żeby nie mogła oddychać.

Wciągnęła brzuch i starała się wepchnąć palce pod sploty, ale ciężkie cielsko owinęło się ciasno wokół jej torsu, nie pozwalając wsunąć ręki pod pelerynę i sięgnąć po nóż.

Kiedy szaleńczo się szarpała i wiła, próbując dosięgnąć broni, wąż nagle podciągnął wyżej ciężkie sploty i unieruchomił jej ramię.

Drugą dłonią ciągle jeszcze trzymała się korzenia. Miała wrażenie, że ciężar zwierzęcia wyrwie jej ramię ze stawu, jeżeli nie puści drzewa. Była jednak pewna, że byłoby to najgorsze wyjście. Lecz wąż był zbyt ciężki. I ciągnął ją z taką siłą, iż bała się, że zedrze jej skórę z palców.

Czuła, że - pomimo wszystkich jej wysiłków - palce zaczynają się ześlizgiwać z korzenia. Płakała z bólu. Nie miała już wyboru. Puściła korzeń.

Zanurzyła się w ciemną, głębszą wodę. W końcu dotknęła stopami dna. Ugiwała nogi, pozwalając wężowi się wciągać, a potem wykorzystwała ten impet i z siłą zwielokrotnioną przez strach odbiła się od zatopionych korzeni. Wynurzyła się, okręciła i złapała korzeni po drugiej stronie.

Wąż przetoczył się wraz z nią, obrócił ją na plecy. Krzyknęła, kiedy wykręcił jej ramię. Jednak w całej tej szarpaninie, chlapaniu, przetaczaniu się i krztuszeniu gad na moment poluzował sploty. Nie zmarnowała tej okazji. Chwyciła srebrną rękojeść.

A kiedy szeroki łeb, z którego raz po raz wysuwał się cienki czerwony język, znów sunął ku jej twarzy, Jennsen wyciągnęła nóż i wsunęła czubek ostrza pod zuchwę węża. Stwór znieruchomiał, jakby wyczuł zagrożenie tkwiące w ostro zakończonej głowni. Trwali nieruchomo, patrząc na siebie. Była to sytuacja bez wyjścia, lecz Jennsen czuła ogromną ulgę, bo wreszcie trzymała w dłoni nóż.

Leżała na plecach w wodzie, w splotach ciężkiego węża. Wiedziała, że nie zdoła go utrzymać ani się wyrwać. Mięśnie ramienia osłabły w walce, bolały od wykręcania. Jennsen była wyczerpana. W tej sytuacji nie będzie łatwo wysłać na tamten świat tak wielkiego i krzepkiego gada. Nawet na lądzie nie byłoby to łatwe.

Obserwowały ją żółte ślepie. Zastanawiała się, czy to jadowity wąż. Jeszcze nie widziała jego kłów. Ciekawe, czy zdąży go dźgnąć, gdy zechce ukąsić ją w twarz.

- Przepraszam, że cię nadepnęłam - odezwała się. Właściwie nie wierzyła, że wąż ją zrozumie, i raczej mówiła do siebie, głośno rozmyślając. - Każde z nas wystraszyło drugie.

Wąż trwał nieruchomo i obserwował ją. Nie wysuwał języka. Łeb, uniesiony parę cali czubkiem noża, musiał wyczuwać ostrze.

Może uważał, że to kieł. Tego Jennsen nie wiedziała, lecz była przekonana, że lepiej byłoby uniknąć walki z takim stworem.

Tkwiała w wodzie, na terenach węża, a nie swoich. Nóż czy nie, nie wiadomo, jak zakończyłaby się walka. Nawet gdyby zabiła gada, to owinięte wokół niej martwe cielsko mogłoby ją wciągnąć pod wodę i utopić. Lepiej, jeśli to możliwe, zakończyć sprawę bez walki.

- Odejdź - szepnęła ze śmiertelną powagą. - Bo inaczej będę cię musiała zabić.

Uniosła głownię noża, żeby się wypowiedzieć w sposób bardziej, jej zdaniem, zrozumiały dla węża.

Nogi zaczęły ją rwać. Poczowała, że ucisk słabnie. Łeb cofał się cal po calu. Łuskowate sploty się rozluźniły, zsunęły z jej bioder i nóg i nagle znów mogła się swobodnie unosić na wodzie. Ręka Jennsen towarzyszyła cofającemu się łbowi, by z całej siły pchnąć nożem przy najmniejszym zagrożeniu. W końcu gad zsunął się do wody.

Dziewczyna natychmiast wydostała się na twardy grunt. Tkwiła na czworakach, zaciskając nóż w pięści, i chciwie chwytiała powietrze. Odpoczywała, uspokajając rozdygotane nerwy. Nie miała pojęcia, co i dlaczego pomyślał sobie wąż, czy to by się udało w innym miejscu i czasie - lecz dzisiaj się udało, więc wyszeptała dziękczynną modlitwę do dobrych duchów. Nie chciała się ociągać z wyrażeniem wdzięczności, na wypadek gdyby naprawdę miały udział w ocaleniu jej z tej śmiertelnej pułapki.

Grzbietem drżącej dłoni otarła łzy z policzków, stanęła na dygoczących nogach. Odwróciła się i popatrzyła na nieruchomą czarną wodę rozlewającą się pod mchami i listowiem. Przypomniała sobie, że dotknęła stopami zatopionych korzeni. Przyjrzała się przestrzeni, którą przebyła, i zorientowała się, że woda musiała się podnieść o parę stóp i zalać tę połąć. A może to ziemia się zapadła. Tak czy owak, gdyby ostrożnie przeszła po płyciźnie, zamiast skakać na udającego korzeń węża, wszystko mogło się okazać bezpieczniejsze.

Pomyślała, że w drodze powrotnej utnie sobie jakiś kostur, żeby bezpieczniej przebrnąć przez płyciznę, badając drogę przed sobą, i że będzie uważać, by nie nadepnąć węża.

Jennsen, ciągle jeszcze zadyszana, popatrzyła na czekającą ją mroczną drogę. Musiała dotrzeć do chaty czarodziejki, a marnowała czas, tkwiąc tutaj i rozczulając się nad sobą. Sebastian potrzebował jej pomocy, a nie tego, by się nad sobą uzalała.

Ruszyła, przemoczona do suchej nitki. Na szczęście, mimo zimy, na moczarach było ciepło. Przynajmniej nie zamarznie. Przypomniała sobie, jak zmokła, kiedy uciekali z Sebastianem z chaty po tym, jak bojówka zamordowała mamę.

Grunt wznosił się ledwie parę cali ponad powierzchnię stojącej wody, lecz był tak przepleciony korzeniami, że z łatwością utrzymywał ciężar Jennsen. Jęzory wody tu i ówdzie wpełzały na ziemię, ale były dość wąskie i płytkie. Mimo że woda w nich była głęboka tylko na kilka cali, dziewczyna stąpała ostrożnie, sprawdzając, czy korzenie tuż pod powierzchnią nie są aby czyhającymi wężami. Wiedziała, że węże wodne należą do najniebezpieczniejszych. Jadowity wąż, nawet mający zaledwie stopę, mógł uśmiercić człowieka. Tak jak w przypadku pajaków, rozmiary nie miały znaczenia, jeżeli jad był śmiertcionośny.

Znów dotarła do obszarów, gdzie ze szczelin unosiły się wyziewy. W ziemi otaczającej otwory, z których się wydobywały, pełno było złogów, przeważnie żółtych. Odór dusił, więc musiała okrążyć cały ten teren, żeby móc oddychać. Zarośla były gęste i kolczaste.

Zdołała odciąć parę cięższych gałęzi i wydostała się przez gąszcz na półkę przyklejoną do skalnej ściany. Szła tym wąskim występem, okrążając ciemną taflę wody. Powierzchnię marszczyły drobne fale, jakby w głębi coś się przemieszczało wraz z Jennsen. Nie wypuszczała noża, uważała, gdzie stawia stopy, i czujnie obserwowała wodę, by coś stamtąd nie skoczyło na nią. Kiedy został jej w dłoni kawałek zwietrzałej skały i omal się przy tym nie potknęła, rzuciła nim w niewidocznego pod wodą stwora. Ale i tak jej towarzyszył, póki nie dotarła do drugiego skraju, gdzie mogła się wspiąć na wyżej położony teren, którym doszła do gęstych, wysokich łądyg o szerokich liściach.

Miała wrażenie, że idzie polem kukurydzy. Widziała, jak w oddali coś

powoli sunie wśród łądyg. Nie wiedziała, co to takiego, ale było tak wielkie, że nie miała ochoty się z tym spotkać, więc przyspieszyła kroku. Wkrótce mknęła przez gąszcz, omijając łądygi i nurkując pod rozgałęzieniami.

Pojawiły się drzewa i ponownie szła wśród płataniny korzeni. Zdawały się nie mieć końca, a ona posuwała się naprzód rozpaczliwie powoli. Dzień mijał. Kiedy docierała na otwarty teren - a przynajmniej dostatecznie otwarty - biegła, żeby zyskać na czasie. Już całe godziny była na moczarach. Musiało być blisko południa.

Tom mówił, że droga przez mokradła może trwać i dzień w jedną stronę. Jednak Jennsen wędrowała już tak długo, że zaczęła się bać, iż przegapiła chatę czarodziejki. Łatwo mogła jej nie zauważyć i minąć. Zaczęła się zamartwiać, że tak się właśnie stało.

A jeżeli nie odnajdzie chaty? Co wtedy zrobi? Nie miała ochoty spędzać nocy na moczarach. Nie wiadomo, jakie stwory grasują tu nocami. Wiedziała, że nie zdoła rozpać tu ognia. Przerazała ją myśl, że mogłaby tkwić w tym miejscu w ciemnościach, pozbawiona nawet blasku gwiazd czy księżyca.

Jennsen dotarła wreszcie na brzeg rozległego jeziora i zatrzymała się, żeby odetchnąć. Drzewa, szerokie u dołu, tam gdzie wynurzały się z wody, stały niczym rząd pali podtrzymujących niski zielony dach. Światło ponad jeziorem było nieco jaśniejsze. Po prawej stronie widniała skalna ściana, na którą nie można się było wspiąć. Opadała stromo w wodę, sugerując tym jej głębokość.

Dziewczyna spojrzała w lewo i wystraszyła się, dostrzegłszy ślady stóp. Podbiegła i przyklękła, żeby się im lepiej przyjrzeć. Wyglądały na ślady mężczyzny, sądząc po rozmiarach, ale były dość stare. Ruszyła po nich brzegiem i w paru miejscach natrafiła na łuski ryb złapanych na haczyk i od razu oczyszczonych. Dalej roślinność była gęsta i splątana, lecz trawa i sucha ziemia na brzegu jeziora tworzyły dobrą drózkę, ze śladami stóp. Dawały nadzieję.

Jennsen poszła po śladach stóp wzdłuż spokojnego jeziora. Kroczyła dobrze wydeptaną ścieżką wśród wierzb, na wyżej położony teren. Wyrzała przez szparę w gąszczu roślinnym i dostrzegła poprzez drzewa, za płataniną krzaków i zasłoną pnączy, stojący na odległym wzniesieniu dom. Z komina unosił się dym i mieszał z szarą mgłą, zupełnie jakby to ów dym wytwarzał tę

szarą niczym popiół zasłonę.

W szarawym mroku moczarów padające z bocznego okna światło lśniło jak złocisty klejnot, jak latarnia witająca zagubionych, zrozpaczonych, porzuconych i bezbronnych. Zapłakała z ulgi, ujrzawszy nareszcie cel swojej wędrówki, tak ciężkiej i pełnej strachu. Mogłyby to być łzy radości, gdyby nie potrzeba, która ją tu przygnała.

Jennsen pospieszyła dróżką wśród wierzb i dębów, minęła splątane podszycie i festony pnączy i wkrótce dotarła do domku. Stał na podbudowie z kamieni, mozolnie dopasowanych bez użycia zaprawy, ściany zrobiono z cedrowych bali. Dach osłaniał również wąską werandę, z której po schodkach docierało się na dróżkę wiodącą ku pobliskiemu jezioru.

Pokonując po dwa stopnie naraz, wskoczyła na werandę, obiegła nią domek i dotarła do drzwi obramowanych filarami z prostych bali, które podtrzymywały skromny, lecz ładny portyk. Przed drzwiami, u stóp szerokich schodów, zaczynała się dobrze utrzymana dróżka wiodąca przez moczary. To tędy zjawiali się ludzie zaproszeni przez czarodziejkę. Przy wertepach, którymi Jennsen tu dotarła, owa dróżka wydała się jej wygodną drogą.

Zapukała, nie tracąc czasu. Niecierpliwie zastukała raz jeszcze. Drzwi gwałtownie uciekły jej spod dłoni. Stał w nich starszy mężczyzna i zapatrzył się w nią ze zdumieniem. Siwizna brała górę nad ciemną barwą i włosy trochę się przerzedziły, ale nadal były gęste. Był średniego wzrostu, ani szczupły, ani otyły. Ubrany był nie jak traper czy człowiek z moczarów, lecz jak rzemieślnik. Brązowe, czyste i porządne spodnie uszyte z drogiego materiału. Na zielonej koszuli połyskiwały drobinki złota. To był złotnik Friedrich.

Przyjrzał się jej bystrymi oczami, dostrzegł osłonięte kapturem rude włosy.

- Co ty tu robisz? - spytał. Niski głos dobrze do niego pasował, ale wcale nie był przyjazny.

- Jeśli można, chciałabym się zobaczyć z Altheą.

Popatrzył na ścieżkę, a potem znów na Jennsen.

- Jak się tu dostałaś?

Jego podejrzliwość zdradziła dziewczynie, że w jakiś sposób dowiadywał się, czy ktoś czeka u początku ścieżki. Znała takie metody ostrzegawcze;

wraz z mamą cały czas z nich korzystały, by wiedzieć, czy nikt ich nie śledzi.

- Przyszłam inną drogą. - Wskazała za dom. - Tą z tyłu. Znad jeziora.

- Nikt nie może pójść za jezioro, nawet ja. - Zmarszczył krzaczaste szpakowate brwi; nie rozważył jej słów, o nic więcej nie zapytał. - Kłamiesz.

Jennsen osłupiała.

- Wcale nie. Przyszłam drogą od tyłu. Koniecznie muszę się zobaczyć z twoją żoną Altheą.

- Nie pozwolono ci tutaj przyjść. Powinnaś odejść. Tym razem nie zbaczaj ze szlaku, jeśli ci życie miłe. Odejdź!

- Ale to sprawa życia lub śmierci. Muszę...

Drzwi się zatrzasnęły.

ROZDZIAŁ 22

Jennsen tkwiła nieruchomo przed zatrzaśniętymi drzwiami. Nie wiedziała, co robić. Była strasznie zaskoczona.

Z wnętrza doleciał do niej kobiecy głos:

- Kto to, Friedrichu?

- Wiesz, kto to. - Głos mężczyzny był zupełnie inny niż wtedy, kiedy mówił do Jennsen: czuły, poufały, pełen szacunku.

- Wpuść ją.

- Ależ Altheo, nie możesz...

- Wpuść ją, Friedrichu. - Jej głos, choć nie był szorstki, beszał.

Jennsen poczuła ulgę. Natychmiast zapomniała o argumentach, które chciała przedstawić, kiedy znów zastuka. Drzwi się otworzyły, tym razem wolniej.

Friedrich nie spojrzał na nią jak ktoś pokonany i napomniany, lecz jak mężczyzna z godnością znoszący dopustę losu.

- Wejdz, proszę, Jennsen - powiedział spokojniej i przyjaźniej.

- Dziękuję - odparła cicho, trochę zdumiona i zakłopotana, że zna jej imię.

Weszła za nim, przyglądając się wszystkiemu. Choć na moczarach było ciepło, ogienek w kamiennym kominku przesycił powietrze miłą wonią i przyjemnie je osuszał. I po to właśnie się palił, a nie dla ogrzewania. Umebłowanie było skromne, lecz solidne, ozdobione rzeźbieniami. W głównej izbie były tylko dwa okna, w przeciwległych, bocznych ścianach. Z tyłu znajdowały się inne pomieszczenia, a w jednym z nich stał pod oknem warsztat z równiutko poukładanymi narzędziami.

Jennsen nie pamiętała tego domu, jeśli istotnie był to ten sam dom. Wspomnienie wizyty u Althei dotyczyło raczej przyjaznych twarzy niż otoczenia. Ściany, przybrane ozdobami cieszącymi jej oczy, wydawały się znajome. Jako dziecko na pewno zwróciłaby uwagę na owe wspaniałości. Były tam figurki ptaków, ryb i innych zwierząt, zawieszane pojedynczo lub pogrupowane na półeczkach. To na pewno przyciągnęłoby uwagę małego dziecka.

Niektóre figurki pomalowano, inne nie, lecz pióra, łuski i sierść

wyrzeźbiono tak precyzyjnie, że zwierzęta sprawiały wrażenie magicznie przemienionych w drewno. Inne rzeźby były bardziej stylizowane i przepięknie złożone. Wiszące na jednej ze ścian lustro obramowywały gwiazdne promienie, na przemian pozłoczone i posrebrzone.

W pobliżu kominka leżała na podłodze czerwono-złota poducha. Wzrok Jennsen przyciągnęła położona przed nią czworokątna plansza z pozłacanym Grace. Przypominał symbol, który dziewczyna często rysowała. Tyle że ten był prawdziwy. Z boku leżał stosik kamyków.

We wspaniałym fotelu z wysokim oparciem i rzeźbionymi poręczami siedziała wiotka kobieta. Duże ciemne oczy kontrastowały ze złocistymi, przetykanymi siwizną włosami. Fala włosów okalała twarz i spływała na ramiona. Wspierała nadgarstki na poręczach i długimi, smukłymi palcami leciutko gładziła spirale, którymi je zakończono.

- Jestem Althea. - Głos miała miły, lecz z wyraźną władczą nutką; nie wstała.

Jennsen dygnęła.

- Wybacz mi, proszę, że tak wtargnęłam, nieproszona i nieoczekiwana.

- Może nie zaproszona, lecz nie nieoczekiwana, Jennsen.

- Znasz moje imię?

Zbyt późno się zorientowała, jak głupio to zabrzmiało. Ta kobieta była czarodziejką. Nie wiadomo, co umożliwiała jej moc.

Althea uśmiechnęła się, co jeszcze dodało jej uroku.

- Pamiętam cię. Nie zapomina się kogoś takiego jak ty.

Jennsen nie bardzo wiedziała, co to oznacza, ale na wszelki wypadek podziękowała. Uśmiech Althei rozszerzył się, aż w kącikach oczu pojawiły się zmarszczki.

- Wyglądasz tak samo jak twoja mama. Gdyby nie te rude włosy, pomyślałabym, że się cofnęłam w czasie do chwili, kiedy ją ostatni raz widziałam, kiedy miała akurat tyle lat co ty. - Uniosła dłoń na pewną wysokość. - A ty byłaś ot taka.

Jennsen poczuła, że jej twarz dorównuje barwą włosom. Mama była piękna, nie tylko mądra i kochająca. Dziewczyna nie wierzyła, że może się równać z tak atrakcyjną kobietą lub kiedykolwiek sprostać zasadom, według których ta postępowała.

- Co u niej?

Jennsen przełknęła ślinę.

- Mama... mama odeszła. - Udręczona, spuściła wzrok. - Zabili ją.

- Tak mi przykro - odezwał się stojący za nią Friedrich i współczująco położył dłoń na jej ramieniu. - Naprawdę. Trochę ją znałem z pałacu. Była porządną kobietą.

- Jak to się stało? - spytała Althea.

- W końcu nas dogonili.

- Dogonili was? - Althea zmarszczyła brwi. - Kto?

- No, d'harańscy żołnierze. Żołnierze lorda Rahla. - Jennsen odchyliła pelerynę i pokazała im rękojeść noża. - To jednego z nich.

Althea popatrzyła na nóż, a potem znów na twarz dziewczyny.

- Tak mi przykro, kochanie.

Jennsen skinęła głową.

- Ale muszę cię ostrzec. Poszłam do twojej siostry, Lathei...

- Widziałaś się z nią, zanim umarła?

Jennsen spojrzała na nią ze zdumieniem.

- Owszem.

Czarodziejka ze smutnym uśmiechem potrząsnęła głową.

- Biedna Lathea. Jak z nią było? To znaczy, czy miała dobre życie?

- Nie wiem. Miała ładny domek, ale krótko się z nią widziałam. Odniosłam wrażenie, że mieszka sama. Poszłam do niej, bo potrzebowałam pomocy. Przypomniałam sobie, jak mama wymawiała imię czarodziejki, która nam pomogła, ale chyba pomyliłam imiona. No i trafiłam do twojej siostry. Nawet nie chciała ze mną mówić. Powiedziała, że nie może nic zrobić, że to ty musiałaś mi przedtem pomóc. I dlatego zjawiłam się tutaj.

- Jak się tu dostałaś? - spytał Friedrich, wskazując ku dróżce od frontu. - Musiałaś zejść ze szlaku.

- Nie doszłam tu tą drogą. Przyszłam od tyłu.

Teraz nawet Althea się nachmurzyła.

- Tam nie ma żadnej drogi.

- Noo, nie ma ścieżki jako takiej, ale przeszłam.

- Nikt nie może dotrzeć tu od tamtej strony - upierała się czarodziejka. - Jest tam specjalna ochrona.

- Wiem. Natknęłam się na wielkiego węża...

- Widziałaś węża? - zapytał Friedrich.

Jennsen potaknęła.

- Nadepnęłam na niego przypadkiem. Myślałam, że to korzeń. Było trochę kłopotów i zamoczyłam się.

Patrzyli na nią tak, że się zaniepokoiła.

- Tak, tak - odezwała się Althea, wąż jej nie obszedł, i machnięciem ręki odpędziła tak nieistotne wiadomości - ale na pewno widziałaś też inne stwory?

Jennsen przeniosła wzrok z szeroko otwartych oczu Friedricha na mars Althei.

- Nie widziałam niczego poza węzem.

- Wąż to tylko wąż - stwierdziła czarodziejka i kolejnym niecierpliwym machnięciem zbyła groźnego gada. - Tam, z tyłu, są niebezpieczne stwory. Stwory, które nikogo by nie przepuściły. Nikogo. Jak, na Stwórcę, zdołałaś przejść obok nich?

- Jakie stwory?

- Magiczne - odparła ponuro Althea.

- Przykro mi, ale mogę tylko powiedzieć, że przeszłam tamtędy i niczego poza węzem nie widziałam. - Zmarszczyła brwi, spoglądając na sufit i zastanawiając się. - Chociaż... widziałam coś w wodzie, ciemne stwory pod wodą.

- Ryby - zakpił Friedrich.

- I w krzakach, widziałam coś w krzakach. Nooo, właściwie nie widziałam stwora, tylko kołyszące się krzaki, i stąd wiedziałam, że coś tam jest. Ale nic nie wyszło z ukrycia.

- Te stwory - odezwała się Althea - nie kryją się w krzakach. Niczego się nie boją. Przed niczym się nie chowają. Wyszłyby i rozszarpały cię.

- Nie mam pojęcia, czemu tego nie zrobiły - stwierdziła Jennsen. Spojrzała za okno, w stronę rozlewisk stojącej ciemnej wody pod splątanymi festonami pnączy. Niepokoiła się, że musi tamtędy wracać. Denerwowało ją, że tu chodzi o życie Sebastiana, a czarodziejka rozprawia o tym, co się kryje na moczarach - w końcu przeszła tamtędy, więc nie było to takie niemożliwe, jak się jej starali wmówić. - A tak właściwie, czemu tu mieszkasz? Skoro jesteś taka mądra i w ogóle, dlaczego mieszkasz na moczarach z węzami?

Althea uniosła brew.

- Bo wolę moje węże bez rąk i nóg.

Jennsen zaczerpnęła powietrza i zaczęła na nowo.

- Przyszłam tutaj, Altheo, bo rozpaczliwie potrzebuję twojej pomocy.

Kobieta pokręciła głową, jakby nie chciała tego słuchać.

- Nie mogę ci pomóc.

Jennsen zdumiało, że tak szybko odmówiono jej prośbie.

- Ależ musisz.

- Czyżby.

- Błagam, już mi kiedyś pomogłaś. Znowu potrzebuję twojej pomocy.

Lord Rahl jest coraz bliżej. Parę razy ledwo uszłam z życiem. Jestem w kropce i nie wiem, co robić. I tak naprawdę, nie mam pojęcia, czemu ojciec chciał mnie zabić.

- Bo jesteś jego pozbawionym daru dzieckiem.

- Właśnie powiedziałaś coś, co zupełnie nie ma sensu. Nie mam daru, więc jak mogę być zagrożeniem? Skoro był takim potężnym czarnoksiężnikiem, to jaką szkodę mogłam mu wyrządzić? Jaka groźba tkwi we mnie? Czemu aż tak chciał mnie zabić?

- Lord Rahl zabija każdego potomka pozbawionego daru, jeśli tylko go znajdzie.

- Ale dlaczego? Mord to skutek, nie przyczyna. Musi być jakaś przyczyna.

Gdybym ją знаła, to może wymyśliłabym, co robić.

Althea znów pokręciła głową.

- Nie wiem. Lord Rahl nie rozprawiał ze mną o swoich sprawach.

- Kiedy się zobaczyłam z twoją siostrą i nie chciała mi pomóc, wróciłam, żeby ją zapytać o to samo, co ciebie. Tyle że już ją zabili ci sami, którzy mnie ścigają. Musieli się bać, że mi coś powie, więc ją zamordowali. - Jennsen odgarnęła w tył włosy. - Przykro mi z powodu twojej siostry, naprawdę. Ale czyż nie rozumiesz? I tobie grozi niebezpieczeństwo przez to, co wiesz.

- Nie pojmuję, czemu mieliby ją skrzywdzić. - Althea, nachmurzona, zapatrzyła się przed siebie i rozmyślała. - Twoje domysły, że mogła coś wiedzieć, są bezsensowne. Nigdy nie była w to zamieszana. Lathea wiedziała mniej niż ja. Nie miałyby pojęcia o tym, dlaczego Rahl Posępny pragnął cię usunąć z tego świata. Nic by ci nie mogła powiedzieć.

- Cóż, skoro on uważał, że my, urodzeni bez daru, jesteśmy gorsi i zupełnie pozbawieni wartości, to chciał, że tak powiem, wygubić nieudany miot. Ale czemu jego syn, mój przyrodni brat, równie zawzięcie chce mnie

zabić? Nie mogłam wyrządzić szkody ojcu i nie mogę jego synowi, a Richard i tak nasyła na mnie bojówki.

Althea dalej miała wątpliwości.

- Jesteś całkowicie pewna, że robią to ludzie lorda Rahla? Kamienie nie pokazują...

- Zjawili się w mojej chacie. Zabili mamę. Widziałam ich, walczyłam z nimi. To byli d'harańscy żołnierze. - Wyciągnęła nóż z pochwy u pasa i pokazała czarodziejce rękojęść. - A jeden z nich miał to.

Althea dokładnie przyjrzała się nożowi, jak ktoś mający przed oczami śmiercionośną broń, lecz nic nie powiedziała.

- Czemu lord Rahl miałby zabijać mamę? I czemu ród Rahlów chce mojej śmierci?

- Nie znam odpowiedzi na te pytania. - Althea uniosła ręce i pozwoliła im opaść na podolek. - Przykro mi, ale taka jest prawda.

Jennsen uklękła przed nią.

- Nawet jeśli tego nie wiesz, Altheo, i tak potrzebuję twojej pomocy. Twoja siostra nie mogła mi pomóc, mówiła, że tylko ty to potrafisz. Że tylko ty możesz zobaczyć dziury w świecie. Nie mam pojęcia, co to znaczy, ale domyślam się, że ma to coś wspólnego z tym wszystkim, z magią. Potrzebuję pomocy.

Czarodziejka sprawiała wrażenie zakłopotanej.

- I czego się ode mnie domagasz?

- Ukryj mnie. Jak wtedy, kiedy byłam małą. Rzuć na mnie urok, żeby nie wiedzieli, kim jestem i gdzie mnie szukać. Wtedy nie pójdą moim tropem. Chcę tylko, żeby mi dali spokój. Potrzebuję uroku, który ukryje mnie przed lordem Rahlem. I nie proszę o to tylko dla siebie. Potrzebuję go i po to, żeby pomóc przyjacielowi. Urok ukryje moje pochodzenie, więc będę mogła wrócić do Pałacu Ludu i wydostać go.

- Wydostać? Co masz na myśli? Kim jest ów przyjaciel?

- Ma na imię Sebastian. Pomógł mi, kiedy żołnierze zaatakowali nas i zabili mamę. Uratował mi życie. Towarzyszył mi tutaj, żebym się mogła z tobą spotkać. Twoja siostra powiedziała, że w pałacu dowiemy się, gdzie cię znaleźć. Podróżował ze mną, pomagał mi, żebym się mogła tu dostać, odszukać cię i poprosić o pomoc. Poszliśmy do pałacu odszukać Friedricha i dowiedzieć się, gdzie mieszkacie, a tam gwardziści uwięzili Sebastiana. Nie

rozumiesz? Pomógł mi i dlatego go pojмали. Na pewno będą go torturować. Pomagał mi, to przeze mnie wpadł w tarapaty. Błagam cię, Altheo. Potrzebuję twojej pomocy, żebym go mogła wydostać. Potrzebuję uroku, żebym mogła tam wrócić i go ocalić.

Althea wpatrywała się w nią z niedowierzaniem.

- A dlaczego sądzisz, że urok tego dokona?

- Nie wiem. Nie mam pojęcia, jak działa magia. Wiem tylko, że potrzebuję jej pomocy, że potrzebuję uroku, który ukryje, kim jestem.

Althea pokręciła głową, jakby miała do czynienia z kimś całkowicie szalonym.

- Magia nie działa tak, jak to sobie wyobrażasz, Jennsen. Sądzisz, że rzucę sieć i będziesz mogła swobodnie wejść do pałacu, a gwardziści dostaną się pod wpływ tego uroku i zaczną przed tobą otwierać wszystkie drzwi?

- Nnnno, nie wiem...

- Jasne, że nie wiesz. I dlatego mówię, że magia nie działa w ten sposób. Magia to nie klucz, który otwiera przed tobą drzwi. Magia to nie coś, co ot, tak sobie rozwiązuje problemy. Ona by je tylko skomplikowała. Jeśli masz w namiocie niedźwiedzia, to nie przywołujesz drugiego. Dwa niedźwiedzie nie są lepsze od jednego.

- Ale Sebastian potrzebuje mojej pomocy. A ja potrzebuję pomocy magii, żeby pomóc jemu.

- A co by się według ciebie stało, gdybyś tam poszła i posłużyła się... - Althea zatoczyła krąg ręką, jakby szukała odpowiedniego słowa - no, powiedzmy, jakimś magicznym pyłem, żeby otworzyć drzwi więzienia i uwolnić przyjaciela? Sądzisz, że radośnie byście sobie stamtąd wyszli i że na tym by się skończyło?

- Nnnno, bo ja wiem...

Althea pochyliła się, wsparta na łokciu.

- Nie sądzisz, że ludzie, którzy zarządzają pałacem, chcieliby wiedzieć, jak do tego doszło, żeby na przyszłość zapobiec podobnym przypadkom? Że całkiem niewinni ludzie, którzy strzegą drzwi, wpadliby w ogromne tarapaty, bo pozwolili zbiec więźniowi, i że mogliby przez to ucierpieć? Że pałacowi urzędnicy chcieliby odzyskać więźnia? Że po takiej ucieczce uznaliby, że jest jeszcze bardziej niebezpieczny, niż im się początkowo zdawało? Że całkiem niewinni ludzie mogliby ucierpieć z powodu

nadzwyczajnych środków, podjętych dla schwytania więźnia, który uciekł za pomocą magii? Że wysłaliby za nim wojsko i osoby mające dar, by przeczesali okolicę, nim zdąży uciec zbyt daleko? Nie sądzisz - rzekła na koniec czarodziejka z ogromną powagą - że czarodziej tak potężny jak lord Rahl D'Hary chowa w zanadrzu jakąś paskudną i groźną niespodziankę dla osoby, która ośmieliłaby się użyć przeciwko niemu uroku od żalosnej starej czarodziejki. I to jeszcze w murach jego pałacu?

Jennsen wpatrywała się w utkwione w nią ciemne oczy.

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

- Powiedziałaś mi coś, co i tak wiem.

- Ale... ale jak mam wydostać Sebastiana? Jak mogę mu pomóc?

- Powiedziałyby, że musisz wymyślić jakiś sposób, żeby go stamtąd wydostać - jeśli to, rzecz jasna, w ogóle możliwe - i że musisz przy tym wziąć pod uwagę to wszystko, o czym mówiłam. Wybicie dziury w murze, przez którą wyszedłby na wolność, ściągęłoby psy, nieprawdaż? Wpędziłoby cię w podobne kłopoty jak magia. Musisz wymyślić coś, co ich przekona, by wypuścili go z własnej woli. Wtedy nie będą was ścigać, żeby go na powrót pojmać.

To brzmiało dla Jennsen zupełnie sensownie.

- Jak mogę tego dokonać?

Czarodziejka wzruszyła ramionami.

- Założę się, że tego dokonasz, jeżeli to możliwe. W końcu wyrosłaś na bystrą młodą kobietę, uciekłaś bojówkom, odnalazłaś mnie i dostałaś się tutaj, prawda? Wiele dokonałaś. Po prostu musisz się do tego przyłożyć. Tylko nie zaczynaj od bicia kijem w gniazdo szerszeni.

- Ale nie rozumiem, jak zdołam tego dokonać bez pomocy magii. Jestem nikim.

- Nikim - zakpiła Althea, odchylając się do tyłu. Stawała się nauczycielką, zniecierpliwioną przez tępawego ucznia. - Jesteś kimś: Jennsen, bystrą, mądrą dziewczyną. Nie powinnaś przede mną klęczeć i przyznawać się do niewiedzy, opowiadać, czego to nie możesz zrobić, i prosić, żeby inni zrobili to za ciebie. Jeżeli chcesz być niewolnicą, to dalej proś innych, żeby za ciebie działali. Wyświadczą ci tę przysługę, ale przekonasz się, że ceną za to jest swoboda wyboru, wolność, samo twoje życie. Zrobią to za ciebie i w rezultacie na zawsze zostaniesz ich niewolnicą, bo sprzedasz im swobodę za

marną cenę. Wtedy i tylko wtedy będziesz nikim, bo sama się do tego doprowadzisz.

- Ale może w tym przypadku jest inaczej...

- Słońce wstaje na wschodzie i nie ma od tego wyjątku, bo tak sobie zażyczysz. Wiem, o czym mówię, i powiadam ci, że magia nic tu nie da. Co ty myślisz? Że gdyby dzięki urokowi nie wiedzieli, że jesteś córką Rahla Posępnego, to by się z własnej woli rzucili do otwierania drzwi? Ale otworzą drzwi celi twojego przyjaciela przed nikim, jeśli uznają, że je otworzyć powinni. Nawet gdyby istniał czar, który zamieniłby cię w sześcionogiego królika, i tak nie otworzyliby tych drzwi przed tobą.

- Ale magia...

- Magia to narzędzie, a nie rozwiązanie.

Jennsen zmusiła się do zachowania spokoju, chociaż chciała złapać tę kobietę za ramiona i potrząsać nią, dopóki nie zgodziłaby się pomóc. Nie zamierzała - tak jak w przypadku Lathei - zmarnować szansy uzyskania pomocy.

- Czemu mówisz, że magia to nie rozwiązanie? Magia jest potężna.

- Masz nóż. Pokazałaś mi go.

- To prawda.

- Czy machasz nim komuś przed nosem i domagasz się, żeby ci oddał chleb, kiedy jesteś głodna? Nie. Nakłaniasz taką osobę, żeby oddała chleb w zamian za monetę.

- To znaczy, twoim zdaniem można ich przekupić?

Kolejne westchnienie.

- Nie. Z tego, co wiem, przekupić ich nie można, przynajmniej w powszechnym znaczeniu tego słowa. Ale można się tu dopatrzeć pewnego podobieństwa. Kiedy Friedrich chce chleba, nie wykorzystuje noża, żeby odebrać chleb tym, którzy go mają. A przynajmniej nie w tym sensie, w jakim ty się chcesz posłużyć magią. Nóż staje się dlań narzędziem do rzeźbienia figurek, które potem pozłaca. Sprzedaje to, co wyrzeźbił nożem, i kupuje chleb. Rozumiesz? Gdyby się posłużył nożem, narzędziem, żeby od razu rozwiązać problem chleba, w rezultacie sam by na tym ucierpiał. Stałby się złodziejem i ścigano by go. Zamiast tego wykorzystuje swój talent i posługując się nożem jako narzędziem, tworzy figurki. W ten oto sposób rozwiązuje problem zdobycia chleba za pomocą noża.

- Czyli mam się pośrednio posłużyć magią? Mam z magii uczynić narzędzie, które mi pomoże?

Althea westchnęła ciężko.

- Nie, dziecko. Zapomnij o magii. Musisz się posłużyć rozumem. Magia to kłopoty. Myśl.

- I tak zrobiłam. Nie było to łatwe, ale posłużyłam się rozumem, żeby dotrzeć do ciebie po pomoc. A teraz potrzebuję uroku, narzędzia, które pomoże mi się ukryć. W ten sposób urok stanie się narzędziem, jak o tym mówiłaś.

Althea spojrzała w kominek, obserwowała migotliwe płomienie.

- W ten sposób nie mogę ci pomóc.

- Chyba nie zrozumiałaś. Ścigają mnie wpływowi ludzie. Potrzebuję uroku, który ukryłby, kim jestem. Tak jak to już raz zrobiłaś, kiedy byłam mała i mieszkałam z mamą w pałacu.

Stara kobieta nie odwracała oczu od kominka.

- Nie mogę tego zrobić. Nie mam takiej mocy.

- Ależ możesz. Już to kiedyś zrobiłaś. - Lata rozczarowań, strachu, poczucia straty i daremności wysiłków dały o sobie znać gorzkimi łzami. - Nie po to przebyłam taką długą drogę i tak się namęczyłam, żebyś mi odmówiła! Lathea odmówiła. Powiedziała, że ty jedna możesz zobaczyć dziury w świecie i że tylko ty będziesz mogła mi pomóc. Muszę uzyskać twoją pomoc, zakłęcie, które mnie ukryje. Zaklinam cię na wszystko, Altheo.

Czarodziejka nie spojrzała jej w oczy.

- Nie mogę rzucić na ciebie takiego uroku.

Jennsen zdławiła łzy.

- Błagam cię, Altheo. Chcę tylko spokoju. Masz taką moc.

- Nie mam mocy, jaką mi przypisujesz. Pomogłam ci w jedyny dostępny mi sposób.

- Jak możesz tak siedzieć i odmawiać pomocy, wiedząc, że inni cierpią i umierają? Jak możesz być tak samolubna, Altheo? Jak możesz mi odmawiać pomocy, kiedy jej potrzebuję?

Friedrich ujął Jennsen pod ramię i podniósł ją.

- Przykro mi, ale już wypowiedziałaś prośbę. Usłyszałaś to, co Althea miała do powiedzenia. Jeśliś mądra, wykorzystasz to, czegoś się dowiedziała, żeby sobie pomóc. Już czas, byś odeszła.

Dziewczyna się wyszarpnęła.

- Potrzebuję tylko uroku! Jak ona może być taka samolubna!

W oczach Friedricha płonęła furia, choć głos nadal miał spokojny.

- Nie masz prawa tak się do nas odzywać. Nie masz o niczym pojęcia, nic nie wiesz o jej poświęceniu. Czas, żebyś...

- Friedrichu - odezwała się cicho Althea - może byś nam zrobił herbaty?

- Nie ma powodu, Altheo, żebyś się z czegokolwiek tłumaczyła, a już zwłaszcza jej.

Kobieta uśmiechnęła się do niego.

- Wszystko w porządku.

- Z czego miałabyś się tłumaczyć? - zapytała Jennsen.

- Mój mąż mógł ci się wydać szorstki, ale to dlatego, że nie chciał cię obarczać. Wie, że niektórzy odchodzą stąd unieszczęśliwieni wiedzą, którą im przekazuję. - Zwróciła ciemne oczy ku mężowi. - Zrobisz nam herbaty?

Na twarzy Friedricha pojawiło się nieme cierpienie, wreszcie z rezygnacją skinął głową.

- Co masz na myśli? - zapytała Jennsen. - Jaka wiedza? Co przede mną ukrywasz?

Mężczyzna poszedł do szafki po kubki i czajnik, po czym ustawił kubki na stole. Tymczasem Althea gestem nakazała dziewczynie, żeby usiadła przed nią na poduszce.

ROZDZIAŁ 23

Jennsen usiadła wygodnie na leżącej przed czarodziejką czerwono-złotej podusze.

- Wiele lat temu - zaczęła Althea, splatając dłonie na podołku, na sukni w biało-czarne wzory - dawniej, niżbyś uwierzyła, wybrałam się z siostrą do Starego Świata, poza wielką barierę na południu.

Dziewczyna uznała, że najlepiej będzie siedzieć cicho i usłyszeć możliwie najwięcej, a nie wyrywać się z tym, co już wie: że nowy lord Rahl, żądny podbojów, zniszczył wielką barierę, by móc napaść na Stary Świat, i że Sebastian przybył tu ze Starego Świata, by znaleźć sposób na wsparcie imperatora Jaganga Sprawiedliwego w powstrzymaniu agresji D'Harańczyków. Pomyślała, że jeżeli sama to wszystko lepiej zrozumie, to może uda się jej jakoś przekonać Altheę, by jej pomogła.

- Udałam się do Starego Świata, do przybytku zwanego Pałacem Proroków - rzekła Althea; o tym też Jennsen słyszała od Sebastiana. - Choć bardzo niewielki, mam dar prorokowania. Chciałam się dowiedzieć, jak go rozwinąć i używać, moja siostra zaś chciała poznać leki i tym podobne. Poza tym pragnęłam się czegoś nauczyć o ludziach takich jak ty.

- Jak ja? O co ci chodzi?

- Przodkowie Rahla Poępnego nie różnili się od niego. Wszyscy eliminowali każdego pozbawionego daru potomka, o którego narodzinach się dowiedzieli. Lathea i ja byłyśmy młode i aż się paliłyśmy do wspomagania potrzebujących i niesprawiedliwie prześladowanych. Chciałyśmy wykorzystać nasz dar do zmieniania świata na lepsze. Choć każda chciała się uczyć czego innego, udałyśmy się tam z tego samego powodu.

Dziewczyna pomyślała, że to bardzo podobne do tego, co sama czuła, i że o takiej właśnie pomocy mówiła. Wiedziała jednak, że nie pora o tym wspominać.

- Czemu musiałyście podróżować aż do Pałacu Proroków, żeby się tego wszystkiego dowiedzieć?

- Tamtejsze czarodziejki słyną z wielkiego doświadczenia, tak w sprawach czarodziejów i magii, jak i - a nawet przede wszystkim - w sprawach dotyczących tego i innych światów.

- Innych światów? - Jennsen wskazała obszar poza zewnętrznym położonym kręgiem Grace, na leżącej w pobliżu planszy. - Masz na myśli świat zmarłych?

Althea odchyliła się do tyłu, zastanowiła.

- Tak, ale niezupełnie. Pojmujesz znaczenie Grace? - Zaczekała na potwierdzenie Jennsen. - Czarodziejki z Pałacu Proroków mają wiedzę na temat interakcji pomiędzy darem a zasłoną oddzielającą światy oraz ich współzależności. Na temat tego, jak to wszystko współgra. Nazywają je Siostrami Światła.

Jennsen przypomniała sobie nagle, jak Sebastian mówił, że Siostry Światła są teraz przy imperatorze Jagangu. Zaproponował, że zabierze ją do Sióstr Światła. Miał nadzieję, że one będą mogły jej pomóc. Na pewno musiały mieć coś wspólnego ze Światłem Stwórcy, a zwłaszcza z darem symbolizowanym przez centrum Grace. Coś jeszcze przyszło jej na myśl.

- Czy to ma coś wspólnego ze słowami Lathei? Że widzisz te... dziury w świecie, jak je nazwała?

Althea uśmiechnęła się jak nauczycielka rada, że uczennica jest bliska prawdy.

- W samej rzeczy. Pozbawione daru potomstwo lorda Rahla, każdego lorda Rahla, od tysięcy lat, jest zupełnie inne niż pozostałe istoty. Dla nas, mających dar, jesteście dziurami w świecie.

- Co to dokładnie znaczy?

- Jesteśmy na was ślepi.

- Ślepi? Przecież mnie widzisz. I Lathea mnie widziała. Nie rozumiem.

- Oczami was widzimy. Jednak darem nie. - Wskazała Friedricha stojącego przy kominku z żelaznym czajnikiem, a potem okno. - Wszędzie są żywe istoty. Widzisz je oczami, widzisz Friedricha, drzewa i inne. Tak jak ja, jak wszyscy. - Uniósłszy palec, podkreśliła wagę swoich słów. - Jednak ja widzę je również poprzez dar. I chociaż widzą cię nasze oczy, to my, mający dar, nie możemy cię spostrzec za pośrednictwem magii. Rahl Posepny nie potrafił cię dostrzec zupełnie tak samo jak ja. Nowy lord Rahl też tego nie potrafi. Dla nas, mających dar, jesteś dziurą w świecie.

- Ale, ale - jąkała się zmieszana Jennsen - to nie ma sensu. Przecież mnie ścigał. Posłał za mną ludzi, mieli moje imię na kartce.

- Mogą cię ścigać, ale tylko zwykłymi metodami. Nie potrafią cię

odnaleźć za pomocą magii. Jego dar cię nie postrzega, jest na ciebie ślepy. Chcąc cię odnaleźć, musi korzystać ze szpiegów, przekupstwa i zastraszenia, a nie tylko z rozumu i przebiegłości. W przeciwnym razie wysłałby jakąś magiczną bestię, żeby cię rozszarpała, i tak załatwiłby całą sprawę. Nie musiałby wysłać żołnierzy z twoim imieniem zapisanym na kartce.

- Chcesz powiedzieć, że jestem dla niego niewidzialna?

- Nie. Znam cię. Pamiętani twoje rude włosy. Rozpoznałam cię, bo pamiętam twoją matkę, a wyglądasz jak ona. Znam cię na ten właśnie sposób, tak jak wszyscy kogoś znają i rozpoznają. Rahl Posepny mógłby cię rozpoznać za życia, gdyby tylko pamiętał twoją mamę. Ci, którzy go znali, mogliby się dopatrzeć w tobie podobieństwa do niego, które i ja widzę, jego cech połączonych z cechami twojej mamy. Lord Rahl rozpoznałby cię w ten sam sposób, w jaki osoby bez daru poznają innych. Może cię odnaleźć zwyczajnymi metodami. Oczywiście, gdyby cię zobaczył, domyśliłby się, że jesteś pozbawionym daru dzieckiem Rahla. Jednak nie może cię odnaleźć za pomocą magii. Tego nie potrafi. Dla nas, mających dar, pod wieloma względami jesteś jak wszyscy inni, wyjąwszy to, że jesteś dziurą w świecie.

Jennsen się nachmurzyła. Uświadomiła to sobie dopiero wtedy, gdy Althea, zamyślona, widząc jej minę, złączyła kciuki.

- Kiedy byłam w Pałacu Proroków - odezwała się w końcu Althea - poznałam tam kobietę, czarodziejkę jak ja, o imieniu Adie. Przybyła samotnie do Starego Świata z odległej krainy, żeby się nauczyć, czego tylko zdoła. Była ślepa.

- Ślepa? Jak mogła sama podróżować, skoro była ślepa?

Althea uśmiechnęła się, wspominając tamtą kobietę.

- O, mogła. Posługiwała się darem, nie oczami. Wszystkie czarodziejki, wszyscy ludzie posiadający dar, mają unikatowe zdolności. Poza tym moc części z nich jest większa, podobnie jak ludzie o krzepkich mięśniach są mocniejsi ode mnie. Na przykład Friedrich. Ma silniejsze mięśnie. Ty masz włosy, jak inni, lecz twoje są rude. Niektórzy zaś mają włosy blond, czarne lub kasztanowe. Choć pewne cechy są wspólne, każda osoba ma też własne, charakterystyczne tylko dla niej. To samo dotyczy daru. Niektórzy mają wielką moc, inni ledwie słabą. Każdy z nas jest odmienną jednostką. Każdy z nas ma odmienną moc i talenty, tak samo jak wy macie swoje indywidualne cechy.

- A co z tą twoją przyjaciółką, Adie?

- Oczy Adie były zupełnie białe, ale nauczyła się widzieć za pomocą daru. Dar więcej jej mówił o otaczającym ją świecie niż moje oczy mnie. Adie lepiej widziała ludzi darem niż ja oczami. Podobnie jak ci, którzy oślepli, a nie mają daru, i bardziej polegają na słuchu, potrafią dosłyszeć więcej niż ja czy ty. Adie tak właśnie posługiwała się darem. Widziała, wyczuwając tę nieskończenie drobną iskierkę daru Stwórcy, która żarzy się we wszystkim: życie samo w sobie, a nawet więcej, bo akt stworzenia. Problem w tym, że dla mnie, dla Rahla Posępnego, dla Adie nie istniejesz. Jesteś dziurą w świecie.

Jennsen ogarnęło przerażenie, którego powodów początkowo nie rozumiała. A potem zaczęła je dostrzegać. Poczula, jak łzy napływają jej do oczu.

- Stwórca nie dał mi życia, jakie je dał wszystkim innym? Zaczęłam istnieć w jakiś inny sposób? Jestem jakimś... potworem? Ojciec chciał mnie zabić, bo jestem jakimś potwornym wybrykiem natury?

- Nie, dziecko, nie - powiedziała Althea, pochylając się i gładząc włosy dziewczyny. - Nie to miałam na myśli.

Jennsen z całych sił starała się zapanować nad tym nowym przerażeniem. Widziała przez łzy pochyloną ku niej zatroskaną twarz Althei.

- Nawet nie jestem częścią aktu stworzenia. To dlatego dar mnie nie wyczuwa. Lord Rahl chciał po prostu uwolnić świat od błędu natury, od złego.

- Jennsen, nie wmawiaj sobie tego, czego nie powiedziałam. Posłuchaj mnie.

Dziewczyna skinęła głową, ocierając oczy.

- Słucham.

- To, że jesteś inna, wcale nie znaczy, że jesteś zła.

- No to czym jestem, jeśli nie potworem nie tkniętym przez akt stworzenia?

- Drogie dziecko, jesteś podporą aktu stworzenia, filarem świata.

- Ale mówiłaś...

- Mówiłam, że osoby mające dar nie mogą cię dostrzec za jego pośrednictwem. Nie powiedziałam, że nie istniejesz ani że nie jesteś, jak reszta nas, częścią aktu stworzenia, częścią świata.

- To czemu jestem... tym czymś? Jedną z tych dziur w świecie?

Althea pokręciła głową.

- Nie wiem, dziecko. Jednak nasza niewiedza nie dowodzi, że coś jest złe. Sowa widzi nocą. Czy to, że ludzie cię nie widzą, a sowa tak, świadczy, że jesteś zła? Ograniczenia jednej strony nie przydają nikczemności drugiej. Dowodzą tylko jednego: istnienia ograniczeń.

- Czy całe potomstwo lorda Rahla jest takie?

Althea dokładnie przemyślała odpowiedź.

- Ci zupełnie pozbawieni daru, tak. Ci, którzy rodzą się choć z odrobinką mocy, nie. Ta odrobinka może być tak mała i niezdatna do użytku, że nikt poza mającymi dar nawet nie będzie podejrzewał jej istnienia. Takie potomstwo będą uważać za pozbawione daru, choć owa iskierka sprawi, że ludzie ci, w przeciwieństwie do ciebie, nie będą dziurami w świecie. A zarazem uczyni ich bezbronnymi. Takich potomków można odnaleźć za pomocą magii i wyeliminować.

- Czyli większość potomstwa lorda Rahla jest właśnie taka, za to tacy jak ja, te dziury w świecie, rzadziej się trafiają?

- Tak - przyznała spokojnie czarodziejka.

Jennsen wyczuła w jej krótkiej odpowiedzi tajone napięcie.

- Sugerujesz, że kryje się w tym coś więcej niż tylko to, że dla mających dar jesteśmy dziurami w świecie?

- Tak. To jeden z powodów, dla których wybrałam się na naukę do Sióstr Światła. Chciałam lepiej zrozumieć związki między darem a życiem, jakie znamy, związki z aktem stworzenia.

- Odkryłaś coś? Siostry Światła potrafiły ci pomóc?

- Niestety, nie. - Althea, zamyślona, zapatrzyła się w dal. - Tylko nieliczne by się ze mną zgodziły, ale zaczęłam podejrzewać, że we wszystkich ludziach, wyjąwszy takich jak ty potomków lorda Rahla całkowicie pozbawionych daru, tkwi niezauważalna iskierka magii, która choć nieuchwytna w żaden inny sposób, wiąże ich z mającymi dar i tym samym z rozleglejszym światem aktu stworzenia.

- Nie rozumiem, co by to miało oznaczać dla mnie czy kogokolwiek innego.

Althea z wolna potrząsnęła głową.

- Kryje się w tym więcej, niż wiem, Jennsen. Podejrzewam, że chodzi tu o coś o wiele ważniejszego.

Dziewczyna nie potrafiła sobie wyobrazić, co by to mogło być.

- Ile dzieci urodziło się bez daru?

- Jak się dowiedziałam, niezwykle rzadko zdarza się, by więcej niż jeden potomek każdego lorda Rahl'a urodził się z darem, darem w naszym rozumieniu. Lord Rahl płodzi wyłącznie jednego prawowitego następcę. - Uniosła palec, pochyliła się do przodu. - Jest jednak możliwe, że choć inni jego potomkowie są pozbawieni daru w potocznym rozumieniu, to w wielu istnieje owa niedostrzegalna i nieprzydatna iskierka mocy, przez co są wykrywani i eliminowani, zanim się o nich dowiedzą podobni do mnie. Całkiem możliwe, że tacy jak ty trafiają się naprawdę rzadko, podobnie jak ów jedyny oficjalny, obdarzony mocą dziedzic, i dlatego przeżywacie. Następnie dowiadują się o was podobni mnie, przez co zakłócacie naszą ocenę, którzy potomkowie trafiają się rzadko, a którzy często. Jak już mówiłam, uważam, że kryje się za tym o wiele więcej, niż wiem i potrafię pojąć. Jednak wszyscy ci, jak ty pozbawieni nawet owej niedostrzegalnej iskierki daru, są...

- Filarami świata - wtrąciła sarkastycznie Jennsen.

Althea zaśmiała się cicho.

- To chyba lepiej brzmi.

- Ale dla tych z darem jesteśmy dziurami w świecie.

Uśmiech czarodziejki zniknął.

- Właśnie. Gdyby była tu Adie, ślepa i widząca wyłącznie za pomocą daru, choćbyś stała tuż przed nią, nie dostrzegłaby cię. Widziałaby wszystko prócz ciebie. Byłaby na ciebie ślepa. Dla Adie, mogącej patrzeć jedynie za pomocą daru, byłabyś naprawdę dziurą w świecie.

- To mi wcale nie dodaje otuchy.

Uśmiech Althei powrócił.

- Nie rozumiesz, dziecko? To dowodzi tylko istnienia ograniczeń. Dla ślepego każdy jest dziurą w świecie.

Jennsen przemyślała to sobie.

- Więc to tylko kwestia postrzegania. Niektórzy zwyczajnie nie mogą mnie dostrzec, ale w pewien wąski sposób.

Kobieta skinęła głową.

- Otóż to. A ponieważ mający dar często nieświadomie posługują się swoją mocą, podobnie jak ty wzrokiem, spotkanie z kimś takim jak ty jest dla

nich dużym wstrząsem. Budzi w nich niepokój.

- Wstrząsa nimi? Dlaczego?

- To niepokojące, kiedy zmysły są w sprzeczności.

- Ale i tak mnie widzą, więc czemu ich niepokoję?

- Hmm, wyobraź sobie, że słyszysz głos, a nie dostrzegasz jego źródła.

Jennsen wcale sobie tego nie musiała wyobrażać. Dobrze rozumiała, jakie to niepokojące.

- Albo wyobraź sobie - ciągnęła czarodziejka - że mnie widzisz, lecz kiedy chcesz mnie dotknąć, twoja dłoń przechodzi na wskroś, jakby mnie tu nie było. Nie zaniepokoiłoby cię to?

- Chyba tak - przyznała dziewczyna. - Czy jest w nas jeszcze coś odmiennego? Poza tym, że dla mających dar jesteśmy dziurami w świecie?

- Nie wiem. Nadzwyczaj rzadko trafia się na kogoś takiego jak ty. Choć możliwe, że istnieją też inni. Słyszałam nawet pogłoski, że jeden z takich potomków żył pośród uzdrowicieli zwanych Raug'Moss. Całkiem pewna jestem jedynie twojego istnienia.

Kiedy Jennsen była bardzo mała, przebywała z mamą u tych uzdrowicieli.

- Znasz jego imię?

- Szeptano imię Drefan, ale nie wiem, czy jest prawdziwe. Nawet jeśli tak, to pewnie już nie żyje. Lord Rahl to lord Rahl. Jego słowo jest prawem. Rahl Posępny, jak większość jego przodków, spłodził zapewne wiele dzieci. Niebezpiecznie jest zatajać wiedzę o pochodzeniu takiego potomka. Niewielu poniosłoby takie ryzyko, więc o większości dzieci się dowiedziano i natychmiast je uśmiercono. Pozostałe w końcu odnaleziono.

Jennsen spytała, myśląc głośno:

- Czy to możliwe, że jesteśmy tacy dla ochrony? Są zwierzęta rodzące się z różnymi cechami, które pomagają im przetrwać. Jelonki, na przykład, są w cętki, żeby łatwiej mogły się ukryć i były niewidoczne dla drapieżników. Żeby stały się dla nich dziurami w świecie.

Althea uśmiechnęła się.

- Uważam, że to równie dobre wytłumaczenie jak każde inne. Jednak znam magię i sędzę, że przyczyna jest bardziej złożona. Wszystko dąży do równowagi. Wilki i płowa zwierzyna zachowują proporcje: cętki jelonków pomagają im przeżyć, ale to zagraża istnieniu wilków, które potrzebują

pożywienia. To działa w obie strony. Jeżeli wilki zjedzą wszystkie jelonki, płowa zwierzyna wyginie, a potem zginą też pozbawione pokarmu wilki, bo zakłóciły równowagę między nimi a płową zwierzyną. Oba gatunki współistnieją w równowadze pozwalającej im przetrwać, choć kosztem życia niektórych osobników. W sprawach magii równowaga ma zasadnicze znaczenie. To, co na pozór wydaje się proste, często miewa bardziej złożone przyczyny. Podejrzewam, że w przypadku takich jak ty została osiągnięta szczególna równowaga i bycie „dziurą w świecie” jest jedynie podrzędną tego oznaką.

- Może więc w owej równowadze zawiera się i to, że jak niektóre jelonki są chwywane pomimo cętek, tak niektórzy mający dar potrafią mnie dostrzec? Twoja siostra mówiła, że możesz dostrzec dziury w świecie.

- Nie, w zasadzie nie mogę. Po prostu nauczyłam się paru sztuczek z darem, podobnie jak Adie. - Jennsen się nachmurzyła, ponownie zdezorientowana, więc Althea spytała: - Potrafisz zobaczyć ptaka w bezksiężycową noc?

- Nie. To niemożliwe, kiedy nie ma księżyca.

- Niemożliwe? Nie całkiem. - Czarodziejka uniosła dłoń ku niebu, jakby sugerowała, że coś nad nimi przelatuje. - Zobaczyłabyś, jak nikną przesłaniane przez ptaka gwiazdy. Obserwując dziury w niebie, w pewien sposób dostrzegłabyś i ptaka.

- To po prostu inny sposób widzenia. - Jennsen uśmiechnęła się, rada z tak sprytnego wyjaśnienia. - To dzięki temu widzisz takich jak ja?

- Owo porównanie to najprostszy sposób, w jaki mogę ci to wyjaśnić. Ale i to ma swoje ograniczenia. Pozwala zobaczyć w nocy ptaki, ale tylko wtedy, kiedy lecą na tle gwiazd, kiedy nie ma chmur i tak dalej. Podobnie jest z takimi jak ty. Nauczyłam się sztuczki pozwalającej mi dostrzec takich jak ty, ale ma ona ograniczenia.

- A w tym Pałacu Proroków dowiedziałaś się czegoś o swoim darze prorokowania? Może to by mi jakoś pomogło?

- Nie przydałoby ci się nic, co ma związek z prorokowaniem.

- Ale dlaczego?

Althea pochyliła do przodu głowę, jakby wątpiąc, czy Jennsen uważała.

- Skąd płyną prorocтва?

- Od proroków.

- A prorocy mają do tego wielki dar. Prorokowanie to jedna z form magii. Jednak mający dar nie mogą cię dostrzec za jego pomocą, pamiętasz? Dla nich jesteś dziurą w świecie. Więc i prorocy by cię nie widzieli. Mam malutki dar przewidywania, ale nie jestem prorokiem. U Sióstr Światła całe dziesięciolecie spędziłam w podziemiach, studiując proroctwa, które były jednym z moich zainteresowań. Spisali je w ciągu stuleci wielcy prorocy. Na podstawie własnych doświadczeń i tego, co przeczytałam, mogę ci powiedzieć, że proroctwa są na ciebie równie ślepe, jak byłaby Adie. W przypadku proroctw podobni tobie nigdy nie istnieli, nie istnieją i istnieć nie będą.

Jennsen poczuła się przytłoczona.

- Rzeczywiście, dziura w świecie.

- W Pałacu Proroków spotkałam proroka Nathana i choć nie dowiedziałam się niczego o podobnych tobie, dowiedziałam się nieco o moim talencie. Głównie tego, jak bardzo jest ograniczony. Ciągłe jeszcze nie dają mi spokoju rzeczy, których się tam dowiedziałam.

- O co ci chodzi?

- Pałac Proroków powstał przed tysiącami lat i nie przypomina żadnego ze znanych mi miejsc. Budynek i otaczające go tereny chroni specjalne, jedyne w swoim rodzaju zaklęcie. Zmienia ono upływ czasu dla tych, którzy tam mieszkają.

- Więc i ciebie jakoś zmieniło?

- O tak. Wszystkich zmienia. Ci, którzy żyją pod ochroną zaklęcia Pałacu Proroków, wolniej się starzeją. Ludzie poza pałacem starzeli się nawet o piętnaście lat, my zaś w pałacu jedynie o rok.

Mina Jennsen wyrażała niedowierzanie.

- Jak to możliwe?

- Nic nie jest nigdy takie samo. Świat bez przerwy się zmienia. Trzy tysiące lat temu, podczas wielkiej wojny, świat był inny. Zmienił się od tamtej pory. Czarodzieje byli inni, kiedy powstała wielka bariera na południe od D'Hary. Mieli wówczas olbrzymią moc.

- Rahl Posepny miał olbrzymią moc.

- Nie. Rahl Posepny, choć tak potężny, był nikim w porównaniu z czarodziejami z tamtych czasów. Tamci władali mocami, o których Rahl Posepny mógł jedynie marzyć.

- To wymarli wszyscy czarodzieje o tak olbrzymiej mocy? Od tamtej pory żaden taki się nie narodził?

Althea zapatrzyła się przed siebie.

- Od wielkiej wojny nie urodził się nikt taki - odrzekła z powagą. - Nawet sami czarodzieje rodzili się coraz rzadziej. Jednak teraz, po raz pierwszy od trzech tysięcy lat, ktoś taki przyszedł na świat. To twój przyrodni brat, Richard.

Okazało się, że jej prześladowca jest jeszcze groźniejszy, niż Jennsen potrafiła sobie wyobrazić. Nic dziwnego, że mamę zabito, a ludzie lorda Rahla deptali Jennsen po piętach. Ten lord Rahl był bardziej niebezpieczny i obdarzony większą mocą niż ich ojciec, Rahl Posępny.

- Ponieważ było to epokowe wydarzenie, mieszkańcy Pałacu Proroków wiedzieli o Richardzie na długo przed jego narodzeniem. Niecierpliwie czekano na tego czarodzieja wojny.

- Czarodzieja wojny? - Jennsen wcale się ta nazwa nie spodobała.

- Tak. Było wiele sporów o znaczenie proroctwa dotyczącego jego narodzin i o znaczenie nazwy „czarodziej wojny”. Kiedy byłam w pałacu, miałam dwukrotnie okazję spotkać się z owym prorokiem, o którym wspomniałam, Nathanem. Nathanem Rahlem.

Jennsen aż rozdziawiła usta.

- Nathanem Rahlem? Masz na myśli prawdziwego Rahla?

Althea uśmiechnęła się nie tylko do wspomnień, ale i na widok zdumienia dziewczyny.

- O tak, to prawdziwy Rahl. Władczy, potężny, bystry, czarujący i niesłychanie niebezpieczny. Trzymano go w zamknięciu, za nieprzenikalnymi magicznymi osłonami, gdzie nie mógł wyrządzić żadnej szkody. A i tak czasem mu się to udawało. Tak, to prawdziwy Rahl. Miał ponad dziewięćset lat.

- To niemożliwe - wyrwało się Jennsen, zanim zdążyła się ugryźć w język.

Rozległo się chrząknięcie stojącego obok Friedricha. Podał żonie kubek parującej herbaty, a drugi podsunął Jennsen. Dziewczyna popatrzyła pytająco na Altheę.

- Mam prawie dwieście lat.

Jennsen tylko na nią patrzyła. Czarodziejka wyglądała staro, ale nie aż tak.

- Mój wiek i to, że czar spowolnił moje starzenie, miały swój udział w tym, że spotkałam ciebie i twoją mamę. - Ciężko westchnęła i upiła herbaty. - Co znów kieruje mnie ku opowieści i temu, co chcesz wiedzieć: czemu nie mogę ci pomóc za pośrednictwem magii.

Jennsen też napiła się herbaty, po czym spojrzała na Friedricha. Wyglądał niemal tak staro jak Althea.

- I ty masz tyle lat?

Dostrzegła spojrzenie, jakie wymienili - jedno z tych intymnych, wymienianych przez bliskich sobie ludzi. Widziała w ich oczach, że potrafili odczytać najdrobniejszy sygnał drugiej strony. Tak było z nią i z mamą - odczytywały swoje myśli z najlżejszego drgnięcia oka. Uważała, że taki rodzaj porozumiewania wynikał nie tylko z zażyłości, ale i z miłości i szacunku.

- Poznałam Friedricha, kiedy wróciłam ze Starego Świata. Lata naznaczyły mnie w tym samym stopniu co jego. Byłam, rzecz jasna, o wiele starsza, ale nie było tego po mnie widać, bo żyłam pod osłoną zaklęcia Pałacu Proroków. Kiedy wróciłam, miałam swój udział w wielu sprawach, również w ewentualnym pomaganiu takim jak ty.

Jennsen chłonęła każde słowo.

- To wtedy spotkałaś moją mamę?

- Tak. Widzisz, zaklęcie chroniące pałac i zmieniające czas nasunęło mi myśl, jak mogłabym pomóc takim jak ty. Wiedziałam, że zwykłe sposoby rzucania zaklęć na tobie podobnych nigdy nic nie dawały. Inni już próbowali i się im nie udawało. Potomków Rahl'a zabijano. Przyszło mi do głowy, żeby rzucić urok nie na ciebie, ale na tych, którzy stykali się z tobą i twoją mamą.

Jennsen pochyliła się do przodu, czując, że wreszcie zbliża się do sedna tego, co mogłoby jej pomóc.

- Co zrobiłaś? Jakiej magii użyłaś?

- Wykorzystałam magię, żeby zmienić postrzeganie czasu przez ludzi.

- Nie rozumiem. Co to dało?

- Jak już mówiłam, Rahl Posępny mógł was ścigać wyłącznie zwyczajnymi sposobami. Pomajstrowałam nieco przy tych sposobach. Sprawiałam, że ci, którzy o tobie wiedzieli, inaczej postrzegali czas.

- Nadal nie rozumiem. Jak... co oni widzieli? Czas to czas.

Althea nachyliła się ku niej z przebiegłym uśmiechem.

- Sprawiałam, że myśleli, że właśnie się urodziłaś.

- Kiedy?

- Cały czas. Ilekroć docierały do nich pogłoski, że jesteś dzieckiem Rahla Poępnego, widzieli w tobie noworodka i tak o tobie donosili. Mogłaś mieć dwa miesiące, dziesięć miesięcy, cztery latka, pięć czy sześć lat, a oni wciąż się rozglądali za niemowlęciem, bez względu na to, jak długo cię znali. Urok spowolnił ich postrzeganie czasu, ale wyłącznie w odniesieniu do ciebie, więc zawsze szukali noworodka, a nie dziewczynki. Dzięki temu aż do szóstego roku życia ukrywałam cię tuż pod ich nosem. To opóźnia wszelkie ich wyliczenia o sześć lat. Do dziś każdy, kto podejrzewa, że istniejesz, sądzi, że masz około czternastu lat, chociaż w rzeczywistości masz trochę ponad dwadzieścia. Myślą, że się urodziłaś, kiedy urok wygasł. A wtedy miałaś sześć lat. Od tej chwili liczą twój wiek.

Jennsen uklęknęła.

- To by się mogło udać. Tylko musisz to powtórzyć. Gdybyś teraz rzuciła na mnie taki sam czar, zadziałałby tak samo, prawda? I nie wiedzieliby, że dorosłam. Nie ścigaliby mnie. Szukaliby noworodka. Zrób to jeszcze raz, Altheo, błagam. Zrób to samo co wtedy.

Jennsen kątem oka zauważyła, jak odwraca się Friedrich, siedzący przy swoim warsztacie w tylnej izbie. Z wyrazu twarzy Althei poznała, że powiedziała nie to, co trzeba, i dokładnie to, czego chciała czarodziejka. Uświadomiła sobie, że była to swego rodzaju pułapka i że sama, swoimi niebaczными słowami, się w nią wpędziła.

- Byłam młoda i biegła w magicznej sztuce - odezwała się Althea. Ciemne oczy lśniły na wspomnienie owego świetnego okresu w jej życiu. - Przez tysiące lat mało kto zdołał się przedostać za wielką barierę i wrócić. Ja tego dokonałam. Uczyłam się od Sióstr Światła, byłam przyjmowana przez ich Ksienię i wielkiego Proroka. Dokonałam rzeczy, które niewielu się udały. Miałam dobrze ponad sto lat i wciąż młodo wyglądałam, miałam przystojnego i czarującego męża, który wierzył, że potrafię się przespacerować na księżyc i z powrotem, jeśli mi na to przyjdzie ochota. Miałam dobrze ponad sto lat, a wciąż byłam młódką i czekało mnie jeszcze długie życie. Byłam mądra wiekiem, a nadal młoda. Byłam bystra, och, jaka bystra, i w pełni władałam swoim darem. Byłam doświadczona, mądra, atrakcyjna. Miałam wielu przyjaciół i krąg znajomych, którzy chciwie łowili

każdą moją wypowiedź.

Althea podciągnęła smukłymi palcami rąbek sukni i odsłoniła nogi.

Zobaczywszy je, Jennsen aż się cofnęła.

Dopiero teraz pojęła, dlaczego Althea przedtem nie wstała: jej nogi były obumarłe, zdeformowane. Właściwie kości obciążnięte wyschniętą bladą skórą, jakby obumarły całe lata temu i nie zostały pochowane tylko dlatego, że reszta jej ciała jeszcze żyła. Dziewczyna nie rozumiała, jak ta kobieta powstrzymuje się od krzyku z nieustannej udręki.

- Miałaś sześć lat - podjęła czarodziejka przeraźliwie spokojnym i cichym głosem - kiedy Rahl Posepny wreszcie się dowiedział, co zrobiłam. Był ogromnie przebiegły. O wiele sprytniejszy, jak się okazało, niż młoda czarodziejka mająca sto lat z okładem. Ledwo zdążyłam powiedzieć siostrze, żeby ostrzegła twoją matkę. Tylko tyle zdążyłam, zanim mnie pojmał.

Jennsen pamiętała ucieczkę. Kiedy była mała, uciekły z mamą z pałacu. Działo się to nocą. Wkrótce po tym, jak ktoś zastukał do ich drzwi. Szepty w ciemnym holu. A potem uciekły.

- Ale on... cię nie zabił? - Jennsen przełknęła ślinę. - Okazał ci litość, darował życie.

Althea uśmiechnęła się smutno. Była to naiwna uwaga.

- Rahl Posepny nie zawsze zabijał tych, którzy mu się narazili. Zazwyczaj wołał, by żyli długo, bo śmierć byłaby wybawieniem. Gdyby umarli, jak mogliby żałować, cierpieć i służyć innym za przykład? Nie umiem ci tego opowiedzieć, a ty nie potrafisz sobie nawet wyobrazić przerażenia towarzyszącego takiemu uwięzieniu, grozy długiego marszu przez pałac przed jego oblicze, okropnej świadomości, że jest się w jego mocy, paniki towarzyszącej spojrzeniu w jego spokojną twarz, lodowate błękitne oczy i świadomości, że jest się zdanym na łaskę człowieka, który nie zna litości. Nie potrafisz sobie wyobrazić, czym było uświadomienie sobie w owej straszliwej chwili, że na zawsze ulegnie zmianie to, czym jesteś, co masz, na co liczysz w życiu. Sądzę, że można się było spodziewać bólu. Moje nogi tego dowodzą.

- Tak mi przykro - wyszeptała Jennsen przez łzy, przyciskając dłonie do zbolątego serca.

- Jednak nie ból był najgorszy. O, na pewno nie. Zabrał mi wszystko, co miałam, co uważałam za dane mi na zawsze. Większą szkodę wyrządził

mojej mocy, mojemu darowi niż moim nogom. Ale ty nie możesz tego dostrzec. Ja natomiast widzę to każdego dnia. Nawet nie potrafisz pojąć, jaka to udręka. Ale i to nie wystarczyło Rahlowi Posepnemu. Dopiero budził się jego gniew na to, co zrobiłam, żeby cię ukryć. Wygnał mnie tutaj, na ów podmokły, cuchnący teren gorących źródeł i przyprawiających o mdłości wyziewów. Uwięził mnie tutaj, otoczył moczarami pełnymi potworności. Stworzył je mocą, którą mi odebrał. Chciał, żebym była w pobliżu. Kilka razy się tu zjawiał, żeby popatrzeć na mnie, uwięzioną. Jestem na łasce stworów, które powołał do życia mój dar, dar, do którego nie mam już dostępu. Nigdy nie zdołałabym wyczołgać się stąd, posługując się wyłącznie rękami, lecz gdybym spróbowała lub gdyby ktoś chciał mi pomóc, owe bestie rozdarłyby mnie na strzępy. Nie mogę ich odpędzić nawet po to, by ocalić siebie. Zostawił dojście, od frontu, żeby docierały tu potrzebne mi rzeczy i żywność, żebym miała to, co niezbędne do życia. Friedrich musiał zbudować tu dla nas dom, bo nigdy nie będę mogła opuścić tego miejsca. Rahl Posepny pragnął, żebym długo żyła i przez całe to długie życie cierpiała za to, że się mu naraziłam.

Jennsen drżała, słuchając tej opowieści i nie była w stanie powiedzieć słowa. Althea uniosła rękę i długim smukłym palcem wskazała ku tylnej izbie.

- Mężczyzna, który mnie kocha, musi na to wszystko patrzeć. Friedrich został skazany na opiekowanie się kaleką żoną, którą kochał i która już nie mogła z nim obcować. - Przesunęła dłonią po chudych nogach, delikatnie, jakby znów widząc je takimi, jakie niegdyś były. - Nigdy już nie zaznałam radości bycia z moim mężem jak kobieta z mężczyzną. Mój mąż nigdy już nie mógł się cieszyć intymnymi wdziękami kobiety, którą kocha. - Umilkła, opanowała się i podjęła: - Rahl Posepny, co też było częścią kary, zostawił mi moc posługiwania się darem w sposób wzmagający codzienną udrękę. Zostawił mi zdolność prorokowania.

Jennsen nie zdołała się powstrzymać, sądząc, że pytanie powinno przynieść Althei ulgę.

- Przecież to część twojego daru. Nie daje ci to ani odrobiny radości?

Znów spojrzały na nią ciemne oczy.

- Radował cię ostatni dzień spędzony z matką, dzień poprzedzający jej śmierć?

- Tak - odparła w końcu Jennsen.

- Rozmawiałaś z nią i śmiałaś się?

- Tak.

- A gdybyś wiedziała, że następnego dnia ją zabiją? Gdybyś wiedziała to wszystko na długo przed tym, nim się wydarzyło? Dni, tygodnie, a nawet lata wcześniej? Wiedziała, co i kiedy ma się zdarzyć, znała każdy okropny szczegół? Gdybyś dzięki straszliwej mocy swojej magii widziała ową okropną scenę, krew, ból, konanie? Miłe by to ci było? Nadal potrafiłabyś się śmiać i cieszyć?

- Nie - odparła cichuteńko Jennsen.

- Pojmujesz więc, Jennsen Rahl, że nie mogę ci pomóc nie dlatego, że jestem samolubna, jak to oceniłaś, lecz dlatego, że gdybym nawet chciała, to nie mam mocy, by rzucić dla ciebie urok. Musisz w sobie odnaleźć tę moc, wolę zrobienia tego, co zrobić musisz. Tylko dzięki temu poszczęści ci się w życiu. Nie mogę dać ci zaklęcia, które rozwiąże twoje problemy. Sporą część życia spędziłam, cierpiąc za urok, jaki na ciebie rzuciłam. Gdyby to dotyczyło wyłącznie mnie, zniosłabym to spokojnie, bo postąpiłam zgodnie ze swoimi przekonaniem, wina zaś spada na złego człowieka, nie na niewinne dziecko. Jednak cierpię każdego dnia, bo nie tylko moje życie przepadło, ale też życie Friedricha. Mógłby mieć...

- Mógłbym nic nie mieć. - Nagle znalazł się za Jennsen. - Każdy dzień z tobą uważam za wspaniałą nagrodę. Twój uśmiech to słońce, wyłoczone przez samego Stwórcę, który rozjaśnia moje skromne istnienie. Skoro taka jest cena za to, co zyskałem, płacę ją dobrowolnie i z ochotą. Nie umniejszaj mojej radości, Altheo, nie banalizuj jej.

Althea popatrzyła na Jennsen.

- Rozumiesz? To moja codzienna udręka: świadomość, kim nie mogę dla niego być, czego nie mogę dla niego zrobić.

Dziewczyna z płaczem osunęła się do jej stóp.

- Magia - wyszeptała Althea - to kłopoty, których nie potrzebujesz.

ROZDZIAŁ 24

Jennsen ovladnęły ponure myśli. Moczary były pod jej stopami, otaczały ją zewsząd, lecz jej umysł znalazł się w dżungli o wiele bardziej splątanej i skłębionej niż wszystko dokoła. Okazało się, w jak wielu sprawach się myliła. A to znaczyło, że rozwiało się sporo jej nadziei i przepadło wiele rozwiązań.

Co gorsza, dowiedziała się, ile niedoli, trudów i cierpień sprowadziła na tych, którzy starali się jej pomóc.

Ledwo widziała drogę przez łązy. Niemal na oślep szła przez moczary.

Czasami się potykała, czołgała się, jeśli upadła, szlochała w okropnej udreće, kiedy odpoczywała wsparta o konar starego, powykręcane drzewa. Ponownie przeżywała to samo co w dzień, kiedy zabili mamę - cierpienie, dezorientację, obłądność całej sytuacji, gorzką rozpacz - ale tym razem szło o pełne męki życie Althei.

Brnęła przez gąszcz, chwytając się pnączy, i płakała. Odnalezienie czarodziejki i uzyskanie od niej pomocy nadało sens życiu Jennsen po śmierci matki, było jej jedynym celem. Teraz nie wiedziała, co robić. Czuła się zagubiona.

Szła przez miejsce, w którym ze szczelin unosiły się wyziewy. Wszędzie dokoła buchały kłęby pary wydobywające się spod ziemi. Z mozołem minęła ów cuchnący teren i na powrót znalazła się w gąszczu. Kolczaste krzaki rozdrapywały jej ręce, szerokie liście uderzały w twarz. Dotarła do mrocznego stawu, który sobie mgliście przypomiwała, i sunęła półką, chwytając się skały i szlochając. Zwietrzały materiał kruszył się, zostawał jej w dłoni. Z trudem utrzymywała równowagę, szukała kolejnego zaczepienia dla palców i odnajdywała je w sam czas, żeby nie spaść.

Załamionymi oczami spojrzała przez ramię na mroczną taflę wody. Zastanawiała się, czy nie byłoby lepiej, gdyby spadła, gdyby pochłonęła ją głębia i gdyby to wszystko się raz skończyło. Woda kuszyła jak słodkie objęcia, łagodny kres. Jak spokój, którego Jennsen pragnęła. Ostateczny spokój.

Gdyby tak mogła tu umrzeć, cała ta szarpanina by się skończyła. Cierpienie i żal by się skończyły. Może wówczas znalazłaby się w zaświatach z mamą i innymi dobrymi duchami.

Ale wątpiła, czy dobre duchy przyjmują ludzi, którzy się sami zabili.

Odebranie życia - chyba że w samoobronie - to zły czyn. Gdyby Jennsen się poddała, poszłoby na marne to, czego dokonała jej mama, wszystkie mamine poświęcenia. Mama, czekająca na tamtym świecie, mogłaby nie wybaczyć córce, że ta wyrzekła się życia.

I Althea utraciła prawie wszystko, żeby jej pomóc. Jak Jennsen mogłaby zlekceważyć takie męstwo - i to nie tylko czarodziejki, ale też Friedricha? Choćby się czuła nie wiadomo jak odpowiedzialna i winna, nie mogła odrzucać życia.

I tak miała wrażenie, że ukradła Althei perspektywy. Jennsen - mimo słów czarodziejki - paliło poczucie winy za to, co wycierpiała ta kobieta. Czarodziejka już zawsze będzie uwięziona na tych okropnych moczarach, każdego dnia płacąc za to, że próbowała ukryć Jennsen przed Rahlem Posępnym. Rozum mógł mówić dziewczynie, że to dzieło Rahla Posępnego, lecz serce mówiło jej zupełnie co innego. Althea nigdy nie odzyska dawnego życia, nie będzie mogła chodzić, nie będzie mogła swobodnie przenosić się z miejsca na miejsce ani radować swoim darem. I jakie Jennsen miała prawo do pomocy innych? Czemu inni mieliby dla niej ryzykować życie i wolność? Co dawało jej prawo prosić ich o takie poświęcenie? Nie tylko mama cierpiała przez nią. Althea i Friedrich musieli tkwić na moczarach, Latheę zabito, a Sebastiana uwięziono. Nawet czekający na łące Tom nie zarabiał na chleb, żeby jej pomóc.

Tylu ludzi próbowało jej pomóc i zapłaciło za to straszliwą cenę. Skąd przyszedł jej do głowy pomysł, że może naginać innych do swoich pragnień? Dlaczego by mieli dla niej rezygnować ze swojego życia i swoich potrzeb? Ale jak sobie poradzi bez ich pomocy?

Minęła skalną półkę i ciemny staw, brnęła przez bezkresną płataninę korzeni. Zdawało się, że rozmyślnie chwytają jej stopy. Dwukrotnie upadła. Za każdym razem podnosiła się i mozolnie szła dalej.

Kiedy upadła po raz trzeci, tak mocno uderzyła się w twarz, że ból ją ogłuszył. Dotknęła kości policzkowej i czoła, bojąc się, że coś sobie złamała. Nie wyczuła ani krwi, ani sterczącej kości. Leżała wśród oplatających ją niczym węże korzeni i czuła się winna, że ściągnęła na ludzi tyle kłopotów.

A potem poczuła gniew.

Jennsen.

Przypomniała sobie słowa mamy: „Nigdy nie obwiniaj się z powodu zła

wyrządzonego przez innych”.

Podniosła się na rękach. Iluż ludzi próbowało pomóc potomkom lorda Rahla i zapłaciło za to życiem? Iluż jeszcze spróbuje? Czemu oni, tacy jak Jennsen, nie mogą spokojnie żyć?

To lord Rahl ponosi winę za ich zrujnowane życie.

Jennsen. Poddaj się.

Czy to się nigdy nie skończy?

Grushdeva du kalt misht.

Teraz padło na Sebastiana. Czy w tej właśnie chwili nie torturują go aby przez nią? Czy i on zapłaci życiem za pomaganie jej?

Poddaj się.

Biedny Sebastian. Zatekniła za nim. Był taki dobry, że jej pomógł. Dzielny. Silny.

Tu vash misht. Tu vask misht. Grushdeva du kalt misht.

Głos - natrętny, rozkazujący - huczał jej w głowie, szepcząc pozbawione sensu słowa. Wstała chwiejnie. Czyż nigdy nie będzie miała spokoju, nawet we własnym umyśle? Czyż zawsze musi ją ścigać albo lord Rahl, albo ten głos?

Jenn...

- Odczep się!

Musiała pomóc Sebastianowi.

Znów szła, stawiała krok za krokiem, odpychała pnącza, liście i gałęzie, wycinała sobie drogę przez podszybie. Gęsta mgła i jednolita kopuła liści sprawiały, że było ciemnowo jak o zmierzchu. Nie miała pojęcia, ile godzin już upłynęło. Dużo czasu zajęło jej dotarcie do domku Althei. No i sporo czasu spędziła u niej. Może lada chwila zacznie się zmierzchać. W najlepszym wypadku jest dopiero późne popołudnie. Miną jeszcze godziny, zanim dotrze do łąki, na której czeka Tom.

Przyszła tu po pomoc, ale pomoc była iluzją zrodzoną w jej umyśle. Całe życie zdawała się na mamę, a potem oczekiwała, że pomoże jej Althea. Musiała się pogodzić z faktem, że jedynie ona sama mogła sobie pomóc.

Jennsen. Poddaj się.

- Nie! Odczep się!

Była już tym wszystkim ogromnie znużona. A teraz była też zła.

Przedzierała się przez moczary, brnęła przez wodę, stąpała po

korzeniach i głazach, jeśli tylko było to możliwe. Musiała pomóc Sebastianowi. Musiała do niego wrócić. Tom czeka. Tom ją zawiezie.

I co wtedy? Jak go wydostanie? Spodziewała się, że Althea pomoże jej w tym jakimś zaklęciem. Teraz jednak wiedziała już, że takiej pomocy nie uzyska.

Zasapana z wysiłku po trudach przedzierania się przez moczary, stanęła nad rozlewiskiem, w którym napotkała węża. Patrzyła na milczące, spokojne rozlewisko, ale niczego nie dostrzegła. Ponad powierzchnię nie wystawały żadne korzenie będące w istocie węzami. Mroczyło. Nie miała pojęcia, czy coś nie czai się w mroku pod zwieszającym się nad brzegami listowiem.

Tu chodziło o życie Sebastiana. Jennsen pobrnęła przez wodę.

Kiedy była już w pół drogi, przypomniała sobie, że miała wziąć kij, by łatwiej jej było wracać przez rozlewisko. Zatrzymała się, dumając, czy wrócić po kij. Droga powrotna równała się tej przed siebie, więc poszła naprzód. Wyczuła twarde podłoże z korzeni, prawdziwych korzeni, i ostrożnie po nich stąpała. O dziwo, dopóki stawała na korzeniach, woda sięgała jej ledwie do kolan i mogła na tyle unieść spódnicę, by jej nie zamoczyć.

Coś uderzyło ją w nogę. Zachwiała się. Dostrzegła błysk łusek. Stopa się jej pośliznęła. Z olbrzymią ulgą przekonała się, że to tylko ryba, która właśnie umykała.

Starła się odzyskać równowagę, stanąć na korzeniu, lecz ciężko stąpnęła w bezdenną czarną otchłań. Zanim poszła pod wodę, zdążyła ledwie zaczerpnąć powietrza.

Otoczyła ją ciemność. Pograżała się, widząc cisnący się ku górze wir bąbelków. Machała rozpaczliwie nogami, zaskoczona, próbując wyczuć dno lub cokolwiek, co by ją zatrzymało. Niczego takiego nie było. Znalazła się na głębini, mokra odzież ciągnęła ją w dół. Ciężkie buty też były balastem, a nie pomocą.

Wiosłowała rękami. Utrzymała się na powierzchni akurat tyle, by zaczerpnąć oddechu, i znów poszła w dół. To było przerażające. Pracowała ramionami ile sił, starając się wypłynąć na powierzchnię, lecz przemoknięte ubranie oplatało ją niczym sieć, obciążało, udaremniało wszelkie próby. Rude włosy unosiły się w wodzie. Szeroko rozwartymi ze strachu oczami widziała falujące, połyskujące snopy mglistego blasku, które przebiły się w głąb mrocznej toni.

Wszystko działo się tak przeraźliwie szybko. Życie, choć tak rozpaczliwie się go czepiała, wymykało się jej. To było takie nierealne.

Jennsen.

Okrążyły ją jakieś kształty. Płuca boleśnie pragnęły powietrza. Althea powiedziała, że nikt nie może dostać się do niej przez moczary tylną trasą. Bo były tam bestie, które każdego by rozszarpały. Jennsen raz się to szczęśliwie udało. Przerażona, zobaczyła, jak coś się zbliża. Drugi raz nie będzie miała takiego szczęścia.

Nie chciała umierać. Wiedziała, że przedtem myślała, iż chce umrzeć, ale teraz wiedziała, że nie. Miała tylko to jedno życie. Drogocenne życie. Nie chciała go stracić.

Próbowała płynąć ku powierzchni, ku światłu, ale wszystko zdawało się takie spowolnione, takie gęste, takie ciężkie.

Jennsen.

Głos nalegał.

Jennsen.

Coś ją potrąciło. Zobaczyła błyski opalizującej zieleni.

To był wąż.

Gdyby mogła, wrzasnęłaby. Szarpała się, lecz nie mogła się odsunąć - mogła się jedynie przyglądać, jak oplatają ją ciemne zwoje.

Była zbyt wyczerpana, żeby walczyć. Płuca paliły z braku powietrza, widziała, jak opada wśród snopów światła, coraz bardziej oddalając się od powierzchni, od życia. Usiłowała popłynąć ku owemu światłu i powietrzu, lecz jej ociężałe ramiona ledwo się poruszały, niczym dryfujące wodorosty. Bardzo ją to dziwiło, bo przecież umiała pływać.

Jennsen.

O, teraz utonie.

Oplotły ją ciemne zwoje.

Przemoczona odzież, ciężka peleryna, buty, nóż, znużenie i zaskoczenie, zbyt płytki wdech, zanim poszła pod wodę - to wszystko odebrało jej zdolność pływania.

Bolało.

Myślała, że tonięcie będzie kojącymi objęciami łagodnej wody. Nie było. Bolało bardziej niż cokolwiek do tej pory. Przerażała ją bezradność, duszenie się. Czuła w piersi ostry, nie do wytrzymania ból. Desperacko pragnęła, żeby

to minęło. Walczyła w wodzie z bólem, przerażeniem, trawiona niezdolnością potrzebą odetchnięcia. Tak rozpaczliwie potrzebowała powietrza, że mocno zacisnęła gardło z obawy, iż się zachłyśnie wodą.

Bolało.

Jennsen czuła sploty węża - dotykały ją, muskały. Zastanawiała się, czy aby nie powinna go zabić, kiedy miała po temu okazję. Może teraz uda się jej dobyć noża. Ale była za słaba.

Bolało.

Sploty naparły na nią. Przestała walczyć, pogrążona w tych milczących mrokach. Nie było po co.

Jennsen.

Zastanawiała się, dlaczego głos - jak zawsze to czynił - nie nalega, żeby się poddała. Pomyślała, że to paradoksalne, iż kiedy się w końcu poddała, głos niczego nie żąda i tylko powtarza jej imię.

Poczuła, jak coś uderzyło ją w ramię. Coś twardego. Coś innego uderzyło w głowę. A potem w udo.

Została zepchnięta ku brzegowi, gdzie korzenie schodziły w głąb wody. Niemal bezwiednie chwyciła się korzeni i podciągnęła z nagłą desperacją. Stwór łagodnie popychał ją od spodu.

Wynurzyła się na powierzchnię. Woda z pluskiem ściekała jej z głowy. Szeroko otwartymi ustami chciwie chwytła powietrze. Podciągnęła się na tyle, by choć częściowo wydobyć się z wody, i trzymała splątanych korzeni. Nie miała siły całkiem się wydostać, ale przynajmniej głowę miała nad wodą i mogła oddychać. Nogi unosiły się, huśtały w wodzie.

Ciężko oddychając i nie otwierając oczu, Jennsen trzymała się drżącymi palcami korzeni, żeby znów się nie ześliznąć w głąbie. Cudownie było znowu oddychać. Czuła, jak z każdym oddechem wracają jej siły.

W końcu zdołała - cal po calu, chwyt za chwytem - wyciągnąć się po korzeniach na brzeg. Opadła na bok, zasapana, kaszląc i dygocząc. Patrzyła na odległą zaledwie o cale wodę.

Aż się jej kręciło w głowie z radości, że znów może oddychać.

Potem dostrzegła, jak na powierzchnię lekko, wdzięcznie i cicho wynurza się łeb węża. Patrzyły na nią żółte, obramowane czernią ślepia. Jakiś czas przyglądali się sobie.

- Dziękuję - wyszeptwała.

Wąż przekonał się, że się znalazła na brzegu, że oddycha i żyje, i zniknął pod wodą.

Jennsen nie miała pojęcia, co sobie myślał, dlaczego tym razem nie próbował jej zabić, choć łatwo by mu to przyszło. Może - po tamtym doświadczeniu - uznał, że nie zdoła jej połknąć lub że zacznie zniemacka walczyć.

Ale dlaczego jej pomógł? Byłaby to oznaka respektu? Może po prostu widział w niej konkurentkę w zdobywaniu pokarmu i chciał się jej pozbyć ze swojego terytorium, ale teraz nie zamierzał z nią walczyć. Jennsen nie wiedziała, dlaczego wypchnął ją na powierzchnię, lecz uratował jej tym życie. Nie cierpiała węży, a ten tutaj ocalił ją od utonięcia.

Najbardziej się bała, czy ocaleje.

Była nadal wyczerpana, starała się dojść do siebie po tym, jak omal nie przekroczyła zasłony do krainy zmarłych, lecz podczołgała się wyżej. Z jej włosów i odzienia spływała woda. Jeszcze nie ufała nogom, wołała nie wstawać, więc się poczołgała. Wspaniałe uczucie - móc się ruszać. Wkrótce na tyle odzyskała siły, że chwiejnie stanęła. Nie mogła się zatrzymać. Czas uciekał.

Marsz jeszcze lepiej jej zrobił. Zawsze lubiła chodzić. Poczowała, że wróciło jej życie, że znów jest dawną sobą. Pragnęła żyć. I chciała, żeby żył też Sebastian.

Szła najszybciej jak się dało przez gąszcz pnączy i ciernistych krzewów, po splątanych korzeniach i wśród drzew - aż wreszcie z ulgą dotarła do miejsca, gdzie z omszałego gruntu zaczynała wyrastać skała. Ruszyła pod górę skalnym grzbietem, rada, że odnalazła ów charakterystyczny punkt na bezdrożach moczarów i że wreszcie opuszcza bagniste tereny. Z każdą chwilą robiło się ciemniej, a pamiętała, że to długa wspinaczka. Nie chciała spędzać nocy na moczarach, ale i nie miała ochoty wspinać się po ciemku skalistym wybrzuszeniem.

Te obawy ją zmobilizowały. Musiała iść naprzód, dopóki było jeszcze choć trochę światła. Potknęła się i przypomniała sobie, że miejscami grunt stromo opadał po bokach. Nakazała sobie większą ostrożność. Żaden skory do pomocy wąż nie pochwyci jej, jeżeli w ciemnościach zleci ze skały.

Wspinała się i rozmyślała nad tym, co jej powiedziała Althea. Miała nadzieję dopatrzeć się w tym jakiejś wskazówki. Nie miała pojęcia, jak zdoła

uwolnić Sebastiana, ale wiedziała, że musi spróbować - była jego jedyną nadzieją. Przedtem on uratował jej życie, teraz ona powinna jemu.

Tak pragnęła zobaczyć jego uśmiech, błękitne oczy, krótkie, nastroszone białe włosy. Nie mogła znieść myśli, że go torturują. Musiała go wydostać z ich łap.

Ale jak ma podołać tej niewykonalnej misji? Zdecydowała, że najpierw musi tam wrócić. Może po drodze coś wymyśli.

Tom dowiedzie ją do pałacu. Tom czeka i się martwi. Tom. Dlaczego jej pomógł? Owo pytanie pojawiło się w jej umyśle niczym trop wiodący do odpowiedni, niczym skalne wybrzuszenie, które wyprowadzało z moczarów. Tyle że nie wiedziała, dokąd prowadziło.

Tom jej pomógł. Dlaczego?

Szła stromym szlakiem, rozmyślając nad tym. Powiedział, że nie mógłby żyć ze świadomością, że pozwolił jej, samotnie i bez zapasów, wyruszyć na równiny Azrith. Że ona by umarła i że nie mógł do tego dopuścić. To całkiem dobry, wystarczający powód.

Wiedziała jednak, że kryje się w tym coś jeszcze. Był tak zdecydowany jej pomóc, jakby uważał to za swój obowiązek. Nigdy właściwie nie kwestionował tego, co ona musi zrobić, jedynie sposób, w jaki zabierała się do tego - i zrobił wszystko, żeby jej pomóc.

Tom mówił, że powinna opowiedzieć o jego pomocy lordowi Rahlowi, że powinna opowiedzieć lordowi Rahlowi, iż Tom jest porządnym człowiekiem. To wspomnienie nie dawało jej spokoju. Mówił zupełnie poważnie, choć niby ot, tak sobie. O co mu chodziło?

Zastanawiała się nad tym, idąc coraz wyżej skalnym wybrzuszeniem, wśród drzew, gałęzi i liści. W parnym powietrzu dobiegały z oddali głosy dziwnych zwierząt. Z jeszcze większej odległości dochodziła odpowiedź: takie same pogwizdywania i pohukiwania. Fale gorącego powietrza niosły ku niej woń moczarów.

Jennsen przypomniała sobie, że Tom widział jej nóż, kiedy szukała sakiewki, jak się okazało - ukradzionej. Odchyliła pelerynę i przekonała się, że przecięto rzemyk sakiewki. Wtedy zobaczył nóż.

Przystanąła. A może pomyślał, że ona jest... jakąś przedstawicielką lub posłańcem lorda Rahla? Że z polecenia lorda Rahla udaje się z jakąś ważną misją? Że zna lorda Rahla?

Czy ten nóż nasunął mu myśl, że ona jest kimś ważnym? A może to raczej jej determinacja, by jak najszybciej wyruszyć w tę pozornie beznadziejną podróż? Na pewno zorientował się, jakie to dla niej było ważne. Może to dlatego, iż mu powiedziała, że to sprawa życia lub śmierci.

Ruszyła przed siebie, pochylając się pod wiszącymi tuż nad skałą ciężkimi gałęziami. Po drugiej stronie przystanęła i rozejrzała się. Zdała sobie sprawę, jak szybko zapada zmrok. Z nowym zapalem poszła stromym zboczem.

Przypomniała sobie, jak Tom popatrywał na jej rude włosy. Ludzie często się jej obawiali przez te rude włosy. Wielu podejrzewało, że ma dar. Często spotykała ludzi, którzy się jej bali, bo jest ruda. Rozmyślnie wykorzystywała ów strach, żeby sobie zapewnić bezpieczeństwo. Tamtej pierwszej nocy, żeby chronić się przed ewentualnymi wrogimi zamiarami Sebastiana, dała mu do zrozumienia, że ma magiczną moc. Wykorzystała ludzki strach, żeby trzymać w szachu tych w gospodzie.

Wszystkie te sprawy kłębiły się w umyśle Jennsen, kiedy wspinała się coraz wyżej i z trudem łapała oddech z wysiłku. Ogarniała ją ciemność. Nie wiedziała, czy poradzi sobie w takich warunkach, ale musiała spróbować. Dla Sebastiana. Musiała iść dalej. Wtem coś czarnego zjawilo się tuż przed jej twarzą. Krzyknęła i mało brakowało, by spadła, a to coś odleciało. Nietoperze. Przycisnęła dłoń do łomoczącego serca. Biło równie prędko jak ich skrzydła. Małe stworzenia wyleciały, by chwycić owady, od których roiło się w powietrzu.

Wówczas uświadomiła sobie, jak łatwo mogła - wystraszona i zaskoczona - źle stąpnąć i spaść. Strasznie było pomyśleć, że chwila nieuwagi w ciemnościach, obluzowana skała lub ześlizgnięcie się wystarczą, by spadła. Wiedziała jednak, że równie groźne byłoby pozostanie nocą na moczarach.

Wspinała się - znużona wysiłkiem i strachem - potykała w ciemnościach, wymacywała skałę i szła po omacku, starając się nie zboczyć ze skalnego wybrzuszenia, bo wiedziała, że po obu stronach czyha przepaść. Myślała też z trwogą o tym, jakie jeszcze stwory mogą wychynąć z ciemności i złapać ją, kiedy będzie uważać, że wydostała się już z moczarów.

Althea mówiła, że nikt nie mógł się dostać na mokradła tylną trasą. Spadło na nią nowe zmartwienie: a może po zmroku Tom znalazł się w

niebezpieczeństwie. Jeden z takich stworów mógł się pod osłoną nocy zapędzić aż tu i go schwytać. A co, jeżeli dotrze do łąki i przekona się, że bestie stworzone mocą Althei rozszarpały Toma i konie? Co wtedy zrobi?

Nagle wyszła na otwartą przestrzeń i aż się potknęła. Płonął ogień. Patrzyła na to z niedowierzaniem.

- Jennsen! - Tom poderwał się i podbiegł do niej. Otoczył ramieniem jej barki, podtrzymał ją. - Drogie duchy, nic ci nie jest?

Nie mogła mówić, więc tylko kiwnęła głową. Ale on już tego nie widział, bo biegł w stronę wozu. Jennsen ciężko usiadła na trawie i łapała oddech, zdumiona, że wreszcie tu dotarła, i niewypowiedzianie szczęśliwa, że wy dostała się z moczarów.

Tom nadbiegł z kocem.

- Zupełnie przemoczona - powiedział, okrywając ją. - Co się stało?

- Popływałam sobie.

Przestał ocierać jej twarz rogiem koca, zerknął na nią chmurnie.

- Nie chciałbym się wtrącać w twoje sprawy, ale to raczej nie był dobry pomysł.

- Wąż by się z tobą zgodził.

Spochmurniał jeszcze bardziej, przysunął twarz do jej twarzy.

- Wąż? Co się tam stało? Czemu mówisz, że wąż by się ze mną zgodził?

Jennsen, wciąż jeszcze zdyszana, zbyła to machnięciem ręki. Tak się bała, że noc złapie ją tam, w dole, że przez ostatnią godzinę - pomimo wyczerpania - wbiegała stromym zboczem. Była zupełnie wyczerpana.

Dopiero teraz zaczynała się bać. Trzęsa się. Uświadomiła sobie, że z całej siły wczepia się w muskularne ramię Toma. Zdawało się, że on tego nie zauważa, a jeśli nawet, to nic nie powiedział. Cofnęła się, choć tak wspaniale było czuć jego siłę, szczere zatroskanie, solidność.

Tom troskliwie otulił ją kocem.

- Dotarłaś do Althei?

Skinęła głową i chciwie napiła się wody z bukłaka, który jej podał.

- Przysięgam, nigdy nie słyszałem, żeby ktoś wrócił z tych moczarów, chyba że był zaproszony i szedł od frontu. Widziałaś jakąś bestię?

- Oplótł mnie wąż grubszy niż twoja noga. Dobrze mu się przyjrzałam, właściwie lepiej, niżbym chciała.

Tom cicho gwizdnął.

- A czarodziejka ci pomogła? Dostałaś od niej, czegoś chciała? Już wszystko w porządku? - Umilkł nagle, powściągnął swoją ciekawość. - Przepraszam. Jesteś zmarznięta i przemoczona. Nie powinienem tyle pytać.

- Długo rozmawialiśmy z Altheą. Nie powiem, żebym dostała, czego chciałam, ale lepiej znać prawdę, niż gonić za uludami.

Oczy Toma i sposób, w jaki poprawił cienki koc otulający Jennsen, dowodziły troski.

- Skoro nie otrzymałaś pomocy, to co teraz zrobisz?

Jennsen wyciągnęła nóż i głęboko zaczerpnęła powietrza, żeby sobie dodać odwagi. Chwyciła za ostrze i podsunęła Tomowi nóż przed oczy tak, żeby płomienie oświetlały rękojeść. Ozdobne metalowe „R” lśniło niczym wysadzane klejnotami. Trzymała broń przed sobą jak talizman, jak odlany w srebrze oficjalny znak, jak nakaz z tak wysoka, że nie można go zlekceważyć.

- Muszę wrócić do pałacu.

Wziął ją na ręce, jakby ważyła nie więcej niż jagniątko, i zaniósł do wozu. Ostrożnie usadowił Jennsen w gniazdku z koców.

- Zawiozę cię, nie martw się. Wykonałaś najgorszą część. Teraz sobie odpoczywaj w tych ciepłych kocach, a ja cię tam odwiozę.

Jennsen z ulgą przyjęła potwierdzenie swoich podejrzeń. Mimo to jednak czuła się oślizła, jakby znów wpadła w bagno. Okłamywała go, wykorzystywała. To nie było w porządku, ale nie miała pojęcia, co innego mogłaby zrobić.

Chwyciła Toma za ramię, nim się odwrócił.

- Nie boisz się mi pomagać, kiedy jestem zamieszana w coś tak...

- Niebezpiecznego? - dokończył za nią. - Mój uczynek to fraszka w porównaniu z tym, co tu ryzykowałeś. - Wskazał na jej splątane rude włosy. - Nie jestem kimś wyjątkowym jak ty, ale rad, żeś mi pozwoliła choć tyle zrobić.

- Wcale nie jestem tak wyjątkowa, jak ci się zdaje. - Jennsen nagle podle się poczuła. - Po prostu robię, co muszę.

Tom przysunął ku niej koce.

- Widuję mnóstwo ludzi. Nie potrzebuję daru, żebym wiedział, żeś wyjątkowa.

- Wiesz, że to tajne zadanie i że nie mogę ci powiedzieć, co robię. Przepraszam, ale nie mogę.

- Jasne, że nie możesz. Tylko wyjątkowi ludzie mają taki wyjątkowy oręż. Wcale się nie spodziewam, że piśniesz choć słówko, i o nic nie pytam.

- Dziękuję, Tom. - Był taki szczery, a ona go tak wykorzystywała. Poczula się jeszcze obrzydliwiej i w podzięcie ścisnęła jego ramię. - Mogę powiedzieć tyle, że to ważne i że jesteś ogromnie pomocny.

Uśmiechnął się.

- Opatul się kocami i wysusz. Wkrótce wrócimy na równiny Azrith. Chyba nie zapomniałaś, że tam zima. Zamarzniesz taka przemoczona.

- Dziękuję, Tom. Porządny z ciebie człowiek - powiedziała i zapadła się w koce zbyt wyczerpana tym wszystkim, żeby dalej siedzieć.

- Liczę, że powiesz to lordowi Rahlowi - rzekł z tym swoim uśmiechem.

Tom pospiesznie zgasił ognisko i siadł na koźle.

Pomagał jej z dobrego serca, a nie mógł się dowiedzieć prawdy. Jennsen bała się nawet pomyśleć, co by mu zrobili, gdyby złapali go na pomaganiu córce Rahla Posepnego. Sądził, że wspomaga lorda Rahla, a robił coś wręcz przeciwnego i nawet nie wiedział jak ryzykuje.

Zanim to się skończy, wystawi go na jeszcze większe ryzyko.

Jennsen wkrótce zasnęła głęboko - pomimo strachu wywołanego powrotem ku pałacowi człowieka, który chciał ją zabić; lęku przed tym, co ją czekało; rozczarowania brakiem pomocy; serdecznej udręki spowodowanej tym, czego dowiedziała się od Althei; chłodu, który sprawiał, że jej mokra odzież zdawała się lodowata, oraz trzęsącego wozu.

ROZDZIAŁ 25

Jennsen, kołysząc się na koźle, patrzyła na coraz bliższy ogromny płaskowyż. Poranne słońce oświetlało niebotyczne kamienne mury Pałacu Ludu, nadając im ciepły pastelowy blask. Chociaż wiatr ucichł, powietrze mroziło aż do szpiku kości. Po cuchnących wyziewach moczarów z przyjemnością poczuła mdławą i suchą woń rozległej równiny.

Masowała czoło, starając się choć trochę uśmierzyć pulsujący ból głowy. Tom jechał całą noc, ona zaś spała w tyle podskakującego wozu - ale za krótko. No, ale przynajmniej trochę się przespała i wrócili.

- Szkoda, że lorda Rahla tu nie ma.

Jennsen otworzyła oczy, wyrwana z zadumy.

- Słucham?

- Lorda Rahla. - Tom wskazał ku południowi. - Szkoda, że go tu nie ma, bo by ci pomógł.

Wskazał ku południowi, w stronę Starego Świata. Matka Jennsen wspominała czasem o więzi łączącej D'Harańczyków z lordem Rahlem. Dzięki tej starożytnej i tajemnej magii mogli wyczuć, gdzie znajduje się lord Rahl. Więż ta, chociaż o różnym natężeniu, była wspólna wszystkim D'Harańczykom.

Jennsen nie miała pojęcia, co zyskiwał lord Rahl dzięki owej więzi. Uważała, że to po prostu kolejny sposób tyranizowania poddanych. Za to jej matce pozwalało to unikać jego szponów.

Wiedziała od matki o istnieniu więzi, lecz z jakiegoś powodu nigdy czegoś takiego nie odczuwała. Może w jej przypadku - jak to się czasem zdarzało u D'Harańczyków - była ona tak słaba, że Jennsen nie mogła jej wyczuć. Mama mówiła, że to nie ma nic wspólnego z oddaniem lordowi Rahlowi, że to wyłącznie magiczny łącznik i jako taki podlega innym kryteriom niż jej uczucia wobec owego człowieka.

Jennsen pamiętała, jak matka stawała w drzwiach ich chaty albo przy oknie lub jak się zatrzymywała w lesie i spoglądała ku horyzontowi. Wiedziała, że w takich chwilach matka wyczuwa Rahla Poępnego przez więź, że orientuje się, gdzie jest i jak blisko. Wielka szkoda, że więź powiadamiała jedynie o tym, gdzie jest sam lord Rahl, a nie mówiła nic o

żołdakach, których za nimi wysyłał.

Tom, jako D'Harańczyk, uważał więź z lordem Rahlem za rzecz oczywistą i dlatego zdradził dziewczynie cenną informację: że lorda Rahla nie ma w pałacu. To na nowo obudziło w niej nadzieję. Jedna przeszkoda mniej, jedno zmartwienie mniej.

Lord Rahl był na południu, pewnie w Starym Świecie, i - jak jej powiedział Sebastian - toczył wojnę z tamtejszymi ludźmi.

- Tak - odezwała się w końcu - wielka szkoda.

Na placu targowym poniżej płaskowyżu było już rojno. Kurz unosił się i nad zgromadzonymi tu tłumami, i nad drogą wiodącą na południe. Jennsen zastanawiała się, czy jest tu i Inna, kiełbasiana dama. Tęskniła za Betty. Tak chciała zobaczyć, jak koza energicznie macha ogonkiem, usłyszeć, jak meczy uradowana powrotem przyjaciółki.

Tom kierował zaprzęg tam, gdzie z braćmi sprzedawał wino. Może również Irma zjawi się na swoim starym miejscu. Jennsen i tak musiałyby znów zostawić Betty, żeby się dostać na płaskowyż. Czekala ją długa wspinaczka tymi wszystkimi schodami, a potem musiała się jeszcze dowiedzieć, gdzie trzymają Sebastiana.

Wóz turkotał po twardej powierzchni równin Azrith, Jennsen zaś patrzyła na pustą drogę wiodącą zakosami na płaskowyż.

- Skręć na drogę - powiedziała.

- Co?

- Skręć na drogę do pałacu.

- Na pewno, Jennsen? To niezbyt mądre. Tędy jeżdżą wyłącznie w oficjalnych sprawach.

- Jedź drogą.

Skierował konie w lewo, w bok od trasy na plac targowy, a ku początkowi drogi. Kątem oka dostrzegła, jak zerka na swoją tajemniczą pasażerkę.

Żołnierze trzymający wartę u stóp płaskowyżu, u początku drogi, przyglądali się, jak nadjeżdżają. Kiedy byli już blisko, Jennsen wyciągnęła nóż.

- Nie zatrzymuj się - powiedziała Tomowi.

Spojrzał na nią.

- Co takiego? Muszę. Oni mają łuki.

Patrzyła prosto przed siebie.

- Nie zatrzymuj się.

Kiedy zrównali się z żołnierzami, skierowała ku nim nóż, trzymając go za ostrze. Ponad dłoń wystawała wyłącznie rękojeść. Trzymała ramię sztywno, opuszczone ku nim, żeby mogli ją wyraźnie zobaczyć. Nie spojrzała na nich. Wpatrywała się w drogę, pokazując im nóż, jakby nie miała czasu na rozmowę.

Wszystkie oczy obserwowały ową rękojeść z ozdobnym „R”. Żaden z żołnierzy nie spróbował zatrzymać wozu, żaden nie nasadził strzały na cięciwę. Tom gwizdnął cicho. Wóz jechał przed siebie, turkocząc i trzęsąc się.

Droga wspinała się zakosami na płaskowyż. Miejscami była dość szeroka, lecz czasem tak się zwężała, że wóz jechał skrajem zawrotnej przepaści. Za każdym ostrym zakrętem otwierał się przed nimi nowy widok na rozciągające się w dole równiny Azrith. Hen, daleko, równiny obrzeżały ciemnoniebieskie góry.

Dotarli do mostu i musieli się zatrzymać, bo był podniesiony. Jennsen zwątpiła w siebie i swój plan, uświadomiwszy sobie, że pewnie dlatego, a nie z powodu „R” na rękojeści, żołnierze na dole tak łatwo ich przepuścili. Wiedzieli, że nie przedostaną się przez przepaść, jeśli strażę nie opuszczą mostu. Wiedzieli, że nie wedrze się ot, tak do pałacu, a jednocześnie nie musieli zatrzymywać kobiety, która miała swego rodzaju oficjalną przepustkę, może nawet od samego lorda Rahla. I oto przekonała się, jak żołnierze mogli odciąć ją w miejscu, gdzie nie było ani ucieczki, ani nadziei na ocalenie przez posiłki, tych, których uznaliby za ewentualnych napastników. Każdy wrogi wypad zostałby tu bez trudu zatrzymany, a napastnicy pojmani lub wybici do nogi.

Nic dziwnego, że Tom odradzał jazdę traktem.

Wielkie konie, rozgrzane wysiłkiem, potrząsały łbami niezadowolone z postoju. Żołnierz podszedł do nich i - żeby spokojnie stały - chwycił za wędzidła. Pozostali znaleźli się po bokach wozu. Jennsen siedziała od strony skały i chociaż paru gwardzystów pilnowało tej flanki, większość była przy Tomie.

- Dzień dobry, sierzancie - zawołał Tom.

Żołnierz zajrzał do wozu, przekonał się, że jest pusty, i dopiero wtedy popatrzył na siedzących na koźle.

- Dzień dobry.

Jennsen wiedziała, że to nie czas na nieśmiałość. Jeżeli tu się jej nie powiedzie, to wszystko stracone. Nie tylko nie będzie już nadziei dla Sebastiana, ale i ona pewnie dołączy do niego w lochu. Nie mogła tracić odwagi. Kiedy strażnicy znaleźli się wystarczająco blisko, wyciągnęła rękę ku sierżantowi i pokazała mu rękojeść noża niczym królewski glejt.

- Opuść most - nakazała, zanim zdążył o coś spytać.

Sierżant przyjrzał się rękojeści, a potem spojrzał w gniewne oczy Jennsen.

- W jakiej sprawie jedziesz?

Sebastian nauczył ją blefować. Wyjaśnił jej, że właściwie całe życie wprowadzała innych w błąd, że ma do tego talent, że robiła to bezwiednie. Teraz - jeżeli chciała go ocalić i sama ujsć z życiem - musiała to zrobić z premedytacją. Serce tłukło się w niej, ale zachowała opanowaną, surową minę.

- W sprawie lorda Rahla. Opuść most.

Spostrzegła, że jej ton nieco go zastanowił, a może zaniepokoiły nieoczekiwane słowa. Zawahał się, twarz mu stężała. Ale i tak nie ustąpił.

- To dla mnie trochę mało, pani.

Jennsen zakołowała nożem w palcach, wypolerowany metal zalśnił w słońcu. W końcu nóż znieruchomiał w jej dłoni, znów zwrócony literą „R” ku strażnikowi. Rozmyślnie zsunęła kaptur, ukazując żołnierzom rude włosy. Wyczytała w ich oczach, że dobrze pojęli, co im zasugeruje.

- Wiem, że masz swoje zadanie - rzekła z przeraźliwym spokojem - ale ja też mam swoje. Jadę w oficjalnej sprawie lorda Rahla. Na pewno się domyślasz, jakie niezadowolenie lorda bym wzbudziła, gdybym omawiała jego sprawy z każdym, kto o to zapyta. Toteż nie mam zamiaru tego robić, ale zapewniam cię, że nie znalazłabym się tutaj, gdyby to nie była sprawa życia lub śmierci. Marnujesz mój cenny czas, sierżancie. Opuść most.

- Mogę spytać, jak się nazywasz, pani?

Jennsen przechyliła się obok Toma, żeby z mniejszej odległości obrzucić sierżanta gniewnym spojrzeniem.

- Jeśli natychmiast nie opuścisz mostu, sierżancie, to na zawsze zapamiętasz mnie jako Kłopot, zesłany przez samego lorda Rahla.

Sierżant - mający za sobą parę tuzinów żołnierzy z łukami, mieczami i

toporami - nie ugiął się. Spojrzał na Toma.

- Jaki masz w tym udział?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Jestem tylko woźnicą. Na twoim miejscu, sierżancie, nie zatrzymywałbym tej damy.

- Naprawdę?

- Naprawdę - odparł Tom z przekonaniem.

Sierżant długo i twardo patrzył mu w oczy. Potem znów przyjrzał się Jennsen, a następnie odwrócił się i dał znak jednemu z żołnierzy, żeby opuścił most.

Jennsen wskazała nożem ku pałacowi.

- Gdzie się trzyma więźniów?

Maszynaria zaklekotała i most zaczął się opuszczać, a sierżant znów popatrzył na dziewczynę.

- Zapytaj strażę na górze. Pokierują cię, pani.

- Dziękuję - odparła stanowczym tonem, po czym usiadła sztywno i wpatrzyła się przed siebie, czekając, aż most opadnie.

Wreszcie most z łomotem znalazł się na dole i sierżant dał im znak, że mogą jechać. Tom podziękował skinieniem głowy i szarpnął lejcami.

Jennsen nie mogła wypaść z roli, jeśli to wszystko miało się powieść. Uświadomiła sobie, że całkiem prawdziwy gniew bardzo jej pomógł w tym występie. Trochę ją jednak niepokoiło, że i Tom miał w tym swój udział. Nie chciała, żeby się w to mieszał. Uznała, że najlepiej będzie nie taić gniewu i jawnie okazywać go pozostałym strażom.

- Chcesz zobaczyć więźniów? - spytał Tom.

Uświadomiła sobie, że nigdy nie mówiła, dlaczego chce wrócić do pałacu.

- Tak. Przez pomyłkę uwięzili pewnego człowieka. Mam dopilnować, żeby go uwolnili.

Zajął się końmi, bo właśnie mijali zakręt.

- Pytaj o kapitana Lerner - powiedział w końcu.

Jennsen obejrzała się na niego, zdumiona, że podał jej nazwisko, zamiast protestować.

- To jeden z twoich znajomych? Przyjaciół?

Leciutko poruszył lejcami, z wprawą prowadząc konie na zakręcie.

- Nie wiem, czy mogę go tak nazywać. Miałem z nim raz czy dwa do

czynienia.

- Wino?

- Nie - uśmiechnął się Tom. - Inne sprawy.

Najwyraźniej nie zamierzał o tym mówić. Dziewczyna patrzyła na rozciągające się w dole równiny Azrith, na odległe góry; wjeżdżali stokiem płaskowyżu. Gdzieś tam, za owymi równinami, za owymi górami, była wolność.

Górnym, płaskim odcinkiem drogi dotarli do wielkiej bramy w potężnych zewnętrznych murach pałacu. Straże gestami nakazały im jechać, a potem rozległ się sygnał dla żołnierzy za murami. Jennsen przekonała się, że ich wcześniej zaanonsowano.

Aż wstrzymała oddech, kiedy wyjechali z krótkiego tunelu wiodącego przez potężne zewnętrzne mury. Otworzyły się przed nimi rozległe tereny. Droga, obramowana łąkami i żywopłotami, prowadziła ku odległym o dobre pół mili schodom. Obszar w obrębie murów roił się od żołnierzy w szykownych mundurach - skóra, metalowa kolczuga, wełniana tunika. Wielu z nich, trzymając piki pochylone dokładnie pod tym samym kątem, stało wzdłuż drogi. Ci żołnierze się nie objęli. Nie zaskoczyłby ich nikt przybywający drogą.

Tom przyjrzał się im obojętnie. Jennsen starała się patrzeć prosto przed siebie i nie okazywać, jak ją poruszył taki splendor.

U stóp schodów czekała na nich ponad setka gwardzistów. Tom wprowadził wóz na miejsce, które obstawili, blokując drogę. Dziewczyna zobaczyła trzech mężczyzn odzianych w obszerne szaty - stali na schodach, powyżej żołnierzy. Dwaj mieli srebrzyste stroje. Pomiedzy nimi, stopień wyżej, stał starszy mężczyzna w białej szacie, chowając skrzyżowane ręce w rękawach zdobionych złotą, połyskującą w słońcu lamówką.

Tom nacisnął hamulec, a jeden z żołnierzy zajął się końmi. Nim Tom zdążył zeskoczyć, Jennsen położyła mu dłoń na ramieniu i powstrzymała.

- Tu się kończy twoja trasa.

- Ale ty...

- Dość już zrobiłeś. Pomogłeś mi, kiedy tego potrzebowałam. Teraz już sama sobie poradzę.

Spokojne błękitne oczy spojrzały na otaczających wóz żołnierzy. Nie miał ochoty ustąpić.

- Chyba nic się nie stanie, jak z tobą pójdę.

- Wolę, żebyś wrócił do braci.

Popatrzył na dłoń na swoim ramieniu, a potem w oczy Jennsen.

- Skoro sobie tego życzysz.

- Zniżył głos do szeptu: - Czy cię jeszcze zobaczę?

Brzmiało to bardziej jak prośba niż pytanie. Jennsen nie potrafiła mu tego odmówić, nie po tym, co dla niej zrobił.

- Będziemy musieli pójść na plac targowy, kupić konie. Jak tylko uwolnię przyjaciela, zjawię się przy twoim straganie.

- Obiecujesz?

- Muszę ci przecież zapłacić, pamiętasz? - odparła cicho.

Znow obdarzył ją tym swoim asymetrycznym uśmiechem.

- Nigdy nie spotkał kogoś takiego jak ty, Jennsen. Ja... - Zauważył żołnierzy, przypomniał sobie, gdzie jest, i odchrząknął. - Radym, żeś mi pozwoliła mieć w tym choć mały udział, pani. Trzymam cię za słowo co do reszty.

I tak dużo ryzykował, choć nawet o tym nie wiedział, dowożąc ją aż tutaj. Dziewczyna miała ogromną nadzieję, że Tom w tym przelotnym uśmiechu wyczyta, jak bardzo jest mu wdzięczna za pomoc, zwłaszcza iż nie sądziła, że zdoła dotrzymać obietnicy i zobaczyć się z nim przed wyjazdem.

Złapał ją krzepką ręką za ramię i cichym, poważnym głosem powiedział:

- Żelazo przeciw żelazu, żeby on mógł być magią przeciwko magii.

Jennsen w ogóle nie pojęła, co miał na myśli. Patrząc w jego poważne oczy, odpowiedziała jednym zdecydowanym skinieniem głowy.

Potem - nie chcąc, aby żołnierze podejrzewali, że jest dobrotliwa - odwróciła się, zeszła z wozu i stanęła przed tym, który jej zdaniem dowodził. Pozwoliła mu rzucić okiem na nóż, który chwilę później wsunęła do wiszącej u pasa pochwy.

- Chcę się widzieć z oficerem, który ma pieczę nad wszystkimi więźniami. Z kapitanem Lernerem, jeśli mnie pamięć nie myli.

Żołnierz zmarszczył brwi.

- Chcesz się widzieć z kapitanem więziennej straży?

Jennsen nie miała pojęcia, w jakiej on jest randze. Niewiele wiedziała o sprawach związanych z wojskiem, właściwie tylko jedno - że przez większość jej życia usiłowali ją zabić żołnierze tacy jak ci. Mogłoby się

okazać, że to generał, a może, że tylko kapral. Przyjrzała się żołnierzowi - jego strojowi, wiekowi i zachowaniu - i uznała, że wygląda na kogoś wyższego rangą od kaprała. Bała się jednak pomylić i doszła do wniosku, że najlepiej będzie pominąć jego rangę. Krótkim machnięciem ręki zbyła jego pytanie.

- Nie mam do dyspozycji całego dnia. I potrzebuję, rzecz jasna, eskorty. Sądzę, że wystarczysz ty i paru twoich ludzi.

Zaczęła wchodzić po schodach. Rzuciła okiem przez ramię i zobaczyła, jak Tom mruga do niej. To jej dodało otuchy. Żołnierze się rozstąpili, by mógł odjechać, więc szarpnął lejcami, popędzając wielkie konie. Jennsen było przykro, że znika ktoś tak troskliwy i pomocny. Zmusiła się, by nie myśleć o swoich obawach.

- Ty tam - odezwała się do mężczyzny w białych szatach - zaprowadź mnie tam, gdzie trzymacie więźniów.

Mężczyzna, którego czubek głowy przeświecał przez rzednące siwe włosy, uniesieniem palca odesłał większość kręcącej się straży na stanowiska. Oficer o tajemniczej randze i tuzin jego żołnierzy zostali za Jennsen.

- Mogę spojrzeć na nóż? - spytał uprzejmie człowiek w białych szatach.

Jennsen podejrzewała, że mężczyzna jednym gestem odsyłający gwardzistów jest kimś ważnym. A ważni ludzie w pałacu lorda Rahla mogą mieć dar. Przyszło jej na myśl, że gdyby miał dar, byłaby dla niego dziurą w świecie. Jak również, że to bardzo nieodpowiednia chwila, by się do czegokolwiek przyznawać, a jeszcze gorsza - na próbę ucieczki ku bramie. Musiała mieć nadzieję, że to tylko pozbawiony daru urzędnik pałacowy.

Wielu żołnierzy dalej obserwowało całą scenę. Jennsen niedbale wyjęła nóż z pochwy. Bez słowa, lecz z miną świadczącą, że lada chwila straci cierpliwość, podsunęła mu broń przed oczy, tak żeby mógł zobaczyć ozdobne „R” na rękojeści.

Spojrzał z góry na oręż, a potem znów na nią.

- Jest prawdziwy?

- Nie - odburknęła. - Wytopiłam go tej nocy, siedząc sobie przy ognisku. Zaprowadzisz mnie tam, gdzie trzymacie więźniów, czy nie?

Mężczyzna, nie reagując na jej ton i słowa, z wdziękiem wskazał kierunek.

- Racz pójść za mną, pani.

ROZDZIAŁ 26

Białe szaty rozwiewały się za pałacowym urzędnikiem, który mając po bokach mężczyzn w srebrnych strojach, wchodził na długie schody. Jennsen utrzymywała konieczną jej zdaniem odległość od owej trójki. Człowiek w bieli spostrzegł, że dziewczyna wlecze się z tyłu, i zwolnił, by mogła go dogonić. Ona również zwolniła i odległość pozostała taka sama. Obejrzał się nerwowo i jeszcze bardziej zwolnił. Ona też. W końcu trzej mężczyźni, Jennsen i idący za nią żołnierze przystawali na każdym stopniu.

Dotarli do następnego podestu szerokich, marmurowych, zalanych słońcem schodów i ten w bieli znów się obejrzał przez ramię. Jennsen machnęła ze zniecierpliwieniem ręką. Zrozumiał w końcu, że nie zamierza iść obok niego, że oczekuje, iż to on poprowadzi. Pogodził się z tym i przyspieszył, pozwalając jej zachować żądaną odległość i stając się kimś w rodzaju jej obwoływacza.

Oficer nieznanego rangi i dwunastu jego żołnierzy wchodził na schody, drobiazgi kroki - starali się iść w takiej samej odległości od Jennsen, jak ona od tamtej trójki. Było to dla nich nieoczekiwane i kłopotliwe. I takie miało być. Podobnie jak jej rude włosy. Chciała, żeby mieli o czym myśleć, o co się martwić.

Od czasu do czasu linię schodów łamały szerokie podesty, pozwalające odpocząć nogom przed kolejną wspinaczką. Na szczycie schodów znajdowały się wysokie mosiężne drzwi ozdobione płaskorzeźbami. Osadzono je pomiędzy olbrzymimi kolumnami. Jennsen nigdy nie widziała czegoś tak wspaniałego jak górujący nad nimi fronton pałacu. Jednak nie miała głowy do podziwiania wymyślnej architektury. Rozmyślała o tym, co jest wewnątrz.

Minęli cienie olbrzymich kolumn i weszli do środka. Tuzin żołnierzy dalej podążał za Jennsen, pobrzękując orężem, pasami i kolczugami. Odgłos ich kroków po marmurowej posadzce odbijał się echem od ścian okazałego przedsionka okolonego kanelurowanymi filarami.

Wchodzili w głąb pałacu. Ludzie spieszący za swoimi sprawami, rozmawiający lub przechadzający się w kilkoro, przystawali, żeby przyjrzeć się niezwykłemu orszakowi: urzędnikom w białej i srebrnych szatach oraz

dwunastu żołnierzom, w pełnej uszanowania odległości eskortującym rudowłosą kobietę. Jej strój, zwłaszcza w porównaniu z czyściutką odzieżą pozostałych, świadczył, że dopiero co przyjechała. Jennsen, zamiast się martwić swoim odzieniem, była rada, że wzmagало wrażenie tajemniczości i pilności. Reakcja ludzi też miała podziałać na jej eskortę.

Mężczyzna w bieli szepnął coś do odzianych w srebrne szaty. Skinęli głowami i pobiegli, po czym zniknęli za narożnikiem. Żołnierze szli w tej samej odległości co przedtem.

Orszak kroczył labiryntem niewielkich korytarzy i zstępował po schodach dla służby. Jennsen wraz z eskortą wiele razy skręcała w boczne przejścia, w ciemne korytarze prowadzące do obszernych holi oraz schodziła po tyłu rozmaitych schodach, że w końcu się pogubiła. Niektóre schody były zakurzone i odrapane, niektóre hole najwyraźniej rzadko używane i zatęchłe - zorientowała się więc, że człowiek w bieli prowadzi ją przez pałac na skróty, żeby jak najszybciej dotarła na miejsce.

To również było uspokajające, bo świadczyło, że potraktowali sprawę poważnie. Toteż z większą pewnością siebie odgrywała swoją rolę. Powiedziała sobie, że jest kimś ważnym, wysłanniczką samego lorda Rahla, i że nikt jej nie powstrzyma i nie onieśmieli. Byli tu wyłącznie po to, żeby jej pomóc. To było ich zadanie. Ich obowiązek.

Jennsen i tak nie zdołałaby zapamiętać wszystkich zakrętów i zwrotów, więc zajęła się bieżącymi sprawami. Przepowiadała sobie w myślach, co ma zrobić i powiedzieć. Napominała się, że bez względu na stan Sebastiana powinna się trzymać planu. Jej zdumienie, łzy, rzucanie się ku niemu z zawodem na pewno dobrze by się nie skończyło. Miała nadzieję, że będzie o tym pamiętać, kiedy go zobaczy.

Mężczyzna w bieli obejrzał się na nią i ruszył w dół kamiennymi schodami. Spod popękanej farby na żelaznej poręczy wyzierała czerwonawa rdza. Niewygodne strome schody prowadziły spiralą w dół, aż do korytarza oświetlonego niesamowitym migotliwym blaskiem pochodni, osadzonych w stojakach - a nie lampami z odbłyśnikami jak trasa na górze.

Obaj mężczyźni w srebrnych szatach, którzy pobiegli przodem, czekali tu na nich. Pod niskim belkowanym stropem wisiał dym, cuchnęło palącą się smołą. Jennsen widziała, jak jej oddech zmienia się w parę w zimnym powietrzu. Instynktownie wyczuwała, jak głęboko w trzewiach Pałacu Ludu

się znaleźli. Na chwilę przypomniało się jej, jak strasznie było się pogrążyć w ciemnym, pozbawionym dna rozlewisku moczarów. Taki sam ucisk w piersi czuła teraz, uświadamiając sobie przeogromny ciężar budowli.

W głębi mrocznego kamiennego korytarza, po prawej, dostrzegła równomiernie rozmieszczone drzwi. Zdawało jej się, że w niewielkie otwory w niektórych wczepiają się palce. Gdzieś z dala, z ciemności, dał się słyszeć suchy kaszel. Spojrzała tam, skąd dochodził, i opanowało ją uczucie, że zsyła się tu ludzi nie za karę, ale po to, żeby tu umarli.

Przed wzmocnionymi żelazem drzwiami, blokującymi dostęp do lewej części korytarza, stał potężnie zbudowany mężczyzna. Lekko rozsunął nogi, ręce złączył za plecami, dumnie uniósł głowę. Jego postawa, wzrost i wbite w nią kamienne spojrzenie sprawiły, że Jennsen zwątpiła w siebie. Miała ochotę uciec. Czemuż sądziła, że jej się powiedzie? Kim w końcu była? Nikim.

Althea co prawda twierdziła, że tylko Jennsen, swoim postępowaniem, może sprawić, że tak istotnie będzie. Dziewczyna bardzo chciałaby podzielać wiarę, jaką obdarzyła ją czarodziejka.

Mężczyzna w bieli spojrzał na Jennsen w oczy i przedstawił jej olbrzymia.

- Kapitan Lerner. Jak sobie życzyłaś - rzekł i powiedział do kapitana: - Osobista wysłanniczką lorda Rahla. Tak twierdzi.

Kapitan uśmiechnął się do niego ponuro.

- Dziękuję - powiedziała Jennsen do żołnierzy, którzy ją eskortowali. - To wszystko.

Mężczyzna w bieli otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, ale napotkał jej spojrzenie, zmienił zdanie i tylko się skłonił. Rozłożył ramiona jak kokoszka zaganiająca pisklaki pod skrzydła i powiódł przed sobą tych w srebrnych szatach i żołnierzy.

- Szukam człowieka, którego podobno uwięziliście - rzekła Jennsen do tkwiącego przed drzwiami wielkoluda.

- Z jakiego powodu?

- Ktoś namieszał. Pojmano go przez pomyłkę.

- Kto twierdzi, że to była pomyłka?

Jennsen wyciągnęła nóż z pochwy u pasa i - trzymając za ostrze - niedbale pokazała tamtemu rękojęść.

- Ja.

Przesunął wzrokiem po ozdobnej literze. I nadal stał swobodnie, zagradzając drzwi do dalszej części korytarza. Jennsen okręciła nóż w palcach, złapała za rękojeść i zwinnie wsunęła do wiszącej u pasa pochwy.

- I ja taki nosiłem - odezwał się, kiwnięciem głowy wskazując broń. - Parę lat temu.

- Ale teraz już nie? - Lekko przycisnęła rękojeść i usłyszała, jak ostrze wsunęło się do końca. Cichy dźwięk poniósł się echem w mrokach za nią.

Kapitan wzruszył ramionami.

- Takie stałe ryzykowanie życia dla lorda Rahla w końcu męczy.

Dziewczyna bała się, że może ją zapytać o coś o lordzie Rahlu - o coś, co powinna wiedzieć, lecz nie wie. Spróbowała temu zaradzić.

- Więc służyłeś Rahlowi Posepnemu. Nie za moich czasów. To musiał być wielki zaszczyt znać go.

- Najwyraźniej go nie znałaś.

Wystraszyła się, że zawałiła pierwszą próbę. Wydawało jej się, że każdy, kto służy, musi być lojalny, że lepiej będzie postępować zgodnie z tym założeniem. Ale nie było.

Kapitan Lerner odwrócił głowę i splunął. Potem popatrzył na nią wyzywająco.

- Rahl Posepny był pokreconym sukinsynem. Miałem ochotę wbić mu ten jego nóż pod zębra i porządnie okręcić.

Jennsen była zaniepokojona, ale zachowała spokój.

- No, to czemuś tego nie zrobił?

- Kiedy cały świat zwariował, bycie normalnym nie popłaca. W końcu im powiedziałem, że się starzeję, i wziąłem tę tu robotę. Ktoś znacznie ważniejszy ode mnie wysłał wreszcie Rahla Posepnego do Opiekuna.

Owe dobitnie wyrażone uczucia zbiły Jennsen z pantafelku. Nie wiedziała, czy Lerner naprawdę nienawidził Rahla Posepnego, czy też powiedział to wszystko tylko po to, żeby okazać swoją lojalność wobec nowego lorda Rahla, Richarda, który zabił własnego ojca i przejął władzę. Próbowała zebrać myśli, ale tak, by się na tym nie poznał.

- Cóż, Tom mówił, żeś niegłupi. Chyba wiedział, co mówi.

Kapitan się roześmiał i ten spontaniczny, basowy, grzmiący dźwięk sprawił, że dziewczyna nieoczekiwanie się uśmiechnęła - zupełnie nie pasował do kogoś, kto wyglądał jak pupilek śmierci.

- O, Tom by wiedział. - Lerner przyłożył pięść do serca. Uśmiech rozjaśnił mu twarz.

Tom znów jej pomógł. Dziewczyna odwzajemniła salut. Uznała, że tak trzeba.

- Jestem Jennsen.

- Miło mi, Jennsen. - Westchnął. - Gdybym, jak ty, znał nowego lorda Rahla, to może służyłbym wraz z tobą. Ale już wcześniej zrezygnował i wziął tę robotę na dole. Nowy lord Rahl pozmieniał wszystko, wszystkie prawa. Chyba przewraca świat do góry nogami.

Jennsen bała się, że stąpa po grząskim gruncie. Nie wiedziała, co kapitan ma na myśli, i obawiała się cokolwiek odpowiedzieć. Zatem kiwnęła tylko głową i wróciła do swojej sprawy.

- Pojmuję, czemu Tom powiedział, żeby się z tobą zobaczyć.

- W czym sprawa, Jennsen?

Wzięła głęboki wdech, zebrała się w sobie. Przemyślała to na setki rozmaitych sposobów, bardzo dokładnie. Mogła do tego podejść od każdej strony.

- Sam wiesz, że ci, którzy jak my służą lordowi Rahlowi, nie zawsze mogą każdemu rozpowiadać, kim są i co robią.

- Jasne - przytaknął kapitan Lerner.

Jennsen skrzyżowała ramiona. Starła się zachować pozory spokoju, choć serce tłukło się jej jak szalone. Najgorsze miała już za sobą, odgadła prawidłowo.

- Towarzyszył mi pewien człowiek - podjęła. - Doszły mnie wieści, że go uwięziono. To by mnie nie zdziwiło. Wyróżnia się w tłumie, ale do tej właśnie roboty był najodpowiedniejszy. Niestety, gwardziści też musieli go zauważyć. Ze względu na zadanie i ludzi, z którymi mieliśmy do czynienia, był dobrze uzbrojony, co dodatkowo wzbudziło podejrzenia żołnierzy, którzy go zatrzymali. Nigdy tu nie był, więc nie wiedział, komu zaufać, a nawiasem mówiąc, ścigamy zdrajców.

Kapitan pocierał szczękę, w zamyśleniu marszcząc czoło.

- Zdrajców? W pałacu?

- Nie wiemy na pewno. Podejrzewamy, że działają tu szpiedzy, a ich właśnie ścigamy, więc i pewno nie ośmielił się nikomu zaufać. Gdyby niewłaściwe uszy usłyszały, kim naprawdę jest, reszta nas znalazłaby się w

niebezpieczeństwie. Wątpię nawet, czy podał wam prawdziwe imię. To Sebastian. Tyle nam zagraża, więc świetnie zdaje sobie sprawę, że im mniej powie, na tym mniejsze ryzyko wystawia resztę naszej grupy.

Lerner wpatrywał się w dal; sprawiał wrażenie, że złapał się na tę historyjkę.

- Nie... żaden więzień nie podał takiego imienia. - Zmarszczył w zadumie czoło. - Jak wygląda?

- Parę lat starszy ode mnie. Błękitne oczy. Krótkie białe włosy.

Kapitan natychmiast rozpoznał opis.

- A, ten.

- Więc mam dobre informacje. Macie go.

Chciałaby złapać kapitana za skórzany mundur i potrząsnąć nim. Chciała zapytać, czy poranili Sebastiana. Chciała na niego wrzasnąć, żeby wypuścił jej przyjaciela.

- Tak, mamy go. Jeżeli to ten człowiek, o którym mówisz. Pasuje do twojego opisu.

- Dobrze. Muszę go odzyskać. Mam dla niego pilną sprawę. Zwłoka nie wchodzi w grę. Musimy ruszać natychmiast, zanim trop jeszcze bardziej ostygnie. Byłoby lepiej, żeby go uwolniono po cichu. Musimy się wysliznąć tak niepostrzeżenie, jak tylko się da, i mieć jak najmniejszą styczność z żołnierzami. Siatka szpiegów mogła umieścić swoich agentów nawet w wojsku.

Kapitan Lerner skrzyżował ramiona i westchnął, po czym lekko pochylił się ku Jennsen, patrząc na nią jak starszy brat na małą siostrzyczkę.

- On na pewno jest jednym z twoich ludzi, Jennsen?

Bała się, że przesadzi.

- Wybrano go właśnie dlatego, że żołnierze mogliby nie podejrzewać, że jest jednym z nas. Nigdy byś na to nie wpadł, patrząc na niego. Sebastian jest znany z tego, że potrafi zbliżyć się do szpiegów, nie budząc w nich podejrzeń, że jest naszym człowiekiem.

- Ale czy jesteś pewna jego intencji? Jesteś przekonana, że nie zamierza wyrządzić krzywdy lordowi Rahlowi?

- Sebastian jest jednym z moich ludzi i tego jestem pewna, lecz nie wiem, czy wasz więzień to mój Sebastian. A co?

Kapitan zapatrzył się przed siebie, pokręcił głową.

- Sam nie wiem. Wiele lat nosiłem taki nóż i podobnie jak wy działałem w miejscach, gdzie nie mogłem nosić noża, więc nikt nie wiedział, kim naprawdę jestem. Nie muszę ci mówić, że takie nieustanne wystawianie się na niebezpieczeństwo rozwija intuicję co do ludzi. Coś w tym gościu z białymi włosami sprawia, że moje się jeżą...

Jennsen nie wiedziała, co odpowiedzieć. Kapitan był dwukrotnie roślejszy od Sebastiana, więc to nie postura więźnia budziła w nim obawy. No, ale postura nie była wiarygodną wskazówką co do ewentualnego zagrożenia. Dziewczyna, na przykład, mogłaby pokonać kapitana w walce na noże. Może Lerner wyczuwał, jak świetnie Sebastian włada bronią. Bo natychmiast zauważył, jak Jennsen zręcznie manipuluje nożem.

Może kapitan z wielu drobnych znaków odczytał, że Sebastian nie jest D'Harańczykiem. To byłoby kłopotliwe, ale przygotowała sobie historyjkę i na taką okazję.

- Tom dalej łobuzuje?

- Och, znasz Toma. Sprzedaje wino, z pomocą Joego i Claytona.

Kapitan patrzył na nią z niedowierzaniem.

- Tom i jego bracia? Sprzedają wino? - Pokręcił głową i szeroko się uśmiechnął. - Chciałbym wiedzieć, co tak naprawdę kombinuje.

Wzruszyła ramionami.

- Cóż, w tej chwili właśnie to sprzedaje. Wszyscy trzej jeżdżą tu i tam, skupują towary i przywożą je tu na sprzedaż.

Roześmiał się, usłyszawszy to, i klepnął ją w ramię.

- To brzmi jak jego słowa. Nic dziwnego, że ci ufa.

Jennsen była zupełnie zdezorientowana i pod żadnym pozorem nie chciała dać się wciągnąć w najeżoną zasadzkami dyskusję o Tomie, bo zaraz by się zdradziła. Niewiele wiedziała o Tomie, za to Lerner najwyraźniej sporo.

- Chyba lepiej rzucę okiem na tego waszego więźnia. Jeżeli to Sebastian, muszę mu skopać zadek i przywołać do porządku.

- Racja - rzekł kapitan Lerner i zdecydowanie kiwnął głową. - Jeżeli to twój człowiek, to wreszcie się dowiem, jak się nazywa. - Odwrócił się ku obitym żelazem drzwiom, szukając w kieszeni klucza. - Jeśli to on, to ma szczęście, żeś po niego przyszła, zanim któraś z tych kobiet w czerwieni zjawiała się, żeby go przepytąć. Wtedy wygadałby nie tylko swoje imię.

Oszczędziłby sobie i tobie wielu kłopotów, gdyby nam powiedział, po co tam był.

Jennsen poczuła ogromną ulgę, usłyszawszy, że Mord-Sith nie torturowały Sebastiana.

- Kiedy załatwiasz sprawy lorda Rahla, trzymasz gębę na kłódkę - stwierdziła. - Sebastian zna zasady.

Kapitan potwierdził to mruknięciem i przekręcił klucz w zamku. Zatrzask ustąpił z głuchym szcęknięciem.

- Dla tego lorda Rahla trzymałbym gębę na kłódkę, nawet gdyby mnie Mord-Sith wypytywała. Ale na pewno znasz nowego lorda Rahla lepiej ode mnie, więc nie muszę ci tego mówić.

Jennsen nic z tego nie zrozumiała, ale i o nic nie spytała. Kapitan szarpnął drzwi, a one otworzyły się powoli, odsłaniając długi korytarz oświetlony kilkoma świecami. Po obu stronach znajdowały się drzwi z małymi, zakratowanymi otworami. Kiedy mijali niektóre z tych otworów, wyciągały się ku nim ramiona: jedne błagalnie, inne chciały ich dosięgnąć, złapać. Z ciemności za kolejnymi wizjerami dochodził gwar głosów wykrzykujących przekleństwa i obelgi. Owe dłonie i głosy upewniły Jennsen, że w każdej celi byli więźniowie.

Wraz z kapitanem wchodziła w głąb więziennych lochów. Kiedy wyjrzeli poprzez kraty i przekonali się, że z Lernerem idzie kobieta, wykrzykiwali do niej sprośności. Zaszokowały ją te wulgarne, sprośne wrzaski i szyderczy rechot. Pod spokojną miną ukryła swoje odczucia i obawy.

Żołnierz trzymał się środka korytarza, od czasu do czasu odtrącając sięgającą ku nim dłoń.

- Uważaj na siebie - ostrzegł.

Już miała zapytać dlaczego, kiedy ktoś rzucił w nią czymś miękkawym. Chybił i „grudka” plasnęła o przeciwległą ścianę. Z przerażeniem przekonała się, że to kał. Za przykładem tamtego poszli inni. Jennsen musiała przykucać i robić uniki, żeby nie dać się trafić. Kapitan nagle kopnął w drzwi, za którymi jakiś człowiek szykował się do kolejnego rzutu. Odgłos kopnięcia poniósł się echem po korytarzu - było to wystarczające ostrzeżenie, po którym cofnęli się w głąb ceł. Lerner ruszył dalej dopiero wtedy, kiedy był pewny, że pojęli jego groźbę.

Jennsen nie mogła się powstrzymać, by nie zapytać szeptem:

- O co się ich oskarża?

Kapitan obejrzał się przez ramię.

- O różne sprawki. Morderstwo, gwałt i inne tego rodzaju. Jest tu też paru szpiegów z tych, których i ty ścigasz.

Smród zatykał. Dziewczyna mogła zrozumieć nie skrywaną nienawiść więźniów, lecz choćby nie wiadomo jak współczuła brańcom lorda Rahla, ludziom walczącym z jego tyrańskimi rządami, zdawała sobie sprawę, że ich zachowanie jedynie potwierdza każde oskarżenie o zepsucie i złą wolę. Trzymała się tuż za kapitanem Lernerem, który skręcił w boczny korytarz.

Wartownik zdjął lampę z półki umocowanej w kamiennej ścianie, zapalił ją od pobliskiej świecy. Blask lampy nieco tylko rozjaśnił ów koszmar i uczynił go jeszcze groźniejszym. Jennsen miała okropne wrażenie, że ją przyłapano i że tu skończy. Nie mogła się opędzić od wizji, że zamkną ją w celi z takimi jak ci tutaj. Wiedziała, co by z nią zrobili. Musiała zapanować nad przyspieszonym z grozy oddechem.

Lerner otworzył następne drzwi i znaleźli się w niskim korytarzu. Wejścia do cel po obu jego stronach znajdowały się o wiele bliżej siebie. Domyśliła się, że są tu izolatki. Z jednego z otworów w drzwiach wystrzeliła ręka - brudna i pokryta otwartymi wrzodami - żeby chwycić ją za pelerynę. Zignorowała tę rękę i poszła dalej.

Kapitan otworzył kolejne drzwi, w końcu korytarza, i weszli do pomieszczenia nieco tylko szerszego od jego barków. Ciasne, wijące się przejście przypominające skalną szczelinę przyprawiło Jennsen o gęsią skórkę. Z otworów w drzwiach nie wyciągały się tutaj żadne ręce. Kapitan zatrzymał się i uniósł lampę, po czym zajrzał przez otwór w drzwiach po prawej. Podał Jennsen lampę, zadowolony z tego, co zobaczył, i otworzył drzwi.

- W tej sekcji trzymamy szczególnych więźniów - wyjaśnił.

Musiał się oburącz oprzeć o drzwi i pchnąć je całym swoim ciężarem, żeby się otworzyły. Przesunęły się z pełnym niechęci skrzypieniem. Ku zdziwieniu Jennsen dalej było tylko małe puste pomieszczenie z kolejnymi drzwiami. To dlatego przez kraty nie wyciągały się żadne ręce. Cele miały podwójne drzwi, żeby jeszcze bardziej utrudnić ucieczkę. Kapitan otworzył drugie drzwi i wziął od niej lampę.

Wsunął lampę przed sobą, a potem pochylił się w niskim wejściu.

Zasłonił sobą cały otwór, pogrążając Jennsen na chwilę w ciemnościach. Wszedł i wyciągnął ku niej rękę, żeby się nie potknęła o wysoki próg. Chwyliła tę pomocną dłoń i weszła do celi. Była większa, niż oczekiwała, prawdopodobnie wydrążona w litej skale podstawy płaskowyzu. Ślady po kuciu w skalnych ścianach świadczyły, jak ciężka była to robota. Żaden więzień nie wykopie sobie drogi na wolność z tak dobrze zabezpieczonego miejsca.

Sebastian siedział na ławce wykutej w przeciwległej ścianie. Jego błękitne oczy wpatrywały się w Jennsen, odkąd weszła do celi. Zdawało się jej, że czyta w tych oczach, jak bardzo chce się stąd wydostać. Jednak nie okazał żadnych emocji i nic nie powiedział. Z jego miny nikt by się nawet nie domyślił, że ją zna.

Równo złożona peleryna służyła mu za poduszkę. W pobliżu stał kubek wody. Ubranie miał całe, nic nie wskazywało na to, że zrobili mu coś złego.

Dobrze było znów widzieć jego twarz, oczy, krótkie białe włosy. Oblizła usta, te wspaniałe usta, które tak często się do niej uśmiechały. Teraz jednak nie ośmielił się uśmiechnąć. Jennsen miała rację. Tak chciała do niego podbiec, objąć go, rozplakać się z ulgi, że widzi go żywego i całego.

- To on? - Kapitan wskazał go lampą.

- Tak, kapitanie.

Wysunęła się naprzód. Sebastian nie odrywał od niej oczu. Musiała chwilę pomilczeć, by się upewnić, że zapanuje nad głosem.

- W porządku, Sebastianie. Kapitan Lerner wie, że należysz do mojej ekipy. - Poklepała ręką noża. - Możesz wierzyć, że dochowa tajemnicy.

- Miło mi cię poznać, Sebastianie. - Lerner podał mu rękę. - Przepraszam za pomyłkę. Nie wiedzieliśmy, kim jesteś. Jennsen wyjaśniła mi, jakie miałeś zadanie. Kiedyś też służyłem, więc rozumiem konieczność zachowania tajemnicy.

Sebastian wstał, przyjął podaną dłoń.

- Nic się nie stało, kapitanie. Nie mogę winić naszych żołnierzy za to, że wykonują swoją robotę.

Sebastian nie znał jej planu. Wyraźnie czekał na odpowiedź. Dziewczyna wykonała niecierpliwy gest i zadała pytania, na które i tak nie mógł odpowiedzieć. Sygnalizowała mu nimi, czego od niego oczekuje.

- Nawiązałeś kontakt z jakimś szpiegiem, zanim cię zatrzymano?

Dowiedziałeś się, kim są, i zdobyłeś ich zaufanie? Poznałeś przynajmniej jakieś nazwiska?

Sebastian pojął, o co chodzi, i westchnął przekonująco.

- Niestety, nie. Dopiero co przyszedłem i nie zdążyłem, bo gwardziści... - Opuścił wzrok. - Przepraszam.

Kapitan patrzył to na jedno, to na drugie. Jennsen odegrała wyrozumiałość.

- Nie mogę winić gwardzistów za to, że wolą nie ryzykować w pałacu. Musimy ruszać. Poczyliłam postępy w naszej sprawie, odkryłam ważne nowe kontakty. To nie może czekać. Ci ludzie są ostrożni i jesteś potrzebny do nawiązania z nimi łączności. Raczej nie pozwolą, żeby kobieta stawiała im kolejkę, więc zamierzam zdać się na ciebie. Tymczasem zastawię inne sidła.

Sebastian kiwał głową, jakby doskonale wiedział, o co chodzi.

- W porządku.

- No, to ruszajcie w drogę. - Kapitan wskazał wyjście.

Sebastian, idąc za Jennsen, obejrzał się na niego.

- Muszę mieć swoją broń, kapitanie. I wszystkie monety, które były w sakiewce. To pieniądze lorda Rahla i potrzebuję ich, żeby móc wykonać jego rozkazy.

- Mam wszystko. Niczego nie brakuje, ręczę za to słowem.

Wyszli i Lerner zatrzasnął drzwi celi. To on miał lampę, więc Jennsen i Sebastian czekali na niego. Kiedy dziewczyna ruszyła w drogę, kapitan przesunął rękę obok Sebastiana, chwycił ją za ramię i zatrzymał. Znieruchomiła, bała się odetchnąć. Czuła, jak Sebastian otacza jej kibić, sięga do rękojeści noża.

- To prawda, co ludzie gadają? - spytał kapitan.

Jennsen spojrzała mu w oczy.

- A o co ci chodzi?

- No, to o lordzie Rahlu. O tym, że on jest... jakby to powiedzieć, inny. Słyszałem rozmowy tych, którzy go spotkali, którzy wraz z nim walczyli. Gadają o tym, jak włada swoim mieczem, jak walczy i w ogóle, ale przede wszystkim opowiadają o nim jako o człowieku. Czy to prawda?

Dziewczyna nie miała pojęcia, o co mu chodzi. Bała się poruszyć, bała się cokolwiek rzec, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Nie zdawała sobie sprawy, co

ludzie, a zwłaszcza d'harańscy żołnierze, opowiadają o nowym lordzie Rahlu.

Za to wiedziała, że Sebastian mógłby natychmiast zabić kapitana. Mieliby po swojej stronie element zaskoczenia. Sebastian, z ręką na rękojeści jej noża, bez wątpienia myślał o tym samym.

Jednak musieli się jeszcze wydostać z pałacu. Gdyby go zabili, wkrótce odnaleziono by ciało. D'harańscy żołnierze na pewno nie byli niedbali. Gdyby nawet ukryli zwłoki kapitana więziennej straży, i tak kontrola więźniów wkrótce ujawniłaby, że brakuje Sebastiana. I straciliby szansę ucieczki.

Co gorsza, wcale nie uważała, że powinna zabić tego człowieka. Choć był d'harańskim oficerem, nie żywiła do niego niechęci. Wyglądał na porządnego człowieka, nie na potwora. Tom go lubił, a kapitan szanował Toma. Zabić kogoś, kto próbowałby ich uśmiercić, to byłoby zupełnie co innego. Ale nie tak. Tego nie mogła zrobić.

- Oddalibyśmy za niego życie - odparł żarliwie Sebastian. - Pozwoliłbym się wam torturować i zabić, a nie pisałbym słowa z obawy, że narażę na szwank lorda Rahla.

- Ja też - dorzuciła cicho Jennsen - myślę przede wszystkim o lordzie Rahlu. Nawet o nim śnię.

Powiedziała prawdę, ale obliczoną na wprowadzenie w błąd. Kapitan uśmiechnął się, zapatrzony w dal i zadowolony, po czym puścił ramię dziewczyny.

Ona zaś poczuła, jak palce Sebastiana cofają się z noża.

- To chyba mówi samo za siebie - stwierdził kapitan w otaczającym ich mroku. - Długo pełniłem służbę. Już się nawet nie ośmielałem o czymś takim marzyć. - Zamilkł na chwilę, a potem podjął: - A jego żona? Naprawdę jest Spowiedniczką, jak powiadają? Słyszałem opowieści o Spowiedniczkach, jeszcze z czasów przed pojawieniem się granic, ale nie wiedział, czy to prawda.

Żona? Jennsen nic nie słyszała o tym, by lord Rahl miał żonę. Nawet nie potrafiła go sobie wyobrazić żonatego ani jaka by to musiała być kobieta. Nie mogła też pojąć, dlaczego lord Rahl - który mógł sobie wziąć każdą kobietę, którą chciał, i potem ją przepędzić, gdy mu się znudziła - miałby się w ogóle żenić. A już zupełnie nie miała pojęcia, kim jest ta „Spowiedniczka”, choć ów

tytuł z pewnością brzmiał złowieszczo.

- Żałuję - odezwała się - ale jej nie spotkałam.

- Ani ja - wtrącił się Sebastian. - Ale słyszałem o niej to samo co ty.

Kapitan uśmiechnął się z zadumą.

- Rad jestem, że dożyłem czasów, kiedy taki lord Rahl wreszcie włada D'Harą jak się należy.

Dziewczyna znów ruszyła przed siebie, zaniepokojona słowami Lenera i zaskoczona, że był zadowolony z tego, że ten nowy lord Rahl zamierza w imieniu D'Hary podbić cały świat i nim władać.

Aż się paliła, żeby już wyjść z więzienia i z pałacu. Pospiesznie wracali wąskimi korytarzami, mijali okute żelazem drzwi i wyciągających ku nim ręce więźniów.

Minęli ostatnie okute żelazem wrota, te przed schodami, i zatrzymali się. Czekająca na nich, blokując drogę ucieczki, wysoka, ładna kobieta z blond włosami splecionymi w jeden długi warkocz. Jej mina przypominała chmurę burzową, z której lada chwila uderzy błyskawica.

Była w czerwonym skórzanym uniformie.

To mogła być wyłącznie Mord-Sith.

ROZDZIAŁ 27

Kobieta stała, nonszalancko splatając ręce za plecami. Jednak jej mina na pewno nie była obojętna. Ruszyła z miejsca - nadciągająca burzowa chmura, burzowa chmura, która nie zna strachu - i odgłos jej kroków odbił się echem od kamiennych ścian.

Jennsen dostała gęsiej skórki, zjeżyły się jej włosy na szyi.

Kobieta okrążyła ich równym, miarowym krokiem, lustrując od stóp do głów, niczym jastrzęb kołujący nad myszą i badawczo się jej przyglądający. Jennsen dostrzegła Agiel, oręż Mord-Sith, wiszący na łańcuszku okalającym prawy nadgarstek tamtej. Choć wiedziała, że to śmiertcionośna broń, wyglądał jak cienki skórzany pręt nie przekraczający nawet stopy.

- Przyszedł do mnie ogromnie wzburzony urzędnik - odezwała się Mord-Sith spokojnym jedwabistym wzrokiem. Groźne, gniewne oczy patrzyły to na Jennsen, to na Sebastiana. - Uważał, że powinnam tu przyjść i sprawdzić, co się dzieje. Wspomniał o rudowłosej kobiecie. Najwyraźniej był zdania, że ona może narobić jakichś kłopotów. Jak myślisz, co go tak niepokoiło?

Stojący do tej pory za Jennsen kapitan przesunął się w bok.

- Nie dzieje się nic takiego, czym byś się musiała martwić...

Jeden ruch nadgarstka i Agiel znalazł się w dłoni kobiety, wymierzony w twarz kapitana.

- Nie ciebie pytałam. Pytałam tę młodą kobietę. - Gniewne oczy znów patrzyły na Jennsen. - Czemu, według ciebie, twierdził, że powinnam tu przyjść? HmMMM?

Jennsen.

- Bo - odezwała się Jennsen, nie mogąc oderwać wzroku od zimnych niebieskich oczu - to nadęty głupek i nie spodobało mu się, że nie udawałam, iż tak nie jest tylko dlatego, że chodzi w białych szatach.

Mord-Sith się uśmiechnęła. Nie z rozbawieniem, ale z ponurym uznaniem dla prawdziwości stwierdzenia dziewczyny. Przeniosła wzrok na Sebastiana i uśmiech zgasł. Kiedy jej spojrzenie znów spoczęło na Jennsen, mogłoby ciąć stal.

- Nadęty czy nie, nie zmienia to faktu, że tego oto więźnia uwolniono wyłącznie na twoje słowo.

Jennsen.

- Moje słowo zupełnie wystarczy. - Dziewczyna gniewnie uniosła wiszący jej u pasa nóż i błysnęła rękojeścią. - To stoi za moimi słowami.

- To - syknęła swoim jedwabistym głosem Mord-Sith - nie znaczy nic.

Jennsen poczuła, jak się czerwieni.

- To oznacza...

- Masz nas za głupców? - Obcisły jak druga skóra czerwony uniform zatrzeszczał, kiedy Mord-Sith nachyliła się ku niej. - Uważasz, że nasza zdolność myślenia zaniknie tylko dlatego, że się tu zjawisz i machniesz nam przed oczami rękojeścią tego noża?

Ciasny skórzany strój przylegał do ciała równie kształtnego, co krzepkiego. Przy tej istocie bez skazy Jennsen poczuła się mała i brzydka. Co gorsza, nie potrafiła zmyślić historyjki w obliczu kobiety tak pewnej siebie jak ta, która pewnie na wylot przejrzałaby jej kłamstwa. Jednak wiedziała, że jeżeli teraz straci pewność siebie, to już po niej i po Sebastianie.

- Noszę ten nóż dla lorda Rahla, w jego imieniu, i powinnaś się temu podporządkować - powiedziała tak ostro, jak tylko zdołała.

- Czyżby. A dlaczego?

- Bo świadczy o zaufaniu, jakim mnie obdarzył lord Rahl.

- Ach. Więc mamy uwierzyć, że dał ci go lord Rahl, bo tak się złożyło, że masz ten nóż u pasa? Mam wierzyć, że ci zaufał? A skąd mamy wiedzieć, że nie znalazłaś tego noża? Hmmm?

- Znalazłam? Czyś ty...

- A może ty i ten więzień zwabiliście w zasadzkę i zabiliście właściciela owego noża. Może go zabiliście, żeby zdobyć przedmiot, dzięki któremu będziecie wiarogodniejsi.

- Nie rozumiem, jak możesz wierzyć w...

- A może jesteś tchórzem i zamordowałaś właściciela noża, kiedy spał? Lub nie miałaś nawet tyle odwagi i kupiłaś nóż od rzezimieszków, którzy go zabili? Tak właśnie zrobiłaś? Kupiłaś go od prawdziwego mordercy?

- Jasne, że nie!

Mord-Sith nachyliła się tak bardzo, że Jennsen poczuła na twarzy jej oddech.

- A może zwabiłaś właściciela noża pomiędzy swoje piękne nogi, ten tu zaś twój partner mu go ukradł. Albo jesteś zwyczajną dziwką i to jedynie dar

złodzieja i mordercy za twoje wdzięki?

Jennsen cofnęła się.

- Ja... ja bym nie...

- Pokazywanie takiego noża niczego nie dowodzi. Bo tak naprawdę nie wiemy, do kogo on należy.

Poddaj się.

- Jest mój! - upierała się dziewczyna.

Mord-Sith wyprostowała się i uniosła brew.

- Czyżby.

Kapitan skrzyżował ramiona. Stojący u boku Jennsen Sebastian ani drgnął. Dziewczyna ze wszystkich sił starała się powstrzymać łzy strachu. Usiłowała zachować wyzywającą minę.

Jennsen. Poddaj się.

- Załatwiam w imieniu lorda Rahla ważną sprawę - powiedziała przez zaciśnięte zęby. - Nie mam czasu na takie przekomarzanki.

- Ach - przedrzeźniała ją Mord-Sith - sprawa z ramienia lorda Rahla. Cóż, to brzmi poważnie. - Skrzyżowała ramiona. - Jaka to sprawa?

- To mój interes, nie twój.

Powrócił chłodny uśmiezek.

- Magiczna sprawa? Tak? Magia?

- To cię nie powinno obchodzić. Wykonuję rozkaz lorda Rahla i lepiej, żebyś o tym pamiętała. Nie będzie zadowolony, kiedy się dowie, żeś wścibiła w to nos.

Brew znów powędrowała w górę.

- Wścibiła nos? Moja droga młoda damo, Mord-Sith nie może stać z boku. Gdybyś była tą, za którą się podajesz, wiedziałabyś choć tyle. Mord-Sith istnieją wyłącznie po to, żeby chronić lorda Rahla. Nie sądzisz, że zlekceważenie takich osobliwych wydarzeń byłoby z mojej strony zaniedbaniem obowiązków?

- Nie... mówiłam ci...

- A gdyby tak lord Rahl wykrwawiał się i spytał mnie, co się stało, mogłabym mu powiedzieć, że zjawiała się tu dziewczuszka z ładnym nożem i zażądała uwolnienia bardzo podejrzanego, małomównego więźnia, my zaś byliśmy tak oczarowani owym nożem i jej wielkimi błękitnymi oczami, że spełniliśmy jej żądanie. Czyż nie?

- Jasne, że musisz...

- Pokaż mi jakąś magiczną sztuczkę. - Mord-Sith zbadła w palcach pukiel rudych włosów Jennsen. - Hmm? Odrobinę magii, żeby się wykazać. Zaklęcie, urok, oszałamiający pokaz twoich umiejętności. Jeśli chcesz, przywołaj błyskawicę. A jeżeli nie, to może choć zawieszony w powietrzu płomyk?

- Ja nie...

- Zrób coś magicznego, wiedźmo. - Głos był groźny i rozkazujący.

Poddaj się.

Jennsen, rozgniewana z powodu głosu i jeszcze bardziej na samą Mord-Sith, straciła jej rękę z włosów.

- Przestań!

Sebastian jak błyskawica rzucił się na kobietę. Ale jeszcze szybciej Agiel znalazł się w jej dłoni. Dotknęła jego czubkiem ramienia Sebastiana, który jeszcze jej nie dopadł.

Mężczyzna znieruchomiał i krzyknął. Mord-Sith spokojnie wciskała mu Agiel w ramię, dopóki nie osunął się na podłogę. Leżał zwinięty w kłębek i wrzeszczał.

Jennsen skoczyła ku Mord-Sith. Ta zwinnie i szybko wstała, wycelowała Agiel w twarz dziewczyny i zatrzymała ją. U ich stóp wił się w męce Sebastian.

Dziewczyna - myśląc wyłącznie o Sebastianie, o tym, żeby do niego przypaść, pomóc mu - złapała Agiel i odepchnęła oręż wraz z dłonią kobiety. Przyklękła obok leżącego. Przetoczył się na bok, skulony, jakby trafiła go błyskawica. Dygotał.

Kazała mu spokojnie leżeć. Uspokoił się pod łagodnym dotknięciem jej dłoni. Kiedy nieco przyszedł do siebie i spróbował usiąść, Jennsen otoczyła ramieniem jego barki i pomogła mu. Wsparł się o nią. Z trudem chwycił powietrze, najwyraźniej jeszcze cierpiał po dotknięciu Agielem. Mrugał powiekami, żeby strącić łzy, lepiej skupić wzrok. Jennsen, przerażona tym, co potrafi zdziałać jedno dotknięcie bicza, musnęła dłonią twarz Sebastiana. Uniosła jego pochyloną głowę, chcąc się przekonać, czy ją rozpoznaje, czy wszystko z nim w porządku. Ledwo mógł siedzieć o własnych siłach, ale leciutko kiwnął głową.

- Wstawać - rozkazała tkwiąca nad nimi Mord-Sith. - Oboje.

Sebastian jeszcze nie mógł się podnieść. Jennsen poderwała się i wyzywająco stawiała czoło kobiecie.

- Nie będę tego tolerować! Kiedy powiem o tym lordowi Rahlowi, każe cię wychłostać!

Mord-Sith zmarszczyła brwi. Wyciągnęła ku niej Agiel.

- Dotknij.

Jennsen znów chwyciła Agiel i odepchnęła go.

- Przestań!

- Przecież działa - mruknęła do siebie Mord-Sith. - Wiem, bo go czuję.

Odwrociła się i na próbę dotknęła straszliwym orężem ramienia kapitana. Krzyknął i osunął się na kolana.

- Przestań! - Jennsen złapała czerwony pręt i odsunęła od Lenera.

Mord-Sith wlepiła w nią oczy.

- Jak to robisz?

- Niby co?

- Dotykasz Agiela i nie czujesz bólu. Nikt, nawet sam lord Rahl, nie jest odporny na dotyk Agiela.

Dopiero teraz Jennsen uświadomiła sobie, że wydarzyło się coś niesłychanego. Nie rozumiała, o co chodzi, ale wiedziała, że musi w lot chwycić tę okazję.

- Chciałaś zobaczyć trochę magii, to i zobaczyłaś.

- Ale jak...

- Sądzisz, że lord Rahl pozwoliłby mi nosić ten nóż, gdybym się do tego nie nadawała?

- No, ale Agiel...

Kapitan powoli wstawał.

- Co z tobą? Przecież mamy wspólny cel.

- A tym celem jest ochrona lorda Rahla - warknęła kobieta i uniosła Agiel.

- Tym go chronię. Muszę wiedzieć, co jest nie tak, żeby go nie zawieść.

Jennsen wyciągnęła rękę, zacisnęła mocno Agiel w palcach i spojrzała Mord-Sith w oczy. Nakazała sobie pamiętać, kim niby jest, i podtrzymywać te pozory. Zastanawiała się, co by zrobiła, gdyby naprawdę była w elitarnych oddziałach lorda Rahla.

- Pojmuję twoją troskę - rzekła stanowczo, za wszelką cenę nie chcąc przegapić nieoczekiwanej okazji, choć nie całkiem rozumiała, o co tu chodzi.

- Wiem, że chcesz chronić lorda Rahla. To nasz wspólny, uświęcony obowiązek. Nasze życie należy do niego. Tak jak ty, chronię lorda Rahla i mam tu sprawę najwyższej wagi. Nie wiesz, co to za sprawa, a ja nie mam czasu, żeby chociaż pokrótce ci to wyjaśnić. Ale dość tego. Życie lorda Rahla jest zagrożone. Nie mam chwili do stracenia. Jeżeli nie pozwolisz mi wykonać tego zadania, znaczy to, że wystawiasz go na niebezpieczeństwo i powinnam cię usunąć jak każde zagrożenie dla jego życia.

Mord-Sith zastanawiała się nad słowami Jennsen. Dziewczyna nie miała pojęcia, co tamta sobie myśli, ale nigdy nie sądziła, że Mord-Sith potrafią myśleć. Zawsze uważała je za tępe, bezmyślne zabójczynie. Tymczasem w oczach tej kobiety dostrzegła świadomy namysł.

W końcu Mord-Sith wyciągnęła rękę, ujęła Sebastiana pod pachę i pomogła mu wstać. Kiedy już stał pewnie, odwróciła się ku Jennsen.

- Chętnie bym zniosła chłostę, a nawet znacznie gorsze rzeczy, gdyby to zapewniło lepszą ochronę lordowi Rahlowi. Ruszaj i szybko to załatw. - Uśmiechnęła się do Jennsen przelotnie, ale serdecznie i klepnęła ją w ramię. - Oby były przy tobie dobre duchy. - Zawahała się. - Ale muszę wiedzieć, jak to jest, że nie czujesz mocy Agiela. To zwyczajnie niemożliwe.

Jennsen była ogromnie zaskoczona, że tak zła istota jak Mord-Sith przyzywa dobre duchy. Matka dziewczyny była teraz dobrym duchem.

- Przykro mi, ale to część tego, czego nie mam czasu ci wyjaśnić, a poza tym bezpieczeństwo lorda Rahla zależy od utrzymania tego w tajemnicy.

Kobieta długo wpatrywała się w nią twardym wzrokiem.

- Jestem Nyda - powiedziała w końcu. - Przysięgnij mi, że zrobisz, jak mówisz, i będziesz go chronić.

- Przysięgam, Nydo. Ale teraz muszę już iść. Nie mogę tracić więcej czasu.

Zanim Jennsen zdążyła się poruszyć, Nyda zacisnęła w pięści suknię i pelerynę okrywające ramię dziewczyny.

- Nie możemy sobie pozwolić na utratę tego lorda Rahla, bo wtedy utracimy wszystko. Jeżeli kiedykolwiek przekonam się, żeś mnie okłamała, to obiecuję ci dwie rzeczy. Po pierwsze, nigdzie nie znajdziesz nory dość głębokiej, żeby się w niej przede mną schować. Po drugie, twoja śmierć przewyższy grozą najgorsze koszmary. Jasno się wyraziłam?

Twarde, zacięte spojrzenie Mord-Sith sprawiło, że Jennsen mogła ledwie

skinąć głową.

- No, to ruszajcie. - Kobieta się odwróciła i zaczęła wchodzić po schodach.

- Nic ci nie jest? - kapitan zapytał Sebastiana.

Sebastian otrzepał pobrudzone kolana i ruszył ku schodom.

- Chyba wolałbym chłostę niż to, ale wyżyję.

Lerner, rozcierając sobie ramię, skrzywił się współczująco.

- Na górze mam pod kluczem twoje rzeczy. Broń i pieniądze.

- Pieniądze lorda Rahla - poprawił go Sebastian.

Jennsen pragnęła znaleźć się już poza pałacem. Wchodziła pośpiesznie po schodach, pilnując się, żeby nie pobiec.

- Och! - zawołała ku nim z góry Mord-Sith. Zatrzymała się, wsparta o zardzewiałą poręcz, kiedy spieszyli za nią. - Zapomniałam wam powiedzieć.

- Co nam zapomniałaś powiedzieć? - spytała Jennsen. - Spieszymy się.

- Ten urzędnik, który po mnie przybiegł. Ten w białych szatach.

- Tak? - zaciekawiała się dziewczyna, zrównując się z Nydą.

- Potem miał pójść po czarodzieja Rahla i sprowadzić go tu, żeby i on was zobaczył.

Jennsen poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy.

- Lord Rahl jest daleko na południu - wyśmiał ją kapitan, zatrzymując się stopień za nimi.

- Nie lorda Rahla - wyjaśniła Nyda. - Czarodzieja Rahla. Czarodzieja Nathana Rahla.

ROZDZIAŁ 28

Jennsen pamiętała to imię i nazwisko: Nathan Rahl. Althea mówiła, że spotkała go w Starym Świecie, w Pałacu Proroków. Powiedziała, że to prawdziwy Rahl. Że miał wielką moc i był niesłychanie niebezpieczny, więc trzymali go za nieprzeniknionymi magicznymi osłonami, gdzie nie mógł wyrządzić nikomu szkody, chociaż czasem i tak mu się to udawało. Althea twierdziła, że Nathan Rahl ma ponad dziewięćset lat.

Staremu czarodziejowi jakoś udało się uciec zza tych nieprzeniknionych magicznych osłon.

Jennsen chwyciła Mord-Sith za łokieć.

- Co on tu robi, Nydo?

- Nie wiem. Nie widziałam się z nim.

- Ważne, żeby nas nie zobaczył. - Popychała Mord-Sith w górę schodów, zmuszając do pośpiechu. - Nie mam czasu, aby to wyjaśniać, ale on jest niebezpieczny.

U szczytu schodów Nyda rozejrzała się, a potem popatrzyła Jennsen w oczy.

- Niebezpieczny? Jesteś tego pewna?

- Tak!

- W porządku. To chodźcie ze mną.

- Muszę odebrać swoje rzeczy - odezwał się Sebastian.

- Tu są. - Kapitan wskazał pobliskie drzwi.

Nyda stała na straży, a Sebastian wszedł do środka za kapitanem Lernerem. Jennsen tkwiła w przejściu na uginających się kolanach i patrzyła, jak D'Harańczyk stawia lampę i otwiera wewnętrzne drzwi. Weszli do pomieszczenia w głębi, zabierając lampę. Usłyszała krótką rozmowę, odgłos ściąganych z półek rzeczy.

Jennsen zdawało się, że słyszy kroki czarodzieja, coraz bliższe kroki. Jeżeli ich przyłapie, cały oręż Sebastiana nie zda się na nic. Jeśli czarodziej Rahl ją zobaczy, natychmiast rozpozna, czym ona w istocie jest: dziurą w świecie, pozbawionym daru dzieckiem Rahla Pośpnego. A z tego już się nie wyłga. I w końcu ją dopadną.

Sebastian wyszedł z magazynu, kapitan za nim.

- Ruszajmy.

Wyglądał tak samo jak przedtem - po prostu na człowieka w ciemnozielonej pelerynie. Mało kto by podejrzewał, ile rozmaitej broni osłania owa peleryna. Błękitne oczy i sterczące białe włosy różniły go od innych, może dlatego gwardziści go zatrzymali.

Kapitan złapał Jennsen za ramię.

- Jak już powiedziała - skinął głową ku Mord-Sith - niech zawsze wam towarzyszą dobre duchy.

Podał jej lampę. Dziewczyna wyszeptała szczerze podziękowania i pospieszyła korytarzem za tamtą dwójką, zostawiając w tyle kapitana więziennej straży.

Nyda prowadziła ich ciemnymi korytarzami i pustymi salami. Przemknęli przez wąską szczelinę bez stropu, a przynajmniej Jennsen widziała w górze tylko ciemność. Podłoga wyglądała na litą skałę. Mur po prawej tworzyły dość niestarannie dopasowane głazy. Za to po lewej stronie widniały olbrzymie bloki cętkowanego różowego granitu. Każdy z tych bloków o gładkiej powierzchni był większy niż którakolwiek z chat dziewczyny, a jednak dopasowano je tak dokładnie, że żadne ostrze by się między nie wcisnęło.

Na końcu korytarza wyszli przez niskie drzwi na wąskie żelazne przejście wyłożone deskami. Wąziutka kładka dla pieszych spinała krawędzie szerokiej szczeliny w skalnym płaskowyzu, a światło lampy Jennsen ukazywało nagie ściany, opadające pionowo i niknące daleko w dole. Jednak blask lampy nie wystarczał, żeby oświetlić dno. Na tym wąskim, zawieszonym ponad niezgłębioną otchłanią pomoście czuła się maleńka niczym mrówka.

Mord-Sith, idąca przodem z dłonią na żelaznej poręczy, zatrzymała się i obejrzała przez ramię.

- Dlaczego czarodziej Rahl jest niebezpieczny? - Ta sprawa najwyraźniej nie dawała jej spokoju. - Jakich kłopotów może ci narobić? - Jej ostry głos odbijał się echem od skalnych ścian.

Jennsen, zatrzymana pośrodku przejścia nad czarną otchłanią, czuła, jak pomost kołysze się pod jej stopami. Zaczęło się jej kręcić w głowie. Mord-Sith czekała. Dziewczyna starała się coś wymyślić. Obejrzała się przelotnie na Sebastiana, lecz jego mina świadczyła, że i jemu nic nie przychodzi na

myśl. Postanowiła zawrzeć w tym trochę prawdy, na wypadek gdyby Nyda wiedziała coś o czarodzieju Rahlu.

- Jest prorokiem. Uciekł z miejsca, w którym go przetrzymywano, w którym nie mógł nikomu zaszkodzić. Trzymali go tam, bo jest niebezpieczny.

Mord-Sith przerzuciła długi blond warkocz do przodu i gładziła go, rozmyślając nad słowami Jennsen. Najwyraźniej nie miała zamiaru ruszyć się z miejsca.

- Słyszałam, że to interesujący człowiek. - Oczy miała czujne, wyzywające.

- Jest niebezpieczny - upierała się Jennsen.

- Dlaczego?

- Może zaszkodzić mojej misji.

- Jak?

- Już mówiłam: jest prorokiem.

- Proroctwo może być dobrodziejstwem. Mogłoby ci pomóc strzec lorda Rahla. - Mord-Sith jeszcze bardziej spochmurniała. - Dlaczego miałybyś odrzucić taką pomoc?

Dziewczyna przypomniała sobie, co Althea mówiła o prorokowaniu.

- Mógłby mi powiedzieć, kiedy i jak umrę, podać dokładną datę. A gdybyś tak miała chronić lorda Rahla przed nadciągającym zagrożeniem i wiedziała, że następnego dnia umrzesz w straszliwy sposób? Gdybyś знаła dokładną godzinę i najokropniejsze szczegóły? Mogłoby tobą zawładnąć przerażenie, a przerażona świadomością, kiedy i jak umrzesz, na pewno źle byś się nadawała do chronienia lorda Rahla.

Twarz Nydy tylko odrobinę złagodniała.

- Naprawdę uważasz, że czarodziej Rahl mógłby ci coś takiego powiedzieć?

- A myślisz, że dlaczego go odizolowali? Jest niebezpieczny. Proroctwo może być groźne dla tych, którzy jak ja strzegą lorda Rahla.

- Albo mogłoby im pomóc - stwierdziła Nyda. - Jeśli wiesz, że ma się stać coś złego, to możesz temu zapobiec.

- I wtedy to by już nie było proroctwo, nieprawdaż?

Nyda przesuwiała dłonią po warkocz, zastanawiała się nad tym.

- Gdybyś jednak znała jakąś okropną przepowiednię, to może zdołałabyś

zmienić bieg proroctwa i zażegnać niebezpieczeństwo, odsunąć katastrofę.

- Gdybyś mogła zmienić bieg proroctwa, okazałoby się ono fałszywe. A gdyby było fałszywe, gdyby stało się proroctwem niespełnionym, to przecież byłoby jedynie pustą paplaniną starca, nieprawdaż? I jak można by wtedy odróżnić proroctwo od głędzenia jakiegoś szaleńca, który podawałby się za proroka? Ale to nie jest pusta gadanina - twierdziła Jennsen z uporem. - To proroctwo. Gdyby ten prorok chciał zaszkodzić mojej misji, mógłby mi powiedzieć coś okropnego o mojej przyszłości. A gdybym wiedziała o czymś okropnym, mogłabym zawieść lorda Rahla.

- Chodzi ci o to - spytała Nyda - że to byłoby jak dźgnięcie Agielem? Że dotknięcie nim mogłoby cię ugiąć?

- Tak. Jeśli jednak znamy proroctwo i się uginamy, to przez naszą słabość i strach narażamy na szwank lorda Rahla.

Nyda puściła warkocz i znów położyła dłoń na poręczy.

- Ale ja bym się nie ugięła, wiedząc, jak mam umrzeć, zwłaszcza gdybym ratowała życie lorda Rahla. Jako Mord-Sith jestem zawsze gotowa umrzeć. Każda Mord-Sith pragnie zginąć w walce dla lorda Rahla, a nie umierać we własnym łóżku, stara i bezzębna.

Jennsen zastanawiała się, czy ta kobieta jest szalona, czy też naprawdę aż tak oddana.

- Pięknie powiedziane - odezwał się Sebastian. - Ale czy postawiłabyś na to życie lorda Rahla?

Nyda spojrzała mu w oczy.

- Gdyby to moje życie było w niebezpieczeństwie? Tak. Nie ugięłabym się, wiedząc, kiedy i jak umrę.

- No, to przyznaję, że jesteś lepszą kobietą niż ja - powiedziała Jennsen.

Mord-Sith stanowczo skinęła głową.

- Nie oczekiwałabym, że będziesz taka sama jak ja. Możesz nosić nóż, ale nie jesteś Mord-Sith.

Jennsen chciała, żeby Nyda wreszcie ruszyła. Jeżeli nie przekona tej kobiety i będzie musiała z nią walczyć, na pewno nie jest to odpowiednie po temu miejsce. Mord-Sith była silna i szybka. Stojący z tyłu Sebastian niewiele mógłby pomóc. Poza tym Jennsen kręciło się w głowie na tym chwiejnym moście zawieszonym nad otchłanią. Nie lubiła wysokości i nigdy nie była dumna ze swojego zmysłu równowagi.

- Zrobiłabym wszystko co w mojej mocy, żeby nie zawieść lorda Rahla w takiej sytuacji - stwierdziła w końcu - ale nie mogę przysiąc, czyby mi się to udało. Wolalabym, żeby życie lorda Rahla nie zależało od rozwiązania tej kwestii.

Nyda z rezygnacją kiwnęła głową.

- To roztropne. - Wreszcie się odwróciła i ruszyła pomostem. - Ale i tak próbowałabym zmienić proroctwo.

Dziewczyna westchnęła w duchu i poszła za nią. Nie pojmowała, dlaczego jej słowa aż tak poruszyły Mord-Sith. Popatrzyła w dół, ale dna dalej nie było widać.

- Proroctwa nie można zmienić, bo przestałoby być proroctwem. Przepowiednie pochodzą od proroków mających specjalny dar.

Mord-Sith znów przerzuciła w przód warkocz i gładziła go.

- Skoro jednak on jest prorokiem, to zna przyszłość, a jeżeli tego, jak mówisz, nie można zmienić, bo przestałoby być proroctwem, to tylko po prostu powiedział by ci, co się wydarzy. On nie może tego zmienić, ty też nie. I tak się to stanie, czy ci o tym powie czy nie. Jeżeli przez tę wiadomość miałabyś nie ochronić lorda Rahla, to on i tak by to już zobaczył, czyli jest z góry rozstrzygnięte, że ma się stać tak a nie inaczej, i dlatego jest mowa o tym w proroctwie.

Jennsen odgarnęła z oczu pasmo włosów. Szła pomostem, mocno trzymając się poręczy. Gorączkowo starała się wymyślić jakąś logiczną odpowiedź. Nie miała pojęcia, czy to, co mówi, jest prawdą czy nie, ale uważała, że brzmi przekonująco i odnosi zamierzony skutek. Cały problem w tym, że Nyda wciąż zadawała pytania, a Jennsen miała coraz większe trudności z odpowiadaniem na nie. Czowała się tak, jakby się zsuwała w ziejącą pod nimi przepaść, a każda próba wspinaczki kończyła się ześlizgnięciem jeszcze głębiej. Postarała się, by w jej głosie nie zabrzmiała ani jedna nutka rozpacz.

- Nie rozumiesz? Prorocy nie widzą wszystkiego, co dotyczy każdej osoby, jakby świat i wszystko, co się dzieje, było przedstawieniem odgrywanym według scenopisu, który prorok już przeczytał. Prorok dostrzega jedynie pewne rzeczy, które może nawet sam wybiera. Za to mógłby się starać wpływać na inne wydarzenia.

Nyda obejrzała się z pochmurną miną.

- Co masz na myśli?

Dziewczyna wyczuwała, że jej bezpieczeństwo zależy od nieustannej troski Mord-Sith o lorda Rahla.

- A to, że jeśli chce zaszkodzić lordowi Rahlowi, mógłby mi powiedzieć coś, przez co bym się zawahała, choćby nie widział takiego wydarzenia.

Mord-Sith zachmurzyła się jeszcze bardziej.

- Uważasz, że mógłby skłamać?

- Tak.

- Ale dlaczego czarodziej Rahl miałby chcieć zaszkodzić lordowi Rahlowi? Z jakiego powodu?

- Mówiłam ci, że jest niebezpieczny. To dlatego trzymali go w zamknięciu w Pałacu Proroków. Kto wie, jakie jeszcze rzeczy o nim wiedzieli, które przekonały ich, że należy go odizolować.

- To dalej nie tłumaczy, dlaczego czarodziej Rahl miałby chcieć zaszkodzić lordowi Rahlowi.

Jennsen miała wrażenie, że walczy na noże - i starała się uchronić przed ostrymi jak brzytwa ciosami tej kobiety.

- To nie tylko prorokowanie. Jest czarodziejem. Ma dar. Nie wiem, czy chce zaszkodzić lordowi Rahlowi, bo może i nie chce. Ja jednak nie chcę ryzykować życia lorda Rahla, żeby się o tym przekonać. Na tyle orientuję się w magii, by wiedzieć, że nie chcę mieć do czynienia z magicznymi sprawami, które mnie przerastają. Na pierwszym miejscu muszę stawiać życie lorda Rahla. Nie twierdzę, że Nathan Rahl chce zaszkodzić. Mówię jedynie, że mam chronić lorda Rahla i nie zamierzam ryzykować z magią, której nie umiałabym się przeciwstawić.

Mord-Sith pchnęła ramieniem i otworzyła drzwi u krańca pomostu.

- Nie mogę się z tym sprzeczać. Nie lubię mieć do czynienia z magią. Ale jeżeli lordowi Rahlowi grozi niebezpieczeństwo ze strony tego proroka i czarodzieja, to może lepiej zostać i zajmiemy się tym.

- Nie wiem, czy Nathan Rahl jest niebezpieczny, za to mam do załatwienia pewną sprawę, która niewątpliwie poważnie zagraża lordowi Rahlowi. Mam obowiązek się tym zająć.

Nyda próbowała otworzyć jakieś drzwi, ale były zamknięte. Poszła dalej obok korytarzem.

- Ale jeśli twoje podejrzenia co do Nathana Rahla są słuszne, to musimy...

- Mam nadzieję, Nydo, że będziesz dla mnie miała na oku tego czarodzieja. Bo sama nie mogę się tym zająć. Poobserwujesz go za mnie?

- Chcesz, żebym go zabiła?

- Nie. - Jennsen zdumiało, jak łatwo Mord-Sith była gotowa zrobić coś takiego. - Jasne, że nie. Proszę tylko, żebyś miała go na oku, i tyle.

Nyda próbowała otworzyć kolejne drzwi. Tym razem klamka ustąpiła. Zanim je otwarła, obróciła się ku idącym za nią. Patrzyła to na jedno, to na drugie, a Jennsen wcale nie podobał się wyraz jej oczu.

- To wszystko jest jakieś zwariowane. Zbyt wiele w tym nie ma sensu - stwierdziła Mord-Sith. - Zbyt wiele rzeczy do siebie nie pasuje. Nie lubię, kiedy coś jest bezsensowne.

To była niebezpieczna istota, która lada moment mogła się zwrócić przeciwko nim. Jennsen musiała znaleźć sposób, żeby zamknąć tę sprawę raz na zawsze. Przypomniała sobie, co powiedział kapitan Lerner, z jakim przekonaniem i łagodnie powtórzyła to Nydzie.

- Nowy lord Rahl zmienił wszystko, wszystkie zasady. Postawił świat na głowie.

Nyda w końcu głęboko odetchnęła. Uśmiechnęła się z zadumą.

- O, tak - powiedziała cicho. - To dziw nad dziwami. Dlatego oddałabym za niego życie, dlatego tak się martwię.

- Ja też. Muszę wykonać swoje zadanie.

Nyda się odwróciła i powiodła ich w dół spiralnymi, wykutymi w skale schodami. Jennsen wiedziała, że jej opowiadka nie jest całkiem przekonująca. Była zaskoczona, że podziiałała.

Długa wędrówka nie kończącymi się schodami i ciemnymi korytarzami, które od czasu do czasu krzyżowały się z przejściami pełnymi żołnierzy, prowadziła ich coraz niżej, do podstawy płaskowyzu pod Pałacem Ludu. Dłoń Sebastiana, prawie cały czas spoczywająca na plecach Jennsen, dodawała dziewczynie otuchy i sprawiała ulgę. Jennsen ledwo mogła uwierzyć, że zdołała go uwolnić. Wkrótce opuszczą pałac i bezpiecznie odjadą.

Wreszcie doszli do ogólnie dostępnej strefy. Mord-Sith sprowadziła ich na dół krótszą drogą, oszczędzając czas. Jennsen wolałaby zostać w ukrytych przejściach, ale owe skróty najwyraźniej się tu kończyły. Dalej musieli schodzić już pośród tłumów.

Wzdłuż trasy, którą ludzie szli do pałacu na górze, umieszczono małe stoiska z żywnością. Jennsen przypomniała sobie, że podczas pierwszej wizyty w pałacu mijala sprzedawców za kamienną balustradą, na wyższym poziomie. Aromaty - zwłaszcza po zakurzonych miejscach, przez które szli - stanowiły niemal nieodpartą pokusę.

Patrolujący w pobliżu żołnierze zauważyli ich, schodzących pod prąd. I oni, jak wszyscy żołnierze w pałacu, byli wysocy, muskularni, zwinni i czujni. Sprawiali groźne wrażenie w swoich skórach i kolczugach, z bronią wiszącą u pasa. Jak tylko zauważyli, że towarzyszy im Nyda, zaczęli obserwować innych.

Jennsen zobaczyła, że Sebastian naciąga kaptur, i zdała sobie sprawę, że dobrze byłoby schować włosy, więc poszła za jego przykładem. Wewnątrz płaskowyzu powietrze było mroźne i sporo ludzi miało na głowach kaptury lub czapki, zatem i oni nie wzbudzą podejrzeń.

Dotarli do końca długiego podestu na niższych poziomach płaskowyzu i już mieli zacząć schodzić kolejnymi schodami, kiedy Jennsen spojrzała w górę. U drugiego końca podestu właśnie schodził wysoki starszy mężczyzna z gęstymi, prostymi, sięgającymi ramion białymi włosami. Choć stary, nadal był uderzająco przystojny. Pomimo wieku ruchy miał energiczne.

Podniósł wzrok. Spojrzał Jennsen w oczy.

W lazurowych oczach tego mężczyzny znieruchomiał świat.

Dziewczyna zamarła. Było w nim coś znajomego, coś w tych oczach przykuło jej uwagę.

Sebastian przystanął dwa stopnie poniżej. Nyda była u jej boku. Mord-Sith spojrzała tam, gdzie patrzyła Jennsen.

Gniewne, jastrzębie oczy mężczyzny wpatrywały się w Jennsen, jakby poza nimi w całym pałacu nikogo nie było.

- Drogie duchy - wyszeptała Nyda. - To musi być Nathan Rahl.

- Skąd wiesz? - zapytał Sebastian.

Stała przy Jennsen, czujnie wpatrzona w owego mężczyznę.

- Bo ma oczy Rahla, Rahla Posepnego. Widywałam te oczy w wielu koszmarach.

Przeniosła spojrzenie na Jennsen. Zmarszczyła brwi. Jennsen uświadomiła sobie, gdzie widziała oczy tego człowieka - w lustrze.

ROZDZIAŁ 29

Jennsen zobaczyła, że oczy czarodzieja stojącego po drugiej stronie podestu otwierają się szeroko. Uniósł rękę, wskazując na nią poprzez tłum.

- Stój! - zawołał niskim, silnym głosem.

Słyszała go wyraźnie pomimo hałasu.

- Stój!

Nyda wpatrywała się w nią, jakby lada moment miała ją rozpoznać. Dziewczyna chwyciła ją za ramię.

- Musisz go zatrzymać, Nydo.

Mord-Sith oderwała od niej wzrok i obejrzała się na spieszącego ku nim mężczyznę. Po chwili znów popatrzyła na Jennsen.

A dziewczyna przypomniała sobie, jak Althea mówiła o niej, że ma coś z Rahlów i że mogą ją rozpoznać również inni, którzy znali Rahla Posępnego. Zacisnęła w pięści czerwony skórzany uniform.

- Zatrzymaj go! Nie słuchaj tego, co będzie mówił!

- Ale może on tylko...

Jennsen mocniej chwyciła uniform i potrząsnęła Mord-Sith.

- Nie słuchałaś, co wcześniej mówiłam? Może nie dopuścić, bym pomogła lordowi Rahlowi. Może cię spróbować oszukać. Zatrzymaj go. Błagam cię, Nydo, życie lorda Rahla jest w wielkim niebezpieczeństwie.

Powołanie się na lorda Rahla przeważało szalę.

- Idźcie - powiedziała Nyda. - Szybko.

Jennsen kiwnęła głową i pomknęła w dół schodów. Ledwo zdążyła rzucić za siebie okiem. Zobaczyła szybko kroczącego ku nim długonogiego proroka. Wyciągał ku niej rękę i wołał, żeby się zatrzymała. Biegła ku niemu Nyda z Agielem w dłoni.

Rozejrzała się za żołnierzami, potem znów zerknęła za siebie, starając się dostrzec, czy Nathan nadal ku nim idzie czy też Nyda go zatrzymała. Sebastian chwycił jej dłoń i zmusił do szaleńczego biegu po schodach. Nie miała już okazji ujrzeć swojego krewniaka czarodzieja.

Nie zdawała sobie sprawy, jak na nią podziiała widok kogoś, kto jest z nią spokrewniony. Nie spodziewała się, że dojrzy ów związek w jego oczach. Przedtem były tylko ona i mama. Widok tego człowieka, właściwie jednej

krwi, obudził w Jennsen osobliwe uczucia, coś w rodzaju melancholijnej tęsknoty.

Jednak gdyby ją schwytał, jej los byłby przesądzony.

Pędzili z Sebastianem w dół schodów, omijając ludzi idących w przeciwnym kierunku. Niektórzy burkliwie nakazywali im uważać, jak idą, inni wymyślali im za to, że biegną. Na każdym podejściu przemykali skrajem tłumu i zbiegali kolejnymi schodami.

Dotarli do poziomu, na którym byli rozstawieni żołnierze, i zwolnili. Jennsen ciaśniej ściągnęła kaptur, żeby lepiej ukryć włosy i częściowo twarz, bo bała się, że ludzie mogą w niej rozpoznać córkę Rahla Posepnego. Aż ją w dołku ścisnęła myśl, że teraz i tym musi się martwić.

Sebastian otaczał ramieniem jej talię i prowadził pod prąd ludzkiej rzeki. Chcąc uniknąć żołnierzy chodzących od strony balustrad, wybrał drogę w pobliżu ław, obok stoisk.

Podest był zatłoczony ludźmi kupującymi świecidełka i pamiątki z wizyty w Pałacu Ludu. Powietrze przesyciły płynące od niektórych stoisk aromaty potraw i przypraw. Pary siedziały na ławach, jedząc, pijąc, uśmiechając się i rozmawiając z ożywieniem. Były też cieniste miejsca między stoiskami i filarami, gdzie niektóre pary siedziały tuż przy sobie na krótkich ławach lub stały blisko siebie, tuliły się i całowały.

Kiedy Jennsen i Sebastian dotarli do skraju podestu i mieli już schodzić, zobaczyli podążający w górę liczny patrol. Sebastian zawahał się. Wiedziała, że myśli o tym, jak go poprzednio zatrzymano. Patrol był liczny, oni zaś nie zdołaliby go ominąć z daleka. Żołnierze wchodzili po schodach, bacznie się wszystkim przyglądając.

Jennsen wątpiła, by ponownie udało się wydostać Sebastiana z celi. A poza tym, skoro z nim była, i ją mogli zabrać na przesłuchanie. A jeśli ją zatrzymają, Nathan Rahl przypieczętuje jej los. Przeraziła się, że dosięgnie ją nieszczęście.

Wcale nie chciała się rozstawać z Sebastianem, więc chwyciła go za rękę i pociągnęła przez podest - obok par na ławach, stojących w ogonkach ludzi i obejmujących się w mroku - aż do jednego z pustych, ciemnych zakamarków. Zdyszana po biegu, wcisnęła się w ciasny kącik między tyłem kramiku a filarem. Ustawiała Sebastiana przed sobą, plecami do żołnierzy. Miał podniesiony kaptur, więc i tak ledwo go zobaczyła. Jeżeli w ogóle ich

zauważą, dostrzegą tylko tyle, że ona jest kobietą. Wydadzą się im parą zupełnie zwyczajnych ludzi. Jennsen objęła Sebastiana w pasie, żeby bardziej przypominali parę zwyczajnych ludzi, którzy pragną chwili samotności we dwoje.

W tej małej przystani było spokojniej. Pobliskie głosy tłumiły ich ciężkie oddechy. Większość ludzi nie mogła ich zobaczyć, a ci, którzy mogli, byli zajęci swoimi sprawami. Jennsen zawsze krępowało obserwowanie przytulonych par, więc sądziła, że innych też to żenowało. Uznała, że ma rację - nikt nie zwracał uwagi na obejmującą się młodą parę, która najwyraźniej chciała, żeby ją zostawiono w spokoju.

Dłonie Sebastiana spoczywały na jej kibici, dłonie Jennsen na jego plecach, więc dla mijających ich żołnierzy będą wyglądać jak tuląca się para. Dziewczyna była niewymownie wdzięczna dobrym duchom, że pomogły jej uwolnić przyjaciela.

- Nigdy się nie spodziewałem, że cię znów zobaczę - wyszeptał. Po raz pierwszy od uwolnienia był z nią sam, po raz pierwszy mógł powiedzieć, co chciał.

Jennsen odwróciła wzrok od przechodzących ludzi, spojrzała mu w oczy i przekonała się, że mówi poważnie i szczerze.

- Nie mogłam cię tu zostawić.

Pokręcił głową głową.

- Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś. Nie mogę uwierzyć, że ich przekonałaś, by cię wpuścili do pałacu. Robili, co chciałaś. Jak ci się to udało?

Była bliska płaczu z nadmiaru emocji, ze strachu, uniesienia, przerażenia, triumfu.

- Musiałam to zrobić, i tyle. Musiałam cię wydostać. - Upewniła się, że nikogo nie ma w pobliżu, i podjęła: - Nie mogłam znieść myśli, że tu jesteś i co by ci mogli zrobić. Poszłam po pomoc do Althei, czarodziejki...

- Czyli to w ten sposób ci się udało? Dzięki jej czarom?

Jennsen, patrząc mu w oczy, pokręciła głową.

- Nie. Althea nie mogła mi pomóc. To długa historia. Opowiedziała mi, że była w twoich ojczystych stronach, w Starym Świecie. - Uśmiechnęła się. - Jak już mówiłam, to długa opowieść na inne czasy. Jest tam mowa o filarach świata.

Zdziwił się.

- Naprawdę tam była?

- Co?

- Naprawdę widziała Filary Świata, kiedy była w Starym Świecie? - Przez chwilę przyglądał się widocznemu w oddali żołnierzowi. - Powiedziałaś, że to ma coś wspólnego z pomocą, jakiej ci udzieliła. Naprawdę widziała to miejsce?

- Co...? Nie... nie mogła mi pomóc. Powiedziała, że sama muszę sobie z tym poradzić. Ogromnie się o ciebie bałam. Nie wiedziałam, co robić. Potem przypomniałam sobie, co mi mówiłeś o zmyłkach. - Jennsen nachmurzyła się, zmrużyła oczy. - Czemu pytasz, czy widziała te...

Ale uciekły jej wszystkie słowa i uleciały myśli, bo spojrzał jej w oczy i obdarzył tym swoim cudownym uśmiechem.

- Jeszcze nigdy nie widziałem, by ktoś czegoś takiego dokonał.

Wspaniale było wiedzieć, że go zadziwiła, że sprawiła mu przyjemność.

Jego ramiona były takie silne, tak w nich było bezpiecznie. Tulił ją. Czuła na policzku ciepło jego oddechu.

- Sebastianie... tak się bałam. Tak się bałam, że już nigdy cię nie zobaczę. Tak się bałam o ciebie.

- Wiem.

- Też się bałeś?

Kiwnął głową.

- Mogłem myśleć tylko o tym, że już nigdy cię nie zobaczę.

Jego twarz była tak blisko, że czuła ciepło promieniujące ze skóry. Czuła wtulone w nią jego ciało - nogi i tors. Delikatnie musnął wargami jej usta. Serce Jennsen biło jak oszalałe.

Potem się cofnął, jakby nabrał wątpliwości. Była mu wdzięczna za uścisk, bo chyba nie utrzymałaby się na nogach, gdy już uświadomiła sobie, że omal jej nie pocałował. Jak zawrócił jej w głowie, odurzył taki skradziony w mroku pocałunek. Niemal pocałunek.

W pobliżu słyhać było kroki, lecz ludzie zdawali się odlegli o całe mile. Jennsen i Sebastian byli zupełnie sami. W jego ramionach czuła się bezbronna. Bezpieczna.

I wtedy mocniej ją przytulił, jakby owładnęło nim coś, nad czym już nie panował. Zobaczyła w jego oczach bezradną kapitulację.

Pocałował ją.

Jennsen tkwiła nieruchomo, zaskoczona, że on naprawdę to robi - całuje ją i tuli. Zupełnie jak zakochani, których widywała.

A potem i ona go obejmowała, odwzajemniając pocałunek.

Nie sądziła, że coś takiego przydarzy się jej w życiu. Marzyła o tym, oczywiście, ale wiedziała, że to tylko rojenia, coś dla innych ludzi. Nigdy nie sądziła, że coś takiego przydarzy się i jej, Jennsen Rahl.

A właśnie, o cudzie, się działo.

Tulił ją mocno i całował zapamiętale. Jęknęła cichutko. Była aż boleśnie świadoma, że obejmuje ramieniem jej talię, a drugim barki, że jej piersi przywierają do twardych mięśni jego torsu, że wargi Sebastiana są na jej ustach, że odpowiada jej jękiem pożądania.

I nieoczekiwanie wszystko się skończyło. Jakby odzyskał panowanie nad sobą i siłą oderwał się od niej. Jennsen z trudem chwyciła oddech. Tak wspaniale było w jego objęciach. Stali tuż przy sobie i patrzyli sobie w oczy.

To wszystko było takie zaskakujące, nieoczekiwane, nagłe. Dezorientujące. Właściwe.

Chciała zatonąć w następnym uścisku, następnym cudownym pocałunku, ale - kiedy on sprawdzał, kto jest w pobliżu - opanowała się, przypominając sobie, gdzie są i dlaczego znaleźli się w tym ciemnym kąciku.

Ściągał ich Nathan Rahl. Tylko Nyda go od nich odgradzała. Jeżeli powiedział jej, kim jest Jennsen, a ona mu uwierzyła, to lada moment ruszy za nimi cała armia.

Muszą się wydostać z pałacu.

Wątpliwości zniknęły, kiedy Sebastian odsunął się od niej.

Upewnił się, że nikt ich nie obserwuje.

- Chodźmy.

Wziął ją za rękę, wyciągnął z zacisznego ciemnego kącika.

Jennsen kręciło się w głowie, szarpały nią sprzeczne uczucia: od lęku i zawstydzienia po radosne uniesienie. Pocałował ją. Naprawdę. Jak mężczyzna kobietę. Ją, Jennsen Rahl, najzawzięciej ściganą kobietę w D'Harze.

Schodzili, a ona ledwo zauważała stopnie. Starła się wyglądać zwyczajnie, jak każdy, kto wychodzi z pałacu. Jednak wcale nie czuła się zwyczajnie. Miała wrażenie, że wszyscy, którzy na nią patrzą, wiedzą, że dopiero co ją całował.

Kiedy jakiś żołnierz nieoczekiwanie ruszył w ich stronę, ujęła oburącz dłoń Sebastiana, przytuliła głowę do jego ramienia i uśmiechnęła się do wojaka. Wystarczyło: minęli go, zanim przyszło mu na myśl popatrzeć na jej towarzysza.

- Dobry refleks - szepnął Sebastian, oddychając z ulgą.

Minęli żołnierza i znów przyspieszyli kroku. Tym razem wszystko się jej rozmazywało w oczach. Ale niech tam. Chciała tylko stąd wyjść. Opuścić miejsce, gdzie uwięziono Sebastiana, gdzie stale groziło im niebezpieczeństwo. Bardziej wyczerpywało ją nieustanne napięcie związane z pobytem w pałacu, niż udręczyły zagrożenia na moczarach.

Wreszcie schody się skończyły. Blask wlewający się przez olbrzymie wejście trochę oślepiał, ale ten wylot z trzewi płaskowyżu był upragnionym widokiem. Dłoń w dłoni, pobiegli ku światłu.

Kręciły się tu tłumy. Ludzie kupowali w kramach, przyglądali się przechodniom, gapili na ogrom pałacu, podążali ku schodom. Stojący po bokach żołnierze obserwowali wchodzących, więc Jennsen z Sebastianem przesunęli się ku środkowi. Poza tym strażników mało ciekawili wychodzący z pałacu, obserwowali raczej tych, którzy wchodzili.

Opuścili skalny masyw i znaleźli się w blasku chłodnego dnia. Plac targowy u stóp płaskowyżu był równie rojny jak przedtem. Prowizoryczne uliczki między namiotami i kramami kipiały tłumem; ludzie przyglądali się, czasem przystawali, żeby coś kupić. Inni szli ku wejściu do Pałacu Ludu w interesach, z nadzieją, z pieniędzmi, ze skromnymi towarami. Wśród odwiedzających kręcili się wędrowni handlarze, głośno zachwalając swoje cuda.

Jennsen powiedziała mu, że nie mają już koni i Betty, więc Sebastian poprowadził ją do pobliskiej zagrody pełnej najrozmaitszych wierzchowców. Człowiek pilnujący koni siedział na bramce stanowiącej część ogrodzenia z lin i rozcierał zmarznięte ręce. Wzdłuż prowizorycznego ogrodzenia ułożono siodła.

- Chcielibyśmy kupić konie - odezwał się Sebastian, podchodząc i sprawdzając stan zwierząt.

Mężczyzna podniósł na nich wzrok, mrużąc oczy w blasku słońca.

- Brawo.

- Sprzedajecie czy nie?

- Nie - odparł tamten, po czym odwrócił się, splunął i grzbietem dłoni otarł brodę. - Te konie są ludzi. Zapłacili mi, cobym pilnował, a nie sprzedawał. Sprzedam czyjzego konia i obedrą mnie ze skóry.

- Wiecie, kto sprzedaje konie?

- Żałuję, ale nie. Rozejrzyjta się.

Podziękowali mu i poszli prowizorycznymi uliczkami, wypatrując placyków, na których uwiązano konie. Jennsen nie miałyby nic przeciwko pieszej wędrowce - zwykle tak z mamą podróżowały - ale rozumiała, dlaczego Sebastian chce kupić konie. O włos uniknęli nieszczęścia i czarodziej Nathan Rahl starał się ich zatrzymać, więc jak najszybciej powinni się oddalić od Pałacu Ludu.

Przy drugiej zagrodzie dostali taką samą odpowiedź jak przy pierwszej. Dziewczyna była głodna i chętnie by coś zjadła, wiedziała jednak, że powinni jak najszybciej uciekać, a nie marnować czas na posiłek i potem umierać z pełnym brzuchem. Sebastian trzymał ją mocno za rękę i włókł między straganami, przecinając zatłoczone uliczki, ku koniom trzymanym w pełnej kurzu zagrodzie.

- Możesz sprzedać konie? - spytał Sebastian pilnującego zwierząt mężczyznę.

Ten, splatając ramiona, opierał się o słupek.

- Nie. Żaden nie jest na sprzedaż.

Sebastian kiwnął głową.

- Mimo to dziękuję.

Mężczyzna złapał go za pelerynę, nim zdążyli odejść. Nachylił się ku niemu.

- Odchodzicie stąd?

Sebastian wzruszył ramionami.

- Wracamy na południe. Sądziłem, że znajdziemy konie przy pałacu.

Tamten cofnął się trochę i rozejrzał.

- Przyjdź po zmroku. Będziecie tak długo? Może będę mógł pomóc.

Sebastian skinął głową.

- Mam parę spraw, które zajmą mi cały dzień. Wrócę, jak się ściemni.

Ujął Jennsen za ramię i poprowadził zatłoczoną uliczką. Musieli zejść z drogi dwóm siostrom pyszniącym się dopiero kupionymi naszyjnikami. Za dziewczynami szedł ojciec, dźwigając nabyte dobra, pochód zaś zamykała

matka prowadząca parę owiec i przyglądająca się swoim córkom. Jennsen poczuła ukłucie tęsknoty za Betty.

- Czyś ty oszalał? - szepnęła skonfundowana, iż powiedział owemu człowiekowi, że wrócą po zmroku. - Nie możemy tkwić tu cały dzień.

- Jasne, że nie możemy. Ten typ to rzezimieszek. Skoro pytałem, czy może sprzedać konie, to wie, że mam na to pieniądze, i chętnie by mnie od nich uwolnił. Jeżeli wrócimy po zmroku, w ciemności będą się pewnie czaić jego kamraci gotowi nas załatwić.

- To złodziej? Mówisz poważnie?

- Tu pełno złodziei. - Sebastian nachylił się ku niej z surową miną. - To D'Hara, kraina, gdzie chciwi i zepsuci żerują na słabszych, gdzie ludzie nie dbają o dobro współbraci, a już w ogóle nic ich nie obchodzi przyszłość ludzkości.

Rozumiała, o co mu chodziło. Podczas wędrówki do Pałacu Ludu Sebastian opowiedział jej o Bracie Narevie i jego naukach, jego nadziei na przyszłość, w której ludzie nie będą cierpieć, przyszłość wolną od głodu, chorób i okrucieństw, w której każdy będzie dbać o dobro bliźniego. Sebastian mówił, że zrealizuje to Bractwo Ładu, wspomagane przez Jaganga Sprawiedliwego i ludzi dobrej woli. Jennsen nie bardzo mogła sobie wyobrazić tak cudowny świat, świat znajdujący się daleko od lorda Rahla.

- No, ale jeśli ten człowiek to złodziej, to czemuś mu powiedział, że wrócisz?

- Bo gdybym tego nie zrobił, gdybym powiedział, że nie mogę czekać, mógłby dać znać swoim kompanom. My byśmy nie wiedzieli, jak wyglądają, ale by nas znali i na pewno znaleźliby miejsce na zasadzkę.

- Naprawdę tak myślisz?

- Jak już mówiłem, pełno tu złodziei. Pilnuj się, bo mogą ci odciąć sakiewkę od pasa, a ty się nawet nie zorientujesz.

Już miała wyznać, że ją to spotkało, kiedy usłyszała, jak ktoś wykrzykuje jej imię:

- Jennsen! Jennsen!

To był Tom. Wielki, tkwił jak góra wśród pagórków i przywoływał ją gestami, jakby się bał, że może go nie dostrzec. Sebastian pochylił się ku niej.

- Znasz go?

- Pomógł mi cię wyciągnąć.

Nie miała czasu na dokładniejsze wyjaśnienia. Uśmiechnęła się do machającego jej wielkoluda. Tom, rozradowany jak psiak, że ją zobaczył, rzucił się ku niej na środek uliczki.

Zobaczyła przy stole z winem jego braci. Tom uśmiechał się szeroko.

- Wiedziałem, że przyjdiesz, jak obiecywałaś. Joe i Clayton gadali, że mi chyba rozum odebrało, że w to wierzę, ale im powiedział, że dotrzymasz obietnicy i przyjdiesz przed odjazdem.

- Ja... dopiero co wyszłam z pałacu. - Poklepała pelerynę osłaniającą nóż. - Niestety, okropnie się spieszymy i musimy ruszać.

Tom ze zrozumieniem kiwnął głową. Pochwycił dłoń Sebastiana i potrząsał nią, jakby byli przyjaciółmi, którzy spotkali się po długim czasie.

- Jestem Tom. A ty to pewnie ten przyjaciel, któremu Jennsen pomagała.

- Właśnie. Jestem Sebastian.

Tom skinął głową ku Jennsen.

- Wspaniała jest, nieprawdaż?

- Nigdy nie spotkałem drugiej takiej - zapewnił go Sebastian.

- Nie można sobie wyobrazić lepszej kobiety u boku - oznajmił Tom. Znalazł się między nimi, otoczył ramionami ich barki, żeby się nie wymknęły, i poprowadził do swego straganu. - Mam coś dla was.

- To znaczy? - spytała Jennsen.

Nie mogli zwlekać. Musieli ruszyć w drogę, nim zjawi się szukający ich czarodziej albo wyśle za nimi żołnierzy. Ten Nathan Rahl już ją widział i może opisać gwardzistom. Wszyscy będą wiedzieć, jak oboje wyglądają.

- Och, coś - odparł zagadkowo Tom.

- Co masz? - Uśmiechnęła się do jasnowłosego wielkoluda.

Tom sięgnął do kieszeni i wyjął sakiewkę. Podał ją Jennsen.

- Po pierwsze, odzyskałem to dla ciebie.

- Moje pieniądze?

Uśmiechnął się szeroko, widząc zdumienie w jej oczach, kiedy dotknęła znajomej sfatygowanej skórzanej sakiewki.

- Ucieszy cię wieść, że choć zuch, który ją miał, nie chciał się z nią rozstać, mimo że nie była jego, to w końcu kilka gwiazd oświetliło mu drogę po rozum do głowy.

Tom trącił łokciem jej ramię, dając do zrozumienia, że sama może domyślić się reszty.

Sebastian patrzył, jak dziewczyna odchyła pelerynę i przywiązuje sakiewkę do pasa. Jego mina świadczyła, że łatwo się domyślił, co zaszło.

- Jak go odnalazłeś? - zapytała Jennsen.

Tom wzruszył ramionami.

- Teren wydaje się wielki tym, co są tu raz, ale jeśli często tu bywasz, znasz stałych bywalców i wiesz, czym się zajmują. Z twojego opisu rozpoznałem złodziejaszka. Przewinął się wtedy wczesnym rankiem, opowiadając swoją bajeczkę i próbując oskubać jakąś kobietę. Kiedy przechodził, zobaczyłem, jak pod osłoną pakunków wsuwa jej rękę pod chustę, no tom go złapał za kołnierz. Razem z braćmi długośmy z typem gadali, żeby oddał, co „znalazł”, a co nie było jego.

- Pełno tu złodziei - stwierdziła Jennsen.

Tom potrząsnął głową.

- Nie sądz według jednego człowieka. Nie zrozum mnie źle: są tu złodzieje. Ale większość jest dość uczciwa. Myślę, że gdziekolwiek by się poszło, zawsze będą tam złodzieje. Zawsze byli i zawsze będą. Najbardziej obawiam się człowieka, który wygłasza kazania o cnocie i lepszym życiu, a wykorzystuje dobre intencje ludzi, żeby ukryć przed nimi blask prawdy.

- Pewnie masz rację - odezwała się Jennsen.

- Może cnota i lepsze życie to cel usprawiedliwiający takie środki - wtrącił się Sebastian.

- Z tego, com w życiu widział, wynika, że kto głosi lepsze życie kosztem prawdy, ten chce zostać panem, a ciebie zamienić w niewolnika.

- Rozumiem, o co ci chodzi - ustąpił Sebastian. - Chyba na szczęście nie miałem do czynienia z takimi ludźmi.

- To się ciesz - odparł Tom.

Przy ich stoisku Jennsen uściśnęła dłonie Joemu i Claytonowi.

- Dziękuję za pomoc. Nie mogę uwierzyć, że odzyskaliście moją sakiewkę.

Uśmiechali się bardzo podobnie do Toma.

- Dobrześmy się zabawili - rzekł Joe.

- A poza tym - dodał Clayton - wdzięczni ci jesteśmy, żeś zajęła Toma i mogliśmy obejrzeć pałac. Czas był, żeby Tom dał nam wolne.

Tom położył dłoń na plecach Jennsen, skłaniając ją, żeby obesza stół i podeszła do wozu. Sebastian podążał za nimi między baryłkami wina a

stoiskiem sprzedawcy wyrobów ze skóry. Za wozem Jennsen ujrzała dwa wielkie konie Toma. A za nimi - inne.

- Nasze konie! - Aż rozdziawiła usta. - Przyprowadziłeś nam nasze konie?

- A pewnie - odparł Tom, promieniejąc z dumy. - Znalazłem rankiem Irmę, kiedy zjechała na plac z nowym ładunkiem kiełbas. Miała wasze konie. Powiedziałem jej, że obiecałaś do mnie dziś przyjść, zanim wyruszysz, więc rada wykorzystała okazję, żeby wam je oddać. Wszystkie wasze zapasy są przy nich.

- Jakie to szczęście - odezwał się Sebastian. - Nie wiem, jak ci dziękować. Musimy szybko ruszać w drogę.

- Domyślam się. - Tom wskazał pas Jennsen, gdzie peleryna okrywała nóż.

Jennsen rozejrzała się, coraz bardziej przerażona.

- A gdzie Betty?

- Betty? - nachmurzył się Tom.

Dziewczyna przełknęła ślinę.

- Moja koza, Betty. - Z trudem panowała nad głosem. - Gdzie Betty?

- Przykro mi, Jennsen. Nic nie wiem o kozie. Irma miała tylko konie. - Tom posmutniał. - Nie pomyślałem, żeby jeszcze o coś zapytać.

- Wiesz, gdzie Irma mieszka?

Chłopak zwiesił głowę.

- Żałuję, ale nie. Zjawiła się rankiem, powiedziała, że ma wasze konie i rzeczy. Sprzedała kiełbasę i jakiś czas czekała, a potem stwierdziła, że musi wracać do domu.

- Jak dawno? - Jennsen złapała go za rękaw.

- Nie wiem. - Wzruszył ramionami. - Parę godzin temu? - Obejrzał się przez ramię na braci: obaj przytaknęli.

Jennsen drżały usta. Bała się odezwać, bo nie była pewna, czy zdoła. Wiedziała, że nie mogą czekać. Że będą mieć szczęście, jeżeli ujdą z życiem, skoro czarodziej był tuż-tuż i starał się ją zatrzymać. Powrót nie wchodził w grę.

Potwierdziło to spojrzenie na twarz Sebastiana.

Łzy napłynęły jej do oczu.

- I... nie dowiedziałaś się, gdzie mieszka?

Tom spuścił wzrok i pokręcił głową.

- Nie spytałeś, czy ma jeszcze coś naszego?

Znów pokręcił głową.

Dziewczyna miała ochotę krzyknąć i tłuc go pięścią.

- A przyszło ci do głowy zapytać, czy tu wróci?

Raz jeszcze pokręcił głową.

- Ale obiecaliśmy jej zapłacić za pilnowanie koni - powiedziała Jennsen. - Powinna powiedzieć, kiedy wróci, żeby móc odebrać zapłatę.

Tom, nadal wpatrując się w swoje stopy, wyjaśnił:

- Powiedziała, że należą się jej pieniądze za pilnowanie koni. No to zapłaciłem jej.

Sebastian wyciągnął pieniądze, odliczył kilka srebrnych monet i podał je chłopakowi. Ten nie chciał ich przyjąć, lecz Sebastian nalegał i w końcu położył pieniądze na stole, żeby uregulować dług.

Jennsen tłumiała rozpacz. Betty przepadła.

Tom był przygnębiony.

- Tak mi przykro.

Mogła jedynie skinąć głową. Wytarła nos i przyglądała się, jak Joe i Clayton siodłają dla nich konie. Odgłosy z placu targowego docierały do niej przytłumione. Odrętwiała, prawie nie czuła zimna. Kiedy zobaczyła konie, pomyślała...

Teraz mogła myśleć jedynie o meczącej z rozpaczą Betty. Jeśli koza jeszcze żyła.

- Nie możemy zostać - odpowiedział Sebastian na jej błagalne spojrzenie.

- Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Musimy jechać.

Popatrzyła na Toma.

- Ale przecież opowiadałam ci o Betty. - W jej głosie zabrzmiała rozpacz. - Mówiłam, że Irma ma nasze konie i moją kozę, Betty. Mówiłam ci, na pewno mówiłam.

Tom nie potrafił spojrzeć jej w oczy.

- Mówiłaś, panienko. Przepraszam, zapomniałem spytać. Nie potrafię cię okłamać ani szukać wymówki. Powiedziłaś mi. Zapomniałem.

Jennsen kiwnęła głową, położyła mu dłoń na ramieniu.

- Dziękuję, że odzyskałeś nasze konie, za inną pomoc też. Bez ciebie by mi się nie udało.

- Musimy ruszać - odezwał się Sebastian, sprawdzając i poprawiając

klapy juków. - Sporo czasu zajmie wydostanie się stąd przez te tłumy.

- Wyprowadzimy was - odezwał się Joe.

- Ludzie schodzą z drogi naszym wielkim pociągowym koniom - wyjaśnił Clayton. - Chodźcie. Znamy najkrótszą trasę. Jedźcie za nami, przeprowadzimy was przez tłumy.

Podprowadzili konie tak, żeby mogli stanąć na antałku i dosiąść ich na oklep. Zręcznie wyprowadzili wielkie zwierzęta z wąskiego przejścia między kramami i baryłkami, niczego nie potraćwszy. Sebastian czekał na dziewczynę, trzymając wodze Rusty i Pete'a.

Jennsen zatrzymała się jeszcze, spojrzała Tomowi w oczy. Przez moment byli sami pośród tłumu. Stała na palcach, cmoknęła go w policzek i na chwilę przytuliła swój policzek do jego. Musnął palcami jej ramię. Cofnęła się, a on nie odrywał tęsknego wzroku od jej twarzy.

- Dziękuję, że mi pomogłeś - szepnęła. - Zginęłabym bez ciebie.

Wtedy Tom się uśmiechnął.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panienko.

- Jennsen - powiedziała.

Kiwnął głową.

- Jennsen. - Odkaszlnął. - Przykro mi, Jennsen...

Powstrzymała łzy i uciszyła go, dotykając palcami jego warg.

- Pomogłeś mi uratować życie Sebastianowi. Byłeś moim bohaterem, kiedy tego potrzebowałam. Dziękuję, z całego serca dziękuję.

Wepchnął ręce do kieszeni i znów wbił wzrok w ziemię.

- Bezpiecznej podróży, Jennsen, gdzie cię tylko życie poniesie. Dziękuję, żeś mi pozwoliła choć na chwilę się przyłączyć.

- Żelazo przeciwko żelazu - powiedziała, sama nie wiedząc dlaczego, lecz zabrzmiało to jak trzeba. - Pomogłeś mi w tym.

Tom się uśmiechnął, dumny i wdzięczny zarazem.

- Żeby on mógł być magią przeciwko magii. Dzięki, Jennsen.

Poklepała muskularny kark Rusty, wsunęła stopę w strzemień i uniosła się na siodło. Po raz ostatni obejrzała się na Toma. On zaś patrzył, jak Jennsen i Sebastian jadą za Joem i Claytonem w ludzkie morze. Obaj bracia krzykami i gwizdami usuwali ludzi na boki, torując przejście. Ludzie przystawali i patrzyli, słysząc coraz bliższy tumult, i usuwali się z drogi, widząc wielkie konie.

Sebastian, zagniewany, pochylił się ku Jennsen.

- Co ten wielki przygłup plótl o magii? - spytał szeptem.

- Pojęcia nie mam - odparła cicho i westchnęła. - Ale pomógł mi wydostać cię stamtąd.

Chciała mu powiedzieć, że Tom, choć wielki, wcale nie jest przygłupem. Ale tego nie zrobiła. Z jakiegoś powodu nie chciała rozmawiać o Tomie z Sebastianem. Co prawda Tom pomagał jej ratować przyjaciela, lecz wszystkie ich działania stały się dla niej z jakiejś przyczyny bardzo osobistą sprawą.

W końcu dotarli na skraj placu targowego. Joe i Clayton pomachali im na pożegnanie, Jennsen i Sebastian zaś puścili konie galopem i odjechali na zimne i puste równiny Azrith.

ROZDZIAŁ 30

Jennsen i Sebastian jechali przez równiny Azrith na północ i zachód, w pobliżu szlaku, którym tego ranka wracała z Tomem z moczarów otaczających domek Althei. Jednak wczorajsze odwiedziny u czarodziejki oraz niebezpieczna podróż przez moczary wydawały się teraz Jennsen odległe. Większość dnia poświęciła na dostanie się do pałacu, przekonywanie gwardzistów i urzędników, żeby ją przepuścili, wyciągnięcie Sebastiana z celi, wprowadzanie w błąd Mord-Sith, żeby im pomogła, oraz na ucieczkę przed deptającym im po piętach czarodziejem Rahlem. Sporo dnia już minęło, więc nie ujadą zbyt daleko przed nocą i będą musieli rozbić obóz na otwartej równinie. Tak się też stało.

- Te rzezimieszki są w pobliżu, więc lepiej, żebyśmy nie rozpalali ognia - odezwał się Sebastian, widząc, jak Jennsen dygoce. - Mogliby nas zauważyć ze sporej odległości, a my, oślepieni przez ognisko, nawet byśmy nie zauważyli, że się podkradają.

Na bezksiężycowym niebie lśniły gwiazdy. Jennsen myślała o słowach Althei, że można dostrzec ptaka w bezksiężycową noc, jeśli się zauważy, że w locie przesłania gwiazdy. Czarodziejka wyjaśniała, że właśnie tak może dostrzec osobę będącą dziurą w świecie. Jennsen nie widziała żadnego ptaka, jedynie gdzieś w oddali trzy kojoty patrolujące swoje terytorium. Na tym pustym, płaskim obszarze łatwo je było zauważyć w poświacie gwiazd, jak szły na łowy na małe nocne zwierzęta.

Jennsen odpięła zdrętwiałymi palcami śpiwór od siodła i rozłożyła go.

- A skąd, według ciebie, wzięlibyśmy drewno na ognisko?

Sebastian odwrócił się i zagapił na nią. Uśmiechnął się.

- W ogóle o tym nie pomyślałem. Coś mi się zdaje, że ogniska i tak by nie było, choćbyśmy je chcieli rozpalić.

Dziewczyna badawczo rozglądała się po pustej równinie. Zdjęła siodło z grzbietu Rusty i położyła je na ziemi, koło Sebastiana. Widziała dość dobrze, chociaż była tylko chłodna poświata gwiazd.

- Gdyby ktoś się zbliżał, zbaczylibyśmy go. Czy któreś z nas powinno czuwać w nocy?

- Nie. Nigdy nas nie znajdą na tym rozległym, płaskim terenie, jeżeli

zostaniemy w jednym miejscu i nie rozpalimy ognia. Lepiej się prześpijmy, żeby jutro dalej dotrzeć.

Uwiązali konie. Jennsen usiadła na siodle. Rozwinęła śpiwór i znalazła w środku dwa zawiniątka z białego płótna. Wiedziała, że ich tam nie włożyła. Rozwiązała supeł na jednym z zawiniątek i zobaczyła mięsny pasztecik. Przekonała się, że i Sebastian dokonał takiego samego odkrycia.

- Wygląda na to, że sam Stwórca o nas zadbał.

Jennsen, wpatrzona w leżący na jej podołku mięsny pasztecik, uśmiechnęła się.

- To robota Toma.

Sebastian nie spytał, skąd wie.

- Stwórca nam dopomógł za pośrednictwem Toma. Brat Narev naucza, że nawet jeśli uważamy, że ktoś nas wspomógł, to w istocie sam Stwórca działa za pośrednictwem takiej osoby. My, w Starym Świecie, wierzymy, że kiedy wspomagamy kogoś w potrzebie, wykonujemy dzieło Stwórcy. To dlatego dobro innych jest naszym świętym obowiązkiem.

Jennsen zmilczała z obawy, że jak się odezwie, to Sebastian uzna, iż ona krytykuje Brata Nareva, a może i samego Stwórcę. Nie mogła zaprzeczać słowom tak wielkiego człowieka jak Brat Narev. W przeciwieństwie do niego nigdy nie spełniała dobrych uczynków. Nigdy nie dała nikomu mięsnych pasztecików ani nie zrobiła niczego pomocnego. Zdawało się jej, że sprowadzała na ludzi tylko kłopoty i cierpienia: na mamę, Latheę, Altheę, Friedricha i kto wie, ilu innych. Jeżeli za jej pośrednictwem działała jakaś moc, to na pewno nie był to Stwórca.

Sebastian, może odczytując z jej miny część owych myśli, powiedział łagodnie:

- To dlatego ci pomagam. Wierzę, że Stwórca chciałby, bym tak postąpił. I wiem, że Brat Narev i imperator Jagang by to pochwalali. Bo o tę właśnie sprawę walczymy: żeby ludzie troszczyli się o innych i pomagali im dźwigać brzemię.

Uśmiechnęła się nie tylko z uznaniem, ale i na myśl o tak wzniosłych celach. Wzniosłych celach, które - choć nie całkiem rozumiała dlaczego - przypominały jej raczej pchnięcie nożem w plecy.

Podniosła wzrok znad mięsnego pasztecika.

- Więc to dlatego mi pomagasz - odezwała się z wymuszonym

uśmiechem. - Bo to twój obowiązek.

Sebastian wyglądał, jakby dostał w twarz.

- Nie. - Zbliżył się, uklęknął na jedno kolano. - Nie, ja... na początku tak, jasne... ale... to nie tylko obowiązek.

- Powiedziałeś to tak, jakbym była trędowata, a ty byś uważał, że musisz...

- Nie, to wcale nie tak. - Szukał słów, uśmiechając się promiennie, od czego Jennsen topniało serce. - Nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ty, Jennsen. Przysięgam, nigdy nie widziałem kobiety tak pięknej i bystrej. Przy tobie czuję się... nikim. Ale kiedy się do mnie uśmiechasz, mam wrażenie, że jestem kimś ważnym. Nigdy nie spotkałem kogoś, kto by budził we mnie takie uczucia. Na początku to był obowiązek, ale teraz, przysięgam...

Dziewczyna, wstrząśnięta, słuchała, jak mówi to wszystko. Słyszała w jego głosie czułą szczerość, żarliwe błaganie.

- Nie wiedziałam.

- Nie powinienem cię całować. Wiem, że to był błąd. Jestem żołnierzem armii walczącej z uciskiem. Poświęcam życie sprawie wspomagania ludzi, wszystkich ludzi. Nie mogę nic ofiarować takiej kobiecie jak ty.

Nie pojmowała, dlaczego on myśli, że powinien jej coś ofiarować. Uratował jej życie.

- No, to czemu mnie pocałowałeś?

Patrzył jej w oczy i wydawało się, że musi wyciągać słowa z jakiejś olbrzymiej, bolesnej głębi.

- Nie mogłem się powstrzymać. Przepraszam. Próbowałem się opanować. Wiem, że to było złe, ale staliśmy tak blisko siebie, patrzyłem w twoje piękne oczy, obejmowałaś mnie, a ja ciebie... niczego w życiu tak nie pragnąłem... nie mogłem się powstrzymać. Musiałem. Przepraszam.

Jennsen odwróciła wzrok. Patrzyła na mięsny pasztecik. Sebastian wziął się w garść, znów wyglądał jak zwykle; usiadł na swoim siodle.

- Nie czuj się winny - szepnęła, nie podnosząc oczu. - Ten pocałunek był mi miły.

Pochylił się ku niej.

- Naprawdę?

Potaknęła.

- Rada słyszę, że to nie był obowiązek.

To rozładowało napięcie i sprawiło, że się uśmiechnął.

- Żaden obowiązek nie był tak przyjemny.

Roześmiali się - nie przypominała sobie, żeby się kiedy śmiała. Wspaniale było się śmiać.

Jennsen pochłonęła jeden z pasztecików, rozkoszując się wonnymi przyprawami i pysznymi kawałkami mięsa. Wreszcie dobrze się poczuła. Miała nadzieję, że nie była zbyt surowa dla Toma za to, że zapomniał o Betty. Wyładowała na nim swój strach, gniew i rozczarowanie. Był porządnym człowiekiem. Pomógł jej, kiedy najbardziej tego potrzebowała.

Rozmyślała o Tomie, o tym, jak wspaniale się czuła, kiedy był w pobliżu. Sprawiał, że czuła się ważna, pewna siebie, natomiast przy Sebastianie często czuła się bezwartościowa i upokorzona. Tom miał ładny uśmiech - ale inny niż Sebastian. Uśmiech Toma był serdeczny, Sebastiana - nieodgadniony. Uśmiech Toma dawał jej poczucie bezpieczeństwa i siły. Uśmiech Sebastiana sprawiał, że czuła się słaba i bezbronna.

Zjadła pasztecik co do okruszka, a potem owinęła się peleryną i kocami. Dygotała i tak. Wspominała, jak Betty ogrzewała ją nocą. Znowu powróciło przygnębienie i nie pozwalało jej zasnąć, choć była wyczerpana wypadkami ostatnich dni.

Nie patrzyła z nadzieją w przyszłość, która mogła dla niej chować jedynie ponure perspektywy. Przewidywała wyłącznie nie kończący się pościg, aż do chwili, kiedy ludzie lorda Rahla w końcu ją dopadną. Bez mamy i Betty czuła się samotna i opuszczona. Uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia, dokąd mogłaby teraz pójść, widziała przed sobą tylko nieustanną ucieczkę. Liczyła na pomoc Althei, ale i to się okazało czczym marzeniem. W ukrytym zakamarku umysłu chowała nadzieję, iskierkę nadziei, że powrót do miejsca dzieciństwa, do Pałacu Ludu, przyniesie rozwiązanie kłopotów.

Trzęsa się nie tylko z zimna, ale i z powodu niewesołych widoków na przyszłość.

Sebastian przysunął się, odwrócił plecami i chronił ją przed wiatrem. Świadomość, że nie była dlań wyłącznie obowiązkiem, sprawiała Jennsen ulgę. Wspominała, co czuła, kiedy tulił się do niej całym ciałem. Kiedy ją całował. Wciąż słyszała słowa, które tak ją zaskoczyły: „Nigdy nie widziałem kobiety tak pięknej jak ty”. Nie była pewna, czy mu wierzy. A może bała się mu uwierzyć.

Tego dnia, kiedy pierwszy raz go zobaczyła, rzucił kilka pochlebnych

uwag, na przykład, że ludzie mogą gadać, iż ten martwy żołnierz zobaczył dumnie kroczącą piękną kobietę, potknął się, spadł i się zabił. No i to „prawo Sebastiana”, kiedy dawał jej ozdobny nóż zmarłego żołnierza, mówiąc, że piękno należy się pięknu. Nigdy nie ufała tak lekko płynącym słowom.

Znów wspomniała szczerłość, jaką teraz dostrzegła w jego oczach, jaki się tym razem zdawał niezdarny i jak trudno mu było wykrztusić te kilka słów. Nieszczerość przychodziła łatwo, ale sprawy serca trudno wyrazić słowami, bo za dużo było do stracenia.

Zdumiała się, usłyszawszy, że dzięki jej uśmiechowi czuje się ważny. Nie spodziewała się, że może czuć to samo co ona. Nie podejrzewała, jakie to wspaniałe uczucie, kiedy ktoś taki jak Sebastian - człowiek światowy i ważny - uważa, że jest piękna. Jennsen zawsze czuła się brzydka i pozbawiona wdzięku w porównaniu z mamą. Spodobało jej się, że ktoś ją uznał za piękną.

Dumała, jak by to było, gdyby się ku niej obrócił, znów ją objął i całował, tym razem bez świadków. Na samą myśl o tym serce Jennsen zaczęło szybciej bić.

- Przykro mi z powodu kozy - szepnął w otaczającej ich ciszy, nadal obrócony plecami.

- Wiem.

- Ale tylko by nas spowalniała, a czarodziej Rahl był tuż-tuż.

Chociaż Jennsen tak kochała Betty, wiedziała, że musi na pierwszym miejscu postawić co innego. Ale i tak wiele by dała, żeby usłyszeć charakterystyczne meczenie Betty albo zobaczyć szaleńczo wachlujący ogonek i podskakującą postać, kiedy się witały. W plecaku, służącym jej za poduszkę, czuła wybrzuszenia marchewek.

Wiedziała, że nie mogą zostać i szukać Betty, ale okropna była świadomość, że porzucają ją na zawsze. To jej złamało serce.

Obejrzała się przez ramię w ciemnościach.

- Zranili cię? Tak się bałam, że to zrobią.

- Ta Mord-Sith by to zrobiła. Zjawiałaś się w samą porę.

- Co czułeś, kiedy dotknęła cię Agielem?

Sebastian namyślał się chwilę.

- Jakby strzeliła we mnie błyskawica.

Jennsen znów położyła głowę na plecaku. Zastanawiała się, czemu moc

oreża Mord-Sith nie podziałała na nią. On też się pewnie nad tym zastanawiał, ale nawet jeśli tak, to o nic nie zapytał. I tak by mu zresztą nie potrafiła odpowiedzieć. Nyda też była zaskoczona i twierdziła, że jej Agiel działa na każdego.

Nyda się myliła.

A Jennsen z jakiegoś powodu ogromnie to trapiło.

ROZDZIAŁ 31

Jennsen - sztywna i obolała po spędzonej na ziemi zimnej nocy - obudziła się akurat wtedy, kiedy niebo zaczęło przybierać różowy odcień. Na zachodniej jego połaci dalej świeciły gwiazdy. Nie spała długo, chciałaby jeszcze pospać, ale nie mogli dłużej zwlekać. Byłoby źle, gdyby przyłapano ich na otwartej przestrzeni, widocznych z odległości wielu mil.

Przeciągnęła się. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła, była ciemna sylwetka płaskowyzu na leciutkim różu wschodniego nieba. Kiedy tak patrzyła, złociste promienie, wciąż jeszcze ukrytego za horyzontem słońca dotknęły Pałacu Ludu, obrysowując go świetlistie. Ogarnęła ją osobliwa tęsknota. To były jej ojczyste strony. Tak chciała znać swoje miejsce w świecie. Jednak ojczyste strony miały dla niej tylko grozę i śmierć.

Szybko pozbierali rzeczy i osiodłali konie, wystraszeni, że nadal są tak blisko pałacu i czarodzieja Rahla. Lodowate siodło nie było przyjemne. Jennsen położyła sobie na podolku koc, żeby bijące od Rusty ciepło ją ogrzewało. Poklepała i pogłaskała kark klaczy, tak z sympatii, jak i po to, żeby sobie rozgrzać palce. Ciepło bijące od Rusty uchroni od zamarznięcia drugi pasztecik, owinięty w śpiwór przytroczony z tyłu siodła.

Jechali co koń wyskoczy, czasami zwalnając do stępa, żeby dać zwierzętom odetchnąć. Wysilek jednak się opłacił i w późniejszych godzinach pojawiły się oznaki, że docierają do skraju równin Azrith. Zamierzali uciec w góry otaczające równiny od zachodu. Z tyłu nie widać było - jak dotąd - żadnej pogoni.

Późnym popołudniem dojechali do niskich wzgórz, parowów, terenów porośniętych cherlawą roślinnością i karłowatymi drzewami. Zupełnie jakby twardy grunt równin Azrith nie mógł już znieść własnej płaskości i z nudów się pofałdował, tworząc bardziej urozmaiconą rzeźbę.

Głodne konie szczypały krzaki i kępy suchej trawy, które mijały. Choć nosiły wędzidła, Jennsen nie miała serca odmówić im tej odrobiny pożywienia. Ona też była głodna. Paszteciki zapewniły obfite śniadanie, lecz już dawno nie zostało z nich ani okruszka.

Przed zmrokiem osiągnęli pogórze, prowadzące na bardziej nierówny teren i rozbili obóz po zawietrznej skalnego wybrzuszenia. U stóp skały

Jennsen znalazła miejsce, które powinno ich osłonić przed wiatrem i gdzie konie będą miały trochę trawy. Rozsiodłali je i zwierzęta natychmiast zaczęły łapczywie szczypać twarde źdźbła.

Jennsen wypakowała trochę rzeczy i zapasów, a Sebastian zrobił mały wypad i wrócił z kawałkami karłowatych drzewek, od dawna uschniętych i aż srebrzystoszarych. Toporem bojowym porąbał suche drewno i rozpałił małe ognisko w pobliżu skalnego pęknięcia, gdzie mniej rzucało się w oczy. Dziewczyna czekała, aż ogień porządnie się rozpali i zacznie grzać, Sebastian zaś delikatnie narzuci jej koc na ramiona. Siedzieli przy ognisku. Jennsen nadziewała soloną wieprzowinę na patyki, a te układała między głazami, żeby mięso usmażyło się nad ogniem.

- Trudno się było dostać do domu Althei? - zapytał w końcu.

Uświadomiła sobie, że zaabsorbowana tym wszystkim, co się działo, prawie nic mu nie powiedziała o wydarzeniach z czasu, kiedy był więźniem.

- Musiałam iść przez moczary, ale dałam radę.

Wcale nie miała ochoty uskarżać się na trudności, lęki, walkę z wężem, to, że niemal utonęła. To już była przeszłość. Uszła z życiem. A Sebastian przez cały ten czas siedział w więzieniu, mając świadomość, że lada chwila mogą go uśmiercić lub wziąć na męki. Althea już zawsze będzie uwięziona na moczarach. Innym było gorzej niż jej.

- Moczary to wspaniałe słowo. Musiało być przyjemniej niż w tym ohydny chłódzie. Przez całe życie niczego takiego nie widziałem.

- To tam, skąd pochodzisz, nie jest zimno? W Starym Świecie nie jest zimno?

- Nie. Zimą bywa chłodniej, ale nie tak jak tu, rzecz jasna, i czasem pada. Ale nigdy nie mamy tego okropnego śniegu i tych przeraźliwych mrozów Nowego Świata. Nie rozumiem, jak można tu mieszkać.

Zdumiała ją zima bez śniegu i mrozu. Z trudem mogła to sobie wyobrazić.

- A gdzieś indziej moglibyśmy żyć? Nie mamy wyboru.

- Chyba tak - przyznał z westchnieniem.

- Zima już się kończy. Ani się obejrzyysz, jak nadejdzie wiosna. Przekonasz się.

- Mam nadzieję. Wolałbym już raczej znaleźć się w miejscu, o którym wspomniałaś, w Kotle Opiekuna, niż na tym zlodowaciałym pustkowiu.

Jennsen zmarszczyła brwi.

- O miejscu, o którym wspomniałam? Nigdy nie mówiłam o miejscu zwanym Kotłem Opiekuna.

- Ależ mówiłaś. - Poprawił mieczem kłody, żeby płomień bardziej rozgorzał, iskry poleciały w ciemność. - W pałacu. Zanim się pocałowaliśmy.

Wyciągnęła ręce ku ognisku, grzała dłonie we wspaniałym cieple.

- Nie pamiętam.

- Powiedziałaś, że Althea tam była.

- Gdzie?

- Przy Filarach Świata.

Schowała dłonie pod pelerynę i wpatrzyła się w niego.

- Nie, niczego takiego nie powiedziałam. Ona mówiła o czymś innym, nie o miejscu, w którym była.

- To o czym gadała?

Dziewczyna zbyła pytanie niecierpliwym machnięciem ręki.

- Takie tam pogaduszki. Nic ważnego. - Odgarnęła z twarzy pukiel rudych włosów. - Filary Świata to jakieś miejsce?

Kiwnął głową, poprawiając mieczem rozżarzone do białości drewno.

- Jak już mówiłem, Kocioł Opiekuna.

Splotła ramiona, poirytowana.

- Co to znaczy?

Podniósł na nią wzrok, zaintrygowany jej tonem.

- No wiesz, gorące. Jak wtedy, kiedy się mówi: „Gorąco dziś jak w kotle Opiekuna”. Dlatego ludzie czasem nazywają to miejsce Kotłem Opiekuna, choć nosi nazwę Filary Świata.

- Byłeś tam?

- Żartujesz? Nawet nie znam nikogo, kto by tam był. Ludzie boją się tego miejsca. Niektórzy naprawdę myślą, że to tereny Opiekuna i że istnieje tam tylko śmierć.

- Gdzie to jest?

Wskazał mieczem.

- To niegościnne miejsce w Starym Świecie. Wiesz, jak to jest. Ludzie często są zabobonni co do odległych stron.

Jennsen wpatrywała się w płomień i starała się ułożyć sobie to w głowie. Coś w tym wszystkim było nie w porządku. Coś ją niepokoiło.

- Dlaczego nazwali to Filarami Świata?

Sebastian wzruszył ramionami i nachmurzył się, słysząc jej ton.

- Jak powiedziałem, to odludne, jałowe, gorące niczym kocioł Opiekuna tereny i dlatego niektórzy tak właśnie je nazywają, z powodu tego gorąca. Co zaś do rzeczywistej nazwy, to mówi się, że...

- Skąd to wszystko wiadomo, skoro nikt tam nie chodzi?

- Byli niegdyś ludzie, którzy poszli tam, a właściwie w pobliże, i potem opowiedzieli o tym innym. Wieści się roznoszą, wiedza się gromadzi. To trochę przypomina tutejsze równiny...

- Równiny Azrith?

- Tak, jest bezludne i jałowe jak równiny Azrith, ale o wiele rozleglejsze. I zawsze jest tam gorąco. Sucho i straszliwie gorąco. Jałowe peryferie przecina kilka szlaków handlowych. Szybko byś się tam usmażyła bez odzieży chroniącej przed prażącym słońcem i gorącym wichrem. Bez wystarczającej ilości wody długo byś nie pożyła.

- I te tereny zwą się Filarami Świata?

- Nie, to tylko ziemie, przez które musisz się najpierw przedostać. W pobliżu środka tych rozległych, pustych ziem jest podobno jakaś szeroka dolina, jeszcze gorętsza. Morderczo gorąca, niczym kocioł Opiekuna. To właśnie Filary Świata.

- Ale dlaczego nazywają to Filarami Świata?

Sebastian butem podsypał piach, żeby nie rozsypały się rozżarzone zwęglone kawałki odpadające z płonących szczap.

- Opowiadają, że w rozległej dolinie, otoczonej urwiskami, skalnymi ścianami i stokami, znajdują się niebotyczne kamienne filary. I od tych niebotycznych skalnych tworów wzięło nazwę to miejsce.

Jennsen odwróciła patyczki z soloną wieprzowiną.

- To by pasowało. Skalne filary.

- Widziałem w innych miejscach podobne słupy, z głazów ułożonych jak stopy monet na blacie stołu. Ale te są znacznie bardziej zadziwiające, jakby sam świat unosił się w hołdzie dla Stwórcy, więc niektórzy uważają, że to święte miejsce. Jednak jest tam straszliwie gorąco, więc jedni mają to miejsce za Kuźnię Stwórcy, a inni łączą je z Opiekunem i zwą Kotłem Opiekuna. Nawet pomijając żar, i tak każdy ma powody, żeby się bać tam iść. Dla wszystkich jest to miejsce walki pozaświatowych mocy, gdzie lepiej się

nie zapuszczać.

- Stwarzanie i mszczenie, życie i śmierć w jednym miejscu?

Spojrzał na nią, a blask płomieni odbił się w jego oczach.

- Tak ludzie gadają.

- Chcesz powiedzieć, że niektórzy myślą, że to miejsce, gdzie sama śmierć próbuje zniszczyć świat istot żywych?

- Śmierć zawsze podkrada się do życia. Brat Narev naucza, że to tkwiące w człowieku zło sprawia, że cień Opiekuna pogrąża świat w mroku. Jeśli ulegamy pokusom zła, dajemy złu władzę nad światem życia i w końcu Opiekun będzie mógł zburzyć Filary Świata, a wtedy i świat się skończy.

Te słowa zmroziły Jennsen aż do szpiku kości, jakby dotknęła ją dłoń śmierci. To bardzo w stylu czarodziejki bawić się podstępными słownymi gierkami. Mama ostrzegała ją, że czarodziejki nigdy nie mówią tego, co wiedzą, że często zatajają ważne rzeczy.

O co tak naprawdę chodziło Althei, kiedy mimochodem nazwała Jennsen jednym z „filarów świata”? Chociaż dziewczyna tego nie zrozumiała, to teraz stało się zupełnie jasne, że Althea kierowała się jakimś ukrytym motywem, wbijając tę nazwę w pamięć Jennsen.

- No, a co z tą Altheą? Czemu ci nie pomogła?

Głos Sebastiana wytrącił ją z zadumy. Obróciła patyczki z soloną wieprzowiną, bo się jeszcze nie dopiekła, zastanawiając się przy tym nad jakąś zwyczajną odpowiedzią.

- Powiedziała, że już raz mi pomogła, gdy byłam malutka. Rahl Posępny dowiedział się o tym i zrobił z niej kalekę. I jeszcze tak przekształcił jej dar, że nie może wykorzystywać magii. Nie mogłaby rzucić dla mnie uroku, choćby nie wiem jak chciała.

- Może, nawet o tym nie wiedząc, Rahl Posępny wypełniał wolę Stwórcy. Jennsen zmarszczyła ze zdumieniem brwi.

- Co masz na myśli?

- Imperialny Ład chce usunąć magię ze świata. Brat Narev twierdzi, że wypełniamy wolę Stwórcy, bo magia jest złem.

- A ty co o tym myślisz? Naprawdę uważasz, że dar Stwórcy mógłby być złem?

- Jak wykorzystuje się magię? - Patrzył na nią spod opuszczonych powiek z wyraźnym gniewem. - Żeby wspomagać ludzi? Pomagać dzieciom Stwórcy

w tym życiu? Nie. Wykorzystuje się ją w egoistycznych celach. Wystarczy spojrzeć na ród Rahlów. Od tysięcy lat wykorzystują dar, żeby władać D'Harą. I jakież to władztwo? Pomocne i korzystne dla ludzi? Czy też czasy męki i śmierci.

Ostatnie zdanie nie było pytaniem, lecz stwierdzeniem - i to takim, któremu Jennsen nie mogła zaprzeczyć.

- Może - dodał - Stwórca za pośrednictwem Rahla Posępnego oczyścił Altheę ze zmagi magii, litościwie ją od niej uwolnił.

Jennsen wsparła brodę o podciągnięte kolana, patrzyła na skwierczące mięso. Althea mówiła, że zostawiono jej jedynie dar prorokowania, i skarżyła się, jakie udręki przez to przeżywa. Matka nauczyła Jennsen rysować Grace i mówiła, że dar pochodzi od Stwórcy. We właściwych rękach Grace jest magiczny. I chociaż dziewczyna nie miała daru, ów magiczny symbol czasami ją chronił. Wiedziała, że ludzie potrafią czynić zło, lecz wcale nie podobała jej się myśl, że to dar jest zły. Sama nie potrafiła rzucać czarów, ale wiedziała, że to coś cudownego.

Spokojnie spróbowała zmienić temat.

- Mówiłeś, że imperator Jagang ma przy sobie czarodziejki, Siostry Światła, które może potrafiłyby mi pomóc. One posługują się magią. A skoro magia jest zła...

- Posługują się magią w naszej sprawie, żeby pewnego dnia można było usunąć magię ze świata.

- Jaki w tym sens? Skoro naprawdę myślicie, że magia jest złem, to jak możecie sprzymierzać się z czymś, co sami za zło uważacie?

Sebastian sprawdził, czy solona wieprzowina jest już gotowa, nabijając na nóż kawałek mięsa z patyka podsuniętego mu przez Jennsen. Potem kiwał nożem dla podkreślenia swoich słów.

- Ludzie zabijają innych ludzi nożami lub mieczami. Gdybyśmy chcieli usunąć tę broń, żeby skończyć z zabijaniem, samymi słowami byśmy tego nie osiągnęli. Musielibyśmy siłą odebrać noże i miecze, by dla dobra wszystkich skończyć z szaleństwem przemocy. Ludzie lgną do zła. Musieliśmy posłużyć się nożami i mieczami w walce o usunięcie tych narzędzi zła. Potem na świecie zapanowałby pokój. Ludzie uspokoiłoby się, gdyby ich pozbawić narzędzi mordy, a wtedy Opiekun wreszcie uszedłby z ich serc.

Jennsen odcięła kawałek skwierczącego mięsa, ostudziła je trochę chuchaniem.

- I w ten sposób wykorzystujecie magię?

- Właśnie. - Sebastian pogryzł mięso, pomrukiem pochwalił smak i połknął kęs. - Chcemy usunąć zło magii, ale w tym celu sami musimy posłużyć się magią, bo inaczej zło mogłoby zwyciężyć.

Dziewczyna gryzła soczystą wieprzowinę, mruczając z zachwytem. Wspaniale było jeść coś gorącego.

- A czy Brat Narev i imperator Jagang uważają, że miecze i noże też są złe?

- Pewnie, bo służą do okaleczania i zabijania. Nie mamy, rzecz jasna, na myśli takich narzędzi, jak noże do krojenia chleba, ale broń na pewno jest złem. Jednak ludzie w końcu uwolnią się od tej plagi, a wtedy zabójstwa i śmierć staną się przeszłością.

- Chcesz powiedzieć, że nawet żołnierze nie będą mieć broni?

- Nie. Żołnierze zawsze będą musieli być uzbrojeni, żeby móc bronić wolnych i spokojnych ludzi.

- Ale jak wtedy ludzie będą się bronić?

- Przed czym? Tylko żołnierze będą nosić śmiercionośną broń.

Jennsen z przyganą pokręciła głową.

- Gdybym nie miała noża, żołnierze z łatwością zamordowaliby mnie razem z mamą.

- Żli żołnierze. Nasi żołnierze walczą tylko w dobrej sprawie, w obronie i o bezpieczeństwo ludzi, a nie po to, żeby z nich robić niewolników. Kiedy pokonamy wojska D'Hary, zapanuje pokój.

- Ale nawet wtedy...

Nachylił się ku niej.

- Nie rozumiesz? Koniec końców, kiedy usunie się magię, broń już nie będzie potrzebna. To występne emocje stają się fatalne w skutkach, bo ludzie mają dostęp do broni, co prowadzi do przestępstw i morderstw.

- Żołnierze też mają emocje.

Zbył to machnięciem ręki.

- Nie wtedy, gdy są odpowiednio wyszkoleni i dowodzą nimi dobrzy oficerowie.

Jennsen spojrzała na migoczącą gwiazdami kopułę nieba. Taki świat

kusił. Jeżeli jednak było prawdą to, co głosił, to oni wykorzystywali magię do dobrych celów - więc sama w sobie nie była ani dobra, ani zła, moralna ocena zaś dotyczyła nie magii, lecz zamiaru osoby, która się nią posługiwała, jak ona nożem. Zamiast to powiedzieć, zadała kolejne pytanie:

- A jaki będzie świat bez magii?

Sebastian uśmiechnął się nostalgicznie.

- Wszyscy będą równi. Nikt nie będzie mieć nieuczciwej przewagi. - Dźgnął kolejny kawałek mięsa i zsunął go nożem z patyka. - Wszyscy będą wspólnie pracować, bo będziemy tacy sami. Nikt nie będzie się mógł posługiwać magią i zyskiwać w ten sposób przewagi nad pozostałymi. A na przykład ty będziesz wolna, bo lord Rahl nie będzie cię już ścigać magicznymi sposobami.

Althea mówiła, że Richard Rahl urodził się z darem nie spotykanym od tysięcy lat. W końcu dotarł tak blisko niej, jak Rahlowi Posepnemu się nigdy nie udało. Nasłał tych żołnierzy, którzy zamordowali mamę. Jednak Althea mówiła również, że dla mających dar Jennsen jest dziurą w świecie, że lord Rahl ścigał ją, ale bez pomocy magii.

- Nigdy nie będziesz wolna - dodał w końcu cicho Sebastian - dopóki nie usuniesz Richarda Rahla.

Popatrzyła na niego.

- Dlaczego ja? Walczycie z nim, więc dlaczego mówisz, że dopóki ja go nie usunę?

Jeszcze nie skończyła, a już zaczęła dostrzegać straszliwą odpowiedź.

- Cóż - powiedział, prostując się - chyba chciałem rzec, że nie będziesz wolna, dopóki nie wyeliminuje się lorda Rahla.

Odwrócił się i przyciągnął bukłak. Patrzyła, jak pociąga porządny łyk. Zmieniła temat.

- Kapitan Lerner mówił, że ten lord Rahl jest żonaty.

- Ze Spowiedniczką - potwierdził Sebastian. - Jeżeli Richard Rahl szukał żony, która dorównywałaby mu w złości, to ją znalazł.

- Czyli jednak coś o niej wiesz?

- Niewiele, tyle ile usłyszałem od imperatora. Jak chcesz, mogę ci opowiedzieć, co wiem.

Jennsen skinęła głową. Palcami ściągnęła z patyka kolejny kawałek solonej wieprzowiny i jadła, patrząc, jak blask ognia tańczy w oczach

opowiadającego Sebastiana.

- Bariera oddzielająca Stary Świat na południu od Nowego Świata na północy stała tysiące lat, dopóki lord Rahl jej nie zniszczył, żeby móc podbić mój lud. Wydaje mi się, że niedługo przed narodzinami twojej matki Nowy Świat został podzielony na trzy krainy. Daleko na zachodzie znajdował się Westland. D'Hara leży na wschodzie. Kiedy Richard Rahl zabił ojca i przejął władzę, zniszczył granice rozdzielające trzy krainy Nowego Świata. Pomiędzy Westlandem a D'Harą leżą Midlandy, siedlisko zła, gdzie, jak powiadają, rządzi magia i gdzie mieszkają Spowiedniczki. Midlandami kieruje sama Matka Spowiedniczka. Imperator Jagang powiedział mi, że chociaż jest młoda, może i w moim wieku, jest równie bystra jak groźna.

Te mrozące krew w żyłach słowa wprawiły Jennsen w niepewność.

- Wiesz, co to ta Spowiedniczka? Co to oznacza?

Sebastian, trzymając w dłoni bukłak, objął ręką podciągnięte kolano.

- Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że ma straszliwą moc. Jej dotknięcie wypala człowiekowi umysł i zmienia go w jej bezmyślnego niewolnika.

Dziewczyna słuchała w skupieniu, przerażona taką możliwością.

- I naprawdę robią, co im każe, tylko dlatego, że ich dotknęła?

Sebastian podał jej bukłak.

- Dotyka ich swoją złą magią. Imperator Jagang mówił mi, że ma tak wielką moc, że jeśli powie swojemu niewolnikowi, żeby natychmiast umarł, to on umiera.

- To znaczy... zabija się na jej oczach?

- Nie. Po prostu pada martwy, bo ona tak kazała. Serce mu się zatrzymuje, czy coś w tym rodzaju. Po prostu pada martwy.

Jennsen, wstrząśnięta, odłożyła bukłak. Opatuliła się kocem. Była wyczerpana, a także znużona tymi wszystkimi wieściami o lordzie Rahlu. Każda nowa wiadomość była gorsza od poprzedniej. Jej potworny przyrodni brat zabił ich ojca i bez zwłoki podjął rodzinny obowiązek ścigania jej.

Zjedli i zajrzeli do koni, a potem Jennsen zwinęła się w kłębek pod kocem i peleryną. Tak chciałyby zasnąć i przekonać się po obudzeniu, że to był tylko zły sen. A może wołałyby się nigdy nie obudzić i nie stawiać czoła przyszłości.

Rozpalili ognisko, więc Sebastian nie spał już plecami tuż przy niej. Brakowało jej tego. Zasnął, a ona patrzyła w płomienie, dręczona

niespokojnymi myślami.

Zastanawiała się, co powinna teraz zrobić. Mama nie żyła, więc nie miała prawdziwego domu. Dom był tam, gdzie były obie. Dumiała, czy mama - wraz z innymi dobrymi duchami - czuwa nad nią ze świata zmarłych. Miała nadzieję, że mama znalazła nareszcie spokój i szczęście.

Strasznie było jej żal Althei. Czarodziejka już nie zdołała jej pomóc. Jennsen wstydziła się, że wpędziła w kłopoty tych, którzy próbowali jej pomóc. Mama umarła przez to, że ją urodziła. Siostrę Althei, Latheę, zamordowali bezlitośni żołnierze tropiący Jennsen. Biedną Altheę na zawsze uwięziono na moczarach, bo starała się uchronić małą wtedy córkę Rahla Posępnego. Friedrich był więźniem w równym stopniu co Althea, okradzione go z wielu radości życia.

Jennsen pamiętała dreszcz wzbudzony pocałunkiem Sebastiana. Althei i Friedrichowi odebrano możliwość przeżywania namiętnej miłości. To tak, jak ów pocałunek dla Jennsen - rozbudzenie, przebłysk możliwości, a potem już nigdy nic. Była na swoich moczarach, w więzieniu stworzonym przez lorda Rahla, uwikłana w nieustanną ucieczkę przed zabójcami.

Pomyślała o słowach Sebastiana - że nigdy nie będzie wolna, dopóki nie wyeliminuje Richarda Rahla.

Przyglądała się śpiącemu Sebastianowi. Nieoczekiwanie wszedł w jej życie. Ocalił jej życie. Nigdy by nie pomyślała - kiedy go pierwszy raz zobaczyła, kiedy po raz pierwszy spojrzała mu w oczy przez ognisko, po tym jak narysowała Grace w wejściu do pieczary - że pewnego dnia ją pocałuje.

Blask ognia nadawał jego sterczącym białym włosom delikatny złocisty odcień. Z przyjemnością patrzyła na jego twarz.

Cóż więcej ich czekało? Nie znała odpowiedzi na to pytanie. Nie wiedziała, co oznaczał ten pocałunek i dokąd by ich zaprowadził - jeśli w ogóle dokądkolwiek. Nie była pewna, czy tego chce. Nie była pewna, czy on tego chce. Obawiała się, że nie chciał.

ROZDZIAŁ 32

Wkrótce skończyły się bardziej otwarte obszary w pobliżu równin i zaczęli mozolną podróż przez coraz głębszy śnieg i nierówne tereny, z każdą chwilą zapuszczając się wyżej w góry. Sebastian zgodził się zabrać ją tam, gdzie chciała - do Starego Świata. Miała nadzieję, że tam po raz pierwszy w życiu będzie bezpieczna i wolna. Bez Sebastiana takie marzenie nie byłoby w ogóle możliwe.

Wyjaśnił jej, że poszarpany łańcuch gór, w które właśnie wchodzili, z jego rozległymi lasami, biegł zachodnim skrajem D'Hary, że mało kto się tu zapuszczał i że dotrą tędy do Starego Świata. Znaleźli się wreszcie pod osłoną olbrzymich szczytów i zaczęli się kierować bardziej na południe, podążając z biegiem gór ku odległej wolności.

Pogoda w górach była okropna. Przez kilka dni musieli iść, bo inaczej konie by padły. Zwierzęta były głodne, gruba pokrywa śniegu utrudniała im dogrzebanie się do jakiegokolwiek roślinności. Ich gęsta zimowa sierść zaczęła linieć. No, ale konie przynajmniej były wciąż zdrowe, choć osłabione. To samo można by rzec o Jenssen i Sebastianie.

Pewnego późnego popołudnia, kiedy ciężkie chmury zakrywające niebo groźnie pociemniały i zaczął padać niewielki śnieg, natrafili na szczęście na małą osadę. Spędzili w niej noc, zostawiwszy konie w niewielkiej stajni, gdzie dostały owsa i czystą ściółkę. W miasteczku nie było gospody. Sebastian i Jenssen zapłacili kilka miedziaków za nocleg na stryszku na sianie. Po tak długim pobycie pod otwartym niebem, Jenssen miała wrażenie, że jest w pałacu.

Ranek przyniósł burzę z wichrem i śniegiem. Co gorsza, śnieg przechodził od czasu do czasu w śnieg z deszczem. Podróż w takich warunkach byłaby nie tylko nieprzyjemna, ale i niebezpieczna. Jenssen była zadowolona z przymusowego postoju, zwłaszcza ze względu na konie, bo zostały w stajni jeszcze cały dzień i noc. Zwierzęta jadły i wypoczywały, Sebastian i Jenssen zaś opowiadali sobie wesołe historyjki z dzieciństwa. Radował ją blask w jego oczach, kiedy opowiadał o swoich chłopięcych wpadkach przy łowieniu ryb. Następnego dnia wstał pogodny, ale wietrzny. Nie ośmielili się jednak dłużej zwlekać.

Jechali drogami lub szlakami, bo osad było mało i leżały w sporych odległościach od siebie. Sebastian był jak zwykle ostrożny, lecz przekonany, że są dość bezpieczni. Jennsen, z dodającym jej otuchy nożem u pasa, również uważała, że lepiej ryzykować jazdę drogami czy szlakami, niż podróżować na przełaj przez leżące na uboczu, nieznaną ziemię pokrytą grubą warstwą śniegu. Podróż na przełaj zawsze była trudna, czasami niebezpieczna, a ze względu na otaczające ich zewsząd olbrzymie góry - często niemożliwa. Zima jeszcze bardziej utrudniała taką wyprawę, a co gorsza, pod śniegiem czyhały różne zagrożenia. Bali się, że koń mógłby złamać nogę, gdyby niepotrzebnie zaryzykowali.

Tej nocy, kiedy Jennsen zaczęła budować dla nich schronienie, splątując luźno tuzin młodych drzewek i okrywając je balsamicznymi gałęziami, Sebastian wrócił chwiejnym krokiem, zdyszany z wysiłku. Dłonie miał okrwawione.

- Żołnierz - wyjaśnił, z trudem łapiąc oddech.

Jennsen wiedziała, jakich żołnierzy miał na myśli.

- Ale jak zdołali iść za nami? Jak im się to udało? - rzuciła gniewnie, natarczywie.

Sebastian odwrócił oczy.

- Ścigają nas mający dar ludzie lorda Rahla. - Głęboko zaczerpnął powietrza. - Czarodziej Nathan Rahl widział cię w pałacu.

To nie miało sensu. Dla mających dar była dziurą w świecie. Jak ktoś z darem mógłby śledzić dziurę w świecie?

Zauważył jej powątpiewanie.

- Nie tak trudno tropić na śniegu.

Śnieg. Racja. Zrezygnowana, skinęła głową, gniew zmienił się w strach.

- Jeden z bojówki?

- Nie jestem pewny. To był d'harański żołnierz. Znienacka skoczył na mnie. Musiałem walczyć o życie. Zabiłem go, ale musimy szybko stąd zniknąć, na wypadek gdyby inni byli w pobliżu.

Była zbyt przerażona, żeby się sprzeczać. Musieli jechać. Myśl o wypadających na nich z ciemności żołnierzach sprawiła, że Jennsen jeszcze szybciej uwijała się przy siodłaniu koni. Błyskawicznie byli w siodle i jechali co koń wyskoczy, dopóki się całkiem nie ściemniło. Wtedy zsiadli i szli, żeby zwierzęta odpoczęły. Sebastian był przekonany, że sporo oddalili się od

ewentualnego pościgu. Śnieg trochę rozjaśniał mrok, więc - chociaż czasami chmury przesłaniały sierp księżycy - mogli podążać drogą.

Następnej nocy byli tak wyczerpani, że musieli się zatrzymać, choćby nawet mieli ich złapać. Spali, siedząc, oparci plecami o zwalony pień, przy małym ognisku.

Przez następne dni powoli, lecz nieustannie posuwali się naprzód i nie dostrzegli żadnego pościgu. Dodało to Jennsen trochę otuchy. Wiedziała, że tamci nie ustąpią.

Ciąg słonecznych dni pozwolił im przyspieszyć i przebyć większą odległość. Ale jej to nie cieszyło, bo zostawiali wyraźne ślady i ścigający ich żołnierze też mogli zwiększyć tempo. Ilekroć natrafiali na uczęszczaną drogę, jechali nią, żeby zostawić w tyle i zmylić każdego, kto by ich ścigał.

Potem jednak wróciły burze. Przez pięć dni parli naprzód pomimo zamieci. Nie mogli się zatrzymać, póki widzieli dróżki i wąskie drogi, póki mogli brnąć, bo wichry i śnieg niemal natychmiast zacierały ich ślady. Jennsen wystarczająco dużo czasu spędziła pod gołym niebem, by wiedzieć, że w takich warunkach podążanie ich śladem będzie niemożliwe. Po raz pierwszy mieli szansę wysunąć głowy z pętli.

Drogi i szlaki wybierali na chybił trafił. Jennsen z radością witała każde skrzyżowanie lub rozwidlenie, bo zwiększały szansę, że ich prześladowcy źle wybiorą. Kilka razy pojechali na przelaj, a nawiewany śnieg nie pozwalał się zorientować, gdzie się skierowali. Dziewczyna, chociaż zmęczona, zaczynała lżej oddychać.

Podróż w takich warunkach wyczerpywała. Zdawało się, że paskudna pogoda nigdy się nie poprawi - lecz się poprawiła. Późnym popołudniem, kiedy wichry wreszcie ucichły i wróciła zimowa cisza, natrafili na kobietę brnącą jedną z dróg. Kiedy się ku niej zbliżali, Jennsen zauważyła, że ta dźwiga coś ciężkiego. Pogoda zaczęła się zmieniać, ale w powietrzu wciąż jeszcze unosiły się płatki śniegu. Przez pomarańczową szparę w chmurach wpadał słoneczny blask, opromieniając szarość dnia.

Kobieta usłyszała, że nadjeżdżają, i odsunęła się na bok. Uniosła rękę, kiedy do niej dotarli.

- Pomóżcie mi, proszę.

Jennsen zdawało się, że kobieta niesie zawinięte w koce małe dziecko. Mina Sebastiana wzbudziła w niej obawę, że chce minąć idącą, nie

zatrzymując się. Powiedziałby, że nie mogli się zatrzymać, skoro zabójcy - a może i sam czarodziej Rahl - depczą im po piętach. Jennsen tymczasem była przekonana, że - przynajmniej na razie - udało się im wymknąć prześladowcom. Kiedy Sebastian spojrział na nią z ukosa, odezwała się cicho, zanim zdążył coś powiedzieć:

- Wygląda na to, że Stwórca zadbał o tę kobietę w potrzebie, zsyłając jej nas.

Nie wiedziała, czy te słowa przekonały Sebastiana, czy też wolał nie podawać w wątpliwość intencji Stwórcy, ale zatrzymał konia. Zsiadł i ujął wodze obu wierzchowców, a wtedy Jennsen zsunęła się z Rusty. Przez głęboki do kolan śnieg pobrnęła ku kobiecie.

Niewiasta wysunęła ku niej zawiniątko, najwyraźniej mając nadzieję, że to wszystko wyjaśni. Wyglądało na to, że była gotowa przyjąć pomoc nawet od samego Opiekuna. Jennsen odwinęła rąbek wyblakłego wełnianego koca i zobaczyła trzy, może czteroletniego chłopczyka z pokrytą plamami czerwoną buzią. Był nieruchomy. Oczy miał zamknięte. Płonął z gorączki.

Wzięła malca z ramion matki. Kobieta, prawie w jej wieku, była wyczerpana. Trzymała się blisko, twarz miała ściągniętą z troski.

- Nie wiem, co mu się stało - powiedziała bliska płaczu. - Po prostu się rozchorował.

- Czemuś wyszła w taką pogodę? - zapytał Sebastian.

- Mąż dwa dni temu poszedł polować. Nie będzie go jeszcze parę dni. Nie mogłam tak czekać bez pomocy.

- Ale co tutaj robisz? - odezwała się Jennsen. - Gdzie idziesz?

- Do Raug'Moss.

- Gdzie??? - szepnął Sebastian do Jennsen.

- Do uzdrowicieli - szepnęła.

Kobieta gładziła palcami policzek chłopczyka. Nie odrywała oczu od jego buzi, ale wreszcie spojrzała na nich.

- Pomożecie mi go tam zawieźć? Boję się, że mu gorzej.

- Nie wiem, czy my...

- Jak daleko są? - przerwała mu Jennsen.

- Niedaleko. - Kobieta wskazała kierunek. - Tamtędy, drogą, którą jedziecie.

- Jak daleko? - spytał Sebastian.

Niewiasta po raz pierwszy się rozplakała.

- Nie wiem. Miałam nadzieję, że zdążę przed wieczorem, ale już wkrótce będzie ciemno. Boję się, że to dalej, niż dam radę iść. Pomóżecie mi? Błagam.

Jennsen kołysała w ramionach śpiące dziecko. Uśmiechnęła się do kobiety.

- Jasne, że ci pomożemy.

Tamta złapała ją za ramię.

- Przepraszam, że sprawiam kłopot.

- Ciiiicho. Jazda konno to nie kłopot.

- Nie możemy cię tu zostawić z chorym dzieckiem - przyznał Sebastian. - Zabierzemy cię do uzdrowicieli.

- Daj mi dosiąść konia, a potem podaj synka - powiedziała dziewczyna, oddając jej dziecko.

Kiedy tylko znalazła się w siodle, wyciągnęła po nie ręce. Kobieta wahała się, bojąc rozstawać się z malcem, ale potem prędko go podała. Jennsen ułożyła chłopczyka przed sobą i upewniła się, że nie spadnie, Sebastian zaś pomógł kobiecie usiąść za sobą. Ruszyli. Niewiasta mocno obejmowała Sebastiana w pasie, lecz nie odrywała oczu od Jennsen i synka.

Dziewczyna jechała przodem, żeby kobieta cały czas widziała obcą, która teraz trzymała jej dziecko, jej nadzieję. Popędzała Rusty przez głęboki śnieg, bojąc się, że malec wcale nie śpi, lecz jest nieprzytomny z gorączki.

Mknęli drogą w gasnącym świetle, wzbijając kłęby śniegu. Troska o dziecko, chęć jak najszybszego znalezienia pomocy sprawiały, że trasa zdawała się nie mieć końca. Za każdym wzniesieniem był tylko las, za każdym zakrętem - dalsza bezludna gęstwina. Jennsen martwiła się i tym, że po tak trudnej jeździe przez głęboki śnieg trzeba będzie dać koniom odpocząć, bo inaczej padną. Wcześniej czy później, mimo zapadającego zmroku, będą musieli zwolnić, żeby zwierzęta odpoczęły. Obejrzała się przez ramię, kiedy Sebastian zagwizdał.

- Tędy! - zawołała kobieta, wskazując na skrót ku węższemu szlakowi.

Jennsen skierowała Rusty w prawo, na ów szlak. Wznosił się zakosami po stromym stoku. Drzewa były olbrzymie, pnie miały obwód równy szerokości jej konia. Gałęzie zaczynały się wysoko w górze, zasłaniając ołowiane niebo, śnieg leżał gładką pokrywą, nieco wgłębioną wzdłuż szlaku -

gładka linia wiała się przez las, wśród głazów i oblepionych śniegiem krzaków, pod wybrzuszeniami skał i wzdłuż skalnych występów. Trudno było z niej zbroczyć.

Jennsen przyjrzała się malcowi, ale żadnych zmian nie zauważyła. Wypatrywała w lesie jakichś śladów ludzkiej obecności, ale ich nie dostrzegła. Po pobycie w pałacu, na moczarach Althei i na równinach Azrith las uspokajał, podnosił na duchu. Sebastian niespecjalnie lubił lasy. Śniegu też nie lubił. Ale głęboka śnieżna cisza lasu była dla Jennsen kojąca.

Woń dymu powiedziała jej, że są już blisko. Spojrzenie przez ramię na twarz matki tylko to potwierdziło. Po drugiej stronie skalnego grzbieta ukazały się małe drewniane chaty stojące na łagodnym zalesionym stoku. Za nimi, na polance, była niewielka stajnia z ogrodzonym padokiem. Przy ogrodzeniu stał koń. Nastawił uszu i patrzył, jak się zbliżają. Uniósł łeb, potrząsnął nim i zarżał. Rusty i Pete odpowiedziały na to powitanie.

Rusty brnęła przez zasy py ku małej chacie w górnym rzędzie - tylko z jej komina unosił się dym - a Jennsen gwizdnęła na palcach.

Drzwi się otworzyły, kiedy dotarła do domku. Na ich powitanie wyszedł mężczyzna w lnianej pelerynie. Nie był stary. Akurat jak trzeba. Osłonił się przed zimnem obszernym kapturem, nim zdążyła dobrze przyjrzeć się jego twarzy.

- Mam chorego malca - odezwała się Jennsen, kiedy ujął wodze Rusty. - Jesteś jednym z uzdrowicieli znanych jako Raug'Moss?

Mężczyzna potaknął.

- Wnieś go do środka.

Matka już zsunęła się z konia Sebastiana i stała przy Jennsen, gotowa wziąć synka w ramiona.

- Dzięki niech będą Stwórcy, żeś tu dzisiaj jest.

Uzdrowiciel położył pokrzepiająco dłoń na plecach kobiety, ponagłając ją, by weszła do chaty. Skinął głową ku Sebastianowi.

- Możesz zostawić wasze konie przy moim i przyjść tutaj.

Sebastian podziękował i zabrał zwierzęta, Jennsen zaś ruszyła ku drzwiom za uzdrowicielem i kobietą. W gasnącym świetle nie mogła się dobrze przyjrzeć twarzy mężczyzny.

Wiedziała, że zbyt wiele oczekuje, ale przynajmniej ten człowiek był jednym Raug'Moss i mógłby odpowiedzieć na jej pytanie.

ROZDZIAŁ 33

Duży kominek z okrągławych kamieni zajmował większą część prawej ściany głównej izby. Po bokach drzwi prowadzących do dwóch tylnych izb wisiały zasłony z grubego płótna. Na z grubsza ociosanym gzymsie kominka i na drewnianym stole stały lampy; żadna się nie paliła. W kominku płonęły dębowe kłody, przesycając powietrze miłym, choć mającym nutkę dymu aromatem i cichym potrzaskiwaniem ognia. Żelazny, czarny od sadzy wysięgnik podtrzymywał obok ognia kociołek przykryty pokrywką. Po tak długim pobycie pod gołym niebem Jennsen miała wrażenie, że jest tu prawie za gorąco.

Uzdrowiciel położył chłopczyka na jednej z prycz stojących pod ścianą naprzeciw kominka. Matka przykłęka na kolano i patrzyła, jak rozwija koc. Jennsen zostawiła ich przy dziecku, a sama mimochodem sprawdziła miejsce, upewniając się, że nic niespodziewanego się tu nie czai. Z komina żadnej innej chaty nie unosił się dym, nie zauważyła też jakichkolwiek śladów na świeżym śniegu, ale to wcale nie znaczyło, że w tamtych chatach nikogo nie ma.

Przeszła przez izbę, obok stojącego pośrodku stołu, żeby ogrzać ręce przy kominku. Dzięki temu miała okazję rzucić okiem do dwóch tylnych izdebek. Obie były malutkie, z pryczami i zawieszonymi na kołkach kilkoma sztukami odzieży. Nikogo innego tu nie było. Pomiędzy drzwiami stały zwykłe sosnowe szafki.

Jennsen grzała ręce przy ogniu, mama chłopczyka cicho mu śpiewała, uzdrowiciel zaś pospiesznie podszedł do szafki i wyjął z niej kilka glinianych słoï.

- Mogłabyś zapalić lampę? - spytał, ustawiając je na stole.

Dziewczyna odłamała długą drzazgę od jednej ze złożonych z boku kłód i podpaliła ją. Zapaliła lampę, nałożyła wysoki szklany klosz. Tymczasem uzdrowiciel wziął z kilku słoï po szczypcie drobnego proszku i wrzucił do białego kubka.

- Jak malec? - zapytała szeptem.

Popatrzył na dziecko z matką.

- Nie za dobrze.

- Jak mogę pomóc? - spytała Jennsen, kiedy już poprawiła knot.

Odkręcił wieczko słoja.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to przynieś ze środkowej szafki móżdziej i tłuczek.

Jennsen przyniosła ciężki szary kamienny móżdziej i tłuczek, położyła je obok lampy. Uzdrowiciel dodawał do kubka proszek musztardowej barwy. Był tak skupiony na swojej pracy, że nawet nie zdjął peleryny, ale kiedy zsunął z głowy kaptur, dziewczyna mogła się wreszcie przyjrzeć jego twarzy.

Twarz nie przykuła jej uwagi, jak przedtem nieoczekiwanie oblicze czarodzieja Rahla. W jego okrągłych oczach, prostych brwiach i całkiem ładnym wykroju ust nie zauważyła niczego znajomego. Wskazał flaszeczkę z falistego zielonego szkła.

- Mogłabyś mi utrzyć trochę tego?

Z wysokiej półki w rogu izby zdjął brązowy gliniany garnuszek, a Jennsen poluzowała zaczep i ściągnęła szklaną pokrywkę. Ze zdumieniem patrzyła na osobliwą zawartość. To kształty tak ją zdziwiły. Odwróciła palcem jedną z tych osobliwości. Było to ciemne, płaskie i okrągłe. W świetle lampy widziała, że zostało to ususzone. Potrząsnęła pojemniczkiem. Wszystkie krążki wyglądały tak samo - garnuszek pełen był malutkich Grace.

Podobnie jak ów magiczny symbol, każdy krążek miał zewnętrzny krąg, coś, co przypominało umieszczony w nim kwadrat, i mniejszy krąg w owym kwadracie. Wszystko to spajało razem coś, co wyglądało jak zarys gwiazdki. Bardzo przypominało to Grace, chociaż nie było takie jak symbole, które Jennsen widziała.

- Co to takiego? - spytała.

Uzdrowiciel zdjął pelerynę i podwinął rękawy skromnej szaty.

- To część kwiatu. Ususzona podstawa nitki pręcika róży górskiej gorączki. Śliczne kwiatuszki. Musiałaś je widzieć. Mają rozmaite barwy, zależnie od tego, gdzie rosną, ale najczęściej są pąsowe. Mąż nigdy ci nie przyniósł bukietu tych róż?

Jennsen poczuła, że się rumieni.

- To nie mój mąż. Po prostu razem podróżujemy. Przyjaźnimy się, ot i tyle.

- Och - powiedział, ani zdziwiony, ani zaciekawiony. Wskazał palcem. - Widzisz? Płatki są przyczepione tu i tu. Kiedy się usunie płatki i pręcik i

ususzy tę wybraną część główki, to przybierze taki kształt.

Jennsen uśmiechnęła się.

- Wygląda jak malutki Grace.

Przytaknął, odwzajemnił uśmiech.

- I jak prawdziwy Grace może być dobroczynna albo śmiercionośna.

- Jak coś może być i dobroczynne, i śmiercionośne?

- Jedna z tych suszonych główek kwiatu, utarta w moździerz i dodana do napoju, sprawi, że chłopiec głęboko zaśnie, i pomoże mu zwalczyć gorączkę. Jednak większa dawka sprrowadza gorączkę.

- Naprawdę?

Wyraźnie spodziewał się jej pytania. Uniósł palec dla podkreślenia swoich słów i pochylił się ku niej.

- Gdybyś wzięła dwa tuziny, a już na pewno po trzydziestu, nie byłoby ratunku. Taka gorączka rychło staje się zgubna. Od takiego działania wzięta się nazwa kwiatu. - Uśmiechnął się szelmowsko. - Z wielu powodów to odpowiednia nazwa dla kwiatu łączonego z miłością.

- Pewnie tak - odparła, rozmyślając nad tym. - A czy się umrze, jeśli się zje więcej niż jedną taką suszkę, ale mniej niż dwa tuziny?

- Gdybyś była na tyle szalona, żeby sproszkować dziesięć lub dwanaście i dosypać sobie do herbaty, dostałabyś gorączki.

- I w końcu bym umarła, tak jakbym zjadła więcej?

Rozbawiła go jej szczerze zatroskana mina.

- Nie. Ta ilość wywołałaby lekką gorączkę. Za dzień lub dwa byś wydobrzała.

Jennsen zerknęła ostrożnie na stosik malutkich, groźnych kwiatków i odstawiła garnuszek.

- Dotknięcie któregoś nie wyrządzi ci krzywdy - powiedział, widząc jej reakcję na zawartość pojemniczka. - Musiałabyś je zjeść, żeby zadziałały. A nawet wtedy, jak już mówiłem, jedna z główek w połączeniu z resztą składników zwalczyłaby gorączkę malca.

Jennsen uśmiechnęła się z zażenowaniem i zanurzyła palce w garnuszku po jeden z kwiatostanów. Wrzuciła go do moździerza, gdzie jeszcze bardziej przypominał Grace.

- Gdyby chodziło o przytomnego dorosłego, to po prostu rozkruszyłbym ją w palcach - odezwał się uzdrowiciel, kropla po kropli dodając miodu do

kubka - ale on jest malutki, no i śpi. Chcę, żeby gładko to przełknął, więc zetrzyj to jak najdrobniej.

Kiedy skończył, dodał drobniutki ciemny proszek z suszonej główki kwiatu róży, który sporządziła dlań Jennsen. Z suszonego kwiatu, który mógł - podobnie jak Grace, który przypominał - uratować życie lub zabić.

Dziewczyna zastanawiała się, co Sebastian by pomyślał o czymś takim. Czy Brat Narev kazałby wyniszczyć takie róże górskiej gorączki, bo ewentualnie mogą zabić.

Odstawiła słoje, a uzdrowiciel zaniósł chłopczykowi miodowy napój. Z pomocą matki przytknął kubek do drobnych ust i powolutku go poił. Delikatnie nakłonili śpiącego malca, żeby wypił cenny napój co do kropelki. Nie mogli go obudzić, więc wlewali mu płyn do buzi po kropli i czekali, aż przełknie, zanim włali następną.

Kiedy się tak biedzili, Sebastian wrócił ze stajni. Zanim zamknął za sobą drzwi, Jennsen zobaczyła gwiazdy. Fala zimnego powietrza opłynęła jej nogi, aż zadygotała. Zamilknięcie wiatru i czyste gwiaździste niebo często zapowiadały lodowatą noc.

Sebastian rażno ruszył w stronę ognia, chcąc się ogrzać. Jennsen dołożyła kolejne polano; pogrzebaczem umieściła je na skos, żeby się szybko zajęło. Uzdrowiciel delikatnie dotykał dłonią ramienia kobiety i uspokajająco kiwał do niej głową, kiedy powolutku poiła chorego synka. Zostawił ją przy tym zajęciu, powiesił pelerynę na kołku tuż za drzwiami najbliższymi kominka i przyłączył się do Sebastiana i Jennsen.

- Czy ta kobieta z dzieckiem to wasza rodzina?

- Nie - odparła Jennsen. Ciepło bijące od ognia sprawiło, że i ona zdjęła pelerynę, po czym położyła ją na stojącej przy stole ławie. - Spotkaliśmy ją na drodze. Potrzebowała pomocy. Tylko ją podwieźliśmy.

- Ach - rzekł uzdrowiciel. - Może się tutaj przespać wraz z synkiem. Muszę do niego zaglądać w nocy. - Dziewczyna zupełnie zapomniała o swoim szczególnym nożu, ale on go zauważył. - Poczęstujcie się, proszę, gulaszem, który właśnie przyrządzam. Zawsze mamy gotową strawę dla tych, którzy mogą się tu zjawić. Już za późno na dalszą podróż. Możecie spędzić noc w chacie. Teraz wszystkie są puste, więc każde z was będzie mieć jedną do dyspozycji.

Jennsen już miała powiedzieć, że mogą się przespać w jednej, lecz nagle

uświadomiła sobie, że uzdrowiciel rzekł tak, bo mu wyjaśniła, że Sebastian nie jest jej mężem. I jak by to wyglądało, gdyby teraz próbowała to zmienić. Zmilczała więc.

Poza tym sen u boku Sebastiana pod gołym niebem wydawał się czymś naturalnym i niewinnym. Tymczasem wspólny nocleg w chacie to już byłoby co innego. Przypomniała sobie, że w trakcie długiej podróży na północ, do Pałacu Ludu, kilka razy nocowali w zajazdach. Ale to było, zanim ją pocałował.

- Czy to wszystko tutaj należy do Raug'Moss? - spytała, zataczając krąg ręką.

Uśmiechnął się, jakby uznał jej pytanie za zabawne, ale nie chciał kpić z jej niewiedzy.

- Ależ skąd. To tylko jedna z kilku małych placówek, z których korzystamy, podróżując. To schronienie i miejsce, gdzie mogą do nas przyjść ludzie potrzebujący naszej pomocy.

- To malec miał szczęście; żeś tu był - stwierdził Sebastian.

Człowiek Raug'Moss przez chwilę patrzył mu w oczy.

- Jeżeli przeżyje, będę rad, żeś tu był, aby mu pomóc. Często jest tutaj jeden z naszych braci.

- Dlaczego? - zacięła się Jennsen.

- Placówki takie jak ta zapewniają Raug'Moss dochód z zaspokajania potrzeb ludzi, którzy nie mają innego dostępu do uzdrowicieli.

- Dochód? - zapytała dziewczyna. - Myślałam, że Raug'Moss pomagają ludziom z dobrego serca, a nie dla zysku.

- Gulasz, kominek i dach, które oferujemy, nie pojawiają się magicznie tylko dlatego, że są potrzebne. Oczekujemy, że ludzie przychodzący do nas po wiedzę, na której zdobywaniu trawimy życie, jakoś się zrewanżują za pomoc. No bo jak moglibyśmy pomagać innym, gdybyśmy zmarli z głodu? Dobroczynność, jeśli masz na nią środki, jest twoim osobistym wyborem. Jednak spodziewana lub wymuszona dobroczynność to jedynie grzeczne określenie niewolnictwa.

Uzdrowiciel nie mówił, rzecz jasna, o niej, ale jego słowa i tak ukłuły Jennsen. Czyż nie oczekiwała zawsze pomocy od innych, czyż nie sądziła, że ma do niej prawo tylko dlatego, że jej potrzebuje? Jakby chęć uzyskania od nich pomocy była ważniejsza niż ich własne sprawy?

Sebastian poszperał w kieszeni i wyjął srebrną markę. Podał ją uzdrowicielowi.

- Chcielibyśmy się podzielić tym, co mamy w podzięce za to, żeś się podzielił tym, co masz.

Uzdrowiciel spojrział przelotnie na nóż Jennsen i rzekł:

- W waszym przypadku to nie jest konieczne.

- Nalegamy - odezwała się Jennsen, zażenowana, że te pieniądze nie są właściwie jej, że ich nie zarobiła za żywność, schronienie czy opiekę nad końmi, ale zostały zabrane martwemu żołnierzowi.

Mężczyzna skłonił głowę i przyjął zapłatę.

- W szafce po prawej są miski. Częstujcie się. Ja muszę się zająć chłopczykiem.

Jennsen i Sebastian usiedli za stołem, na ławie, i zjedli po dwie miski gęstego jagnięcego gulaszu z dużego kotła. Był to najlepszy posiłek, jaki jedli od... od mięsnych pasztecików, które zapakował dla nich Tom.

- Obróciło się to na naszą korzyść - odezwał się cicho Sebastian.

Dziewczyna spojrzała ku tamtym: uzdrowiciel i matka pochylali się nad malcem. Nachyliła się ku mieszającemu gulasz Sebastianowi.

- Jak to?

- Konie dobrze sobie podjedzą - spojrział na nią błękitnymi oczami - i wypoczną. My również. To da nam przewagę nad każdym, kto nas ściga.

- Naprawdę uważasz, że choć się domyślają, gdzie jesteśmy? Że są w pobliżu?

Sebastian wzruszył ramionami i podjadł gulaszu. Popatrzył badawczo ku tamtym, a potem powiedział:

- Co prawda nie wiem, jak by się to im udało, ale już nas wcześniej zaskoczyli, nieprawdaż?

Jennsen kiwnięciem głowy potwierdziła prawdziwość tej uwagi i w milczeniu zaczęła jeść swoją porcję.

- Tak czy owak - podjął - daje to i nam, i koniom tak potrzebny wypoczynek i jadło. Dzięki temu zdołamy się od nich bardziej oddalić. Rad jestem, żeś mi przypomniała, jak Stwórca wspomaga potrzebujących.

Jego uśmiech sprawił, że Jennsen zrobiło się ciepło koło serca.

- Mam nadzieję, że to pomoże temu biednemu malcowi.

- Ja też - odparł.

- Uprzątnę i sprawdzę, czy nie trzeba im pomóc.

Skinął głową, nabrał na łyżkę ostatni kawałek jagnięciny.

- Zajmij przedostatnią chatę. Ja wezmę tę na końcu. Ty skończ tutaj, a ja rozpalę ci ogień.

Odłożył łyżkę do pustej miski. Jennsen położyła dłoń na jego ręce.

- Dobranoc.

Rozkoszowała się przeznaczonym wyłącznie dla niej uśmiechem, a potem patrzyła, jak szepcze do uzdrowiciela. Członek Raug'Moss skinął głową, więc wywnioskowała, że Sebastian podziękował mu i życzył dobrej nocy. Siedząca przy chorym synku kobieta, która gładziła czołko dziecka, też podziękowała Sebastianowi za pomoc i w ogóle nie zwróciła uwagi na lodowate powietrze, które wdarło się do izby, kiedy wychodził.

Jennsen zaniósła jej miskę dymiącego gulaszu. Kobieta przyjęła ją uprzejmie, choć obojętnie, całą uwagę skupiając na śpiącym chorym malcu. Uzdrowiciel ustąpił naleganiom dziewczyny, usiadł przy stole, a ona i jemu podała miskę gulaszu.

- Całkiem niezły, choć to ja gotowałem - powiedział zartobliwie, kiedy przyniosła mu kubek wody.

Jennsen roześmiała się i zapewniła go, że podzieliła jego zdanie. Zostawiła uzdrowiciela przy stole, zjadającego gulasz, a sama zmyła brudne miski w cebrzyku i dołożyła do ognia. Z płonących polan strzelały iskry. Dąb dobrze się pali, ale konieczny jest ekran. Poprawiła polana i znów strzeliły iskry, buchnął dym. Szczotką wmiotła popiół do kominka. Zobaczyła, że uzdrowiciel kończy posiłek, i przysiadła na ławie obok niego, żeby móc porozmawiać na osobności.

- Musimy wcześniej wyruszyć, więc na wypadek gdybym cię rano nie zobaczyła, chciałam podziękować za dzisiejszą pomoc. Pomoc udzieloną nie tylko chłopczykowi, ale i nam.

Choć nie spojrział tam, wiedziała po jego minie, że jego zdaniem tak wczesny wyjazd łączy się z nożem u jej pasa. Nie rozwiała tego domysłu.

- Doceniamy hojną ofiarę dla naszej sekty. Ułatwi nam pomaganie innym.

Zdawała sobie sprawę, że on jedynie podtrzymuje rozmowę, czekając, aż Jennsen wreszcie powie to, co jej chodzi po głowie - więc to zrobiła.

- Chciałabym zapytać o pewnego człowieka. Dowiedziałam się, że

mieszka wśród Raug'Moss. Może nawet jest uzdrowicielem. Nie jestem tego pewna. Ciekawa jestem, czy coś o nim wiesz.

Wzruszył ramionami.

- Pytaj. Powiem ci, co wiem.

- Ma na imię Drefan.

W oczach uzdrowiciela po raz pierwszy pojawił się błysk emocji.

- Drefan był plugawym pomiotem Rahla Posępnego.

Jennsen z trudem udało się ukryć wrażenie wywołane jego dobitnymi słowami. Przypomniała sobie, że widział u niej nóż z symbolem rodu Rahlów i być może dlatego tak zdecydowanie się wypowiedział. Ale i tak było to bardzo dobitne.

- To wiem. Ale i tak muszę go odnaleźć.

- Spóźniłaś się. - Uśmiech zadowolenia przemknął przez jego twarz. - Chroni nas, mistrzu Rahlu - zacytował z modłów.

- Nie rozumiem.

- Lord Rahl, nowy lord Rahl, go zabił. Ocalił nas wszystkich od tego bękarta Rahla Posępnego.

Jennsen.

Dziewczyna siedziała zdumiona. Miała wrażenie, że z ciemnego nieba wysuwają się niewidoczne szpony i sięgają do jej gardła.

- Jesteś tego pewny? - zdołała wreszcie wykrztusić. - To znaczy, jesteś pewny, że zrobił to lord Rahl?

- Choć o śmierci Drefana wypowiedziano wiele uprzejmych słów, że niby to zginął, służąc ludowi D'Hary, i ja, i pozostali Raug'Moss uważamy, że Drefana zabił lord Rahl.

Jennsen.

Uprzejme słowa. Uprzejme słowa za morderstwo. Myślała o tym, że nikt się nie odważył powiedzieć lordowi Rahlowi w oczy, że to morderstwo. Zwykłych ludzi mordowano. Ofiary lorda Rahla umierały, służąc ludowi D'Hary.

Zdrętwiała ze strachu, że lord Rahl zbliżył się do niej o jedno morderstwo. Rahl Posępny nie odnalazł Drefana. Jednak Richard Rahl go znalazł. Richard Rahl znajdzie i ją.

Splotła pod stołem drżące dłonie. Miała nadzieję, że jej twarz niczego nie zdradziła. Ten człowiek był najwyraźniej lojalny wobec lorda Rahla. Nie

śmiała ujawniać swojej odrazy, swojego strachu.

Poddaj się.

Swojego gniewu.

Poddaj się.

Te dwa słowa rozbrzmiewały w jej głowie na tle kłębiących się myśli, rozczarowania, bezradnego przygnębienia, rozpalającego się gniewu.

ROZDZIAŁ 34

Jennsen siedziała na podłodze, przy rozpalonym przez Sebastiana silnym ogniu. Wpatrywała się nieruchomym wzrokiem w płomienie, w żarzące się złocistopomarańczowe węgielki, od czasu do czasu odpadające od palących się i jaśniejących rozmaitymi barwami polan. Mgliście przypominała sobie pożegnanie z uzdrowicielem i matką malca. Ledwo pamiętała, jak poprzez śnieg i mróz dotarła do chatki.

Nie miała pojęcia, jak długo tak siedziała, patrząc w pustkę, wydana na łup ponurych myśli. Richard Rahl, zawzięcie próbując dopaść Jennsen, odebrał jej mamę, pozbawił domu i rodziny. Dziewczyna straszliwie tęskniła za matką, tęskniła tak przeraźliwie, że owa udręka wydawała jej się nie do zniesienia - a przecież musiała z nią żyć. Wyplakała wszystkie łzy. Czasami miała wrażenie, że i ból po stracie staje się bardziej głuchy, jakby odleglejszy.

Odkąd Althea opowiedziała jej o Drefanie, Jennsen miała nadzieję, że jeśli odnajdzie tego potomka Rahla Posepnego, swojego przyrodniego brata, będącego jak i ona dziurą w świecie, to stanie się silniejsza, bardziej wytrzymała. Sądziła, że może połączy ich poczucie pokrewieństwa i wspólnie znajdą jakieś rozwiązanie. Już nigdy się nie dowie, czy istotnie tak by się stało. Ale taką właśnie nadzieję żywiła. A teraz ta nadzieja się rozwiała. Richard Rahl zabił Drefana. Richard Rahl na pewno i ją zabije, jak tylko ją odnajdzie. A odnajdzie. Teraz to wiedziała. Z całą pewnością. Odnajdzie ją.

Jennsen.

W jej głowie kłębiły się rozszalałe myśli: od nadziei po rozpacz, od przerażenia po wściekłość.

Tu vash misht. Tu vask misht. Grushdeva du kalt misht.

I głos też tu był - za kłębowiskiem myśli, wirem emocji, zamętem niepokoju - szepcząc jej te dziwnie kuszące słowa. W końcu płomienny gniew wziął górę nad wszystkim.

Jennsen. Poddaj się.

Próbowała już wszystkiego. Nic jej już nie zostało. Lord Rahl odebrał jej całą nadzieję. Nie miała wyboru.

Wiedziała, co musi zrobić.

Wstała. Podjęcie decyzji przeppełniło ją osobliwym spokojem. Narzuciła

pelerynę i wyszła w spokojną, mroźną, cichą noc. Powietrze było tak lodowate, że sprawiało ból przy oddychaniu. Śnieg skrzypiał, kiedy szła po świeżych śladach.

Drżała z zimna, a może sprawiała to potworność czynu, na który się zdecydowała. Zapukała cicho do drzwi ostatniej chaty. Sebastian odrobinę uchylił skrzydło, zobaczył, że to ona, i szybko wpuścił ją do środka. Weszła w blask i żar bijące od ognia. Otuliło ją rozkoszne ciepło.

Był bez koszuli. Woń czystości i przerzucony przez ramię ręcznik świadczyły, że właśnie się mył. Pewnie i w jej chacie napełnił miednicę, ale tego nie zauważyła.

Stał spięty i zatroskany, czekając, aż powie, co ją tu sprowadza. Jennsen podeszła doń tak blisko, że czuła ciepło jego ciała. Zacisnęła pięści i twardo spojrzała mu w oczy.

- Zamierzam zabić Richarda Rahla.

Badawczo patrzył jej w twarz, spokojnie przyjmując te pełne determinacji słowa - jakby cały czas wiedział, że pewnego dnia Jennsen dostrzeże nieuniknioną konieczność tego czynu. Milczał, czekając, aż powie wszystko, co miała do powiedzenia.

- Teraz wiem, że miałeś rację. Muszę go usunąć, bo inaczej nigdy nie będę bezpieczna. Nigdy nie będę mogła spokojnie żyć. Tylko ja mogę to zrobić, muszę to zrobić.

Nie powiedziała mu, dlaczego powinna to zrobić właśnie ona.

Chwyił ją za ramię. Bacznie, w skupieniu wpatrywał się w jej oczy.

- Trudno będzie dotrzeć w pobliże takiego człowieka, żeby zrobić to, co musisz. Mówiłem ci, że mamy w otoczeniu imperatora czarodziejki walczące o kres panowania lorda Rahla. Pozwól, że najpierw do nich cię zaprowadzę.

Jennsen koncentrowała się raczej na samej decyzji, a nie na tym, jak dokonać tego czynu. Ani jednej myśli nie poświęciła zbliżeniu się do niego czy uporaniu ze wszystkimi kręgami jego ochrony. Żeby go zabić, musiałaby podejść odpowiednio blisko. Wyobraziła sobie jedynie, że uderza go nożem zaciśniętym w pięści, że krzyczy nań, wyrzaskuje, jak ogromnie go nienawidzi, jak bardzo pragnie, by cierpiał za to wszystko, co zrobił. Skupiła się na samym czynie, a nie na tym, jak zdoła tak blisko podejść. Jeżeli miało jej się udać, musi wziąć pod uwagę wiele spraw.

- Sądysz, że te kobiety będą mogły mi pomóc tą, jak mówiłeś, magią wykorzystywaną do wyplenienia magii? Że umożliwią mi dopadnięcie go?

Sebastian przytaknął.

- Nie mówiłbym tego, gdybym tak nie sądził. Znam mszczącą siłę magii stojącej po stronie lorda Rahla. Widziałem to na własne oczy i wiem, że nasze czarodziejki umożliwiły nam odpór. Magia wszystkiego nie załatwi, ale myślę, że te kobiety sporo pomogą.

Jennsen stała wyprostowana, z dumnie uniesioną głową.

- Byłabym za to wdzięczna. Chętnie przyjmę każdą pomoc, jakiej mogą udzielić.

Skrzywił się w uśmiechu.

- Ale wiedz - dodała - że z ich pomocą lub bez niej i tak zamierzam zabić Richarda Rahla. Choćbym miała pójść sama i z gołymi rękami, i tak zamierzam go zabić. Nie spocznę, póki tego nie zrobię, bo nie ma dla mnie życia, dopóki go nie zabiję. To jego decyzja, nie moja. Dotarłam do kresu ucieczki. Więcej uciekać nie będę.

- Rozumiem. Zaprowadzę cię do naszych czarodziejek.

- Jak daleko według ciebie jest do Starego Świata? Kiedy do nich dotrzemy?

- Teraz nie pojedziemy do Starego Świata. Rankiem musimy poszukać przejścia przez góry na zachód. Musimy się rozejrzeć za drogą do Midlandów.

Zauważyła, że patrzy na pukiel jej włosów, więc odgarnęła go z twarzy.

- A ja myślałam, że imperator i Siostry Światła są w Starym Świecie.

Sebastian uśmiechnął się chytrze.

- Nie. Nie możemy dopuścić, żeby lord Rahl bezkarnie na nas napadał. Musimy odpowiedzieć na jego atak, kazać mu za to zapłacić. Zamierzamy walczyć i zwyciężyć, tak jak ty wreszcie postanowiłaś. Imperator Jagang jest z naszą armią oblegającą siedzibę ich władz w Midlandach, miasto Aydindril. To właśnie tam jest Pałac Spowiedniczek, pałac żony lorda Rahla. Rozdzieramy Nowy Świat. Wiosną zajmiemy Aydindril i przetrącimy kręgosłup Nowemu Światu.

- Nie miałam pojęcia. Wiedziałeś cały czas, że imperator Jagang spróbuje czegoś tak zuchwałego?

Sebastian był bliski śmiechu.

- Jestem jego strategiem.

Jennsen aż rozdziawiła usta.

- To ty? Ty to wymyśliłeś?

Zbył jej wielkie zdumienie.

- Imperator Jagang zdobył władzę nad Starym Światem, bo jest geniuszem. W tym przypadku miał dwie możliwości: albo zaatakować najpierw Midlandy, albo D'Harę. Brat Narev twierdził, że racja jest po naszej stronie i Stwórca tak czy owak da nam zwycięstwo, więc wstrzymał się od udzielenia jakiegokolwiek militarnej rady. Imperator skłaniał się ku atakowi na Aydindril, lecz taił to, póki nie wysłuchał doradców. Moje zdanie go przekonało. Jagang Sprawiedliwy nie zawsze wykorzystuje moją strategię, toteż byłem rad, że tym razem dostrzegł to co ja: że zajęcie miasta i pałacu żony lorda Rahla będzie nie tylko ważnym militarnym zwycięstwem, ale i potężnym ciosem w samo serce wroga.

Jennsen znów widziała go takim, jak za pierwszym razem. Zdjął ją podziw dla jego znaczenia. Był człowiekiem, który brał udział w zmienianiu biegu dziejów. Od jego słowa zależał los narodów, życie całego mnóstwa ludzi.

- A nie wydaje ci się, że imperator mógł już zająć Pałac Spowiedniczek?

- Nie - odparł stanowczo. - Nie będziemy ryzykować życia naszych dzielnych żołnierzy i nie podejmiemy tak ważnych działań, dopóki pogoda nie będzie nam sprzyjać. Zajmiemy Aydindril wiosną, kiedy skończy się ta okropna zima. Myślę, że zdążymy do nich dotrzeć na czas i być tam w tej ważnej chwili.

Jennsen zafascynowała myśl, że ujrzy tak doniosłe wydarzenie: armię wolnych ludzi zadającą potężny cios lordowi Rahlowi. Wiedziała, że będzie to początek końca D'Hary. Jednak tak naprawdę oznaczałoby to koniec rządów zła.

Owa noc przy migotliwym blasku ognia wydawała się ważna pod wieloma względami. Świat się zmieniał, a ona weźmie w tym udział. I ona także się tej nocy zmieniała.

Ciepło ognia grzało jej policzek. Uświadomiła sobie, że nigdy przedtem nie widziała Sebastiana bez koszuli. Podobał jej się taki.

Delikatnie położył dłoń na jej drugim ramieniu.

- Imperator Jagang chętnie cię przyjmie.

- Mnie? Nie jestem kimś ważnym.

- Ależ jesteś, Jennsen. Zapewniam cię, że Jagang Sprawiedliwy zapragnie cię poznać, poznać odważną kobietę, która chce zadać taki cios dla dobra naszego dzielnego ludu, dla dobra przyszłości wolnych ludzi i nareszcie położyć kres dopustowi, jakim jest ród Rahlów. Brat Narev - ze względu na tak doniosłe zdarzenie jak zajęcie Aydindril i Pałacu Spowiedniczek - zamierza osobiście przybyć tu ze Starego Świata i być świadkiem wielkiego zwycięstwa odniesionego w imieniu naszego ludu. Jestem przekonany, że i on chętnie się z tobą zobaczy.

- Brat Narev...

Jennsen zamyśliła się nad zasięgiem doniosłych wydarzeń, o których rozwoju aż dotąd nie miała pojęcia. A teraz sama stała się ich częścią. Drżała na myśl, że pozna Jaganga Sprawiedliwego - prawdziwego imperatora - a może nawet brata Nareva, według Sebastiana najważniejszego duchowego przywódcę ze wszystkich, jacy dotąd żyli.

Bez Sebastiana nic takiego by się nie wydarzyło. Był pod każdym względem taki nadzwyczajny - od pięknych błękitnych oczu i oryginalnych, sterczących krótkich białych włosów, po uroczy uśmiech i wspaniały umysł.

- Skoro masz swój udział w planowaniu kampanii, to się cieszę, że będziesz na miejscu i ujrysz, jak triumfuje twoja strategia. A dla mnie będzie zaszczytem obecność wśród tak wspaniałych i szlachetnych ludzi.

Chociaż Sebastian wydawał się równie skromny jak zwykle, miała wrażenie, że widzi w jego oczach błysk dumy. Zaraz jednak spoważniał.

- Kiedy spotkamy się z imperatorem, nie powinnaś się bać tego, co zobaczysz.

- Co masz na myśli?

- Stwórca dał imperatorowi Jagangowi oczy, którymi widzi więcej, niż potrafią dojrzeć zwykli ludzie. Jednak jego wygląd przeraża głupców. Chciałem cię ostrzec. Nie powinnaś się bać tak wielkiego człowieka tylko dlatego, że inaczej wygląda.

- Nie będę się go bać.

- No, to załatwione.

Jennsen uśmiechnęła się.

- Zgadza się na twoją nową strategię. Możemy rankiem wyruszać do Midlandów, imperatora i Sióstr Światła.

Wyglądało na to, że ledwie ją słyszy. Wodził wzrokiem po jej twarzy, włosach, wreszcie znów spojrzął jej w oczy.

- Jesteś najpiękniejszą z kobiet, jakie w życiu widziałem.

Poczuła, jak mocniej zaciska palce na jej ramionach, przyciąga ją ku sobie. Usłyszała swój głos:

- Pochlebiasz mi.

Był zaufanym doradcą imperatora, ona zaś prostą dziewczyną, która dorastała w lasach. Miał wpływ na przebieg dziejów, a ona przed nimi uciekała. Aż do teraz. A przecież był po prostu Sebastianem. Mężczyzną, z którym rozmawiała, z którym podróżowała i posilała się. Mnóstwo razy widziała, jak ziewa z wyczerpania, jak zasypia.

Był fascynującą mieszanką szlachetności i pospolitości. Irytował go okazywany mu podziw i respekt, a jednocześnie zdawał się o nie zabiegać, a nawet ich wymagać.

- Przepraszam za tak niedoskonałe słowa - wyszeptał pokornie. - Chciałem rzec o wiele więcej niż to, że jesteś po prostu piękna.

- Naprawdę? - Było to więcej niż pytanie: pełen wyczekiwania zachwyt.

Wargi Sebastiana znalazły się nagle na jej ustach. Objął ją. Nie poruszyła rękami, bała się go przytulić, bo musiałaby dotknąć jego nagiego ciała. Tkwiła w jego ramionach, swoje trzymając sztywno, wygięta w tył pod jego naporem.

Jego usta były takie słodkie. Jego ramiona nie tylko ją obejmowały, ale i chroniły. Zamknęła oczy i zatraciła się w pocałunku. Tulił się do niej całym ciałem. Mocno zacisnął dłoń na jej włosach i jęknął z rozkoszy. Poczuła w ustach jego język. Kręciło jej się w głowie z cudownych emocji.

Świat wirował i zdawało jej się, że się unosi w ramionach Sebastiana. Nagle znalazła się na łóżku. Ta sytuacja ją zaskoczyła - poczuła się niezręcznie i nie wiedziała, co powiedzieć ani jak zareagować.

Chciała go powstrzymać, zanim posunie się dalej. A jednocześnie bała się zrobić coś, co by go powstrzymało, żeby się nie poczuł odepchnięty ze wzgardą.

Dotarło do niej, że są zupełnie sami. To ją zaniepokoiło. A zarazem podekscytowało. Ponieważ byli sami, wyłącznie ona mogłaby go powstrzymać. Dokonane przez nią wybory nie tylko zadecydowały o jej życiu, ale i o władnęły sercem Sebastiana. Dało jej to przyjemne poczucie

mocy.

Ale to był tylko pocałunek. Coś więcej niż całus w pałacu, ale jednak tylko pocałunek. Pocałunek, od którego kręciło się w głowie i serce mocniej biło.

Zatraciła się w jego objęciach, ośmieliła się zrobić językiem to samo co on i ucieszyła ją jego gorąca reakcja. Czuła się jak kobieta, kobieta godna pożądania. Wodziła dłońmi po jego nagich, gładkich plecach, czując, jak pulsuje przytulone do niej ciało Sebastiana. Te cudowne odczucia sprawiały, że ledwo mogła oddychać.

- Jenn - szepnął jej bez tchu do ucha - kocham cię.

Dziewczynie odebrało mowę. To się nie wydawało prawdziwe. Miała wrażenie, że śni lub że znajduje się w cudzym ciele. Była pewna, że słyszała, jak on to mówi, ale nie mogła w to uwierzyć.

Serce biło jej tak mocno, że się bała, iż pęknie. Sebastian też z trudem oddychał, jakby pożądanie przyprawiało go o szaleństwo. Przywarła do niego, pragnąc, żeby znów to wyszeptał.

Bała się mu uwierzyć, uwierzyć, że to prawda, że to się dzieje naprawdę, że tylko sobie tego nie wyobraża.

- Chyba nie mówisz tego poważnie - powiedziała, chcąc się bronić.

- Ależ tak - potwierdził bez tchu. - Ależ tak. Nic nie mogę na to poradzić. Kocham cię, Jennsen.

Jego ciepły oddech sprawiał, że drżała. Z jakiegoś powodu przypomniał jej się Tom. Widziała go w wyobraźni, obdarzającego ją tym swoim uśmiechem. Tom by tak nie postąpił. Nie miała pojęcia, skąd to wie, lecz wiedziała. Tom nie tak zapewniałby ją o miłości. Z jakiegoś powodu zatęskniła za Tomem.

- Sebastianie...

- Jutro wyruszamy spełnić nasze przeznaczenie... Jennsen skinęła głową wtuloną w jego ramię, zdumiona, że owe słowa zabrzmiały tak namiętnie. Ich przeznaczenie. Tulila go mocno, czując żar jego ciała, czując, jak napiera na jej nogę. Czuła jego ramię na swoim brzuchu i dłoń pieszczącą biodro. Miała nadzieję, że powie coś, co ją uraduje, podekscytuje, wystraszy - a jednocześnie modliła się, żeby tego nie zrobił.

- Ale ta noc jest nasza, Jenn, jeśli tylko na to pozwolisz.

Jennsen.

- Sebastianie...

- Kocham cię, Jennsen. Kocham cię.

Jennsen.

Chciała, żeby obraz Toma zniknął z jej wyobraźni.

- Sebastianie, nie wiem, co...

- Nigdy tego nie chciałem. Nie zamierzałem pozwolić sobie na takie uczucie, ale stało się. Kocham cię, Jenn. Nie spodziewałem się tego. O, drogi Stwórco, nic na to nie mogę poradzić. Kocham cię.

Zamknęła oczy, kiedy całował jej szyję. Cudownie było słyszeć jego szept, który brzmiał niemal jak bolesne wyznanie, przepelnione żalem i gniewem, a jednak przesycone szaleńczą nadzieją.

- Kocham cię - wyszeptał ponownie.

Jennsen.

To przyjemne wrażenie, radość z bycia kobietą, świadomość, że budzi jego pożądanie, przyprawiały Jennsen o miły dreszcz. Nigdy nie czuła się szczególnie pociągająca. Za to teraz czuła się bardziej niż piękna - czuła się uwodzicielsko piękna.

Poddaj się.

Pocałowała go w szyję. Pocałowała go w ucho i przesunęła po nim językiem, jak on zrobił. Zapłonął.

Zamarła, kiedy wsunął jej dłoń pod sukienkę. Jego palce przesunęły się po jej obnażonym kolanie, po jej nagim udzie. Decyzja należy do mnie, powiedziała sobie. I tak było.

Wstrzymała oddech, szeroko otwartymi oczami patrzyła na ciemne krokwie. Zakrył wargami jej usta, zanim zdążyła wypowiedzieć słowo, które już-już miało zabrzmieć. Uderzyła go pięścią w ramię, raz, zirytowana, że nie może wypowiedzieć tego jednego, krótkiego, ważnego słowa.

Usiłowała odepchnąć jego głowę, by móc wypowiedzieć to słowo. Jednak to był człowiek, który ocalił jej życie. Gdyby nie on, w tamtą deszczową noc zginęłaby razem z mamą. Zawdzięczała mu życie. Pozwolić mu się tak dotykać to żadne zadośćuczynienie za ratunek. Cóż w tym złego? To drobiazg w porównaniu z tym, jak otworzył przed nią serce.

A poza tym zależało jej na nim. Takiego mężczyzny pragnęłaby każda kobieta. Był przystojny, bystry, ważny. Co więcej, ekscytowało ją, że tak mu na niej zależy. O, tak. Czegóż więcej mogłaby chcieć?

Zdecydowanie przegnała z myśli niepożądany obraz Toma. Całą uwagę

skupiła na Sebastianie i na tym, co z nią robił. Omdlewała pod jego pieścizotami.

Dotknięcia jego palców były tak cudownie rozkoszne, że łyzy pociekły jej po policzkach. Zapomniała o tamtym słowie, zastanawiała się, czemu w ogóle chciała je wypowiedzieć.

Przytuliła go ze wszystkich sił, krzycząc z rozkoszy. Mogła się jedynie poddać.

- Sebastianie - westchnęła. - Och, Sebastianie...

- Tak cię kocham, Jenn. - Mocniej rozchylił jej kolana, znalazł się między jej drżącymi nogami. - Pragnę cię, Jennsen. Tak bardzo cię pragnę. Nie mogę żyć bez ciebie. Przysięgam.

To miał być jej wybór. Powiedziała sobie, że tak właśnie jest.

- Sebastianie...

Poddaj się.

- Tak - westchnęła. - Wybaczcie mi, drogie duchy, tak.

ROZDZIAŁ 35

Oba oparł się ramieniem o czerwoną burtę stojącego z boku wozu. Wpakował ręce do kieszeni i niedbale obserwował ruchliwy plac targowy. Ludzie tłoczący się pośród straganów mieli dobry nastrój, pewnie dlatego, że blisko już było do długo wyczekiwanej wiosny, chociaż zima jeszcze nie popuszczała. Panował szczypiący mróz, ale ludzie gadali i śmiali się, targowali się i kłócili, kupowali i oglądali.

Przelewające się, lekceważące zimny wiatr tłumy nie miały pojęcia, że jest pośród nich ktoś ważny. Oba szeroko się uśmiechnął. Rahl był wśród nich. Członek rodu panującego.

Oba - odkąd postanowił być niezwyciężony i w trakcie swojej podróży na północ - stał się nowym człowiekiem, człowiekiem bywałym. Najpierw - po śmierci tej wrednej czarodziejki i swojej zwariowanej matki - zaszumiała mu w głowie uzyskana wolność i ani pomyślał o wizycie w Pałacu Ludu. Im dłużej jednak rozważał kluczowe zdarzenia swego życia i to wszystko, czego się dowiedział, tym wyraźniej uświadamiał sobie, że taka wyprawa jest konieczna. Wciąż brakowało kawałków układanki, a to mogło doprowadzić do kłopotów.

Ta Jennsen mówiła, że ścigają ją bojówki. A bojówki ścigają tylko ważnych ludzi. Oba niepokoił się, że mogą zacząć i jego ścigać, skoro i on jest taki ważny. Podobnie jak ta Jennsen, był jedną z tych dziur w świecie. Lathea nie wytłumaczyła mu, co to takiego, ale to w pewien sposób wyróżniało i Obę, i tę Jennsan. Łączyło ich.

Możliwe, że lord Rahl dowiedział się o Obie, może od tej zdradzieckiej Lathei, i bał się, że ma teraz rywala, który lada chwila rzuci mu wyzwanie. W końcu Oba też jest synem Rahla Posępnego. W pewien sposób był mu równy. Lord Rahl władał magią, lecz Oba był niezwyciężony.

Ponieważ kłopoty wisiały w powietrzu, Oba uznał, że najlepiej zadba o własne interesy, udając się do siedziby przodków i dowiadując, ile tylko zdoła.

Miał swoje troski, jeszcze zanim postanowił wyruszyć na północ. Mimo to zasmakował w odwiedzaniu nowych miejsc i dowiedział się wielu nowych rzeczy. Rejestrował je w pamięci. Miejsca, widoki, ludzi. Wszystko miało

jakieś znaczenie. W wolnych chwilach myślał o tym, patrzył, co do siebie pasuje, co można z tego odgadnąć. Zawsze twierdził, że trzeba ćwiczyć umysł. Teraz miał swobodę działania, sam podejmował decyzje, wybierał drogi, robił, co chciał, ale wciąż jeszcze musiał się uczyć i rozwijać.

Nie musiał już jednak karmić zwierząt, zajmować się ogrodem, naprawiać płotów, stajni i domu. Nie musiał już przewozić, przynosić i spełniać każdej głupiej zachcianki swojej zwariowanej matki. Nie musiał łykać obrzydliwych leków tej wrednej czarodziejki ani znosić jej ukradkowych spojrzeń. Nie musiał wysłuchiwać tyrad matki, jej szyderstw, ani cierpieć upokorzeń.

Pomyśleć tylko, że miała kiedyś czelność kazać mu uprzątnąć kupę zamarznętego gnoju - jemu, synowi Rahla Pośpnego. Oba sam nie wiedział, jak to znosił. Przypuszczał, że dlatego, iż jest niesłychanie cierpliwym człowiekiem, a cierpliwość była jedną z jego znamienitych cech.

Ponieważ jego szurnięta mamuśka tak zawzięcie dbała, żeby nie wydawał ani centa na kobiety, jak tylko dotarł do sporego miasta, uczcił wyzwolenie spod jej tyranii wizytą u najkosztowniejszej dziwki, jaką udało mu się znaleźć. Wtedy zrozumiał, dlaczego matka tak zdecydowanie sprzeciwiała się jego kontaktom z kobietami - to było bardzo przyjemne.

Przekonał się jednak, że i te kobiety potrafią być okrutne dla mężczyzny tak wrażliwego jak on. I one czasem próbowały sprawić, żeby się czuł malutki i pozbawiony znaczenia. I one obrzucały go owym wyrachowanym, nieczułym, protekcyjnym spojrzeniem, którego tak nienawidził.

Oba podejrzewał, że to wszystko przez matkę. Że nawet ze świata zmarłych potrafiła jakoś wnikać w ten świat, poprzez zimne serce ladacznicy, żeby mu dokuczyć w chwilach największego triumfu. Że jej głuchy głos zmarłej szepcze do uszu kobiet słowa zapięklej złośliwości. To byłoby w jej stylu - nawet będąc już na tamtym świecie, nie mogła pozwolić, żeby zaznał spokoju czy zadowolenia.

Nie był rozrzutny, w żadnym wypadku, ale pieniądze, które mu się słusznie należały, dostarczyły mu paru zasłużonych przyjemności, jak czysta pościel, dobre jedzenie i picie oraz towarzystwo powabnych kobiet. Jednak ostrożnie je wydawał, żeby mu ich nie zabrakło. Wiedział, że ludzie aż nadto chciwie łypią na jego zasoby.

Przekonał się, że już samo posiadanie pieniędzy budzi dlań

przychylność, zwłaszcza kobiet. Jeżeli kupował im napitki lub prezenciki - ładny materiał na szal, świecidełko na nadgarstek, lśniące spinki do włosów - były bardziej skłonne przymilać się do niego. Często zabierały go w jakieś spokojne miejsce, gdzie mogły być z nim same. Czasem do jakiegoś zaułku, niekiedy do lasu, innym razem do izby.

Podjeżdżał, że niektóre chciały się jedynie dobrać do jego pieniędzy. Nie przestawało go jednak zadziwiać, ile uciechy i zadowolenia może czerpać z kobiet. Często za pomocą ostrego noża.

Jako człowiek bywały Oba znał się teraz na kobietach. Był z wieloma. Wiedział, jak z nimi rozmawiać, jak się z nimi obchodzić, jak je zadowalać.

Sporo kobiet wciąż czekało, mając nadzieję - i modląc się o to - że pewnego dnia do nich wróci. Kilka nawet uciekło od mężów, zamierzając zdobyć jego serce.

Kobiety nie mogły mu się oprzeć. Przymilały się do niego, zachwycały jego urodą, podziwiałały jego siłę, jęczały z rozkoszy, którą im dawał. Szczególnie podobało się im, kiedy im zadawał ból. Ktoś mniej wrażliwy od niego nie rozpoznałby w ich płaczu łez radości, którymi w istocie były.

Oba lubił towarzystwo kobiet, ale wiedział, że zawsze znajdzie następną, więc nie wplątywał się w dłuższe romanse. Większość była krótka. Niektóre - bardzo krótkie. Teraz miał na głowie ważniejsze sprawy. Potem będzie mógł mieć każdą kobietę, jakiej zapragnie. Zupełnie jak ojciec.

Mógł wreszcie spojrzeć na niebotyczną kamienną wspaniałość swojego rodzinnego domu: Pałacu Ludu. Pewnego dnia to będzie jego. Głos mu to powiedział.

Zbliżył się jakiś handlarz i zakłócił miłą zadumę Oby, rozmyślenia o tym, co było przed nim.

- Talizman, panie? Magiczne talizmany. Na pewno przynoszą szczęście.

Oba zerknął gniewnie na przygarbionego handlarza.

- Co?

- Specjalne magiczne talizmany. Za srebrnego pensa.

- A co one robią?

- To są magiczne talizmany, panie, na pewno. Nie chciałbyś odrobiny magii, żeby ulżyć sobie w trudach życia? Żeby dla odmiany sprawy szły po twojemu? Tylko srebrny pens.

Sprawy szły zgodnie z jego wolą, odkąd jego szalona mamuśka nie

kręciła się przy nim, żeby mu dokuczać i trzymać go w ryzach. Jednak Oba lubił się dowiadywać nowych rzeczy.

- Co ta magia by zrobiła? Jakie rzeczy?

- Wielkie rzeczy, panie. Wspaniałe rzeczy. Da ci siłę, o, na pewno. Siłę i mądrość. Siłę i mądrość, jakiej nie ma żaden zwykły śmiertelnik.

- Już to mam - uśmiechnął się Oba.

Tamtemu zabrakło słów, ale tylko na chwilę. Rozejrzał się, upewnił, czy nikogo nie ma w pobliżu, pochylił się ku Obie i niemal przyłgął do jego boku, żeby pomówić w tajemnicy. Mrugnął do Oby.

- Te talizmany pomogą ci zdobywać dziewczuszki, panie.

- Kobiety i tak na mnie lecą.

Oba tracił zainteresowanie. Ta magia obiecywała wyłącznie to, co już i tak miał. Ów człek mógł równie dobrze powiedzieć, że talizmany dadzą Obie dwie ręce i dwie nogi.

Brudny mężczyzna odkaszlnął, oczyszczając zatkane flegmą gardło, i znów pochylił się ku Obie.

- Ależ panie, żaden człowiek nie może mieć za dużo bogactw czy najpiękniejszych...

- Dam ci miedziaka, jak mi powiesz, gdzie znajdę czarodziejkę Altheę.

Człeczynie cuchnęło z ust. Oba odepchnął go. Handlarz uniósł zakrzywiony palec. I krzaczaste brwi.

- Jesteś mądrym człowiekiem, panie, jak sam powiedziałeś, Też dostrzegłem twoją bystrość. Wyniuchałeś na tym jarmarku, panie, jedyną osobę, co ci może rzec to, czego potrzebujesz. - Uderzył się w pierś. - Mnie. Powiem ci wszystko, co musisz w tym temacie wiedzieć. Ale jako człowiek wielkiej mądrości na pewno pojmujesz, że taka tajemna i uprzywilejowana wiadomość musi cię kosztować znacznie więcej niż miedziaka. O tak, panie, o wiele, wiele więcej, ale jest tego warta.

- O ile więcej? - nachmurzył się Oba.

- Srebrną markę.

Oba parsknął śmiechem i chciał odejść. Miał taką sumę, ale nie lubił, jak robiono z niego głupka.

- Popytani. Porządni ludzie za zwykłe dziękuję powiedzą, jak trafić do czarodziejki.

Handlarz dreptał u boku Oby, paląc się do nowych układów. Z trudem

dotrzymywał mu kroku, gadając ile tchu. Jego potargany przyodziewek kołysał się jak chorągwie na wietrze, kiedy uchylał się przed ludźmi schodzącymi Obie z drogi.

- Taaak, w istocie jesteś mądry. Nie dorównuję ci, panie, o nie. Mądrzejszyś ode mnie, w tym rzecz. Ale są poplątane, trudne sprawy, o których nie wiesz, sprawy, o których taki wrażliwy człowiek jak ty powinien wiedzieć. Rzeczy, co mogą zaważyć na twoim bezpieczeństwie w tak ryzykownej wyprawie, na jaką się wedle mnie zamierzasz wybrać. Rzeczy, o których niewielu może ci opowiedzieć.

Oba był wrażliwy, ooo, na pewno. Łypnął na mężczyznę, który dreptał przy nim jak psiak dopraszający się resztek jedzenia.

- No to srebrny pens. Tyle dam.

- Niech będzie srebrny pens - zgodził się tamten, wzdychając - za ceną, potrzebną ci, panie, wieść, co jej, gwarantuję, od nikogo innego nie usłyszysz.

Oba zatrzymał się, zadowolony, że człeczyna ustąpił pokonany przez jego wybitny umysł. Wsparł się pod boki i patrzył, jak tamten oblizuje popękane wargi. Oba nie lubił się tak łatwo rozstawać z pieniędzmi, ale miał ich pod dostatkiem. No i było w tym coś, co go intrygowało. Poszperał w kieszeni, wsunął palce do trzymanej tam skórzanej sakiewki i wyłowił srebrnego pensa. Rzucił go niechłujnemu typkowi.

- No dobrze. - Człeczyna złapał monetę, a Oba jego kościsty nadgarstek. - Zapłacę, ile chcesz. Ale wiedz, że jeśli uznam, że kłamiesz lub coś zatajasz, to go odbiorę i będę musiał z niego zetrzeć twoją krew, zanim na powrót schowam go do kieszeni.

Mężczyzna przełknął ślinę, widząc groźne oblicze Oby.

- Nie oszukam cię, panie, zwłaszcza że dał słowo.

- Lepiej tego nie rób. No to gdzie ona jest? Jak trafię do Althei?

- Na moczarach mieszka. Ale ci powiem, jak do niej dotrzeć, za jed...

- Uważasz mnie za głupka?! - Oba wykręcił mu przegub. - Już słyszałem, że ludzie chodzą do tej czarodziejki, że przyjmuje gości na tych moczarach, więc w uczciwej cenie, com ci zapłacił, musi być coś poza drogą do jej chaty.

- Tak! - Handlarz aż się zakrztusił z bólu. - Jasne, że jest. - Oba poluzował chwyt i tamten, wciąż się krzywiąc, dodał natychmiast: - Chciałem rzec, że za tę hojną zapłatę wyjawię ci sekretną drogę do niej przez moczary. Nie

tylko tę zwykłą, o której wszyscy wiedzą, ale i tę sekretną. Mało kto o niej wie. To wszystko jest w cenie. Niczego nie zataję przed takim uczciwym człekiem, panie, jak ty.

Oba obrzucił go wściekłym spojrzeniem.

- Sekretną drogę? Skoro jest normalna, którą ludzie chodzą do Althei, to po co miałbym sobie zawracać głowę tą drugą?

- Ludzie chodzą do czarodziejki Althei po przepowiednie. Ona ma dużą moc, ta czarodziejka. - Nachylił się bliżej. - Ale musisz być zaproszony, zanim pójdziesz po wróżbę. Nikt nie ośmiela się iść bez zaproszenia. Wszyscy idą zawsze tą samą drogą, żeby ich mogła zobaczyć, jak już ich zaprosi, i odwołać te swoje krwiożercze bestie, co strzegą dojścia. - Na wykrzywionej twarzy handlarza pojawił się przebiegły uśmiešek. - Coś mi się widzi, że jak byś był zaproszony, tobyś nie pytał ludzi, jak tam trafić. Zaprosiła cię, panie?

Oba łagodnie odsunął cuchnącego mężczyznę.

- Czyli jest jeszcze jakaś droga?

- Jest. Od tyłu. Tamtędy można się do niej podkraść, kiedy te jej bestie strzegą frontowych drzwi. Bystry człowiek nie pójdzie do potężnej czarodziejki na jej prawach.

Oba rozejrzał się na boki, sprawdził, czy nikt nie słucha.

- Nie muszę chodzić sekretną tylną drogą. Nie boję się czarodziejki. Ale skórom już zapłacił, to chcę wszystko usłyszeć. O obu dojściach i wszystko inne o niej.

Handlarz wzruszył ramionami.

- Jeśli chcesz, możesz jechać prosto na zachód, jak wszyscy, co są zaproszeni. Pojedziesz równiną na zachód, aż dotrzesz do największej ośnieżonej góry. Za górą skrećisz na północ i pojedziesz u stóp urwisk. Grunt się obniża i wreszcie przechodzi w moczary. Potem podążasz dobrze utrzymaną drogą przez mokradła. Nie zbaczaj z niej. Prowadzi do chaty Althei.

- Ale przecież o tej porze roku moczary będą zamrożone.

- Nie, panie. To paskudna siedziba czarodziejki i jej groźnej magii. Moczary Althei nie poddają się zimie.

Oba dotąd wykręcał przegub handlarzowi, aż ten wrzasnął z bólu.

- Masz mnie za idiotę? W zimie nie ma moczarów.

- Zapytaj innych! - zaskrzeczał mężczyzna. Zatoczył krąg wolnym ramieniem. - Zapytaj! Każdy ci powie, że moczary Althei nie poddają się zimie Stwórcy, że przez cały rok są parne i grzaskie.

Oba poluzował chwyt na przegubie.

- Mówiłeś o tylnej drodze. Gdzie ona?

Człeczyna po raz pierwszy się zawahał. Obliznął spękane od mrozu wargi.

- Trudno ją odnaleźć. Mało jest punktów orientacyjnych i trudno je wypatrzyć. Powiedziałbym ci, jak znaleźć to miejsce, ale mógłbyś je ominąć i byś pomyślał, że cię okłamał, a to cała rzecz w tym, że trudno je znaleźć z samych wskazówek, jak się nie zna tamtych okolic.

- Już się zastanawiam, czy ci nie odebrać monety.

- Tylko troszczyć się o twoje bezpieczeństwo, panie. - Błysnął przeproszającym uśmiechem. - Nie chciałbym dać komuś takiemu jak ty tylko kawałka tego, co mu trza, ze strachu, bym tego potem nie żałował. Chcę wszystko załatwić jak trzeba.

- Gadaj.

Handlarz odkaszlnął i splunął. Otarł usta brudnym rękawem.

- Hmmmm, panie, najlepiej trafisz na tę tylną drogę, jak cię tam zaprowadzę.

Oba przyjrzał się mijającej ich starszawej parze, a potem szarpnął go za przegub.

- Świetnie. Idziemy.

Mężczyzna zaparł się w miejscu.

- Chwila moment. Zgodziłem się powiedzieć i powiem. Ale trudno znaleźć to miejsce, jakem mówił. Trudno, żebym rzucił interesy i służył za przewodnika. Od wielu dni nic nie zarobiłem.

Oba, patrząc gniewnie, pochylił się ku niemu.

- A ileż to chcesz za doprowadzenie mnie tam?

Tamten głęboko zaczerpnął powietrza i zastanawiał się, mamrocząc do siebie, jakby coś liczył w pamięci.

- No cóż, panie - odezwał się w końcu, unosząc palec wolnej ręki, sterczący z krótkiej wypustki dzierganej rękawiczki. - Chyba bym mógł stąd zniknąć na parę dni, jakbym dostał za to złotą markę.

Oba zaśmiał się.

- Nie dam ci żadnej marki, ani złotej, ani nawet srebrnej, za to, że przez

parę dni będziesz moim przewodnikiem. Zapłacę ci drugiego srebrnego pensa, ale na pewno nie więcej. Albo się godzisz, albo oddawaj srebrnego pensa i znikaj.

Handlarz trząsł głową, mamrocząc coś do siebie. Wreszcie z rezygnacją zerknął na Obę.

- Ostatnio moje talizmany źle się sprzedają. Prawdę mówiąc, te pieniądze mi się przydadzą. Znów ześ mnie przekonał, panie. Poprowadzę cię za srebrnego pensa.

Oba puścił jego przegub.

- No to chodźmy.

- To za równinami Azrith. Potrzebujemy koni.

- Chcesz, żebym ci kupił konia? Rozum straciłeś?

- Nie należy iść piechotą. Ale znam tu ludzi, co ci tanio sprzedadzą parę koni. A jak się będziem dobrze ze zwierzakami obchodzić, to je na pewno od nas odkupią, jak wrócim, potrącając sobie troszkę z ceny.

Oba przemyślał to sobie. Chciał iść do pałacu i trochę się tam rozejrzeć, lecz uznał, że lepiej będzie, jak najpierw odwiedzi siostrę Lathei. Dowie się od niej różnych rzeczy.

- To brzmi uczciwie. - Kiwnął głową zgarbionemu handlarzowi. - Chodźmy po te konie i ruszajmy.

Ze spokojniejszej bocznej uliczki wyszli na główną drogę, na której kłębiły się tłumy. Było tu sporo pociągających kobiet. Niektóre spoziały na Obę zachęcająco i tęsknie. Patrzyły mu w oczy, pragnąc go. Młodzieniec posyłał im uśmiechy, obiecując potem coś więcej. Dostrzegając, że nawet to budziło w nich dreszcz. Przyszło mu na myśl, że te włóczące się po targowisku kobiety są pewnie skromnymi wieśniaczkami. W pałacu zaś są prawdopodobnie kobiety, które Oba chciał poznać: kobiety o wysokim statusie. Takie właśnie mu się należą. W końcu jest Rahlem, właściwie księciem, albo kimś w tym rodzaju. A może nawet kimś więcej.

- Jak się nazywasz? - zapytał Oba. - W końcu mamy razem podróżować.

- Clovis.

Sam nie podał mu swojego imienia. Lubił, gdy się do niego zwracano „panie”. W końcu dobrze to do niego pasowało.

- Jak to jest, że przy takich tłumach twoje talizmany się nie sprzedają? - zaciekawił się, wodząc wzrokiem po kłębiących się ludziach. - Skąd te

tarapaty?

Clovis boleściwie westchnął.

- To smutna historia, ale nie twoje brzemię.

- To chyba proste pytanie.

- Chyba tak. - Mężczyzna osłonił oczy dłonią częściowo zakrytą dzianą rękawicą bez palców, zerknął na Obę. - Otóż, panie, jakiś czas temu, w samym środku zimy, spotkałem piękną młodą kobietę.

Oba popatrzył na drepczącego u jego boku zgarbionego, pomarszczonego, rozczochranego człeczynę.

- Spotkałeś?

- Prawdę mówiąc, panie, zaproponowałem jej talizman... - Czoło Clovisa dziwnie się zmarszczyło, jakby nagle natknął się na coś zupełnie nieoczekiwanego. - Te jej oczy urzekały. Duże, błękitne oczy. Takie błękitne, jak się rzadko widuje... - Strzelił oczami ku Obie. - Rzecz w tym, panie, że te jej oczy bardzo przypominały twoje.

Teraz Oba zmarszczył brwi.

- Moje?

Clovis z zapalem przytaknął.

- Tak, panie, tak. Miała takie oczy jak twoje. Wyobraź sobie tylko. Coś w niej... w tobie też... wydaje się... jakoś znajome. Ale nie umiem rzec co.

- A co to ma wspólnego z twoimi tarapatami? Oddałeś jej wszystkie monety i nie wpuściła cię między nogi?

Ogromnie to Clovisa zaszokowało.

- O nie, panie, nic z tych rzeczy. Próbowałem jej sprzedać talizman, żeby przyniósł jej szczęście. A ona ukradła wszystkie moje pieniądze.

Oba chrząknął z niedowierzaniem.

- Założę się, że trzepotała do ciebie rzęsami i uśmiechała się, wsadzając ci aż po łokieć rękę do kieszeni, a tyś się tak rozpalił, żeś nawet nie podejrzewał, co tak naprawdę robi.

- Nic z tych rzeczy, panie. Absolutnie nic z tych rzeczy. - Głos Clovisa stał się cierpki. - Nasłała na mnie jegomościa i on mi wszystko odebrał, dla niej. On to zrobił, ale na jej polecenie, tegom pewien. Tych dwoje ukradło mi wszystkie pieniądze. Obrabowali mnie ze wszystkiego, com przez rok zarobił.

Coś się dobijało do pamięci Oby. Rozmyślał o osobliwych, nie związanych

ze sobą rzeczach. Niektóre zaczęły do siebie pasować.

- Jak wyglądała ta kobieta z błękitnymi oczami?

- Oooch, panie, była piękna, miała gęste pukle rudych włosów. - Choć ta niewiasta obrabowała Clovisa z oszczędności, to jego błędne spojrzenie zdradziło Obie, że dalej był pod jej urokiem. - Twarz miała jak objawienie dobrego ducha, a jej kształty zapierały dech. Ale po tych uroczo zgubnych rudych włosach powinienem był się połapać, że pod tą urodą coś się kryje.

Oba przystanął i złapał handlarza za ramię.

- Miała na imię Jennsen?

Clovis z ubolewaniem wzruszył ramionami.

- Przykro mi, panie. Nie zdradziła mi swego imienia. Ale wątpię, żeby wiele kobiet wyglądało jak ona. Nie z tymi błękitnymi oczami, wspaniałymi kształtami i puklami rudych włosów.

Oba też tak uważał. Opis znakomicie pasował do Jennsen.

A to ci dopiero.

- Tędy, panie - wskazał mężczyzna. - Tędy dojdziemy do człowieka, co nam sprzeda konie.

ROZDZIAŁ 36

Oba zezował w mrok wśród gęstej roślinności. Trudno było uwierzyć, że takie ciemności panują pod olbrzymimi drzewami, przy krętym skalistym grzbiecie, skoro tam w górze, na łące, był taki jasny, słoneczny poranek. Przed nimi panowała również wilgoć.

Odwrócił się od szlaku wiodącego pod pnącza i festony mchów, spojrział ku stromej skalnej pochyłości, tam gdzie zostawił Clovisa przy ogniu, żeby pilnował koni i rzeczy. Oba rad się uwolnił od nerwowego człeczyny. Był męczący niczym przekłeta mucha, która brzęczy cały czas. Całą drogę przez równiny Azrith Clovis paplał o wszystkim i o niczym. Oba chętnie by się pozbył handlarza i jechał sam, ale typ miał rację, twierdząc, jak ciężko byłoby znaleźć tę trasę wiodącą od tyłu na moczary Althei.

Clovis przynajmniej nie zamierzał zapuszczać się z Obą na moczary. Ale ogromnie chciał się upewnić, że jego klient tam pójdzie. Pewnie się martwił, że Oba mu nie wierzy, i chciał się wykazać. Czekał na szczycie, patrzył i machał rękami w postrzępionych, pozbawionych palców rękawicach, pragnąc, żeby Oba wreszcie tam poszedł i się przekonał, że dostał, za co zapłacił.

Oba westchnął i ruszył przed siebie, brnąc przez podszybie oraz pochylając się pod niskimi gałęziami. Tam gdzie mógł, przechodził po korzeniach, a gdzie musiał - brodził przez stojącą wodę. Powietrze było równie spokojne i nieruchome jak woda. Poza tym wilgotne i cuchnące.

Gdzieś z daleka - spośród drzew, z mroków, do których chyba nigdy nie docierało światło, spośród pnączy i gęstych liści, spomiędzy gnijących przechylonych pni wspartych o krzepkich sąsiadów - dobiegały głosy dziwnych ptaków. W wodzie też poruszały się jakieś stwory. Nie wiadomo, czy były to ryby, czy gady, czy może magiczne bestie. Obie się tu nie podobało. Ani trochę.

Przypominał sobie co chwila, że jak już dotrze do chaty Althei, dowie się mnóstwa nowych rzeczy. Ale nawet to go nie pocieszało. Rozmyślał o już widzianych osobliwych robakach, łasicach i salamandrach i o tych, które pewno jeszcze zobaczy. I to jednak go nie rozweseliło. Nadal mu się tu nie podobało.

Zanurkował pod gałęzie, odgarnął pajęczyny. Pająk - najszybszy z widzianych przez Obę - spadł na ziemię i pomknął ku jakiejś kryjówce. Oba był jeszcze szybszy i zgniół go. Włochate odnóża szarpały w agonii powietrze, aż wreszcie znieruchomiały. Młodzieniec uśmiechnął się szeroko i ruszył dalej. Zaczynało mu się tu podobać.

Zmarszczył nos. Im głębiej się zapuszczał, tym bardziej cuchnęło. Śmierdziało dziwną, gryzącą, ociekającą wilgocią zgnilizną. Zobaczył, jak wśród drzew dobywa się para, i zaczęło cuchnąć gnijącymi jajkami, lecz bardziej kwaśno. Znow mu się przestawało tu podobać.

Parł przed siebie, niepewny, czy wizyta u Althei była takim dobrym pomysłem, zwłaszcza podróż drogą podpowiedzianą przez maltretowanego handlarza. Westchnął, przedzierając się przez gęste chaszczce. Im szybciej tam dotrze i pogada z Altheą, tym prędzej wydobędzie się z tego paskudnego miejsca.

Poza tym głos go poganiał.

Im szybciej skończy z siostrą Lathei, tym prędzej będzie mógł odwiedzić siedzibę przodków, Pałac Ludu. Mądrze będzie się dowiedzieć, ile tylko można, żeby potem wiedzieć, czego się spodziewać po przyrodnim bracie.

Oba zastanawiał się, czy Jennsen była już u Althei, a jeżeli tak, to czego się dowiedziała. Był coraz bardziej przekonany, że jego los spleciony jest z losem tej dziewczyny. Zbyt wiele śladów do niej prowadziło, żeby to były nic nie znaczące powiązania. Oba bardzo uważnie sprawdzał, jak łączą się ze sobą sprawy, które zapamiętał. Inni ludzie nie byli tacy spostrzegawczy, ale też i nie musieli - nie byli kimś ważnym.

On i ta Jennsen byli dziurami w świecie. A co chyba jeszcze bardziej interesujące, obydwójce mieli w oczach coś, co zauważył Clovis. Choć handlarz nie bardzo wiedział, co to takiego. Oba naciskał go, ale tamten i tak nie potrafił nic powiedzieć.

Ranek upływał, a Oba najszybciej jak zdołał przebył tworzącą ścieżkę płataninę korzeni, która w końcu zanurzyła się w rozlewisku ciemnej, nieruchomej wody. Zatrzymał się, zasapany, z ociekającą potem twarzą i rozejrzał, wypatrując innej drogi do miejsca, w którym grunt znow zaczynał się podnosić. Wyglądało na to, że droga wiodła potem tunelem wśród gęstej, przesyconej wilgocią roślinności. Ale najpierw musiał przedostać się przez wodę. Był zgrzany, więc nie miał nic przeciwko temu.

Nie widział żadnych zwisających pnączy, których mógłby się przytrzymać, szybko zatem odciął krzepki konar i odarł go z gałązek, sporządzając laskę, która miała mu pomóc utrzymać równowagę.

Z laską w garści zapuścił się w rozlewisko. Wcale go tak nie ochłodziło, jak się spodziewał. Paskudnie cuchnęło i pełno w nim było brązowych pijawek. Brnął przez wodę, wzbudzając falę zmywającą jakieś szczątki z brzegów. Cały czas musiał odganiać od twarzy chmury tnących owadów. Nadal się rozglądał, lecz chyba musiałby się cofnąć i poszukać innej drogi, bo tutaj trzeba było przejść przez wodę. To go skłoniło do brnięcia przed siebie.

Pod powierzchnią tkwiły korzenie, po których można było iść, ale Oba wkrótce zanurzył się aż po pierś, a jeszcze nie dotarł do środka. Woda nim chwiała, co znaczyło, że niezbyt dobrze trzyma się dna. Korzenie były śliskie, nie dawały dobrego oparcia lasce, ale przynajmniej pomagały mu utrzymać równowagę.

Był dobrym pływakiem, ale wolał nie myśleć, co jeszcze mogłoby płynąć wraz z nim, więc wybrał brnięcie przez wodę. Drugi brzeg był już blisko, a on właśnie miał wyrzucić laskę i przepłynąć resztę trasy, żeby splukać z siebie pot, kiedy coś otarło mu się o nogę. Zanim zdążył pomyśleć, co z tym zrobić, „owo coś” mocno go popchnęło, zbiło z nóg i wrzuciło do wody. Jak tylko wpadł w głębinę, stwór oplótł mu nogi.

Oba natychmiast pomyślał o potworach, co podobno zamieszkiwały moczary. W trakcie długiej podróży Clovis bawił go opowieściami o bestiach, ostrzegał, żeby był ostrożny - lecz Oba wyśmiewał go, dufny we własną siłę.

A teraz krzyczał ze strachu, że potwór go dopadł. Szarpał się dziko, przerażony, i usiłował uwolnić nogi, lecz ziejąca ogniem bestia mocno go trzymała i nie zamierzała puścić. Przypomniało mu się, jak matka zamykała go w boksie, kiedy był mały, jaki się wtedy czuł bezradny i bezbronny. Krzyki Oby niosły się ponad spienioną wodą i wracały z mroków trzykrotnie wzmocnione. Przyszło mu do głowy, że jest zbyt młody, żeby umierać, zwłaszcza w tak okropny sposób. Tyle go jeszcze w życiu czekało. Byłoby niesprawiedliwe, gdyby teraz zginął.

Znów krzyknął, rozchlapując wodę i starając się wyrwać. Chciał się wydostać, chciał uciec od okropnego poczucia, że tkwi zamknięty w boksie. Wtedy jego wrzaski nic nie pomagały, więc i teraz nie pomogą. Towarzystwo mu tylko ich echo.

Stwór zniecka mocno nim okręcił, zawirował i wciągnął pod wodę.

Oba w ostatniej chwili zdążył zaczerpnąć powietrza. Kiedy znalazł się pod powierzchnią, szeroko otwartymi z przerażenia oczami zobaczył po raz pierwszy łuski bestii. To był największy wąż, jakiego w życiu widział. Ulżyło mu, bo choć olbrzymi, był to jednak tylko wąż. Mógł być gigantyczny, ale był zwyczajnym zwierzęciem - nie jakimś ziejącym ogniem potworem.

Zanim gad zdążył mu opleść ramiona, Oba złapał nóż i wyszarpnął go z wiszącej u pasa pochwy. Wiedział, że pod wodą nie będzie mógł pchnąć z taką siłą jak na lądzie. Ale i tak dźgnięcie bestii dawało mu jedyną szansę, no i musiał to zrobić, zanim się utopi.

Wyciągał szyję ku zbawczemu powietrzu, lecz powierzchnia coraz bardziej się oddalała, bo opleciony wokół niego wąż wciągał go głębiej i głębiej. Nagle natrafił stopami na coś twardego. Przestał się szarpać ku powierzchni, opuszczał się, uginając kolana. Kiedy już przysiadł jak gotowy do skoku buldog, napiął potężne mięśnie nóg i z całej siły odepchnął się od dna.

Wyskoczył z wody owinięty splotami węża. Wylądował na boku, do połowy poza rozlewiskiem, na poskręcanych korzeniach. Gadowi, który posłużył mu za poduszkę, kiedy obaj uderzyli w korzenie, najwyraźniej się to nie spodobało. Opalizujące zielone łuski połyskiwały w słabym świetle, a cuchnąca woda spływała z zapaśników.

Łeb węża uniósł się ponad ramieniem Oby. Z czarnej maski patrzyły na niego żółte ślepie. Wysunął się czerwony język i dotknął tak kłopotliwej zdobyczy.

Oba uśmiechnął się szeroko.

- Blżej, bliżej, mój piękniśiu.

Gad przesuwiał się falistymi ruchami po jego ciele, wbijając weń groźny wzrok. Jeśli wąż potrafi się gniewać, to ten na pewno był rozeźlony. Szybki jak błyskawica, Oba złapał stwora za ciemnozielonym łbem i zacisnął krzepką dłoń. Przypomniały mu się zapasy, w których z rzadka brał udział. Lubił zapasy. Nigdy nie przepuszczał takiej okazji.

Wąż znieruchomiał i zasyczał. Obaj potężnie umięśnieni, blokowali się nawzajem. Gad starał się jeszcze bardziej opleść Obę i zgnieść go. Była to zażarta walka.

Młodzieniec przypomniał sobie, że jest niezwyciężony, odkąd usłuchał

głosu. Pamiętał, jak przedtem jego życiem rządził strach: strach przed matką, strach przed potężną czarodziejką. Prawie wszyscy bali się czarodziejki, podobnie jak prawie wszyscy obawiali się węży. Jednak Oba stawiał czoło jej groźnej magii. Nasłała na niego ogień i błyskawicę, magię, co wypaliła sobie drogę przez ścianę i pokonałaby każdy opór - lecz on był niezwyciężony. Czymże był jakiś tam wąż w porównaniu z takim przeciwnikiem? Trochę się martwił, że tak krzyczał ze strachu. No bo czegoż miałby się obawiać Oba Rahl, i to zwłaszcza ze strony jakiegoś tam węża?

Przetoczył się wyżej na suchy grunt, ciągnąc ze sobą gada. Uśmiechnął się, podsuwając nóż pod pokrytą łuskami szczękę. Potężne zwierzę znieruchomiało.

Oba, nadal trzymając węża tuż za łbem, niespiesznie próbował wbić nóż. Twarde łuski, przypominające jasną zbroję, nie ustąpiły. Wąż - zagrożony śmiertelnością ostrzem - zaczął się nagle szarpać, tym razem nie po to, żeby go pokonać, ale żeby uciec. Potężne sploty odwinęły się z nóg Oby, przesunęły po ziemi i przebiegały wśród korzeni i małych drzewek, szukając czegoś, o co by się mogły zaczepić. Stopą przysunął ku sobie parę splotów lśniącego zielonego cielska, zapobiegając ucieczce gada.

Ostry jak brzytwa nóż, wciskany krzepką ręką Oby, przebił się nagle przez grube łuski pod szczęką. Oba, zafascynowany, patrzył, jak krew spływa mu po pięści. Wąż oszalał ze strachu i z bólu. Od dawna już nie myślał o pokonaniu przeciwnika. Teraz jedynie desperacko pragnął uciec. Wszystkie siły skierował na osiągnięcie tego celu.

Jednak Oba był silny. Jeszcze nigdy nic mu nie uciekło.

Natężył się i wciągnął szarpiące się, wijące i wyrywające cielsko na wyżej położony, suchszy grunt. Stęknął i podniósł ciężką bestię. Pobiegł, wrzeszcząc z wściekłości, z wężem trzymanym w górze. Potężnym pchnięciem wbił nóż w drzewo, przybijając doń gada - ostrze przechodziło pod zuchwą i przez podniebienie niczym długi trzeci kiel.

Żółte ślepia bezsilnie patrzyły, jak Oba w cięga z buta drugi nóż. Chciał widzieć, jak życie uchodzi z tych obserwujących go żółtych ślepi.

Oba naciął jasny spód cielska, w fałdzie pomiędzy rzędami łusek. To było małe cięcie. Nie takie, żeby zabić. Ale żeby zmieściła się dłoń. I szeroko się uśmiechnął.

- Gotowy? - zapytał stwora, który tylko patrzył, nie mogąc zrobić nic

innego.

Oba najwyżej jak mógł podciągnął rękaw, a potem wepchnął dłoń w nacięcie. Ciasno było, ale wkręcił w żywe cielsko dłoń, potem przegub i wreszcie przedramię. Wpychał rękę coraz głębiej, a wąż kołysał się na boki, nie tylko w bezskutecznych próbach ucieczki, ale i w męce. Oba kolaniem przydusił cielsko do pnia, przydepnął młócający ogon.

Poczuł, jak to jest być wężem, i świat jakby zniknął. Wyobrażał sobie, że staje się zwierzęciem, wnika w jego żyjące cielsko, czuł jego skórę na swojej, kiedy wpychał w niego rękę. Czuł gorące, wilgotne wnętrzości oblepiające jego ciało. Jeszcze głębiej wsunął dłoń. Musiał się nawet przysunąć, by móc dalej wepchnąć ramię - i wreszcie jego oczy znalazły się tuż przed ślepiami węża.

Patrzył w te ślepia i z wielką uciechą widział w nich nie tylko straszliwy ból, ale i najwspanialsze przerażenie.

Wyczuł, że jego cel pulsuje pod śliskimi trzewiami. I wreszcie go znalazł - żywe serce. Biło szaleńczo w jego dłoni, pulsując i podskakując. Patrzyli sobie głęboko w oczy i Oba zacisnął krzepkie palce. Serce pękło - połała się gęsta, ciepła, wilgotna krew. Wąż straszliwie miotał się w agonii. Jednak kiedy Oba trzymał dygoczące pękające serce, ruchy węża stawały się stopniowo coraz powolniejsze; aż w końcu po raz ostatni trzepnął ogonem i znieruchomiał.

Młodzian cały czas patrzył w żółte ślepia - aż stały się martwe. Nie przypominało to oglądania śmierci człowieka, bo brak było tego szczególnego kontaktu z ludzką osobowością, ludzkich myśli, z którymi by się mógł utożsamić - ale i tak wspaniale było obserwować, jak śmierć wnika w żywą istotę.

Moczary coraz bardziej mu się podobały.

Oba - zwycięski i okrwawiony - przykucnął na skraju rozlewiska, umył siebie i noże. Całe to wydarzenie było nieoczekiwane, podniecające i satysfakcjonujące, chociaż musiał przyznać, że z wężem nie było to w żadnym wypadku tak podniecające jak z kobietą. W przypadku kobiety dochodził jeszcze dreszcz rozkoszy, zadowolenie, że wnikał w nią nie tylko dłonią, kiedy pogrążała się w śmierci, w śmierci dzielącej jej ciało z Obą.

Większej intymności być nie mogło. To było uświęcone.

Kiedy Oba skończył, mroczna woda poczerwieniała. Ta barwa nasunęła

mu myśl o rudych puklach Jennsen.

Wyprostował się, sprawdził, czy niczego nie zgubił podczas walki. Poklepał kieszeń, by poznać kojącą obecność ciężko zdobytego bogactwa.

Sakiewki z pieniędzmi nie było.

Przerazony wepchnął dłoń do kieszeni - lecz sakiewka zniknęła. Uświadomił sobie, że musiał ją zgubić w wodzie, kiedy walczył z węzem. Co prawda, żeby jej przypadkowo nie zgubić, uwiązał sakiewkę na rzemyku mocno przyczepionym do pętli przy pasie. Nie pojmował, jak to się mogło stać, ale węzeł na rzemieniu musiał się poluzować w trakcie walki.

Spojrzał wściekle na martwego węża leżącego u stóp drzewa. Wrzeszcząc z wściekłości, złapał nieżywe zwierzę za gardło i tak długo bił jego łbem o pień, dopóki łuski nie zaczęły odpadać.

Wreszcie przestał, zdyszany i zmęczony. Rzucił na ziemię okrwawione cielsko. Zdecydował, przygnębiony, że będzie musiał zanurkować i poszukać sakiewki. Ale najpierw raz jeszcze rozpaczliwie przeszukał kieszeń. Przyjrzał się jej dokładniej i stwierdził, że rzemień wciąż jest przywiązany do pętli przy pasie. A więc nie poluzował się. Wyciągnął z kieszeni resztę rzemienia.

Rzemień odcięto.

Oba odwrócił się, spojrzał ku drodze, którą tu przybył. Clovis.

Clovis zawsze się przysuwał i odsuwał, brzęczał jak uprzykrzona mucha. Kiedy Oba kupował konie, handlarz widział sakiewkę.

Młodzian warknął, patrząc na leżące za nim moczary. Zaczął padać drobny deszcz, szemrał na sklepieniu z liści. Chłodne krople spadały na jego rozpaloną twarz.

Zabije złodziejaska. Powolutku.

Clovis na pewno będzie udawał niewiniątko. Będzie błagał, żeby go przeszukać i przekonać się, że nie ma sakiewki. Oba pomyślał, że tamten zakopał gdzieś pieniądze, zamierzając po nie potem wrócić.

Oba już by go skłonił do zwierzeń. Nie miał co do tego wątpliwości. Clovis miał się za spryciarza, ale nigdy nie spotkał kogoś takiego jak Oba Rahl.

Ruszył przez moczary, żeby skrócić kark handlarzowi, ale szybko się zatrzymał. Nie. Sporo czasu stracił, żeby dotrzeć aż tutaj. Powinien być już blisko chaty Althei. Nie może pozwolić, żeby rządził nim gniew. Musi myśleć. Był bystry. Bystrzejszy niż matka, niż czarodziejka Lathea, niż ten

chudy złodziejasek. Będzie działał rozważnie, a nie pod wpływem ślepego gniewu.

Rozprawi się z Clovisem, kiedy skończy z Altheą.

Oba, w ponurym nastroju, znów ruszył ku chacie czarodziejki.

ROZDZIAŁ 37

Oba obserwował z oddali, poprzez deszcz, lecz nie dostrzegł nikogo przed domem z cedrowych pni, stojącym za drzewami i splątanym podszyciem. Na brzegu niewielkiego jeziora widać było ślady męskich butów. Nie były świeże, ale i tak poprowadziły młodzieńca ścieżką ku domowi. W nieruchomym wilgotnym powietrzu dym wił się leniwie z komina.

Ta chata, niemal ukryta wśród festonów mchów i pnączy, musiała być domem czarodziejki. Nikt inny nie byłby na tyle szalony, by mieszkać w tak ohydny miejscu.

Lekko, ostrożnie wszedł po tylnych schodach na wąską werandę. Od frontu kolumny z grubych bali podtrzymywały niski dach tworzący okap. U stóp szerokich frontowych schodów zaczynała się droga - to na pewno tędy nieśmiało szli do czarodziejki ci, którzy chcieli wróżby.

Oba, wściekły i wcale nie mający ochoty pukać, gwałtownie otworzył drzwi. W kominku płonął niewielki ogień. Izbą była dość słabo oświetlona - tylko blaskiem ognia i światłem wpadającym przez dwa małe okna. Ściany pokrywały wymyślne rzeźby, głównie zwierząt: jedne bezbarwne, inne pomalowane, jeszcze inne pozłacane. Oba nie wyrzeźbiłby zwierząt. Meble były lepsze niż te, wśród których dorastał, ale nie takie dobre jak te, do których się przyzwyczyił.

W pobliżu kominka siedziała na wymyślnie rzeźbionym krześle, niczym królowa na tronie, kobieta o wielkich ciemnych oczach i spokojnie mu się przyglądała znad brzegu kubka. Jej krzesło było najwspanialszym meblem w izbie. Choć długie złote włosy niewiasty były inne i nie miała tak okropnie surowej miny, Oba i tak rozpoznał jej rysy. Spojrzenie w te oczy nie pozostawiało wątpliwości - to musiała być siostra Lathei.

Oczy. Coś z nimi związanego było w jego pamięci.

- Jestem Altheą - odezwała się, odsuwając kubek od ust. Głos miała zupełnie inny niż siostra: był władczy, jak u tamtej, lecz pozbawiony nuty wyższości. Nie wstała. - Przybyłeś o wiele szybciej, niż oczekiwałam.

Oba, starając się od razu zapobiec ewentualnemu zagrożeniu, zignorował ją i pospieszył do tylnych izb. Najpierw sprawdził tę, w której

dostrzegł warsztat. Clovis powiedział mu, że Althea ma męża, Friedricha, i rzeczywiście na tyłach były ślady męskich butów. Na warsztacie leżały równiutko ułożone dłuta, noże, drewniane młotki. We właściwych rękach każde z tych narzędzi mogło się stać śmiertelnoścą bronią. Ale wszystko sprawiało wrażenie odłożonej na pewien czas roboty.

- Mąż poszedł do pałacu - zawołała z krzesła przy kominku. - Jesteśmy sami.

Ale i tak sprawdził. Zajrzał do sypialni - była pusta. Althea mówiła prawdę. Ciszę zakłócał jedynie szmer uderzającego o dach deszczu. Istotnie, byli sami.

Uspokojony, że nikt im nie przeszkodzi, wrócił do głównej izby. Patrzyła, jak ku niej idzie - bez uśmiechu, bez zmarszczenia brwi, bez niepokoju. Oba pomyślał, że gdyby miała choć trochę rozumu, to przynajmniej powinna się niepokoić. Jednak ona wyglądała na pogodzoną z losem lub może śpiącą. Te moczary, z dusznym, wilgotnym powietrzem, na pewno mogły wywoływać senność.

Na podłodze, trochę w bok od jej krzesła, leżała czworokątna plansza z jakimś wymyślnym pozłacanym symbolem. Przypominał coś, co młodzieniec zapamiętał. Obok planszy tkwił stosik małych, gładkich ciemnych kamyczków. U stóp Althei znajdowała się duża czerwono-złota poducha.

Oba znieruchomiał - nagle uświadomił sobie związek pomiędzy zapamiętaną rzeczą a pozłacanym symbolem na planszy. Symbol przypominał mu suszoną główkę kwiatu róży górskiej gorączki, jednego z ziół, które Lathea zwykła dodawać do jego leków. Większość ziół Lathei była już sproszkowana, ale to jedno zawsze było całe. Miażdżyła tylko jeden zasuszony kwiat, tuż przed dodaniem go do leku. Taki złowieszczy związek mógł być jedynie ostrzeżeniem przed niebezpieczeństwem. Miał rację: ta czarodziejka, tak jak się tego obawiał, stanowiła zagrożenie.

Zaciskając i otwierając pięści, stanął nad kobietą i obrzucił ją gniewnym spojrzeniem.

- Drogie duchy - szepnęła do siebie - a myślałam, że już nigdy nie będę musiała patrzeć w te oczy.

- Jakie oczy?

- Oczy Rahla Posępnego. - W jej głosie brzmiała jakaś osobliwa nutka: może żal, może bezradność, a może przerażenie.

- Oczy Rahla Posępnego. - Na twarz Oby wyłynął uśmiech. - Jakie to wspaniałomyślne, żeś o tym wspomniała.

Nie odwzajemniła uśmiechu.

- To nie był komplement.

Uśmiech Oby zniknął.

Tylko trochę go zdziwiło, że wie, iż jest synem Rahla Posępnego. W końcu to czarodziejka. No i siostra Lathei. Któż wie, co tamta wredna baba mogła napaplać z miejsca wiecznego spoczynku w świecie zmarłych.

- To ty zabiłaś Latheę.

Było to nie tyle pytanie, ile potępienie. Oba czuł się pewny siebie, bo był niezwyknięty, lecz pozostał ostrożny. Co prawda całe życie bał się czarodziejki Lathei, a ona w końcu okazała się mniej groźna, niż sobie wyobrażał.

Jednak Lathea pod żadnym względem nie dorównywała tej kobiecie.

Toteż, nie reagując na jej oskarżenie, zapytał:

- Co to takiego dziura w świecie?

Uśmiechnęła się do siebie, a potem wykonała zapraszający gest.

- Może usiądziesz i napijesz się ze mną herbaty?

Oba uznał, że ma na to czas. I tak zrobi z tą kobietą, co zechce - był tego pewny. Nie było pośpiechu. Trochę żałował, że tak szybko rozprawił się z Lathea, zanim pomyślał, żeby najpierw wydobyć z niej odpowiedzi na swoje pytania. No, ale zawsze mówił, że co się stało, to się nie odstanie.

Za to Althea odpowie na wszystkie jego pytania. Już on o to zadba. Zanim skończą, nauczy go wielu nowych rzeczy. Takie długo oczekiwane zaspokojenie należy smakować, a nie spieszyć doń na oślep. Ostrożnie usiadł na krześle. Na zwykłym stoliku stał imbryczek, ale nie było drugiego kubka.

- O, przepraszam - odezwała się, widząc, jak się rozgląda, i dostrzegając zaniedbanie. - Mógłbyś wziąć sobie kubek z tamtej szafki?

- Ty tu jesteś gospodynią, więc czemu sama mi go nie podasz?

Smukłe palce kobiety przesuwają się po spiralnych liniach na zakończeniach poręczy krzesła.

- Bo jestem kaleką. Nie mogę chodzić. Mogę jedynie wlec po domu beużyteczne nogi i wykonać parę prostych czynności.

Oba gapił się na nią, nie wiedząc, czy jej wierzyć. Obficie się pocila - pewny znak czegoś. Bez wątpienia była przerażona obecnością człowieka na

tyle potężnego, że poradził sobie z jej siostrą. Może chciała odwrócić jego uwagę i spróbować uciec, jak tylko pójdzie po kubek.

Althea chwyciła palcami spódnicę i nieco uniosła jej rąbek, pozwalając mu zobaczyć kolana i uda. Pochylił się, żeby popatrzeć. Nogi miała pogruhotane i wychudzone. Wyglądały, jakby umarły wieki temu i nie zostały pochowane. Oba uznał, że to fascynujący widok.

- Mówiłam, że jestem kaleką. - Althea uniosła brew.

- Jak to się stało?

- Dzieło twojego ojca.

A to ci dopiero.

Oba po raz pierwszy poczuł wyraźne powinowactwo z ojcem.

Miał trudny, wyczerpujący poranek i należał mu się kubek herbaty. Nawet go to kusiło. To, co dla niej planował, na pewno wysuszy mu gardło. Przeszedł przez izbę i zdjął z półki największy kubek. Postawił go na stoliku, a ona naląła mu ciemnej, mocnej herbaty.

- Specjalna herbata - wyjaśniła, zauważywszy, że się nachmurzył. - Na moczarach, przy tym gorącu i wilgoci, musiało być okropnie. Rozjaśni również myśli po ciężkich porannych zadaniach. No i wypoci słabość mięśni zmęczonych po tak długiej trasie.

Po ciężkim poranku bolała go głowa. Odzież wreszcie wyschła mu po tej kąpieli i zmył z siebie krew - zastanawiał się jednak, czy ona może jakoś wyczuć, przez co przeszedł. Nie wiedział, do czego jest zdolna, ale się nie niepokoił. Był niezwyknięty, dowiódł tego kres Lathei.

- Twoja herbata na to wszystko pomoże?

- O, tak. To bardzo silny lek tonizujący. Na wiele pomoże. Sam się przekonasz.

Oba spostrzegł, że Althea pije tę samą mocną herbatę. Pociła się, istotnie, więc uznał, że co do tego miała rację. Wypiła resztę i ponownie napełniła swój kubek. Uniosła go w toaście.

- Za słodkie życie, póki jest nasze.

Pomyślał, że to dziwny toast. Brzmiało to niemal tak, jakby przyznawała, iż wie, że umrze.

- Za życie - rzekł i stuknął kubkiem o jej kubek. - Póki jest nasze.

Łyknął ciemnej herbaty. Skrzywił się, rozpoznawszy smak. To ten symbol z planszy: róża górskiej gorączki. Nauczył się rozpoznawać ten gorzki smak

w czasach, kiedy Lathea miażdżyła jeden ususzony kwiat i dodawała do leku dla niego.

- Wypij - odezwała się; oddychała z trudem. Upiła kilka długich łyków. - Jak powiedziałam, to rozwiąże moc problemów. - Opróżniła kubek.

Wiedział, że Lathea, choć tak podła, czasem robiła leki pomagające chorym. Kiedy czekał, aż sporządzi leki dla niego i matki, widział, jak dodaje różę górskiej gorączki do wielu innych mikstur. Althea piła to kubkami, więc najwyraźniej i ona wierzyła w dobroczynne działanie paskudnego w smaku zioła. Przy takiej wilgotności Obę zawsze bolała głowa. Łyknął znowu herbaty, choć była taka gorzka, mając nadzieję, że to ukoi jego obolałe mięśnie i rozjaśni mu w głowie.

- Mam parę pytań.

- Wspomniałeś o tym - stwierdziła Althea, patrząc znad swojego kubka. - I oczekujesz, że odpowiem.

- Właśnie.

Oba znów łyknął mocnej herbaty. Ponownie się skrzywił. Nie pojmował, dlaczego ta kobieta nazywa to herbatą. Nie było w tym nic z herbaty - tylko pokruszone suche kwiaty róży górskiej gorączki i trochę gorącej wody. Ciemne oczy patrzyły, jak odstawia na stolik wielki kubek.

Zerwał się wiatr, bił deszczem w okna. Oba uznał, że w samą porę dotarł do jej domu. Ohydne moczary. Znów zainteresował się czarodziejką.

- Chcę wiedzieć, co to takiego ta dziura w świecie. Twoja siostra mówiła, że możesz zobaczyć dziury w świecie.

- Naprawdę? Nie rozumiem, dlaczego miałyby powiedzieć coś takiego.

- Ooo, przekonałem ją do tego. Czy i ciebie mam przekonać?

Miał nadzieję, że tak. Aż go świerbiło, żeby się zabrać do tej roboty. Ale nie było się po co spieszyć. Miał mnóstwo czasu. Uwielbiał obmyślać zabawy z żywymi stworzeniami. Pomagało mu to zrozumieć, co myślą, więc kiedy nadchodził czas i on patrzył im w oczy, lepiej potrafił sobie wyobrazić, co im chodzi po głowie, kiedy nadciąga śmierć.

Althea skinieniem głowy wskazała dzielący ich stolik.

- Herbata nie podziła, jeżeli za mało wypijesz. Pij.

Zbył machnięciem ręki tę uwagę i nachylił się ku niej, wsparty na łokciu.

- Przebyłem długą drogę. Odpowiedz na pytanie.

W końcu odwróciła wzrok od jego gniewnych oczu i wspomagając się

rękami, zsunęła się z krzesła na podłogę. Ciężko jej to szło, a Oba nie zaproponował pomocy. Fascynowało go obserwowanie, jak ludzie się męczą. Czarodziejka wciągnęła się na czerwono-złotą poduchę, wlokąc bezwładne nogi. Usiadła i skrzyżowała przed sobą martwe kończyny. Poszło jej to z trudem, ale się udało; ruchy miała wyćwiczone, dowód długiej praktyki. Zdumiał go ten wysiłek.

- Czemu nie korzystasz ze swojej magii?

Spojrzała nań wielkimi ciemnymi oczami, pełnymi cichego potępienia.

- Bo twój ojciec zrobił to samo z moją magią co z moimi nogami.

Oba był oszołomiony. Zastanawiał się, czy i ojciec był niezwyciężony. Może to właśnie Oba miał być prawowitym dziedzicem. Może w końcu wtrąciło się przeznaczenie i przeznaczyło Obę do wyższych celów.

- Chcesz powiedzieć, że jesteś czarodziejką, ale nie możesz czarować?

Gdzieś daleko nad moczarami przetoczył się grzmot. Wskazała Obie miejsce na podłodze. Usiadł przed nią, a ona przysunęła planszę z połączonym symbolem i umieściła ją między nimi.

- Zostawił mi tylko zdolność przepowiadania - wyjaśniła. - Nic poza tym. Gdybyś zechciał, mógłbyś mnie udusić jedną ręką, w drugiej trzymając kubek herbaty i pijąc ją. Nie mogłabym ci w tym przeszkodzić.

Oba pomyślał, że to by trochę popsulo zabawę. Walka była częścią każdego prawdziwie satysfakcjonującego pojedynku. A ile mogłaby się wyrwać stara, okaleczona kobieta? Przynajmniej pozostawało jej przerażenie, udręka i oczekiwanie na śmierć.

- Ale nadal umiesz przepowiadać? To stąd wiedziałaś, że nadchodzę?

- W pewnym sensie. - Westchnęła ciężko, jakby ją wyczerpało wciągnięcie się na czerwono-złotą poduchę. Skupiła uwagę na leżącej przed nią planszy, otrząsnęła z siebie znużenie. - Chcę ci coś pokazać - mówiła teraz poufnym tonem. - Może to wyjaśni ci w końcu pewne rzeczy.

Pochylił się ku niej rad, że ostatecznie rozsądnie zdecydowała się wyjawic swoje sekrety. Oba uwielbiał dowiadywać się nowych rzeczy. Patrzył, jak przebiera w stosiku kamieni. Uważnie się kilku przyjrzała, zanim odnalazła właściwy. Inne odłożyła na bok, najwyraźniej w znanym sobie porządku, choć dla niego wszystkie wyglądały tak samo.

Popatrzyła na niego i podsunęła mu przed oczy mały kamień.

- To ty.

- Ja? Co masz na myśli?
- Ten kamień symbolizuje ciebie.
- Czemu?
- Bo tak zdecydował.
- Chcesz powiedzieć, że to ty zdecydowałaś, że będzie mnie oznaczał.
- Nie. Chciałam rzec, że to kamień postanowił cię symbolizować, a raczej, że tak postanowiło to, co kontroluje kamienie.
- A co kontroluje kamienie?

Ze zdumieniem patrzył, jak na twarzy Althei pojawia się uśmiech. I zmienia w pełen groźby grymas. Nawet Lathei nigdy się nie udawało wyglądać tak przeraźliwie wrogo.

- Magia decyduje - wysyczała.

Oba musiał sobie przypomnieć, że jest niezwyciężony. Wskazał pozostałe kamienie, starając się zachować spokój.

- A tamte? Kim one są?
- Myślałam, że chcesz się dowiedzieć o sobie, nie o innych. - Nachyliła się ku niemu nadzwyczaj pewna siebie. - Inni ludzie nic dla ciebie nie znaczą, nieprawdaż?

Zerknął wściekle na jej spokojny uśmiech.

- Chyba nie.

Potrząsnęła zamkniętym w dłoni kamieniem. Nie odrywając wzroku od oczu Oby, rzuciła kamień na planszę. Błysnęło. Kamień potoczył się po planszy i zatrzymał za zewnętrznym połączonym kręgiem. W dali zagrzmiało.

- No i co to oznacza?

Nie odpowiedziała. Nie patrząc, podniosła kamień. Wciąż spoglądała mu w twarz. Znów potrząsnęła kamieniem i bez słowa rzuciła go na planszę. Błysnęło. O dziwo, kamień zatrzymał się w tym samym miejscu co poprzednio - nie w pobliżu, lecz dokładnie w tym samym miejscu. Deszcz bił o dach, nad moczarami przetoczył się grzmot.

Althea szybko podniosła kamień i rzuciła nim trzeci raz, czemu ponownie towarzyszyła błyskawica, tym razem bliższa. Oba oblizali wargi, czekając na wynik rzutu kamieniem, który go symbolizował. Dostał gęsiej skórki, widząc, że mały ciemny kamyk zatrzymuje się dokładnie w tym samym miejscu co przy dwóch poprzednich rzutach. Kiedy kamyk

znieruchomiał, zagrzmiało.

Wsparł dłonie o kolana, odchylił się do tyłu.

- To jakaś sztuczka.

- Nie sztuczka. Magia.

- Myślałem, że nie możesz czarować.

- Bo nie mogę.

- Więc jak to robisz?

- Już ci mówiłam, że to nie ja. Kamienie same tak się toczą.

- To co ma to dla mnie oznaczać, że zatrzymuje się właśnie w tym miejscu?

Zorientował się, że jej uśmiech zniknął, kiedy kamień się toczył. Smukły palec, oświetlony blaskiem ognia, wskazał kamień.

- To miejsce symbolizuje zaświaty - rzekła srogim, ponurym głosem. - Świat zmarłych.

Oba starał się nie okazywać zbyt dużego zaciekawienia.

- A co to ma ze mną wspólnego?

Wielkie ciemne oczy zaglądały mu prosto w duszę.

- To stamtąd pochodzi ów głos, Oba.

Znów dostał gęsiej skórki.

- Skąd znasz moje imię?

Przechyliła w bok głowę, skrywając w głębokim cieniu pół twarzy.

- Dawno temu popełniłam błąd.

- Jaki błąd?

- Pomogłam uratować ci życie. Pomogłam twojej matce zabrać cię z pałacu, zanim Rahl Posępny dowiedział się o twoim istnieniu i spróbował cię zabić.

- Kłamczucha! - Oba porwał kamień z planszy. - Jestem jego synem! Czemu miałby mnie zabijać?!

Nie odrywała od niego przenikliwego wzroku.

- Może dlatego, że wiedział, że będziesz słuchał głosów, Oba.

Oba chciał jej wydrzeć te straszliwe oczy. Wydłubałby je. Ale uznał, że będzie lepiej, jak się najpierw więcej dowie, zbierze się na odwagę.

- Przyjaźniłaś się z moją matką?

- Nie. Tak naprawdę nie znałam jej. Lathea lepiej ją znała. Twoja matka była po prostu jedną z młodych kobiet, które wpadły w tarapaty i którym

groziło niebezpieczeństwo. Pomogłam im, to wszystko. Za to właśnie Rahl Posepny mnie okaleczył. Jeśli wolisz nie wierzyć w jego prawdziwe zamiary wobec ciebie, to zadowol się odpowiedzią, którą sobie wymyślisz.

Oba rozważał jej słowa, sprawdzał, czy łączą się jakoś z czymś, co zapamiętał. Nie znalazł żadnego rzucającego się w oczy związku.

- Razem z Lathea pomagałyście dzieciom Rahla Posepnego?

- Byłyśmy wtedy blisko. Obie na swój sposób pomagałyśmy potrzebującym. Jednak Lathea zaczęła żywić urazę do takich jak ty, do potomków Rahla Posepnego, ze względu na krzywdę, jaka mnie z waszego powodu spotkała. Nie mogła patrzeć na moją karę i cierpienie. Odeszła. Była to z jej strony słabość, ale wiem, że nic nie mogła poradzić na takie odczucia. Kochałam ją, więc nie błagałabym, żeby mnie tu odwiedziła, choćbym nie wiem jak okropnie za nią tęskniła. Już nigdy jej nie zobaczyłam. Tylko tyle dobrego mogłam dla niej zrobić: pozwolić jej uciec. Wyobrażam sobie, że nie patrzyła na ciebie życzliwym okiem. Miała swoje powody, choć były niewłaściwie skierowane.

Oba wcale nie zamierzał pozwolić, by wzbudziła w nim jakieś współczucie dla tamtej okropnej baby. Przyjrzał się ciemnemu kamieniowi i oddał go Althei.

- Trzy razy tylko ci się udało. Rzuć jeszcze raz.

- Nie uwierzyłbyś nawet wtedy, gdybym to zrobiła sto razy. - Podała mu kamień. - Sam to zrób. Sam nim rzuć.

Wyzywająco potrząsnął kamieniem, tak jak ona to robiła. Oparła się o krzesło i przyglądała mu. Oczy zaczynały się jej zamykać.

Oba rzucił kamień na planszę z taką siłą, żeby na pewno wypadł poza nią i zadał kłam czarodziejce. Kiedy kamień wysunął mu się z dłoni, błysnęło tak mocno, że się wzdrygnął i spojrzał w górę w obawie, że błyskawica przeniknie przez dach. Natychmiast huknął grzmot, wstrząsając chatą. Oba miał wrażenie, że aż mu kości zagrzechotały. I już było po wszystkim, słychać było wyłącznie deszcz bijący w nie uszkodzony dach i okna.

Oba uśmiechnął się z ulgą i opuścił wzrok po to tylko, żeby się przekonać, że przekłety kamień leży dokładnie w tym samym miejscu co poprzednio. Podskoczył, jakby go wąż ukąsił. Otarł spocone dłonie o uda.

- To sztuczka. Tylko sztuczka. Jesteś czarodziejką i tylko sobie robisz magiczne sztuczki.

- Teraz to ty zrobiłeś tę sztuczkę, Oba. Ty zaprosiłeś mrok do swojej duszy.

- No, a gdyby nawet!

Uśmiechnęła się.

- Możesz słuchać głosu, Oba, lecz nie jesteś tym właściwym. Jesteś wyłącznie jego sługą, nic więcej. Musi wybrać kogo innego, jeżeli chce pogrążyć świat w ciemnościach.

- Nie wiesz, o czym mówisz!

- Ależ wiem, wiem. Możesz być dziurą w świecie, ale brakuje ci niezbędnego elementu.

- A niby czego?

- Grushdeva.

Poczuł, jak mu się jeżą włosy na karku. Nie rozpoznał słowa, ale jego źródło nie pozostawiało wątpliwości. Ten specyficzny rodzaj słów pochodził wyłącznie od głosu.

- Bezsensowne słowo. Nic nie znaczy.

Długo lustrowała go spojrzeniem, którego się bał, bo było pełne zakazanej wiedzy. Żelazna stanowczość w jej wzroku świadczyła, że żadne ostrze nie wydobędzie z niej tej wiedzy.

- Dawno temu i daleko stąd - powiedziała swoim spokojnym, cichym głosem - pewna czarodziejka wyjawiała mi okruchy mowy Opiekuna. To jedno z jego słów, w jego pierwotnym języku. Nie usłyszałyś go, chyba że byłbyś właściwą osobą. Grushdeva. To znaczy „pomsta”. Nie jesteś osobą, którą wybrał.

Oba pomyślał, że pewnie z niego szydzi.

- Nie masz pojęcia, jakie słowa słyszałem, i w ogóle. Jestem synem Rahla Posępnego. Prawowitym dziedzicem. Nic nie wiesz o tym, com słyszał. Będę miał moc, o której możesz tylko marzyć.

- Wchodząc w układy z Opiekunem, tracisz wolną wolę. Za nic sprzedałeś to, co jest tylko twoje i bezcenne. Sprzedałeś się w najgorszy rodzaj niewoli, Oba. I to w zamian za złudzenie własnej wartości. Nie masz wpływu na to, co będzie. Nie jesteś wybranym. To ktoś inny. - Otarła pot z czoła. - A i to jeszcze musi się rozstrzygnąć.

- Ośmielasz się sądzić, że możesz zmienić przebieg tego, com działał? Dyktować, co ma być? - Własne słowa zdziwiły Obę. Płynęły, zanim zdążył

pomyśleć, by je wypowiedzieć.

- Takie sprawy nie są w gestii mnie podobnych - przyznała. - W Pałacu Proroków nauczyłam się, że nie należy się mieszać w to, co mnie przerasta i nad czym nie zapanuję. Wielki teatr życia i śmierci należy do dziedziny Stwórcy i Opiekuna. - Zdawało się, że przebiegła mina skrywa zadowolenie. - Jednak mogę postępować zgodnie z moją wolną wolą.

Dość już usłyszał. Tylko starała się go zwodzić, mieszać mu w głowie. Z jakiegoś powodu nie potrafił zapanować nad szalenie łomoczącym sercem.

- Co to te dziury w świecie?

- To kres dla takich jak ja - odparła. - I kres wszystkiego, co znam.

Jak to czarodziejka, odpowiedziała idiotyczną zgadywanką.

- A kim są te inne kamienie?

Wreszcie odwróciła od niego te straszliwe oczy, żeby popatrzeć na pozostałe kamienie. Ruchy miała jakieś dziwne, nerwowe. Smukłe palce wybrały jeden z kamieni. Uniosła go i zamarła, położyła drugą dłoń na brzuchu. Oba zorientował się, że coś ją boli. Robiła, co mogła, żeby to ukryć, ale już się jej to nie udawało. Pot na jej czole był oznaką cierpienia. Cicho zajęczała z okropnego bólu. Oba przyglądał się jak urzeczony. Potem ból trochę zelżał. Z ogromnym wysiłkiem usiadła prosto i całą uwagę skierowała na to, co robiła. Wyciągnęła ku niemu otwartą dłoń, na której leżał kamień.

- To ja - powiedziała, z trudem oddychając.

- Ty? Ten kamień to ty?

Przytaknęła i, nie patrząc, rzuciła kamień na planszę. Potoczył się i znieruchomiał, tym razem bez towarzyszenia błyskawicy i grzmotu. Oba przyjął to z ulgą, choć trochę mu było głupio, że tak nim to wcześniej wstrząsnęło. Teraz się uśmiechał. To tylko jakaś głupia gra planszowa, a on jest niezwykły.

Kamień zatrzymał się w narożniku kwadratu tkwiącego pomiędzy dwoma okręgami.

- No i co to oznacza?

- Obrońcę - wykrztusiła, oddychając płytko.

Drżącymi palcami uniosła kamień. Wyciągnęła ku niemu rękę i rozchyliła palce. Kamień, jej kamień, spoczywał na środku dłoni. Wpatrywała się w niego.

Oba również patrzył - i kamień rozsypał się w proch.

- Czemu się tak stało? - wyszeptał, szeroko otwierając oczy.

Althea nie odpowiedziała. Zwiotczała i osunęła się na podłogę. Ręce wyciągnęła przed siebie, nogi przesunęły się na bok. Proch z jej kamienia rozsypał się po podłodze ciemną smugą.

Oba zerwał się na nogi. Znów miał gęsią skórkę. Wystarczająco wiele razy widział, jak ludzie umierają, by wiedzieć, że Althea nie żyje.

Zaczęło grzmieć i błyskać się. Błyskawice rozdzierały niebo, ich biały blask wdzierał się przez okna do izby i padał na martwą czarodziejkę. Pot ściekał Obie po twarzy.

Długo stał wpatrzony w martwe ciało czarodziejki.

A potem uciekł.

ROZDZIAŁ 38

Oba, zasapany i ledwo żywy z wysiłku, wynurzył się z gąszczu na łąkę. Zmrużył oczy i rozejrzał się w jasnym świetle. Był wystraszony, głodny, spragniony, zmęczony i z chęcią rozszarpałby złodziejaszka.

Łąka była pusta.

- Clovis! - ryknął, ale odpowiedziało mu tylko echo. - Clovis! Gdzie jesteś?!

Odpowiedział mu jedynie jęk wichru pomiędzy niebotycznymi skałami. Oba zastanawiał się, czy aby złodziejaszek się nie boi, czy nie chce wyjść ze strachu, bo podejrzewa, iż Oba odkrył, że sakiewka zniknęła, i domyśla się, czyja to sprawka.

- Clovis! Chodź tutaj! Musimy odjeżdżać! Natychmiast muszę wracać do pałacu! Clovis!!!

Oba, ciężko oddychając, czekał na odpowiedź. Wsparł się pięściami pod boki i znów wyryczał w chłodne popołudniowe powietrze imię złodziejaszka.

Żadnej odpowiedzi. Padł na kolana przy ognisku, które Clovis rozpałił rankiem. Wsadził palce w szary popiół. Na łące nie padało, a popioły były zupełnie zimne.

Oba wstał i wpatrzył się w wąską przełęcz, którą przyjechali tu wczesnym rankiem. Wiejący przez pustą łąkę zimny wiatr rozwiewał mu włosy. Palcami obu dłoni przeczesał je, jakby chciał, żeby głowa mu nie pękła, kiedy zaczęła doń docierać okropna prawda.

Uświadomił sobie, że Clovis nie zakopał skradzionej sakiewki. Nigdy nie miał takiego zamiaru. Zabrał pieniądze i uciekł, gdy tylko Oba wyruszył na moczary. Uciekł z fortuną Oby, wcale jej nie zakopywał.

I wtedy Oba - z mdłym, paskudnym, przytłaczającym uczuciem - pojął, co się naprawdę stało. Nikt nigdy nie wchodził na moczary ową tylną drogą. Clovis mu to wmówił i przywiózł tutaj, bo uważał, że Oba przepadnie w tych zdradzieckich mokradłach. Był przekonany, że Oba się zgubi i moczary go pochłoną - jeśli najpierw nie pożrą go potwory, które podobno strzegą tyłów chaty Althei.

Clovis nie musiał zakopywać pieniędzy - uznał, że Oba nie żyje. Odjechał, i to z jego fortuną.

Jednak Oba był niezwycięzony. Przetrwał na moczarach. Pokonał węża. A potem już żadne potwory nie ośmieliły się go atakować.

Clovis myślał pewnie, że nawet jeśli moczary nie wykończą jego dobroczyńcy, to może jeszcze liczyć na dwa śmiertelne zagrożenia. Althea nie zapraszała Oby do siebie, więc handlarz uznał, że nie potraktuje łagodnie nieproszonego gościa. Czarodziejki rzadko były wyrozumiałe. No i miały fatalną sławę.

Jednak Clovis nie przewidział, że Oba jest niezwycięzony.

To pozostawiało złodziejaskowi tylko jedną ochronę przed słusznym gniewem Oby, i to stanowiącą poważny problem: równiny Azrith. Młodzieniec został porzucony w odludnym miejscu. Nie miał żywności. Woda była w pobliżu, ale nie miał jej w czym zabrać. Nie miał konia. Nawet wełnianą kurtkę, całkowicie zbyteczną na moczarach, zostawił usłużnemu handlarzowi. Piesza wędrówka z tego miejsca, bez zapasów i w zimie, wykończyłaby każdego, kto zdołałby ująć z życiem z moczarów Althei.

Oba tkwił w miejscu jak przyrośnięty. Wiedział, że w tej sytuacji umrze, jeżeli spróbuje pieszego powrotu. Czuł, jak pot spływa mu po karku, chociaż było zimno. Huczało mu w głowie.

Odwrócił się i popatrzył ku moczarom. W chacie Althei powinny być potrzebne mu rzeczy: jedzenie, odzież i coś, w czym mógłby zabrać wodę. Oba całe życie jakoś sobie radził. Spakuje trochę rzeczy, tyle by zdołał wrócić do pałacu. Zabierze z chaty czarodziejki jadło. Nie siedziałyby tam sama i kaleka, nie mając pod ręką nic do jedzenia. Jej mąż ma wrócić, ale za kilka dni. Na pewno zostawił jej strawę.

Mógł nałożyć na siebie kilka warstw odzieży, żeby go ogrzewały i umożliwiły pokonanie przeraźliwie zimnych równin. Althea mówiła, że jej mąż udał się do pałacu. Pewnie wziął ciepłą odzież na podróż przez równiny Azrith, ale może zostawił jakieś odzienie w domu. Powinny tam być też koce, które mógłby spakować i potem owinąć się nimi jak peleryną.

Zawsze jednak istniała możliwość, że mężczyzna wcześniej wróci. Z tej strony nie było szlaku, więc pewnie zjawi się tą szeroką drogą po tamtej stronie moczarów. Mógł już tam być i odnaleźć zwłoki żony. Ale Oba się tym nie martwił. Poradzi sobie ze zbolałym mężem. A może ów człek będzie zadowolony, że pozbył się obowiązku dbania o drażliwą kalekę żonę. Bo i do czego była zdatna? Powinien być rad, że się jej pozbył. Może nawet

zapropnuje Obie, żeby się z nim napił, żeby razem świętowali jego wyzwolenie.

Jednak Oba wcale nie miał ochoty świętować. Althea zrobiła mu paskudny numer i odebrała przyjemność, na którą tak czekał - przyjemność, która należała mu się po tak długiej i niebezpiecznej podróży. Westchnął na myśl, jak irytujące i dokuczliwe potrafią być czarodziejki. Przynajmniej zaopatrzy go w to, co jest mu potrzebne na powrót do siedziby przodków. Ale kiedy wróci do Pałacu Ludu, nie będzie miał pieniędzy, chyba że odnajdzie Clovisa. Oba wiedział, że to mało prawdopodobne. Clovis miał jego ciężko zdobyte pieniądze, więc mógł się wybrać do różnych wspaniałych miejsc i tam trwonić ukradzioną fortunę. Złodziejasek pewnie dawno stamtąd zniknął.

Oba nie miał ani miedziaka. Jak przeżyje? Nie mógł znów wrócić do ubogiego życia, żyć tak, jak żyli z matką - nie teraz, kiedy odkrył, że jest Rahlem, niemal członkiem rodziny panującej.

Nie mógłby wrócić do dawnego życia. Nie potrafiłby. Kipiąc gniewem, skoczył w dół skalnym grzbietem. Robiło się późno. Nie miał czasu do stracenia.

Oba nie dotknął ciała.

Nie był przewrażliwiony na punkcie zmarłych, nie bał się ich. Wprost przeciwnie, fascynowali go. Sporo czasu spędził przy zwłokach. Ale ta kobieta przyprawiała go o dreszcze. Nawet martwa, zdawała się go obserwować, kiedy przeszukiwał jej chatę, rzucając odzież i zapasy na stos pośrodku izby.

W tej rozciągniętej na podłodze kobiecie było coś bluźnierczego, grzesznego. Nie zbliżały się do niej nawet brzęczące w izbie muchy. Lathea była źródłem kłopotów, ale ta kobieta była zupełnie inna. Althea zrobiła jakiś paskudny numer i odmówiła mu wiadomości, na które zasłużył po długiej i trudnej podróży.

Oba wściekał się na to, jak wredne potrafią być czarodziejki. Przynajmniej da mu to, co potrzebne na drogę powrotną do siedziby przodków. W tej kobiecie było coś niesamowitego. Potrafiła go przejrzeć na wylot. Lathea nigdy nie była do tego zdolna. Kiedyś, rzecz jasna, myślał, że ona to potrafi, lecz nie potrafiła. Nie umiała. A ta tu - tak.

Potrafiła dostrzec w nim głos.

Nie wiedział, czy jest przy niej bezpieczny, choć niby była martwa. Skoro jest niezwyciężony, to wszystko się pewnie brało z jego bujnej wyobraźni, lecz ostrożności nigdy dość.

W sypialni znalazł ciepłe wełniane koszule. Nie były jego rozmiaru, ale się w nie wciśnie, jeżeli tu i ówdzie porozdziera trochę szwy. Kiedy był zadowolony z dokonanych poprawek, cisnął je na stertę. Nie pozwoli mu zmarznąć. Do sterty pośrodku głównej izby dorzucił koce i koszule.

Zirytowany, że opieszwały męzulek jeszcze nie wrócił, chcąc oderwać myśli od tej bezczelnej martwej baby, która leżała i gapiała się, jak on tyra, układał plany zabicia kogoś, zanim oszaleje. Może zgładzi tę fałszywą i zjadliwą kobietę. Tę, co ma wokół oczu paskudne zmarszczki od ciągłego naburmuszenia; takie, jakie miała matka. Ktoś musi zapłacić za to wszystko, przez co musiał przejść. To nie było sprawiedliwe. Nie było.

Na zewnątrz było już ciemno. Musiał zapalić lampę, żeby móc dalej szperać w chacie. Miał szczęście - w niskiej szafce znalazł bukłak. Kucnął i przeszukiwał zbiorowisko dziwacznych kawałków płótna, poszczerbionych kubków, połamanych kuchennych narzędzi, zapasów wosku i knotów. Z samego tyłu wyciągnął małą rolkę grubego płótna. Wypróbował, czy jest mocne, i uznał, że może z niego uszyć plecak. Z innych kawałków robi paski. Na niskiej półce stały przybory do szycia.

Zauważył, że wszystkie potrzebne rzeczy są na niskich półkach, żeby mogła do nich sięgnąć kaleka czarodziejka o złych oczach. Czarodziejka pozbawiona magii. Na pewno nie. Była zazdrosna, bo głos wybrał jego, a nie ją. Knuła coś.

Wiedział, że zebranie wszystkiego i sklecenie plecaka zabierze mu trochę czasu. Nocą nie mógł stąd wyruszyć. Nocą na pewno nie przedostanie się przez moczary. Był niezwyciężony, a nie głupi.

Ustawił obok zapaloną lampę, usiadł przy warsztacie i zaczął zszywać plecak. Althea przyglądała mu się z podłogi w głównej izbie. Była czarodziejką, więc wiedział, że zakrycie kocem jej głowy nic nie da. Skoro mogła go obserwować aż ze świata zmarłych, to zwyczajny koc na pewno nie zakryje jej martwych oczu. Musi się pogodzić z faktem, że ona patrzy, jak on pracuje.

Kiedy już skończył plecak, wypróbował go ku swemu zadowoleniu, położył na ławie i zaczął pakować odzież i żywność. Miała suszone owoce i

takież mięso, kiełbasy i sery. Były też suchary, łatwe do niesienia. Nie zawracał sobie głowy garnkami ani pokarmem, który trzeba gotować, bo wiedział, że na równinach Azrith nie ma z czego rozpalić ognia, a na pewno nie zdoła wlec ze sobą drew. Musi być szybki i nie przeciążony. Miał nadzieję, że powrót do pałacu zajmie mu tylko parę dni.

Nie miał pojęcia, co zrobi, gdy już dotrze do pałacu, jak przetrwa bez pieniędzy. Zastanawiał się przelotnie nad tym, by je ukraść, lecz odrzucił ów pomysł - nie jest złodziejem i nie zniży się do zostania przestępcą. Nie wiedział, jak poradzi sobie w pałacu. Jednego był pewny - musi tam dotrzeć.

Kiedy wreszcie skończył się pakować, oczy mu się zamykały i bez przerwy ziewał. Przez całą tę robotę i ciepło z cuchnących moczarów okropnie się pocił. Nawet nocą było tu paskudnie. Nie pojmował, jak ta wiedząca wszystko czarodziejka mogła znosić życie tutaj. Nic dziwnego, że jej mąż chadzał do pałacu. Pewnie popijał piwko i uważał się koleżkom, że musi wracać do swojej moczarowej żonki.

Obie wcale się nie podobało, że musi spać w tej samej chacie co czarodziejka, ale w końcu była martwa. Mimo to dalej jej nie dowierzał. Mogła szykować jakąś sztuczkę. Znów ziewnął i otarł pot z czoła.

Na podłodze w sypialni leżały obok siebie dwa dobrze wypchane sienniki. Jeden był równiutko zasłany, drugi - mniej porządnie. Sądząc po wzorowym porządku na warsztacie, ten równiutko zasłany był pewnie męża, drugi zaś - Althei. Ponieważ leżała, martwa, na podłodze w drugiej izbie, nie czuł aż takich oporów przed przespaniem się na miutkim, miękkim sienniku.

Mąż na pewno nie wróci do domu po ciemku, toteż Oba nie obawiał się, że ocknie się duszony przez szaleńca. Uznał jednak, że lepiej podeprzeć krzesłem kłamkę, a dopiero potem ułożyć się do snu. Zapewnił sobie bezpieczeństwo i ziewnął, gotów się położyć. Mijając Altheę, spojrzął na nią zimno.

Zasnął natychmiast, ale źle spał. Dręczyły go sny. W chacie na moczarach było gorąco. Wszędzie indziej panowała zima, więc nie przystosował się do takiej duchoty. Na zewnątrz monotonnie brzęczały owady, pohukiwały i nawoływały się nocne zwierzęta. Ułożył się inaczej, próbując uciec od niesamowitego spojrzenia i znaczącego uśmiechu czarodziejki. Szły za nim, bez względu na to, jak się obrócił, i nie pozwalały głęboko zasnąć.

Obudził się na dobre, jak tylko zaczęło się rozjaśniać na zewnątrz.

Był na posłaniu Althei.

Tak szybko chciał się wyplątać z przykrycia i umknąć z jej siennika, że przeturlał się i stanął na czworakach. Pod jego ciężarem dłoń pogrzyżyła się w sienniku. Przerażony, zrzucił pościel i odwrócił siennik, by sprawdzić, jakąż to paskudną sztuczkę dla niego szykowała. Wiedziała, że do niej idzie. Coś knuła.

Pod siennikiem zobaczył obluzowaną deskę. Tylko to się stało - zachwiała się obluzowana deska. Oba nachmurzył się podejrzliwie. Przyjrzał się dokładniej: deska miała pośrodku kołki, mogła się przechylać.

Ostrożnie popchnął w dół jeden jej koniec. Drugi uniósł się. W skrytce pod deską było drewniane pudełko. Wyjął je i spróbował otworzyć, ale było zamknięte. Nie miało otworu na klucz ani wyraźnie odznaczającej się pokrywki, zatem pewnie trzeba było jakiejś sztuczki, żeby je otworzyć. Było ciężkie. Potrząsnął nim i ze środka dobiegł stłumiony grzechot. Może to tylko jakaś broń, którą kaleka trzymała pod łóżkiem, na wypadek gdyby ją w nocy zaatakował wąż lub coś innego.

Oba, trzymając w krzepkiej dłoni pudełko, powlókł się ku warsztatowi. Usiadł na taborecie i pochylił się. Wybrał dłuto i młotek, przekonał się, że czarodziejka dalej leży na podłodze w tamtej izbie i obserwuje go.

- Co jest w pudełku? - zawołał do niej.

Nie odpowiedziała, rzecz jasna. Nie zamierzała współpracować. Gdyby okazała dobre chęci, odpowiedziałaby na jego pytania, zamiast padać trupem po tej sztuczce z rozsypującym się w proch kamieniem. Czuł dreszcze na samo wspomnienie o tym. W całej tej sprawie było coś, nad czym wołał się nie zastanawiać.

Oba dźgał pudełko dłutem. Wypróbował każde złączenie, ale nie chciało się otworzyć. Tłukł je młotkiem, lecz tylko złamał trzonek. Westchnął, uznawszy, że to tylko środek samoobrony, który Althea trzymała pod łóżkiem.

Wstał, żeby zabrać rzeczy i sprawdzić, czy ma wszystko. Miał powyżej uszu dziwnych zdarzeń i dziwadeł, jakie za sobą zostawiła. Trzeba było ruszać w drogę.

Wtem zatrzymał się i zawrócił, czując wewnętrzny nakaz. Skoro to ciężkie pudełko było bronią, powinna je trzymać pod ręką. Musiało być

ważne, bo inaczej nie chowałyby go pod podłogą. Coś w jego wnętrzu mu to powiedziało.

Znów usiadł przy warsztacie, zdecydowany dostać się do pudełka. Wybrał najwęższe dłuto i drugi młotek. Wepchnął ostre dłuto w dłuższe złączenie, blisko rogu. Pot ściekał mu z nosa, stękał z wysiłku i uderzał w rączkę dłuta, próbując otworzyć pudełko i sprawdzić, czy w środku jest tylko obciążenie.

Nagle drewno puściło z głośnym trzaskiem i pudełko otworzyło się. Posypały się złote i srebrne monety. Oba stał i patrzył na stosik na warsztacie. W pudełku niemal nic nie grzechotało, bo było całkiem zapchane. To była fortuna - prawdziwa fortuna.

A to ci dopiero.

Musiało tu być ze dwadzieścia razy więcej złota, niż ukradł mu ten frant Clovis. Oba sądził, że tchórzliwy złodziejasek wpędził go w biedę, a tu się okazało, że stał się bogatszy, niż był - bogatszy niż w najśmielszych marzeniach. Naprawdę jest niepokonany. Pokonał przeciwności i nieszczęścia, które zniszczyłyby kogoś mniejszego kalibru - i oto los go sprawiedliwie nagroził. Wiedział, że była to nagroda od sił wyższych.

Oba uśmiechnął się do kobiety, która przyglądała się jego triumfowi.

W szufladach warsztatu znalazł mieszki z narzędziami. Były tam trzy śliczne skórzane mieszki ze starannie wykonanymi frezami. Pewnie trzymano je w mieszkach, żeby ostrza się nie stępiły i nie powyginały. W płóciennym woreczku był zestaw cyrkli. W innych - kalafonia i inne dziwaczne narzędzia. Mąż był nadzwyczaj porządny. Pewnie życie z żoną na moczarach rzuciło mu się na rozum.

Oba otarł pot z oczu i zebrał wszystkie monety pośrodku warsztatu. Podzielił je na równe stosiki i starannie przeliczył każdy, żeby się dowiedzieć, ile pieniędzy zdobył.

Wsypał monety do skórzanego i płóciennego woreczka, po czym włożył je do oddzielnych kieszeni. Dla bezpieczeństwa zawiązał każdy woreczek dwoma rzemykami, biegnącymi do różnych pętli u pasa. Mniejsze woreczki przywiązał do nóg lub umieścił je w czubkach butów. Rozpiął spodnie i umocował w nich kilka najcięższych mieszków, żeby nikt się do nich nie dostał. Napomniał się, że powinien uważać na roznamiętione damulki z lepкими łapkami, żeby przypadkiem nie zdobyły więcej, niż sam zechce im

dać.

Oba wyciągnął wnioski z nauki. Od teraz nie będzie trzymał swego dobra w jednym miejscu. Taki bogacz musi chronić swoją własność. Na świecie aż roiło się od złodziei.

ROZDZIAŁ 39

Oba dotarł wreszcie na obrzeża placu targowego. Po samotnej podróży przez rozległe puste równiny aż kręciło mu się w głowie od tego gwaru i ruchu. Normalnie interesowałby się tym, co się tu działo, ale tym razem nie zwracał na to zbytnej uwagi.

Już wcześniej się dowiedział, że w pałacu można wynająć pokoje. Właśnie tego chciał: dostać się do Pałacu Ludu i znaleźć odpowiedni pokój. Spokojny. Podje sobie i wypocznie, żeby odzyskać siły, potem kupi trochę przyodziewku i się rozejrzy. Teraz jednak potrzebował wyłącznie zacisznego pokoju i odpoczynku. Z jakiegoś powodu mdliło go na samą myśl o jedzeniu.

Wydawało mu się niestosowne, że Rahl musi się zniżać do wynajmowania pokoju w siedzibie własnych przodków, ale tym zajmie się później. Teraz chciał się wreszcie położyć. W głowie mu huczało. Oczy go bolały, ilekroć chciał na coś spojrzeć, więc szedł ze zwieszoną głową i starał się patrzeć wyłącznie na ziemię pod stopami.

Dzięki niesamowitej sile woli przebył długą trasę od tych ohydnych moczarów do pałacu. Pocił się, chociaż było zimno. Pewnie za bardzo się bał mrozów na równinach Azrith i zbyt ciepło się ubrał na tę podróż. W końcu szło na wiosnę i już nie było tak zimno jak w środku zimy, kiedy jego szalona matka obarczyła go upokarzającym zadaniem rozbicia i usunięcia zamarznętej kupy nawozu.

Oba szarpnął wałek materiału uwierający go w pachę. Koszule były za małe, więc musiał tu i ówdzie porozrywać szwy, żeby się w nie zmieścić. Niektóre rękawy się podarły i podjechały w górę ramion, pod zewnętrznymi warstwami, które teraz zwisały jak postrzępione proporce. Plecak z grubego płótna, tak pospiesznie sklecony, też się rozpadał, rogi ciemnego wełnianego koca powiewały za Obą.

Podjejrzał, że wygląda jak żebrak z tymi przezierającymi przez rozdarcia ubraniami w rozmaitych kolorach i w brązowym wełnianym kocu, służącym mu za pelerynę. A miał dość pieniędzy, żeby z tuzin razy zapłacić za cały targ. Później kupi sobie eleganckie ubranie Rahla. Najpierw cichy, spokojny pokój i długi, porządny wypoczynek.

Ale żadnego jedzenia. Absolutnie nie miał ochoty jeść. Wszystko go

bolało - nawet mruganie sprawiało ból - ale szczególnie dokuczały mu wewnętrzności.

Kiedy był tutaj wcześniej, te smakowite aromaty sprawiały, że ślina napływała mu do ust. Teraz kuchenne wonie wywoływały mdłości. Zastanawiał się, czy to aby nie dlatego, że ma teraz bardziej wyrobiony smak. Ze może w pałacu zdobędzie coś delikatniejszego. Ale owa myśl nie ożywiła jego apetytu. Nie był głodny, tylko zmęczony.

Oba, z zamykającymi się oczami, włókł się prowizorycznymi uliczkami placu targowego. Kierował się ku płaskowyżowi górującemu nad okolicą. Plecak tak mu ciążył, jakby dźwigał troje sporych ludzi. Pewnie to jakaś sztuczka tej moczarowej czarodziejki, jakiś rzucony przez nią urok. Wiedziała, że do niej idzie, więc pewnie magicznie dodała ciężaru swoim kiełbasom. Na samą myśl o kiełbasach żołądek mu się skurczył.

Zapatrzony w pałac lśniący w słońcu wysoko ponad głowami, Oba znienacka się z kimś zderzył, aż obaj stęknęli. Już miał kopniakiem zrzucić z drogi irytującą przeszkodę, kiedy przygarbiony stos szmat odwrócił się i zaklął.

To był Clovis.

Zanim Oba zdążył go złapać, Clovis poderwał się i zanurkował pomiędzy mijających ich dwóch starszych mężczyzn. Oba, pędzący tuż za nim, ale szerszy, roztrącił ich. Upadli, a on ich minął, z trudem utrzymując równowagę, i rzucił się na złodziejaszka. Clovis zatrzymał się. Spojrzał w lewo, potem w prawo. Młodzieniec skoczył na obszarpanego złodzieja, lecz drobny człeczyna zdążył przeciąć kolejną uliczkę i wysliznąć się z sięgających po niego rąk. Oba chybił celu i złapał jedynie strzępek z rękawa handlarza oraz tuman kurzu, który uderzył go prosto w twarz. Kiedy się podnosił, zobaczył, jak Clovis przeskakuje ognisko, przy którym ludzie piekli nakłute na patyki kawałki mięsa, i umyka między uwiązane konie. Taki garbusek, a potrafił mknąć jak wiatr. Jednak Oba był wielki i silny - i szybki. Zawsze szczyił się swoją chyżością. Przeskoczył ognisko i pognął między konie, starając się nie tracić z oczu swojej ofiary.

Konie wystraszyły się biegających pośród nich mężczyzn. Kilka wypłoszonych zwierząt stanęło dęba, szarpnęło postronkami i zerwało się. Człowiek, który ich pilnował - wyrzaskując groźby i przekleństwa, które Oba ledwo słyszał i o które nie dbał - zastąpił mu drogę. Młodzieniec,

skupiając całą uwagę na ściganym złodziejaszku, odepchnął rozwścieczonego typka. Kolejne konie stawały dęba. Oba, nie zatrzymując się ani na chwilę, pędził za Clovisem.

Tak naprawdę, nie potrzebował tamtych pieniędzy. Teraz miał fortunę. Miał więcej pieniędzy, niż zdoła wydać - choćby i niezbyt na nie uważał. Jednak tu nie chodziło o pieniądze. Chodziło o przestępstwo, o zdradę. Oba mu zapłacił, zaufał i został oszukany. Co gorsza, zrobiono z niego głupka. Matka zawsze mu mówiła, że jest głupi. Oba głupek, tak zawsze go nazywała. Nie zamierzał pozwolić, by ktoś znowu robił zeń głupka. Nie pozwoli, by się okazało, że jego zarozumiała mamuska miała rację.

To nie zasługa Clovisa, że Oba zwyciężył i wyszedł z moczarów bogatszy niż kiedykolwiek. O nie, zawdzięcza to wyłącznie sobie. Akurat kiedy sądził, że znowu jest biedny, zdołał odnaleźć ukryte bogactwo, które w końcu mu się należało, i to z wielu powodów, w tym za trudną i długą wyprawę do Althei. Do czarodziejki, która na dodatek okradła go z wiedzy, i to bez przyczyny, z absolutnej podłości.

Clovis to wszystko uknuł i zostawił go tam na pewną śmierć. Zamierzał zabić Obę. Jeżeli Oba przeżył, to nie dzięki złodziejowi. Ten typ był mordercą, jak się dobrze nad tym zastanowić. Zabójcą. Lud D'Hary będzie miał wobec Oby Rahla dług wdzięczności za to, że szybko i sprawiedliwie rozprawi się z tym niegodziwym przestępcą.

Clovis obiegł narożny stragan z mnóstwem wyrobów z baraniego rogu. Oba, cięższy, minął narożnik i kiedy usiłował skrócić, pośliznął się na końskim łajnie. Z ogromnym trudem i dzięki niezwyklej zręczności utrzymał równowagę. Całe lata strawił pośród takich nieczystości, dźwigając ciężkie kłody, oporządzając zwierzęta i biegając, kiedy matka wrzeszczała. Musiał to wszystko robić w najrozmaitszych warunkach, w tym na mrozie.

Wszystkie te lata trudów przygotowały Obę do pokonania zakrętu, na co nie miałby szans nikt inny z jego wagą i rozmiarami. Gładko i szybko skreślił, co zaszokowało złodzieja. Clovis obejrzał się z drwiącym uśmiechem, najwyraźniej przekonany, że Oba się przewrócił - i osłupiał, widząc, jak ten pędzi ku niemu ile sił. Handlarz, któremu strach przed nadciągającą sprawiedliwą karą dodał skrzydeł, skoczył w następną prowizoryczną uliczkę, węższą i mniej ludną. Jednak tym razem Oba był tuż za nim. Złapał go za ramię okryte rozwianymi szmatami i okręcił ku sobie. Clovis się

potknął. Dziko machał rękami, próbując utrzymać równowagę i - jednocześnie - uciec.

Handlarzowi oczy wychodziły z orbit. Raz ze zdumienia, a dwa - z powodu dłoni zaciskającej mu się na gardle. Twarde palce Oby tłumiły tak skrzek, jak i błagania.

Młodzieniec, zupełnie zapomniawszy o znużeniu, wciągnął zdradzieckiego, szarpiącego się i kopiaącego złodziejaszka pomiędzy dwa wozy. Ich płócienne budy osłaniały wąskie przejście. W głębi przerwy znajdowała się wysoka ściana ze skrzyń. Plecy Oby równie szczelnie jak drzwi więzienia odcięły od świata skąpą przestrzeń między zaprzęgami. Słyszał za sobą ludzi zajmujących się swoimi sprawami, śmiejących się i rozmawiających, idących spiesznie w ten rzeński dzionek. A gdzieś w oddali inni sprzeczali się i targowali z kupcami o cenę. Mijały ich brzęczące uprzęży konie. Drobnymi handlarze przebiegali uliczki, piskliwie zachwalając swoje towary i starając się przywabić kupujących.

Tylko Clovis milczał, ale nie z własnej woli. Kłamliwe usta handlarza otworzyły się - chciał coś powiedzieć. Jednak kiedy Oba uniósł go, tamten potoczył oczami i stało się jasne, że tylko usiłował - bezskutecznie - wrzasnąć o ratunek. Kopiając powietrze, szarpał mocne palce otaczające jego szyję. Łamał brudne paznokcie, desperacko drapiąc zaciśniętą na jego gardle żelazną pięść sprawiedliwości. Oczy miał wielkie jak złote marki, które ukradł Obie.

Oba trzymał go w górze jedną ręką, przyciskając do ciężkiej skrzyni, a drugą przeszukiwał mu kieszenie - ale nic nie znalazł. Clovis rozpaczliwie wskazał swoją pierś. Młodzieniec wyczuł jakieś wybrzuszenie pod warstwami potarganych szmat i koszulą. Rozdarł koszulę i zobaczył znajomą wypchaną sakiewkę, zawieszoną na rzemyku na szyi złodzieja.

Potężne szarpnięcie wcisnęło rzemień w kark handlarza, aż w końcu skórzany pasek pękł.

Oba wsunął sakiewkę do kieszeni. Clovis próbował się uśmiechnąć, przybrać przepaszającą minę na znak, że już wszystko w porządku.

Jednak Oba nie miał zamiaru wybaczyć. Huczało mu w głowie z wściekłości. Przycisnął barki Clovisa do ciężkich drewnianych skrzyń i uderzył go pięścią w brzuch. Handlarz spurpurowiał. Młodzieniec przyłożył mu w tę paskudną usmarowaną gębę. Poczul, jak pęka kość. Trafił łokciem w

kłamliwe, wyrachowane usta i wybił przednie zęby. Warknął i raz za razem trzykrotnie potężnie przyłożył frantowi. Po każdym ciosie głowa Clovisa leciała do tyłu, tłuste włosy barwiły się krwią, ilekroć uderzał czaszką o skrzynie.

Oba szalał. Doświadczył poniżenia jako bezradna ofiara złodzieja, który zostawił go na pewną śmierć. Zaatakował go olbrzymi wąż. Omal nie utonął. Althea szydziła zeń i oszukała go. Bez pozwolenia zajrzała w jego duszę. Ograbiła go z wiedzy, zlekceważyła jego wysiłki, by zostać kimś, i na dodatek umarła, zanim ją zdążył zabić. Męczył się, maszerując przez równiny Azrith, odziany w łachmany - on, Oba Rahl, członek rodu panującego. To była straszliwa, upokarzająca zniewaga.

Był rozgniewany, i miał do tego prawo. Ledwo potrafił uwierzyć, że wreszcie ma w rękach przyczynę swojego sprawiedliwego gniewu. Łotr nie uniknie należnej kary.

Przydusił Clovisa kolanem do ziemi i wreszcie dał upust sprawiedliwemu gniewowi, zatracił się w pomście. Nie bardziej czuł ciosy niż ból, który go przedtem dręczył. Przeklinał krwiożerczego złodzieja i czynił sprawiedliwość, zamieniając go w krwawą masę.

Po twarzy Oby spływał obfity pot. Dyszał i okładał Clovisa. Ramiona miał jak z ołowiu. Zmęczył się i w głowie mu huczało równie potężnie jak od ciosów własnych pięści. Ledwie widział obiekt swojego gniewu.

Ziemia była przesiąknięta krwią. Trudno było rozpoznać to, co kiedyś było Clovisem. Żuchwę miał potrzaskaną, zwisała smętnie. Jedno oko było wbite do środka. Kolano Oby złamało mu mostek i zmiażdżyło pierś. To było wspaniałe.

Oba poczuł, jak czyjeś ręce chwytają go za odzienie i ramiona, a potem odciągają. Nie miał siły się opierać. Kiedy wywleczono go spomiędzy wozów, ujrzał tworzący półkole tłum przerażonych ludzi. Sprawilo mu to przyjemność, bo oznaczało, że Clovis dostał to, na co zasłużył. Słuszna kara za przestępstwa powinna przerażać ludzi i stanowić przykład. Tak by powiedział ojciec.

Oba lepiej przyjrzał się ludziom wywlekającym go spomiędzy zaprzęgów. Otoczyła go ściana skórzanych pancerzy, kolczug i stali. Piki, miecze i topory lśniły w słońcu. Wszystkie celowały w niego. Mógł tylko mrugać powiekami, zbyt wyczerpany, żeby ich wszystkich odprawić gestem.

Wyczerpany, zdyszany i zlany potem nie mógł unieść wysoko głowy. Zwiśł bezwładnie w rękach przytrzymujących go żołnierzy i otoczyła go ciemność.

ROZDZIAŁ 40

Friedrich, oszołomiony i przygnębiony, przytrzymał się łopaty i osunął na kolana. Przysiadł na piętach, a łopata upadła na zimny grunt. Chłodny wiatr rozwiewał mu włosy i długie trawy wokół świeżo skopanej ziemi.

Jego świat obrócił się w popiół.

Zrozpaczony, nie potrafił myśleć o niczym innym.

Zaszlochał. Martwił się, że może źle zrobił. Tu było zimno. Troskał się, że Althea zmarznie. Nie chciał, żeby jej było zimno.

Ale tu było też słonecznie. A Althea kochała słoneczny blask. Zawsze mówiła, że lubi czuć na twarzy słońce. Chociaż na moczarach było gorąco, promienie słońca rzadko docierały do ziemi, a przynajmniej nie tam, gdzie mogłaby je widzieć ze swojego więzienia.

Jednak dla Friedricha jej włosy były złocistym blaskiem słońca. Zawsze burczała, słysząc takie określenie, ale kiedy zbyt długo tego nie mówił, niewinnie pytała, czy dobrze wyszczotkowała włosy i czy ładnie wygląda dla tych, którzy mają przyjść po wróżbę. Zawsze przybierała niewinną minę, kiedy dążyła do tego, czego chciała. Wtedy mówił jej, że ma włosy jak słoneczny blask. A ona się rumieniła jak nastolatka i mówiła: „Och, Friedrichu”.

Teraz słońce już nigdy dla niego nie zaświeci.

Rozmyślał nad tym, co zrobić, i uznał, że tak będzie dla niej lepiej: że lepiej jej będzie tu, w górze, na łące, poza moczarami. Chociaż za życia nigdy nie mógł jej stąd zabrać, mógł to zrobić przynajmniej teraz. Słoneczna łąka będzie dla niej odpowiedniejszym miejscem spoczynku niż poprzednie więzienie.

Wszystko by dał, żeby ją wcześniej stąd zabrać, znów pokazać jej piękne miejsca, zobaczyć, jak się uśmiecha, beztroska, w słonecznym blasku. Jednak nie mogła opuścić moczarów. Inni, w tym on, mogli bezpiecznie chodzić jedynie frontową drogą. Żadną inną trasą nie można było ominąć bestii stworzonych jej mocą. Ale dla niej i to przejście nie było dostępnym.

Friedrich wiedział, jak straszliwy los czekał każdego, kto ośmieliłby się zapuścić na moczary. W ciągu tych wszystkich lat zdarzyło się kilka razy, że jacyś nieostrożni lub ryzykanci zbaczali z drogi lub usiłovali przejść tylną

trasą, gdzie nawet on nie ośmielał się zapuszczać. Altheę ogromnie dręczyło, że jej moc odebrała tym biedakom życie. Nawet sama czarodziejka nie pojmowała, jak Jennsen udało się bezpiecznie przebyć tę tylną drogę.

Friedrich niósł Altheę w jej ostatnią podróż właśnie ową tylną drogą, symbolizując tym odzyskaną wolność żony.

Jej potwory zniknęły. Była teraz z dobrymi duchami.

On zaś został sam.

Zgiął się w udręce i szlochał na jej świeżym grobie. Świat stał się nagle pusty, samotny, martwy. Wbił palce w ziemię, zimną ziemię okrywającą jego ukochaną. Przygniatało go poczucie winy, że tu nie został, by ją bronić. Był przekonany, że gdyby został, to by żyła. Nadal by żyła. A tylko tego pragnął. Żeby Althea żyła. Żeby do niego wróciła. Żeby była z nim.

Uwielbiał wracać do domu, żeby jej opowiedzieć o wszystkim, co widział - o ptaku lecącym nad polem, o drzewie z lśniącym w słońcu listowiem, o drodze wijącej się jak wstążka wśród wzgórz - o wszystkim, co wniosłoby trochę świata w jej więzienie.

Na początku nie opowiadał jej o otaczającym ich świecie. Myślał, że jeżeli opowie jej o tym, co jest poza moczarami, o tym, co nagle znalazło się poza jej zasięgiem, to ona jedynie poczuje się bardziej przykuta do tego miejsca, bardziej odizolowana, będzie bardziej cierpieć. Althea zaś uśmiechnęła się promiennie i powiedziała, że chce słyszeć o wszystkim, co on zobaczy, bo w ten sposób przeciwstawi się pragnieniom Rahla Posępnego, który chciał ją tu uwięzić. Powiedziała, że Friedrich będzie jej oczami, dzięki którym ucieknie ze swojego więzienia. Dzięki opowieściom ukochanego umysł Althei wymykał się z więzienia. I tak oto Friedrich pomagał się jej przeciwstawić temu niegodziwcowi, który pragnął, by już nigdy nie zobaczyła świata.

Dlatego też nie miał wyrzutów sumienia, że wychodzi z moczarów, chociaż ona musi zostać. Nie wiedział, kto komu oddaje przysługę. Althea właśnie taka była: sprawiała, że myślał, iż coś dla niej robi, podczas gdy tak naprawdę to ona pomagała mu żyć najlepiej jak potrafił.

Teraz Friedrich nie wiedział, co robić. Jego życie się zatrzymało. Bez Althei nie było dlań przyszłości. To ona ofiarowywała mu życie, tożsamość. Bez niej nic nie miało sensu.

Nie wiedział, jak umarła. Nie bardzo pojmował to, co zastał. Jej nie tknięto, ale chatę splądrowano. Zniknęły najdziwniejsze rzeczy:

oszczędności całego życia, żywność, stare, bezwartościowe ubrania, kilka przedmiotów gospodarskich. Jednak zostawiono to, co wartościowe: pozłacane rzeźby, płyty złota, narzędzia. Friedrich, choć się starał, nie potrafił niczego się domyślić.

Pojął jedno: Althea się otruła. Był jeszcze drugi kubek.

Starła się jeszcze kogoś otruć. Może kogoś, kto przyszedł po wróżbę, a nie był zaproszony.

Friedrich uświadomił sobie jednak, że Althea musiała się tego kogoś spodziewać i zataiła to przed nim. Zachęcała go do wyprawy do pałacu, żeby sprzedał pozłacane figurki. Nawet nalegała i pomyślał wtedy, że skoro nikogo nie zaprosiła, to pewnie chce trochę pobyć sama - co nie było niczym niezwykłym - albo może się niecierpliwi, żeby wreszcie wyprawił się w świat i trochę rozejrzał, bo dawno tego nie robił. Ujęła w dłonie jego twarz i ucałowała po raz ostatni, rozkoszując się tym pocałunkiem.

Teraz znał prawdę. Ten długi pocałunek był pożegnaniem. Chciała, żeby stamtąd zniknął i był bezpieczny.

Friedrich sięgnął do kieszeni i wyjął list, który mu zostawiła. Czasem pisywała do niego - o tym, co jej przychodziło do głowy w czasie jego nieobecności, o tym, co chciała dla niego zapamiętać. Sprawdził złocony kubek, który dla niej wyrzeźbił, a który trzymała na podłodze pod krzesłem, za poduchą - i zdziwił się, znalazłszy list do siebie.

Rozłożył ostrożnie list i ponownie go przeczytał, choć czytał to już tak wiele razy, że znał każde słowo.

Mój ukochany Friedrichu.

Wiem, że od razu tego nie zrozumiesz, ale chcę, byś wiedział, że nie złamałam obowiązku wobec świętości życia, tylko raczej go dopełniłam. Wiem, że nie będzie to dla ciebie łatwe, lecz musisz uwierzyć, iż musiałam to zrobić.

Jestem pogodzona z losem. Miałam długie życie, o wiele dłuższe niż inni. Najlepszą jego część przeżyłam z tobą. Kochałam cię od dnia, kiedy wkroczyłeś w moje życie i obudziłeś moje serce. Nie poddawaj się smutkowi. Odnajdziemy się na tamtym świecie i już na zawsze będziemy razem.

Jednak na tym świecie jesteś - podobnie jak ja - jednym z czterech obrońców, jednym z czterech kamieni w narożnikach mojego Grace. Pamiętasz? Pytałeś kim są, a ja odpowiedziałam, że w ostatniej wróżbie dwa

kamienie to Lathea i ja. Powinnam ci wtedy powiedzieć, że i ty do nich należysz, ale się nie ośmieliłam. Nie dostrzegam większości tego, co się dzieje, ale z tego, co wiem, wynika, że muszę zrobić co w mojej mocy, gdyż inaczej inni po wsze czasy utracą życie i miłość.

Wiedz, że zawsze jesteś w moim sercu i będziesz nawet wtedy, kiedy przekroczę zasłonę, żeby być z dobrymi duchami.

Świat istot żywych cię potrzebuje, Friedrichu. Twoje zadanie dopiero przed tobą. Błagam, byś je wykonał, gdy nadejdzie czas. Twoja na wieki.

Althea

Friedrich otarł łzy i raz jeszcze przeczytał list Althei. Kiedy czytał, słyszał w myślach jej głos, mówiący do niego, jakby była tuż obok. Nie chciał, żeby ów głos zamilkł, ale w końcu troskliwie złożył kartkę i schował do kieszeni. Gdy podniósł wzrok, stał przed nim wysoki mężczyzna.

- Byłem znajomym Althei. - Silny głos był poważny i pełen przejęcia. - Ogromnie ci współczuję. Przybyłem złożyć wyrazy szacunku i współczucia.

Złotnik powoli wstał, wpatrzony w lazurowe oczy starszego mężczyzny.

- Skąd wiesz? Skąd wiesz, co się stało? - Rozgniewał się. - Jaki miałeś w tym udział?

- Ze smutkiem patrzyłem na to, czego nie mogę zmienić. - O wiele starszy, lecz pełen wigoru, położył dłoń na ramieniu Friedricha, łagodnie je ścisnął. - Poznałem Altheę dawno temu, kiedy uczyła się w Pałacu Proroków.

- Nie odpowiedziałeś na pytanie. Skąd wiesz?

- Jestem Nathan, prorok.

- Nathan, prorok... Nathan Rahl? Czarodziej Rahl?

Tamten potwierdził, cofnął dłoń i schował ramię pod rozchyloną ciemnobrązową pelerynę. Friedrich z szacunkiem skłonił głowę, ale nie zdołał zmusić się do ukłonu, choć stał przed nim czarodziej, i to na dodatek Rahl.

Mężczyzna nosił brązowe wełniane spodnie i wysokie buty - a nie szaty czarodzieja. Nie bardzo odpowiadał wyobrażeniu Friedricha o czarodziejach, a już zupełnie nie wyglądał na osobę dobiegającą, według Althei, tysiąca lat. Twarz miał gładko wygoloną. Proste białe włosy dotykały barków. Wiek go nie przygarbił. Miał płynne ruchy fechtmistrza, choć nie nosił miecza, i wrodzony władczy sposób bycia.

Tylko oczy były jastrzębie i przeszywające, jakich Friedrich spodziewałby

się u takiego człowieka. Były to oczy Rahla.

Złotnik poczuł ukłucie zazdrości. Ów człowiek znał Altheę na długo przed tym, zanim on sam ją poznał, kiedy była młoda i cudownie piękna. Poznał czarodziejkę w rozkwicie mocy i umiejętności, kobietę, o którą zabiegano, do której umizgiwało się wielu znamienitych mężczyzn. Kobietę, która wiedziała, czego chce, i zdecydowanie do tego dążyła. Friedrich nie był tak naiwny, by wierzyć, że jest pierwszym mężczyzną w jej życiu.

- Kilka razy krótko z nią rozmawiałem - odezwał się Nathan, jakby odpowiadał na nie zadane pytanie, i Friedrich zastanowił się, czy ktoś obdarzony taką mocą potrafi również czytać w myślach. - Miała niezwykle rozwinięty dar prorokowania, przynajmniej jak na czarodziejkę. Jednak w porównaniu z prawdziwym prorokiem była niczym bawiące się w dorosłego dziecko. - Czarodziej uprzejmym uśmiechem złagodził tę uwagę. - Mówię to nie po to, żeby umniejszyć zalety jej rozumu czy serca, ale wyłącznie po to, żeby właściwie przedstawić sprawę.

Friedrich oderwał wzrok od oczu tamtego i spojrział na grób.

- Wiesz, co się stało? - Kiedy nie usłyszał odpowiedzi, znów popatrzył na przyglądającego mu się wysokiego mężczyznę. - A jeżeli wiedziałeś, to czy mogłeś ją powstrzymać?

Nathan chwilę rozmyślał nad tym pytaniem.

- Widziałeś kiedy, żeby Althea mogła zmienić to, co ujrzała, rzucając kamienie?

- Nie - przyznał Friedrich.

Parę razy tulił ją, kiedy płakała z żalu, że nie może zmienić tego, co zobaczyła. Często mówiła, kiedy o to pytał - lub pytał, co można by zrobić - że te sprawy wcale nie są takie proste, jak się wydaje tym, którzy nie mają daru. Chociaż Friedrich nie mógł pojąć wielu złożoności jej talentu, wiedział, że niekiedy brzemień przepowiedni przygniatało ją nieznośnym ciężarem.

- Wiesz, dlaczego to zrobiła? - zapytał, licząc na wyjaśnienie, dzięki któremu udręka byłaby łatwiejsza do zniesienia. - Albo kto ją do tego doprowadził?

- Sama wybrała rodzaj śmierci - odparł krótko Nathan. - Powinieneś uwierzyć, że dokonała wyboru z własnej woli i że miała po temu poważne powody. Musisz też zrozumieć, że zrobiła to nie tylko dlatego, że było to najlepsze dla niej i dla ciebie, ale również dla innych.

- Innych? Co masz na myśli?

- Oboje doświadczyliście, co daje miłość. Dokonała wyboru i zrobiła, co zrobiła, żeby i inni mieli szansę poznać życie i miłość.

- Nadal nie rozumiem.

Nathan zapatrzył się przed siebie nieobecny wzrokiem i z wolna pokręcił głową.

- Znam tylko fragmenty zdarzeń, Friedrichu. W tym przypadku czuję się tak ślepy jak nigdy przedtem.

- Chodzi ci o to, że to ma coś wspólnego z Jennsen?

Nathan zmarszczył brwi, wbił we Friedricha baczny wzrok.

- Jennsen? - powiedział podejrzliwie.

- To jedna z dziur w świecie. Althea mówiła, że Jennsen jest córką Rahla Posępnego.

Czarodziej odrzucił w tył pelerynę i wsparł się ręką pod bok.

- Zatem tak ma na imię. Jennsen. - Uśmiechnął się do siebie. - Nigdy nie słyszałem określenia „dziura w świecie”, ale rozumiem, że czarodziejce z ograniczonym darem musiało się ono wydawać bardzo odpowiednie. - Potrząsnął głową. - Althea, mimo swego talentu, nie mogła się zbliżyć do zrozumienia tego, co łączy się z podobnymi do Jennsen. Fakt, że mający dar nie potrafią dostrzec ich istnienia i dlatego nazywają ich „dziurami w świecie”, to zaledwie, że się tak wyrażę, ogon problemu. A ogon jest najmniej ważną częścią. Poza tym „dziura” nie jest odpowiednim terminem. Sądzę, że słowo „próżnia” byłoby bardziej odpowiednie.

- Wcale nie jestem przekonany, że masz rację co do tego, że niczego nie rozumiała. Althea od dawna zajmowała się takimi jak Jennsen. Mogła wiedzieć o wiele więcej, niż ci się wydaje. Wyjaśniła Jennsen i mnie, że więcej nie wie, ale że najważniejsze jest to, iż ci z darem są na nich ślepi.

Nathan uśmiechem wyraził szacunek dla pogrzebanej przed nimi kobiety.

- O, Althea wiedziała więcej, o wiele więcej. Te „dziury w świecie” to zaledwie drobny ułamek jej wiedzy.

Friedrich nie ośmielił się zaprzeczyć czarodziejowi, bo zdawał sobie sprawę, jak dobrze czarodziejki dochowują tajemnic i że nigdy nie zdradzają, ile tak naprawdę wiedzą. Althea też taka była. Nawet wobec niego. Miał świadomość, że nie wynikało to z braku szacunku czy miłości,

ale z tego, że takie właśnie były czarodziejki. Nie mógł się czuć urażony czymś, co było jej przyrodzone.

- Czyli z takimi jak Jennsen wiąże się o wiele więcej?

- O tak. Ten byk ma też rogi, nie tylko ogon. - Nathan westchnął. - Ale choć rozumiem więcej niż Althea, nawet ja nie wiem tyle, by się szczycić, że pojmuję wszystko, co się łączy z rozpoczynającymi się wydarzeniami. Ta część proroctwa jest ogromnie niejasna. Jednak wiem wystarczająco dużo, by mieć pojęcie, że to może odmienić samą naturę bytu.

- Jesteś Rahlem. Jak możesz nie wiedzieć takich rzeczy?

- W bardzo młodym wieku Siostry Światła zabrały mnie do Starego Świata i uwięziły w Pałacu Proroków. Jestem Rahlem, ale niewiele wiem o ziemi przodków, D'Harze. A większości tego, co wiem, nauczyłem się z ksiąg z przepowiedniami. Proroctwa milczą o takich jak Jennsen. Dopiero niedawno zacząłem odkrywać, dlaczego i jak straszne są tego skutki. - Splótł dłonie za plecami. - Zatem ta dziewczyna, Jennsen, przyszła do Althei? Skąd się o niej dowiedziała?

- Tak. Jennsen była powodem... - Friedrich odwrócił wzrok od przyglądającego mu się mężczyzny, nie wiedząc, jakie uczucia żywi on wobec krewnych. Uznał wszakże, że musi to powiedzieć, choćby miał wzbudzić jego gniew. - Kiedy Jennsen była mała, Althea próbowała osłonić ją przed Rahlem Posępnym. A on okaleczył za to Altheę i uwięził na moczarach. Odebrał jej całą moc, poza zdolnością prorokowania.

- Wiem - wyszeptał zasmucony Nathan. - Część tego widziałem w przepowiedni, choć nigdy nie poznałem przyczyn.

Friedrich zrobił krok ku niemu.

- To dlaczego jej nie pomogłeś?

Tym razem to Nathan odwrócił wzrok.

- Ależ pomogłem. Byłem uwięziony w Pałacu Proroków, kiedy do mnie przyszła...

- Dlaczego cię uwięziono?

- Z powodu nieuzasadnionego strachu. Jestem rzadkością, prorokiem. Budzę strach jako odmieniec, szaleniec, zbawiciel i niszczyciel. Wszystko dlatego, że widzę rzeczy, których inni nie dostrzegają. Czasem nie mogę się powstrzymać i próbuję zmienić, co widzę.

- Skoro to proroctwo, to jak można je zmienić? Jeśli je zmienisz, będzie

nieprawdziwe. I przestanie być proroctwem.

Nathan zapatrzył się w chłodne niebo, wiatr zwiewał mu do tyłu długie włosy.

- Nie mógłbym tego dokładnie wytłumaczyć komuś, kto jak ty, nie ma daru, ale postaram się wyjaśnić choć odrobinę. Są księgi proroctw obejmujących tysiące lat. Do niektórych z opisanych tam zdarzeń jeszcze nie doszło. Żeby mogła istnieć wolna wola, pewne sprawy muszą pozostać otwarte. Dokonuje się tego po części dzięki rozwidlonym przepowiedniom.

- Rozwidlonym przepowiedniom? Chcesz powiedzieć, że sprawy mogą pójść albo jednym, albo drugim torem?

Nathan potaknął.

- Albo wieloma drogami. Przynajmniej kluczowe wydarzenia. Księgi często zawierają szkicowe proroctwo o kilku prawdopodobnych rozwiązaniach, do których może doprowadzić wolna wola. Kiedy się okazuje, że wydarzenia toczą się konkretnym odgałęzieniem, ta linia proroctwa staje się prawdziwa, a pozostałe tracą ważność. Jednak do tego momentu wszystkie były prawomocne. Gdyby dokonano innego wyboru, z kolei owo odgałęzienie stałoby się nieważne. I taka gałąź proroctwa zwiędłaby i obumarła, chociaż pozostałaby w księdze. Proroctwo jest oplatane obumarłą przeszłością, wyborami, których nie dokonano, sprawami, które się nigdy nie wydarzyły.

Friedricha znów ogarnął gniew.

- Czyli wiedziałeś, co się stanie Althei? Mogłeś ją ostrzec?

- Kiedy do mnie przyszła, powiedziałem jej o rozwidleniu. Nie wiedziałem, kiedy do niego dotrze, ale wiedziałem, że u krańca obu dróg czeka śmierć. Dzięki temu, co jej powiedziałem, mogła rozpoznać tę chwilę, gdy nadeszła. Miałem nadzieję, że uda jej się obejść to, co widziałem. Niekiedy istnieją zakryte odgałęzienia, których nie dostrzegamy. Miałem nadzieję, że w tym przypadku tak jest i że ona je znajdzie, jeżeli istnieją.

Friedrich nie dowierzał.

- Mogłeś coś zrobić! Powinieneś zapobiec temu, co się stało!

Nathan wskazał grób.

- Oto wynik próby zmienienia tego, co się ma stać. To się nie udaje.

- A może jeżeli...

Jastrzębie oczy Nathana błysnęły ostrzegawczo.

- To jedno ci powiem dla spokoju twego umysłu, ale nic więcej. Druga ścieżka kończyła się zabójstwem tak okrutnym, tak krwawym, taką męczarnią, że gdybyś zobaczył, co zostało z Althei, wolałbyś się zabić, niż żyć, pamiętając o tym, coś widział. Bądź wdzięczny, że się to nie stało. Nie wydarzyło się, ale nie dlatego, że bardziej lękała się takiej śmierci, a po części dlatego, że cię kochała i nie chciała, byś przez to jeszcze bardziej cierpiał. - Nathan znów wskazał grób. - Wybrała tę drogę.

- To o tym rozwidleniu jej powiedziałaś?

Wzrok proroka złagodniał.

- Niezupełnie. Weszła w odgałęzienie, w którym miała umrzeć. Wybrała sposób.

- To znaczy... że mogła wybrać inne odgałęzienie? I żyłaby?

Nathan przytaknął.

- Jakiś czas. Gdyby jednak wybrała tę drogę, wkrótce wszyscy bylibyśmy w szponach Opiekuna. Wiem jedynie, bo tamci są w to wmieszani, że ta droga wiedzie do kresu wszystkiego. Swoim wyborem dała nam szansę.

- Szansę? Na co?

Mężczyzna westchnął. Friedrich podejrzewał, że za owym westchnieniem kryją się sprawy poważniejsze i większe niż te, które Althea kiedykolwiek dostrzegała.

- Dzięki Althei zyskaliśmy czas, żeby inni mogli dokonać właściwych wyborów, kiedy nadejdzie pora, by kierowali się wolną wolą. Ten splót odgałęzień w proroctwie jest zaciemniony jak żaden inny, lecz większość nici wiedzie w nicość.

- W nicość? Nie rozumiem. Cóż by to mogło znaczyć?

- Stawką jest istnienie. - Nathan uniósł brwi. - Większość z tych proroctw kończy się w pustce, w świecie zmarłych. I to dla wszystkiego.

- Jednak widzisz jakieś wyjście?

- To, co nadciąga, jest dla mnie tajemnicą. W tym przypadku jestem bezradny. Wiem teraz, jak to jest nie mieć daru i nie widzieć. Bo w tym przypadku i ja taki jestem. Nie widzę nawet każdego z tych, którzy dokonują decydujących wyborów.

- To musi być Jennsen. Może gdybyś ją znalazł... ale Althea mówiła, że ci z darem nie widzą pozbawionego daru potomstwa Rahla Poępnego.

- Żadnego Rahla. Dar na nic się nie przydaje w lokalizowaniu

pozbawionych magii potomków. Nie wiadomo, gdzie oni są. Nie ma sposobu, by ich wykryć za pomocą daru, chyba że zbierzesz wszystkich mieszkańców świata i każesz im przemaszarować przed kimś, kto ma moc. Tylko tak można stwierdzić, kim oni są: bo twoje oczy i dar mówią co innego. Jak wtedy, kiedy przez przypadek ujrzałem Jennsen.

- Więc sądzisz, że Jennsen jest w to zamieszana?

Nathan otulił się peleryną, chroniąc się przed zimnym wiatrem.

- Dla proroctw tacy jak Jennsen w ogóle nie istnieją. Nie potrafię powiedzieć, czy są jeszcze inni, a jeżeli tak, to ilu ich jest. Nie mam pojęcia, jaką rolę każde z nich w tym odgrywa. Wiem jedynie, że to rola decydująca. Wiem trochę o tym, co się z tym łączy, i o tych, którzy staną u decydujących odgałęzień proroctwa. Chociaż, jak mówiłem, wiele z tych odgałęzień jest przesłoniętych.

- Przecież jesteś prorokiem. Althea mówiła, że prawdziwym prorokiem. Jak możesz nie wiedzieć, co mówi proroctwo, skoro ono istnieje?

Nathan zmierzył go od stóp do głów skupionymi lazurowymi oczami.

- Postaraj się pojąć to, co ci powiem. Niewielu ludzi potrafi to zrozumieć. Może to ci ulży w udreće, bo to punkt, w którym znalazła się Althea.

Friedrich skinął głową.

- Mów więc.

- Proroctwo i wolna wola to przeciwności. Istnieje między nimi napięcie. A przecież oddziałują na siebie. Proroctwo to magia i jak każda magia, wymaga zrównowżenia. A zrównowżeniem dla proroctwa, pozwalającym mu istnieć, jest właśnie wolna wola.

- To bez sensu. Wykluczyłyby się wzajemnie.

- Ale tego nie robią - rzekł prorok z szelmowskim, znaczącym uśmiechem. - Są współzależne i zarazem przeciwstawne. Podobnie jak magia addytywna i subtraktywna: to sprzeczne ze sobą moce, ale obie istnieją. Jedna równoważy drugą. Tworzenie i niszczenie, życie i śmierć. Magia, żeby działać, musi zostać zrównowżona. Proroctwo działa dzięki swojemu przeciwieństwu, czyli wolnej woli.

- Jesteś prorokiem, a mówisz mi, że wolna wola istnieje i unieważnia proroctwo?

- Czyż śmierć unieważnia życie? Nie, ona wyznacza jego granice i poprzez to nadaje mu wartość.

Zapanowała cisza; nic nie miało znaczenia. Friedrichowi jeszcze za ciężko było to zgłębić. Poza tym dla niego to niczego nie zmieniało. Nadeszła śmierć i zabrała bezcenne życie Althei. Jego jedyny skarb. Wszystko utonęło w żalu i smutku. Dla złotnika już się wszystko skończyło. Przed sobą widział jedynie ciemność.

- Przybyłem tu z innego powodu - odezwał się cicho czarodziej Rahl. - Muszę cię wezwać, byś dopomógł w owej walce.

Friedrich - zbyt zmęczony, żeby dalej stać, zbyt udręczony, żeby się czymś przejąć - osunął się na ziemię przy grobie Althei.

- Przyszedłeś do niewłaściwej osoby.

- Wiesz, gdzie jest lord Rahl?

Złotnik podniósł wzrok, przymrużył oczy w słońcu.

- Lord Rahl?

- Tak, lord Rahl. Jesteś D'Harańczykiem. Powinieneś to wiedzieć.

- Chyba czuję więź. - Wskazał ku południowi. - Tam jest. Ale słabo go czuję. Musi być daleko, bardzo daleko. Z tak wielkiej odległości jeszcze nigdy w życiu nie wyczułem lorda Rahla.

- To prawda - rzekł Nathan. - Jest w Starym Świecie. Musisz się do niego udać.

Friedrich chrząknął.

- Nie mam pieniędzy na podróż. - To, wydawało się, najprostsze wyjaśnienie.

Nathan rzucił mu skórzaną sakiewkę. Upadła ciężko na ziemię obok mężczyzny.

- Wiem. Pamiętasz, że jestem prorokiem? To więcej, niż ci zabrano.

Friedrich zważył w dłoni sakiewkę. Istotnie, była ciężka.

- Skąd to pochodzi?

- Z pałacu. To oficjalna, urzędowa sprawa, więc D'Hara dostarcza ci potrzebnej sumy.

Złotnik pokręcił głową.

- Dziękuję, żeś przyszedł z wyrazami współczucia. Ale nie jestem odpowiednim człowiekiem. Poślij kogoś innego.

- Jesteś tym, który ma iść. Althea by to wiedziała. Zostawiłaby ci list, mówiący, że jesteś potrzebny w tej walce. Poprosiłaby, żebyś się zgodził, kiedy cię wezwą. Lord Rahl cię potrzebuje. A ja cię wzywam.

- Wiesz o liście? - spytał Friedrich, znów się podnosząc z ziemi.

- To jedna z niewielu rzeczy, jakie wiem o tej sprawie. Z proroctwa wynika, że to ty masz pójść. Ale musisz to zrobić z własnej woli. Wzywam cię, byś to uczynił.

Friedrich pokręcił głową, tym razem z większym przekonaniem.

- Ja się do tego nie nadaję. Nie rozumiesz. Boję się, że już o nic nie dbam.

Prorok wyciągnął coś spod peleryny. Podał mu. Mężczyzna zorientował się, że to mała książeczka.

- Weź to - rozkazał czarodziej głębokim, władczym głosem.

I Friedrich wziął książkę, po czym przesunął palcami po starej skórzanej oprawie i pozłacanych literach. Na okładce były cztery słowa, lecz on nigdy nie widział takiego języka.

- To książka z czasów wielkiej wojny, sprzed tysięcy lat - wyjaśnił Nathan.

- Dopiero co ją znalazłem w pałacu, po energicznym przejrzaniu bogatego księgozbioru. Jak tylko ją znalazłem, pospieszyłem do ciebie. Nie miałem czasu jej przetłumaczyć, więc nawet nie wiem, co w niej napisano.

- Jest napisana w jakimś dziwnym języku.

Prorok skinął głową.

- To górnod'harański, pomagałem się go uczyć Richardowi. Jest niezmiernie ważne, żeby dostał tę książkę.

- Richard?

- Lord Rahl.

Sposób, w jaki wymówił te dwa słowa, przyprawił Friedricha o dreszcz.

- Skoro jej nie czytałeś, to skąd wiesz, że to właściwa książka?

- Z tytułu, o tu, na okładce.

Złotnik musnął palcami tajemnicze słowa. Po całym tym czasie pozłota nadal była dobra.

- Wolno mi spytać, jak brzmi tytuł?

- *Filary Świata.*

ROZDZIAŁ 41

Oba otworzył oczy, ale to nic nie pomogło - nie widział. Zdrętwiał z przerażenia. Leżał na plecach, chyba na nierównym, zimnym kamiennym podłożu. Nie miał pojęcia, gdzie jest i jak się tu znalazł, lecz przede wszystkim zaprzętało go to, że oślepl. Dygocząc od stóp do głów, mrugał powiekami, starając się odzyskać wzrok - ale nadal nie widział.

Przeraziła go jeszcze gorsza myśl: zaczął się zastanawiać, czy aby znów nie znalazł się w boksie, w zabudowanej stajennej zagrodzie.

Bał się poruszyć i przekonać, czy to prawda. Nie wiedział, jak to zrobiły, lecz rozpaczał, że tym trzem przebiegłym kobietom - dwóm złośliwym i wrednym siostróm czarodziejkom i jego szurniętej mamusce - jakoś udało się go zamknąć w mrocznym więzieniu z dzieciństwa. Pewnie się zwały za grobem i uderzyły, kiedy zasnął.

Oba, sparalizowany paniką, nie mógł zebrać myśli.

Ale wtedy usłyszał hałas. Spojrzał w tamtą stronę i zobaczył ruch. Uświadomił sobie, że to tylko jakieś ciemne pomieszczenie, a nie zamknięty boks w stajni. Ogarnęła go ulga, a zaraz potem rozgoryczenie. Co też sobie myślał? Przecież jest Obą Rahlem. Niezwyciężonym. Dobrze mu zrobi, jak będzie o tym pamiętać.

Chociaż ulżyło mu, że to nie to, czego się początkowo obawiał, rozsądek nakazywał mu ostrożność. To miejsce miało w sobie coś dziwnego i niebezpiecznego. Skoncentrował się, usiłując sobie przypomnieć, co się stało i jak mógł się dostać do takiego ciemnego, zimnego pomieszczenia, ale nic mu nie przychodziło na myśl. Pamięć miał zamgloną - widział zbiór przypadkowych wrażeń: otumaniająca choroba, przeraźliwy ból głowy, ogromne osłabienie i mdłości, niosą go, trzyma go tyle rąk, rażące oczy światło, ciemność. Czuł się pobity i posiniaczony.

W pobliżu ktoś zakaszłał. Jakiś człowiek burkliwie kazał się zamknąć temu pierwszemu. Oba leżał nieruchomo jak puma, napinając mięśnie. Starał się zebrać w sobie, starannie badał wzrokiem mroczne pomieszczenie. Nie było tu całkiem ciemno, jak się początkowo obawiał. W przeciwległej ścianie znajdował się niewielki czworokątny otwór, przez który sączyło się słabe, migotliwe światło, pewnie świecy. Otwór przecinały

dwie pionowe ciemne linie.

Obie wciąż huczało w głowie, ale słabiej niż przedtem. Wspomniał, jak się źle czuł. Dopiero teraz uświadomił sobie, że wówczas nawet nie miał pojęcia, jaki jest chory. Kiedyś, jako dzieciak, też miał gorączkę. Teraz to też musiała być gorączka. Pewnie ją złapał, odwiedzając Altheę, tę ohydną wiedźmę z moczarów.

Usiadł, ale zakręciło mu się w głowie, więc się oparł o ścianę. Też była z grubo ciosanego kamienia, jak podłoga. Roztarł zmarznięte, zeszywniałe nogi, rozprostował plecy. Potarł oczy, żeby ostatecznie przegnać mgłę z głowy. Zobaczył szczury - poruszały wąsikami, obwąchując krawędź ściany. Nawet panujący tu smród nie zagłuszył przeraźliwego głodu Oby. Cuchnęło potem, uryną i czymś jeszcze gorszym.

- Patrzta, ten wielki wół się ocknął - odezwał się jakiś niski, drwiący głos.

Zerknął tam i przekonał się, że mu się przyglądają. Oprócz niego w izbie było jeszcze pięciu mężczyzn. Wyglądali na bandę łotrów. Po tej stronie co Oba tkwił tylko jeden, w prawym kącie. Był to ten, który się odezwał. Rozpierał się w tym kącie, jakby był jego właścicielem. Ponury uśmieszek odsłaniał połamane resztki zębów.

Oba popatrzył na stojących przed nim czterech typków.

- Wszyscy wyglądacie na przestępców - stwierdził.

Odpowiedział mu śmiech.

- Niestusznie nasz oskarżają - odezwał się ten z kąta.

- Taaa - potwierdził któryś. - Zajmowaliśmy się swoimi sprawami, a te gwardzisty nas chyciły i rzuciły tu, całkiem za nic. Zamknęły nas jak zwykłych złodzieiów.

Znów się roześmiali.

Obie wcale się nie podobało, że jest w jednej izbie z przestępcami. I że jest tu zamknięty. To za bardzo przypominało tamten stajenny boks. Pobieżne sprawdzenie potwierdziło podejrzenia: pieniądze zniknęły. Ze szpary w drzwiach patrzyły paciorkowate szczurze ślepie.

Przeniósł wzrok ze szczura na otwór w drzwiach. Dwie pionowe linie okazały się metalowymi prętami.

- Gdzie jesteśmy?

- W pałacowym więzieniu, głupi wole - odparł ten z połamanymi zębami.

- Czy ci to patrzy na burdel?

Pozostali parsknęli, ubawieni jego dowcipem.

- Może na taki, gdzie chadza - orzekł jeden z nich, a reszta zaśmiała się jeszcze głośniej.

Z boku przyglądał się temu kolejny szczur.

- Jestem głodny. Kiedy przyniosą stawę?

- Głodny - zadrwił jeden ze stojących i splunął z niesmakiem. - Karmią nas, kiedy zechcą. Możesz i zdechnąć z głodu.

Inny kucnął przed nim.

- Jak się zwiesz?

- Oba.

- Cóżżeś zmalował, Oba, żeś tu trafił? Rozprawczyłeś starą pannę?

Zarechotali. Młodzieniec wcale nie uważał, że to zabawne.

- Nic złego nie zrobiłem - odparł. Nie podobali mu się, byli przestępcami.

- Niewinnyś, co nie?

- Nie wiem, czemu mnie tu wsadzili.

- Słyszeliśmy co innego - rzekł ten, który przed nim kucnął.

- Taaa - przyznał właściciel kąta. - Słyszeliśmy gadkę gwardzistów, żeś gołymi rękami człeka zatłuk na śmierć.

Oba szczerze się zdziwił.

- Czemu by mnie mieli za to zamykać? To był złodziej. Ograbił mnie i zostawił na odludziu na pewną śmierć. Dostał tylko to, na co zasłużył.

- Gadanie - rzekł ten z połamanymi zębami. - Słyszeliśmy, żeś to ty go okrad.

- Co??? - spytał ze zdumieniem i oburzeniem Oba. - Kto to powiedział?

- Gwardzisty.

- No to kłamią - upierał się młodzieniec, ale tamci znów się zaśmiali. - Clovis był złodziejem i mordercą.

Śmiech ucichł. Szczury przystanęły i spojrzały. Węszyły, marszcząc nosy.

Właściciel kąta usiadł prosto.

- Clovis? Rzekłeś Clovis? Ten, co handlował talizmanami?

Oba aż zazgrzytał zębami na wspomnienie o łotrze. Gdyby tak znów mógł go sprać.

- Ten sam. Handlarz Clovis. Ograbił mnie i porzucił na pewną śmierć. Nie zabiłem go, po prostu wymierzyłem sprawiedliwość. Powinni mnie za to nagrodzić. Nie mogą mnie więzić za to, że wymierzyłem Clovisowi

sprawiedliwość, bo zasłużył na to swoimi sprawkami.

Ten w rogu wstał. Reszta podeszła bliżej.

- Clovis był jeden z nas - oznajmił ten z połamanymi zębami. - Nasz kamrat.

- Naprawdę? Cóż, stłukłem go na krwawą miazgę. Gdybym miał czas, tobym mu uciał parę delikatnych kawałków, zanim bym mu zmasakrował czerep.

- Dzielne wielkie chłopisko tłucze garbuska, co jest sam jeden - syknął jeden z nich.

Inny splunął na Obę. Ten się wściekł. Sięgnął po nóż - ale noża nie było.

- Kto mi zabrał nóż? Niech odda. Który z was, złodzieje, ukradł mój nóż?

- Gwardzisty wzięły - podśmiewał się ten z połamanymi zębami. - Ale z ciebie tępy głupek, nie?

Oba patrzył z wściekłością na stojącego pośrodku celi, wspartego pięściami pod boki przeciwnika, któremu sterczały w ustach połamane pieńki nielicznych zębów. Krzepka, baryłkowata pierś łotrzyka unosiła się i opadała w gniewnym oddechu. Wygolona głowa nadawała mu wygląd zabijaki. Znów postąpił krok ku młodzieńcowi.

- Oto, coś jest: wielki głupek. Oba głupek.

Reszta się roześmiała. Oba słuchał doradzającego mu głosu i kipiał gniewem. Chciał poobcinać jęzory tym jegomościom, a potem się do nich zabrać. Wolał, co prawda, robić takie rzeczy kobietom, ale i te typy sobie na to zasłużyły. Miło by było popracować nad nimi powolutku, patrzeć, jak się wiją, słuchać ich wrzasków, obserwować wyraz ich oczu, gdy śmierć wnikałaby w ich wstrząsane drgawkami ciała.

Mężczyźni go otoczyli, a Oba przypomniał sobie, że nie ma noża, więc nie mógłby się zabawić tak, jak lubi. Musiał odzyskać nóż. Miał już dosyć tego miejsca. Chciał stąd wyjść.

- Wstawaj, Oba głupku - warknął ten z połamanymi zębami.

Przed Obą przebiegał szczur. Przycisnął dłońią jego ogon. Szczur szarpał się i skręcał, ale nie mógł się wyrwać. Oba drugą dłońią złapał futrzaste stworzenie. Szarpało się i kręciło, próbując uciec, ale krzepko je trzymał. Wstał i odgryzł szczurowi głowę. Wyprostował się - był o głowę wyższy od tego z połamanymi zębami - i po kolei wściekle popatrzył im w oczy. Ciszę zakłócał tylko chrzęst przeżuwanej przez Obę czaszki gryzonia.

Mężczyźni się cofnęli.

Oba, dalej przezuwając, podszedł do drzwi i wyjrzał przez pręty w otworze. Zobaczył dwóch strażników stojących na skrzyżowaniu z pobliskim korytarzem. Rozmawiali spokojnie.

- Hej, wy tam! - zawołał. - Popołniono błąd! Muszę z wami pogadać!

Przerwali rozmowę.

- Tak? Jaki błąd? - zapytał jeden z nich.

Oba patrzył to na jednego, to na drugiego, lecz to nie był tylko jego wzrok. Z jego wnętrza patrzyło to, co było głosem.

- Jestem bratem lorda Rahla. - Wiedział, że mówi głośno to, czego jeszcze nigdy obcym nie zdradził, ale czuł się do tego zmuszony. Trochę się zdziwił, że mówi dalej, a wszyscy się na niego gapią. - Jestem niesłusznie uwięziony za wymierzenie sprawiedliwości złodziejowi, co było moim obowiązkiem. Lord Rahl nie będzie tolerować tego fałszywego oskarżenia i uwięzienia. Żądam widzenia z moim bratem! - Obrzucił strażników gniewnym spojrzeniem. - Przeprowadźcie go!

Zamrugali, dostrzegłszy wyraz jego oczu. Odeszli bez słowa.

Obejrzał się na zamkniętych z nim mężczyzn. Popatrzył im kolejno w oczy, jedząc tylną łapę szczura. Odsunęli się, a on spacerował i się posilał; kosteczki gryzonia chrzęściły mu w zębach. Znow wyjrzał przez otwór w drzwiach, ale nikogo nie zobaczył. Westchnął. Pałac jest olbrzymi. Może upłynąć sporo czasu, zanim strażnicy wrócą, żeby go wypuścić.

Więźniowie w milczeniu usunęli mu się z drogi, a on wrócił na poprzednie miejsce naprzeciwko drzwi i usiadł. Stali i obserwowali go. Oba też na nich patrzył, odgryzając kolejny kawałek szczura.

Wiedział, że są nim zafascynowani. Był niemal członkiem rodziny panującej. A może nawet należał do rodziny panującej - w końcu, był Rahlem. Pewnie nigdy nie widzieli kogoś tak ważnego jak on i czuli przed nim respekt.

- Mówiliście, że tu nie karmią. - Pomachał ku milczącym zbirom resztką szczura. - Nie zginę z głodu. - Oderwał ogon i wyrzucił; zwierzęta jedzą szczurze ogony, on zaś nie był zwierzęciem.

- Nie tylkoś głupek - odezwał się pogardliwie ten z połamanymi zębami - ale i zwariowany sukinsyn.

Oba runął przez celę i złapał go za gardło, zanim któryś z nich zdążył

zareagować. Podniósł kwiczącego i wierzgającego przestępcę, tak że wbił wściekły wzrok prosto w jego oczy. Potem potężnie grzmotnął nim o ścianę. Łotr zwiotczał jak szczur.

Oba obejrzał się i zobaczył, że pozostali cofnęli się pod najdalszą ścianę. Upuścił swoją ofiarę na podłogę; zbir jęczał i masował obolałą wygoloną potylicę. Oba przestał się nim interesować. Musiał się zająć poważniejszymi sprawami niż walenie o ścianę głową tego typu, aż trysnąłby mózg, choć był to przecież przestępca.

Wrócił na swoje miejsce i położył się na zimnej kamiennej podłodze. Chorował i mógł jeszcze w pełni nie odzyskać sił. Musiał o siebie zadbać. Należał mu się odpoczynek.

Uniósł głowę.

- Obudźcie mnie, jak po mnie przyjdą - powiedział do czterech patrzących na niego w milczeniu mężczyzn.

Bawiło go obserwowanie, jak ich fascynuje obecność osoby wysoko urodzonej. Jednak byli pospolitymi przestępcami - powinien kazać ich stracić.

- Nas pięciu, a ty jeden - odezwał się któryś z nich. - Czemu myślisz, że się obudzisz, jak zamkniesz oczy? - W jego głosie brzmiała wyraźna groźba.

Oba uśmiechnął się do niego.

Głos uśmiechnął się wraz z Obą.

Tamten szeroko otworzył oczy. Przełknął ślinę i cofał się, aż uderzył o ścianę, a wtedy podreptał w bok. Dotarł do najdalszego kąta, osunął się na podłogę i podkulił kolana. Odwrócił twarz, zalany łzami, i zasłonił oczy drżącym ramieniem.

Oba położył głowę na wyciągniętym ramieniu i zasnął.

ROZDZIAŁ 42

Z drzemki wyrwał Obę dobiegający zza drzwi cichy odgłos kroków. Otworzył oczy, ale leżał nieruchomo. Współwięźniowie wyglądali przez otwór w drzwiach. Kiedy odległe kroki zaczęły się zbliżać, przy kracie został tylko jeden. Obserwował. Stał na palcach, trzymał się prętów i przyciskał do nich twarz, żeby lepiej widzieć. Oba słyszał, jak w oddali skrzypią i brzęczą otwierane drzwi. Ten przy wyjściu jakiś czas tkwił nieruchomo i obserwował, a potem nagle się cofnął.

- Skręcili tu, idą tu - szepnął do pozostałych.

Cała piątka zbiła się w przeciwległym krańcu celi. Szeptali.

- A co, jak przyńdzie Mord-Sith? - szepnął jeden z nich.

- Żadna różnica - odparł drugi. - Coś o nich wiem. Ich magia jest na tych z darem. Chroni je od magii, nie krzepy.

- Ale ich broń i na nas działa - odezwał się pierwszy.

- Nie, jeśli ją powalim i zabierzem broń - rozległa się odpowiedź. - Nas jest pięciu. I my są liczniejsi i mocniejsi.

- A co, jeżeli...

- Jak myślisz, co z nami zrobio? - szepnął zapalczywie któryś. - Jak nie złapiem tej okazji, to po nas. Innej szansy nie ma. Robimy to i zwiewamy.

Każdy z nich skinął głową. Zadowoleni, rozeszli się po celi, sprawiając wrażenie, jakby żaden nie chciał mieć nic wspólnego z pozostałymi. Oba wiedział, że coś knują.

Jeden znów pospiesznie wyjrzał przez otwór, a potem odsunął się od drzwi. Inny podszedł i trącił Obę stopą.

- Wrócili. Zbudź się. Słyszysz?

Oba jęknął, udając sen.

Tamten znów trącił stopą.

- Sam żeś chciał wiedzieć, jak wróco. Obudź się.

Odsunął się, kiedy Oba się poruszył, ziewnął i przeciągnął, jakby się właśnie budził. Potem wszyscy - z wyjątkiem tego, który już zobaczył w oczach Oby więcej, niż chciał - spojrzeli na niego i rozstawili się. Czekali, przybierając niedbałe pozy, starali się udawać obojętnych i niezainteresowanych.

W korytarzu rozmawiały dwie osoby - Oba nie słyszał wyraźnie słów, ale ton świadczył, że była to rzeczowa wymiana zdań. Wreszcie kroki zatrzymały się przed drzwiami. Klucz obrócił się w zamku. Szczęk opadającej zasuwki poniósł się echem po korytarzu. Mężczyźni zerknęli na drzwi. Na zewnątrz stęknął z wysiłku otwierający je żołnierz. Rozwarły się, skrzypiąc, wpuściły więcej światła.

Oba zdumiał się, dostrzegłszy w drzwiach sylwetkę kobiety.

W korytarzu wielki strażnik, który z nią przyszedł, zapalił od świecy lampę. Kobieta stała w drzwiach, niedbale obserwując więźniów, strażnik zaś wniósł lampę i zawiesił ją na bocznej ścianie. Blask oświetlił twarze więźniów i ujawnił ponurą rzeczywistość celi z grubo ciosanego kamienia.

Oba ujrzał wtedy, jak wstrętne i groźne były to typy. Wszyscy obserwowali kobietę cwany, zwierzęcymi, błyszczącymi w mroku ślepiami.

W smętnym świetle lampy zobaczył, że nosi najdziwniejszy strój, jaki w życiu widział: opinający ściśle ciało uniform z czerwonej skóry. Była wysoka i zgrabna, długie blond włosy splotła w jeden warkocz. Coś kołysało się na łańcuszku okalającym przegub wspartej na biodrze dłoni. Nie była wyższa od tych typów, lecz władcza postawa sprawiała, że górowała nad nimi niczym sroga furia, która przybyła, żeby ich osądzić w ostatnich chwilach życia.

Jej chmurna mina wyrażała takie niezadowolenie i gniew, jakich nigdy nie udało się okazać matce Oby.

Jednak Oba najbardziej zdumiał się, gdy zobaczył, jak niedbałym gestem odprawia strażnika, który ją tu wpuścił. Zaskoczyło go to, lecz nie spieszyło żołnierza. Po raz ostatni obrzucił spojrzeniem więźniów, zawarł za sobą ciężkie drzwi i zamknął je na klucz. Oba usłyszał kroki oddalającego się korytarzem wartownika.

Kobieta zimno, uważnie przyjrzała się więźniom, każdego z nich oceniając i zbywając lekceważąco. W końcu jej gniewny wzrok spoczął na Obie. Przenikliwe spojrzenie starannie badało jego twarz.

- Drogie duchy... - szepnęła do siebie po tym, co zobaczyła w jego oczach.

Oczy.

Oba szeroko się uśmiechnął. Wiedział, iż pojęła, że nie kłamał co do swego pochodzenia. Po jego oczach poznała, że jest synem Rahla Posępnego.

Oczy.

I nagle przeszło go zrozumienie.

Wtedy wszyscy więźniowie skoczyli ku niej, rycząc jak bestie. Oba spodziewał się, że kobieta krzyknie ze strachu, wrzaśnie o pomoc albo się przynajmniej wzdrygnie. Jednak ona nawet nie drgnęła i obojętnie przyjęła napaść. Spostrzegł, że czerwony pręt, który kołysał się na okalającym przegub łańcuszku, znalazł się nagle w jej dłoni. Kiedy pierwszy mężczyzna wyciągnął po nią ręce, dźgnęła go w pierś tym prętem i odepchnęła. Padł jak zrzucona ze strychu bela siana i łupnął o kamienną podłogę. Prawie równocześnie, ze wszystkich stron, zaatakowała reszta, wymachując pięściami. Usunęła się w bok, zwinnie unikając zamykającego się potrzasku krzepkich ramion. Kiedy się rozproszyli i próbowali ponowić atak, płynnymi ruchami - metodycznie i nieubłaganie - rozprawiła się z nimi.

Nie odwracając się, uderzyła łokciem w twarz najbliższego, który próbował złapać ją od tyłu. Oba usłyszał trzask kości, kiedy głowa tamtego poleciała w tył, rysując na ścianie krwawy ślad.

Trzeci, stojący z boku, dostał w szyję tym jej czerwonym prętem. Padł, trzymając się za gardło i wydając zdławiony, bulgotliwy wrzask. Wił się na podłodze z krwawą pianą na wargach, czym przypominał Obie miotającego się w śmiertelnych drgawkach węża z moczarów. Kobieta - unikając kolejnego ataku - uskokzyła. Ominęła tego na podłodze i mimochodem zmiażdżyła mu obcasem twarz, ostatecznie z nim kończąc.

Czwarty otrzymał trzy szybkie uderzenia w szyję. Oczy uciekły mu w głąb czaszki, zaczął się powoli osuwać. Podbiła mu nogi i poleciał na twarz. Z mdlącym trzaskiem grzmotnął czołem o podłogę.

Oszczędność ruchów, płynne uniki, szybkie, brutalne ataki - to wszystko budziło podziw.

Ostatni zbir rzucił się na nią całym ciężarem. Obróciła się i uderzyła go w twarz tak mocno, że okręcił się jak bąk. Złapała go za włosy, szarpnięciem zbiła w nóg i powaliła na kolana, pchnąwszy w plecy tym dziwnym czerwonym prętem.

To był ten z połamanymi zębami. Oba nigdy nikogo nie zmusił do takiego wrzasku, niestety. Zdumiewał go jej talent do zadawania bólu. Trzymała szczerbulca za włosy, a on klęczał przed nią. Zbir wrzeszczał w straszliwej męce, błagał, żeby go puściła, i bezskutecznie starał się odsunąć.

Wparła mu kolano w grzbiet obok czerwonego pręta i pochyliła mu głowę - panowała nad nim, jakby był dzieckiem.

Potem, z rozmysłem patrząc Obie w oczy, wcisnęła czerwony pręt w podstawę czaszki tamtego. Mężczyzna szaleńczo machał ramionami, skręcał się i dygotał, jakby trafiła go błyskawica. Zwiotczał, krew pociekła mu z uszu. Skończyła z nim i puściła jego włosy - padł na kamienną podłogę. Padł tak bezwładnie, iż Oba nie wątpił, że już był martwy i nie poczuł ciężkiego uderzenia o kamień.

Było po wszystkim, i to w czasie nie dłuższym niż pięć uderzeń serca - po jednym na każdego zabitego. Leżeli w dziwacznych pozach. A kobieta w czerwonej skórze nawet się nie zadyszała.

Zbliżyła się.

- Przykro mi cię rozczarować, ale tak łatwo się nie wykręcisz.

Oba uśmiechnął się szeroko. Chciała go.

Wyciągnął rękę i chwycił ją za lewą pierś.

Z gniewną miną smagnęła go tym dziwaczny czerwony prętem w ramię, tuż obok szyi.

Wyciągnął drugą rękę i złapał ją za prawą pierś. Mocno ścisnął obie, uśmiechając się do niej szeroko.

- Jak możesz nie... - Umilkła, na jej twarzy odmalowało się zrozumienie.

Obie spodobały się jej piersi. Jeszcze nigdy nie miał w garściach takich milutkich. Była niezwykłą kobietą. Przeczynał, że mógłby się przy niej nauczyć wielu nowych rzeczy.

Znienacka pojawiła się jej pięść.

Oba złapał ją w dłoń. Zwarł palce na przegubie kobiety, ścisnął i wykręcił jej rękę, obracając przy tym tak, że wygięła łukowato plecy i oparła się o niego ramionami. Zamierzała wepchnąć mu drugi łokieć w brzuch, ale się tego spodziewał i złapał ją za przedramię. Wykorzystał jej impet, żeby i to ramię wygiąć w tył i unieruchomić jedną dłonią obie jej ręce.

W ten sposób miał jedną rękę wolną i mógł się zająć jej wdziękami. Położył wolną dłoń na talii kobiety, wsunął ją pod skórzany uniform. Szarpała się ile sił, próbując się wyrwać. Wiedziała, jak zakładać dźwignię, żeby się wyrwać przeciwnikowi, ale była znacznie słabsza od Oby. Wepchnął dłoń pod obcisłe skórzane spodnie, pomacał wyprężone ciało.

Jędrza kopnęła go w goleń. Odskoczył z krzykiem, ledwo mu się udało ją

utrzymać. Ale wtedy się okręciła, zanurkowała pod jego ramionami i wyrwała mu się. W mgnieniu oka była wolna.

Nie uciekła, lecz wykorzystała ów impet, żeby trzasnąć go w bok szyi.

Obie udało się częściowo uchylić przed ciosem, dosłownie w ostatniej chwili, ale i tak zabołało. A co więcej, rozeźliło go to. Miał dość tej zabawy. Złapał kobietę za ramię i tak je wykręcił, że aż krzyknęła. Kopniakiem podbił jej nogi, po czym padł na nią całym ciężarem. Okręcił ją; kiedy uderzyli o podłogę, znalazł się na wierzchu, pozbawiając walczącą oddechu. Nim zdołała zaczerpnąć powietrza, grzmotnął ją pięścią w brzuch. Po wyrazie oczu poznał, jak zabołało.

O wiele więcej zobaczy w tych oczach, zanim z nią skończy.

Walczyli na podłodze. Oba miał wyraźną przewagę i wykorzystał to. Zaczął szarpać na niej odzież. Nie zamierzała mu tego ułatwiać, walczyła ze wszystkich sił. Jednak nie w sposób, do którego Oba był przyzwyczajony. W przeciwieństwie do innych kobiet nie walczyła po to, żeby się wyrwać. Chciała mu zadać ból.

Oba zrozumiał wtedy, jak rozpaczliwie go pragnęła.

Zamierzał dać jej zadowolenie, którego tak łaknęła, dać jej to, czego nigdy nie mogła dostać od żadnego mężczyzny.

Krzepkimi palcami szarpał jej skórzane odzienie, ale było ciasno spięte grubym pasem. Tył uniformu tworzyła plecionka rzemieni i klamerek. Nie dało się tego rozerwać. Za to Oba zdołał rozedrzeć ów strój na żebrach. Rozpalił go widok jej nagiego ciała. Osłaniał się przed jej rękami, nogami, a nawet głową, którą próbowała go uderzyć w twarz.

Choć się tak szarpała, zdołał częściowo zedrzeć jej z bioder dół ciasnego uniformu. Walczyła jeszcze gwałtowniej, jeszcze zawzięciej starała się mu zadać ból. Czuł, że tak szaleńczo go pragnie, iż ledwo nad sobą panuje.

Całą uwagę skupił na ściągnięciu z niej spodni; wbiła mu zęby w rękę. Zesztywniał z bólu. Nie wyrwał się jednak, lecz popchnął ją ręką, w którą się wgryzła, i uderzył jej głową o kamienną podłogę. Drugie uderzenie odebrało jej sporo ochoty do walki i mógł uwolnić rękę.

Ale nie chciał, żeby była nieprzytomna. Wolał, żeby była świadoma. Obserwował jej oczy, kiedy na nią padł i wciskał jej kolano między uda; po tym, jak zacisnęła zęby, jak patrzyła mu w oczy, z zadowoleniem poznał, że naprawdę jest go świadoma.

Zrozumienie było integralną częścią owego doświadczenia. Ważne, żeby była świadoma tego, co się jej przydarza, świadoma przeobrażeń zachodzących w jej ciele. Świadoma podkradającej się śmierci, która czeka i obserwuje. Dla Oby istotne znaczenie miało obserwowanie w tych wyrazistych oczach wszystkich jej zasadniczych emocji i doznań.

Polizał jej szyję, tuż za uchem, wyczuł językiem miękkie, delikatne puszek. Zębami znaczył drogę w dół. Jej szyja miała rozkoszny smak. Wiedział, że uwielbia dotyk jego warg i zębów, ale musi walczyć dla zachowania pozorów, żeby jej nie uznał za rozwiązłą. To wszystko należało do jej gier. Jednak po sposobie, w jaki się opierała, poznawał, jak wielką ma na niego chętkę. Wcisnął nos w jej szyję, usiłując rozpiąć swoje spodnie.

- Zawsze tak chciała - szepnęła ochryple, niemal oszalała z żądzy.

- Tak - odparła bez tchu. - Tak. Ty to rozumiesz.

To było coś nowego. Nigdy nie był z kobietą, która nie wstydzi się swoich pragnień i głośno je wyraża - nie tylko krzykami i jękami. Oba uświadomił sobie, że ona aż się pali, by odrzucić pozory i wyznać prawdziwe odczucia. Oszalał z pożądania.

- Pozwól sobie pomóc - szepnęła bez tchu wprost w ramię, którym przyduszał ją do podłogi. A to już było absolutnie nowe.

- Pomóc sobie?

- Tak - szepnęła natarczywie. - Pomóc sobie odpiąć spodnie, żebyś mógł mnie dotknąć tam, gdzie najgoręcej pragnę.

Oba skwapliwie chciał zaspokoić jej bezwstydne pragnienia. Pozostawił jej przywilej rozpięcia sobie spodni i zaczął ją obmacywać. Była rozkosznym stworzeniem - w sam raz dla takiego mężczyzny jak on, Rahla, niemal księcia. Jeszcze nigdy nie doświadczył tak cudownie niespodziewanej i intymnej przygody. Świadomość tego, że należy do rodziny panującej, najwyraźniej przyprawiała kobiety o szaleństwo i już nie potrafiły opanować swoich żądz.

Oba szeroko się uśmiechnął na myśl o jej bezwstydnych pragnieniach, kiedy niecierpliwie rozpięła mu spodnie. Przesunął się trochę, żeby jej ułatwić zadanie, a sam leniwie zgłębiał tajniki jej ciała.

- Mogę? - szepnęła mu w ucho, kiedy w końcu rozpięła spodnie. - Mogę cię dotknąć?

Była tak napalona, że zupełnie zapomniała o godności. Ale musiał

przyznać, że go to nie odstręczyło. Gryząc ją w szyję, wymruczał pozwolenie.

Oba uniósł biodra, żeby mogła sięgnąć do obiektów swego pożądania. Jęknął z rozkoszy, kiedy naprężyła swe gibkie ciało i sięgnęła. Czuł, jak jej smukłe, chłodne palce ujmują najintymniejsze części jego ciała. Pchany nieposkromionym pożądaniem znów kąsał jej przepyszną szyję. Jęknęła i niecierpliwie zamknęła jego klejnoty w chutliwej dłoni. Da jej w nagrodę najpowolniejszą śmierć.

Znienacka tak szarpnęła i zakręciła tym, co trzymała w palcach, że Oba aż oślepl z bólu.

Wstrząs i męka były tak przeraźliwe, że nie mógł oddychać. Znieruchomiał, więc wykorzystwała okazję i lepiej go złapała. Natychmiast bezlitośnie szarpnęła i zakręciła - tym razem jeszcze mocniej. Oczy wyszły mu z orbit, zadygotał, wypiął się, paroksyzm całkowicie usztywnił mu mięśnie. Nie potrafił myśleć. Nie słyszał, nie widział, nie mógł oddychać ani nawet krzyczeć. Sparaliżował go niesamowity ból.

Wszystko było jednym długim, ostrym, świdrującym bólem, który trwał bez końca. Otworzył usta, usiłując krzyknąć, lecz nie wydał dźwięku. Minęła wieczność, zanim zaczął odzyskiwać wzrok, zanim w dzwonienie w uszach wdarły się inne dźwięki.

Cela zaczęła nagle szaleńczo wirować. Oba, tocząc się po kamiennej podłodze, uświadomił sobie, że kopnięto go w bok tak mocno, by pozbawić go resztek tchu. Zupełnie tego nie pojmował. Uderzył w ścianę i znieruchomiał. Musiał kilka razy spróbować, zanim udało mu się wziąć oddech. Bok miał obolały, jakby go kopnęła krowa, ale to było nic w porównaniu z rozdzierającym bólem w pachwinie.

Wtem zobaczył strażnika. Żołnierz wrócił. To on kopnął go w bok. On, nie ona. Nadal leżała na podłodze, kusząco ukazując ciało.

Strażnik miał w garści miecz. Przyklęknął przy kobiecie, obrzucił ją wzrokiem.

- Pani Nydo! Pani Nydo! Nic ci się nie stało?

Jęknęła, powoli podniosła się na czworaki, strażnik zaś obserwował Obę. Wyglądał, jakby się bał jej pomóc, a nawet patrzeć na nią - ale nie bał się Oby. Ten natomiast leżał pod ścianą, obserwował ich oboje i zbierał myśli.

Nie starała się okryć bioder, odsłoniętych piersi. Oba wiedział, że wciąż ma na niego ochotę, lecz nie może tego okazywać przy strażniku. Żąda

musiała jej odebrać rozum, skoro go tak sprowokowała swoimi czynami.

Oba uniósł się nieco, odzyskał oddech i odzyskiwał czucie w mrowiących częściach ciała. Patrzył, jak kobieta - żołnierz nazywał ją panią Nydą - podnosi się chwiejnie. Leżał nieruchomo, nasłuchując szeptów głosu, i obserwował, jak jej pot spływa po skórze. Była boska. Jeszcze wiele mógł się nauczyć od takiej kobiety. Przed nim jeszcze niewypowiedziane rozkosze. Wstał, powoli odzyskując siły, oparł się o ścianę i patrzył, jak prowokująco ociera grzbietem dłoni krew z ust. Drugą ręką podciągała swój skórzany uniform, starając się okryć. Była oszołomiona, bez wątpienia przez gwałtowną utarczkę z namiętnością, i nie potrafiła zapanować nad drżącymi rękami. Zatoczyła się raz w jedną, raz w drugą stronę, miała kłopoty z utrzymaniem równowagi. Ledwo trzymała się na nogach. Oba był zdumiony, że - zważywszy na ich krótką, ale pełną wigoru miłosną potyczkę - nie połamała sobie kości. Ale na to jeszcze przyjdzie czas.

Z miłosnych ukąszeń na jej szyi sączyła się krew. Zauważył, że blond włosy kobiety zlepia krew, skutek bicia głową o podłogę. Napomniał się, że musi bardziej zważać na swoją siłę, bo inaczej przedwcześnie się to skończy. To się już zdarzało. Musi bardziej uważać - kobiety są takie delikatne.

Oba, wciąż jeszcze zasapany i okulawiony bólem między nogami, wbił wzrok w strażnika. Ten żołnierz był doskonale opanowany, skoro tak śmiało stał w obecności Rahla.

Ich oczy się spotkały, żołnierz zrobił krok ku niemu.

Oczy głosu też się otworzyły i spojrzały na niego.

Strażnik znieruchomiał.

Oba uśmiechnął się szeroko.

- Pani Nydo - szepnął wpatrzony w Obę żołnierz - chyba lepiej stąd wyjdź.

Spojrzała nań chmurnie, starając się wciągnąć skórzany uniform na kształtne biodra. Nadal miała kłopoty z zachowaniem równowagi, a próby naciągnięcia uniformu wcale jej nie pomagały.

- Nie chcemy, żeby odeszła - rzekł Oba.

Strażnik patrzył szeroko otwartymi oczami.

- Nie chcemy, żeby odeszła - powtórzył Oba z głosem. - Możemy się obaj nią zabawić.

- Nie chcemy, żeby odeszła... - powtórzył strażnik.

Nyda przerwała próby okrycia się i popatrzyła na Obę i strażnika.

- Przeprowadź ją ku mnie - rozkazał Oba, zdumiony i zarazem zachwycony pomysłami głosu. - Przeprowadź ją ku mnie i obaj ją weźmiemy.

Kobieta, wciąż niepewnie stojąca, popatrzyła na strażnika. Kiedy ujrzała jego twarz, spróbowała chwycić kołyszący się czerwony pręt. Żołnierz złapał ją za przegub i zapobiegł temu. Drugą ręką objął ją w pasie. Wyrwała się, ale był wielki, a ona była już zamroczona.

Oba z szerokim uśmiechem patrzył, jak strażnik wlecze ku niemu szarpiącą się Nydę. Palce żołnierza - jak przedtem Oby - wędrowały po obnażonym ciele.

- Jest rozkoszna, prawda? - rzekł młodzieniec.

Strażnik uśmiechnął się i potaknął, wlokąc kobietę na tył celi, gdzie czekali Oba i głós.

Kiedy znaleźli się dość blisko, Oba sięgnął po nią. Czas dokończyć, co zaczął. Dokończyć na dobre.

Zacisnęła dłoń na mundurze strażnika. Z oszłamiającą szybkością poderwała się w górę i skręciła. Oba przez chwilę widział obcas, mknący jak błyskawica ku jego twarzy. Nim zdążył zareagować, poczuł ból i zapadł się w czern.

ROZDZIAŁ 43

Oba otworzył oczy - ciemność. Leżał na plecach na kamiennej podłodze. Twarz pulsowała mu bólem. Podciągnął kolana i rozmasował obolałą pachwinę.

Ta jędza Nyda okazała się równie wredna, jak pozostałe kobiety. Wyglądało na to, że zawsze dręczyły go wredne baby. Były zazdrosne, że jest taki ważny. Wszystkie starały się go pognać.

Zaczynał mieć dość budzenia się w ciemnych, zimnych miejscach. Tego, że przez całe życie budzi się w jakimś zamkniętym miejscu. Zawsze gorącym lub zimnym. Nigdy nie był zamykany w wygodnym pomieszczeniu.

Zastanawiał się, czy miała z tym coś wspólnego jego szurnięta mamuska, ta złośliwa czarodziejka Lathea lub jej siostra, wiedźma z moczarów. Były samolubne i pewnie skłonne do zemsty. A to nosiło wszystkie oznaki mściwego działania owej nadętej trójki.

Ale one nie żyły. Oba nie był jednak całkowicie przekonany, że śmierć chroni go przed tymi trzema harpiami. Za życia były chytre i przebiegłe, więc śmierć ich raczej nie odmieniła.

Jednak im więcej o tym rozmyślał, tym bardziej był przekonany, że najprawdopodobniej to robota tej jędzy w czerwonej skórze, Nydy. Cwanie udawała zamroczenie i dezorientację, a kiedy strażnik przywłókł ją dostatecznie blisko, kopnęła go. Ale ziółko. Trudno było mieć pretensje do kobiety, która tak szaleńczo go pragnęła. Pewnie pchnęła ją do tego myśl, że nie będzie wyłącznie Oby. Chciała być z nim sama. Nie mógł jej za to winić.

Teraz, kiedy publicznie proklamował swój książęcy status, musi się liczyć z tym, że napotka tak gorące kobiety, które zapragną tego, co ma do zaoferowania. Musi być gotów żyć jak prawdziwy Rahl.

Przetoczył się, jęcząc z bólu. Podpierając się rękami i odpychając najpierw od podłogi, a potem od ściany, wstał z trudem. Jego dolegliwości tylko wzmogą rozkosz ostatecznego zdobycia nałożnicy. Skądś się tego dowiedział. Może głos mu to zdradził.

Zobaczył smugę światła, o wiele mniejszą niż padająca z otworu w drzwiach tamtej celi, ale przynajmniej pomogła mu się zorientować. Zaczął obchodzić pomieszczenie, ciągnąc palcami po ścianie. Niemal natychmiast

dotarł do rogu. Przesuwał dłonią po szorstkim kamieniu drugiej ściany i wystraszył się, kiedy wkrótce doszedł do drugiego narożnika. Z niepokojem zbadał pozostałe ściany i przekonał się, jakie to małe pomieszczenie. Pewnie leżał po przekątnej, bo inaczej by się nie zmieścił.

Przeraziło go tak ciasne zamknięcie. Nie mógł oddychać. Przycisnął dłoń do gardła i z całej siły starał się wziąć oddech. Był przekonany, że oszaleje, zamknięty w tak małym boksie.

W końcu może to nie Nyda. Wyglądało to na sprawkę jego podstępnej matki. Może obserwowała go ze świata zmarłych, radośnie knując, jak go nękać. Pewnie jej pomogła ta złośliwa czarodziejka. A i wiedźma z moczarów chętnie ofiarowała im pomoc. Trzy kobiety wspólnie zdołały jakoś sięgnąć tu ze świata zmarłych i pomogły tej jędzy Nydzie zamknąć go w owym małym pomieszczeniu.

Biegał po niewielkiej izbie i dotykał ścian, przerażony, że się ku niemu zbliżają. Był zbyt duży, żeby tkwić w tak małym pokoiku, gdzie nie mógł oddychać. Oba, wystraszony, że zużyje całe powietrze i powoli się udusi, skoczył ku drzwiom i przycisnął twarz do otworu, starając się wdychać powietrze z zewnątrz.

Szlochając z żalu nad sobą, niczego tak nie pragnął, jak znów rozwalić łeb swojej szurniętej mamusce.

Po jakimś czasie zaczął słuchać głosu, który go uspokajał, doradzał mu i pocieszał, i zaczął się zbierać w sobie. Był bystry. Pokonał tych wszystkich, którzy zrywali się przeciwko niemu, choćby byli nie wiadomo jak źli. Wydostanie się. Na pewno. Musi się wziąć w garść i działać, jak tego wymaga jego pozycja.

Jest Obą Rahlem. Jest niezwykły.

Przysunął oczy do szczeliny i wyjrzał, ale zobaczył tylko jakieś inne mroczne pomieszczenie. Zastanawiał się, czy aby nie jest w pudle umieszczonym w innym pudle, i przez jakiś czas walił w drzwi, wrzeszcząc i krzycząc ze strachu przed tak okrutną męką.

Jak mogli być tak okrutni? Był Rahlem. Jak mogli to zrobić tak ważnej osobie? Czemu go tak traktowali? Najpierw go zamknęli jak pospolitego przestępcę, z wyrzutkami, za to, że zrobił, co trzeba, i wymierzył sprawiedliwość, uwalniając kraj od nie przestrzegającego prawa złodzieja. A teraz znów go złośliwie prześladowali.

Oba skoncentrował się, skierował myśli ku innym sprawom. Przypomniał sobie minę Nydy, kiedy po raz pierwszy spojrzała mu w oczy. Rozpoznała, kim jest. Spojrzenie w oczy wystarczyło, żeby poznała prawdę, żeby pojęła, że jest synem Rahla Posępnego. Nic dziwnego, że tak go pragnęła. Samolubni ludzie już tacy są: chcą być blisko wielkich i potem ściągnąć ich w dół. Była zazdrosna. Dlatego go zamknięto: z małostkowej zazdrości. Po prostu.

Oba dumął nad wyrazem oczu Nydy, kiedy go pierwszy raz ujrzała. Ten wyraz rozpoznania na jej twarzy obudził wspomnienia, które pomogły mu złączyć w jedno różne fragmenty. Wciąż rozmyślał o nowych rzeczach, których się dowiedział.

Jennsen jest jego siostrą. Oboje są dziurami w świecie.

Szkoda, że to jego krewniaczka - bo jest uwodzicielsko piękna. Uważał, że ma czarujące rude loki, chociaż bał się, że mogą być znakiem jakichś magicznych zdolności. Westchnął, przypominając ją sobie. Był zbyt moralny, żeby robić z niej kochankę. W końcu mieli wspólnego ojca. Choć jest tak pociągająca i sama myśl o niej budzi jego obolałą męskość, jego zasady nie pozwolą na takie pogwałcenie obyczajności. Był Obą Rahlem, a nie jakimś zwierzęciem w rui.

Rahl Posępny spłodził i ją. To zadziwiające. Oba sam nie wiedział, co o tym myśleć. Łączyła ich więź. Oboje stawiali czoło światu zazdrosnych ludzi, którzy chcieli ich pozbawić wielkości. Lord Rahl nasyłał na nią bojówki, więc nie będzie wobec niego lojalna. Oba dumął, czy byłaby z niej cenna sojuszniczka.

Z drugiej zaś strony pamiętał niepokój w jej oczach, kiedy nań spojrzała. Może z jego oczu wyczytała, kim jest - jak i ona dzieckiem Rahla Posępnego. Może już miała własne plany, w których nie było dla niego miejsca. Może była zirytowana, że istnieje. Może i ona okazałaby się przeciwniczką, zamierzającą zagarnąć wszystko dla siebie.

Lord Rahl - ich brat - chciał ich trzymać w poddaństwie, bo oboje są ważni. Na to wygląda. Lord Rahl nie chciał się z nimi podzielić bogactwami, które słusznie się Obie i Jennsen należały. Oba zastanawiał się, czy i Jennsen okazałaby się taka samolubna. W końcu takie samolubne zachowania wyglądały na rodzinną cechę. Aż dziw, że jemu udało się uniknąć owego niedobrego dziedzictwa.

Oba przeszukał kieszenie, ale przypomniał sobie, że już raz to robił - gdy był zamknięty w tamtej celi z przestępcami. Kieszenie były puste. Ludzie lorda Rahla ograbili go z bogactwa, a potem zamknęli. Pewnie wzięli to sobie. Na świecie aż się roiło od złodziei i wszyscy czyhali na ciężko zdobyte dobra Oby.

Chodził tam i z powrotem, starając się nie myśleć o tym, jaka to mała izdebka. Cały czas słuchał doradzającego mu głosu. Im dłużej słuchał, tym więcej spraw nabierało sensu. Coraz więcej rzeczy z pamięci wskakiwało na właściwe miejsca. Zaczynał nabierać kształtów wielki gobelin kłamstw i podstępów, które go tak zasmucały. No i rozwiązania stawały się coraz wyraźniejsze.

Jego matka, rzecz jasna, cały czas wiedziała, jaki Oba jest ważny. Od początku chciała go upodlić. Zamykała go w tym stajennym boksie, bo mu zazdrościła. Zazdrościła własnemu synkowi. Była chorą kobietą.

Lathea też wiedziała i zmawiała się z matką, żeby go otruć. Żadna nie miała na tyle odwagi, żeby załatwić go za jednym zamachem. Obie nienawidziły go za jego wielkość, więc postanowiły powolutku go otruć. Nazywały to lekarstwem, żeby uspokoić nieczyste sumienia.

A matka cały czas upadlała go najgorszymi robotami, traktowała pogardliwie, bez końca zeń szydziła, potem zaś wysyłała do Lathei, żeby odebrał truciznę dla siebie. Jako kochający syn wykonał ich podstępny plan, bo im ufał, wierzył ich słowom i zaleceniom, nigdy nie podejrzewał, że matczyzna miłość była okrutnym oszustwem i że mogły mieć jakieś ukryte zamiary.

Suki. Przebiegłe suki. Dostały to, na co zasłużyły. A teraz lord Rahl usiłował go ukryć, zataić przed światem jego istnienie. Oba chodził tam i z powrotem, rozmyślając nad tym wszystkim. Jednak zbyt wielu rzeczy jeszcze nie wiedział.

Po jakimś czasie uspokoił się i zrobił, co mu nakazał głos: podszedł do drzwi, zbliżył usta do otworu. W końcu był niewyciężony.

- Potrzebuję cię - powiedział w mrok na zewnątrz.

Nie wykrzyczał tych słów - nie musiał, bo głos sprawił, że poniosły się daleko.

- Chodź do mnie - rzekł w cichą pustkę za drzwiami.

Obę zadziwiła pewność siebie, wręcz władczość własnego głosu.

Zaskakiwały go i zdumiewały jego niezliczone umiejętności. Nic dziwnego, że mniej utalentowani mu zazdrościli.

- Chodź do mnie - powtórzył razem z głosem w mrok na zewnątrz.

Nie musieli wrzeszczeć. Mrok bez wysiłku niósł ich głosy niby cienie lecące na skrzydłach ciemności.

- Chodź do mnie - mówił, naginając do swojej woli niczego nie podejrzewające niższe umysły.

Był Obą Rahlem. Kimś ważnym. Miał do załatwienia doniosłe sprawy. Nie mógł tu tkwić i grać w te ich nędzne gierki. Miał już powyżej uszu tych bzdur. Czas wziąć na siebie obowiązki wynikające z pierworództwa i wyjątkowej natury.

- Chodź do mnie - zaintonował, a ich głosy sączyły się przez mroczne szczeliny głębokiego lochu.

Nawoływał - lecz nie za głośno, bo wiedział, że go usłyszą; nie natarczywie, bo wiedział, że przyjdą; nie desperacko, bo wiedział, że posłuchają. Czas mijał ale to nic nie szkodziło, bo wiedział, że są już w drodze.

- Chodź do mnie - szeptał w cichy mrok, bo wiedział, że łagodniejszy głos tylko ich przyciągnie.

Gdzieś daleko rozległ się słaby odgłos kroków.

- Chodź do mnie - wyszeptał, czarując ich, żeby posłuchali.

Usłyszał, jak w oddali ze skrzypieniem otwierają się drzwi. Kroki stały się głośniejsze, bliższe.

- Chodź do mnie - zagruchał razem z głosem. Coraz wyraźniej słychać było stopy szurające po kamiennej podłodze. Na otwór w drzwiach padł cień, przesłaniając słabe światło z zewnątrz.

- Co jest? - spytał niepewnie czyjś głos.

- Musisz do mnie przyjść - odparł Oba.

Tamten zawahał się, usłyszawszy tak jasne i naiwne stwierdzenie.

- Natychmiast chodź do mnie - rozkazali niesłychanie władczo Oba i głos.

W zamku obrócił się klucz. Ciężkie drzwi otworzyły się ze skrzypieniem. W przestrzeni pomiędzy jednymi a drugimi drzwiami ukazał się strażnik. Cień drugiego żołnierza wypełnił otwarte drzwi. Ten pierwszy zbliżył się do małego otworu, za którym czekał Oba. Do środka zajrzały szeroko otwarte

oczy.

- Czego chcesz? - zapytał z wahaniem mężczyzna.

- Chcemy natychmiast stąd wyjść - odparli Oba i głos. - Otwórz drzwi. Czas, byśmy się stąd wydostali.

Strażnik nachylił się i kręcił kluczem, dopóki ciężka zasuwka nie odskoczyła z metalicznym brzękiem, który poniósł się echem przez mrok. Drzwi się otworzyły, skrzypiąc zardzewiałymi zawiasami. Drugi strażnik wszedł za pierwszym; miał taki sam pozbawiony wyrazu wzrok.

- Co mamy zrobić? - zapytał żołnierz, nieruchomo wpatrując się w oczy Oby.

- Musimy wyjść - odparli Oba i głos. - Wyprowadzicie nas stąd.

Strażnicy skinęli głowami i odwrócili się, żeby wyprowadzić Obę z ciemnego boksu. Już nigdy nikt nie zamknie go w ciemnych małych pomieszczeniach. Głos mu pomoże. Jest niezwyciężony. Rad był, że sobie o tym przypomniał.

Althea myliła się co do głosu - po prostu była zazdrosna, jak wszyscy inni. Żyje i głos mu pomógł. A ona jest martwa. Ciekaw był, jak jej się to podobało.

Oba kazał strażnikom zamknąć drzwi pustej celi. Dzięki temu nie odkryją tak prędko, że go nie ma. Będzie miał niewielkie fory w ucieczce z chciwych łap lorda Rahla.

Strażnicy poprowadzili młodzieńca przez labirynt wąskich, mrocznych korytarzy. Szli pewnym krokiem, omijając te korytarze, w których z dali słysząc było rozmawiających żołnierzy. Nie chciał, żeby się dowiedzieli, że wychodzi. Lepiej się wysłiznąć niepostrzeżenie.

- Muszę odzyskać pieniądze - rzekł Oba. - Wiecie, gdzie są?

- Tak - odparł martwym głosem jeden ze strażników.

Minęli żelazne drzwi i poszli korytarzami z grubo ciosanych kamiennych bloków. Skręcili w przejście, w którym w celach po obu stronach siedzieli więźniowie. Wszyscy kaszleli, prychnęli i klęli przez otwory w drzwiach. Kiedy dotarli do rzędu drzwi, wyciągały się brudne ręce, szarpiąc pazurami powietrze.

Posępni, niosący lampy strażnicy prowadzili go środkiem szerokiego korytarza, a więźniowie usiłowali ich złapać, pluli na nich i przeklinali ich. Kiedy pojawiał się Oba, zapadała cisza. Ręce cofały się do cel. Za chłopakiem ciągnął się cień niczym czarna peleryna.

Cała trójka - Oba i eskortujący go strażnicy - dotarła do małego pomieszczenia u stóp wąskich, krętych schodów. Jeden z żołnierzy poprowadził Obę schodami, drugi szedł z tyłu. Na górze wprowadzili go do zamkniętego pomieszczenia i wywiedli za następane zaryglowane drzwi.

Lampy strażników rzucały dziwaczne cienie na szeregi zapchanych półek. Leżały tam odzież, broń i różne rzeczy osobiste: od lasek przez flety do kukiełek. Oba przyjrzał się zapchanym półkom - pochylał się do tych niższych, stawał na palce, żeby sprawdzić wyższe. Domyślał się, że wszystkie te rzeczy odebrano więźniom, zanim ich zamknięto.

Tuż przy końcu jednego z rzędów wypatrzył rękojeść swojego noża. Za nożem leżała sterta postrzępionej odzieży, którą zabrał z chaty Althei, żeby przebyć równiny Azrith. Był tu i nóż, który nosił w bucie. Na samym przodzie leżały płócienne i skórzane woreczki z jego fortuną.

Ulżyło mu, że odzyskał pieniądze. A jeszcze bardziej, że znów mógł zacisnąć palce na gładkiej drewnianej rękojeści swojego noża.

- Będziecie moją eskortą - poinformował strażników.

- Gdzie mamy ci towarzyszyć? - zapytał jeden z nich.

Młodzieniec obmyślał odpowiedź.

- Pierwszy raz tu jestem. Chcę zobaczyć trochę pałacu. - Pohamował się i nie powiedział „mojego pałacu”, ale i na to przyjdzie czas; najpierw inne sprawy.

Podążył za nimi kamiennymi schodami, korytarzami, przez skrzyżowania przejść i po licznych kondygnacjach. Patrolujący żołnierze widzieli z daleka strażników i nie zwracali uwagi na tego, który szedł między eskortą.

Dotarli do żelaznych drzwi, jeden ze strażników je otworzył i wyszli na korytarz o gładkiej marmurowej posadzce. Obę oczarowały splendor holu, łukowaty strop i żłobkowane kolumny Szli, mijając kilka zakrętów oświetlonych srebrnymi lampami, które zawieszono pośrodku marmurowych paneli.

Znów skręcili i znaleźli się na wielkim podwórku, tak oszołamiająco pięknym, że hol, którym przybyli - najpiękniejsze wnętrze, jakie Oba w życiu widział - wyglądał przy nim jak chlewik. Chłopak stał nieruchomo z rozdziawionymi ustami i patrzył na sadzawkę pod gołym niebem, za którą rosły drzewa - drzewa! - jakby to był leśny staw. Ale to było wnętrze pałacu i

stawek otaczało coś w rodzaju ławy ze lśniącego rdzawego marmuru, no i był wyłożony płytami o błękitnej polewie. Pływały w nim pomarańczowe ryby. Prawdziwe ryby. Prawdziwe pomarańczowe ryby. Pod dachem.

W całym swoim życiu Oba nie widział tak pięknego, wspaniałego, pełnego majestatu miejsca. Aż oniemiał na ten widok.

- To jest pałac? - zapytał swoich strażników.

- Ledwo maleńka jego część - odrzekł jeden z nich.

- Ledwo maleńka jego część - powtórzył ze zdumieniem Oba. - A reszta jest równie piękna?

- Nie. Większość jest jeszcze wspanialsza, bardziej okazała, z okropnie wysokimi stropami, łukami i masywnymi kolumnami między balkonami.

- Balkony??? W środku???

- Tak. Ludzie na różnych poziomach mogą patrzeć na niższe piętra, na wielkie dziedzińce i podwórce.

- Na pewnych poziomach kupcy sprzedają swoje towary - dorzucił drugi.

- Niektóre części pałacu są ogólnie dostępne. Inne to koszary czy kwatery personelu. Są też i takie, gdzie odwiedzający mogą wynająć pokoje.

Oba słuchał tego, patrząc na porządnie ubranych ludzi idących dziedzińcem, na szkło, marmur i wypolerowane drewno.

- Jak już obejrzę jeszcze parę fragmentów pałacu - oznajmił swoim umundurowanym d'harańskim strażnikom - to by mi się przydał spokojny i bardzo odosobniony pokój. Rzecz jasna, zbytkowny, ale gdzieś na uboczu, gdzie bym się nie rzucał w oczy. Chcę najpierw kupić odpowiednią odzież i parę innych rzeczy. Wy dwaj staniecie na warcie i zadbacie, żeby nikt się nie dowiedział, że tu jestem, a ja się wykąpię i wyśpię.

- Jak długo mamy cię pilnować? - zapytał jeden z nich. - Zauważą, że nas nie ma, jak zbyt długo się nie zjawimy. A jak jeszcze dłużej nas nie będzie, zaczną nas szukać i odkryją, że twoja cela jest pusta. I zaczną cię szukać. Szybko się dowiedzą, że tu jesteś.

Oba się zastanowił.

- Chciałbym jutro ruszyć dalej. Zauważą, że was brakuje?

- Nie - odparł ten, w którego oczach malowało się jedynie pragnienie zaspokojenia życzeń Oby. - Właśnie odchodziliśmy po końcu naszej zmiany. Aż do jutra może nas nie być.

Oba uśmiechnął się. Głos wybrał właściwych żołnierzy.

- Zdążę wyruszyć w drogę. Ale teraz chcę ucieszyć oczy i zobaczyć jeszcze trochę pałacu. - Musnął palcami rękojeść noża. - A potem może nawet ucieszyłoby mnie towarzystwo kobiety przy kolacji. Dyskretnej kobiety.

Żołnierze skłonili się. Oba, zanim stąd zniknie, zostawi po nich jedynie garstkę popiołu na podłodze jakiegoś odludnego korytarza. Nigdy nikomu nie powiedzą, że jego cela jest pusta.

A potem... cóż, już niemal wiosna, a kto wie, gdzie go wiosną oczy poniosą?

Jedno było całkiem pewne - musi odszukać Jennsen.

ROZDZIAŁ 44

Zdumienie Jennsen miało. Obojętniała na niezliczonych żołnierzy, niczym ciemna ludzka powódź zalewających nisko położony teren. Olbrzymia armia zalała brązem szeroką równinę pomiędzy wzgórzami. Wśród żołnierzy stało niezliczone mnóstwo namiotów, wozów i koni. Na całe mile wokół słychać było gwar hordy, z którego wybijały się ryki, pohukiwania, wołania, gwizdy, brzęk uprzęży, stukot podków, turkot wozów, dźwięczne uderzenia młotów w stal, rżenie koni, a czasem dziwne krzyki i wrzaski - chyba kobiet, myślała Jennsen.

Wyglądało to jak ogromne miasto, tyle że bez budynków i najmniejszego planu, jak gdyby magicznie zniknęły ludzka pomysłowość, ład i wytwory, a wszyscy cofnęli się niemal do poziomu dziczy, która pod nadciągającymi ciemnymi chmurami starała się jakoś sobie radzić z przeciwnościami natury i słabo jej to szło.

Jednak nie było to najgorsze, co Jennsen widziała. Kilka tygodni wcześniej, bardziej na południe, mijali z Sebastianem zimowisko armii Imperialnego Ładu. Tak wielkie wojsko bardzo, rzecz jasna, niszczyło teren, lecz Jennsen była zszokowana, jak ogromnie się to nasilało, kiedy żołnierze zatrzymali się choć na trochę. Trzeba będzie lat, żeby się zaleczyła ta wielka, jątrząca się rana.

Co gorsza, w trakcie długiej, ciężkiej zimy chorowały tysiące żołnierzy. I to ponure miejsce już zawsze będą znaczyć przypadkowo rozrzucone groby, w których spoczęli zmarli, kiedy żywi pomaszerowali dalej. Strasznie było patrzeć na tak olbrzymią liczbę ofiar choroby. Jennsen nawet bała się pomyśleć, jaka rzeź nastąpi w walce o wolność.

Ziemia wreszcie odmarzła, błotnista gleba wyschła i na tyle stwardniała, że armia mogła wyruszyć ze splugawionego zimowego leża, zacząć marsz ku Aydindril, siedzibie władz Midlandów. Sebastian powiedział Jennsen, że przyprowadzili ze Starego Świata armię tak wielką, że kiedy jej czoło zatrzymywało się i rozbijało obóz, to mijaly całe godziny, zanim nadciągnęły tyły i zatrzymały się na noc. Rankiem wyruszało czoło, a dopiero długo potem ariergarda mogła opuścić obozowisko.

Choć wiosenny marsz na północ nie był jeszcze szybki, posuwali się

naprzód nieubłaganie. Sebastian mówił, że kiedy żołnierze zwęszą zdobycz, to przyspieszy zarówno ich puls, jak i tempo marszu.

Co za okropny skandal, że łapczywość lorda Rahla na nowe ziemie i władzę doprowadziła do tego wszystkiego, że taka spokojna dolina musi być wydana wojującym żołnierzom. Z wiosną zaczynała wschodzić trawa i wzgórza po obu stronach wyglądały jak pokryte zielonym aksamitem. Lasy zajmowały bardziej strome stoki, za wzgórzami. Odległe kamienne szczyty, tak na zachodzie, jak i na północy, wciąż pokrywał głęboki śnieg. Wody górnych odcinków rzek, wezbranych po śnieżnych roztopach, z rykiem spadały ze skalnych zboczy i dalej na wschodzie docierały do potężnej rzeki, wijącej się po rozległej, porośniętej bujną roślinnością dolinie. Ziemia była w niej tak czarna i żyzna, że Jennsen myślała, iż nawet posadzone tu głązy wypuściłyby korzenie i rozrosły się.

Zanim wraz z Sebastianem natrafili na wielkie obozowisko, kraina była tak piękna, jak żadna z tych, które Jennsen do tej pory widziała. Marzyła o tych wspaniałych lasach i myślała, że chętnie spędziłaby resztę życia wśród takich drzew. Trudno jej było uznać Midlandy za siedzibę złej magii.

Sebastian mówił jej, że te lasy są niebezpieczne, bo grasują w nich bestie i czają się ci, którzy posługują się magią. Mimo to miałyby ochotę zaryzykować. Wiedziała jednak, że lord Rahl znalazłby ją nawet w tych bezkresnych lasach. Jego ludzie już udowodnili, że potrafią ją odszukać nawet w najbardziej odludnych okolicach. Pierwszym na to dowodem była śmierć mamy. A od owego straszliwego dnia jego bezlitośni asasyni znajdowali sposoby, żeby ścigać ją przez D'Harę i połowę Midlandów.

Jeżeli złapią ją ludzie lorda Rahla, zabiorą ją do lochów, w których trzymali Sebastiana, i lord Rahl każe ją bez końca torturować, zanim ofiaruje jej powolną, straszliwą śmierć. Dopóki Richard będzie ją ścigać, Jennsen nigdzie nie znajdzie spokoju i bezpieczeństwa. Zamierzała go dopaść i wywalczyć sobie życie.

Kolejni wartownicy dostrzegli ją i Sebastiana, jadących otwartym terenem, i zeszli z punktu obserwacyjnego na stoku, żeby ich zatrzymać. Kiedy podjechali bliżej i żołnierze zobaczyli krótkie, sterczące białe włosy oraz niedbały salut stratega, zawrócili do swego ogniska i gotowania kolacji.

Podobnie jak reszta imperialnej armii, i ci sprawiali wrażenie dzikusów odzianych w postrzępioną odzież, futra i skóry. W głębi rozległej doliny

wielu siedziało wokół niewielkich ognisk, rozpalonych przed małymi namiotami ze skór lub impregnowanego płótna. Namioty rozbito tam, gdzie ich właściciele znaleźli dość miejsca, bez żadnego porządku. Między namiotami bez najmniejszego ładu rozmieszczono lokalne sztaby, stoły kantyn, składy broni, wozy z zaopatrzeniem, zagrody wypełnione żywym inwentarzem i końmi, kramiki drobnych kupców, a nawet przenośne kuźnie, w których pracowali kowale. Tu i ówdzie widać było niewielkie bazy, gdzie schodzili się żołnierze, żeby coś wymienić lub kupić.

Wśród tłumów widać też było podekscytowanych, gniewnych, wychudłych mężczyzn, którzy wygłaszali kazania do grupek bezmyślnych gapiów. Jennsen nie słyszała, czego właściwie uczą, ale widywała już kaznodziejów. Według mamy ekspresyjny język ciała przepowiadających zgubę i nawracających ku zbawieniu był równie łatwy do rozpoznania, jak niezmienny.

Wjechali do obozowiska i zobaczyła żołnierzy przed namiotami. Śmiali się i pili, czyścili oręż i uprząż. Niektórzy stali nierównym szeregiem, wspierając się na ramionach towarzyszy, i wspólnie śpiewali. Jedni sami sobie gotowali, inni tłoczyli się w obozowych kantynach, czekając na posiłek. Część wykonywała różne prace i zajmowała się zwierzętami. Byli i tacy, którzy uprawiali hazard i kłócili się. Całe to miejsce było brudne, cuchnące, hałaśliwe i strasznie chaotyczne.

Jennsen zawsze źle się czuła w tłumie, a ten tu wyglądał gorzej niż najstraszliwszy koszmar. Zbliżała się do kłębiącego się obozowiska, a chciała uciekać. Tylko jedno ją powstrzymywało - jedyny powód, dla którego tu przybyła.

Dotarła do granicy i przekroczyła ją. Przemyślała konieczność zabójstwa i z zimnym wyrachowaniem postanowiła to zrobić. Odwrotu nie było.

Żołnierze nie nosili mundurów, lecz niedobraną mieszaninę skór nabijanych kolcami, futer, kolczug, wełnianych peleryn i brudnych bluz. Niemal wszyscy krzepcy wojownicy, których widziała, byli nie ogoleni, brudni, ponurzy. Rozumiała, dlaczego Sebastiana tak łatwo rozpoznawano i dlaczego nikt go nie zaczepiał, ale i tak zdumiewało ją, że salutował mu każdy żołnierz, który go zobaczył. Sebastian wyróżniał się pośród nich niczym łabędź wśród kaczek.

Wytłumaczył jej, jak trudno było zgromadzić tak liczną armię, żeby

bronila ich ojczyzny, i ile wysilku wymagało wyprawienie ich w tak dluga podróz. Mówil, że są daleko od domu i mają do wykonania ponurą robotę; nie należało oczekiwać, że będą się stroić dla kobiet lub że poniechają walk na śmierć i życie, żeby się układnie zachowywać i rozbijać schludne obozy. To byli żołnierze. D'harańscy żołnierze też byli ludźmi walki. Ale ci tutaj w niczym nie przypominali D'Harańczyków i nie byli tak zdyscyplinowani. Jednak Jennsen tego głośno nie powiedziała.

Mogła to wszakże zrozumieć. Jechali najszybciej jak się dało, cały czas starając się unikać ludzi lorda Rahla, popędzali konie niemal do całkowitego wyczerpania, często wracali po swoich śladach i zostawiali mylące wskazówki, więc raczej nie miała czasu, żeby się martwić o to, jak wygląda. Poza tym była to długa i trudna zimowa podróz przez góry. Często miała wyrzuty sumienia, że Sebastian widzi ją z rozczochranymi włosami, brudną, spoconą jak jej koń i wcale nie lepiej pachnącą. Nigdy jednak nie przejmował się jej wyglądem. Raczej ekscytował go sam jej widok i często robił co tylko mógł, żeby się jej przypodobać.

Poprzedniego dnia pojechali krótszą drogą przez wzgórza, kierując się ku czołu armii, i natrafili na opuszczony wiejski dom. Sebastian zgodził się, by zostali w nim na noc, chociaż było jeszcze za wcześnie na popas. Wykąpała się i umyła włosy w starej wannie w malutkiej łazienkowej izbie, a potem wyprała odzież. Siedziała potem przed ogniem, który rozpałił w palenisku, i szcztokowała długie włosy, kiedy schły. Denerwowała się spotkaniem z imperatorem i chciała schludnie wyglądać. Sebastian, wsparty na łokciu, patrzył, jak siedzi w migotliwym blasku ognia. Uśmiechnął się promiennie i powiedział, że nawet nie umyta i ze splątanymi włosami byłaby najpiękniejszą z kobiet, jakie widział imperator Jagang.

Teraz jechali skrajem obozowiska Imperialnego Ładu i chociaż włosy Jennsen były wyszcztokowane, to żołądek skręcał się jej w supeł. Skłębione chmury, przesuujące się mimo gór ku zachodowi, zapowiadały rychły wybuch wiosennej burzy. Ponad odległymi dolinami błyskawice przesywały już ciemne chmury. Miała nadzieję, że deszcz nie zmoczy jej włosów i sukni tuż przed spotkaniem z imperatorem.

- O, tam. - Sebastian pochylił się w siodle i wskazał ręką. - To namioty imperatora, a to jego ważnych doradców i oficerów. A niedaleko, tam, w dolinie, powinno być samo Aydindril. - Obejrzał się na nią z szerokim

uśmiechem. - Imperator Jagang nie zajął jeszcze miasta. Zdążyliśmy na czas.

Obszerne namioty robiły imponujące wrażenie. Największy był owalny, z wielospadowego dachu sterczały trzy wysokie maszty. Boki namiotu zdobiły jaskrawe hafty. Z okapu zwieszały się taśmy i chwosty. Na szczytach trzech masztów łopotały na wietrze czerwone i jaskrawożółte sztandary, a długie proporce falowały jak powietrzne węże. Namiot imperatora kontrastował z szarawymi namiocikami żołnierzy jak królewski pałac z szopami.

Wjeżdżali w głąb obozowiska i serce Jennsen przyspieszało. Rusty i Pete, czujnie nastawiwszy uszu, parskaly z niezadowolenia, że się je prowadzi w tak hałaśliwe i ruchliwe miejsce. Popędziła klacz i ujęła wyciągniętą ku niej dłoń Sebastiana.

- Ale masz spoconą rękę - powiedział z uśmiechem. - Chyba się nie denerwujesz?

A w niej aż kipiało.

- Może troszkę - odparła.

Cel, w którym tu przybyła, dodawał jej sił.

- Nie denerwuj się. To imperator Jagang będzie stremowany, kiedy ujrzy tak piękną kobietę.

Jennsen poczuła, że się rumieni. Zaraz zobaczy imperatora. Co pomyślałaby o tym jej mama? Jechała i zastanawiała się, jak się musiała czuć jej matka - młoda pałacowa służąca, właściwie nikt - kiedy spotkała Rahla Poępnego. Po raz pierwszy mogła naprawdę zrozumieć wagę owego wydarzenia w życiu tej kobiety.

Kiedy wjechali do obozu, żołnierze zaczęli się na nią gapić. Schodzili się tłumnie, żeby popatrzeć na wjeżdżającą między nich kobietę. Spostrzegła, że ich drogę wytyczają liczni żołnierze z pikami, powstrzymujący napierające tłumy. Uświadomiła sobie, że straż oczyszcza drogę i dba, żeby żaden z radosnych żołnierzy nie podszedł zbyt blisko.

Sebastian obserwował, jak Jennsen dostrzega, że straż oczyszcza im drogę.

- Imperator wie, że nadjeżdżamy - rzekł do niej.

- Jak się dowiedział?

- Kiedy parę dni temu napotkaliśmy zwiadowców, a tego ranka wartowników, ci wysłali gońców do imperatora z wieścią, że wróciłem, i to nie sam. Jagang chce zapewnić bezpieczeństwo sprowadzonemu przeze

mnie gościowi.

Jennsen pojęła, że strażę miały trzymać z dala od nich tłumy zawodowych żołnierzy. Pomyślała, że to dziwne, ale - widząc pijackie zamroczenie jednych oraz niechlujny wygląd i poządlliwe uśmiešky innych - nie miała nic przeciwko temu.

- Ci żołnierze wyglądają tak... okrutnie... i prostacko.

- A czy gdy już będziesz miała wbić nóż w serce lorda Rahla - rzekł natychmiast Sebastian - dygniesz i powiesz „proszę” i „dziękuję”, żeby się przekonał, jak dobrze jesteś wychowana?

- Jasne, że nie, ale...

Popatrzył na nią błękitnymi oczami.

- A wołałabyś, żeby tacy żołnierze byli w chacie i bronili twojej matki, kiedy tamci brutale przyszli ją zamordować?

Jennsen na moment aż zatkało.

- Sebastianie, nie wiem, co to ma wspólnego...

- Uwierzyłabyś, że wystrojone żołnierzyki w lśniących skórach i z wyszukanyymi manierami, jakich nie powstydziliby się napuszony król na wystawnym przyjęciu, staną w obronie twojej ukochanej matki, że osłonią ją przed krwiożerczymi zabójcami? A może wołałabyś, żeby jacyś inni, nawet bardziej prości żołnierze zasłonili twoją matkę i bronili jej życia? Nie chciałabyś, żeby wojownicy zahartowani w najokrutniej szych walkach stanęli pomiędzy nią a barbarzyńcami, którzy przyszli ją zabić?

- Chyba rozumiem, o co ci chodzi - przyznała.

- Ci żołnierze pełnią tę funkcję wobec swoich bliskich, którzy pozostali w Starym Świecie.

Nieoczekiwane spotkanie z owym straszliwym wspomnieniem było tak bolesne i deprymujące, że musiała jak najszybciej odwrócić od niego myśli. Upokorzyły ją również zapalczywe słowa Sebastiana. Była tu z konkretnego powodu. I tylko ten powód się liczył. Tym lepiej, jeżeli żołnierze wystawieni przeciwko siłom lorda Rahla byli brutalni i groźni.

Kobiety Jennsen zobaczyła dopiero wtedy, kiedy dotarli na ściśle odseparowane od reszty tereny wokół namiotów imperatora. Tworzyły dziwną zbieraninę, od młodo wyglądających po przygarbione wiekiem. Większość zerknęła ciekawie, niektóre się nachmurzyły, a kilka sprawiało wrażenie zaniepokojonych, ale wszystkie obserwowały, jak nadjeżdża.

- Dlaczego te wszystkie kobiety mają kółko w dolnej wardze? - szepnęła do Sebastiana.

Przesunął wzrokiem po kobietach stojących w pobliżu namiotów.

- Na znak lojalności wobec Imperialnego Ładu, wobec imperatora Jaganga.

Dziewczyna uznała, że to nie tylko osobliwy, ale i budzący niepokój sposób okazywania lojalności. Większość kobiet nosiła brudne stroje, miała rozczochrane włosy. Niektóre były odziane trochę lepiej, ale tylko trochę.

Zsiedli i żołnierze zabrali konie. Jennsen pogładziła ucho Rusty i szepnęła uspokajająco nerwowej klaczy, że może bez obawy iść z obcym. Kiedy Rusty się uspokoiła, Pete radośnie poszedł za nią ku prowizorycznej stajni. Rozstanie z towarzyszką tak długiej podróży nieoczekiwanie przypomniało dziewczynie o Betty.

Obserwujące ich niewiasty cofnęły się, jakby się bały pozostać zbyt blisko. Jennsen była przyzwyczajona do takiego zachowania: ludzie bali się jej rudych włosów. To był jeden z rzadkich wiosną gorących dni i odurzył dziewczynę obietnicą jeszcze wielu takich dni. Zapomniała naciągnąć kaptur, kiedy zbliżali się do obozowiska. Chciała go teraz nałożyć, lecz Sebastian ją powstrzymał.

- To nie jest konieczne. - Skinieniem głowy wskazał kobiety. - Wiele z nich to Siostry Światła. Nie obawiają się magii, tylko obcych wchodzących do sektora władcy.

Jennsen pojęła teraz, dlaczego niektóre kobiety tak dziwnie się jej przyglądały. Miały dar i widziały ją jako dziurę w świecie. Widziały ją oczami, ale darem - nie.

Sebastian nie miał o tym pojęcia. Nigdy mu dokładnie nie powiedziała, co Althea wytłumaczyła jej w sprawie posiadających dar i potomstwa Rahla Poępnego. Strateg przy wielu okazjach okazywał protekcyjny niesmak wobec magii. Jennsen nigdy nie czuła się na tyle swobodnie, żeby mu opowiedzieć o szczegółach tego, czego się dowiedziała od czarodziejki, i o jeszcze ważniejszych rzeczach, których sama się domyśliła. I tak było jej trudno to pojąć; a poza tym wydawało się to zbyt osobiste, żeby mu o tym mówić, zanim nadejdzie odpowiedni czas i właściwe okoliczności. A na to się w ogóle nie zanosilo.

Z przymusem uśmiechnęła się do kobiet patrzących z cienia rzucanego

przez namiot. Odpowiedziały nieruchomym spojrzeniem.

- Dlaczego imperator jest odizolowany od swoich żołnierzy i strzeżony? - zapytała Sebastiana.

- Przy takiej liczbie ludzi nigdy nie można mieć pewności, czy któryś z nich nie jest wrogim agentem lub wariatem, chcącym zapewnić sobie sławę zranieniem imperatora. Taki szaleńczy czyn mógłby nas pozbawić wielkiego wodza. Wobec takiego ryzyka musimy podejmować środki ostrożności.

Jennsen uznała, że potrafi to pojąć. W końcu sam Sebastian wkradł się do Pałacu Ludu. Gdyby natrafił tam na jakąś ważną osobistość, mógłby wyrządzić wrogom sporą krzywdę. D'Harańczyków niepokoiło takie zagrożenie. Nawet aresztowali właściwego człowieka.

Na szczęście Jennsen zdołała go wydostać. Jak udało się jej tego dokonać, należało do spraw, z którymi się wreszcie uporała, lecz nigdy nie mogła znaleźć odpowiedniej pory, żeby podzielić się tym z Sebastianem. I tak nie sądziła, żeby to zrozumiał. Pewnie nawet nie uwierzyłby w takie naciągane domysły.

Ramię Sebastiana objęło ją w talii i pociągnęło ku dwóm wielkim, milczącym żołnierzom, którzy trzymali straż przed namiotem imperatora. Skłonili głowy, a Sebastian wszedł pomiędzy nich i odsunął ciężką zasłonę, pokrytą złotymi tarczami i srebrnymi medalionami.

Jennsen nigdy sobie nawet nie wyobrażała - a tym bardziej nie widziała - tak wspaniałego namiotu. A wewnątrz było jeszcze zbytkowniejsze, niż się można było spodziewać. Ziemię całkowicie pokrywały bogate dywany. Przestrzeń rozgradzały kotary tkane w egzotyczne sceny i wymyślne wzory. Na lśniących stolikach i kufrach stały delikatne szklane misy, przepiękna ceramika i wysokie malowane wazy. Z boku ustawiono wysoką oszkloną gablotę, pełną malowanych talerzy wyeksponowanych na podpórkach. Podłogę zaścielały barwne poduchy rozmaitej wielkości. Przesłonięte jedwabiem otwory w dachu wpuszczały przyćmione światło. Wszędzie migotały zapachowe świece, dywany i kotary zaś wyciszały namiot. Było to uświęcone miejsce.

Obecne tu kobiety - każda z kółkiem w dolnej wardze - wykonywały najrozmaitsze zajęcia. Większość była zaabsorbowana pracą, ale jedna z nich - metodycznie polerująca kolekcję smukłych delikatnych waz - chłodno obserwowała Jennsen kątem oka.

Była w średnim wieku, barczysta, odziana w sięgającą podłogi, zapiętą aż po szyję ciemnoszarą suknię. Siwiejące czarne włosy luźno związała z tyłu. Niczym się nie wyróżniała, oprócz znaczącego, pełnego zadowolenia uśmiešku na trwałe przyrośniętego do jej twarzy. Ta mina zastanowiła dziewczynę.

Kiedy ich oczy się spotkały, głos znów dał się słyszeć, wołając imię Jennsen tym niesamowitym głuchym szeptem, wzywając ją, żeby się poddała. Z jakiegoś powodu ogarnęło ją lodowate przeczucie, iż ta kobieta wie, że głos przemówił. Dziewczyna odegnała ten dziwaczny domysł, uznawszy, że to tylko mina kobiety tworzy złudzenie takiej władczej wyższości.

Jedna z kobiet czyściła dywany ręczną szczotką. Inna wymieniała stopione świece. Jeszcze inne - niektóre na pewno były Siostrami Światła - pospiesznie wchodziły i wychodziły z pomieszczeń w głębi, zajmowały się poduchami, lampami, a nawet kwiatami w wazach. Smukły młody chłopak, ubrany jedynie w luźne bawełniane spodnie, czesał grzebieniem frędzle dywanów leżących przed wejściem do dalszych pomieszczeń. Wszyscy, z wyjątkiem brązowookiej kobiety polerującej smukłe wazy, byli zaprzątnięci swoją pracą i nie zwracali szczególnej uwagi na to, że do namiotu imperatora weszli goście.

Sebastian obejmował ją ramieniem i kierował w głąb słabo oświetlonego pomieszczenia. Wiatr lekko poruszał ścianami i sufitem. Serce Jennsen nie tłukłoby się mocniej, gdyby ją prowadzono na egzekucję. Kiedy sobie uświadomiła, że zaciska palce na rękojeści noża, by sprawdzić, czy ten luźno tkwi w pochwie, zmusiła się do cofnięcia ręki.

W głębi stał wymyślnie rzeźbiony i złożony tron, spowity wstęgami czerwonego jedwabiu. Jennsen przełknęła ślinę i w końcu zmusiła się, by spojrzeć na siedzącego na nim człowieka, który wsparł łokieć o poręcz, brodę podparł kciukiem, palec wskazujący zaś przytknął do policzka.

Był potężnym mężczyzną o grubym karku. Migotliwy blask świec odbijał się od jego wygolonej czaszki, co sprawiało wrażenie, jakby nosił koronę z płomyków. Długie, cienkie, splecione w warkocz wąsy zwieszały się z kącików ust, a jeszcze jeden taki warkocz - ze środka brody. Delikatny złoty łańcuszek łączył złoty pierścień w lewym nozdrzu z takimż kółkiem w lewym uchu, a sporo ciężkich, zdobnych drogimi kamieniami łańcuchów

spoczywało na jego potężnej piersi. Każdy mięsisty paluch otaczał szeroki pierścień. Nosił pozbawioną rękawów kurtę z owczej wełny odsłaniającą jego muskularne barki i krzepkie ramiona. Choć nie wydawał się wysoki, na pewno był imponująco umięśniony.

Jednak to jego oczy sprawiły, że Jennsen - pomimo ostrzeżeń Sebastiana - zapało dech w piersiach. Żadne słowa nie mogły jej przygotować na coś takiego.

Te atramentowe oczy nie miały białek, tęczówek ani źrenic - były połyskliwą czarną pustką. Czarną pustką, przez którą przepływały jeszcze ciemniejsze kształty, niczym burzowe chmury o północy. Choć nie miał ani tęczówek, ani źrenic, Jennsen nie wątpiła, że bacznie spogląda wprost na nią. Miała wrażenie, że ugną się pod nią kolana. A kiedy się do niej uśmiechnął, była już tego pewna. Ramię Sebastiana objęło ją mocniej, pomogło utrzymać się na nogach. Skłonił się lekko, od pasa.

- Wdzięczny jestem Stwórcy, że cię strzegł i ochraniał, imperatorze.

Uśmiech rozszerzył się.

- I ciebie też, Sebastianie. - Głos Jaganga pasował do jego postury: był chrypliwy, mocny i groźny; świadczył, że jest on człowiekiem nie znoszącym słabości i wymówek. - Długo to trwało. Zbyt długo. Cieszę się, że znów jesteś przy mnie.

Sebastian skinął głową ku Jennsen.

- Przyprowadziłem ważnego gościa, Ekscelencjo. Oto Jennsen.

Choć ramię Sebastiana otaczała jej kibić, to wysliznęła się i z własnej woli osunęła na kolana, zanim drzenie ją do tego zmusiło. Wykorzystała tę okazję, żeby skłonić się tak głęboko, że aż dotknęła czołem dywanu. Sebastian nie powiedział, że to konieczne, ale bała się, że tak właśnie musi uczynić. Przynajmniej nie musiała patrzeć w te oczy jak z koszmaru.

Sądziła, że taki człowiek - wojownik, który chciał pokonać najeźdźców z D'Hary - musi się odznaczać potężną siłą, żelazną wolą i nieugiętą wytrzymałością. Panowanie ludowi mającemu nadzieję na ocalenie od zagrażającego mu zniewolenia było zadaniem w sam raz dla człowieka, przed którym klęczała.

- Ekscelencjo - powiedziała drżącym głosem - jestem na twoje usługi.

Usłyszała grzmiący śmiech.

- Ależ Jennsen, nie trzeba.

Poczuła, jak purpurowieje, kiedy podniosła się z jowialną pomocą Sebastiana. Ani imperator, ani Sebastian nie zwrócili uwagi na jej zażenowanie.

- Gdzieś znalazł taką śliczną młodą kobietę, Sebastianie?

Błękitne oczy stratega spojrzały na nią z dumą.

- To długa opowieść na inną okazję, Ekscelencjo. Wiedz jednak, że Jennsen podjęła ważną decyzję, która będzie miała znaczenie dla nas wszystkich.

Czarne oczy Jaganga popatrzyły na Jennsen tak, że serce podeszło jej do gardła. Uśmiechał się leciutko, niczym imperator pobłażliwie patrzący na kompletne zero.

- A cóż to za decyzja, młoda damo?

Jennsen.

W pamięci dziewczyny pojawił się obraz matki, leżącej na podłodze w ich chacie, krwawiącej i umierającej. Nigdy nie zapomni ostatnich cennych chwil jej życia. Ciągle dręczył ją bolesny smutek, że musiała uciekać i nie mogła pochować mamy.

Jennsen.

Zapłonął gniew i mogła odpowiedzieć na pytanie imperatora.

- Zamierzam zabić lorda Rahla - oznajmiła. - Przybyłam prosić cię o pomoc.

W głuchej ciszy z twarzy Jaganga zniknął najlżejszy ślad wesołości. Przyglądał się jej zimnymi, czarnymi, bezlitosnymi oczami, ostrzegawczo marszcząc czoło. Był to temat nie nadający się do żartów. Lord Rahl najechał ojczyznę tego człowieka, zabił tysiące jego poddanych, sprowadził na cały świat wojnę i cierpienia.

Jagang Sprawiedliwy czekał na jej wyjaśnienia.

- Jestem Jennsen Rahl - odpowiedziała gniewnemu spojrzeniu, po czym dobytej noża, chwyciła pewną dłonią ostrze i podsunęła mu przed oczy rękojeść z ozdobną literą „R”, symbolem rodu Rahlów. - Jestem Jennsen Rahl - powtórzyła. - Siostra Richarda. Zamierzam go zabić. Sebastian mówił, że mógłbyś mi w tym pomóc. Jeżeli tak, to na wieki zostanę twoją dłużniczką. Jeżeli to niemożliwe, to powiedz od razu, bo i tak zamierzam go zabić i muszę natychmiast ruszać w drogę.

Wsparł łokcie o poręczę spowitego czerwonym jedwabiem tronu i

pochylił się ku niej, wpatrując się w nią tymi oczami jak z koszmaru.

- Moja droga Jennsen Rahl, siostrze Richarda Rahla, dla takiej sprawy złożyłbym ci u stóp cały świat. Proś, a twoim będzie wszystko, co podlega mojej mocy.

ROZDZIAŁ 45

Jennsen siedziała obok Sebastiana, bo to jej dodawało otuchy, lecz chciałaby, żeby siedzieli tylko we dwoje przy ognisku, smażąc ryby albo gotując fasolę. Przy stole imperatora, z całą tą kręcącą się wokół służbą, czuła się tak samotna jak nigdy przedtem, nawet kiedy była sama w cichym lesie. Nie wiedziała, jak by sobie poradziła bez przyjaciela, śmiejącego się i rozmawiającego, jak by się bez niego zachowywała. Krępowała ją nawet obecność zwyczajnych ludzi, a to tutaj o wiele bardziej wytrącało ją z równowagi.

Jagang bez wysiłku dominował nad wszystkim i wszystkimi. Choć był wobec Jennsen ogromnie kurtuazyjny, w jakiś nieodgadniony sposób dawał jej odczuć, że każdy swój oddech zawdzięcza wyłącznie jego łasce. Doniosłe sprawy załatwiał od ręki, mimochodem, tak codzienne były to obowiązki i tak niezachwiana jego władza. Był jak wypoczywająca puma o lśniącej sierści, leżąca niedbale, leniwie poruszająca ogonem i oblizująca się.

Nie był to imperator, który zadowoliliby się bezpiecznym siedzeniem na uboczu, w jakimś dalekim pałacu, i wysłuchiowaniem raportów. Był to imperator, który osobiście prowadzi swoich żołnierzy w wir walki. Był to imperator, który zanurza ręce w krwawe błocko życia i śmierci i wyciąga stamtąd, co zechce.

Choć wydawało się, że to wystawna kolacja jak na nacierającą armię, były to w końcu namiot i stół imperatora. Podano obfitość potraw i napojów - od dzikiego ptactwa do ryb, od wołowiny po jagnięcinę, od wody po wino.

Służba, skoncentrowana na swoich obowiązkach, spieszyła tam i z powrotem z parującymi półmiskami rewelacyjnie przygotowanych potraw i traktowała Jennsen jak królową. Dziewczyna nagle pojęła, jak się musiała czuć jej mama - młoda, skromna kobieta niskiego stanu - gdy siedziała u stołu lorda Rahla, widząc kuszącą obfitość, jakiej sobie nigdy nie wyobrażała, i zarazem drżąc z przejęcia, że jest w towarzystwie człowieka, który - nie przerywając posiłku - może skazać na śmierć.

Jennsen nie miała apetytu. Odrywała kawałeczki z soczystej porcji wieprzowiny leżącej przed nią na grubej pajdzie chleba i pogryzała je, słuchając rozmowy obu mężczyzn. To była zdawkowa wymiana zdań. Czuła,

że gdyby jej tu nie było, mieliby sobie do powiedzenia o wiele więcej. A tak rozmawiali o znajomych i o mało ważnych sprawach, które wydarzyły się, odkąd Sebastian opuścił armię ubiegłego lata.

- A co z Aydindril? - zapytał strateg, nabijając na czubek noża plaster mięsiwa.

Imperator ukreślił nogę przyrumienionej gęsi. Oparł łokcie na brzegu stołu, pochylił się i wykonał nieokreślony gest swoim łupem.

- Nie wiem.

Sebastian opuścił nóż.

- Co masz na myśli? Pamiętam topografię. Jesteś zaledwie o dzień lub dwa drogi. - Głos miał pełen szacunku, ale i zatroskania. - Jak możesz wkroczyć do Aydindril, nie wiedząc, co cię tam czeka?

Jagang odgryzł porządny kęs z gęsiego udka, trzymając oburącz kość. Z palców imperatora i z mięsa kapał tłuszcz.

- No cóż - rzekł w końcu, machając kością przez ramię, a potem odrzucając ją na talerz - wysłaliśmy zwiadowców i patrole, żeby rzucili okiem, ale żaden z żołnierzy nie wrócił.

- Żaden? - W głosie Sebastiana zabrzmiał niepokój.

Jagang wziął nóż i odciął kawałek jagnięciny ze stojącego z boku półmiska.

- Żaden - powiedział, nabijając kawałek mięsa.

Sebastian zsunął zębami z ostrza porcję mięsa, po czym odłożył nóż. Oparł łokcie na brzegu stołu, splótł palce i zamyślił się.

- W Aydindril jest Wieża Czarodzieja - powiedział wreszcie cicho. - Widziałem ją, kiedy poprzedniego roku byłem w mieście na zwiadach. Stoi na zboczu góry, ponad miastem.

- Pamiętam twój raport - odparł Jagang.

Jennsen chciała zapytać, co to takiego ta Wieża Czarodzieja, lecz nie miała odwagi się odezwać, kiedy rozmawiali. Poza tym wydawało się to dość oczywiste, zwłaszcza że Sebastian powiedział to złowieszczym tonem.

- Czy wolno mi spytać, co zamierzasz? - odezwał się strateg, zacierając ręce.

Imperator rozkazująco pstryknął palcami. Cała służba zniknęła. Jennsen chciałaby odejść wraz z nią, ukryć się pod kocem i znów być nikim. Na zewnątrz zagrzmiało i porywy wiatru uderzały deszczem o namiot.

Ustawione wokół stołu świece oraz lampy oświetlały obu mężczyzn i najbliższe otoczenie, ale pozostawiały w mroku miękkie kobierce i ściany.

Władca zerknął przelotnie na Jennsen, a potem skierował czarne oczy na Sebastiana.

- Zamierzam tam wejść zdecydowanie. Nie z całą armią, jak się zapewne spodziewają, ale z jazdą na tyle liczną, żeby kontrolować sytuację, i na tyle skromną, żeby była zwrotna. Oczywiście, zabierzemy sporą grupę tych z darem.

Kiedy to mówił, nastrój zmienił się na złowieszczo poważny. Jennsen czuła, że jest niemym świadkiem krytycznych chwil doniosłego wydarzenia. Strasznie było myśleć, o ilu ludzkich żywotach rozstrzygają słowa wypowiedane przez obu mężczyzn.

Sebastian przez jakiś czas rozważał to, a potem zapytał:

- Wiesz, jak Aydindril przezimowało?

Jagang potrząsnął głową. Zsunął z noża kawałek jagnięciny i powiedział z pełnymi ustami:

- Matka Spowiedniczka jest, jaka jest. Między innymi głupia. Z kierunku naszego marszu, z manewrów, które widziała, z miast, które już padły, ze wszystkich zebranych przez siebie raportów i informacji dawno powinna się domyślić, że wiosną ruszę na Aydindril. Dałem im dużo czasu na niespokojne zastanawianie się nad losem, który ich czeka. Podejrzewam, że teraz już wszyscy się trzęsą ze strachu, ale nie sądzę, żeby miała odwagę uciec.

- Myślisz, że jest tam żona lorda Rahla? - wyrwało się zdumionej Jennsen.

- W mieście? Sama Matka Spowiedniczka?

Obaj mężczyźni zamilkli i spojrzeli na nią. W namiocie panowała cisza.

Jennsen wzdrygnęła się.

- Wybaczcie, że się odezwałam.

Imperator szeroko się uśmiechnął.

- Cóż miałbym ci wybaczać? Trafiałś w sedno. - Machnął nożem ku Sebastianowi. - Przeprowadziłeś wyjątkową kobietę. Kobietę, która ma głowę na karku.

Strateg przesunął dłonią po plecach Jennsen.

- I to śliczną.

Jagang obserwował ją błyszczącymi czarnymi oczami.

- O, tak. - Na oślep wybierał palcami oliwki ze szklanej misy. - I cóż myślisz o tym wszystkim, Jennsen Rahl?

Ponieważ już się odezwała, nie mogła się teraz wymigać od odpowiedzi. Zebrała się w sobie i zastanowiła nad pytaniem.

- Gdybym się nie ukrywała przed lordem Rahlem, zawsze starałabym się unikać tego, po czym by poznał, gdzie jestem. Robiłam co w mojej mocy, żeby mnie nie wyszedł. Może i oni tak właśnie robią. Starają się zamaskować.

- I ja tak myślę - odezwał się Sebastian. - Jeżeli są wystraszeni, to będą się starali zlikwidować każdego zwiadowcę i patrol, żebyśmy myśleli, że są silniejsi niż w rzeczywistości, i żebyśmy nie wykryli ich planów obrony.

- By mieć po swojej stronie choć jeden element zaskoczenia - dodała Jennsen.

- Jestem tego samego zdania - stwierdził Jagang i uśmiechnął się do Sebastiana. - Nic dziwnego, żeś mi przyprowadził tę kobietę, bo i ona jest strategiem. - Mrugnął do Jennsen i potrząsnął dzwonkiem.

W odległym wejściu pojawiła się kobieta - ta w szarej sukni, ze związanymi z tyłu siwiejącymi czarnymi włosami.

- Słucham, Ekscelencjo?

- Przynieś młodej damie owoców i słodyczy.

Skłoniła się i wyszła, a imperator znów spoważniał.

- Właśnie dlatego uważam, że lepiej wziąć mniejsze siły, niż się spodziewają, takie, którymi łatwo manewrować w zależności od zastosowanej obrony. Mogą pokonać małe patrole, ale nie znaczną siłę jazdy i mających dar. W razie potrzeby zawsze możemy wprowadzić do miasta resztę żołnierzy. Całą zimę siedzieli na tyłkach, więc będą szczęśliwi, kiedy się ich spuści ze smyczy. Jednak nie mam ochoty zaczynać od tego, czego ci w Aydindril się spodziewają.

Sebastian odruchowo kłuł nożem gruby plaster rostbefu i zastanawiał się.

- Ona może być w Pałacu Spowiedniczek. - Popatrzył znów na imperatora. - Matka Spowiedniczka równie dobrze mogła się w końcu zdecydować na stawienie oporu.

- I ja tak myślę - rzekł Jagang.

Na zewnątrz trwała wiosenna burza i wśród namiotów zawodził chłodny

wiatr.

Jennsen nie mogła się powstrzymać.

- Naprawdę sądzicie, że tam będzie? - spytała obu mężczyzn. - Naprawdę sądzicie, że tam zostanie, skoro wie, że nadciągasz z olbrzymią armią?

Imperator wzruszył ramionami.

- Jasne, że nie mogę mieć pewności, ale walczyłem z nią przez całą drogę w głąb Midlandów. Dawniej mogła wybierać, chociaż czasem było to trudne. Zapędziliśmy jej wojska do Aydindril tuż przed zimą, a potem stanęliśmy obozem u progu. Teraz ona i jej armia nie mają już wyboru. Ze względu na okoliczne góry nie mają dokąd uciec. Nawet ona wie, że przychodzi czas, kiedy trzeba stawić czoło temu, co nadciąga. Dlatego myślę, że właśnie tu postanowi stawić opór i walczyć.

Sebastian nabił na nóż porcję mięsa.

- To brzmi zbyt prosto.

- Jasne - odparł Jagang - i dlatego muszę brać pod uwagę, że właśnie tak postanowi.

Strateg wskazał ku północy czerwonym kawałkiem mięsa tkwiącym na czubku noża.

- Mogła się wycofać w góry i zostawić tylko tyłu żołnierzy, żeby eliminowali naszych zwiadowców i patrole i utrzymywali cię w niewiedzy, jak to sugerowała Jennsen.

Imperator wzruszył ramionami.

- Możliwe. To nieprzewidywalna kobieta. Ale kończą jej się miejsca, w które by się mogła wycofać. Wcześniej czy później nic jej nie zostanie. Może więc tak postanowiła, a może nie.

Jennsen nie miała pojęcia, że Stary Świat tak daleko odrzucił wroga. Sebastiana również długo tu nie było. Sprawy Starego Świata nie wyglądały tak ponuro, jak sądziła. Ale i tak ryzykownie było opierać się na takich niepotwierdzonych domysłach.

- I chcesz ryzykować życie swoich żołnierzy w nadziei, że ona tam będzie?

- Ryzykować? - Jagang był najwyraźniej rozbawiony. - Nie rozumiesz? To nie jest hazard. Tak czy owak, nie mamy nic do stracenia. Tak czy owak, zdobędziemy Aydindril. I w ten sposób w końcu rozszczepimy na dwoje Midlandy, a zarazem cały Nowy Świat. Dziel i zdobywaj, to droga do

zwycięstwa.

Sebastian zlizął krew z noża.

- Znasz jej strategię lepiej ode mnie i lepiej potrafisz przewidzieć, co zrobi. Jednak, jak mówisz, zdobędziemy Aydindril, siedzibę władzy Midlandów, bez względu na to, czy ona postanowi zostać ze swoim ludem, czy zostawić ich własnemu losowi.

Imperator zapatrzył się w dal.

- Ta suka zabiła setki tysięcy moich żołnierzy. Zawsze udawało jej się wyprzedzić mnie o krok, wymknąć się, lecz przez cały czas cofała się ku ścianie, tej ścianie. - Ogarnęła go lodowata furia. - Oby Stwórca pozwolił, żebym ją wreszcie dopadł. - Zbielały kłykcie palców zaciśniętych na rękojeści noża, w głosie brzmiała śmiertelna groźba. - Dopadnę ją i wyrównam rachunki. Osobiście.

Sebastian ocenił wyraz czarnych oczu władcy.

- To może jesteśmy blisko ostatecznego zwycięstwa, przynajmniej w Midlandach. Zdobyć Midlandów zaś przypieczętuje los D'Hary. - Podniósł nóż. - A jeżeli jest tu Matka Spowiedniczka, to równie dobrze może być i lord Rahl.

Jennsen, z głową pełną kłębiących się myśli, spojrzała na Sebastiana, a potem na imperatora.

- Chcesz powiedzieć, że podejrzewacie, że jest tu też jej mąż, lord Rahl?

- Otóż to, kochanieńka. - Jagang spojrzał na nią oczami jak z koszmarnego snu i uśmiechnął się paskudnie.

Krwiożerczy wyraz oczu sprawił, że Jennsen dreszcz przebiegł po plecach. Była wdzięczna dobremu duchom, że znalazła się po stronie tego człowieka, a nie jego wroga. Musiała im jednak przekazać ważną informację otrzymaną od Toma. Poczowała ukłucie żalu, bo wolałaby się tego dowiedzieć od kogoś innego, ale tak naprawdę to Sebastian pierwszy jej o tym powiedział.

- Lord Rahl nie może być w Aydindril. - Obaj wbili w nią wzrok. - Jest daleko na południu.

- Na południu? - Jagang nachmurzył się. - Co ty mówisz?

- Jest w Starym Świecie.

- Jesteś tego pewna? - zapytał Sebastian.

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

- Sam mi to powiedziałaś. Mówiłaś, że poprowadził wojsko na Stary Świat.

Mina stratega świadczyła, że sobie przypomniał.

- A tak, rzeczywiście. Ale to było na długo przed tym, jak cię spotkałem, zanim jeszcze opuściłem nasze wojska. Tak dawno temu słyszałem te raporty. To było dawno temu.

- Ale ja wiem, że potem był w Starym Świecie.

- Jak to? - warknął ochryple Jagang.

Jennsen odkaszlnęła.

- Więź. D'Harańczyków łączy z lordem Rahlem więź...

- I ty czujesz tę więź? - zapytał władca.

- Nie. Nie jest we mnie dość mocna. Ale kiedy byliśmy z Sebastianem w Pałacu Ludu, spotkałam ludzi, którzy mówili, że lord Rahl jest daleko na południu, w Starym Świecie.

Imperator rozważał jej słowa. Obejrzał się na kobietę, która wróciła z tacami suszonych owoców, słodczy i orzechów. Krzątała się przy dalszej części stołu, najwyraźniej nie chcąc przeszkadzać swojemu panu i jego gościom.

- Ale usłyszałaś to zimą, Jenn, kiedy byliśmy w pałacu. Czy potem słyszałaś, żeby to potwierdził ktoś czujący więź?

- Raczej nie. - Jennsen pokręciła głową.

- Jeżeli Matka Spowiedniczka zamierza zostać w Aydindril - odezwał się w zadumie Sebastian - to jest możliwe, że odkąd ostatni raz słyszeliśmy, że jest na południu, zdążył tu wrócić, by stanąć u jej boku.

Jagang pochylił się ponad leżącym przed nim krwistym kawałkiem mięsa.

- Ci dwoje już tacy są. Żli aż do końca. Od dawna mam z nimi do czynienia. Wiem, że jeżeli mogą być razem, to będą, choćby i w śmierci.

Implikacje były zdumiewające.

- No to... moglibyśmy go dopaść - wyszeptała jakby do siebie Jennsen. - Moglibyśmy ująć też lorda Rahla. Koszmar mógłby się skończyć. Może stoimy przed ostatecznym zwycięstwem.

Jagang odchylił się do tyłu, bębnił palcami o stół, patrząc to na jedno, to na drugie.

- Choć trudno uwierzyć, że Richard Rahl też mógłby tu być, z tego, co o

nim wiem, wynika, że wybrałby wspólną z nią przegraną niż patrzenie, jak mu się wszystko, kawałek po kawałku, wymyka z rąk.

Jennsen nieoczekiwanie poczuła ostre ukłucie bólu na myśl o tych dwojgu wspólnie czekających na swój kres. To było zupełnie nie w stylu lorda Rahla: troszczyć się o jakąkolwiek kobietę, a już tym bardziej stać u jej boku, kiedy miała przegrać wojnę o ojczyznę i na dodatek stracić życie. Lord Rahl bardziej by się troszczył o ocalenie własnego życia i własnej krainy. Jednak myśl, że on może się znajdować tak blisko, była zbyt kusząca, by ją odrzucić, i aż przyspieszała tętno Jennsen.

- Jeżeli jest tak blisko, to nie potrzebowałabym pomocy Sióstr Światła. Nie byłby mi potrzebny urok. Musiałabym tylko się tam dostać, być przy tobie, kiedy wjedziesz do miasta.

Wrócił ponury uśmiech Jaganga.

- Pojedziesz ze mną. Odstawię cię do Pałacu Spowiedniczek. - Znów tak zacisnął dłoń na rękojeści noża, że aż mu zbieleły kłykcie. - Chcę śmierci obojga. Osobiście zadbam, żeby Matka Spowiedniczka umarła. Zezwalam, byś wbiła nóż w serce Richarda Rahla.

W Jennsen zakłębiły się uczucia - przyprawiające o zawrót głowy uniesienie, że wkrótce spełni obietnicę, oraz mdlące przerażenie. Na chwilę zwątpiła, czy istotnie zdoła dokonać z zimną krwią tak makabrycznego czynu.

Jennsen.

I wtedy przypomniała sobie mamę, leżącą w kałuży krwi na podłodze ich chaty, wykrwawiającą się na śmierć, jej odciętą rękę. Przypomniała sobie chatę pełną brutalni lorda Rahla, stojących nad nią. Przypomniała sobie oczy mamy, kiedy ta umierała. Pamiętała, jaka się czuła bezsilna, gdy patrzyła na uchodzące mamine życie. To okropieństwo było równie świeże, jak wówczas. Gniew równie palący, jak wówczas. Jennsen pragnęła zatopić nóż w sercu tego łotra, swojego brata.

Tylko tego chciała.

Ogarnięta słusznym płomiennym gniewem ujrzała w wyobraźni, jak wbija nóż w pierś Richarda Rahla. Jakby przez mgłę usłyszała pytanie Jaganga:

- Ale dlaczego chcesz zabić brata? Z jakiego powodu?

- Grushdeva - syknęła.

Usłyszała, jak za jej plecami szklana waza spada na podłogę i pęka. Na ten odgłos drgnęła i wróciła do rzeczywistości.

Imperator spojrzał chmurnie na skrytą w mroku kobietę. Wlepiała w Jennsen swoje piwne oczy.

- Przepraszam za niezdarność Siostry Perdity - odezwał się Jagang, patrząc gniewnie na kobietę.

- Wybacz mi, Ekscelencjo - powiedziała kobieta w ciemnoszarej sukni. Wycofywała się między kotarami, cały czas się kłaniając.

Chmurny wzrok imperatora znów spoczął na Jennsen.

- Coś ty powiedziała?

Dziewczyna nie miała najmniejszego pojęcia. Wiedziała, że coś powiedziała, ale nie była pewna co. Pomyślała, że może żal splątał jej język akurat wtedy, kiedy odpowiadała. Powrócił smutek, przytłoczył ją wielkim, ponurym brzemieniem.

- Widzisz, Ekscelencjo - odparła, patrząc na nie zjedzoną kolację - przez całe życie uciekałam przed asasynami Rahla Posępnego, który chciał mnie zamordować, bo jestem jego pozbawionym daru dzieckiem. Kiedy Richard Rahl go zgładził i przejął władzę w D'Harze, podjął dzieło ojca, w tym uśmiercanie pozbawionego daru rodzeństwa. A był w tym jeszcze bardziej zajadły niż ojciec. - Jennsen podniosła załzawione oczy. - Zaraz po tym, jak spotkałam Sebastiana, dopadli nas w końcu ludzie mojego brata. Bestialsko zamordowali moją mamę. Gdyby nie Sebastian, i mnie by zabili. Sebastian uratował mi życie. Zamierzam zabić Richarda Rahla, bo jeżeli tego nie zrobię, nigdy nie będę wolna. Zawsze będzie posyłał żołnierzy moim tropem. Sebastian nie tylko uratował mi życie, ale i pomógł mi to zrozumieć. A co pewnie jeszcze ważniejsze, muszę pomścić mamę, jeżeli chcę odzyskać spokój.

- Naszym celem jest dobro współbraci. Twoja opowieść mnie zasmuca, to właśnie z takich powodów chcemy wykorzenić plagę magii. - Imperator przeniósł wreszcie wzrok na Sebastiana. - Jestem dumny, że pomagasz tej wspaniałej młodej kobiecie.

Strateg zmarkotniał. Wiedziała, jak się źle czuł, kiedy go chwalono. Chciała, żeby był dumny ze swoich dokonań, swojego znaczenia, swego statusu przy imperatorze. Położył nóż na resztkach posiłku.

- Wykonuję tylko swoją robotę, Ekscelencjo.

- No - odezwał się Jagang z zachęcającym uśmiechem - rad jestem, żeś wrócił na czas, by zobaczyć ukoronowanie swojej strategii.

Sebastian odchylił się do tyłu, powoli sącząc piwo z kufła.

- Nie chcesz poczekać na Brata Nareva? Czy i on nie powinien tego zobaczyć, skoro ma to być ostateczny cios?

Jagang popychał grubym paluchem oliwkę, kreśląc nią na stole małe kółko. Po pewnym czasie odezwał się cicho, nie podnosząc wzroku:

- Od upadku Altur'Rang nie mam wieści od Brata Nareva.

Sebastian aż się podniósł.

- Co?! Altur'Rang upadło? Co ty mówisz? Jak? Kiedy?

Jennsen wiedziała, że Altur'Rang to ojczyście strony imperatora, miasto, z którego przybył. Sebastian powiedział jej, że Brat Narev i Bractwo Ładu są w owym wielkim, jaśniejącym mieście nadziei ludzkości. Miano tam zbudować w hołdzie Stwórcy olbrzymi pałac, który miał też być symbolem umacniającym jedność Starego Świata.

- Niedawno otrzymałem raporty, z których wynika, że siły wroga opanowały miasto. Altur'Rang jest bardzo daleko i zostało odcięte. Raporty długo do mnie dążyły, po części z powodu zimy. Czekam na wieści. Ze względu na ten niepomyślny zwrot nie uważam za rozsądne czekać, aż Brat Narev tu dotrze. Pewnie jest zajęty odpieraniem nieprzyjaciela. Jeśli Matka Spowiedniczka i Richard Rahl są w Aydindril, to nie możemy zwlekać. Musimy uderzyć szybko i z miażdżącą siłą.

Jennsen współczująco położyła dłoń na ramieniu Sebastiana.

- To pewnie o tym mi opowiadałeś. Kiedy cię pierwszy raz zobaczyłam, mówiłeś, że lord Rahl najechał twoją ojczyznę, a on pewnie chciał wtedy zająć Altur'Rang.

Sebastian wpatrywał się w nią.

- Może się zdarzyć, że nie ma go w Aydindril. Może się okazać, Jenn, że nadal jest na południu, w Starym Świecie. Musisz o tym pamiętać. Nie chcę, żebyś całą nadzieję ulokowała w tym jednym i zawiodła się.

- Mam nadzieję, że jest tutaj i że to się wreszcie skończy, ale i tak, podobnie jak rzekł Jego Ekscelencja o wkroczeniu do Aydindril, nie mam nic do stracenia. Nie oczekuję, że go tu znajdę. Jeżeli nie ma go w Aydindril, i tak uzyskam pomoc, po którą mnie tu przyprowadziłeś.

- A cóż to za pomoc? - zapytał Jagang.

- Powiedziałem jej - odparł za nią Sebastian - że Siostry Światła mogłyby ją okryć urokiem, żeby zdołała minąć całą ochronę lorda Rahla i podejść do niego na tyle blisko, by uderzyć.

- Czyli albo tak, albo tak. Jeżeli jest w Aydindril, to tu go dopadniesz. - Jagang wziął ze stołu oliwkę, którą się bawił, i wrzucił ją sobie do ust. - Jeżeli nie, dostaniesz do dyspozycji czarodziejkę. Uzyskasz od Sióstr taką pomoc, jakiej zechcesz. Wystarczy, że powiesz, a one już się tym zajmą. Masz na to moje słowo.

Jego atramentowoczarne oczy były śmiertelnie poważne. Zagrzmiało. Błyskawice rozjaśniały wnętrze namiotu niesamowitym blaskiem, po którym światło świec wydawało się jeszcze słabsze, i w ciemnościach czekali na grzmot.

- Chcę, żeby rzuciły dla mnie urok odwracający uwagę tych, którzy go chronią, żebym mogła podejść wystarczająco blisko - powiedziała Jennsen, kiedy grzmot ucichł. Wyjęła nóż z pochwy i uniosła go, żeby popatrzeć na ozdobne „R” na rękojeści. - Wtedy zdołam wbić mu nóż w to złe serce. Ten nóż, jego nóż. Sebastian wyjaśnił mi, jakie to ważne, żeby oddając cios, posłużyć się tym, co najbliższe wrogom.

- Sebastian mówił rozsądnie. To nasza metoda i dzięki temu, z wolą Stwórcy, zwyciężymy. Módlmy się, żebyśmy w końcu ujęli tych dwoje i żeby to się wreszcie skończyło. Żeby plaga magii się skończyła i żeby ludzie wreszcie mogli żyć w pokoju, zgodnie z zamierzeniami Stwórcy.

Jennsen i Sebastian przytaknęli.

- Jeżeli schwytamy ich w Aydindril - rzekł Jagang, patrząc jej w oczy - obiecuję, że to właśnie ty wbijesz mu nóż w serce, żeby twoja matka mogła wreszcie spoczywać w pokoju.

- Dziękuję - szepnęła z wdzięcznością.

Nie spytał, jak zdoła wykonać to zadanie. Może bijące z jej głosu przekonanie zdradziło mu, że kryje się w tym więcej, niż wie: że ona dysponuje czymś specjalnym, dzięki czemu tego dokona.

I kryło się w tym więcej, niż wiedzieli i on, i Sebastian.

Dziewczyna długo nad tym rozmyślała, składała w całość rozmaite elementy. Całe życie poświęciła rozmyślaniu nad tą sprawą. Jednak w przeszłości polegało to głównie na tym, że dumiała, jakie to nierozwiązywalne i że to tylko kwestia czasu, kiedy lord Rahl złapie ją i

koszmar na dobre się zacznie.

Nieustannie miała na uwadze tę sprawę.

Teraz, od spotkania z Sebastianem i śmierci mamy, wydarzenia nabrały zapierającego dech tempa i przy okazji, krok za krokiem, pomogły jej pojąć szerszą sprawę. Zaczęły się pojawiać odpowiedzi na pytania, odpowiedzi, które wydawały się teraz takie proste. Miała wrażenie, że w głębi serca musiała to cały czas wiedzieć.

Teraz odwracała uwagę od problemu; zaczynała myśleć o rozwiązaniu.

Jennsen wiele się dowiedziała od Althei - jak się okazało, o wiele więcej niż czarodziejka świadomie jej ujawniła. Czarodziejka o mocy Althei nie tkwiłaby przez te wszystkie lata na moczarach, gdyby nie było prawdą to, co mówiła o żyjących tam bestiach. Wąż był inny. Friedrich powiedział, że wąż był tylko wężem.

Ale bestie były magiczne.

Trzymały w więzieniu nawet czarodziejkę o mocy Althei. Friedrich powiedział, że nikt, nawet on, nie mógł nadejść tylną drogą. Tom też powiedział, że nigdy nie słyszał o kimś, kto poszedł tylną drogą i wrócił, żeby o tym opowiedzieć. Nikt też nie korzystał z łąki ze względu na stwory przychodzące z moczarów. Bestie w moczarach były prawdziwe i groźne. Wszystkie fakty - poza jednym - to potwierdzały.

Jennsen weszła na moczary i wydostała się z nich, a i nic się do niej nie próbowało zbliżyć, tym bardziej zaś zaatakować ją czy zrobić jej coś złego. Nie widziała żadnej bestii stworzonej mocą daru. Ten właśnie element wtedy nie pasował. Ale teraz tak.

Były i inne wskazówki - jak wtedy, kiedy w Pałacu Ludu dotknęła Agiela Nydy i nic nie poczuła. A na pewno zadał on ból tak Sebastianowi, jak i kapitanowi Lernerowi. Nyda aż osłupiała. Powiedziała, że nawet lord Rahl jest wrażliwy na dotyk Agiela. A Jennsen nie.

No i dziewczyna potrafiła skłonić Nydę do udzielenia pomocy, chociaż Mord-Sith powinna zatrzymać obcą, która nie czuła dotknięcia Agiela, kobietę, która budziła tak wiele wątpliwości - aż to wszystko zostałoby zbadane i wyjaśnione. Nawet kiedy Nathan Rahl próbował ją zatrzymać, potrafiła nakłonić Nydę do chronienia jej przed mającym dar Rahlem. Teraz wiedziała, że było to coś więcej niż dobry blef. Blef mógł stanowić jądro, lecz spowijało go o wiele więcej.

Wszystkie te sprawy - i o wiele więcej - zlały się ostatecznie w całość podczas długiej i trudnej podróży do Aydindril. - Jennsen wreszcie pojęła swój wyjątkowy status i zrozumiała, dlaczego to ona ma zabić Richarda Rahla.

Zaczęła rozumieć, że ona jedna jest w stanie to uczynić - że po to się urodziła - bo w kluczowy, decydujący, zasadniczy sposób... jest niezwykła.

Teraz wiedziała, że zawsze była niezwykła.

ROZDZIAŁ 46

Jennsen siedziała na grzbiecie Rusty, a chłodny, porywisty wiatr rozwiewał jej włosy. Patrzyła na przepyszny Pałac Spowiedniczek wznoszący się na odległym stoku. Sebastian był obok niej, dosiadał niespokojnego Pete'a. Imperator Jagang, którego wspaniały jabłkowity ogier grzebał kopytem, czekał przy drugim boku Sebastiana, a grupa oficerów i doradców tłoczyła się w pobliżu, lecz milczała. Jagang wbijał w pałac gniewny, ponury wzrok. Po powierzchni jego czarnych oczu przepływały ciemne, groźne kształty niczym nadciągająca burza.

Wjazd do Aydindril był - jak dotąd - zupełnie inny, niż się spodziewano. Wszyscy byli spięci i rozdrażnieni.

Z tyłu stała grupa Sióstr Światła. Trzymały się razem, najwyraźniej zajęte sprawami magii. Chociaż żadna z Sióstr nie miała jeszcze okazji porozmawiać z Jennsen, wszystkie były świadome jej obecności i nie spuszczały jej z oka. Sporo z nich rozjechało się w różnych kierunkach, kiedy imperator poprowadził oddział kawalerii Imperialnego Ładu, który - niczym czarna powódź - rozlał się przez farmy, drogi i wzgórza, wokół budynków i stodół aż na peryferia Aydindril. Teraz rozciągało się przed nimi ogromne miasto, milczące i nieruchome.

Ubiegłej nocy Sebastian źle spał. Jennsen wiedziała o tym, bo sama mało co spała w przeddzień doniosłej bitwy. Ale dodawała jej sił myśl o tym, że wreszcie będzie się mogła posłużyć nożem tkwiącym w pochwie u pasa.

Za Siostrami czekało ponad czterdzieści tysięcy doborowej jazdy Imperialnego Ładu. Niektórzy żołnierze trzymali w gotowości piki i lance, inni miecze lub topory. Każdy z nich miał kółko w lewym nozdrzu. Większość nosiła brody. Część miała długie, ciemne, tłuste włosy, w które wpletli talizmany, całkiem spora reszta zaś wygolone głowy, najwyraźniej w hołdzie dla imperatora Jaganga. Byli jak mocno skręcona sprężyna - niszczyciele gotowi runąć na miasto.

Doborowi kawalerzyści, zaufani oficerowie i Siostry Światła mieli jedną wspólną cechę: w przeciwieństwie do Jennsen i Sebastiana znali z widzenia Matkę Spowiedniczkę. Z tego, czego dziewczyna zdołała się dowiedzieć, wynikało, że Matka Spowiedniczka dowodziła wypadami na teren obozu

Ładu i brała udział w walkach, podczas których widziało ją wielu żołnierzy oraz Sióstr. Wszyscy ci, których imperator wybrał do ataku na Aydindril, musieli znać z widzenia Matkę Spowiedniczkę. Jagang nie chciał, żeby się im wymknęła, ukryta w tłumie lub udając zwyczajną praczkę. Ale to zmartwienie ulotniło się po tym, co do tej pory napotkali.

Jennsen - zmrożona nie tylko chłodnym wiatrem, ale i żądzą walki płonąca w oczach żołnierzy - z całej siły zacisnęła dłonie na kuli siodła, żeby powstrzymać ich drżenie.

Jennsen.

Po raz setny tego ranka sprawdziła, czy nóż lekko tkwi w pochwie. Upewniła się, wsunęła go z powrotem i usłyszała uspokajający metaliczny szcęk. Była tutaj, z wojskiem, bo brała w tym udział, miała robotę do wykonania.

Poddaj się.

Pomyślała, że to ironia losu, iż ten właśnie nóż, który lord Rahl dał żołnierzowi wysłanemu, by ją zabić, teraz wraca doń, by go pokonać.

Nareszcie to ona była myśliwym, a nie zdobywcą.

Ilekcóż poczuła, że opuszczają odwaga, myślała o mamie, o Althei i Friedrichu, o siostrze czarodziejki, Lathei, a nawet o swoim nie znanym przyrodnim bracie, uzdrowicielu Raug'Moss Drefanie. Tyle zrujnowanych lub utraconych żywotów, a wszystko przez ród Rahlów, przez lorda Rahla: najpierw ojca, Rahla Posępnego, teraz zaś przyrodniego brata - Richarda Rahla.

Podporządkuj mi swoją wolę, Jennsen. Oddaj ciało.

- Daj mi spokój - parsknęła, zirytowana, że głos nie chce się odczepić i że musi to tak często powtarzać, kiedy ma ważne sprawy na głowie.

- Słucham? - Sebastian spojrzał na nią chmurnie.

Dziewczyna, rozgoryczona, że tym razem powiedziała to głośno, jedynie pokręciła głową na znak, że to nic takiego. Znów zatonął w myślach, zapatrzony na rozciągające się przed nimi miasto. Badał wzrokiem imponujący labirynt ulic, uliczek i ciasno stojących budowli. W mieście brakowało tylko jednego - i dlatego wszyscy byli spięci i zdenerwowani.

Kątem oka Jennsen widziała, jak wszystkie Siostry szepczą między sobą. Wszystkie poza jedną - Siostrą Perditą, tą w ciemnoszarej sukni i z luźno związanymi z tyłu siwiejącymi włosami. Kiedy ich oczy się spotkały, kobieta

rzuciła jej ten znaczący, pełen zadowolenia uśmiezek, który zdawał się sięgać aż do duszy Jennsen. Dziewczyna pomyślała, że pewnie widzi to inaczej, niż tamta by chciała, więc lekko skłoniła głowę w podzięce i odwzajemniła się takim uśmiechem, do jakiego zdołała się zmusić. Spojrzała w inną stronę.

Jennsen, jak wszyscy, patrzyła na odległy pałac stojący na wzgórzu ponad miastem. Trudno byłoby na niego nie patrzeć, tak kontrastował z szarą górską ścianą - jak śnieg z łupkiem. Na frontonie pałacu widniały wysokie okna przedzielone olbrzymimi kolumnami o złotych kapitelach. Ponad wysokimi murami, pośrodku, wznosiła się kopuła opasana oknami.

Jennsen trudno było pogodzić wspaniałość tego pięknego pałacu z niegodziwymi rządami Matki Spowiedniczki.

Bardziej pasowałaby do Matki Spowiedniczki ponura Wieża Czarodzieja wznosząca się wysoko na górkim stoku za pałacem. Zauważyła, że wszyscy woleli nie patrzeć na to złowrogie gmaszysko. Natychmiast przenosili wzrok na coś mniej okropnego.

Wieża, spoglądająca na nich z wysoka, była większa od wszystkich budowli, jakie Jennsen do tej pory widziała, z wyjątkiem Pałacu Ludu w D'Harze. Postrzępione szare chmury płynęły obok ciemnych kamiennych murów zewnętrznych, które pięły się na zawrotną wysokość. Sama wieża, usytuowana w ich obrębie, wyglądała na skomplikowany zespół rampartów, zwieńczonych blankami murów, wież, iglic, spinających to wszystko mostów i pasaży. Jennsen nawet sobie nie wyobrażała, że jakakolwiek kamienna budowla może aż tak tchnąć groźbą.

W milczeniu szukała pociechy w białych, sterczących włosach Sebastiana, w jego mądrych oczach, znajomych rysach. Jego przystojna twarz dodawała jej otuchy, choćby i na nią nie patrzył. Która kobieta nie czułaby się zaszczycona miłością takiego mężczyzny? Jennsen nie wiedziała, co by zrobiła, jak by sobie poradziła, gdyby nie był przy niej od śmierci mamy.

Sebastian odrzucił do tyłu poły peleryny, żeby odsłonić część oręza. Z udawanym spokojem obserwował całą scenę. Jennsen też chciałaby zachowywać taki spokój. Nieoczekiwanie wystraszyła się, że przygląda mu się, podczas gdy on będzie musiał się posłużyć tą bronią, walczyć o życie.

- Co o tym myślisz? - szepnęła, pochylając się ku niemu. - Co to oznacza?

Odpowiedział krótkim potrząśnięciem głowy i ostrym spojrzeniem. Nie chciał o tym rozmawiać. Te szorstkie gesty powiedziały jej, że ma być cicho. Wiedziała, rzecz jasna, z milczenia dziesiątków tysięcy stojących za nią żołnierzy, że i ona ma być cicho, ale aż ją skręcało z niepokoju. Chciała jedynie drobnego gestu, który by jej dodał otuchy. A tymczasem szorstka odprawa boleśnie ją dotknęła i sprawiła, że poczuła się nikim. Wiedziała, że ma na głowie ważne sprawy, lecz ta obcesowa odprawa bolała jak policzek - zwłaszcza że minionej nocy desperacko szukał u niej pocieszenia, pragnął jej tak namiętnie jak nigdy dotąd. Rozumiała to. Nie odtrąciła go, chociaż krępowało ją, że nie byli sami, że strażnicy stali na zewnątrz i pewnie wszystko słyszeli. Wiedziała, oczywiście, że nie był to czas ani miejsce na pocieszanie jej. Lada moment czekała ich walka. Ale i tak bolało.

Usłyszała tętent kopyt, wybijający się ponad zawroźnienie wiatru w bezlistnych gałęziach majestatycznych klonów, które rosły wzdłuż drogi. Wszyscy spojrzeli na wypadających z bocznej drogi po prawej brodatych, długowłosych żołnierzy. Pochylali się nad kłębami, a za nimi powiewały futra i skóry. Jennsen rozpoznała ich po maści konia na przedzie. Był to jeden z oddziałów zwiadowczych, które imperator wysłał wiele godzin temu. Od zachodu powracał drugi, lecz ci żołnierze byli jeszcze malutkimi plamkami spływającymi z odległego pogórza.

Pierwsza grupa jeźdźców znalazła się przed imperatorem i jego doradcami. Jennsen zakryła usta skrajem peleryny, żeby nie widzieli, jak kaszle przez ten tuman kurzu.

Krzepki mężczyzna prowadzący oddział ściągnął swego łaciatego wierzchowca. Tłuste kosmyki włosów zakołysały się jak biały koński ogon.

- Nic, Ekscelencjo.

Jagang - w podłym nastroju, niemal u kresu cierpliwości - poprawił się w siodle.

- Nic.

- Nic, Ekscelencjo. Żadnych śladów wojsk na wschodzie, na przeciwnym skraju miasta ani na stokach gór. Nic. Drogi i szlaki puste. Żadnych ludzi, tropów, końskiego łajna, kolein, absolutnie niczego. Nie znaleźliśmy oznak, że ktoś tu jest. Od dawna nikogo tu nie ma.

Zaczął szczegółowo zdawać sprawę z tego, gdzie szukali, niestety bez rezultatu. Od zachodu przygalopowała druga grupa jeźdźców na

spienionych i ogromnie zaniepokojonych koniach.

- Nikogo! - zawołał jadący na przedzie, ściągnając wodze. Koń, oszalałych po wysiłku oczach, zatoczył się, zatrzymał przed imperatorem i parsknął rozdętymi chrapami. - Ekscelencjo, na zachodzie nie ma żadnych wojsk ani nikogo innego.

Jagang spojrzał wściekle na Pałac Spowiedniczek.

- A co z drogą ku wieży? - warknął cicho. - Chyba nie chcecie mi wmawiać, że moi zwiadowcy i patrole wpadli w zasadzkę zastawioną przez duchy ludzi, którzy stąd zniknęli!

Jennsen nigdy jeszcze nie widziała takiego barbarzyńcy jak ten krzepki mężczyzna okryty warstwami skór. Brakowało mu górnych zębów, co jeszcze wzmagало jego dziki wygląd. Obejrzał się rozważnie na białą wstęgę drogi, która wiała się od miasta ku Wieży Czarodzieja. Potem znów popatrzył na imperatora.

- Na drodze ku wieży też nie było śladów, Ekscelencjo.

- A sprawdziliście do samej wieży? - spytał Jagang, zwracając ku żołnierzowi ponury wzrok.

Ten przełknął ślinę, świdrowany badawczym, gniewnym spojrzeniem władcy.

- W pobliżu szczytu jest kamienny most nad wielką przepaścią. Tam dotarliśmy, Ekscelencjo, ale nie zobaczyliśmy nikogo ani żadnych śladów. Krata była spuszczone. W wieży nie było oznak życia.

- To nic nie znaczy - burknęła z tyłu jakaś kobieta.

Jennsen się odwróciła - a z nią Sebastian, większość doradców, oficerów oraz sam Jagang. Wszyscy chcieli zobaczyć, która to. Odezwała się Siostra Perdita. I nawet prawie udało jej się zetrzeć z twarzy ten pełen wyższości uśmiezek.

- To nic nie znaczy - powtórzyła. - Ani trochę mi się to nie podoba, Ekscelencjo. Coś jest nie tak.

- Coś? A niby co? - zapytał Jagang zgryźliwie.

Siostra Perdita zostawiła kilkadziesiąt Sióstr Światła i podjechała bliżej, żeby bardziej poufnie porozmawiać z imperatorem.

- Ekscelencjo - odezwała się, kiedy już była blisko - czyś wszedł kiedy do lasu i uświadomił sobie, że panuje całkowita cisza, choć tak nie powinno być? Że las zniecka zamilkł?

Jennsen to spotkało. Uderzyło ją, jak dokładnie Siostra trafiła w jej szczególny niepokój - coś jakby zapowiedź zguby, choć nie było po temu wyraźnej przyczyny - od którego jeżył się jej meszek na karku, jak wtedy, kiedy leżała, zasypiając, w swoim śpiworze i wszystkie owady nagle milkły, wszystkie jednocześnie.

Jagang łypnął wściekle na Siostrę Perditę.

- Jak wchodzę czy to do lasu, czy gdzie indziej, to zawsze robi się cicho.

Siostra nie sprzeczała się z nim.

- Prowadzimy z tymi ludźmi długą i ciężką walkę, Ekscelencjo - podjęła. - Ci z nas, którzy mają dar, znają ich magiczne sztuczki. Wiemy, kiedy się posługują darem. Nauczyliśmy się rozpoznawać, czy użyli magii do zastawienia pułapek, choćby same pułapki nie były magiczne. Jednak to zupełnie co innego. Coś jest nie tak.

- Wciąż nie powiedziałaś mi co - rzekł z powściąganą irytacją Jagang, jakby nie miał czasu dla kogoś, kto omija istotę rzeczy.

Kobieta zauważyła jego zniecierpliwienie i skłoniła głowę.

- Powiedziałabym, Ekscelencjo, gdybym wiedziała. Mam obowiązek ujawniać to, co wiem. Nie wykryliśmy stosowania żadnej magii. Nie wyczuwamy pułapek choćby muśniętych przez moc. Ale to mnie wcale nie uspokaja. Coś jest nie tak. Przekazuję ci teraz to ostrzeżenie, choć przyznaję, że nie znam przyczyny swojego zaniepokojenia. Przeszukaj mój umysł, a przekonasz się, że mówię prawdę.

Jennsen nie miała pojęcia, o co chodzi siostrze, ale Jagang wyraźnie ochłonął, popatrzawszy na nią przez chwilę. Mruknął lekceważąco i skierował wzrok ku pałacowi.

- Sądzę, Siostro, żeś po prostu nerwowa po długiej zimowej beczynności. Jak powiedziałaś, znacie ich taktykę i magiczne sztuczki, więc gdyby coś naprawdę w tym było, wiedziałybyście to i znały przyczynę.

- Wcale nie jestem tego pewna - upierała się Siostra Perdita. Przelotnie niespokojnie spojrzała na Wieżę Czarodzieja tkwiącą na górskim stoku. - Wiele wiemy o magii, Ekscelencjo. Jednak Wieża Czarodzieja liczy sobie tysiące lat. Jestem ze Starego Świata, więc to przekracza moje doświadczenie. Nie mam pojęcia, jakie rodzaje magii mogą tu tkwić, ale wiem, że są niesłychanie groźne. To jedno z zadań wieży. Ma trzymać pod strażą takie rzeczy.

- Właśnie dlatego chcę ją zająć - odpalił Jagang. - Nie wolno zostawiać tych niebezpiecznych przedmiotów we wrogich rękach, żebyśmy potem przez to nie zginęli.

Siostra Perdita rozcierała opuszkami palców zmarszczki na czole.

- Wieża jest silnie strzeżona. Nie umiem powiedzieć, w jaki sposób, bo osłony są dziełem czarodziejów, nie czarodziejek. Takie osłony można pozostawić bez opieki, nikt nie musi tam trzymać warty. Można je uruchomić, przechodząc obok, jak każdą pozbawioną magii pułapkę. Mogą pełnić jedynie funkcję ostrzegawczą lub zadawać śmierć. Nawet jeżeli wieża została opuszczona, te osłony mogą zabić każdego. Każdego, kto choć spróbuje się zbliżyć, a co dopiero zająć wieżę. Takie środki ochronne są wieczne, nie zużywają się. Są równie skuteczne bez względu na to, czy mają miesiąc czy tysiące lat. Próba zajęcia takiego miejsca może sprowadzić na nas śmierć, której tak chcemy uniknąć.

Jagang słuchał, potakując.

- Więc musimy zneutralizować te osłony i zająć wieżę.

Siostra Perdita obejrzała się przez ramię na ciemną kamienną Wieżę Czarodzieja, a potem rzekła:

- Jak to często próbowałam wyjaśnić, Ekscelencjo, nasz poziom zdolności i połączona moc wcale nie świadczą o tym, że zdołamy zneutralizować lub zniszczyć te osłony. Relacje nie są tak bezpośrednie. Niedźwiedź, choć taki silny, nie otworzy zamku skarbcza. Do takich rzeczy siła nie jest potrzebna. Powiadam, że to mi się nie podoba, że coś jest nie tak.

- Powiedziałaś mi jedynie, że się boisz. Siostry są wyjątkowo dobrze uzbrojone, najlepiej spośród mających dar. I z tego powodu tu jesteście. - Jagang pochylił się ku kobiecie, jego cierpliwość się kończyła. - Oczekuję, że Siostry zapobiegą każdemu magicznemu zagrożeniu. Czy mam się wyrazić jaśniej?

Siostra Perdita zbladła.

- Nie, Ekscelencjo. - Skłoniła się w siodle i zawróciła konia, żeby pojechać do Sióstr.

- Siostro Perdito! - krzyknął za nią imperator i poczekał, aż się odwróciła. - Jak ci już powiedziałem, musimy zdobyć Wieżę Czarodzieja. Nie dbam o to, ile was zginie. Ważne, by ją zdobyć.

Wróciła do Sióstr, by to omówić. Jagang i pozostali dostrzegli

tymczasem galopującego ku nim od miasta samotnego jeźdźca. Jego mina sprawiła, że każdy sprawdził broń. Czekali w pełnym napięcia milczeniu, aż zatrzyma konia przed imperatorem. Był zlany potem, wąsko osadzone oczy lśniły podnieceniem, lecz panował nad głosem.

- Nikogo. Nikogo nie widziałem w mieście, Ekscelencjo, ale zwęszyłem konie.

Jennsen zobaczyła, że oficerowie uznali to za potwierdzenie ich niewiary w niedorzeczny pomysł, iż miasto jest wyludnione. Ład zapędził wrogie wojska do Aydindril, kiedy zaczynała się zima, zamknął w pułapce nie tylko armię, ale i samych mieszkańców. Możliwość ewakuowania tak rozległego miasta - i to w środku zimy - przekraczała ich wyobraźnię. Nikt jednak nie odważył się tego powiedzieć imperatorowi, zapatrzonemu na opustoszałe ulice.

- Konie? - Jagang zmarszczył brwi. - Może to była stajnia.

- Nie, Ekscelencjo. Nie mogłem ich odnaleźć, nie słyszałem ich, ale czułem ich woń. Nie był to zapach stajni, tylko koni. Są tutaj konie.

- Czyli wróg jest tutaj, jak sądziliśmy - rzekł do Jaganga jeden z oficerów. - Kryją się, ale są tutaj.

Władca milczał, czekając na dalszy ciąg relacji.

- I jeszcze coś, Ekscelencjo - rzekł krzepki żołnierz, nie posiadając się z ekscytacji. - Kiedy tak szukałem i nigdzie nie mogłem wypatrzeć koni, postanowiłem wrócić po kamratów, żeby pomogli mi wykurzyć tchórzliwego wroga. Wracając, zobaczyłem kogoś w pałacowym oknie.

Jagang pospiesznie spojrział na niego.

- Co?

- W białym pałacu, Ekscelencjo. - Wskazał ręką. - Jak wyjechałem z za muru na skraju miasta, przed terenami pałacu, zobaczyłem, że na drugim piętrze ktoś się odsuwa od okna.

Jagang gniewnie szarpnął lejcamy, powstrzymując niecierpliwie drepczącego w miejscu ogiera.

- Na pewno?

Żołnierz energicznie potaknął.

- Tak, Ekscelencjo. Te okna są wysokie. Przysięgam na życie, że jak wyjechałem z za muru i spojrzełem w górę, to ktoś mnie dojrzał i cofnął się od okna.

Imperator w napięciu patrzył na obsadzoną klonami drogę wiodącą ku pałacowi i zastanawiał się nad tym nowym obrotem spraw.

- Mężczyzna czy kobieta? - spytał Sebastian.

Jeździec pomilczał, ocierając pot z czoła i starając się złapać oddech.

- Tak mi tylko mignął, ale myślę, że to była kobieta.

Jagang spojrział na niego czarnymi gniewnymi oczami.

- To ona?

Gałęzie klonów chwiały się na wietrze, uderzając o siebie. Wszyscy wpatrywali się w żołnierza.

- Nie wiem na pewno, Ekscelencjo. Może to tylko odbicie światła na szybie, ale jak mi mignęła, wydawało mi się, że jest w długiej białej sukni.

Matka Spowiedniczka nosiła długą białą suknię. Jennsen pomyślała, że przesadą byłoby wierzyć w przypadkowe odbicie światła na szybie, które wygląda jak cofająca się od okna osoba, i to na dodatek osoba w białej sukni Matki Spowiedniczki. Ale i tak nie dostrzegła w tym sensu. Dlaczego Matka Spowiedniczka miałaby samotnie pozostać w pałacu? Ostatnia próba oporu to jedno, lecz czynienie tego w pojedynkę - to już zupełnie co innego. Czy to możliwe, że jest tak, jak mówił ten żołnierz: że wróg jest tchórzliwy i się ukrywa?

Sebastian odruchowo stukał palcem o udo.

- Ciekaw jestem, co knują.

Jagang dobył miecza.

- Przekonamy się. - Popatrzył na Jennsen. - Trzymaj ten swój nóż pod ręką, dziewczyno. Bo może to dzień, o który się modlisz.

- Ale, Ekscelencjo, jak by to...

Imperator stanął w strzemionach i błysnął złym uśmiechem ku swojej konnicy. Zatoczył mieczem krąg.

Zwolnił nakręconą sprężynę.

Czterdzieści tysięcy żołnierzy wydało ogłuszający bojowy wrzask i runęło naprzód. Jennsen zachłysnęła się oddechem i z całych sił wczepiła w Rusty, która ruszyła galopem przed konnicą mknącą ku miastu.

ROZDZIAŁ 47

Jennsen, niemal bez tchu, pochyliła się i wyciągnęła ręce po obu stronach karku Rusty, żeby jak najbardziej poluzować cugle. Gnali pełnym galopem ku Aydindril. Przerazał i ogłuszał ryk dobywający się z czterdziestu tysięcy gardzieli wywrzaskujących bojowy okrzyk, a jeszcze dołączał się do tego grzmot kopyt.

Ów pęd, przyspieszające puls żywiołowe zapamiętanie, uderzały do głowy, upajały. Jennsen, rzecz jasna, dobrze rozumiała potworność tego, co się właśnie działo, ale jakaś jej część poddawała się uniesieniu, że bierze w tym udział.

Groźnie i dziko wyglądający żołnierze z błyszczącymi żądzą krwi oczami galopowali ku miastu, przyjmując półkolisty szyk. W powietrzu lśniły uniesione wysoko miecze i topory, groty lanc i pik. Błyski broni, dźwięki, kłębiące się emocje sprawiały, że i Jennsen chciała dobyć noża, jednak tego nie zrobiła. Wiedziała, że na to przyjdzie jeszcze czas.

Sebastian jechał w pobliżu, dbając, żeby była bezpieczna, żeby się nie zgubiła w tym szaleńczo, na oślep galopującym wojsku. Głos też z nią jechał i nie milkł, chociaż starała się go ignorować lub błagała w myślach, żeby dał jej spokój. Musiała się skoncentrować na tym, co się działo teraz, na tym, co się mogło wydarzyć wkrótce. Nie mogła sobie pozwolić na rozproszenie uwagi. Nie teraz.

Głos wołał jej imię, nawoływał, żeby poddała mu swoją wolę, żeby oddała ciało, przemawiał do niej tajemniczymi, lecz dziwnie kuszącymi słowami. Wreszcie Jennsen wykorzystała anonimowość, jaką dawał jej grzmiący ryk tylu gardzieli, i ile sił wrzasnęła, żeby się wreszcie od niej odczepił. Takie władcze, zdecydowane przepędzenie głosu okazało się upajającym, oczyszczającym czynem.

W mgnieniu oka wpadli do miasta, przeskakując płoty, omijając słupy i z oszałamiającą prędkością mknąc obok budynków. Kiedy wpadli z otwartej przestrzeni w labirynt ulic i musieli sobie z tym wszystkim radzić, Jennsen miała wrażenie, że wjechali w las.

Szaleńcza szarża nie była taka, jak ją sobie wyobrażała: nie była atakiem w uporządkowanym szyku, lecz wściekłym pędem przez wielkie miasto.

Gnali szerokimi arteriami, wzdłuż których stały wspaniałe budowle, potem nagle skręcili w ciemne, przypominające wąwozy uliczki pomiędzy wysokimi kamiennymi murami, od czasu do czasu łączącymi się górą, później mknęli płataniną wąskich, krętych bocznych uliczek, wśród bardzo starych, pozbawionych okien budynków postawionych bez żadnego ładu. Ani razu nie zwolnili dla zastanowienia się czy podjęcia decyzji - to był szaleńczy, niepowstrzymany pęd.

Całkowity brak ludzi sprawiał, że wszystko to było jeszcze bardziej nierealne. Powinny tu być tłumy rozpierzchające się w panice, umykające im z drogi, wrzeszczące. Wyobrażała sobie sceny, które widziała w innych miastach: domokrażcy pchający wózki z najrozmaitszymi towarami, od ryb po delikatne płótna; sklepikarze pilnujący ustawionych na zewnątrz stołów z chlebem, serem, mięsem i winem; rzemieślnicy wystawiający buty, odzież, peruki, wyroby skórzane; wystawy pełne towarów.

Teraz wszystkie te witryny były dziwnie puste - jedne zabite deskami, inne zostawione tak, jakby właściciel miał lada chwila otworzyć firmę. Wszystkie wystawy wzdłuż ich trasy były puściutkie. Ulice, ławki i parki były niemymi świadkami szturm kawalerii. Strasznie było tak gnać zawiłą płataniną ulic, omijając budynki i przeszkody, pędzić wyciągniętym galopem brudnymi, wznoszącymi się zaułkami, wzlatywać na szczyt tylko po to, żeby zaraz spłynąć w dół - niczym jakaś osobliwa, niepowstrzymana lawina śnieżna spływająca ze zlodowaciałej góry pomiędzy drzewa, równie niebezpieczna. Czasem, kiedy galopowali po kilku w rzędzie, droga nagle się zwężała, bo wystawał na nią mur lub narożnik budynku. Niejeden jeździec spadł z siodła i zginął. Budynki, barwy, płoty, słupy, skrzyżowania migają z oszalamiającą prędkością.

Wróg nie stawiał oporu i taki nieokiełznany pęd wydawał się Jennsen zupełnie niekontrolowany, choć wiedziała, że to doborowa jazda i że taka szaleńcza szarża jest ich specjalnością. Poza tym imperator Jagang sprawiał wrażenie, że panuje nad wszystkim z grzbietu swego wspaniałego wierzchowca.

Spod końskich kopyt trysnęły nagle grudy ziemi - niespodziewanie wpadli przez szeroki przejazd w murze i gnali rozległymi trawnikami Pałacu Spowiedniczek. Wyjący jeźdźcy rozdzielili się na dwa strumienie, ich konie rozdeptywały malownicze tereny, nieokrzesani plugawi najeźdźcy

profanowali spokojne piękno. Jennsen jechała obok Sebastiana, a zaraz za imperatorem i kilkoma jego oficerami, chroniona szeroko rozpostartymi skrzydłami wyjącego oddziału konnicy. Mknęli szeroką aleją obsadzoną klonami, których nagie, pełne pąków gałęzie splatały się nad ich głowami.

Jennsen - pomimo wszystkiego, czego się nauczyła, wszystkiego, co wiedziała, wszystkiego, co było jej drogie - nie mogła pojąć, dlaczego ma wrażenie, iż uczestniczy w profanacji.

Owo wrażenie zniknęło, kiedy skoncentrowała się na czymś, co dostrzegła przed sobą. Stało to w pobliżu szerokich marmurowych schodów wiodących do paradnego wejścia Pałacu Spowiedniczek. Wyglądało jak samotny słup z czymś na końcu. Długi kawałek czerwonej materii, uwiązany przy wierzchołku słupa, powiewał na wietrze, jakby do nich machał, chciał zwrócić ich uwagę, dając im wreszcie jakiś cel. Jagang poprowadził szarżę wprost na ów słup z powiewającą czerwoną flagą.

Mknęli przez trawniki. Jennsen skupiła uwagę na przęających się pod nią potężnych mięśniach Rusty, dobrze znane ruchy klaczy uspokajały ją. Nie mogła się powstrzymać i patrzyła na górujące nad nimi białe marmurowe kolumny. Było to wejście majestatyczne i imponujące, a przecież równocześnie wytworne i gościnne. Tego dnia Imperialny Ład nareszcie zdobędzie siedzibę, z której tak długo, nie napotykając oporu, władało zło.

Imperator Jagang uniósł wysoko miecz, dając konnicy znak, żeby się zatrzymała. Radosne wrzaski, wycie i bojowe okrzyki umilkły, a dziesiątki tysięcy żołnierzy nagle, jak jeden mąż, zatrzymały konie. Jennsen zdumiała się, że przy tylu żołnierzach z zdobytą bronią odbyło się to tak szybko i bez jatki.

Poklepała spocony kark Rusty i zsunęła się na ziemię. Znalazła się wśród mnóstwa ludzi, przeważnie oficerów i doradców, ale i kawalerzystów, spieszących, żeby ochraniać imperatora. Jeszcze nigdy nie była w takiej ciżbie zawodowych żołnierzy. Onieśmiały ją ich spojrzenia. Wszyscy niecierpliwie wyczekiwali walki z wrogiem. Żołnierze byli niechlujni i ponurzy, a cuchnęli gorzej niż ich konie. Z jakiegoś powodu najbardziej przerażał ją właśnie ów duszący, wstrętny odór.

Sebastian chwycił ją za ramię i przyciągnął bliżej.

- Nic ci nie jest?

Skinęła głową, starając się dostrzec imperatora i to, co go zatrzymało.

Sebastian też chciał to zobaczyć, więc pociągnął ją za sobą przez pierścień krzepkich oficerów. Poznali go i przepuścili.

Zatrzymali się wraz z Sebastianem, kiedy kilka kroków przed sobą zobaczyli stojącego samotnie, tyłem do nich, imperatora. Ramiona miał przygarbione, miecz wisiał w opuszczonej ręce. Wszyscy bali się doń zbliżyć.

Jennsen i Sebastian szybko podeszli do Jaganga. Stał nieruchomo przed wbitą w ziemię włócznią. Patrzył tymi całkowicie czarnymi oczami, jakby widział ducha. W ciszy rozlegał się łopot czerwonej tkaniny przywiązanej pod długim, ostrym grotem z zadziorami.

Na czubku włóczni tkwiła ludzka głowa.

Jennsen aż się wzdrygnęła. Zasuszona głowa, czysto odcięta w połowie szyi, wyglądała niemal jak żywa. Ciemne, głęboko osadzone oczy patrzyły nieruchomo przed siebie. Ciemny plisowany biret sięgał aż do połowy czoła. Ów naciśnięty na głowę, pozbawiony ozdób biret pasował do surowej miny tego mężczyzny. Wiatr rozwiewał kosmyki sztywnych włosów wywijające się nad uszami. Miało się wrażenie, że wąskie usta lada moment przerażająco się do nich uśmiechną ze świata zmarłych. Twarz wyglądała tak, jakby ten człek już za życia był ponury niczym sama śmierć.

Imperator Jagang stał jak skamieniały i wpatrywał się w głowę tkwiącą tuż przed nim na włóczni. Żaden z tysięcy żołnierzy nawet nie kaszlnął. Wszystko to sprawiło, że serce Jennsen tłukło się bardziej niż wtedy, kiedy szaleńczo galopowała na Rusty. Zerknęła ostrożnie na Sebastiana. I on zamarł zdumiony. Współczująco ścisnęła mu ramię, widząc wyraz jego szeroko otwartych, załzawionych oczu. Wreszcie pochylił się ku niej i wyszeptał zdławionym głosem:

- Brat Narev.

Te dwa ciche słowa uderzyły Jennsen jak policzek. To był ów wielki człowiek, duchowy przywódca całego Starego Świata, przyjaciel i najbliższy osobisty doradca imperatora Jaganga - człowiek według Sebastiana bliższy Stwórcy niż ktokolwiek, człowiek, według którego nauk Sebastian żył. I ten człowiek był martwy, a jego głowę zatknięto na włóczni.

Imperator wyciągnął rękę i wyjął niewielką, poskładaną kartkę, którą zatknięto z boku w birecie Brata Narewa. Jennsen patrzyła, jak Jagang grubymi paluchami ostrożnie rozwija małą kartkę, nieoczekiwanie przypomniała sobie, jak sama rozwijała kartkę znaną przy martwym

d'harańskim żołnierzu tamtego pamiętnego dnia. Dnia, kiedy znalazła go na dnie jaru, dnia, kiedy spotkała Sebastiana. Dzień przed tym, jak ludzie lorda Rahla wreszcie znaleźli ją i zabili jej mamę.

Imperator Jagang uniósł kartkę, żeby przeczytać, co na niej napisano. Przez straszliwie długą chwilę wpatrywał się w papier. W końcu opuścił rękę. Pierś rozdymał mu ciężki, gniewny oddech. Znow wpatrywał się w tkwiącą na czubku włóczni głowę Brata Nareva. Głosem pełnym gniewu i oburzenia powtórzył słowa z kartki na tyle głośno, żeby usłyszeli je stojący najbliżej:

- Pozdrowienia od Richarda Rahla.

W grupie pobliskich drzew zawodził zimny wiatr. Nikt się nie odezwał, wszyscy czekali na słowa Jaganga.

Jennsen zmarszczyła nos, poczuwszy okropny fetor. Podniosła wzrok: głowa, przed chwilą tak wspaniale zachowana, zaczęła się rozkładać. Ciało obwisło. Dolne powieki odsłoniły czerwony spód. Żuchwa opadła. Wąskie usta się rozchyliły, jakby głowa krzyczała.

Jennsen i wszyscy pozostali, w tym imperator Jagang, cofnęli się, bo twarz zaczęła pękać, odsłaniając rozkładającą się tkanę. Język nabrzmiął, żuchwa opadła niżej. Oczy się zeschły i wypadły z oczodołów. Odpadały kawałki cuchnącego ciała.

Długie miesiące rozkładu skumulowały się do kilku sekund i spod plisowanego biretu szczyrzyła się do nich czaszka pokryta resztkami odpadającego ciała.

- Chronił ją urok, Ekscelencjo - odezwała się Siostra Perdita, jakby odpowiadała na pytanie; Jennsen nie słyszała, kiedy do nich podeszła. - Urok chronił ją, dopóki nie wyjąłeś kartki z biretu, co zapoczątkowało zanik magii. A kiedy magia zniknęła... staliśmy się świadkami rozkładu, który już dawno by nastąpił.

Imperator Jagang wpatrywał się w nią zimnymi czarnymi oczami. Jennsen nie miała pojęcia, co myśli, ale widziała, jak w tych oczach z koszmaru rozpała się furia.

- Chroniła ją bardzo skomplikowana i silna osłona. Chroniła, póki właściwa osoba nie dotknęła jej, żeby wyciągnąć kartkę - powiedziała cicho Siostra Perdita. - Osłona była prawdopodobnie dostrojona do twego dotknięcia, Ekscelencjo.

Przez długą, straszną chwilę Jennsen bała się, że Jagang zamachnie się mieczem, dziko wrzaśnie i zetnie głowę Perdicie.

Stojący z boku oficer wskazał nagle na Pałac Spowiedniczek.

- Patrzcie! To ona!

- Drogi Stwórcu - wyszeptał Sebastian, kiedy i on podniósł wzrok i zobaczył kogoś w oknie.

Inni żołnierze też wrzasnęli, że ją widzą. Jennsen stanęła na palcach, starając się coś zobaczyć zza pędzących przed siebie wysokich żołnierzy i oficerów. Wskazywali oświetloną szybę, osobę, którą dojrzała w ciemnym wnętrzu. Osłoniła oczy, żeby lepiej widzieć. Żołnierze szeptali podekscytowani.

- Tam! - krzyknął oficer przy drugim boku Jaganga. - Patrzcie! To lord Rahl! Tam! To lord Rahl!

Jennsen zamarła, usłyszawszy te słowa. To się wydawało nierealne. Powtórzyła w myślach słowa oficera. Tak dziwnie brzmiały, że musiała sprawdzić, czy naprawdę je usłyszała.

- Tam! - ryknął kolejny. - Tamtędy idą! Oboje!

- Widzę ich! - warknął Jagang, śledząc czarnymi oczami dwie uchodzące postacie. - Rozpoznałbym tę sukę w najgłębszych zakamarkach zaświatów! O! I lord Rahl jest z nią!

Jennsen widziała jedynie dwie sylwetki mknące za oknami. Imperator przeciął mieczem powietrze, dał znak swoim żołnierzom.

- Otoczyć pałac, żeby nie mogli uciec! - Obrócił się ku oficerom. - Grupa szturmowa za mną! I tuzin Sióstr! Siostrzo Perdito, zostań tu z resztą Sióstr. I żebyście nikogo nie przepuścili!

Szukał wzrokiem Sebastiana i Jennsen. Kiedy ich dostrzegł wśród najbliższych stojących, wbił w dziewczynę rozpalony wzrok.

- Ze mną, dziewczyno, jeśli nie chcesz zmarnować okazji!

Jennsen i Sebastian pobiegli za Jagangiem, a dziewczyna uświadomiła sobie, że zaciska nóż w pięści.

ROZDZIAŁ 48

Jennsen - tuż za Jagangiem, w cieniach rzucanych przez olbrzymie marmurowe kolumny - wbiegała po szerokich marmurowych schodach. Dłoń Sebastiana cały czas uspokajająco dotykała jej pleców. Dokoła niej wbiegali po schodach dzicy żołnierze o zaciętych twarzach.

Członkowie grupy szturmowej odziani byli w skórzane pancerze, kolczugi i twarde skóry. Każdy z nich w jednej ręce dzierżył krótki miecz, potężny sierpowaty topór lub groźny cep, w drugiej zaś okrągłą metalową tarczę mającą pośrodku metalowe kolce, żeby również mogła służyć jako broń. Nosili też ćwiekowane pasy i rzemienie, by posługiwać się nimi w walce wręcz. Jennsen nie potrafiła sobie wyobrazić, by ktoś miał odwagę atakować tak niebezpiecznych żołnierzy.

Wbiegający po schodach krzepcy żołnierze warczeli jak zwierzęta. Przebili się przez rzeźbione dwuskrzydłowe drzwi, jakby były z patyczków - nawet nie sprawdzili, czy aby nie są otwarte. Jennsen osłoniła twarz ramieniem i przebiegła wśród deszczu drzazg.

W wielkim holu niósł się echem grzmot żołnierskich butów. Wysokie okna o bladoniebieskich szybach, umieszczone pomiędzy lśniąco białymi marmurowymi kolumnami, kładły na marmurową posadzkę ukośne smugi światła; biegli po nich napastnicy. Żołnierze chwytali wielkimi łapami marmurowe poręcze i wbiegali po schodach, kierując się ku wyższym piętrům, gdzie widzieli Matkę Spowiedniczkę i lorda Rahl. Tupot żołnierskich butów niósł się echem po wysoko sklepionej klatce schodowej przystrojonej ozdobnymi gzymsami.

Jennsen nie mogła opanować podniecenia ogarniającego ją na myśl, że może właśnie tego dnia wszystko się skończy. Od wolności dzieliło ją jedno pchnięcie nożem. I ona miała tego dokonać. Tylko ona mogła to zrobić. Była niezwyciężona.

Dość mgliście docierało do niej, że ma zabić człowieka. Wbiegała po schodach, myśląc jedynie o tym, jaką groźną rolę w jej życiu i życiu innych. Przepelniona sprawiedliwym gniewem zamierzała położyć temu kres.

Tuż za nią pędził Sebastian, dzierżąc w dłoni miecz. Przed Jennsen gnało

z tuzin olbrzymich brutalni prowadzonych przez samego imperatora Jaganga. Z tyłu podążały setki ponurych żołnierzy grupy szturmowej, zdecydowanych potraktować wroga bez żadnej litości. Pomiędzy Jennsen a owymi żołnierzami wbiegały po schodach Siostry Światła, nie mające żadnej broni oprócz swego daru.

Na szczycie schodów wszyscy zatrzymali się na gładkiej dębowej podłodze. Imperator spojrział w obie strony korytarza.

Przez żołnierzy przepchnęła się jedna z zasapanych Sióstr.

- Ekscelencjo! To bezsensowne!

W odpowiedzi tylko zerknął na nią wściekle, łapiąc oddech, a potem znów szukał wzrokiem wroga.

- Ekscelencjo - mówiła z uporem Siostra, lecz już spokojniej - czemu tych dwoje tak ważnych dla ich sprawy miałoby być samotnie w pałacu? Nawet bez strażnika u drzwi? To nie ma sensu. Nie byłoby tu sami.

Jennsen musiała się z nią zgodzić, choć tak bardzo pragnęła pchnąć nożem lorda Rahla. To było bezsensowne.

- A kto mówi, że są sami? - zapytał Jagang. - Wyczuwasz jakieś magiczne sztuczki?

Miał rację, rzecz jasna. Mogli wejść przez jakieś drzwi i nieoczekiwanie znaleźć tysiąc czekających na nich mieczy. Ale to się wydawało mało prawdopodobne. Oddziały obronne - jeśli takie tu były - raczej nie pozwoliłyby im się wdrzeć do środka.

- Nie - odparła Siostra. - Nie wyczuwam magii. Ale to nie znaczy, że nie można jej w jednej chwili przywołać. Niepotrzebnie się narażasz, Ekscelencjo. Niebezpiecznie jest ścigać takich ludzi, skoro tyle tu niezrozumiałych rzeczy.

Powstrzymała się od nazwania tego głupotą. Jagang, na pozór nie zwracając uwagi na mówiącą Siostrę, dał znak swoim ludziom i po kilkunastu pobiegło w obie strony. Pstryknięcie palców i zdecydowany gest wysłały po Siostrze z każdą grupą.

- Rozumujesz jak niedoświadczony oficer - powiedział do Siostry. - Matka Spowiedniczka jest o wiele przebieglejsza i dziesięciokrotnie sprytniejsza, niż ci się wydaje. Jest zbyt inteligentna, żeby rozumować tak poospolicie. Sama widziałaś, do czego była zdolna. Nie pozwolę, by i tym razem jej się udało.

- To czemu zostałaby tu sama z lordem Rahlem? - zapytała Jennsen, widząc, że Siostra boi się odezwać. - Czemu mieliby się aż tak wystawiać na ciosy?

- Gdzie się lepiej ukryć, jak nie w opustoszałym mieście? - spytał Jagang. - W pustym pałacu? Choć jeden strażnik zdradziłby nam ich obecność.

- Ale czemu mieliby się chować właśnie tutaj?

- Bo wiedzą, że ich sprawa jest zagrożona. To tchórze i chcą uniknąć pojmania. Kiedy ludzie są zdesperowani i przerażeni, to często uciekają do domu, żeby się ukryć w znanym sobie miejscu. - Jagang zatknął kciuk za pas i zastanawiał się nad rozmieszczeniem korytarzy wokół tego miejsca. - To jej dom. W końcu myślą tylko o własnej skórze, a nie o swoich bliźnich.

Jennsen nie mogła się powstrzymać, chociaż Sebastian odciągał ją w tył, nakazując milczenie. Szerokim gestem wskazała okna.

- To czemu pozwolili, byśmy ich dostrzegli? Skoro, jak mówisz, starają się ukryć, po co pozwalają się zauważyć?

- Są źli! - Skierował na nią swoje straszliwe oczy. - Chcieli, żebym znalazł szczątki Brata Nareva. Chcieli to zobaczyć. Chcieli obserwować, jak się dowiaduję o świętokradczym i haniebnym zamordowaniu wielkiego człowieka. Nie mogli sobie odmówić tak chorobliwej uciechy!

- Ale...

- Ruszamy! - zawołał do swoich żołnierzy.

Imperator rzucił się naprzód, a Jennsen desperacko złapała Sebastiana za ramię i zatrzymała go.

- Naprawdę myślisz, że to mogą być oni? Jesteś strategiem. Uczciwie, uważasz, że to ma jakiś sens?

Zapamiętał, w którą stronę pobiegł imperator z żołnierzami, po czym spojrzął z gniewem na dziewczynę.

- Chcesz dopaść lorda Rahla, Jennsen. Właśnie teraz możesz mieć okazję.

- Ale nie rozumiem, czemu...

- Nie kłóć się ze mną! Kimże jesteś, żeby się mądrzyć!

- Sebastianie, ja...

- Nie wiem wszystkiego! To dlatego tu jesteśmy!

Jennsen aż ścisnęło w gardle.

- Ja się tylko martwię o ciebie, Sebastianie, i o imperatora Jaganga. Nie chcę, żeby i wasze głowy zatknięto na włóczniach.

- Na wojnie trzeba działać nie tylko zgodnie z przemyślanym planem, ale i wtedy, kiedy się trafia okazja. Taka właśnie jest wojna. W jej trakcie ludzie czasami postępują głupio lub na pozór szaleńczo. Może ona i lord Rahl akurat zrobili coś głupiego. Trzeba obracać na swoją korzyść błędy wroga. Na wojnie często zwycięża ten, kto atakuje bez względu na wszystko i wykorzystuje każdą okazję. Nie zawsze jest czas na dokładne przemyślenie wszystkiego.

Jennsen mogła się tylko wpatrywać w jego oczy. Kimże była, takie nic, żeby próbować pouczać imperatorskiego stratega, jak walczyć?

- Sebastianie, ja tylko...

Złapał ją za suknię i przyciągnął ku sobie. Zaczerwienioną twarz wykrzywił mu gniew.

- Naprawdę chcesz odrzucić to, co może się okazać jedyną szansą pomszczenia matki? Co byś powiedziała, gdyby Richard Rahl okazał się na tyle szalony, żeby tu być? Lub miał jakiś plan, którego się nawet nie domyślamy? A ty sobie tu stoisz i sprzeczasz się!

Dziewczyna była oszołomiona. Czyżby miał rację? A jeżeli tak?

- Tam są! - doleciał z głębi korytarza krzyk.

To był głos Jaganga. Dojrzała go wśród grupy żołnierzy, wskazującego mieczem kierunek, kiedy właśnie wszyscy skręcali za róg.

- Łapać ich! Łapać!

Sebastian chwycił ją za ramię, okręcił i popchnął w korytarz. Jennsen utrzymała równowagę i pobiegła ile sił. Wstyd jej było, że sprzeczała się z ludźmi, którzy wiedzieli, czym jest wojna, podczas gdy ona nie miała o tym pojęcia. Za kogo się w końcu uważała? Była nikim. Wielcy ludzie dali jej szansę, a ona stała na progu wielkości i sprzeczała się. Czuła się jak idiotka.

Kiedy mknęli obok wysokich okien - tych samych, w których tak niedawno dostrzeżono Matkę Spowiedniczkę i lorda Rahla - coś na zewnątrz przykuło jej uwagę. Zza szyb doleciał zbiorowy jęk. Jennsen zatrzymała się z poślizgiem, chwyciła Sebastiana, żeby i on przystanął.

- Patrz.

Spojrzał niecierpliwie na tych, którzy biegli przed nimi, a potem podszedł do okna, żeby popatrzeć, na co tak energicznie wskazuje.

Dziesiątki tysięcy kawalerzystów stanęły w bojowym szyku na pałacowych terenach, na całym stoku wzgórza, jakby się szykowali do

wielkiej bitwy. Unieśli miecze, topory i piki i ruszyli ławą, wywrzaskując mrozące krew w żyłach bojowe okrzyki.

Jennsen obserwowwała to ze zdumieniem, bo nie widziała nic, z czym mogliby walczyć. A oni gnali przed siebie z wrzaskiem, wysoko unosząc broń. Może zbiegali ze wzgórza ku czemuś za murem. Może dostrzegli nadciągającego wroga, którego ona ze swego miejsca w pałacu nie mogła dostrzec.

I wtedy, w połowie owych terenów, cała linia nawały ze szczękiem się z czymś zderzyła, jakby napotkali mur przeciwników, których tu nie było.

Jennsen nie wierzyła własnym oczom. Starła się to jakoś pojąć, ale ów straszliwy widok był całkowicie niezrozumiały. Nie uwierzyłaby w to, co widziała, gdyby nie nagła rzeź. Padali rozpruci ludzie i konie. Rumaki stawały dęba. Inne padały, potykając się na połamanych nogach. W powietrzu latały żołnierskie głowy i ramiona, jakby odrąbane mieczami i toporami. Wzdłuż całej linii lała się krew. Wybuchy odrzucały w tył ciała żołnierzy. Mroczna i groźna kawaleria Imperialnego Ładu zajaśniała nagle czerwienią w przyćmionym świetle dnia. Rzeź była tak straszliwa, że krew zalała trawę na stoku wzgórza.

Przeraźliwe wrzaski męki i bólu zastąpiły bojowe okrzyki. Żołnierze, siekani na kawałki, z poodrąbywanymi kończynami, śmiertelnie ranni, usiłowali się czołgać ku jakiemuś bezpiecznemu miejscu. Jednak takowego nie było - wszędzie panowały zamieszanie i śmierć.

Przerażona Jennsen spojrzała na zbitego z tropu Sebastiana. Zanim któreś zdążyło powiedzieć choć słowo, pałac się zatrzęsł, jakby trafił weń piorun. Zaraz potem zahuczał potężny grzmot i korytarz wypełnił się kłębam dymu. Leciały ku nim płomienie. Sebastian złapał ją za ramię i skoczył w korytarz naprzeciw rzędu okien.

Podmuch wywołany wybuchem przemknął z rykiem korytarzem, w którym przed chwilą stali, niosąc kawałki drewna, krzesła i płonące kotary. Przemknęły odłamki szkła i metalu, kalecząc ściany.

Jak tylko minęły ich płomienie i dym, Jennsen i Sebastian - z orężem w dłoniach - pognali z powrotem w stronę, w którą poszedł imperator.

Zapomniała o wszelkich wątpliwościach i pytaniach, bo nagle przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie. Liczyło się tylko jedno: był tutaj Richard Rahl. Musiała go powstrzymać. Nareszcie miała po temu okazję. Głos też ją

popędzał. Tym razem nie starała się go uciszyć. Tym razem pozwoliła, żeby jeszcze bardziej rozpalił w niej żądzę zemsty. Żeby wzbudził w niej przemożną chęć zabijania.

Pędzili korytarzem, mijając wysokie drzwi tworzące szereg naprzeciwko okien. Każde z głęboko osadzonych okien, obok których przebiegali, miało małą ławeczkę, ściany zaś były wyłożone drewnianymi płytkami i pomalowane w odcieniu bieli ożywionej odrobiną różu. Dotarli do przecięcia korytarzy, skręcili za róg. Jennsen właściwie nie widziała kunsztownych srebrnych lamp z odbłyśnikami, osadzonych pośrodku każdej z płytek - widziała jedynie rozmazane po ścianach odciski zakrwawionych dłoni, plamy krwi na błyszczącej dębowej podłodze, kłębowisko nieruchomych ciał.

Korytarz zaścieniały zwłoki co najmniej pięćdziesięciu żołnierzy kompanii szturmowej. Wszyscy byli poparzeni, wielu rozpruło lecące szkło i kawałki drewna. Większość twarzy zmieniła się w miazgę. Z przesiąkniętych krwią kolczug i skórzanych pancerzy sterczały połamane żebra. Wszędzie wałała się broń, a podłogę pokrywały zakrzepła krew i jelita, co sprawiało wrażenie, jakby ktoś rozsypał tu kosze martwych węgorków.

Wśród tych zwłok była kobieta - jedna z Sióstr. Została niemal rozdarta na dwoje, podobnie jak wielu żołnierzy. Na jej martwej twarzy zastygł wyraz zdumienia.

Jennsen dusiła się od odoru krwi, ledwo mogła oddychać. Podążała za Sebastianem, przeskakując z jednego pustego miejsca na drugie, starała się nie pośliznąć i nie upaść na ludzkie trzewia. Groza owego widoku była tak straszliwa, że jej umysł tego nie rejestrował, a przynajmniej nie reagowała emocjonalnie. Po prostu działała jak we śnie, nie mogąc uwierzyć w to, co widzi.

Minęli ciała i poszli krwawym śladem przez płataninę szerokich korytarzy. Z oddali dolatywały ich krzyki żołnierzy. Jennsen z ulgą rozpoznała głos imperatora. Sprawiali wrażenie sfory idącej śladem lisa, bez przerwy ujadającej i nie chcącej zostawić zdobyczy.

- Panie! - zawołał gdzieś w oddali żołnierz z bocznych drzwi.

- Panie! Tędy!

Sebastian przystanął, popatrzył na niego i jego gwałtowne gesty, a potem wepchnął Jennsen do olśniewającej komnaty. Posadzkę ozdobił wspaniały dywan w złote i rdzawe romby, u okien wisały przepiękne zielone draperie.

W drzwiach do kolejnego korytarza stał żołnierz. Były tu sofy, jakich Jennsen w życiu nie widziała, stoły i krzesła z pięknie rzeźbionymi nogami. Komnata była wytworna, lecz nie imponująca, wyglądała raczej na miejsce, w którym ludzie mogliby się zbierać na pogawędki. Pobieгла za Sebastianem ku wojownikowi stojącemu w przeciwległym końcu komnaty.

- To ona! - wołał do stratega. - Szybko! To ona! Dopiero co ją widziałem!

Ogromny żołnierz, ciągle jeszcze zdyszany, z mieczem w dłoni, znów wyjrzał przez drzwi. I wtedy, zanim do niego dotarli, Jennsen usłyszała głuchy huk. Mężczyzna wypuścił miecz, złapał się za pierś, oczy mu się rozszerzyły, rozwarł usta. Padł martwy u ich stóp bez śladu żadnej rany.

Jennsen popchnęła Sebastiana pod ścianę, zanim zdążył wyjść przez owe drzwi. Nie chciała, żeby się spotkał z czymś, co właśnie powaliło żołnierza.

Niemal równocześnie od strony, z której przyszli, posłyszała jakieś syczenie nie z tego świata. Padła na podłogę, nakrywając sobą Sebastiana. Przygniotła go do skraju ściany i podłogi, jakby był wymagającym ochrony dzieckiem. Mocno zamknęła oczy i krzyknęła, przerażona grzmiącym hukiem, który zatrzęsł podłogą. Przez komnatę przeleciały jakieś szczątki. Kiedy się wreszcie uspokoiło i mogła otworzyć oczy, wszędzie unosił się kurz. Mur usiany był dziurami. Jej i Sebastianowi nic się nie stało. To jedynie potwierdziło jej domysły.

- To był on! - Wyrwał spod niej rękę i wskazał kierunek. - To był on!

Jennsen się odwróciła, ale nie zobaczyła nikogo.

- Co takiego?

Sebastian znów tam wskazał.

- To był lord Rahl. Widziałem go. Kiedy przebiegał obok drzwi, rzucił do środka jakiś czar, szczyptę migotliwego pyłu. Akurat wtedy, jak mnie pchnęłaś na ścianę. Potem to wybuchło. Nie mam pojęcia, jak przeżyliśmy w komnacie pełnej latających w powietrzu szczątków.

- Pewnie w nas nie trafiły - odparła Jennsen.

Komnata została zdemolowana. Draperie były podarte, ściany podziurawione. Meble, jeszcze przed chwilą tak piękne, zmieniły się w sterty połamanego drewna i poszarpanej tapicerki. Pomięty dywan pokrywały biały pył, kawałki tynku i drewna.

Zwisający płat tynku odpadł i grzotnął o podłogę, wzbijając kolejne tumany kurzu, kiedy Jennsen szła przez rumowisko ku drzwiom, którymi tu

weszli, ku którym wskazywał Sebastian, za którymi dopiero co był lord Rahl. Strateg odnalazł swój miecz i prędko ruszył za nią.

Korytarz i jego tak gustownie pomalowana drewniana okładzina były teraz wysmarowane krwią. Niedaleko leżało ciało drugiej Siostry. Kiedy do niej dotarli, zobaczyli, że jej martwe oczy wpatrują się ze zdumieniem w sufit.

- Cóż, na Stwórcę, się tu dzieje? - wyszeptał do siebie Sebastian.

Jennsen pomyślała, iż mina martwej Siostry świadczy, że i ona musiała zadawać sobie to pytanie w ostatnich chwilach życia.

Rzut oka za okno - ziemię zaścielały tysiące zwłok.

- Musisz wyprowadzić stąd imperatora - powiedziała dziewczyna. - To nie takie proste, jak się zdawało.

- Powiedziałbym, że to jakaś pułapka. Jednak może zdołamy jeszcze osiągnąć nasz cel. To by dało zwycięstwo, wynagrodziło to wszystko.

Cokolwiek się działo, wykraczało to poza jej doświadczenie i zdolności pojmowania. Wiedziała tylko, że chce osiągnąć swój cel. Pobiegli, kierując się docierającymi do nich głosami, zdążali tropem ze zwłok. Coraz bardziej zagłębiali się w tajemniczy Pałac Spowiedniczek, oddalając się od wychodzących na zewnątrz okien - tutaj było cicho i ciemnowo. Głębokie mroki w pokojach i korytarzach, do których docierało niewiele światła, nadawały straszliwym wydarzeniom nowy, przerażający wymiar.

Jennsen znalazła się już daleko poza granicami wstrząsu, grozy, a nawet strachu. Miała wrażenie, że przygląda się samej sobie. Nawet własny głos dobiegał do niej jak z oddali. Dziwiło ją, że potrafi nadal działać.

Ostrożnie minęli zakręt i napotkali kilkudziesięciu żołnierzy skulonych w mroku małego pokoju. Byli okrwawieni, ale żyli. Były tu również cztery Siostry. Jennsen zauważyła opartego o ścianę imperatora Jaganga, zdyszanego, z mieczem w dłoni. Kiedy tam wpadła i spojrzał jej w oczy, przekonała się, że w jego wzroku nie widać strachu czy smutku, których się spodziewała, lecz gniew i determinację,

- Jesteśmy tuż-tuż, dziewczyno. Dobądź noża i łap okazję.

Sebastian poszedł sprawdzić inne wyjścia, zabezpieczyć najbliższe otoczenie. Kilku żołnierzy ruszyło za nim, kiedy dał im znak dłonią.

Jennsen ledwo mogła uwierzyć w to, co widzi i słyszy.

- Musisz się stąd wydostać, imperatorze.

Spojrzał na nią chmurnie.

- Rozum ci odebrało?

- Poszatkowano nas! Wszędzie pełno martwych żołnierzy. Widziałam Siostry rozszarpane przez coś...

- Magia - rzekł z paskudnym uśmiechem.

Zamrugła, dostrzegłszy ten uśmiech.

- Musisz się stąd wydostać, Ekscelencjo, zanim i ciebie dopadną.

Uśmiech zniknął, Jagang poczerwieniał z gniewu.

- To jest wojna! A tyś myślała, że wojna to co? Wojna to zabijanie. Uczynili to, a ja im zamierzam w dwójnasób odpłacić! Jak nie masz ikry, żeby uderzyć nożem, to ogon pod siebie i zmykaj na wzgórze! I więcej nie prosz, żeby ci pomógł.

Jennsen nie wystraszyła się go.

- Nie ucieknę. Jestem tu z konkretnego powodu. Chciałam tylko, byś się stąd dostał, żeby Ład nie stracił cię, tak jak już stracił Brata Nareva.

Prychnął z niesmakiem.

- Wzruszające. - Obrócił się ku swoim żołnierzom, sprawdził, czy są czujni. - Połowa do komnaty po prawej, tuż przed nami. Reszta zostaje ze mną. Chcę ich wykurzyć na zewnątrz. - Machnął mieczem przed twarzami Sióstr. - Dwie z nimi, dwie ze mną. I nie zawiedźcie mnie tym razem.

Żołnierze i Siostry rozdzielili się zgodnie z rozkazem. Część ruszyła do komnaty po prawej, reszta za imperatorem. Sebastian naglił dziewczynę do pośpiechu. Jennsen dołączyła do niego. U jego boku wypadła w zadymiony korytarz, za władcą.

- Tam jest! - usłyszała krzyk Jaganga. - Tam! Tędy! Tam jest!

I wtedy nastąpił wybuch tak potężny, że Jennsen zbiło z nóg i poleciała na podłogę. Korytarz wypełnił się nagle dymem i najróżniejszymi szczątkami, które leciały ku nim, odbijając się od ścian. Sebastian poderwał ją z podłogi, po czym wciągnął w umieszczone w niszy drzwi - akurat na czas, żeby uniknęły przedmiotów nadlatujących z falą wybuchu.

W korytarzu żołnierze krzyczeli ze straszliwego bólu. Jennsen aż dygotała, słysząc te przeraźliwe wrzaski. Pobiegła za Sebastianem w gęsty dym, ku owym krzykom. Mało co widzieli w ciemnościach i dymie, ale wkrótce natknęli się na ciała. Niektórzy żołnierze jeszcze żyli, lecz wygląd ran wskazywał, że śmierć była blisko. W ostatnich chwilach życia musieli

znosić potworne cierpienia. Jennsen z Sebastianem brnęli w sięgającym kolan rumowisku, omijali umierających, wypatrywali imperatora.

Dostrzegli go wśród potrzaskanego drewna, zwisających desek, wywróconych krzeseł i stołów, odłamków szkła, kawałów tynku. W udzie Jaganga ziała rana aż do kości. Obok niego stała Siostra przyciśnięta plecami do ściany. Szeroka, popękana dębowa deska wbiła się w nią tuż poniżej mostka i przyszpiliła do ściany. Kobieta nadal żyła, ale nic już nie można było dla niej zrobić.

- Przebacz mi, drogi Stwórco. Przebacz mi, drogi Stwórco - szeptała drżącymi wargami. Zwróciła ku nim oczy, patrzyła, jak się zbliżają. - Pomóżcie mi, błagam - szepnęła. Z nosa spływała jej spieniona krew.

Była tuż przy imperatorze. Pewnie osłaniała go swoim darem, odpychała rozszalałą moc i tym ocaliła mu życie. Dygotała ze straszliwego bólu.

Sebastian sięgnął za plecy i dobył coś spod peleryny. Potężnie się zamachnął. Ostrze topora z głuchym łomotem uderzyło w ścianę. Głowa Siostry spadła i potoczyła się po gruzowisku.

Strateg szarpnął, uwolnił topór. Przytroczył go z tyłu, do pasa, odwrócił się i znalazł naprzeciw Jennsen. Mogła jedynie z przerażeniem patrzeć w jego lodowate błękitne oczy,

- A gdybyś to była ty - odezwał się - chciałabyś, żebym ci pozwolił tak cierpieć?

Dziewczyna, dygocząc niepohamowanie i nie potrafiąc mu nic odpowiedzieć, odwróciła się i uklękła obok imperatora. Sądziła, że ogromnie cierpi, on jednak jakby w ogóle nie zauważał ziejącej rany. Wiedział tylko, że noga go nie słucha. Jedną dłoń zaciskał brzegi rany, ale nadal tracił mnóstwo krwi. Na drugiej ręce zdołał się odczołgać na bok, opierał się teraz o ścianę. Jennsen nie była uzdrowicielką, nie bardzo wiedziała, co robić, pojęła wszakże, że należy jak najszybciej zatamować krew.

Jagang, z twarzą umazaną potem i sadzą, wskazał mieczem boczny korytarz.

- To ona, Sebastianie! Była tu. Omal ją dopadłem. Nie pozwól jej uciec!

Zjawiała się jakaś Siostra w zakurzonej brązowej wełnianej sukni. Brnęła ku nim w ciemnościach przez rumowisko, mijając jęczących żołnierzy.

- Ekscelencjo! Usłyszałam cię! Jestem. Jestem. Pomogę.

Jagang skinął głową, oparł dłoń na unoszonej ciężkim oddechem piersi.

- Nie pozwól jej uciec, Sebastianie. Ruszaj!

- Tak, Ekscelencjo. - Strateg przyjrzał się Siostrze przechodzącej nad połamanym stołem i położył dłoń na ramieniu Jennsen. - Zostań z nimi. Ochroni i ciebie, i imperatora. Zaraz wrócę.

Dziewczyna chciała złapać go za rękaw, ale już go przy niej nie było. Po drodze zbierał ocalałych żołnierzy. Poprowadził ich korytarzem, zniknęli w ciemnościach. Jennsen nagle została sama z rannym imperatorem, Siostrą Światła i głosem.

Chwyliła skraj podartej draperii, wyciągnęła ją spod gruzu.

- Tracisz mnóstwo krwi. Muszę zamknąć ranę. - Spojrzała w te jego oczy jak z koszmaru. - Możesz zewrzeć brzegi rany, jak będę ją zawijać?

Uśmiechnął się. Pot spływał mu po twarzy, wymywając bruzdy w pokrywającym ją pyłe.

- To nie boli, dziewczyno. Do dzieła. Przeszedłem gorsze rzeczy. Ruszaj się.

Jennsen zaczęła mu owijać nogę brudną zasłoną, a Jagang możliwie najmocniej zaciskał brzegi rany. Delikatna tkanina niemal natychmiast zmieniła barwę z białej na czerwoną. Siostra klękła obok, położyła dłoń na ramieniu dziewczyny. Ta dalej owijała ranę imperatora, Siostra zaś umieściła płasko dłonie po obu stronach rany na jego udzie.

Jagang krzyknął z bólu.

- Przepraszam, Ekscelencjo - odezwała się Siostra. - Muszę powstrzymać krwotok, bo się wykrwawisz.

- No to zrób to, ty głupia suko! Nie zagaduj mnie na śmierć!

Siostra kiwnęła głową. Oczy miała pełne łez, najwyraźniej była przerażona tym, co robi, chociaż wiedziała, że nie ma wyboru. Zamknęła oczy i znów przycisnęła dłonie do owłosionej, okrwawionej nogi Jaganga. Jennsen cofnęła się, robiąc jej miejsce. Patrzyła w przyćmionym świetle, jak kobieta wplata magię w ranę imperatora.

Najpierw nie było nic widać. Jagang zaciskał zęby i stękał z bólu - to zaczynała działać magiczna moc Siostry. Jennsen patrzyła urzeczona, jak dar służy niesieniu pomocy, a nie zadawaniu cierpienia. Zastanowiła się przelotnie, czy Imperialny Ład uważał za złą nawet taką magię, która ratowała życie imperatorowi. Widziała, jak obficie płynąca krew nagle zaczyna się ledwo sączyć.

Nachyliła się bardziej, starając się przeniknąć ciemności, a Siostra, niemal zatrzymawszy krwotok, przesunęła dłonie. Pewnie chciała zacząć zasklepić straszliwą ranę. Zapatrzona na to dziewczyna usłyszała nagle szept Jaganga.

- Tam jest. - Podniosła wzrok: patrzył w korytarz. - Richard Rahl. Tam jest, Jennsen. To on.

Zacisnęła nóż w dłoni, spojrzała w tę samą stronę. W korytarzu było ciemno, ale w przeciwnym krańcu rysowała się w lekko podświetlonym dymie jakaś postać. Przyglądała się im.

Unióś ręce. I pomiędzy jego ramionami nagle ożył ogień. Nie był to prawdziwy ogień, jak w palenisku, ale taki jak we śnie. Był tutaj i jednocześnie go nie było, realny i zarazem nierealny. Jennsen miała wrażenie, że stoi na granicy dwóch światów: tego prawdziwego i tego nadnaturalnego.

Jednak migotliwy płomień na pewno stanowił śmiertelne zagrożenie.

Jennsen - skamieniała z przerażenia, klęcząc obok imperatora - mogła jedynie patrzeć, jak postać u końca korytarza unosi dłonie, a wraz z nimi powoli obracającą się kulę błękitnych i złocistych płomieni. Obracająca się kula urosła między znieruchomiałymi dłońmi, nabrała groźnej celowości. Dziewczyna wiedziała, że widzi upostaciwienie śmiertelnych intencji.

A potem rzucił ku nim tę straszliwą kulę ognia.

Jagang powiedział, że w końcu korytarza stoi Richard Rahl. Jednak Jennsen widziała tylko jakąś rysującą się na tle podświetlonych dymów postać, która rzuciła ku nim ten okropny ogień. Co dziwne, płomienie oświetliły ściany, lecz pozostawiły w cieniu swojego twórcę.

Pędząca ku nim kula ognia rozdymała się, nabierała prędkości. Płynne błękitne i złociste płomienie sprawiały wrażenie, że są żywe.

A jednak w jakiś osobliwy sposób ich tu nie było.

- Ogień czarodzieja! - wrzasnęła Siostra, podrywając się. - O, drogi Stwórco! Nie!

Pobiegła ciemnym korytarzem ku zbliżającemu się ogniewi. Wyrzuciła w górę ramiona, kierując otwarte dłonie ku płomieniom, jakby tkąła jakąś magiczną osłonę mającą ich ocalić, chociaż Jennsen niczego nie widziała.

Kula ognia rozdymała się, gnała ku nim, oświetlając ściany, sufit i rumowisko, obok których przelatywała z wizgiem. Siostra znów wyrzuciła

przed siebie ręce.

Ogień z głuchym odgłosem podświetlił ją tak jaskrawym złocistym blaskiem, że Jennsen zasłoniła oczy. Płomienie w mgnieniu oka otoczyły kobietę, zdusiły jej wrzask i strawiły ją. Kula przez chwilę wirowała w miejscu, promieniując błękitnym żarem, po czym ruszyła, zostawiając za sobą jedynie pasemko dymu i odór spalonego ciała.

Dziewczyna patrzyła przed siebie, porażona tym, co przed chwilą zobaczyła, porażona tak okrutnie odebranych życiem.

A w końcu korytarza lord Rahl znów zaklinał straszliwy ogień czarodzieja, piastował go między dłońmi, nakazywał, by nabierał mocy. I ponownie cisnął go ku nim.

Jennsen nie wiedziała, co robić. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Wiedziała, że przed tym nie ucieknie.

Kula kłębiących się płomieni nadlatywała z rykiem, rozdymała się, oświetlała mijane ściany, aż płomienna śmierć zajęła całą szerokość korytarza - od ściany do ściany, od podłogi do sufitu, nie pozostawiając miejsca do ukrycia.

Lord Rahl odszedł, zostawiając ich swemu losowi, a śmierć gnała z rykiem ku Jennsen i imperatorowi Jagangowi.

ROZDZIAŁ 49

Dźwięk przerażał. Widok paraliżował.

Oręż wyczarowano, żeby zabić. Była to śmiercionośna magia. Magia lorda Rahla.

Tym razem nie było Siostry Światła, która by to przechwyciła.

Magia. Magia lorda Rahla. Tutaj, a jednak gdzie indziej.

Jennsen w ostatniej chwili, zanim kula ognia spadła na nią, pojęła, co ma zrobić. Rzuciła się na imperatora. Okryła go sobą, kiedy na poły leżał wsparty o ścianę, jakby był dzieckiem, które musiała osłonić.

Nawet przez mocno zaciśnięte powieki widziała jaskrawe światło. Słyszała straszliwy wizg otaczających ją płomieni.

Ale nic nie poczuła.

Słyszała, jak ogień mija ją z rykiem i pędzi dalej korytarzem. Uchyliła jedną powiekę, zerknęła. Na końcu korytarza żywy ogień uderzył w ścianę, spadł deszczem płomieni i wyrzucił płonące odłamki drewna na zewnątrz, na trawnik.

Ściana zniknęła, korytarz był teraz lepiej oświetlony. Jennsen zsunęła się z Jaganga.

- Żyjesz, imperatorze? - wyszeptała.

- Dzięki tobie... - W jego głosie brzmiało zdumienie. - Coś zrobiła? Jak mogłaś nie...

- Ciii - szepnęła. - Nie ruszaj się, bo cię zobaczy.

Nie było czasu do stracenia. Należało to zakończyć. Jennsen poderwała się i z nożem w garści pobiegła korytarzem. Teraz widziała człowieka stojącego w mglistym świetle na drugim końcu korytarza. Zatrzymał się, odwrócił i wpatrywał w nią.

Pędziła ku niemu i nagle uświadomiła sobie, że to nie może być jej przyrodni brat. To był starzec, koścista postać w bordowo-czarnych szatach ze srebrnymi obszyciami na mankietach. Faliste siwe włosy sterczały na wszystkie strony, co mu wcale nie ujmowało władczości.

Patrzył, wstrząśnięty, jak pędzi ku niemu, jakby nie mógł w to uwierzyć, jakby nie wierzył, że przetrwała uderzenie ognia czarodzieja. Była dla niego dziurą w świecie. Widziała, jak w orzechowych oczach pojawia się

zrozumienie.

Wyglądał tak dobrotliwie, a przecież dopiero co zabił całe mnóstwo ludzi. Był to człowiek wykonujący rozkazy lorda Rahla. Człowiek, który zabije jeszcze wielu ludzi, jeżeli się go nie powstrzyma. Był czarodziejem, potworem. Musiała go powstrzymać.

Wysoko uniosła nóż. Już prawie przy nim była. Słyszała, że krzyczy z wściekłości - jak przedtem żołnierze - biegnąc ku niemu. Teraz rozumiała te bojowe wrzaski. Pragnęła jego krwi.

- Nie! - zawołał do niej. - Nie rozumiesz, co czynisz, dziecko. Nie mamy czasu... Nie mam chwili do stracenia! Stój! Nie mogę zwlekać! Pozwól...

Traktowała jego słowa jak słowa głosu. Biegła przez zaścielające korytarz rumowisko tak szybko, jak chciały ją nieść nogi. Czuła ten sam dziki, lecz powściągany gniew co wtedy, w chacie, kiedy żołnierze zaatakowali mamę, a potem ją - to samo zaciekle postanowienie.

Jennsen wiedziała, co ma zrobić, i wiedziała, że tylko ona może to zrobić. Była niezwyciężona.

Zanim dobiegła, wyrzucił ku niej rękę, ale niżej niż poprzednio. Tym razem nie było żadnego ognia. I tak by się tym nie przejęła. Nie zatrzymałby jej. Nie mógłby jej zatrzymać. Była niezwyciężona.

Sprawił, że rumowisko pod nią się zachwiało, jakby nim solidnie potrząsnął. Zanim zdążyła uskoczyć, zaplątała się w nie stopą, zapadła się w kawałki tynku i listew. Kostka uwięzła jej w skłębionych dywanach i szczątkach mebli. Jennsen zachłysnęła się ze zdumienia i gwałtownie poleciała w przód. Runęła na podłogę, wzbijając w powietrze odłamki drewna, tynku i inne szczątki. Tak mocno uderzyła się w twarz, że aż ją to ogłuszyło.

Na plecy sypały się jej jakieś niewielkie odłamki. Kurz stopniowo osiadał. Twarz ją piekła, bolała.

Jennsen słuchała głosu, nakazującego jej, żeby wstała, żeby się nie zatrzymywała. Jednak jej pole widzenia zwęziło się do malutkiego punktu, jakby patrzyła przez miękka, rozmywającą się rurkę. Widziany tak świat wyglądał jak we śnie. Leżała nieruchomo, wdychając osiadający kurz, aż oblepił jej gardło i nawet nie mogła zakaszleć.

Wreszcie zdołała się podnieść. Wzrok gwałtownie się poprawiał. Zaczęła kaszleć, starając się oczyścić gardło z kurzu. Noga tkwiła w rumowisku. W

końcu udało się jej odsunąć deskę i uwolnić stopę. Na szczęście drzazgi nie przebiły buta i nie pokaleczyły jej.

Uświadomiła sobie, że ma puste dłonie. Nóż zniknął. Opadła na czworaki i szaleńczo szperała w płątaninie drewnianych szczątków, kawałków tynku, splątanych tkaninach. Odrzucała na bok te resztki, szukając noża. Wepchnęła rękę pod wywrócony stół, macając na oślep.

Czubkami palców wyczuła coś gładkiego. Przesuwała po tym palcami, aż wyczuła ozdobne „R”. Stękając z wysiłku, podparła ramieniem nogę wywróconego stołu; napierała, aż wszystko się odrobinę przesunęło. Wreszcie mogła wsunąć tam rękę i wyciągnąć swój nóż.

Kiedy w końcu stanęła, tamtego mężczyzny już od dawna nie było. I tak za nim poszła. Dotarła do skrzyżowania korytarzy - były puste. Pobiegła tym, który według niej mógł wybrać, zagłębiała się do komnat, przeszukiwała wnęki, zagłębiała się w mroczny pałac.

Gdzieś w oddali słyszała ludzi, żołnierzy wrzeszczących do innych, żeby za nimi szli. Nasłuchiwała głosu Sebastiana, ale go nie usłyszała. Usłyszała za to odgłos rozszalałej magii, jakby we wnętrzu pałacu uderzył piorun. Czasem wstrząsało to całym budynkiem. Niekiedy słychać też było krzyki umierających żołnierzy. Jennsen szła śladem głosów, próbowała odnaleźć człowieka, który uwolnił ogień czarodzieja, lecz znajdowała tylko puste komnaty i korytarze. Miejscami podłoga była zasłana martwymi wojownikami. Nie wiedziała, czy byli tutaj od początku, czy też uśmiercił ich umykający czarodziej.

Usłyszała biegnących żołnierzy, ich buty dudniły w korytarzach. I wtedy doleciał do niej okrzyk Sebastiana:

- Tędy! To ona!

Ruszyła do skrzyżowania i skręciła w korytarz wiodący tam, skąd usłyszała głos Sebastiana. Jej kroki tłumił długi zielony dywan obsyty złotymi frędzlami. Było tu jeszcze piękniej, jeśli się wbiegło ze zrujnowanych części pałacu. Wysoko umieszczone okno oświetlało brązowo-białe marmurowe kolumny niczym milczący wartownicy obserwujące biegnącą Jennsen.

Pałac był labiryntem korytarzy i wspaniałych pokojów. Niektóre z mijanych przez Jennsen komnat były przepysznie urządzone w stonowanych barwach, inne zaś udekorowane dywanami, fotelami i

draperiami w najrozmaitszych kolorach. Mgliście uświadamiała sobie zdumiewające piękno, skupiając całą uwagę na tym, żeby się nie zgubić. Wyobraziła sobie, że pałac jest rozległym lasem, i notowała punkty orientacyjne, by potem odnaleźć drogę powrotną. Musiała pomóc imperatorowi dostać się w bezpieczne miejsce.

Pędziła szerokim korytarzem. Po obu stronach, w wykładanych granitem wnękach, stały jakieś piękne przedmioty. Nagle wpadła przez dwuskrzydłowe pozłacane drzwi do olbrzymiej komnaty.

Dźwięk gwałtownie rozwartych podwoi wrócił echem z głębi komnaty. Rozmiary tego pomieszczenia i jego wspaniałość sprawiły, że zamarła. Wnętrze wielkiej kopuły zdobiły namalowane postaci w szatach. Poniżej owych malowideł znajdował się pierścień okien hojnie wpuszczających światło. W głębi, z boku, widniało półkoliste podwyższenie, na którym stał wspaniały rzeźbiony stół i także krzesła. Za łukowatymi przejściami, rozmieszczonymi wokół sali, widać było schody prowadzące na wygięte balkony, ograniczone mahoniowymi balustradami.

Majestatyczny wystrój komnaty uświadomił Jennsen, że to pewnie stąd Matka Spowiedniczka rządziła Midlandami. A z balkonów zapewne obserwowali to dygnitarze i goście.

Zobaczyła, że ktoś idzie wśród kolumn po przeciwnej stronie sali. Akurat wtedy przez drzwi po prawej wpadł Sebastian. A za nim kompania żołnierzy.

- Tam jest! - Wskazał mieczem; niemal brakowało mu tchu, w błękitnych oczach płonęła wściekłość.

- Sebastianie! - krzyknęła Jennsen, podbiegając do niego. - Musimy się stąd wydostać. Zabrać imperatora w bezpieczne miejsce. Zjawił się czarodziej i zabił Siostrę. Jagang został sam. Pospiesz się.

Żołnierze rozbiegali się półkolem. Ciemna grupa w kolczugach i pancerzach, połyskując orężem, ruszyła skrajem rozległej komnaty niczym wilki podchodzące jelonka.

Sebastian gniewnie wskazał mieczem.

- Nie, dopóki jej nie dopadnę. Jagang w końcu dostanie Matkę Spowiedniczkę.

Jennsen spojrzała tam, gdzie wskazywał, i wreszcie zobaczyła po przeciwnej stronie komnaty wysoką kobietę. Była odziana w proste szaty z grubo tkanego lnu ozdobione u szyi czymś czerwonym i żółtym. Siwiejące

włosy rozdzielał pośrodku przedziałek, obcięto je równo z jej mocno zarysowaną zuchwą.

- Matka Spowiedniczka - wyszeptał Sebastian sparaliżowany jej widokiem.

Jennsen spojrzała na niego, marszcząc brwi.

- Matka Spowiedniczka...? - Jakoś nie mogła sobie wyobrazić, żeby lord Rahl poślubił kobietę w wieku swojej prababki. - Co widzisz, Sebastianie?

Zerknął na nią z zadowoleniem.

- Matkę Spowiedniczkę.

- Jak wygląda? W co jest ubrana?

- W tę swoją białą suknię. - Znów był rozeźlony. - Jak możesz jej nie widzieć?

- To piękna suka - rzekł z szerokim uśmiechem żołnierz stojący po drugiej stronie Sebastiana, nie mogąc oderwać oczu od kobiety. - Ale dostanie się imperatorowi.

Reszta żołnierzy ruszyła przez salę z takimi samymi niepokojącymi, pożądlivymi minami. Jennsen złapała Sebastiana za ramię i szarpnięciem obróciła ku sobie.

- Nie - szepnęła ochryple. - To nie ona, Sebastianie.

- Rozum ci odjęło? - spytał, patrząc na nią z wściekłością. - Myślisz, że nie wiem, jak wygląda Matka Spowiedniczka?

- Widziałem ją wcześniej - rzekł żołnierz stojący obok niego. - To na pewno ona.

- Wcale nie - szeptała z uporem Jennsen, szarpiąc ramię przyjaciela i próbując go odciągnąć. - To musi być jakiś urok. To stara kobieta, Sebastianie. Tu się dzieje coś bardzo złego. Musimy uciekać...

Żołnierz obok Sebastiana stęknął, złapał się za pierś, a jego miecz z brzękiem upadł na posadzkę. Osunął się jak podcięte drzewo, runął na marmurowe płyty. Potem padł kolejny żołnierz i następny, i jeszcze jeden. Po kolei padali na posadzkę. Jennsen stanęła przed Sebastianem, otoczyła go ramionami i chroniła.

Uderzyła oślepiająca błyskawica. Skwierczący łuk wyginał się w powietrzu, nieubłaganie trafiając w cel. Przesuwał się wzdłuż linii biegnących przy ścianie żołnierzy i powalał jednego po drugim. Jennsen obejrzała się przez ramię i zobaczyła, jak kobieta kieruje dłoń w drugą

stronę, ku pędzącym ku niej żołnierzom i Siostrze. Żołnierze padali kolejno, powaleni niewidzialną mocą. Ich ciężkie ciała jeszcze chwilę sunęły z rozpędu po posadzce.

Siostra wyciągnęła przed siebie ręce. Jennsen, chociaż nic nie widziała, uznała, że zrobiła to, by się bronić jakąś magią. Kiedy jednak Siostra znów wyciągnęła przed siebie ręce, dziewczyna zobaczyła i usłyszała światło pojawiające się na czubkach jej palców.

Wszyscy żołnierze prócz Sebastiana nie żyli, więc stara czarodziejka całą uwagę skupiła na atakującej ją Siostrze. Odparła atak ogorzałymi rękami, odesłała dudniący blask ku napastniczce.

- Wiesz, że musisz tylko przysiąc wierność, Siostro - powiedziała stara kobieta zachrypniętym głosem - a uwolnisz się od Nawiedzającego Sny.

Jennsen nie zrozumiała, ale Siostra z całą pewnością tak.

- To nic nie da! Nie będę się narażać na takie cierpienie! Niech Stwórca mi wybaczy, ale lepiej będzie dla nas, jak cię zabiję.

- Skoro taki twój wybór - zachrypiała stara kobieta - to niech się stanie.

Młodsza znów zaczęła rzucać swoją magię, lecz nagle z krzykiem upadła na posadzkę. Drapała marmur, starała się szeptać modlitwy, jęcząc w straszliwym cierpieniu. Zostawiała na posadzce krwawy ślad, ale znieruchomiła, nim zdążyła się dalej podczołgać. Wydała ostatnie chrapliwe tchnienie, głowa jej opadła.

Jennsen z nożem w ręce rzuciła się ku zabójczyni. Sebastian ruszył za nią, ale zrobił ledwie kilka kroków, kiedy kobieta się okręciła i cisnęła ku niemu migotliwy blask. Zrobiła to akurat wtedy, kiedy Jennsen weszła w jej pole widzenia. Tylko dzięki temu ów blask nie trafił wprost w Sebastiana. Przeniknął obok, siejąc iskrami, a strateg upadł z krzykiem.

- Nie! Sebastianie!

Jennsen ruszyła ku niemu. Przycisnął dłonie do żeber, wyraźnie cierpiał. Ale przynajmniej żył.

Obróciła się gwałtownie ku starej kobiecie. Ta stała nieruchomo z przechyloną głową i nasłuchiwała. Było w niej coś dziwnego, jakaś bezradność.

Czarodziejka nie patrzyła na nią, lecz zwracała ku niej ucho. Jennsen była teraz trochę bliżej i po raz pierwszy zauważyła, że stara kobieta ma zupełnie białe oczy. Zapatrzyła się na nią ze zdumieniem, a potem

rozpoznała.

- Adie? - szepnęła, nie chcąc tego mówić głośno.

Zaskoczona kobieta przekrzywiła głowę w drugą stronę.

- Kto tu jest? - spytał ochryply głos. - Kto tu jest?

Jennsen nie odpowiedziała, bojąc się, że tamta ją zlokalizuje. W komnacie zapadła cisza. Na ogorzałej twarzy starej czarodziejki odmalowało się poważne zatroskanie, ale i determinacja. Uniosła rękę.

Jennsen zaciskała w pięści nóż, nie wiedząc, co robić. Jeżeli to naprawdę Adie, kobieta, o której opowiadała jej Althea, to - zgodnie ze słowami Althei - powinna być zupełnie ślepa na Jennsen. Jednak nie na Sebastiana. Dziewczyna powolutku zbliżyła się o krok.

Głowa starej kobiety odwróciła się na ten dźwięk.

- Dziecko? Jesteś siostrą Richarda? Czemu jesteś z Ładem?

- Może dlatego, że chcę żyć!

- Nie. - Kobieta pokręciła głowę z surową dezaprobatą. - Nie. Jeśli jesteś z Ładem, to wybrałaś śmierć, nie życie.

- Tylko wy przynosicie śmierć!

- To kłamstwo. To wy przyszlście tu z bronią i morderczymi zamiarami. Nie ja przyszłam do was.

- No pewnie! Bo kalasz świat swoją przebrzydłą magią! - zawołał z tyłu Sebastian. - Stłamsiłabyś ludzi, zamieniłabyś nas w niewolników swoimi wstrętnymi starożytnymi metodami!

- Ach - powiedziała Adie, kiwając głową. - To ty omamiłeś to dziecko.

- Uratował mi życie! Bez Sebastiana byłabym niczym! Nic bym nie miała! Nie żyłabym! Jak moja mama!

- Dziecko - wychrypiała cicho Adie - i to kłamstwo. Odejdź od nich. Chodź ze mną.

- Chciałabyś tego, prawda?! - wrzasnęła Jennsen. - Moja mama umarła w moich ramionach przez tego twojego lorda Rahla. Znam prawdę. Chodzi o to, że chcesz wreszcie dostarczyć lordowi Rahlowi najcenniejszy łup.

Adie pokręciła głową.

- Dziecko, nie wiem, jakimi kłamstwami wypełnili ci głowę, ale nie mam na to czasu. Musisz pójść ze mną, bo inaczej nie będę ci mogła pomóc. Nie mogę czekać ani chwili dłużej. Czasu jest mało, a ja już zużyłam swój zapas.

Kiedy mówiła, Jennsen przysunęła się ku niej o krok. Musiała

wykorzystać okazję i wyeliminować zagrożenie. Wiedziała, że musi wyeliminować tę kobietę. Skoro to tylko kwestia mięśni i wprawy we władaniu nożem, to przewaga była po jej stronie. Magia czarodziejki jest bezużyteczna wobec kogoś niezwykniętego - wobec filaru świata.

- Zabij ją, Jenn! Dasz radę! Pomścij matkę!

Jennsen przebyła zaledwie jedną czwartą odległości między Sebastianem a Adie. Mocno trzymając nóż, zrobiła kolejny krok.

- Skoro taki twój wybór - wychrypiała Adie, słysząc szelest - to niech się stanie.

Kiedy czarodziejka wyciągnęła rękę ku Sebastianowi, dziewczyna uświadomiła sobie ze zgrozą, o czym tamta mówiła: jej wybór oznaczał koniec Sebastiana.

ROZDZIAŁ 50

Sebastian leżał na boku na podłodze, podpierał się na łokciu. Jennsen zobaczyła pod nim krew na marmurowej posadzce. Ponieważ Adie nie mogła powstrzymać Jennsen, zamierzała zamiast niej uśmiercić jego. Aż do głębi wstrząsnęły dziewczyną widok cierpiącego przyjaciela oraz świadomość, że lada chwila zginie.

Sebastian był wszystkim, co miała.

Czarodziejka za moment pośle ku niemu śmiercionośną magię. Jennsen znajdowała się o wiele bliżej Sebastiana niż Adie. Dziewczyna wiedziała, że nie zdoła na czas powstrzymać czarodziejki, ale może zdążyć osłonić przyjaciela. A Adie udałoby jej się zabić tylko wtedy, gdyby zdecydowała się poświęcić Sebastiana. Taki wybór postawiła przed nią czarodziejka.

Jennsen zrezygnowała z ataku i skoczyła ku Sebastianowi. Ustawiła się na linii widzenia Adie, uczyniła dziurę w świetle w miejscu, gdzie tamta chciała posłać śmiercionośny magiczny ogień. Magiczna błyskawica nie trafiła w stratega, uderzyła za nim w marmurową posadzkę i wyszarpała w niej krechę. W powietrze trysnęły odłamki marmuru.

Jennsen przypadła do leżącego, objęła go.

- Sebastianie! Możesz się ruszać? Możesz biec? Musimy się stąd wydostać.

Skinął głową.

- Pomóż mi wstać. - Mówił z trudem, płytko oddychał.

Jennsen wsunęła głowę pod jego ramię, z wysiłkiem pomogła mu się podnieść. Podtrzymała go, gdy pośpiesznie szli ku drzwiom. Stojąca z tyłu Adie znów uniosła ręce, białymi oczami śledziła ruchy Sebastiana, skoro nie mogła śledzić Jennsen. Dziewczyna skręciła w bok, ustawiła się na linii. Błyskawica przeleciała, chybiając ich o cale, po czym wyrwała z zawiasów obłożone metalem drzwi. Poszybowały w głąb korytarza.

Jennsen z Sebastianem umknęli przez dymiący otwór i pośpieszyli szerokim korytarzem. Uświadomiła sobie - patrząc, jak ciężkie drzwi lecą w głąb przejścia, odbijając się od ścian i odłupując z nich kawały kamienia - że gdyby coś takiego w nią trafiło, zostałaaby zmiażdżona. Zauważyła też, że krwawi z ramienia poprzecinanego odłamkami marmuru. Nie magia to

uczyniła, lecz ostry kamień odłupany magiczną mocą.

Pod pewnymi względami mogła być niezwyciężona, ale gdyby magia zwała na nią masywną kamienną kolumnę, umarłaby tak samo, jak gdyby tę kolumnę zwała zwyczajna potężna krzepa. Śmierć to śmierć.

Jennsen nagle przestała się czuć aż tak niezwyciężona.

Na pierwszym przecięciu korytarzy skręciła w prawo, najszybciej jak się dało, sprowadzając Sebastiana z linii magicznego wzroku Adie i jej czarodziejskiego oręża. Czowała, jak jego ciepła krew spływa po ramieniu, którym go podtrzymywała. Sebastian, choć ranny, nie poprosił, żeby zwolniła i oszczędziła mu bólu. Tak szybko, jak zdołał, szli przez hole i komnaty, wracając tam, gdzie Jennsen zostawiła imperatora.

- Mocno jesteś poraniony? - spytała, lękając się odpowiedzi.

- Sam nie wiem - odparł resztką tchu, najwyraźniej cierpiąc. - Jakby ogień palił mi zebra. Na pewno bym umarł, gdybyś mnie nie zastrzegła.

Idąc przez pałac, natrafili na oddział własnych żołnierzy. Jennsen osunęła się przy nich, zadyszana, wyczerpana, niezdolna już dłużej prowadzić Sebastiana. Mięśnie nóg drżały jej z wysiłku.

- Znikamy stąd - powiedział Sebastian do żołnierzy. Oddychał ciężko, boleśnie. - Musimy się wycofać. Imperator jest ranny. Trzeba go stąd wydostać. - Wskazał im kierunki. - Niech część z was tam pójdzie. Zbierzcie naszych ludzi. Musimy zwołać, ilu się da, żeby chronić imperatora i zabrać go w bezpieczne miejsce. Wy dwaj pomożecie mi.

Żołnierze natychmiast ruszyli do swoich zadań. Dwaj wyznaczeni zarzucili sobie na barki ramiona Sebastiana i z łatwością podnieśli go z podłogi. Skrzywił się z bólu. Jennsen poprowadziła ich przez pałac, kierując się zapamiętanymi znakami orientacyjnymi, by jak najszybciej dotrzeć do Jaganga i wydostać go ze śmiertelnej pułapki.

Pałac Spowiedniczek stanowił płataninę holi, korytarzy i komnat. Niektóre komnaty były wielkie, lecz je omijali, zostając w labiryncie korytarzy. Sebastian stwierdził, że lepiej, by nie przyłapano ich w jednej z tych wielkich sal, bo wtedy stanowiliby łatwy cel. Od czasu do czasu Jennsen słyszała straszliwe głuchoe odgłosy magicznych wybuchów. Za każdym razem trząsł się cały pałac.

- Tędy - powiedziała, rozpoznawszy wyrwę w ścianie na narożniku zasłanego rumowiskiem korytarza.

To w tę zewnętrzną ścianę uderzył przeznaczony dla Jaganga ogień czarodzieja, wybijając w niej dziurę na światło dzienne i leżące w dole trawniki.

Pięciu żołnierzy szło z przeciwnej strony korytarza. Przedzierali się przez gmatwaninę rozmaitych szczątków, prowadząc Siostrę Światła. Z tyłu pojawił się jeszcze prawie tuzin żołnierzy. A z pobliskiej komnaty wyszły dwie Siostry z twarzami umorusanymi sadzą i kolejni żołnierze kompanii szturmowej. Połowa z nich krwawiła, ale wszyscy mogli się poruszać o własnych siłach.

Imperator siedział oparty o ścianę, tak jak Jennsen go zostawiła. Brzegi głębokiej rany jako tako łączyła owinięta wokół nogi zasłona, ale mięśnie nie zostały właściwie zespolone i raną na pewno należało się zająć. Magiczne, leczące działanie Siostry - zabitej chwilę potem - nie zaniknęło i władca przynajmniej nie krwawił.

Po takiej utracie krwi był osłabiony i blady, ale nie tak blady jak ci, którzy po raz pierwszy ujrzeni, jak poważnie jest ranny.

Jedna z Sióstr uklękła, żeby obejrzeć ranę. Jagang skrzywił się, kiedy próbowała wyrównać styk brzegów głębokiego rozcięcia.

- Teraz nie ma czasu, żeby to zaleczyć - powiedziała. - Najpierw musimy go przenieść w bezpieczne miejsce.

Natychmiast zaczęła mocniej zaciskać bandaż z podartej kotary, którym Jennsen wcześniej częściowo owinęła ranę.

- Dopadliście ją? - zapytał Jagang, kiedy Siostra mocniej ściągała ranę brudnym kawałkiem tkaniny. - Gdzie ona jest? Sebastianie! - Uniósł się, wspierając na desce, i wpatrywał się w kompanię żołnierzy prowadzących ku niemu Sebastiana. - A, tu jesteś. Gdzie Matka Spowiedniczka? Złapałeś ją?

- To nie ona - odpowiedziała za niego Jennsen.

- Co? - Imperator rozejrzał się gniewnie po otaczających go ludziach. - Widziałem sukę. Poznaję Matkę Spowiedniczkę, kiedy ją widzę! Czemu jej nie złapaliście?!

- Widziałeś czarodzieja i czarodziejkę - powiedziała Jennsen. - Posłużyli się magią, żebyś sądził, że widzisz lorda Rahla i Matkę Spowiedniczkę. To był podstęp.

- Uważam, że ona ma rację - wtrącił się Sebastian, zanim Jagang zdążył na nią wrzasnąć. - Stałem obok niej i ja widziałem Matkę Spowiedniczkę, a

Jennsen nie.

Jagang popatrzył na nią ponuro.

- Ale skoro inni ją widzieli, to czemu ty nie...? - Jego mina świadczyła, że zaczyna pojmować. Z nie znanego Jennsen powodu uznał, że mówi prawdę.

- Ale dlaczego? - spytała Siostra bandażująca ranę imperatora.

- I czarodziej, i czarodziejka bardzo się spieszyli - rzekła Jennsen. - Pewnie coś knują.

- To dywersja - wyszeptał Jagang, patrząc w głąb zasypanego szczątkami korytarza. - Chcieli nas czymś zająć. Chcieli, żebyśmy się czym innym zajmowali i o czym innym myśleli. Chcieli trzymać nas z dala.

- Od czego? - spytała Jennsen.

- Od głównych sił - odparł Sebastian, podchwytyjąc tok rozumowania władcy.

Jedna z Sióstr obejrzała ranę stratega i popatrzyła ukradkiem na towarzyszki. Szybko przyłożyła mu do żeber miękkie tampony i owinęła pierś długim pasem płótna, żeby opatrunek się nie zsunął.

- Pomoże tylko na krótko - mruknęła do siebie. - To nie wygląda dobrze. - Znow spojrzła na pozostałe Siostry. - Musimy się tym zająć. Ale nie możemy tego zrobić tutaj.

Sebastian krzywił się z bólu i starał się nie zwracać na nią uwagi.

- To podstęp. Trzymają nas tutaj, zastanawiających się, gdzie się kryją, i goniących za złudzeniem, a sami atakują nasze główne siły.

Jagang burknął jakieś przekleństwo. Spojrzał przez dziurę wybitą w ścianie przez ogień czarodzieja. Patrzył ku armii, którą zostawili daleko za sobą, w dolinie rzeki. Zacisnął pięści i zgrzytnął zębami.

- To suka! Chcieli nas czymś zająć, żeby nasze główne siły siedziały w obozie, gdy zaatakują. To brudna, podstępna suka! Musimy wracać!

Niewielki oddział szedł spiesznie korytarzami. Jaganga i Sebastiana prowadzili pod pachy dwaj żołnierze, żeby mogli się szybko wycofać z Pałacu Spowiedniczek. Sebastian wyglądał gorzej.

Po drodze zebrali kolejnych żołnierzy. Jennsen była zdumiona, że jeszcze tylu pozostało przy życiu. Ale i tak, w porównaniu z ich początkową liczebnością solidnie ich przetrzebiono. Gdyby tkwili wszyscy razem, gdyby imperator i Sebastian nie dzielili ich na coraz to mniejsze grupy, wszyscy mogli zginąć za jednym zamachem. Jednak Ład i tak zostawiał za sobą wielu

zmarłych.

Dotarli na niższy poziom i szli korytarzami dla służby ku bocznemu skrzydłu pałacu. Sebastian doradzał, by nie wychodzić głównym wejściem, którym tu weszli, obawiając się, że przeciwnik mógł się tego spodziewać i uderzy na nich, zanim się zdążą wydostać. Najciszej jak się dało mijali opustoszałe kuchnie i wreszcie wyszli w szarość dnia, na boczny podwórzec. Był ustronny, odgradzony murem od miasta.

Obeszli z boku pałac i ujrzeli przerażający widok. Wyglądało to tak, jakby cała kawaleria została wybita do nogi, jakby się nie ostał nikt żywy. Jennsen nie mogła znieść panoramy takiej rzezi, lecz był to tak porażający obraz, że nie mogła też odwrócić od niego oczu. Trupy - tak ludzi, jak i koni - leżały nierównym szeregiem na stoku wzgórza w miejscu, gdzie w szaleńczej szarży zderzyli się z wrogiem. W oddali, blisko drzew, kilka koni szczypało trawę; ich jeźdźcy na pewno już nie żyli.

- Żadnego martwego wroga - odezwał się Jagang, patrząc na to wszystko. Kuśtykał, wspierając się na pice, którą podał mu żołnierz. - Cóż mogło doprowadzić do czegoś takiego?

- Nic, co żyje - odezwała się Siostra.

Schodzili pospiesznie ze wzgórza, mijając cichy front bitwy, tuż przed stertami zwłok. Imperatora dostrzegli pozostali jeźdźcy, stojący za murem wśród niewielkich ogrodowych budowli i drzew, i nadsiedzieli, żeby go osłaniać. Konni - niespełna tysiąc ocalałych z ponad czterdziestu tysięcy - okrążyli wracających z pałacu. W zewnętrzny pierścień wjechały Siostry, żeby otoczyć imperatora wewnętrznym ochronnym kręgiem.

Rusty, a z nią Pete, przytruchtały za resztkami jazdy. Jennsen gwizdnęła, klacz zaś rozpoznała sygnał i pospieszyła ku niej. Trącała łbem ramię dziewczyny i rżała żałośnie, domagając się pocieszenia. Rusty i Pete nie były wierzchowcami kawalerzystów, przyzwyczajonymi do okropieństw wojny. Jennsen pogładziła uspokajająco drżący kark klaczy i jej uszy. Podobne pocieszenie ofiarowała i Pete'owi, kiedy przycisnął czoło do jej barku.

- Co się stało?! - wrzasnął rozwścieczony Jagang. - Jak mogliście się dać tak zmasakrować?!

Oficer jadący na czele kawalerzystów rozejrzał się z konsternacją.

- Ekscelencjo... to było coś z powietrza. Nie mogliśmy z tym walczyć.

- Próbujesz mi wmówić, że to były duchy?! - ryknął Jagang.

- Myślę, że to były te konie, których zapach poczuł zwiadowca - odezwał się inny oficer, którego ramię owijały przesiąknięte krwią bandaże.

- Chcę wiedzieć, co się dzieje - rzekł imperator, wodząc wściekłym wzrokiem po twarzach otaczających go ludzi. - Jak to się mogło stać?

Żołnierze przyprowadzili dodatkowe konie. Siostra Perdita zsiadła w pobliżu grupy.

- To był rodzaj ataku z użyciem magii, Ekscelencjo. Jedyne wytłumaczenie, jakie mogę zaoferować, to widmowi jeźdźcy przywołani dzięki czarom.

Groźny wzrok Jaganga świdrował Siostrę Perditę tak, że nawet Jennsen się zlekła.

- To czemu ty i Siostry tego nie powstrzymałyście?

- Nie była to magia, z jaką zwykle mamy do czynienia. Sądzę, że musiała to być jakaś forma magii strukturalnej, bo inaczej nie tylko byśmy ją wykryły, ale i potrafiłybyśmy zneutralizować. Tak przynajmniej przypuszczam. Prawdę mówiąc, nigdy nie widziałam żadnej magii strukturalnej, a jedynie o niej słyszałam. Cokolwiek nas zaatakowało, nie reagowało na nic, czego próbowaliśmy.

Imperator nadal mierzył ją chmurnym wzrokiem.

- Magia to magia. Powinnyście to powstrzymać. Po to tu byliście.

- Magia strukturalna różni się od czarowania, Ekscelencjo.

- Różni się? A czym?

- W niej nie wykorzystuje się daru w konkretnym miejscu i czasie, lecz konstruuje się taką magiczną strukturę wcześniej. Może przetrwać bardzo długo: tysiące lat, a może i wieczność. W razie potrzeby zaklęcie jest uruchamiane i zaczyna działać.

- A co je uruchamia? - zapytał Sebastian.

Siostra Perdita bezradnie pokręciła głową.

- Jak słyszałam, może to być cokolwiek. Zależnie od tego, jak zostało skonstruowane. Żaden współczesny czarodziej nie potrafi skonstruować takiego zaklęcia. Niewiele wiemy o czarodziejach z odległych czasów i o tym, co potrafili, wiadomo jednak, że takie strukturalne zaklęcie może niekiedy być, że tak powiem, zasuszone, i ożyć, kiedy się je „podleje”. Tak jak wiosenne deszcze pomagają wykiełkować ziarnom. Może je uruchomić ogrzanie, jak lek brany na gorączkę: lek wnosi do organizmu strukturę, a

gorączka ją „uruchamia”. Inne uruchamiają niewielkie czary, do uruchomienia jeszcze innych zaś potrzeba niezwykle skomplikowanych czarów i olbrzymiej mocy.

- Czyli - domyśliła się Jennsen - ktoś mający dar musiał rzucić jakieś potężne zaklęcie na tych widmowych jeźdźców? Czarodziej albo czarodziejka?

Siostra Perdita potrząsnęła głową.

- Mógł to być ten właśnie rodzaj magii strukturalnej, ale równie dobrze mógł to być też urok trzymany w ukryciu i uruchomiony przez kontakt z czymkolwiek, nawet z końskim łajnem.

Imperator Jagang zbył to machnięciem ręki.

- Przecież coś tak małego i tak łatwo uruchamianego nie byłoby takie potężne.

- W tym przypadku, Ekscelencjo - rzekła Siostra - nie można utożsamiać widocznych materialnych rozmiarów struktury czy jej, że tak powiem, spustu z rezultatem. Nie pozostają ze sobą w żadnym związku, a przynajmniej nie w takim, jak się to potocznie rozumie. Czynniki uruchamiające nie ma nic wspólnego z mocą struktury. Konkretna struktura i czynnik ją uruchamiający nie muszą nawet być pokrewne. Nie ma żadnych zasad pozwalających ocenić taką strukturę.

Imperator szerokim gestem wskazał dziesiątki tysięcy trupów ludzi i koni.

- Ale coś o takich rozmiarach nie mogło się zdarzyć ot, tak sobie.

- Atakująca tutaj widmowa konnica mogła zostać wprawiona w ruch przez czarodzieja rysującego uroki w magicznym pyłe i wygłaszającego ogromnie skomplikowaną inwokację, ale równie dobrze mogła to być księga z ryciną kontrataku kawalerii, otwarta na odpowiedniej stronie i trzymana przed nacierającą jazdą, i to nawet w odległości wielu mil. Elementem uruchamiającym mógł być nawet zwykły strach trzymającej ją osoby.

- Chcesz powiedzieć, że każdy mógł to przypadkowo uruchomić? - zapytała Jennsen.

- Oczywiście. I dlatego te struktury są tak niebezpieczne. Jednak z tego, co słyszałam, wynika, że ten ich rodzaj jest nadzwyczaj rzadki. Ponieważ mogą być aż tak niebezpieczne, przeważnie chronią je skomplikowane zabezpieczenia i mechanizmy uniemożliwiające przypadkowe

uruchomienie. Wymagają one najgłębszej wiedzy o zastosowaniu magii.

- Ale jak już ktoś, na przykład czarodziej o olbrzymiej wiedzy - zapytała Jennsen - usunie te zabezpieczenia i mechanizmy ochronne, to zaklęcie może uruchomić jeden zwyczajny czynnik?

- Otóż to. - Siostra Perdita spojrzała na nią znacząco.

- Czyli - odezwał się Jagang, wskazując tysiące ciał - w każdej chwili mogą znów nasłać tę widmową konnicę, żeby nas wykończyć.

Siostra pokręciła głową.

- Jak rozumiem, zaklęcie strukturalne zwykle działa tylko raz. Zużywa się, wykonując to, do czego zostało skonstruowane. Między innymi dlatego są tak rzadkie. Raz użyte znikają na zawsze, a nie ma już czarodzieja, który potrafiłby skonstruować nowe.

- Czemu więc przedtem nie zetknęliśmy się z takimi zaklęciami strukturalnymi? - spytał coraz bardziej zniecierpliwiony Sebastian. - A teraz nagle tak?

Siostra Perdita wpatrywała się weń przez chwilę. Była ucieleśnieniem hamowanego gniewu, którego - o czym Jennsen wiedziała - nigdy by się nie ośmieliła skierować ku imperatorowi, chociaż nakazany przez niego, wbrew jej ostrzeżeniom atak na Pałac Spowiedniczek spowodował śmierć wielu z jej Sióstr Światła. Z przesadną dokładnością wskazała ciemną wieżę tkwiącą na stoku przeciwległej góry.

- W Wieży Czarodzieja są tysiące komnat - rzekła cicho. - Bardzo wiele z nich może być aż po sufit zapchanych różnymi paskudztwami. Bardzo możliwe, że kiedy ich tu zapędziliśmy na zimę, ten ich czarodziej Zorander miał wreszcie mnóstwo czasu na przeszukanie wieży, znalezienie tego, czego mu dotąd brakowało, i przygotowanie się na nas, kiedy wiosną ruszymy na Aydindril. Aż się boję pomyśleć, jakie jeszcze straszliwe niespodzianki może dla nas chować. Ta wieża stoi, niepokonana, od tysięcy lat.

Wzrok Sebastiana stał się równie wściekły i ponury, jak Jaganga.

- Czemu nas przed tym nie ostrzegłyście? Nigdy nie słyszałem, żebyście coś o tym mówiły.

- Mówiłam. Ale ciebie już nie było.

- Odradzałaś nam wiele innych rzeczy, a przecież sobie z nimi poradziliśmy - warknął Jagang. - Kiedy toczy się wojnę, trzeba umieć

ryzykować i ponosić straty. Tylko odważni zwyciężają.

Sebastian wskazał Wieżę Czarodzieja.

- Czego jeszcze możemy się spodziewać?

- W walce z tymi ludźmi zaklęcia strukturalne to tylko jedno z niebezpieczeństw. Żadna z nas nie uważała ich za duże zagrożenie, bo są bardzo rzadkie, ale jak sam widzisz, nawet pojedyncze jest ogromnie niebezpieczne. Kto wie, jakie groźniejsze jeszcze moce czekają na uwolnienie. Poza tym jest też całe mnóstwo zagrożeń, o których nie mamy pojęcia. Sama zima zabiła setki tysięcy naszych żołnierzy. Nie musieli nawet kiwnąć palcem czy ryzykować życia jednego ze swoich. Wyrządziło nam to większe szkody niż jakaś bitwa czy zesłana przez magię niedola. Czyśmy się spodziewali takich strat, spowodowanych przez coś tak zwyczajnego jak śnieg i mróz? Czy nasza liczebność i siła obroniły nas przed tym? Czy te setki tysięcy to mniej dotkliwa strata, bo zmarli z gorączki, a nie wskutek wymyślnego zastosowania magii? Jakąż to robi różnicę martwym czy tym, którzy pozostali, by walczyć? Przyznaję, że żołnierzowi zwycięstwo zawdzięczane chorobie przeciwnika może się nie wydawać wspaniałe czy heroiczne, lecz śmierć to śmierć. Nasza armia jest wielokrotnie liczniejsza, a przecież straciliśmy te setki tysięcy na skutek gorączki wywołanej przez pogodę, a nie magię, przed którą tak cię mamy chronić.

- Jednak w prawdziwej walce - burknął Sebastian - nasza przewaga liczebna rzeczywiście coś znaczy i da nam zwycięstwo.

- Powiedz to tym, którzy zmarli z gorączki. Liczebność nie zawsze rozstrzyga o zwycięstwie.

- To cudaczny pogląd - odpalił Sebastian.

- Powiedz to im. - Siostra Perdita wskazała zabitych.

- Musimy podejmować ryzyko, jeżeli chcemy zwyciężyć - zakończył sprawę Jagang. - Chcę wiedzieć, czy można się spodziewać, że wróg rzuci na nas więcej tych zaklęć strukturalnych?

Siostra Perdita pokręciła głową, jakby mówiła, że nie ma pojęcia.

- Wątpię, by ten czarodziej Zorander wiedział wiele o trzymanyh tutaj zaklęciach strukturalnych. Takiej magii nikt już dobrze nie rozumie.

- Najwyraźniej świetnie się na tym zna - odezwał się Sebastian.

- A może to jedno zaklęcie rozumiał na tyle dobrze, że się nim potrafił posłużyć. Jak już wspomniałam, raz użyte zaklęcie strukturalne znika.

- Ale jest też możliwe - wtrąciła się Jennsen - że tkwi tu więcej zaklęć strukturalnych, na których się zna.

- Tak. Albo też mogło to być ostatnie istniejące. Lub też siedzi tu sobie z całym ich mnóstwem w zanadrzu, i to o wiele gorszych. Nie sposób się tego dowiedzieć.

Czarne oczy Jaganga patrzyły na pobitą doborową jazdę.

- Tego na pewno użył, żeby...

Oślepiający błysk rozświetlił nagle widnokrąg. Otaczający ich świat zajaśniał jak od błyskawicy, ale ten błysk nie zniknął. Jennsen chwyciła lejce Rusty i Pete'a tuż przy wędzidłach, żeby konie się nie wyrwały. Inne zwierzęta wystraszyły się i stawały dęba.

Jaskrawe światło biło z doliny rzeki, zza wzgórz - od strony armii. Było tak białe, tak czyste, tak rozzarzone, że oświetliło chmury aż po horyzont. Miało taką moc i taką intensywność, że wielu zatrwożonych żołnierzy przyklękło.

Rozjarzony blask rozszerzał się z niewiarygodną prędkością, przytłaczając wzgórze, lecz był tak odległy, że niczego nie słyszeli. Oświetlał kamienne zbocza wszystkich otaczających miasto gór.

I wtedy Jennsen usłyszała w końcu basowy grzmot, który zawibrował jej w piersi. Zatrzęsła się ziemia pod ich stopami. Potężny, rezonujący grzmot przeszedł w narastający, ogłuszający ryk.

W blask uniosła się ciemna kopała. Jennsen uświadomiła sobie, że to, co z powodu odległości wydawało jej się rozdymającą się kopułą kurzu, musiało być szczątkami przynajmniej tak wielkimi jak drzewa albo wozy.

Ciemna chmura unosiła się w ów blask i rozwiewała, jakby wyparowywała w tym spopielającym żarze i świetle. Jennsen widziała falę podobną do tych, które powstają po wrzuceniu kamienia do wody. Tu jednak gnała po ziemi pojedyncza fala.

Stali jak sparaliżowani, zdjęci grozą... i nagle uderzyła w nich ściana wichru niosąca przed sobą pył i piach. To w końcu dotarła do nich owa fala. Było to tak nagłe i potężne, że gdyby gałęzie nie były już nagie, podmuch odarłby je z liści. Drzewa dygotały pod uderzeniem wichru, łamały się konary.

Spanikowało więcej koni - wierzgały i wyrwały się. Żołnierze padli na ziemię, chroniąc się przed tym, co mogło jeszcze nadejść. Jennsen, szarpana

podmuchem wichru, osłaniała oczy dłonią, a krzepcy żołnierze recytowali wyuczone w dzieciństwie modlitwy, błagając Stwórcę o ratunek.

Jagang stawiał temu czoło z gniewnym wyzwaniem.

- Drogie duchy - powiedziała w końcu Jennsen, mrugając powiekami, żeby oczyścić oczy z kurzu, kiedy wszystko zaczęło się uspokajać. - A cóż to mogło być?

Siostra Perdita była zupełnie szara.

- Sieć światła. - Głos miała cichy i było w nim coś, czego Jennsen wcześniej nie słyszała: przerażenie.

- Niemożliwe!- ryknął Jagang. - Są tam Siostry strzegące przed urokiem ognia!

Siostra Perdita milczała. Nie mogła oderwać oczu od przykuwającego wzrok widoku.

Jennsen wiedziała, że Sebastian bardzo cierpi, ale rzekł z mocą:

- Mówiono mi, że sieć światła nie może wyrządzić większej szkody niż - wskazał pałac - zniszczenie tej budowli.

Siostra Perdita milczała i tym milczeniem podkreślała oczywistość, którą mieli przed oczami.

Jennsen ujęła lejce obu koni jedną dłonią, a drugą położyła współczująco na plecach Sebastiana. Bała się o niego i chciała, żeby już był w jakimś bezpiecznym miejscu, gdzie można by się zająć jego ranami. Siostry twierdziły, że są poważne i wymagają ich interwencji. Dziewczyna podejrzewała, że rana zadana przez czarodziejkę wymaga magicznego leczenia.

- Jaka to mogła być sieć światła?! - zapytał Jagang. - Przecież tam nikogo nie było! Żadnych wojsk, żołnierzy, armii, ledwo para tych z darem.

- I to by wystarczyło - odparła Siostra Perdita. - Takie sprawy nie potrzebują wojskowego wsparcia. Mówiłam ci, że coś jest nie tak. Wieża jest w Aydindril i nie wiadomo, co nawet jeden czarodziej może zrobić, żeby powstrzymać armię. Nawet naszą armię.

- Chcesz powiedzieć - odezwał się Sebastian - że to tak, jakby mały oddział na wysokiej przełęczy powstrzymywał całą armię?

- Otóż to.

Jagang wyraźnie nie dowierzał.

- Twoim zdaniem jeden stary kościsty czarodziej, tkwiący w takim

miejscu jak wieża, mógłby sam tego wszystkiego dokonać?

Siostra Perdita spojrzała na niego.

- Temu jednemu staremu kościstemu czarodziejowi, jak go nazwałeś, właśnie udało się dokonać niemożliwego. Nie tylko odnalazł skonstruowaną zapewne przed tysiącami lat sieć światła, ale i, co jeszcze bardziej nieprawdopodobne, zdołał ją uruchomić.

Jagang popatrzył w stronę blasku, który nareszcie przygasał.

- Drogi Stwórco - wyszeptał - to dokładnie tam, gdzie jest armia. - Przesunął dłonią po wygolonej czaszce, rozważając straszliwe wnioski. - Jak zdołali uruchomić sieć światła pośród naszej armii? Byliśmy przed tym strzeżeni! Jak?!

Siostra Perdita spuściła oczy.

- Nie potrafię tego powiedzieć, Ekscelencjo. Mogło to być coś tak prostego jak szkatuła zawierająca starożytną sieć światła, z której on usunął wszystkie zabezpieczenia i tak ją porzucił, żebyśmy na nią trafili. Może kiedy nasi żołnierze rozbijali obóz, ktoś ją znalazł, zaciekał się, co też może być w niewinnie wyglądającym pudełku, i otworzył je, a światło dnia było końcowym elementem inicjującym. A mogło to też być coś zupełnie innego, czego nawet nie potrafimy sobie wyobrazić, a co dopiero temu zapobiec. Nigdy się nie dowiemy. Ktokolwiek to uruchomił, jest teraz częścią owej chmury dymu wiszącej ponad doliną.

- Ekscelencjo - odezwał się Sebastian - usilnie doradzam, byśmy wycofali stąd armię. - Zamilkł i skrzywił się z bólu. - Skoro potrafią zorganizować taką obronę, i to przy wszystkich naszych z darem i ich osłonie, możemy nie zdobyć wieży.

- Ale musimy! - ryknął Jagang.

Strateg zgiął się, odczekał, aż minie atak bólu.

- Ekscelencjo, jeżeli stracimy armię, lord Rahl zwycięży. Innej możliwości nie ma. Aydindril nie jest warte takiego ryzyka. - Nie przypominało to znanego dziewczynie Sebastiana, stratega Ładu. - Lepiej, żebyśmy się wycofali i podjęli walkę innego dnia, na naszych, nie ich warunkach. Czas jest naszym sprzymierzeńcem, nie ich.

Imperator z zimną, milczącą furią patrzył ku swojej narażonej na niebezpieczeństwo armii, rozważając radę Sebastiana. Nie wiadomo, ilu żołnierzy już zginęło.

- To sprawka lorda Rahla - wyszeptał w końcu Jagang. - Należy go zabić.
W imię Stwórcy, należy go zabić.
Jennsen wiedziała, że tylko ona może tego dokonać.

ROZDZIAŁ 51

Jennsen chodziła tam i z powrotem w ciemnym namiocie, a kosztowne dywany imperatora tłumiły odgłos jej kroków. W pobliżu wyjścia czuwała Siostra, żeby nikt nie wszedł i nie niepokoił władcy, przede wszystkim zaś, by nie wyrządził mu krzywdy. Liczny oddział straży, w tym Siostry, patrolował teren wokół namiotu. Siostra przy wejściu od czasu do czasu popatrywała na chodzącą tam i z powrotem Jennsen.

Dziewczyna nic innego nie mogła robić. Serce ścisnęło się jej z niepokoju o Sebastiana. Podczas długiej powrotnej jazdy do obozu stracił przytomność. Siostra Perdita mówiła, że grozi mu śmierć. Jennsen nie mogła znieść myśli, że go straci. Był wszystkim, co miała.

Imperator Jagang też był w ciężkim stanie po utracie takiej ilości krwi i trudach jazdy z resztkami doborowej kawalerii, ale za nic nie chciał opóźnić powrotu, nawet dla własnego dobra. Nigdy nie myślał o sobie, tylko o powrocie do armii. Obaj byli nareszcie bezpieczni w zaciszu namiotów imperatora; zajmowały się nimi Siostry. Jennsen chciała zostać przy Sebastianie, ale Siostry ją przepędziły.

Widok armii jeszcze pogorszył stan imperatora. Jagang był gotów zabić każdego, kto dałby po temu najmniejszy pretekst. Jennsen potrafiła zrozumieć szalejącą w nim burzę uczuć. Sieć światła zapłonęła w pobliżu centrum obozowiska. Nawet wiele godzin po tym wydarzeniu panowało tu ogromne zamieszanie.

Wiele jednostek się rozproszyło, gotując na ewentualną napaść. Podejrzewano, że inni zwyczajnie uciekli na wzgórze. W miejscu, gdzie zapłonęła sieć światła, znajdowało się jedynie zapadlisko poczerniałej ziemi. W chaosie, jaki zapanował, nikt nie potrafił określić, ilu żołnierzy poległo. Przy takiej liczbie zabitych i rozproszonych po okolicy raczej nie można było sprawdzić, ile jednostek zostało, a tym bardziej zliczyć poszczególnych żołnierzy. Nie było jednak wątpliwości, że straty są olbrzymie.

Jennsen słyszała pogłoski, że ponad pół miliona żołnierzy w mgnieniu oka zmieniło się w proch i pył, a może i dwukrotnie więcej. Liczba poległych mogła się w końcu okazać znacznie większa. Nie dająca się określić liczba wojowników odniosła poważne obrażenia: byli poparzeni lub oślepieni,

dotkliwie poranieni, stracili kończyny odcięte przez latające w powietrzu szczątki, zostali przygnieci ciężkimi wozami lub obozowym wyposażeniem. Byli i tacy, którzy stracili słuch lub rozum i mogli się tylko nieruchomo patrzeć przed siebie. Brakowało wojskowych chirurgów i Sióstr Światła, którzy mogliby choć zacząć nieść pomoc najskromniejszej liczbie poszkodowanych. W każdej z mijających godzin umierały od ran tysiące tych, którzy przeżyli rozbłysk.

Ów cios, choć dotkliwy, nie był zgubny dla ogromnego cielska armii Imperialnego Ładu. Obozowisko było olbrzymie i właśnie dlatego większość przeżyła. Według imperatora jedynie kwestią czasu było zastąpienie poległych nowymi żołnierzami, a wtedy się zemszczą na mieszkańcach Nowego Świata.

Jennsen zaczynała pojmować, dlaczego Sebastian tak nieugięcie twierdził, że cała magia powinna zostać wyeliminowana. Nie potrafiła dobrze myśleć o tych, którzy byli zdolni doprowadzić do takiej grozy. Miała nadzieję, że magia chociaż ocali mu życie.

Czekały ich ciężkie chwile, i to mimo przekonania Jaganga, że armia wnet odzyska potęgę. Większość zapasów została zniszczona, podobnie olbrzymie ilości wyposażenia i broni. Wszystkie namioty były w najlepszym razie przewracane. Noc była zimna i bardzo wielu żołnierzy znalazło się na łasce pogody. Na szczęście gwardziści zdołali postawić przyplaszczony namiot imperatora, więc on i Sebastian mieli bezpieczne schronienie.

Jennsen chodziła tam i z powrotem. Nie tylko się zamartwiała, ale i kipiała gniewem. Wątpiła, czy kiedykolwiek żył taki potwór jak Richard Rahl. Na pewno żaden człowiek nie sprowadził na świat takiej fali cierpienia. Nie potrafiła pojąć, jak ktoś może pałać aż taką żądzą władzy, by dla jej zaspokojenia zabijać aż tylu ludzi. Nie rozumiała, jak Richard Rahl mógłby być częścią Światła Stwórcy. To na pewno uczeń i zwolennik Opiekuna.

Łzy płynęły po policzkach trawionej lękami i niepokojem dziewczyny. Modliła się żarliwie do dobrych duchów, prosząc, żeby Sebastian nie umarł, żeby Siostry go uleczyły.

Zatrzymała się boleśnie zatroskana i oparła o stół, którego nie widziała, gdy ostatnio była w namiocie. Kiedy namiot się przewrócił i został pospiesznie postawiony, ów stół - zapewne pochodzący z prywatnych pomieszczeń imperatora - nie trafił na swoje miejsce. Stała na nim niewielka

podróżna biblioteczka.

Jennsen, szukając czegoś, dzięki czemu mogłaby choć trochę rozproszyć niepokój, z jakim czekała na wieści o Sebastianie, machinalnie przeglądała stare książki. Nie pojmowała ni słowa z tych na okładkach. Mimo to z jakiegoś powodu jedna z nich przyciągnęła jej uwagę: było coś w rytmie obcych słów. Wyjęła tę książkę i zwróciła ku światłu, starając się odczytać tytuł. Dotknęła palcami czterech połączonych wyrazów na okładce. Nie rozumiała ich, a przecież wydawały się znajome.

Zachłysnęła się ze zdumienia oddechem, kiedy pilnująca wejścia Siostra wyjęła jej książkę z rąk.

- Należą do imperatora Jaganga. Są nie tylko bardzo stare i bardzo kruche, ale i ogromnie cenne. Jego Ekscelencja nie lubi, jak ktoś dotyka jego książek.

Jennsen patrzyła, jak Siostra sprawdza, czy nie uszkodziła książki.

- Przepraszam. Nie chciałam zrobić nic złego.

- Jesteś bardzo szczególnym gościem i kazano nam spełniać twoje życzenia, ale to są najcenniejsze, najukochańsze książki Jego Ekscelencji. On bardzo dużo czyta. To człowiek wielkiej wiedzy. Kolekcjonuje książki. Jako gość powinnaś uszanować jego życzenie, by nikt prócz niego ich nie dotykał.

- Oczywiście. Nie wiedziałam. Przepraszam. - Jennsen przygryzła dolną wargę i obejrzała się na zasłonięte kotarą wejście w głąb namiotu: tam zajmowano się Sebastianem. Żeby już było coś wiadomo! Znów spojrzała na Siostrę. - Tylko byłam ciekawa, bo nigdy nie widziałam takich słów.

- Są w ojczystym języku imperatora.

- Naprawdę? - Wskazała książkę, którą Siostra odstawiała na miejsce. - A wiesz, co znaczą?

- Nie znam za dobrze tego języka, ale... przekonam się, czy zrozumiem. - Patrzyła jakiś czas zmrużonymi oczami na słabo oświetlony tom. Poruszała wargami, tłumacząc w myślach, i wreszcie wsunęła książkę na miejsce. - To znaczy *Filary Świata*.

- *Filary Świata*... A co możesz mi powiedzieć o tej książce?

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Jest w Starym Świecie miejsce, noszące taką nazwę. Przypuszczam, że o tym jest ta książka.

Zanim Jennsen zdążyła spytać o coś więcej, z głębi namiotu wynurzyła

się nagle Siostra Perdita. Świece rzucały ostre cienie na jej surową twarz.

Dziewczyna podbiegła do niej.

- Co z nimi? - wyszeptała natarczywie. - Obaj wyzdrowieją, prawda?

Siostra Perdita popatrzyła na tamtą, która dopiero co odstawiła książkę.

- Jesteś potrzebna innym, Siostrze. Idź udzielać im pomocy.

- Ale Jego Ekscelencja kazał mi pilnować...

- To Jego Ekscelencja potrzebuje pomocy. Uzdrawianie nie przebiega dobrze. Idź i pomóż Siostrze.

Kobieta, usłyszawszy to, skinęła głową i pospieszyła w głąb namiotu.

- Dlaczego uzdrawianie nie idzie dobrze? - zapytała Jennsen, kiedy tamta zniknęła za ciężką kotarą.

- Rozpoczęte i przerwane uzdrawianie, jak to się stało w przypadku imperatora, stwarza swoiste problemy, zwłaszcza że nie żyje Siostra, która je zaczęła. Każda osoba działa zgodnie ze swoimi talentami, więc późniejsze włączenie się i próby odgadnięcia, jak rozpoczęto leczenie, a tym bardziej próby wykorzystania tych początków, utrudniają uzdrawianie. - Uśmiechnęła się leciutko. - Jednak ufamy, że Jego Ekscelencja wydobrzeje. To tylko kwestia usilniejszych starań Sióstr Światła. Sądzę, że przez noc wykonają większość pracy. Rankiem sytuacja powinna już być opanowana i imperator będzie równie krzepki, jak zwykle.

Jennsen przełknęła ślinę.

- A co z Sebastianem?

Siostra Perdita mierzyła ją chłodnym, nieodgadnionym wzrokiem.

- Powiedziałabym, że to zależy od ciebie.

- Ode mnie? Co masz na myśli? Co mogę mieć wspólnego z uleczeniem go?

- Wszystko.

- Ale czego mogłybyście chcieć ode mnie? Tylko powiedzcie. Wszystko zrobię. Musicie go ocalić.

Siostra zacisnęła usta, splotła dłonie.

- Jego uzdrowienie zależy od twojego zobowiązania, że usuniesz Richarda Rahla.

Zbiło to Jennsen z tropu.

- Oczywiście, że chcę usunąć Richarda...

- Powiedziałam zobowiązania, a nie słowa. Trzeba mi więcej niż

zwyczajne słowo.

Dziewczyna wpatrywała się w nią przez chwilę.

- Nie rozumiem. Odbyłam długą i ciężką podróż, żeby się tu zjawić i prosić o pomoc Siostry Światła. Prosić je, żeby mi pomogły na tyle zbliżyć się do lorda Rahla, bym mogła zatopić mu nóż w sercu.

Siostra Perdita przywołała przerażający uśmiezek.

- Skoro to prawda, to Sebastian nie ma się o co martwić.

- Powiedz mi, proszę, Siostrze, czego chcesz.

- Śmierci Richarda Rahla.

- Więc mamy ten sam cel. I sądzę, że pragnę tego znacznie mocniej, niż ty kiedykolwiek pragnęłaś.

Siostra uniosła brew.

- Czyżby? Imperator powiedział, że Siostra, która próbowała go uleczyć w pałacu, została zabita ogniem czarodzieja.

- Istotnie.

- A widziałaś człowieka, który tego dokonał?

Jennsen pomyślała, że to dziwne, iż Siostra Perdita nie dopytuje się, jak to się stało, że i jej nie zabił ogień czarodzieja.

- To był starzec. Kościsty, z rozczochranymi falistymi siwymi włosami.

- Pierwszy Czarodziej Zeddicus Zu'l Zorander - syknęła jadowicie Perdita.

- A tak - powiedziała Jennsen - słyszałam, jak ktoś nazwał go czarodziejem Zoranderem. Nie znam go.

W oczach Siostry zapłonął gniew.

- Czarodziej Zorander jest dziadkiem Richarda Rahla.

Jennsen aż otworzyła usta.

- Nie wiedziałam.

- Czyli był tu czarodziej, który wyrządził nam takie szkody, który omal nie zgładził imperatora Jaganga, a ty go nie zabiłaś, chociaż opowiadasz o swoim stanowczym postanowieniu.

Dziewczyna wyciągnęła rękę gestem pełnym zdenerwowania.

- Ale... ale starałam się, naprawdę. Uciekł. Tyle się działo...

- A myślisz, że łatwiej będzie zabić Richarda Rahla? Słowa łatwo rzucać. Kiedy zaś przyszło co do czego, nawet nie potrafiłaś sobie dać rady z jego trzęsącym się starym dziadkiem!

Jennsen z ogromnym wysiłkiem powstrzymała łzy. To była walka. Czuła się głupio i wstydziła się.

- Ale ja...

- Zjawiał się tu po pomoc Sióstr. Mówiał, że chcesz zabić Richarda Rahla.

- Bo chcę. Ale co to ma wspólnego z Sebastianem...?

Siostra Perdita uniosła palec i nakazała jej milczenie.

- Sebastianowi zagraża śmierć. Bardzo potężna czarodziejka zraniła go groźną formą magii. Odłamki tej magii nadal w nim tkwią. I wkrótce go zabiją, jeżeli się je pozostawi.

- Musicie więc szybko...

Jennsen umilkła, dostrzegłszy rozwścieczoną minę Siostry.

- Ta magia jest niebezpieczna również dla nas, które próbujemy go uleczyć. Próby usunięcia owych odłamków narażają tak nasze życie, jak i jego. Skoro mamy zaryzykować życie Sióstr, chcę w zamian przysięgi, że zabijesz Richarda Rahla.

- Jak możesz uzależniać życie człowieka od jakiegoś warunku!

Siostra Perdita spojrzała na nią ze wzdrganiem.

- Aby uzdrowić tego jednego człowieka, poświęcając na to odpowiednią ilość czasu i liczbę Sióstr, będziemy musiały pozwolić umrzeć wielu innym. Jak śmiesz nas o to prosić? Jak śmiesz prosić, żebyśmy wydały innych śmierci, by twój kochanek mógł żyć?

Dziewczyna nie potrafiła odpowiedzieć na tak straszliwe pytanie.

- Jeżeli mamy to zrobić, to w zamian za coś, co byłoby warte więcej niż żywoty utracone z braku naszej pomocy. Zajęcie się tym jednym człowiekiem musi się opłacić. Nie oczekiwałabyś tego? Nie chciałabyś tego samego? W zamian za to, że ocalimy tego tak drogiego ci człowieka...

- Dla was też jest cenny! Dla Imperialnego Ładu! Dla waszej sprawy! Waszego imperatora!

Siostra Perdita czekała, aż Jennsen wreszcie umilknie. Kiedy w końcu ochłonęła i spuściła oczy, Siostra podjęła:

- Wartość jednostki zależy wyłącznie od tego, co może dać innym. Jedynie ty możesz mu zapewnić ową wartość. Za ocalenie tego tak drogiego ci człowieka muszę dostać bezwarunkowe zobowiązanie, że raz na zawsze powstrzymasz Richarda Rahla. Osobistą przysięgę, że go zabijesz.

- Nawet nie masz pojęcia, Siostrze Perdito, jak bardzo chcę zabić Richarda Rahla. - Jennsen zacisnęła pięści. - Rozkazał zabić moją mamę. Umarła w moich ramionach. Przez niego omal nie zginął imperator Jagang. Richard odpowiada za rany Sebastiana! Za niewyobrażalne cierpienia! Za nieprzeliczone zabójstwa! Chcę śmierci Richarda Rahla!

- To pozwól nam uwolnić głos.

Jennsen, wstrząśnięta, aż się cofnęła.

- Co?

- Grushdeva.

Dziewczyna szeroko otworzyła oczy.

- Gdzieś to usłyszała?

Na twarz Siostry Perdity wypłynął uśmiešek zadowolenia.

- Od ciebie, skarbie.

- Ja nigdy...

- Na kolacji u Jego Eksceleńcji. Zapytał, czemu chcesz zabić brata, jakie są tego przyczyny i cel. A ty odparłaś „Grushdeva”.

- Nigdy czegoś takiego nie powiedziałam.

Tamta patrzyła na nią z wyższością.

- Ależ powiedziałaś. Czyżbyś mnie chciała okłamać? Zaprzeczyc, że to słowo zostało wyszeptane w twoim umyśle? - Jennsen milczała, więc Siostra Perdita podjęła: - Wiesz, co to oznacza? Wiesz, co znaczy „Grushdeva”?

- Nie - odparła cicho dziewczyna.

- Pomsta.

- Skąd wiesz?

- Znam ten język.

Jennsen stała nieruchomo, schowała głowę w ramiona.

- I co konkretnie proponujesz?

- Jak to co? Życie Sebastiana.

- Ale co jeszcze?

Siostra wzruszyła ramionami.

- Niektóre z nas zaprowadzą cię w spokojne miejsce, gdzie będziemy mogły być same, inne zaś tu zostaną i ocalą życie Sebastiana, jak tego pragniesz. Rankiem będzie się lepiej czuć, a potem wyruszyicie oboje zabić Richarda Rahla. Przybyłaś po naszą pomoc. Oferuję ci ją. Dzięki temu, co dla ciebie zrobimy, będziesz mogła wykonać swoje zadanie.

Jennsen przełknęła ślinę. Głos był dziwnie milczący. Ani słówka. Jakie to okropne, że milczał właśnie teraz.

- Sebastian umiera. Jeszcze chwila, a będzie za późno na ocalenie. Tak czy nie, Jennsen Rahl?

- No, ale jeżeli...

- Tak czy nie! Czas ci się skończył. Jeżeli chcesz zabić Richarda Rahlę, jeżeli chcesz ocalić Sebastiana, wymów to jedyne słowo. Wymów je teraz lub już zawsze żałuj, żeś tego nie uczyniła.

ROZDZIAŁ 52

Uwiązały konie i Jennsen pogłaskała czoło Rusty. Drżącymi palcami drugiej dłoni gładziła szyję klaczy, przytulając twarz do jej chrapów.

- Bądź grzeczna, dopóki nie wrócę - wyszeptała.

Rusty cichym rzeniem odpowiedziała na łagodne słowa. Jennsen lubiła sobie wyobrazać, że koń rozumie jej słowa. Jej koza Betty zawsze przykrzywiła łeb i przestawała machać ogonkiem, kiedy Jennsen się jej zwierzała z najtajniejszych obaw, i dziewczyna twardo wierzyła, że kudłata czworonożna przyjaciółka wszystko rozumie.

Spojrzała w górę, na szponiaste gałęzie chwiejące się w przyćmionej poświacie księżycowej pełni, przysłoniętej białawą zasłoną delikatnych chmur, które płynęły po niebie, jakby się zbierały, by w milczeniu wszystko obserwować.

- Idziesz?

- Tak, Siostrze Perdito.

- No to się pośpiesz. Inne czekają.

Jennsen ruszyła za nią w górę stoku. Porośniętą mchem ziemię zaścielały suche, skórzaste liście dębu i warstwa drobnych gałązek. Korzenie, sterczące tu i ówdzie z suchego piachu, ułatwiały wspinaczkę na stromiznę. Na górze było płasko. Odziana w ciemnoszarą suknię Siostra Perdita niemal zniknęła, kiedy weszła w gęste chaszczce. Jennsen zauważyła, że jak na taką barczystą kobietę porusza się z zadziwiającym wdziękiem.

Głos milczał. W takich pełnych napięcia chwilach jak ta zawsze do niej szeptał. A teraz milczał. Jennsen zawsze chciała, żeby głos dał jej spokój. A teraz pojęła, jaka przerażająca to może być cisza. Księżyc w pełni, lekko tylko przesłonięty, dobrze oświetlał im drogę. Dziewczyna, widząc mgiełkę swojego oddechu, szła za Siostrą w głąb lasu, pomiędzy rozłożystymi gałęziami świerków i balsamicznych jodeł. Zawsze czuła się w lesie jak w domu, ale nie tym razem, nie idąc za Siostrą.

Wolałaby być sama, a nie z tą surową kobietą. Jak tylko Jennsen wypowiedziała jedyne słowo mogące uratować życie Sebastiana, Siostra Perdita przyjęła postawę wyniosłej wyższości pozbawionej wszelkiej tolerancji. Teraz wyłącznie ona decydowała i była pewna, że dziewczyna o

tym wie.

Przynajmniej dotrzymała słowa. Jak tylko Jennsen przyrzekła, Siostra Perdita skierowała Siostry do ratowania życia Sebastiana. Inne zaś wysłała, żeby przygotowały, co trzeba. Pozwoliła Jennsen zajrzeć do Sebastiana i przekonać się, że robi się wszystko, by go uratować.

Dziewczyna, zanim odeszła, lekko ucałowała jego piękne usta, czule pogładziła krótkie, sterczące białe włosy i musnęła wargami zamknięte, błękitne jak niebo oczy. Pomodliła się szeptem do mamy, będącej z dobrymi duchami, żeby nad nim czuwała.

Siostra Perdita nie powstrzymywała jej, nie popędzała, a dopiero pod koniec odciągnęła i wyszeptała, że trzeba pozwolić działać Siostrom stłoczonym wokół Sebastiana.

Kiedy już szły ku wyjściu, pozwoliła dziewczynie zajrzeć do prywatnej sypialni imperatora. Cztery Siostry pochylały się nisko nad jego poranioną nogą. Jagang był nieprzytomny. Cztery gorączkowo pracujące nad nim Siostry najwyraźniej cierpiały; niekiedy w udęce przyciskały dłonie do głowy. Dopiero teraz - po wyjaśnieniach Siostry Perdity i ujrzeniu tych czterech Sióstr - Jennsen pojęła, jak trudne i uciążliwe może być uzdrawianie. Siostry obawiały się jednak nie o życie imperatora, lecz Sebastiana.

Wchodząc za Siostrą głębiej w posępny las, Jennsen odgarniała na bok gałęzie balsamicznych jodeł.

- Dlaczego trzeba być aż tak daleko od obozu? - zapytała, bo zdawało jej się, że jazda trwała całe godziny.

Siostra Perdita obejrzała się - związane w ogon włosy opadły w przód - jakby usłyszała wyjątkowo idiotyczne pytanie.

- Żebyśmy mogły w samotności zrobić to, co musi zostać zrobione.

Jennsen chciała zapytać, co musi zostać zrobione, ale wiedziała, że Siostra nie powie. Kobieta wszelkie pytania zbywała ogólnikami. Mówiła, że Jennsen dała słowo i ma obowiązek dopełnić swojej części umowy, że musi robić, co się jej każe, dopóki się to nie skończy.

Dziewczyna starała się nie zastanawiać, co to będzie. Wolała myśleć o tym, że rankiem odjedzie ze zdrowym Sebastianem, że wróci na szlak, w teren, że znajdzie się daleko od ludzi. Od ponurych i groźnych żołnierzy Imperialnego Ładu.

Wiedziała, że ci żołnierze wykonują dobrą robotę, walcząc przeciwko lordowi Rahlowi, ale nic nie mogła poradzić na to, że skóra jej cierpła na ich widok. Czowała się lękliwa jak łania obserwowana przez watahę śliniących się wilków. Sebastian nic z tego nie rozumiał, ilekroć próbowała mu to wytłumaczyć. Był mężczyzną, więc pewnie nie pojmował, jak to jest, kiedy na ciebie pożądliwie patrzą. Jak mogłaby mu wyjaśnić, że spojrzenia takich typów jak ci, typów z takimi lubieżnymi uśmiezkami i bezlitosnymi oczami, były szczególnie przerażające?

Jeżeli zrobi, jak każe Siostra Perdita, to rankiem odjadą stąd z Sebastianem. Siostry zapewniły ją, że po tym, co zamierzają, łatwiej jej będzie zabić Richarda Rahla. Teraz zaś Jennsen obchodziło wyłącznie to. Jeśli się jej w końcu uda zgładzić lorda Rahla, będzie wolna. Jej życie będzie należało wyłącznie do niej. A jeżeli nawet ona sama nic na tym nie zyska, to przynajmniej ocali resztę świata od straszliwej rzezi.

Zostawiły konie pośród drzew, głównie dębów. Drzewa nie miały jeszcze liści, więc początkowo las był dość przejrzysty, stopniowo jednak wchodziły w gąszcz balsamicznych jodeł, świerków i limb i niekiedy gałęzie zaczynały się tuż przy ziemi. Choć niebotyczne limby nie miały nisko gałęzi, ich rozłożyste korony przesłaniały słaby blask księżyca. Jennsen szła za Siostrą, obserwując, jak ta coraz głębiej sunie w milczący mroczny las.

Dziewczyna większość życia spędziła w lasach. Potrafiła iść tropem zostawionym przez pręgowca. Siostra Perdita szła równie pewnie jak drogą, a przecież Jennsen nie dostrzegła żadnego szlaku. Ziemię pokrywała typowa leśna wyściółka - nikt po niej nie przechodził. Widziała nie połamane gałązki, nietknięte suche liście, nie podeptane delikatne mchy. Wyglądało na to, że idą przez dziewiczy las, pozornie bez celu i kierunku, chociaż z zachowania Siostry Perdity wynikało, że je zna.

Wtem Jennsen usłyszała cichy dźwięk niosący się gęstym lasem. Przed sobą dostrzegła podświetlone od spodu gałęzie. Chłodne powietrze było jakieś dziwne, czuło się w nim słaby zapaszek zgnilizny z mdlącą, słodkawą nutą.

Szła za Siostrą przez gąszcz wiecznie zielonych drzew. Zaczęła słyszeć głosy złączone w cichym, rytmicznym, gardłowym zaśpiewie. Nie rozumiała słów, lecz budziły echa głęboko w jej piersi i - ponieważ ich niezwykła kadencja była niepokojąco znajoma - w umyśle. Nie rozróżniała

poszczególnych słów, ale miała wrażenie, że to one przesycają powietrze owym odorem. Słowa - osobliwe, lecz niesamowicie znajome - przyprawiały ją o mdłości.

Siostra Perdita przystanęła, obejrzała się i upewniła, że jej podopieczna się nie ociąga. Jennsen widziała, jak lśni w słabej księżycowej poświacie kółko w dolnej wardze Siostry. Wszystkie Siostry takie nosiły. Dziewczyna uważała, że to odrażający zwyczaj, choć podobno był oznaką lojalności.

Siostra Perdita odsunęła przed Jennsen gałąź balsamicznej jodły. Chór głosów sprawiał, że dziewczynie waliło serce. Widziała przed sobą polanę pod otwartym niebem, na którym wisiał księżyc w pełni. Zerknęła na surową minę Siostry i poszła ku skrajowi polany. Zobaczyła szeroki krąg świec. Były umieszczone jedna obok drugiej, przez co przypominało to pierścień ognia, mający chronić przed demonami. Tuż za świecami usypano na gołej ziemi krąg z białego piasku połyskującego w księżycowej poświacie. A tuż za nim tym samym dziwnym białym piaskiem nakreślono nie znane Jennsen symbole.

Wewnątrz kręgu migotliwego piasku siedziało kołem siedem kobiet. Jedno puste miejsce jakby na kogoś czekało - pewnie na Siostrę Perdite. Kobiety miały zamknięte oczy i śpiewały w dziwnym języku. Wymawiały zgrzytliwe, gardłowe słowa, a kółka w ich dolnych wargach lśniły w księżycowej poświacie.

- Masz usiąść pośrodku koliska - rzekła cicho Siostra Perdita. - Zostaw tu odzienie.

- Co? - Jennsen napotkała jej twarde wzrok.

- Zdejmij odzienie i usiądź pośrodku koła twarzą do luki.

Polecenie wydano z tak chłodną władczością, iż Jennsen pojęła, że musi usłuchać. Siostra wzięła jej pelerynę i czekała w milczeniu. Suknia zsunęła się na ziemię i dziewczyna objęła się ramionami pokrytymi gęsią skórką. Szczękała zębami, i to nie tylko z zimna. Dostrzegłszy gniewny wzrok milczącej Siostry, wzdrygnęła się z odrazą i pospiesznie zdjęła resztę rzeczy.

- Idź. - Siostra Perdita dźgnęła ją palcem.

- Co ja robię? - Własny głos wydał się Jennsen zadziwiająco silny.

Siostra Perdita przez chwilę zastanawiała się nad pytaniem, aż w końcu odparła:

- Zamierzasz zabić Richarda Rahla. Żeby ci pomóc, rozrywamy zasłonę

zaświatów.

Jennsen pokręciła głową.

- Nie. Nie. Nie robię niczego takiego.

- Każdy to robi. Kiedy umierasz, przekraczasz zasłonę. Śmierć jest częścią życia. Będziesz potrzebowała pomocy, żeby zabić lorda Rahla. A my dajemy ci tę pomoc.

- Ale zaświaty to świat śmierci. Ja nie mogę...

- Możesz i zrobisz to. Już dałaś słowo. Iluż jeszcze wymorduje lord Rahl, jeżeli tego nie zrobisz? Uczynisz to albo będziesz miała na rękach krew każdej z tych ofiar. Odmawiając, skazujesz na śmierć niezliczonych ludzi. Ty, Jennsen Rahl, pomożesz swojemu bratu. Ty, Jennsen Rahl, szeroko odemkniesz drzwi przed śmiercią i pozwolisz, żeby ci wszyscy ludzie umarli. Ty, Jennsen Rahl, będziesz stronnictwem Opiekuna. Prosimy cię, byś miała odwagę to odrzucić i zesłać śmierć na Richarda Rahla.

Jennsen, drżąca i zapłakana, rozmyślała nad straszliwym apelem Siostry Perdity, nad własnym straszliwym wyborem. Modliła się do mamy, pytając, co ma robić, ale nie otrzymała żadnego znaku. Nawet głos milczał.

Weszła w krąg świateł.

Musiała to zrobić. Musiała zakończyć panowanie Richarda Rahla.

Na szczęście pośrodku kręgu było ciemno. Czuła się zażenowana, stając nago przed obcymi, choćby to były kobiety. Jednak w tej chwili była to jej najmniejsza troska.

Kiedy szła przez krąg przeraźliwie zimnego połyskliwego białego piasku, miała wrażenie, że wkracza w okowy zimy. Drżała i dygotała, obejmowała się ramionami, dążąc ku centrum koliska kobiet.

Pośrodku migotał w księżycowej poświacie Grace, usypany z tego samego białego piasku. Jennsen stała i wpatrywała się w niego - w symbol, który sama tyle razy rysowała, choć jej dłoni nie prowadził dar.

- Usiądź - rzekła Siostra Perdita.

Dziewczyna drgnęła, gwałtownie wciągnęła oddech. Tamta stała tuż za nią. Przycisnęła barki dziewczyny i ta osunęła się na ziemię. Siadła, krzyżując nogi pośrodku ośmioramiennej gwiazdy, znajdującej się w centrum Grace. Dopiero teraz zauważyła, że każda z Sióstr siedzi na przedłużeniu linii wychodzącej z każdego promienia gwiazdy, wyjąwszy ten bezpośrednio przed nią. To miejsce było puste.

Jennsen siedziała naga i drżąca pośrodku kręgu, a Siostry Światła podjęły cichy śpiew.

Lasy były mroczne i posepne, drzewa bezlistne. Gałęzie uderzały o siebie na wietrze jak kości umarłego, którego - ku lękowi Jennsen - Siostry chyba przywoływały.

Zaśpiew nagle umilkł. A Siostra Perdita, zamiast usiąść na wolnym miejscu, jak dziewczyna się spodziewała, stała za nią i wymawiała w dziwnym języku krótkie, ostre słowa.

W owej długiej, śpiewnej przemowie Siostra Perdita miejscami mocniej akcentowała słowo „Grushdeva” i wyrzucała w przód ramię ponad głowę Jennsen, sypiąc pył. Pył wybuchał z ogłuszającym sykiem - dziewczyna za każdym razem podskakiwała - na krótko oświetlając Siostry jaskrawym blaskiem.

Kiedy ogień się wznosił, siedem Sióstr mówiło jednym głosem:

- Tu vash misht. Tu vask misht. Grushdeva du kalt misht.

Znała te słowa. I uświadomiła sobie, że głos w jej głowie powtarza je wraz z Siostrami. Powrót głosu i przerażał, i dodawał otuchy. Kiedy głos osobliwie zamilkł, czuła lęk przekraczający granice jej wytrzymałości.

- Tu vash misht. Tu vask misht. Grushdeva du kalt misht.

Zaśpiew ukołysał i uspokoił Jennsen. Rozmyślała o tym, co ją tu przywiodło, o przerażeniu wypełniającym jej życie, odkąd kiedy jako sześćoletnie dziecko uciekła z mamą z Pałacu Ludu, o tych wszystkich sytuacjach, kiedy lord Rahl był tuż-tuż i musiały uciekać, żeby ratować życie, o tej straszliwej deszczowej nocy, kiedy ludzie lorda Rahla byli w ich chacie. Myślała o leżącej na podłodze umierającej mamie i czuła, jak łzy spływają jej po twarzy. Płakała, myśląc o dzielnie walczącym Sebastianie. O ostatnich słowach mamy i o tym, że musiała uciekać i zostawić ją na zakrwawionej podłodze. Łkała z przeraźliwego żalu.

- Tu vash misht. Tu vask misht. Grushdeva du kalt misht.

Jennsen szlochała rozdzierająco. Tęskniła za mamą. Bała się o Sebastiana. Czuła się tak straszliwie samotna. Widziała śmierć tylu ludzi. Chciała, żeby to się skończyło. Chciała, żeby dobiegło kresu.

- Tu vash misht. Tu vask misht. Grushdeva du kalt misht.

Podniosła załzawione oczy. Coś ciemnego siedziało przed nią na przed chwilą pustym jeszcze miejscu. Oczy stwora lśniły jak światło świec.

Wpatrywała się w te oczy, jakby patrzyła w sam głos.

- Tu vash misht, Jennsen. Tu vask misht, Jennsen - mówił niskim, chrapliwym tonem głos w jej głowie i przed nią. - Otwórz się na mnie, Jennsen. Otwórz się dla mnie, Jennsen.

Nie mogła się poruszyć, przyszpilona płonącym, gniewnym spojrzeniem tych oczu. To był głos, tyle że nie w jej głowie. Głos był przed nią.

Stojąca za nią Siostra Perdita znów sypnęła pyłem i kiedy tym razem zapłonął, oświetlił postać z płonącymi oczami.

To była jej mama.

- Jennsen - zagruchała mama. - Surangie.

- Co? - chlipnęła wstrząśnięta dziewczyna.

- Poddaj się.

Załkała niepohamowanie.

- Mamo! Och, mam!

Zaczęła się podnosić, chciała się rzucić ku mamie, ale Siostra Perdita oparła jej dłonie na barkach i zatrzymała.

Kiedy rozedrgane płomienie uniosły się i rozwiały, kiedy światło zgasło, mama zniknęła w ciemności, a przed Jennsen znów siedział stwór z oczami jak płonące świece.

- Grushdeva du kalt misht - rzekł chrapliwie głos.

- Co? - załkała Jennsen.

- Pomsta to ja - przetłumaczył chrapliwie głos. - Surangie, Jennsen. Poddaj mi się, a pomsta będzie twoja.

- Tak! - zaszlochała Jennsen w nieukojojonej udręce. - Tak!

- Oddaj się pomście!

Stwór szeroko się uśmiechnął - jakby otworzyły się wrota do zaświatów.

Rozkołysany cień podniósł się i nachylił ku niej. Blask księżyca lśnił na węzłach muskułów, a cień się wydłużał, szedł ku niej niemal po kociemu, uśmiechnięty, ukazując przerażające kły.

Jennsen nie miała pojęcia, co robić. Wiedziała tylko jedno - miała już wszystkiego dość i chciała, żeby się to skończyło. Już dłużej tego nie zniesie. Chciała zabić Richarda Rahla. Pragnęła pomsty. Chciała, żeby mama wróciła.

Stwór był tuż przed nią - iskrząca się moc i kształt, które były tu i zarazem ich nie było, częściowo na tym świecie, częściowo w innym.

I wtedy Jennsen zobaczyła za stworem, za kręgiem Sióstr, lśniącego

białego piasku i świec, jakieś wielkie postaci - w mroku tkwiły czworonogie istoty. Były ich setki, ich oczy połyskiwały złościście w ciemności, z pysków unosiła się para oddechu. Wyglądały, jakby przyszły z innego świata i teraz były tutaj.

- Jennsen - wyszeptał pochylający się nad nią głos. - Jennsen - zagruchał. - Jennsen. - Uśmiech miał mroczny jak oczy imperatora Jaganga, mroczny jak bezksiężycowa noc.

- Co...? - szepnęła przez łzy. - Co to za stworzy?

- No jakżeż, to psy pomsty - wyszeptał zmysłowo głos. - Obejmij mnie, a wypuszczę je.

Szeroko otworzyła oczy.

- Co takiego?

- Poddaj mi się, Jennsen. Obejmij mnie, a wypuszczę psy w twoim imieniu.

Patrząc nań nieruchomo, cofnęła się. Ledwo oddychała. Z gardzieli nachylającego się nad nią stwora wydobywał się niski dźwięk przypominający pomruk. Istota patrzyła jej w oczy.

Jennsen starała się myśleć o tym drobnym słowie, o tym ważnym, krótkim słowie. Miała je w pamięci, ale nie mogła sobie przypomnieć, kiedy patrzyła w te jarzące się oczy. Jej umysł zastygł. Chciała tego słowa, ale go nie było.

- Grushdeva du kalt misht - gruchał głos gardłowo, chrapliwie. - Pomsta to ja.

- Pomsta - szepnęła głucho Jennsen.

- Otwórz się na mnie, otwórz się dla mnie. Poddaj się. Pomścij matkę.

Stwór przesunął nad jej twarzą długi palec - mogła wyczuć, gdzie jest Richard Rahl, jakby czuła więź, dzięki której inni wiedzieli, gdzie on jest. Na południu. Daleko na południu. Teraz go odnajdzie.

- Obejmij mnie - tchnął głos tuż nad jej twarzą.

Jennsen leżała na plecach. Zaskoczyło ją to i zaniepokoiło. Nie przypominała sobie, by się kładła. Miała wrażenie, że obserwuje kogoś, kto to robi. Uświadomiła sobie, że będący głosem stwór klęczy między jej rozchylonymi nogami.

- Podporządkuj mi swoją wolę, Jennsen. Oddaj mi swoje ciało - kusząco gruchał głos - a wypuszczę dla ciebie psy. Pomogę ci zabić Richarda Rahla.

Słowo zniknęło. Stracone. Jak ona... stracone.

- Ja... ja... - wykrztusiła, a łzy płynęły z jej szeroko otwartych oczu.

- Obejmij mnie, a pomsta będzie twoja. A zabijesz Richarda Rahla. Obejmij mnie. Oddaj mi swoje ciało, a z nim podporządkuj swą wolę.

Była Jennsen Rahl. To było jej życie.

- Nie.

Siedzące kręgiem Siostry zaskomlały z nagłego bólu. Zasłoniły uszy rękami, łkając w udęce, wyjąc niczym wilki.

Patrzyły na nią płonące jak świece oczy. Uśmiech powrócił, tym razem spomiędzy kłów z sykiem unosiła się para.

- Poddaj się, Jennsen - zagrzmiął głos tak rozkazująco, że aż się wystraszyła, iż ją zmiażdży. - Oddaj mi swoje ciało. Podporządkuj swoją wolę. A wtedy pomsta będzie twoja. Dostaniesz Richarda Rahla,

- Nie - powiedziała, cofając się, bo stwór znalazł się przy jej twarzy. Wbiła palce w ziemię. - Nie! Oddam ci swoje ciało, podporządkuję wolę, skoro taka jest cena, skoro muszę to zrobić, żeby uwolnić świat istot żywych od tego krwiożerczego sukinsyna Richarda Rahla, ale poddam się dopiero wtedy, kiedy mi to dasz.

- Targi? - syknął głos, a jego oczy zapłonęły czerwienią. - Chcesz się ze mną targować?

- Taka jest moja cena. Spuść ze smyczy swoje psy. Pomóż mi zabić Richarda Rahla. Poddam się dopiero wtedy, kiedy pomsta będzie moja.

Stwór wyszczerzył zęby w uśmiechu jak z koszmaru. Wysunął długi, cienki czerwony jęzor i liznął ją - w straszliwym, intymnym przyrzeczeniu - od obnażonego krocza aż po piersi. Wstrząsnęło to Jennsen do głębi duszy.

- Dobiliśmy targu, Jennsen Rahl.

ROZDZIAŁ 53

Friedrich szedł skrajem niewielkiego jeziora pomiędzy sporymi kępami traw i starał się nie myśleć o tym, jaki jest głodny. Ale tak burczało mu w brzuchu, że niezbyt mu się to udawało. Ryby byłyby miłą odmianą, ale trzeba by je ugotować, no i najpierw jakąś złapać. Spojrzał na linię wody. Żabie udka też byłyby niezłe. Ale najszybciej będzie zjeść suszone mięso. Żałował, że nie wyciągnął z plecaka paczki twardych sucharów, gdy się ostatni raz zatrzymał na odpoczynek. Przynajmniej miałby teraz co pogryzać.

Miejscami skraj jeziora, niczym zielona skóra, zaścielały krótsze trawy. Gdzie indziej były połacie wysokich trzcin. Słońce zachodziło za niskie wzgórza poza wodą i zaczęło się ściemniać wśród potężnych, powykrzywianych ze starości drzew rosnących po drugiej stronie ścieżki. Powietrze było zupełnie nieruchome, gładką jak lustro taflę wody pozłacał złocisty blask zachodu.

Friedrich przystanął, przeciągnął się i zerknął w mrok pomiędzy drzewami. Musiał dać odpocząć zmęczonym nogom. Zastanawiał się, czy ma się zatrzymać na noc i zbudować szałas, czy może tylko wyciągnąć te suchary. Pomiedzy drzewami, obwieszonymi długimi, cienkimi festonami mchów, widział ciemne jęzory stojącej wody.

Pagórkowatym terenem szło się dość łatwo, jeśli tylko ścieżka omijała niżej położone miejsca. W zagłębieniach bywało błotniście i trudniej się wtedy maszerowało. Nie lubił bagnistych miejsc - przywoływały bolesne wspomnienia.

Przepędził chmurkę komarów latających mu wokół twarzy i poprawił rzemienie plecaka, zastanawiając się, co robić - rozbić obóz czy iść dalej. Chociaż był zmęczony i obolały po całym dniu zmudnej wędrówki, cała ta podróż bardzo go wzmocniła i lepiej wytrzymywał trudy nowego życia, a przynajmniej o wiele lepiej niż na początku.

Po drodze często rozmawiał w myślach z Altheą. Opisywał jej to, co widział - teren, roślinność i niebo - mając nadzieję, że go słyszy na tamtym świecie i obdarza swoim słonecznym, złotym uśmiechem.

Dzień miał się ku końcowi i Friedrich musiał się na coś zdecydować. Nie chciał iść, gdy za bardzo się ściemni. Księżyc był w nowiu, więc wiedział, że

kiedy zniknie poświata zmroku, ciemność będzie niemal całkowita. Chmur nie było, zatem chociaż światło gwiazd rozproszy tę tłamszącą całkowitą czerń, której najbardziej nie znośli i w której - co najgorsze - nie można było rozróżnić, gdzie góra, a gdzie dół.

Ale nawet pod gwiazdami ciężko było maszerować przez nieznane tereny. W ciemności łatwo zboczyć ze ścieżki i się zgubić. A to by oznaczało, że rankiem musiałby się wycofać po własnych śladach i znaleźć szlak, albo odszukać drogę tam, gdzie jej nie ma - i w końcu tylko straciłby czas.

Rozsądniej byłoby rozbić obóz. Było ciepło, więc właściwie mógłby się obejść bez ogniska, choć z jakiegoś powodu uważał, że by mu się przydało. Jednak ogień mógłby zwrócić czyjąś uwagę. Nie miał się jak przekonać, kto jest w pobliżu, a ognisko byłoby widoczne z wielu mil. Lepiej zatem nie rozpalać ognia, chociaż dodaje otuchy. Bez ogniska będzie bezpieczniej. Będzie miał gwiazdy nad głową.

Rozważał też możliwość, że szlak mógłby go wkrótce wyprowadzić z błotnistych nizin i pewnie znalazłby wtedy lepsze miejsce na obóz - miejsce, w którym by się roilo od węży.

Węże, szukając ciepła, starały się trzymać blisko śpiącej na ziemi osoby. Nie chciałby się obudzić z wężem zwiniętym i przytulonym do niego pod kocem. Podciągnął wyżej plecak. Wystarczy światła, żeby przejść jeszcze kawałek.

Zanim ruszył z miejsca, usłyszał jakiś dźwięk. Choć był cichy, miał w sobie coś, co kazało się Friedrichowi odwrócić i spojrzeć ku północy, w kierunku, z którego nadszedł. Jakoś nie potrafił tego dźwięku do niczego dopasować - ni do żaby, ni do wiewiórki, ni do ptaka. Nasłuchiwał, ale znów zrobiło się zupełnie cicho.

- Robię się za stary na takie rzeczy - mruknął do siebie i ruszył w drogę.

Jeszcze jeden powód pchał go w drogę - ten najważniejszy - i dlatego nie chciałby się zatrzymywać, skoro był tak blisko. Mogło to, rzecz jasna, wymagać ciągle kilku dni marszu, nie potrafił tego dokładnie określić, ale mógł też być o wiele bliżej. A w takim przypadku zatrzymywanie się na noc byłoby głupotą. Liczyła się każda chwila.

Mógł jeszcze trochę pomaszerować. I tak, jeśli będzie musiał, zdąży rozbić obóz, zanim za bardzo się ściemni. Uważał, że powinien iść, dopóki będzie widział szlak, a potem się przespaci w trawie nad jeziorem. Ale wcale

nie uśmiechało mu się spanie pod gołym niebem tuż obok szlaku, skoro był tak daleko w Starym Świecie i wiedział, że mogą tu krążyć nocne patrole. Ostatnio widywał więcej patrolujących oddziałów Ładu.

Unikał miast i miasteczek, starał się trzymać bezpośredniego kursu przez Stary Świat. Parę razy musiał zmieniać marszrutę, bo cel się przemieścił. Dokładał starań, żeby omijać wojska. Bliskość żołnierzy Ładu oznaczała, że zawsze mogą go zatrzymać i przepytąć. Choć nie był tak wolny od podejrzeń jak miejscowy rolnik, wiedział, że podróżujący samotnie starszy pan nie wydaje się groźny młodym, wielkim żołnierzom i nie wzbudza ich niepokoju.

Ale ze strzępków zasłyszanych rozmów wiedział, że Imperialny Ład bez skrupułów torturuje ludzi, kiedy ma taką fantazję. Tortury miały tę zaletę, że zawsze uzyskiwało się przyznanie do winy, co dowodziło słuszności podejrzeń oprawcy, no i w razie potrzeby mogło dostarczyć nazwisk dalszych „nieprawomyślnych” konspiratorów. Tak słyszał Friedrich. Okrutnemu oprawcy nigdy nie brakowało winowajców zasługujących na karę.

Usłyszał coś jak kłapanie zębami. Odwrócił się i stanął nieruchomo, nasłuchując i obserwując. Niebo i jezioro były fiołkowe. Gałęzie drzew trwały nieruchomo i cicho, wystawały nad ścieżkę niczym szpony gotowe chwycić podróżnych, jak tylko się dostatecznie ściemni.

W lasach było zapewne mnóstwo stworzeń, które się właśnie budziły, żeby polować nocą. Sowy, norniki, oposy, szopy pracze i inne stworzenia ożywiały się po zapadnięciu mroku. Czekał, zastanawiając się, czy znów usłyszy ów dźwięk. W cichym zmierzchu nic się nie poruszało.

Pospiesznie ruszył szlakiem. To pewnie jakieś stworzenie szukające żeru w ściółce. Większy wysiłek sprawił, że szybciej oddychał. Poruszał językiem, żeby zwiększyć ilość śliny i zwilżyć usta, ale niewiele to dało. Chciało mu się pić, ale wolał się nie zatrzymywać.

Wiedział, że to tylko wyobraźnia. Był w obcym kraju, w obcym lesie i robiło się coraz ciemniej. Zwykle nie przerażały go leśne bekasy, których inni się bali. Długo mieszkał na moczarach z Altheą i znał naprawdę przerażające stwory. Sporo też wiedział o dość nieszkodliwych stworzeniach zajmujących się własnymi sprawami. To na pewno było nieszkodliwe. Jednak nie czuł się już zmęczony i nie miał ochoty zatrzymywać się na noc.

Idąc słabo oświetlonym szlakiem, Friedrich obejrzał się przez ramię. Miał niesamowite wrażenie, że coś za nim jest. Coś go obserwuje. Aż mu się włosy zjeżyły na karku.

Patrzył i patrzył, ale niczego nie dojrzał. Z tyłu było spokojnie. Pomyślał, że albo jest za spokojnie, albo on ma zbyt bujną wyobraźnię.

Przyspieszył kroku; ciężko oddychał, serce mu się tłukło. Może wreszcie się stąd wydostanie, jak pójdzie szybciej, i nie będzie musiał samotnie spędzić nocy w lesie.

Znów obejrzał się przez ramię.

Obserwowały go oczy.

Tak się wystraszył, że aż potknął się o własną stopę i runął na ziemię. Usiadł twarzą w kierunku, z którego nadszedł, i cofał się, odpychając dłońmi i stopami.

Czyhające oczy dalej tam były. Nie wyobraził ich sobie. Para połyskujących żółtych ślepi obserwowała go z ponurego mroku lasu.

Panującą wokół ciszę zakłóciło basowe warczenie i bestia wyszła z mroku w przyćmione światło pomiędzy lasem a jeziorem. Była wielka - pewnie ze dwa razy taka jak wilk - z masywną piersią i grubą szyją. Szła powoli, z głową tuż przy ziemi, nie odrywając od niego płonących ślepi.

Stwór się podkradał.

Friedrich wstał z krzykiem i pobiegł tak szybko, jak go nogi niosły. Przy takim przerażeniu wiek mu w tym nie przeszkadzał. Obejrzał się przez ramię - bestia pędziła za nim ścieżką, z łatwością zmniejszając odległość.

Co gorsza, zauważył, jak z lasu wynurzają się kolejne pary ślepi i przyłączają do pościgu.

Nadciągały na nocny łów.

A Friedrich był ich łupem.

Wyjąca bestia uderzyła go w plecy z taką siłą, że stracił oddech. Runął twarzą na ziemię i z rozpędu przejechał jeszcze kawałek. Usiłował się odczołgać, lecz potężny stwór skoczył na niego. Warcząc, chapnął zębiskami plecak i rozdarł go, wściekle usiłując dotrzeć do ciała i kości.

Friedrich wyobraził sobie, że go rozrywa na części.

Wiedział, że umrze.

ROZDZIAŁ 54

Friedrich krzyczał z przerażenia i dziko się szarpał, usiłując uciec. Tuż za jego ramieniem bestia wyła wściekle i przegryzała się przez plecak, starając się rozszarpać swą ofiarę. Wypchany plecak odgradzał teraz Friedricha od szarpiących i kłapiących zębisk. Ciężar bestii przygniatał mężczyznę do ziemi, a przednie łapy trzymały tak, że nie mógł się wyrwać, nie mówiąc już o powstaniu i ucieczce.

Złotnik desperacko wepchnął pod siebie rękę, próbując dosięgnąć noża. Palce znalazły i chwyciły rękojeść, wyciągnęły broń. Natychmiast wbił ostrze w bestię. Trafił w osłoniętą grubą skórą kość ramieniową, nie czyniąc zwierzęciu większej szkody. Dźgnął raz jeszcze, ale chybił. Szarpał się ile sił, przetoczył i ciął. Nie trafił, ale starał się wyrwać, kiedy stwór uchylał się przed nożem.

Już miał się odtoczyć w bok, żeby choć o chwilę przedłużyć sobie życie, kiedy kolejne bestie włączyły się do akcji. Friedrich znów krzyknął i ciął nożem, osłaniając przy tym drugim ramieniem twarz. Udało mu się stanąć na czworakach, ale któryś ze stworów znów powalił go na ziemię.

Friedrich ujrzał, jak z wewnętrznej kieszeni, którą wszył do plecaka, wypada książka. Zęby bestii porozdzierały zaszytą przegródkę. Stwory rzuciły się na książkę. Ten, który ją złapał, zawarczał i potrząsnął łbem jak myśliwski pies po pochwyceniu zająca.

Druga wyjąca bestia skoczyła ku złotnikowi z szeroko rozwartą paszczą, szczerząc ociekające śliną kły... i nagle jej łeb zawirował w powietrzu. Gorąca krew trysnęła na szyję i policzek Friedricha. To było całkowicie nieoczekiwane i zupełnie dezorientujące.

- Do wody! - ryknął do niego jakiś człowiek. - Skacz do wody!

Friedrich mógł się jedynie toczyć i skręcać, usiłując uniknąć warczących i kłapiących zębiskami zwierząt. Na pewno nie zamierzał iść do wody - nie chciał, żeby te dzikie bestie osaczyły go przy brzegu. To był ulubiony podstęp bestii z moczarów - zapędzić do wody i dopaść. Absolutnie nie miał ochoty wchodzić do wody.

Świat oszalał: stal błyskała przed twarzą złotnika, tuż nad jego głową, obok niego, świstała w powietrzu i każdym potężnym ciosem przecinała

bestie, zanim zdążyły go dopaść. Cuchnące śliskie trzewia wylewały się na ziemię i na nogi Friedricha.

Tamten mężczyzna stanął okrakiem nad leżącym złotnikiem. Jego miecz ciał i kłut z taką płynną gracją, że Friedrich patrzył jak urzeczony. Obcy tkwił w miejscu, nie ustępując pola, i szlachtował atakujące bestie - dziesiątki warczących i wyjących bestii.

Friedrich zobaczył, że z lasu wypadły kolejne dzikie stworzenia. Z olbrzymią prędkością i zacieklą determinacją rzucały się na stojącego nad nim człowieka. Z boku włączyła się do walki kolejna osoba. Złotnikowi wydawało się, że z tyłu dostrzegł jeszcze kogoś, ale w tym zamieszaniu nie był pewny, ilu jest obrońców. Wokół rozbrzmiewały przeraźliwe warczenie, donośne wycia i grzmiące ryki. Hałas był ogłuszający. Jeden z potężnych stworów runął obok niego i Friedrich dźgnął go nożem, ale bestia i tak nie miała już łba.

Kiedy druga osoba nadbiegła i włączyła się do walki, mężczyzna stojący nad Friedrichem przesunął się w bok, złapał go wolną ręką za koszulę, podniósł i cisnął do jeziora. Biedak nawet sekundy nie stał na własnych nogach; miał tylko moment na złapanie oddechu, zanim runął do wody. Zanurzył się, nie wiedząc w mrocznej głębinie, gdzie góra, a gdzie dół. Wychynął na powierzchnię. Łapał powietrze, chcąc się dostać do brzegu. W końcu udało mu się stanąć na mulistym dnie i utrzymać głowę nad wodą. Ku jego zdumieniu żadna z bestii nie skoczyła za nim. Kilka pognało na brzeg i natychmiast się zatrzymało - nie miały ochoty wejść do wody, chociaż pragnęły dopaść Friedricha. Kiedy się przekonały, że jest poza ich zasięgiem, zawróciły i zginęły, jak tylko przyłączyły się do watahy atakującej owego wysokiego mężczyznę.

Bestie skakały po trzy, ze wszystkich stron, trwała zagorzała, sroga walka. Atakowały i natychmiast wyprawiano je na tamten świat z odciętym łbem, przeszyte mieczem albo rozprute potężnym cięciem klingi.

Ciemna postać znienacka cięła od dołu i strąciła łeb bestii, która zdążyła już skoczyć ku drugiej osobie. Noc nareszcie umilkła; słychać było jedynie ciężkie oddechy trzech stojących na ścieżce osób.

Wyszli zza sterty nieruchomych cielek i usiedli wyczerpani na brzegu. Opuścili głowy i łapali oddech.

- Nic ci się nie stało? - zapytał ten, który uratował życie Friedrichowi. W

jego głosie nadal brzmiała straszliwa bojowa furia, a okrwawiony miecz połyskiwał w gwiazdnej poświacie.

Friedrich, zdumiony, drżący i nagle osłabły z ulgi, zrobił kilka kroków ku brzegowi. Ociekając wodą, zatrzymał się przed mówiącym, zanurzony po pas w jeziorze.

- Nic, dzięki tobie. Ale czemuś mnie tak cisnął do wody?

Mężczyzna przecesał palcami gęste włosy.

- Dlatego - odparł pomiędzy jednym głębokim oddechem a drugim, że sercowe psy nie wchodzi do wody. Tam było dla ciebie najbezpieczniej.

Złotnik przełknął ślinę, przesunął wzrokiem po ciemnych stosach psów.

- Nie wiem, jak ci dziękować. Uratowałeś mi życie.

- Cóż - odparł tamten, dalej łapiąc oddech - tak się składa, że nie lubię sercowych psów. Przy niejednej okazji śmiertelnie mnie przeraziły.

Friedrich bał się spytać, gdzież on mógł widzieć tak straszliwe stwory.

- Byliśmy dalej na szlaku, za tobą, kiedyśmy zobaczyli, jak się na ciebie rzucają.

To był kobiecy głos. Friedrich zapatrzył się na siedzącą pośrodku postać, która się odezwała, łapiąc oddech, ale widział tylko falę długich włosów.

- Baliśmy się, że nie zdążymy na czas - dodała.

- Ale... co to takiego te sercowe psy?

Trzy osoby wpatrywały się w niego.

- Ważniejsze jest - odezwał się mężczyzna spokojnym, opanowanym, lecz władcym głosem - dlaczego sercowe psy w ogóle tu są. Domyślasz się, z jakiego powodu mogły cię ścigać?

- Nie, panie. Nigdy nie widziałem takich stworów.

- Sporo czasu minęło, odkąd widziałem sercowe psy - rzekł tamten, najwyraźniej zaniepokojony. Friedrich już myślał, że powie coś więcej o psach, on jednak zamiast tego spytał: - Jak się nazywasz?

- Friedrich Gilder, panie, i masz moją dozągonną wdzięczność. Wszyscy ją macie. Nie bałem się tak od... nawet nie pamiętam od kiedy. - Spojrzał na skierowane ku niemu trzy twarze, ale było zbyt ciemno, by mógł zobaczyć ich rysy.

Mężczyzna otoczył ramieniem siedzącą pośrodku kobietę i spytał szeptem, czy nic jej nie jest. Odpowiedziała skinieniem głowy opartej o jego ramię, co - jak Friedrich wiedział - dowodziło szczerego zatroskania i bliskiej

zażyłości. Potem dotknął palcami ramienia trzeciej osoby, a ta kiwnęła głową.

W ogóle nie wyglądali na żołnierzy Imperialnego Ładu. Ale w tym dziwnym kraju zawsze coś komuś zagrażało. Friedrich zaryzykował.

- Mogę spytać, jak ci na imię, panie?

- Richard.

Złotnik ostrożnie zrobił kolejny krok, ale ta trzecia, milcząca osoba tak na niego patrzyła, że bał się wyjść z wody i znaleźć jeszcze bliżej Richarda i owej kobiety.

Mężczyzna opłukał klingę w wodzie i wstał. Wylał do sucha miecz o nogawkę, po czym schował go do pochwy. Friedrich zauważył w słabym świetle, że wspaniała srebrno-złota pochwa wisząca u biodra Richarda, była umocowana na przełożonym przez prawe ramię pendencie. Złotnik był całkiem pewny, że przypomina sobie tę pochwę i pendent. Rzeźbił niemal całe swoje życie i potrafił rozpoznać mistrzowskie posługiwanie się ostrzem, i to ostrzem każdego rodzaju. Żeby doskonale władać ostrą stalą, trzeba było znakomicie nad nią panować. Dłonie Richarda były właściwym miejscem dla tego miecza. Friedrich dobrze pamiętał miecz, który nosił ów człowiek tamtego dnia. Zastanawiał się, czy to może być ten sam znamienity oręż.

Richard rozgrzebywał stopą szczątki sercowych psów, szukając czegoś. Pochylił się i podniósł odcięty psi łeb. Wtedy Friedrich zobaczył, że bestia zaciska coś w zębach. Mężczyzna szarpnął, ale to coś było nabite na kły. Pracowicie wydobył ów przedmiot z psiej paszczy, a Friedrich szeroko otworzył oczy, gdy uświadomił sobie, że to książka. Pies wyszarpał ją z plecaka. Wyciągnął po nią rękę.

- Jest... jest cała?

Richard odrzucił na bok ciężki łeb - upadł z łoskotem i potoczył się między drzewa. Dokładniej przyjrzał się książce w panującym półmroku. Opuścił rękę i popatrzył na stojącego po pas w wodzie Friedricha.

- Chyba lepiej będzie, jak mi powiesz, kim jesteś i po co tu przyszedłeś - rzekł.

Kobieta wstała, usłyszawszy ponury ton w jego głosie.

Friedrich odchrząknął, stłumił obawy.

- Jak już mówiłem, panie, jestem Friedrich Gilder. - Zaryzykował. - Szukam człowieka spokrewnionego z bardzo starym jegomościem znanym

mi jako Nathan.

Richard chwilę mu się przyglądał.

- Nathan. Wielki mężczyzna? Wysoki, długie białe włosy do ramion? Z wysokim mniemaniem o sobie? - Był nie tylko zdziwiony, ale i podejrzliwy. - Urodzony szelma Nathan?

Friedrich uśmiechnął się, usłyszawszy to ostatnie, ale też z ulgi. Więź dobrze mu posłużyła. Skłonił się najgłębiej jak mógł, stojąc w wodzie.

- Prowadź nas, mistrzu Rahlu. Nauczaj nas, mistrzu Rahlu. Chroń nas, mistrzu Rahlu. Rozkwitamy w twojej chwale. Osłania nas twoje miłosierdzie. Twoja mądrość przerasta nasze zrozumienie. Żyjemy tylko po to, by ci służyć. Nasze życie należy do ciebie.

Lord Rahl popatrzył, jak Friedrich wreszcie się wyprostował, i wtedy wyciągnął ku niemu rękę.

- Wyjdź z wody, mistrzu Gilderze - powiedział łagodnie.

Złotnik z lekka się zmieszał, że sam lord Rahl podaje mu pomocną dłoń, ale wiedział, że nie może odmówić czemuś, co można by poczytać za rozkaz. Ujął podaną mu dłoń i wyszedł z wody. Klęknął i skłonił się.

- Moje życie należy do ciebie, lordzie Rahlu.

- Dziękuję, mistrzu Gilderze. Czuję się zaszczycony i doceniam twoją szczerość, ale twoje życie jest wyłącznie twoje i nie należy do nikogo innego. W tym i do mnie.

Friedrich wpatrywał się w niego z zadziwieniem. Jeszcze nigdy nie słyszał, żeby ktoś powiedział coś tak nadzwyczajnego, tak niewyobrażalnego, a już zwłaszcza lord Rahl.

- Mógłbyś mi mówić Friedrich, panie?

Lord Rahl się roześmiał. Złotnik nigdy nie słyszał tak miłego i dźwięcznego śmiechu. Aż sam musiał się uśmiechnąć.

- Jeżeli ty będziesz mi mówił Richard.

- Przepraszam, lordzie Rahlu, ale... obawiam się, że nie potrafiłbym. Całe życie pozostawałem przy „lordzie Rahlu” i jestem już za stary, żeby to zmieniać.

Lord Rahl zaczepił kciuk o szeroki pas.

- Rozumiem, Friedrichu, ale jesteśmy w głębi Starego Świata. Gdyby ktoś usłyszał, jak mówisz „lord Rahl”, to pewnie szybko mielibyśmy mnóstwo kłopotów, więc byłbym ci ogromnie wdzięczny, gdybyś się postarał mówić

do mnie Richard.

- Spróbuję, lordzie Rahlu.

Lord Rahl dokonał prezentacji.

- Oto Matka Spowiedniczka, Kahlan, moja żona.

Friedrich znów przyklęknął i skłonił głowę.

- Matko Spowiedniczko.

Nie miał pojęcia, jak należy pozdrowić taką kobietę.

- Ależ Friedrichu - powiedziała równie karcąco jak lord Rahl, lecz był to głos kobiety o niezwykłym wdzięku, sercu i majestacie - i ten tytuł źle by się tu nam przysłużył.

Był to najbardziej uroczy głos, jaki Friedrich w życiu słyszał, urzekła go jego klarowność. Raz już widział tę kobietę: wtedy, w pałacu, i głos znakomicie pasował do wspomnień.

- Tak, pani - rzekł i jeszcze skinął głową. Pomyślał, że może zdobędzie się na nazywanie lorda Rahla „Richardem”, ale był zupełnie pewny, że do tej kobiety nie zdoła mówić inaczej niż „Matko Spowiedniczko”. Poufałe nazywanie jej „Kahlan” było niedostępnym dlań przywilejem. Lord Rahl przedstawił trzecią osobę.

- A to nasza przyjaciółka Cara. Nie pozwól, żeby cię wystraszyła, a na pewno tego spróbuje. Jest nie tylko naszą przyjaciółką, ale i znakomitym obrońcą. Zawsze ma na względzie przede wszystkim nasze bezpieczeństwo.

- Spojrzał na nią. - Chociaż ostatnio więcej sprawia kłopotów, niż pomaga.

- Lordzie Rahlu - burknęła Cara - przecież ci mówiłam, że to nie moja wina. Nie miałam z tym nic wspólnego.

- Ale to ty tego dotknęłaś.

- A niby skąd miałam wiedzieć?

- Mówiłem, żebyś zostawiła to w spokoju, ale ty musiałaś tego dotknąć.

- Przecież nie mogłam tego ot, tak sobie zostawić, prawda?

Friedrich nic z tego nie zrozumiał. Jednak nawet w takim mroku dojrzał, jak Matka Spowiedniczka się uśmiecha i poklepuje Carę po ramieniu.

- Wszystko w porządku, Caro - szepnęła uspokajająco.

- Coś wymyślimy, Caro - dodał z westchnieniem lord Rahl. - Jeszcze mamy czas. - Nagle spoważniał i zmienił temat równie płynnie, jak kierunek swego miecza. Pomachał książką. - Psy tego szukały.

Brwi Friedricha pojechały w górę ze zdziwienia.

- Tego?

- Tak. A ty byłeś nagrodą za dobrą robotę.

- Skąd wiesz?

- Sercowe psy nigdy by się nie rzuciły na książkę. Gdyby nie wysłano ich po co innego, walczyłyby na śmierć o twoje serce.

- Więc dlatego się je nazywa sercowymi psami - domyślił się złotnik.

- To jedna teoria. Druga mówi, że dzięki tym dużym krągłym uszom mogą odnaleźć swoją ofiarę, kierując się odgłosem bijącego serca. Tak czy owak, nigdy nie słyszałem o sercowym psie rzucającym się na książkę, kiedy tuż obok jest ludzkie serce.

Friedrich wskazał książkę.

- Lordzie... przepraszam, Richardzie. Nathan przysłał mnie z tą książką. Uważa, że jest ogromnie ważna. Chyba ma rację.

Lord Rahl odwrócił wzrok od rozrzuconych na ziemi psów. Gdyby nie było ciemno, Friedrich na pewno dostrzegłby mars na jego czole, ale z całą pewnością dosłyszał powstrzymywany gniew w jego głosie.

- Nathan wiele rzeczy uważa za ważne, zwykle proroctwa.

- Ale co do tego był pewny.

- Bo zawsze jest. Nie zaprzeczam, że wcześniej mi pomógł. - Lord Rahl z determinacją pokręcił głową. - Ale proroctwa od początku przyczyniają nam więcej kłopotów, niżbym się spodziewał. Sercowe psy oznaczają, że nagle spada na nas śmiertelne zagrożenie. Nie chcę, żeby do moich problemów dokładały się jeszcze proroctwa Nathana. Wiem, że niektórzy ludzie uważają prorokowanie za dar, ale dla mnie jest to coś, czego należy unikać, przekleństwo.

- Rozumiem - rzekł Friedrich ze smutnym uśmiechem. - Moja żona była czarodziejką. Miała dar prorokowania. Czasami nazywała to swoim przekleństwem. - Uśmiech się rozwiął. - Czasami ją tuliłem, kiedy płakała nad czymś, co zobaczyła, a czego nie mogła zmienić.

Lord Rahl przyglądał mu się zakłopotany.

- Więc odeszła?

Friedrich mógł jedynie skinąć głową, przytłoczony bolesnymi wspomnieniami.

- Współczuję ci, Friedrichu - rzekł cicho lord Rahl.

- I ja - szepnęła z pełnym smutku, szczerym współczuciem Matka

Spowiedniczka. Zwróciła się ku mężowi, ujęła jego ramię. - Wiem, Richardzie, że nie mamy czasu na prorocтва Nathana, ale nie możemy lekceważyć tego, co oznaczają sercowe psy.

- Wiem - westchnął ciężko.

- Co zrobimy?

Złotnik zobaczył w przyćmionym świetle, jak lord Rahl potrząsa głową.

- Musimy mieć nadzieję, że na razie dadzą sobie z tym radę. To jest pilniejsze. Musimy odnaleźć Nicei, i to szybko. Oby miała jakiś pomysł.

Matka Spowiedniczka najwyraźniej uznała, że to rozsądna decyzja. Nawet Cara w milczeniu kiwnęła głową.

- Wiesz co, Friedrichu - rzekła zdecydowanie Matka Spowiedniczka - właśnie mieliśmy rozbijać obóz na noc. Skoro sercowe psy grasują, lepiej zostań z nami, dopóki za dzień lub dwa nie spotkamy się z paroma przyjaciółmi i nie będziemy mieć liczniejszej obrony. W obozie nam powiesz, o co chodzi.

- Posłucham, czego chce Nathan - stwierdził lord Rahl - ale nic więcej nie mogę obiecać. Nathan jest czarodziejem, musi sam rozwiązać swoje problemy. My mamy dosyć własnych. Rozbijmy obóz w bezpiecznym miejscu. Choć rzucę okiem na tę książkę, jeśli da się ją jeszcze odczytać. Powiesz mi, dlaczego Nathan uważa, że jest tak ważna. Tylko oszczędź mi prorocत्व.

- Żadnych prorocत्व, lordzie Rahlu. A właściwie, to prawdziwym problemem jest brak przepowiedni.

Mężczyzna wskazał trupy sercowych psów.

- To bezpośredni problem. Lepiej znajdziemy jakieś miejsce na moczarach, otoczone wodą, jeżeli chcemy dożyć rana. Tam, skąd te się zjawiały, jest ich więcej.

Friedrich nerwowo zerknął w otaczające ich mroki.

- A skąd one przyszły?

- Z zaświatów - powiedział lord Rahl.

Złotnik aż otworzył usta.

- Z zaświatów? Ale jak to możliwe?

- Tylko w jeden sposób - rzekł Richard ze straszliwą świadomością rzeczy. - Sercowe psy są, by tak rzec, stróżami zaświatów, psami Opiekuna. Mogły się tu wydostać tylko dlatego, że rozerwano zasłonę pomiędzy życiem

a śmiercią.

ROZDZIAŁ 55

Cała czwórka ruszyła traktem, kierując się ku mrocznej połaci nisko położonego lasu, a Friedrich dumiał nad straszliwym znaczeniem faktu, że przerwano zasłonę pomiędzy światem życia a światem śmierci. Ostatni okres życia Althei obracał się wokół Grace, którym posługiwała się przy przepowiedniach, więc dobrze wiedział o zasłonie pomiędzy światami. Przez te lata Althea często z nim o tym rozmawiała. Szczególnie przed swoją śmiercią powiedziała mu sporo o tym, czego się domyśliła o wzajemnym oddziaływaniu tych światów.

- Lordzie Rahlu - odezwał się złotnik - uważam, że to, co powiedziałeś o rozdarciu zasłony pomiędzy światami życia i śmierci, można powiązać z tym, co według Nathana jest na tyle ważne, że wysłał mnie do ciebie z tą książką. On wcale nie chciał, żebyś mu pomógł, nie po to mnie wysłał. On chciał pomóc tobie.

Lord Rahl parsknął śmiechem.

- Właśnie. Zawsze to tak przedstawia: że tylko chce ci pomóc.

- Ale myślę, że to dotyczy twojej siostry.

Wszyscy znieruchomieli.

Lord Rahl i Matka Spowiedniczka obrócili się ku Friedrichowi i znaleźli przy nim. Nawet w ciemnościach widział, jak szeroko mają otwarte oczy.

- Mam siostrę? - wyszeptał Richard.

- Tak, lordzie Rahlu - rzekł Friedrich, zdumiony, że on o tym nie wiedział. - No, właściwie to przyrodną siostrę. I ona jest dzieckiem Rahla Posepnego.

Lord Rahl złapał go za ramię.

- Mam siostrę? Wiesz coś o niej?

- Tak, lordzie Rahlu. Przynajmniej co nieco. Poznałem ją.

- Poznałeś! To wspaniale, Friedrichu! Jak wygląda? Ile ma lat?

- Niewiele mniej niż ty, lordzie Rahlu. Powiedziałbym, że dopiero skończyła dwadzieścia.

- Bystra jest? - spytał Richard z szerokim uśmiechem.

- Aż za bardzo, żeby jej to wyszło na zdrowie.

Lord Rahl roześmiał się zachwycony.

- Nie mogę uwierzyć! Czy to nie wspaniałe, Kahlan? Mam siostrę!

- Mnie się to wcale nie wydaje cudowne - burknęła Cara, zanim Matka Spowiedniczka zdążyła odpowiedzieć. - Ani odrobinę.

- Jak możesz tak mówić, Caro? - spytała Matka Spowiedniczka.
Mord-Sith pochyliła się ku nim.

- Czyż muszę wam przypominać o kłopotach, jakie mieliśmy, kiedy pojawił się przyrodni brat lorda Rahla, Drefan?

- Nie... - odparł Richard, wyraźnie poruszony tym wspomnieniem.
Wszyscy umilkli.

- Co się stało? - odważył się w końcu spytać Friedrich.

Aż się zachłysnął oddechem, gdy Cara złapała go za kołnierz i jednym szarpnięciem przyciągnęła ku sobie, wbijając weń rozeźlony wzrok.

- Ten bękart Rahla Posępnego omal nie zabił Matki Spowiedniczki! I lorda Rahla! I mnie! Zabił całe mnóstwo ludzi. Mało brakowało, żeby wszyscy umarli. Mam nadzieję, że Opiekun zmarłych na całą wieczność wpakuje Drefana Rahla do jakiejś zimnej, ciemnej dziury. Gdybyś tylko wiedział, co on zrobił Matce Spowiednicze...

- Wystarczy, Caro - nakazała spokojnie Matka Spowiedniczka. Położyła dłoń na ramieniu tamtej, łagodnie zmuszając ją, żeby puściła kołnierz Friedricha.

Rozeźlona Mord-Sith bardzo niechętnie ustąpiła. Złotnik nie miał najmniejszych wątpliwości, dlaczego ta kobieta strzeże lorda Rahla i Matki Spowiedniczki. Choć nie widział jej oczu, czuł, że nawet w ciemnościach wpatruje się w niego niczym jastrząb. Jej przenikliwy osąd przenikał na wskroś duszę człowieka i decydował o jego losie. Ta kobieta potrafiła wykonać to, co uznała za niezbędne.

Friedrich wiedział to, bo często widywał takie kobiety w Pałacu Ludu. Kiedy wyjęła rękę spod peleryny, żeby złapać go za kołnierz, zobaczył Agiel wiszący na łańcuszku okalającym jej przegub. To była Mord-Sith.

- Współczuję ci z powodu przyrodniego brata - powiedział. - Ale nie sądzę, żeby Jennsen chciała twojej krzywdy.

- Jennsen - wyszeptał Richard, po raz pierwszy wymawiając imię osoby, o której istnieniu nie wiedział.

- Prawdę mówiąc, lordzie Rahlu, ona się okropnie ciebie boi.

- Boi się mnie? Dlaczego miałyby się mnie bać?

- Myśli, że ją ścigasz.

Lord Rahl patrzył nań z niedowierzaniem.

- Ścigam ją? Jak mogę ją ścigać? Przecież tkwię w głębi Starego Świata.

- Myśli, że chcesz ją zabić i wysłałeś ludzi, by ją wytropili.

Richard aż osłupiał ze zdumienia; każda nowa rzecz, której się dowiadywał, była jeszcze bardziej nieprawdopodobna od poprzedniej.

- Ale... przecież nawet jej nie znam. Dlaczego miałbym chcieć ją zabić?

- Bo nie ma daru.

Lord Rahl wręcz się cofnął, próbując pojąć to, co rzekł Friedrich.

- A jakie to ma znaczenie? Mnóstwo ludzi nie ma daru.

- Nathan chyba przysłał to jako wyjaśnienie. - Friedrich wskazał książkę, którą Richard trzymał w ręce.

- Proroctwo niczego nie wyjaśni.

- Nie, lordzie Rahlu. W tym przypadku chodzi chyba nie tyle o proroctwo, ile o wolną wolę. Wiem trochę o prorokowaniu od mojej żony. Nathan wyjaśnił, że proroctwu niezbędna jest wolna wola. Powiedział, że aż tak sprzeciwiasz się proroctwom, bo jesteś osobą, która wolną wolą równoważy ich magię. Mówił, że proroctwo nie wymieniło mnie jako tego, kto zanieśie ci książkę, i że muszę ją dostarczyć z własnej woli.

Lord Rahl wpatrywał się w ciemności w książkę. Jego głos złagodniał.

- Nathan może być czasem kłopotliwy, ale to przyjaciel, który już mi pomógł. Jego pomoc wpędza mnie czasem w kłopoty, ale nawet jeśli nie zawsze zgadzam się z tym, co on postanawia zrobić, to wiem, że ma po temu ważny powód.

- Przez większość życia kochałem czarodziejkę, lordzie Rahlu. Wiem, jakie to może być skomplikowane. Nie przebyłbym całej tej drogi, gdybym nie uwierzył Nathanowi.

Lord Rahl chwilę mu się przyglądał.

- Czy Nathan mówił, co jest w tej książce?

- Powiedział, że to dzieło z czasów wielkiej wojny, sprzed tysięcy lat. Znalazł je w Pałacu Ludu po wytężonych poszukiwaniach wśród tysięcy woluminów i natychmiast przyniósł do mnie z prośbą, żebym je tobie dostarczył. Mówił, że czas tak nagli, że nie ośmielił się tracić ani chwili na tłumaczenie. I dlatego nie wiedział, o czym ona jest.

Richard z o wiele większym zainteresowaniem popatrzył na tom.

- No cóż, nie mam pojęcia, w czym mogłaby nam pomóc. Psy mocno ją uszkodziły. Zaczynam się obawiać, że wiem dlaczego.

- A wiesz przynajmniej, Richardzie, co jest napisane na okładce? - zapytała Matka Spowiedniczka.

- W tym świetle widzę tylko, że to górnod'harański. Nie próbowałem tego przełożyć. Wspomina się tu o stworzeniu, o świecie.

- Masz rację, lordzie Rahlu. - Friedrich klepnął książkę. - Na okładce połączonymi literami napisano *Filary Świata*.

- Pięknie - mruknął lord Rahl, najwyraźniej zasmucony rozpoznaniem tytułu. - No to znajdziemy jakieś bezpieczne miejsce i rozbijmy obóz. Nie chcę, żeby sercowe psy dopadły nas nocą na otwartym terenie. Rozpalimy małe ognisko i przekonam się, czy książka powie nam coś użytecznego,

- Więc wiesz o filarach świata? - spytał złotnik, idąc za nimi ścieżką.

- Tak - odparł przez ramię zatroskany Richard. - Słyszałem o nich. Nathan przyszedł ze Starego Świata, więc pewnie i on o nich słyszał.

Wspinali się na niewielkie wzniesienie. Friedrich, skonfundowany, podrapał się w podbródek.

- A co filary świata mają wspólnego ze Starym Światem?

- Filary Świata znajdują się w centrum pustkowia. - Lord Rahl wskazał na południe. - To dość blisko stąd, o tam. Niedawno mijaliśmy to miejsce. Musieliśmy przejść jego skrajem, bo ścigali nas bardzo nieprzyjemni ludzie.

- Ich zakrwawione kości wysychają teraz na pustkowiach - oznajmiła z zadowoleniem Cara.

- Niestety - wtrącił się lord Rahl - straciliśmy konie. Dlatego podróżujemy pieszo. Ale przynajmniej uszliśmy z życiem.

- Pustkowie... Ale, lordzie Rahlu, moja żona nazywała też filarami świata...

Friedrich zamarł, bo dojrzał coś obok ścieżki. Zdziwiająco znajomy ciemny kształt był widoczny na jaśniejszym tle piaszczystej dróżki nawet w tym przyćmionym świetle. Złotnik przykucnął i dotknął go. O dziwo, był to przedmiot, o którym pomyślał. Podniósł tę rzecz... i był już całkiem pewny. Ten sam splekany otworek na ściągający rzemyk, to samo nacięcie w miękkiej skórze, którą kiedyś w pośpiechu zadrasnął ostrym dłubikiem.

- Co się dzieje? - zapytał podejrzliwie lord Rahl, lustrując wzrokiem mroczną okolicę. - Dlaczego się zatrzymałeś?

- Co znalazłeś? - spytała Matka Spowiedniczka. - Niczego nie zauważyłam, kiedy mijałam to miejsce.

- Ja też nie - dodał Richard.

Friedrich przełknął ślinę i położył na dłoni skórzaną sakiewkę. Wyczuwało się monety, a ich ciężar świadczył o tym, że są złote.

- To jest moje - wyszeptał ze zdumieniem Friedrich. - Skąd się to mogło tu wziąć?

Nie twierdził, że złoto jest jego - chociaż mogło być - ale przez całe dziesięciolecia niemal codziennie miał w dłoni tę skórzaną sakiewkę. Trzymał w niej jedno ze swoich narzędzi: mały dłubik, którego często używał.

- Co się dzieje? - zapytała Cara, wodząc wzrokiem po otoczeniu. Mocno zaciskała w dłoni Agiel.

Złotnik podniósł się, wciąż wpatrzony w mieszek na narzędzie.

- Ukradł to człowiek, który, jak podejrzewam, był przyczyną śmierci mojej żony.

ROZDZIAŁ 56

A to ci dopiero.

Oba nie mógł uwierzyć, że upuścił sakiewkę z pieniędzmi. Zawsze był taki ostrożny. Sapał z irytacji. Jak nie jedno, to drugie. Albo podstępny mały rzezimieszek, albo niewiasta o lepkich rękach - zawsze ktoś dybał na jego pieniądze. Czy tylko to obchodziło tych małostkowych ludzi? Pieniądze? Wszystkie kłopoty, wszyscy ci zawistni, chciwi, podstępni ludzie starający się pozbawić go ciężko zdobytej fortuny nauczyli Obe, że człowiek z jego pozycją zawsze powinien być ostrożny. Nie mógł uwierzyć, że tym razem było to jego dzieło.

Pospiesznie sprawdził kieszenie, zanadrze, spodnie. Wszystkie sakiewki, wypchane znacznym bogactwem, były na miejscu, tam gdzie powinny być. Pomyślał, że może ta przy ścieżce nie jest jego, ale któż inny mógłby akurat tutaj upuścić sakiewkę?

Sprawił buty: brakowało jednej sakiewki. Kipiąc gniewem, spojrzął na rzemyk, który zawsze obwijał wokół kostki, i przekonał się, że jest rozwiązany.

Ktoś mu odwiązał sakiewkę z pieniędzmi.

Wyjrzał spomiędzy drzew i obserwował wzruszającą scenę. Jego brat Richard ze swoją najdroższą żonką zwróceni byli ku człowiekowi, który znalazł sakiewkę - sakiewkę Oby, pełną jego pieniędzy.

Usłyszał, jak ów człek wykrzykuje:

- Ukradł to człowiek, który, jak podejrzewam, był przyczyną śmierci mojej żony.

Obie aż szczęka opadła. To był mąż wiedźmy z moczarów, tej szkaradnej samolubnej czarodziejki, która nie chciała odpowiedzieć na pytania Oby.

Oba był zbyt mądry, by uwierzyć, że to tylko jakiś zabawny zbieg okoliczności. Stanowczo był na to zbyt mądry.

- Nie dotykaj tego! - wrzasnęli jednym głosem Richard Rahl i Matka Spowiedniczka.

- W nogi! - wrzasnęła ta druga kobieta.

Oba przyglądał się, jak czmychają niczym spłoszone jelenie. Uświadomił sobie, że to pewnie głos coś szykuje. Wiedział, że głos wykorzystuje własność

ludzi, żeby do nich dotrzeć. Popatrzył na lewo i na prawo w obserwujące to wraz z nim lśniące żółte ślepia i uśmiechnął się szeroko.

Powietrzem wstrząsnęło, jakby w ziemię, dokładnie tam, gdzie rzucono sakiewkę, trafiła błyskawica. Psy zaskomlały i cofnęły się. Oba zatkał uszy palcami i zmrużył oczy. Obserwował, jak od sakiewki rozchodzi się fioletowy krąg niczym pierścienie na stawie, kiedy się do niego wrzuci zdechłe zwierzę.

W jednej chwili, szybciej niż myśl, uciekający ludzie zostali powaleni, gdy krąg fioletowego światła rozszerzał się tak gwałtownie, że Oba nie mógł za nim nadążyć wzrokiem. Krąg minął Obę, zwał mu włosy do tyłu. Ziemię wewnątrz rozszerzającego się koła pokrywał nieruchomy, puszysty dywan niesamowitego fioletowego dymu.

Podejrzenia Oby okazały się słuszne. Głos planował coś pierwszorzędne. Zastanawiał się, uradowany, co też to może być.

Wszystko znieruchomiło, lecz Oba patrzył jeszcze przez chwilę, by się upewnić, że ludzie na pewno nie wstaną. Z kryjówki - bezpiecznego miejsca, w którym głos kazał mu przycupnąć - wychynął dopiero wtedy, gdy uznał, że jest zupełnie bezpiecznie.

Teraz głos go popędzał. Psy trzymały się z tyłu i obserwowały, jak Oba spieszy przez przykrytą dymem ziemię. To był najdziwniejszy dym, jaki w życiu widział: delikatnie połyskujący błękitnawy fiolet, a co najdziwniejsze, wcale się nie kłębił, kiedy Oba przez niego biegł. Nogi młodzieńca przebijały nieruchomy dym, w ogóle nim nie poruszając - jakby dym był w innym świecie niż Oba.

Cała czwórka leżała dokładnie tam, gdzie upadła. Oba ostrożnie się nachylił, starając się przy tym zachować bezpieczną odległość, i przekonał się, że wszyscy oddychają, chociaż powoli. Oczy mieli otwarte. Ciekaw był, czy go widzą. Zamachał rękami, ale żadne nie zareagowało.

Oba pochylił się nad Richardem Rahlem, zajrzał w jego nieruchomą twarz. Pomachał dłonią tuż przed szeroko otwartymi oczami brata. Żadnej reakcji.

W gwiazdnej poświacie mało co było widać, lecz młodzieniec był przekonany, że dostrzega w tych oczach rys fascynującego rodzinnego podobieństwa. Niesamowicie było patrzeć na człowieka o pewnym podobieństwie. Chociaż Oba bardziej przypominał matkę. To bardzo w jej

stylu chcieć, żeby bardziej przypominał ją niż ojca. Ta kobieta była kompletnie egocentryczna. Na każdym kroku próbowała mu odebrać jego prawowite dziedzictwo, nawet w wyglądzie. Samolubna suka.

Jednak teraz to Richard oszustwem pozbawiał Obę należnego mu miejsca. Ojciec na pewno chciałby, żeby przypadło ono Obie. W końcu Oba i Rahl Posępny mieli te same wyjątkowe cechy, których ten tu jego brat na pewno nie miał.

Okazało się, że również stary mąż tej więdźmy z moczarów oddycha. Oba podniósł leżącą w pobliżu sakiewkę z pieniędzmi i potrząsnął nią przed oczami jegomościa, ale i ten nie zareagował. Młodzieniec na powrót przywiązał sakiewkę do kostki, skoro głosowi już nie była potrzebna.

Oba nie był zachwycony, że głos wykorzystuje jego pieniądze do takich sztuczek, ale po tym wszystkim, co głos dla niego zrobił - uczynił niezwykłym i w ogóle - właściwie mógł mu od czasu do czasu oddać przysługę. Dopóki to nie przejdzie w zwyczaj.

Towarzyszająca im kobieta miała długi warkocz, który leżał teraz na trawiastym gruncie. A na łańcuszku wokół jej przegubu tkwił jeden z tych dziwnych prętów. Uświadomił sobie, że to Mord-Sith. Zacisnął łapy na jej piersiach. Nie zareagowała. Uśmiechnął się szeroko i z lubością zrobił to ponownie. Była tak chętna, że zaczął się zastanawiać, co jeszcze mógłby zrobić.

I wtedy zobaczył, że ma pod ręką kogoś jeszcze lepszego. Zerknął na nią. Żonka brata, kobieta, którą nazywali Matką Spowiedniczką, leżała gotowa do wzięcia. Jakaż będzie lepsza sprawiedliwość, niż ją posiadać?

Oba podkradł się ku niej. Gdy zobaczył, jaka jest piękna, uśmiezek zmienił się w pełny podziwu szacunek. Leżała na plecach, z ręką odrzuconą w bok. Otwarte, bezwładne palce jakby wskazywały drogę na południe. Drugie ramię leżało na brzuchu. I jej oczy patrzyły w pustkę.

Oba ostrożnie wyciągnął rękę i przesunął palcem po policzku kobiety. Policzku tak miękkim jak jedwabisty płatek róży. Odgarnął jej z twarzy długie pasmo włosów, żeby lepiej się przyjrzeć rysom. Usta miała leciutko rozchylone.

Pochylił się nad nią, zbliżył usta do jej warg, przesunął dłonią po jej ciele, wyczuł jej bujne kształty. Zatrzymał rękę na jej piersi. Obmacywał ją delikatnie wielką łapą, by pokazać, że potrafi być delikatny. Ścisnął drugą

pierś, ale ta kobieta dalej nie chciała okazać, jak ją podniecają te delikatne, kuszące pieszczoty.

Oba, szybki niczym lis, dmuchnął w jej rozchylone usta. W ogóle nie zareagowała. Podejrzewał, że się z nim bawi, że się z nim droczy. Harda suka.

Teraz już nigdzie nie pójdzie. Nie ucieknie. Głos najwyraźniej ofiarował mu prezent. Oba odrzucił w tył głowę i zaśmiał się ku niebu. Psy, daleko w tyle, w ciemności, patrzyły, a on wył z zachwytu ku gwiazdom.

Uśmiechnięty, znów pochylił się nad żonką lorda Rahla i popatrzył jej w oczy. Pewnie już była znudzona swoim mężem i gotowa na śmiałe igraszki. Im więcej Oba o tym myślał, tym wyraźniej uświadamiał sobie, że ta kobieta może być jego. Należała do lorda Rahla. Kiedy Oba zostanie nowym lordem Rahlem, zgodnie z prawem zatrzyma ją jako swoją żonę.

A będzie lordem Rahlem. Głos powiedział mu, że jest to w jego zasięgu.

Gapił się na jej rysy, ponętne kształty. Pragnął tej kobiety. Oddawał przysługi głosowi i od wieków nie miał kobiety. Głos szaleńczo go poganiał. Czas, by Oba zakosztował rozkoszy z kobietą. Medytował nad oczekującym go spełnieniem, wodząc delikatnie dłonią po ciele Matki Spowiedniczki.

Ale nie chciał, żeby tamci się na niego gapili. Wszyscy odmówili zamknięcia oczu, żeby on i ta dama mieli trochę prywatności. Wścibscy są wszyscy, i tyle. Oba szeroko się uśmiechnął. Może to by dodało dreszczyku, gdyby mąż obserwował nowego władcę swojej żonki. Uśmiech zniknął. A czy to sprawa Richarda, że ona chciała nowego mężczyzny, lepszego mężczyzny?

Nachylił się nad bratem i zamknął mu oczy. Temu staremu też. Na tym poprzestał, niech ta druga sobie popatrzy. Widok Oby w akcji na pewno ją podnieci. Taka podnieta to spora przysługa, ale Oba lubił oddawać takie przysługi pociągającym kobietom.

Drżąc z oczekiwania i wiedząc, że potrafi dać jej to, czego tak pragnęła, pochylił się, żeby rozedrzeć odzienie na Matce Spowiedniczce. Zanim jednak zdołał jej dotknąć, odrzucił go gwałtowny rozbłysk fioletowego światła. Usiadł, zdumiony i oszołomiony, ścisnął w dłoniach głowę, w której szalał rozdzierający nerwy ból. Głos za karę miażdżył mu mózg bólem.

Odpychał się stopami od ziemi, odsuwając od Matki Spowiedniczki, i w końcu ból ustał. Ciężko dyszał po owym wyczerpującym krótkim ataku. Był

przybity tym, że głos mógł go tak ukarać, przygnębiony, że głos mógł być tak okrutny i odmówić mu tej prostej przyjemności, i to po tych wszystkich dobrych rzeczach, które zrobił.

Głos też się zmienił: gruchał do niego, szeptał o wspaniałej karierze, jaką mu szykuje, o ważnych zadaniach, które jedynie Oba może wykonać. Oba, smutny i przygnębiony, słuchał tego.

Był ważny, bo inaczej głos by na niego nie liczył. W końcu któż inny mógłby dokonać tego, o co głos go prosił? Na kimże innym mógłby głos polegać, licząc, że załatwi wszystko jak trzeba?

I teraz, w nocnej ciszy, głos wyraźnie powiedział, co Oba ma zrobić. Jeżeli zrobi, o co go proszą, doczeka się nagrody. Oba aż się szeroko uśmiechnął, usłyszawszy obietnicę. Najpierw musi oddać przysługę, a potem Matka Spowiedniczka będzie jego. To nie było takie trudne. A jak już będzie jego, będzie mógł z nią zrobić, co tylko zechce - z błogosławieństwem głosu - i nikt mu w tym nie przeszkodzi. W wyobraźni młodzieńca pojawiły się obrazy, odczucia, wonie, jej krzyki rozkoszy - niemal omdlał z zachwytu. Może zaczekać na takie wspaniałości.

Obejrzał się na Mord-Sith. Dostarczy mu w tym czasie rozrywki. Człowiek taki jak on, człowiek czynu, wielki umysł obarczony poważną odpowiedzialnością, musi rozładować tłumione napięcia. Takie rozrywki były dla człowieka pokroju Oby niezbędnym zaworem bezpieczeństwa.

Pochylił się nad Mord-Sith i szeroko uśmiechnął prosto w jej otwarte oczy. Spotka ją ten zaszczyt, że pierwsza go posiadzie. Matka Spowiedniczka musi zaczekać na swoją kolej. Wyciągnął łapę, by zedrzeć z niej odzienie.

Głowa Oby zapłonęła nagle niesamowitym, oślepiającym bólem. Przyciskał dłonie do uszu, póki się to nie skończyło - gdy wreszcie się zgodził.

Głos miał rację. Jasne, że miał - teraz to rozumiał. Oba będzie mógł zająć należne mu miejsce dopiero wtedy, kiedy Richard Rahl umrze. To miało sens. Najlepiej wykonać wszystko jak trzeba. Prawdę mówiąc, źle by zrobił, dając rozkosz tym kobietom, zanim wykona to, co musi. Cóż sobie myślał? One jeszcze na niego nie zasłużyły. Najpierw powinny w nim ujrzyć ważnego człowieka, którym wkrótce zostanie, a potem błagać, żeby mogły do niego należeć. Nie zasłużą na niego, póki nie będą błagać. Musi być szybki. Głos powiedział, że wkrótce się obudzą, że lord Rahl raz-dwa

wymyśli, jak złamać czar snu.

Oba wyciągnął nóż i podkradł się do brata. Richard Rahl dalej wpatrywał się tępo w gwiazdy.

- No i kto teraz jest głupkiem? - zapytał Oba.

Lord Rahl nie miał na to odpowiedzi. Młodzieniec przytknął mu nóż do gardła, ale głos ostrzegł go i wypełnił umysł tym, co należy zrobić. Musi to zrobić jak trzeba. Musi się spieszyć. Nie ma czasu na taką pospolitą zemstę. Istniały o wiele lepsze sposoby ukarania tego typu za wszystkie te lata, kiedy trzymał Obę z dala od należnego mu miejsca. Tak, tego właśnie potrzebował Richard Rahl: odpowiedniej kary.

Oba odłożył nóż i ile sił w nogach pobiegł ku najbliższemu wzgórz. Kiedy wrócił ze swoim koniem, cała czwórka nadal leżała w błękitnej mgle, gapiąc się w gwiazdy.

Zrobił, jak chciał głos, i podniósł Matkę Spowiedniczkę. Była mu obiecana. Dostanie ją, kiedy już nie będzie potrzebna głosowi. Oba może zaczekać. Głos obiecał mu rozkosze, jakich młodzieniec sam nigdy by nie wymyślił. Coraz bardziej okazywało się, jaka to korzystna współpraca. Za tę drobną robotę i niewielką zwłokę Oba dostanie to, co mu się słusznie należy: władzę nad D'Harą i kobietę, która zostanie jego królową.

Królowa. Oba zastanawiał się nad tym, przerzucając jej ciało przez tylną część siodła. Królowa. Gdyby ona była królową, to on musiałby być królem. Uznał, że brzmiałoby to lepiej niż lord Rahl. Król Oba Rahl. Tak, to brzmiało o wiele lepiej. Szybko ją przywiązał.

Zanim dosiadł konia, zerknął na brata. Nie mógł go zabić. Jeszcze nie. Głos miał plany. Wsunął stopę w strzemię. Głos go połechtał. Oba odwrócił się, spojrział.

A gdyby tak...

Ostrożnie wrócił ku Richardowi. Na próbę dotknął miecza. Głos mruczał pobłażliwie.

Król powinien mieć odpowiedni miecz. Oba szeroko się uśmiechnął. Zasłużył na małą nagrodę za całą tę ciężką robotę.

Przełożył pendent przez głowę Richarda. Podniósł pochwę, obejrzał swój nowy, lśniący miecz. Na rękojeści, po obu stronach, upleciono jakieś słowo.

PRAWDA.

A to ci dopiero.

Przełożył pendent przez głowę, zawiesił pochwę u biodra. Zanim dosiadł konia, poklepał nową żonkę po siedzeniu. Już w siodle, uśmiechnął się od ucha do ucha. Zatoczył koniem krąg, a głos wskazał mu właściwy kierunek.

Szybko, szybko, zanim ocknie się lord Rahl. Szybko, szybko, zanim go złapią. Szybko, szybko, odjechać z nową panną młodą.

Uderzył konia piętami i pomknęli. Psy wyskoczyły z lasu, wierna eskorta króla.

ROZDZIAŁ 57

Jennsen stała przed przysadzistymi budynkami z wysuszonych na słońcu cegieł i beczynnie przyglądała się jałowej ziemi, prażącej się pod przeraźliwie błękitnym niebem. Skały, bezkresna płaszczyzna twardego gruntu po prawej, poszarpana linia gór gwałtownie obniżających się ku odległej roziskrzanej dolinie po lewej - wszystko było w tych samych czerwono-szarawych odcieniach, co stłoczone w pobliżu przysadziste budynki.

Suche powietrze było tak gorące, iż miała wrażenie, że pochyla się nad ogniskiem i próbuje oddychać. Pałący żar emanował ze skał i otaczających dziewczynę budynków, z ziemi pod jej stopami, jakby pod spodem tkwił piec hutniczy. Dotknięcie gołymi rękami czegoś, co smażyło się w bezlitosnym słońcu, sprawiało ból. Nawet ocieniona rękojeść noża była gorąca.

Jennsen, znużona, oparła się o niski murek. Niemal zeszywniała po długiej i trudnej podróży. Poklepała kark Rusty i pogłaskała jej ucho, kiedy klacz cicho zarżała i przysunęła łeb. Nareszcie niemal kres podróży. Niemal zapomniała, jak to się wszystko zaczęło owego odległego dnia, kiedy na dnie wąwozu znalazła martwego żołnierza i kiedy pojawił się Sebastian.

Nigdy by wtedy nie odgadła, jak długą i dręczącą podróż szykuje jej los. Już prawie sama siebie nie poznawała. Wtedy nie domyśliłaby się, jak bardzo zmieni się jej życie, jak ona sama się zmieni.

Złapał ją za ramię Sebastian ciągnący Pete'a.

- Wszystko w porządku, Jenn?

Pete szturchał łbem bok Rusty, jakby pytał o to samo.

- Tak - odparła. Uśmiechnęła się do niego i wskazała grupę mężczyzn w czarnych szatach, stojącą w drzwiach pobliskiego budynku. - Udało się?

- Pyta innych. - Westchnął z irytacją. - To dziwni ludzie.

Kupcy, którzy podróżowali przez rozległe bezludne ziemie i czasami korzystali z opuszczonych placówek, gdzie Sebastian ich odnalazł, byli niezależnymi ludźmi, choć należeli do Starego Świata i do dziedziny Imperialnego Ładu. Pewnie nie byli na tyle liczni, żeby się nimi przejmować, więc Ład zostawiał ich w spokoju.

Sebastian oparł się o murek obok Jennsen i zapatrzył na ciche pustkowie.

I jego zmęczył długi powrót do ojczystego Starego Świata. Ale przynajmniej był zdrowy, jak obiecała Siostra Perdita.

Podróż w niczym nie przypominała tej, której Jennsen się spodziewała. Wyobrażała sobie, że będą z Sebastianem sami, jak wtedy, kiedy zdążali do armii Imperialnego Ładu. Ale za nimi ciągnęło tysiąc żołnierzy. Sebastian nazywał ich małą eskortą. Powiedziała mu, że wołałaby jechać sama, lecz odparł, że są ważniejsze okoliczności.

Jennsen mimowolnie drapała skórzane lejce i obserwowała postaci w czerni.

- Ludzie boją się tych wszystkich żołnierzy - powiedziała do Sebastiana. - To dlatego nie chcą z nami gadać.

- Czemu tak myślisz?

- Widać to choćby po sposobie, w jaki spozierają. Próbują się domyślić, czy zdradzenie nam czegoś nie wpędzi ich w tarapaty.

Pojmowała, jak się czuje grupka kupców, której bacznie przygląda się tyłu okrutnych żołnierzy na wielkich kawaleryjskich koniach - jak to jest, kiedy cię obserwują ponurzy żołnierze w skórzanych pancerzach i kolczugach, obwieszeni bronią. Ludzie w czerni, ze swoimi jucznymi mułami, byli kupcami, a nie żołnierzami, nie byli też przyzwyczajeni do kontaktów z wojskiem. Bali się o swoje bezpieczeństwo, o to, że jeżeli powiedzą coś nie tak, to ci wojownicy mogą ich wybić na tym pustkowiu. A jednocześnie, choć konni ogromnie ich przewyższali liczebnością, kupcy nie pozwalali się zastraszyć, żeby później tego przeciw nim nie wykorzystywano. Teraz naradzali się i zastanawiali, co im zapewni bezpieczeństwo. Sebastian oderwał się od murka.

- Może i masz rację. Wejdę tam i sam z nimi pogadam. W ich budynku, a nie na zewnątrz, nie na oczach wojska.

- Pójdę z tobą,

- Co się dzieje? Co zamierzasz? - spytała Siostra Perdita, podchodząc do nich.

Sebastian zbył ją machnięciem ręki.

- Uważam, że chcą się potargować. Są kupcami. I właśnie to robią: targują się. Próby przymuszenia ich mogą dać efekt przeciwny do zamierzonego.

- Wejdę tam i sprawię, że zmienią zdanie - rzekła Siostra, pełna złych

zamiarów.

- Nie - sprzeciwił się Sebastian. - Nie czas na komplikowanie prostych spraw. W razie potrzeby zawsze zdążymy wyrzucić presję. Pozwól, że najpierw pójdziemy tam z Jennsen i pogadamy z nimi.

Jennsen, ciągnąc za sobą Rusty, odsunęła się od gniewnej Siostry Perdity i przyłgnęła do Sebastiana. Oprócz eskorty z tysiąca żołnierzy ta podróż przyniosła jeszcze coś nieoczekiwanego - Siostra Perdita postanowiła z nimi jechać. Powiedziała, że to konieczne, na wypadek gdyby Jennsen potrzebowała pomocy w zbliżeniu się do lorda Rahla.

A dziewczyna chciała wbić nóż w tego krwiożerczego bękarta Rahla Poępnego i raz na zawsze z tym skończyć. Już dawno straciła nadzieję, że się uwolni i będzie żyła swobodnie. Wszystko się zmieniło po owej nocy w lesie z Siostrą Perditą i siedmioma innymi. Dobiła targu i wiedziała, że nie będzie miała życia, gdy wreszcie zabije Richarda Rahla. Ale przynajmniej wszyscy inni będą wolni. Świat wyswobodzi się wreszcie od jej przyrodniego brata i jego panowania.

A ona się zemści. Mama, której odmówiono przyzwoitego pochówku, będzie w końcu mogła spoczywać w pokoju, wiedząc, że jej mordercę dosięgła sprawiedliwość. Tyle przynajmniej mogła dla niej zrobić.

Jennsen z Sebastianem zaprowadzili Rusty i Pete'a na mały boczny wybieg, gdzie czekał koń Siostry. Oba wierzchowce z zadowoleniem powitały cień i koryto wody.

Dziewczyna zamknęła małą rozchwianą bramkę na padok i poszła za Sebastianem ku cienistemu wejściu do przysadzistego budynku. Umilkły szwargoczące głosy mężczyzn, które rozbrzmiewały w jedynej izbie. Wszyscy byli w tradycyjnych czarnych szatach, stroju wędrownych kupców z tej części świata.

- A teraz nas zostawcie - rzekł wódz, kiedy zobaczył wchodzących Jennsen i Sebastiana. Gestem nakazał innym, by wyszli.

Tamci - spoglądając na nią przez szczeliny w czarnej materii, którą zasłaniaли usta i nosy - skinęli głowami i wyszli jeden za drugim. Zmarszczki wokół oczu mogły świadczyć, że się do niej uśmiechają, ale nie była tego pewna. Na wszelki wypadek odwzajemniła i uśmiech, i skinienie.

Nieruchome powietrze w izbie było gorące, ale przynajmniej cień przynosił ulgę. Ten, który pozostał, nie podciągnął fałd czarnej materii -

wisiały wokół jego szyi, odsłaniając uśmiechniętą ogorzałą twarz.

- Wejdz, proszę - powiedział do Jennsen. - Wyglądasz na rozpaloną.

- Rozpaloną? - spytała.

- Przegrzaną - odparł. - Nie jesteś odpowiednio ubrana. - Podeszedł do znajdujących się z boku półek z surowych desek i wrócił z jednym z leżących tam czarnych tobołków. - Włóż to, proszę. - Podesunął jej kilkakrotnie tobołek, nalegając, by go przyjęła. - Będzie ci lepiej. Osłoni cię to przed słońcem i zatrzyma pod spodem twój pot, więc nie wyschniesz na kamień.

Jennsen skłoniła głowę przed niewysokim, żyłastym mężczyzną i uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- Dziękuję.

- I co? - zapytał Sebastian, kiedy tamten odwrócił się od dziewczyny. Ze znużeniem zdjął plecak. - Nie udało się niczego od nich wyciągnąć?

Postać w czarnym stroju odchrząknęła.

- Oni mówią, że być może...

Strateg niecierpliwie przewrócił oczami, ale potem domyślił się ukrytej aluzji, sięgnął do kieszeni i wyjął srebrną monetę.

- Przyjmij, proszę, to zadośćuczynienie za wysiłki twoich ludzi.

Mężczyzna z szacunkiem przyjął monetę, ale widać było, że srebrny pieniążek nie był tym, na co liczył. Wyraźnie się wahał, czy powiedzieć, że to za mało. Jennsen nie mogła uwierzyć, że Sebastian w takiej chwili oszczędza na wydatkach. Wyjęła z kieszeni ciężką złotą monetę i - nie pytając go o zdanie - podała owemu mężczyźnie. Pochwycił pieniążek i rozchylił pięść na tyle, żeby zerknąć dla potwierdzenia. Uśmiechnął się do niej z uznaniem. Sebastian spojrzał na nią niezadowolony.

To były splamione krwią pieniądze lorda Rahla, pieniądze, które dał żołnierzom wysłanym, by zabili i ją, i mamę. To był najlepszy użytek, jaki mogła dla nich wymyślić.

- Nie potrzebuję ich - rzekła, nim ją zdążył napomnieć. - A poza tym, czy to nie ty twierdziłeś, że wykorzystujesz to, co należało do wroga, żeby mu odpłacić pięknym za nadobne?

Sebastian powstrzymał się od komentarzy i powiedział do tamtego:

- No, to jak?

- Wczoraj, pod koniec dnia - zaczął ów człowiek, wreszcie bardziej rozmowny - kilkoro naszych zauważyło dwóch ludzi podążających ku

Filarom Świata. - Podeszedł do niewielkiego odsłoniętego okna obok półek ze skromnymi produktami i czarnym przyodziewkim i wskazał: - Tamtędy. Tam jest coś w rodzaju szlaku.

- Czy ci ludzie z nimi rozmawiali? - zapytała Jennsen, niecierpliwie podchodząc. - Wiedzą, kto to był?

Tamten patrzył to na nią, to na Sebastiana. Wahał się, najwyraźniej zażenowany odpowiedzią na tak bezpośrednie pytanie kobiety, choć to właśnie ona zapłaciła oczekiwaną cenę. Sebastian wzrokiem dał jej znak, że on się tym zajmie. Jennsen cofnęła się ku drzwiom i wyjrzała na zewnątrz, udając, że nie interesuje się tym, czy Sebastian uzyska potrzebne im informacje. Właśnie po to, żeby je uzyskać.

Wyobrażała sobie, jak uderza nożem lorda Rahla, i serce jej waliło. W tle owego obrazu majaczyło wspomnienie straszliwej ceny, jaką przyjdzie jej zapłacić za zwabienie brata tam, gdzie miała go zabić.

Strateg otarł pot z czoła, rzucił ciężki plecak na podłogę. Ten łupnął ze szczękiem i przewrócił się. Trochę rzeczy się wysypało. Zirytowany, chciał je podnieść, ale Jennsen mu nie pozwoliła.

- Zajmę się tym - szepnęła, gestami nakazując, by wrócił do niewysokiego jegomościa w czerni.

Sebastian oparł się o ciężki, z wyglądu bardzo stary stół z desek i skrzyżował ramiona.

- Czy twoi ludzie mieli okazję pogadać z tamtą dwójką?

- Nie, panie. Nie byli dość blisko. Stali na obrzeżu i patrzyli, jak koń przejeżdża poniżej.

Jennsen podniosła kawałek ługowego mydła i włożyła je do plecaka. Złożyła i schowała brzytwę oraz dodatkowy bukłak, który też wypadł. Podniosła jakieś drobiazgi - krzemień, kawałki zawiniętego w płótno suszonego mięsa, osełkę. Z plecaka wypadła też i potoczyła się pod niską półką puszka, której nigdy przedtem nie widziała.

- Jak wyglądali ci jadący konno? - zapytał Sebastian, stukając palcem w stół.

Jennsen sięgnęła pod półkę. Nasłuchiwała bacznie, czekając, czy usłyszy, że mógł to być Richard Rahl. Nie potrafiła sobie wyobrazić, kto inny by to mógł być. Nie uwierzyłaby w zbieg okoliczności.

- To byli mężczyzna i kobieta. Na jednym koniu.

Pomyślała, że to dziwne, iż jechali na jednym koniu. Niby na to właściwie czekała - lord Rahl i jego żona, Matka Spowiedniczka - ale dziwne, że na jednym wierzchowcu. Może drugiemu coś się stało. W tak niebezpiecznej krainie było to całkiem możliwe.

- Kobieta, ona... - Człowiek w czerni skrzywił się, skrępowany tym, co musiał powiedzieć. - Ona nie siedziała, ale leżała - wykonał gest, jakby przerzucał coś przez konia - przewieszona przez grzbiet. I przywiązana liną.

Jennsen wyciągnęła szybko puszkę, zaskoczona tym, co usłyszała, i zawadziła pokrywką o brzeg półki. Zawartość puszek rozsypała się przed nią na podłodze.

- A jak wyglądał mężczyzna? - spytał Sebastian.

Najpierw wypadł krótki kawałek drewna owinięty szpagatem i zakończony haczykami na ryby, za nim zaś ciemny stosik wysuszonych kwiatów róży górskiej gorączki. Jennsen wpatrywała się w ów stosik. Wyglądały jak dziesiątki maleńkich Grace.

- Mężczyzna był wysoki i młody. Miał wielki miecz, opowiadali moi ludzie. Błyszcząca pochwa wisiała na przerzuconym przez ramię pendencie.

- To mi wygląda na Richarda Rahla - odezwała się od drzwi Siostra Perdita, czym wystraszyła Jennsen.

- Inni też mają miecze z pendentem - powiedział Sebastian.

Ekscytująca wieść, że dostrzeżono Richarda Rahla - chociaż dziewczyna nie mogła pojąć, dlaczego miałyby przerzucać żonę przez koński grzbiet i przywiązywać - sprawiła, że Jennsen pospiesznie zebrała z podłogi suszone kwiaty róży górskiej gorączki i wsypała je do puszek, a na wierzch położyła szpagat. Nałożyła wieczko i wepchnęła puszkę do plecaka wraz z resztą rzeczy. Sprawdziła, jak nóż tkwi w pochwie u pasa, i prędko podeszła do Sebastiana, żeby posłuchać, co jeszcze ma do powiedzenia żyłasty mężczyzna w czerni. Siostra Perdita wyszła na zewnątrz i owijała się ochronnym czarnym strojem.

- Chodźcie! - zawołała Siostra. - Musimy się tam dostać.

Jennsen chciała iść za nią, ale Sebastian nadal wypytywał człowieka w czerni. Nie miała ochoty zostawiać przyjaciela i jechać tylko z Siostrą Perditą, jednak ta już się kierowała ku trasie wskazanej przez kupca.

Z zewnątrz, zza budynków, dobiegały podekscytowane głosy kupców. Jennsen wyjrzała zza narożnika - wskazywali coś widocznego na płaskim,

spieczonym słońcem gruncie.

- Co jest? - zapytał Sebastian, wychodząc za mężczyzną w czarnym stroju.

- Ktoś się zbliża - odparł kupiec.

- Któż to może być? - wyszeptała Jennsen do Sebastiana, kiedy do niej podszedł.

- Nie wiem. Może nadciąga jakiś inny kupiec.

Niewysoki zylasty człowiek odpowiedział już na pytania, skłonił się i chciał odejść do swoich ludzi stłoczonych w cieniu rzucanym przez jeden z budynków. Sebastian kazał mu poczekać, wrócił do środka i zdjął z półki czarny tobolek.

- Lepiej dokończmy Siostrę Perdite - powiedział, patrząc, jak ta znika za krawędzią szlaku wiodącego w drżące od żaru powietrze nad okolicą Filarów Świata. - Ochroni cię przed magią Richarda Rahla i pomoże dopełnić czynu.

Jennsen chciała powiedzieć, że nie potrzebuje ochrony Siostry Perdity, że magia lorda Rahla jej nie zaszkodzi - ale nie był to czas na rozmowę o tych sprawach, na wyjaśnianie wszystkiego. Jakoś nigdy nie było na to odpowiedniej pory. Poza tym i tak nie miało znaczenia, co Sebastian myśli o jej szansach na dotarcie do Richarda Rahla. Ważne, by doń podeszła.

Stali w prażącym słońcu i patrzyli na mały punkcik gnający przez bezkresną płaszczyznę. Żar sprawiał, że odległe tereny falowały jak powierzchnia dalekiego jeziora. Za samotnym jeźdźcem ciągnęła się cienka smużka pyłu. Ich eskorta gorączkowo sprawdzała broń.

- Czy to jeden z twoich ludzi? - zapytał Sebastian wodza odzianych w czerń mężczyzn.

- Tutejsza ziemia mami wasz wzrok - odparł zapytany. - Nadal jest zbyt daleko. To tylko żar sprawia, że wydaje się, jakby był bliżej. Jeszcze trochę czasu minie, zanim do nas dotrze i dowiemy się, kto to. - Uśmiechnął się do Jennsen, zachęcił ją gestem. - Włóż to odzienie, okryje cię przed słońcem.

Dziewczyna nie protestowała, narzuciła na ramiona lekkie, przypominające pelerynę okrycie. Owinęła głowę długą szarfą - jak to podpatrzyła u kupców - osłoniła nią usta i nos. Zdumiała się, jak szybko czarny strój osłonił ją przed żarem. Jakby stanęła w cieniu. Cóż to była za ulga.

Oczy kupca uśmiechnęły się, kiedy zobaczył jej minę.

- Przyjemnie, prawda? - spytał przez czarną maskę.

- Tak - odparła. - Dziękuję za pomoc. Ale musimy ci zapłacić za to, co nam dałeś.

- Już zapłaciliście - odrzekł z błyskiem w oku. Potem spojrzął na Sebastiana owijającego głowę czarną szarfą. - Powiedziałem ci wszystko, co mogłem, wszystko, co wiemy. Teraz odchodzę z moimi ludźmi.

Nim Sebastian zdążył odpowiedzieć, mężczyzna już szedł pospiesznie przez spieczoną ziemię ku grupie swoich ludzi czekających z mułami. Ruszyli, ciągnąc za sobą zwierzęta, by jak najszybciej oddalić się od żołnierzy.

Kierowali się na południe, w przeciwną stronę niż ta, z której nadciągał samotny jeździec.

- Skoro mógł to być jeden z nich - rzekł jakby do siebie Sebastian - to czemu nie czekali?

Popatrzył niecierpliwie ku traktowi, na którym zniknęła Siostra Perdita, a potem dał znak żołnierzom czekającym w siodłach. Groźny oddział ruszył ku niemu po twardej ziemi, wzbijając leniwy obłok kurzu.

- Musimy tam zejść - rzekł Sebastian, wskazując ku dolinie z Filarami Świata. - Zaczekajcie tu na nasz powrót.

Prowadzący kolumnę oficer wsparł się o łęk siodła.

- Co każesz z tym zrobić? - zapytał. Tłuste kosmyki włosów zsunęły mu się z ramienia, kiedy wskazał podbródkiem odległego jeszcze jeźdźca.

Sebastian odwrócił się i spojrzął na galopującego ku nim konia.

- Zabijcie go, jeżeli wzbudzi jakiekolwiek podejrzenia. To za poważna sprawa, żeby teraz ryzykować.

Oficer nieznacznym skinieniem głowy skwitował jego słowa, a Jennsen po wyrazie oczu i ponurych uśmiezkach tkwiących za nim żołnierzy poznała, że są zadowoleni z rozkazów.

- Ruszajmy - odezwał się Sebastian. - Chcę dogonić Siostrę Perditę, zanim zbyt nas wyprzedzi.

- Nie martw się - powiedziała mu Jennsen - bardziej od Siostry Perdity chcę dopaść lorda Rahla.

ROZDZIAŁ 58

Na jałowej równinie czuło się prażący żar, lecz schodzenie traktem przypominało zagłębianie się w wielki piec. Każdy oddech wypełniał płuca rozpalonym powietrzem i Jennsen miała wrażenie, że smaży się i od środka. Powietrze przed stromymi ścianami falowało niczym żar połyskujący nad ogniskiem.

Miejscami trakt znikał pod rozkruszoną skałą. Gdzie indziej dołek wydrążony w miękkim piaskowcu wskazywał kierunek. A gdzieniegdzie trakt wiódł naturalnymi szlakami i był tak dobrze widoczny, że nie można się było pomylić. Niekiedy musieli przechodzić przez całkowicie maskujące szlak osypiska i tylko mieć nadzieję, że potem odnajdą drogę. Jennsen na tyle znała się na takich szlakach, by wiedzieć, że ten jest strasznie stary i nie używany.

Chociaż nic nie mogło osłabić przeraźliwego żaru, czarne stroje, które dostali od kupców, chociaż trochę przed nim chroniły. Czarny materiał wokół oczu wchłaniał jaskrawe promienie, strzegł przed sprawiającym ból blaskiem, ułatwiał patrzenie. Jakąż ulgę przynosiła ocieniająca twarz materia - cienka tkanina wcale się nie nagrzewała, czego bała się Jennsen, ale osłaniała odkrytą skórę ramion i szyi przed palącym słońcem i trochę chroniła przed ciepłem.

Kiedy zdążali z Sebastianem wiodącym w dół szlakiem, wkrótce - ku przerażeniu Jennsen - okazało się, że znów idą pod górę stokiem schodzącego w dolinę skalnego fałdu. Skalisty grunt był tak stromy, że zejście wprost w dół byłoby raczej niemożliwe, a już na pewno bardzo trudne, więc szlak przecinał owe fałdy skalne, by tak stromo nie opadać. W zamian trzeba było schodzić z jednego skalnego fałdu i natychmiast wspinać się na drugi. Nie mieli wyboru, musieli iść tym to opadającym, to znów wznoszącym się szlakiem. Te ciągłe wspinaczki i zejścia przeraźliwie męczyły mięśnie ud i łydek dziewczyny.

Dobrze pamiętała, jak Sebastian powiedział jej kiedyś, że nikt nie ryzykuje wyprawy do doliny z Filarami Świata. Teraz pojmowała dlaczego. Wygląd szlaku potwierdził, że to prawda - przynajmniej w tym miejscu. Przypomniała też sobie, jak mówił, że jeśli ktoś już zapuścił się w główną

dolinę, to nigdy nie wracał, żeby o tym opowiedzieć. Zgadywała, że nie musi się o to troszczyć.

Gdy zeszli niżej, w skalistym terenie otworzyły się ziejące szczeliny i głębokie rozpadliny, tworząc stojące samotnie skalne ściany, jakby je ktoś tam odrzucił i tak zostawił. Gdy podążali krawędzią ogromnych urwisk, niektóre iglice skalne wznosiły się niemal do krawędzi doliny. Patrzenie na takie niebotyczne skalne wieżycy wywoływało zawroty głowy. Miejscami musieli przeskakiwać głębokie pęknięcia. A gdzie indziej aż serce zamierało na widok tego, co musieli minąć, żeby iść szlakiem.

Siostra Perdita stała na grzbiecie jednego ze skalnych fałdów, które przecinał schodzący kręto w dół szlak, i czekała na nich. Przyglądała się im z milczącym niesmakiem trwale zapisanym w liniach jej surowej twarzy. Wydłużające się cienie nadawały owemu miejscu osobliwy, nowy aspekt. Zachodzące słońce tak podświetlało wszystkie krawędzie, że jeszcze wyraźniej było widać, jaka to straszna i groźna okolica. Sebastian oparł dłoń na plecach Jennsen i przynaglił ją, kiedy przecinali otwarty płaski odcinek szlaku, biegnącego wśród niesamowitych skalnych kolumn sterczących niczym pnie drzew, które utraciły korony i wszelkie gałęzie.

Odkąd opuścili kupców, Jennsen miała wrażenie, że coś jest nie tak, lecz Sebastian tak ją popędzał, że nie mogła się zastanowić nad tym, co ją tak niepokoi. Siostra Perdita czekała na nich z gniewną miną.

Dziewczyna po raz kolejny sprawdziła, czy ma nóż. Czasami tylko muskała srebrną rękojeść. Tym razem nieco go uniosła, by sprawdzić, czy luźno siedzi w pochwie, a potem wcisnęła, żeby usłyszeć uspokajające metaliczne szczęknięcie.

Kiedy pierwszy raz zobaczyła nóż, przy martwym d'harańskim żołnierzu, pomyślała, że to groźna broń. I nadal tak uważała. Na początku widok ozdobnego „R” ją przeraził - i nie bez powodu - ale teraz dotknięcie owej litery uspokajało, dając nadzieję, że wreszcie pozbędzie się zagrożenia. Oto dzień, w którym nareszcie dokona tego, o czym Sebastian powiedział jej tej pierwszej nocy. Posłuży się tym, co należało do wroga, żeby weń uderzyć.

Sebastian również miał wiele ciężkich przeżyć od owej pierwszej nocy, kiedy to musiał walczyć z żołnierzami, chociaż trawiła go gorączka. Nigdy nie zapomni, jaki był wtedy dzielny i jak walczył, chociaż był chory. O wiele gorsza od tamtej gorączki była rana zadana magią czarodziejki Adie, rana,

od której omal nie umarł. Jennsen cieszyła się, że wyzdrowiał i będzie żył, choćby to miało być życie bez niej.

- Sebastianie - odezwała się, uświadomiwszy sobie nagle, że nigdy się z nim nie pożegnała. Nie chciała tego mówić przy Siostrze Perdicie, więc zatrzymała się, odwróciła i zsunęła z ust czarną szarfę. - Chcę ci podziękować, Sebastianie, za to, coś uczynił, żeby mi pomóc.

Zaśmiał się przez maskę z czarnego materiału.

- Mówisz tak, jakbyś miała zaraz umrzeć.

Jak mogła mu powiedzieć, że właśnie tak się stanie?

- Nie wiemy, co się wydarzy.

- Nie trap się - rzekł niefrasobliwie. - Nic ci się nie stanie. Siostry pomogły ci swoją magią, kiedy mnie uzdrawiały, a teraz będzie przy tobie Siostra Perdita. I ja też. W końcu pomścisz swoją matkę.

Nie wiedział, jaką cenę Siostry wyznaczyły za swoją pomoc i pomstę. Nie potrafiła mu tego wyznaczyć, ale koniecznie chciała coś powiedzieć.

- Jeśli coś mi się stanie, Sebastianie...

- Jenn - ujął ją za ramiona, zajął w oczy - nie mów tak. - Nagle zmarmotniał. - Nie mów takich rzeczy, Jenn. Nie mogę znieść myśli o życiu bez ciebie. Kocham cię. Ciebie jedną. Nie wiesz, ile dla mnie znaczysz, jak odmieniłaś moje życie. Nigdy nie sądziłem, że może takie być, o wiele lepsze, niżbym się spodziewał. Nie chcę już być bez ciebie. Nie potrafiłbym żyć bez ciebie. Odkąd cię mam, świat jest wspaniały. Kocham cię nieprzytomnie. Nie dręcz mnie słowami, że może cię zabraknąć.

Jennsen wpatrywała się w jego oczy - równie błękitne, jak podobno były oczy jej krwiożerczego ojca - i nie potrafiła znaleźć słów, żeby mu to wyjaśnić, powiedzieć, co czuje, powiedzieć mu, że ją od niego zabiorą i będzie musiał samotnie stawiać czoło życiu. Wiedziała, jak straszliwe jest poczucie samotności. Po prostu skinęła głową i odwróciła się w kierunku celu, osłaniając twarz czarną szarfą.

- Pospieszmy się - powiedziała. - Siostra Perdita czeka.

Siostra patrzyła gniewnie na Jennsen z za swojej czarnej maski, czekając na wietrze na szerokiej płaskiej skale. Dziewczyna dojrzała, że za Perdita szlak opada stromo w mroki, ku Filarom Świata. Kiedy znaleźli się bliżej, Jennsen zorientowała się, że Siostra wcale nie spoziera na nią groźnie, lecz patrzy w stronę, z której nadeszli.

I oni się odwrócili, żeby zobaczyć, czemu się tak uważnie przygląda. Z owego wysokiego punktu obserwacyjnego dziewczyna zauważyła, że dotarli do rozwidlenia szlaku. Opadał stąd gwałtownie stokiem skalistego fałdu aż na dno doliny. Obejrzała się na szerokie wąwozy i skaliste fałdy, które już przebyli, i przekonała się, że znów stali niemal na wysokości krawędzi doliny. Widziała - pomniejszone przez oddalenie - skupisko przysadzistych budynków.

Jeździec był tuż-tuż, galopował wprost ku szlakowi, którym oni poszli. Przed początkiem traktu czekał na niego oddział liczący tysiąc żołnierzy. Za pędzącym koniem ciągnął się obłok kurzu.

Spieniony, gnający pełnym galopem koń nagle zmylił krok. Ugięły się pod nim przednie nogi. Biedne zwierzę, martwe z wyczerpania, runęło na skalisty grunt.

Dosiadający go mężczyzna płynnie zsunął się z padającego wierzchowca. Nawet się nie zachwiał; dążył w stronę szlaku. Nosił ciemną odzież, ale inną niż wędrowni kupcy. Wiatr rozwiewał za nim złocistą pelerynę. I wydawał się o wiele, wiele wyższy od kupców.

Zdązał prosto ku szlakowi. Dowódca jazdy krzyknął doń, żeby się zatrzymał. Chyba nawet nie odpowiedział. Nie zwrócił na nich uwagi i zdecydowanie szedł ku traktowi. Tysiąc gardzieli wydało przeraźliwy bojowy wrzask, żołnierze zaatakowali.

Biedak nie dobył żadnego oręża, nie wykonał żadnego groźnego ruchu ku żołnierzom. Jazda Ładu pędziła ku niemu, on zaś jedynie wyciągnął ku nim rękę, jakby im nakazywał, by się zatrzymali. Jennsen - za sprawą rozkazów Sebastiana i tego, jak spieszyli ku samotnemu człowiekowi - wiedziała, że nie mają zamiaru się zatrzymać, chyba po to, żeby go pozbawić głowy.

Patrzyła z przerażeniem na zbliżającą się śmierć, patrzyła, jak urzeczona na pędzących ku niemu żołnierzy.

Krawędź doliny rozświetliła nagle gwałtowna eksplozja. Jennsen osłoniła oczy - chociaż ocieniała je już czarna szarfa - i zachłysnęła się oddechem, ale ze zdumienia. Splotły się dwie błyskawice - oślepiająco biała i przeraźliwie czarna, wyglądająca jak powstała w świecie próżnia - straszliwa moc uwolniona w jednej chwili.

Wyglądało to tak, jakby w jednym punkcie skupiła się cała oślepiająca

jaskrawość spieczonej równiny i straszliwy żar Filarów Świata. W jednej chwili nacierający oddział otoczyła rozjarzona czerwona chmura. Potem nagle zniknęło oślepiające światło, ucichł ogłuszający grzmot - i nikt z atakujących nie przeżył.

Samotny mężczyzna dążył wśród dymiących szczątków ludzi i koni ku początkowi szlaku, nie przystanął ani na chwilę.

I w determinacji owego człowieka, jeszcze wyraźniej niż w uczynionym przezeń spustoszeniu, Jennsen rozpoznała jego straszliwy gniew.

- Drogie duchy - wyszeptała. - Co się stało?

- Zbawienie osiąga się tylko przez poświęcenie - oznajmiła Siostra Perdita. - Ci żołnierze zginęli w służbie Ładu, a więc służąc Stwórcy. To największa łaska Stwórcy. Nie należy po nich rozpaczać, bo dzięki lojalnemu dopełnieniu obowiązku zyskali zbawienie.

Jennsen mogła się jedynie w nią wpatrywać.

- Kto to? - zapytał Sebastian, patrząc, jak samotny mężczyzna dociera do krawędzi doliny Filarów Świata i natychmiast zaczyna schodzić szlakiem. - Domyślcie się?

- To nie jest ważne. - Siostra Perdita obróciła się ku szlakowi. - Mamy misję.

- No to się lepiej pospieszmy - powiedział zatroskanym głosem, wpatrzony w daleką postać, która nadchodziła szybkim, miarowym, nieustępliwym krokiem.

ROZDZIAŁ 59

Jennsen z Sebastianem pospieszyli za Siostrą Perditą, która już zniknęła za szczytem skalnego grzbietu. Dotarli do krawędzi i zobaczyli ją daleko w dole. Dziewczyna obejrzała się ku szlakowi, ale nie zobaczyła samotnego człowieka. Za to dostrzegła, że nad jałową równiną pojawił się wał mrocznych chmur.

- Szybciej! - zawołała ku nim Siostra Perdita.

Jennsen pomknęła w dół ponaglana dłonią Sebastiana na swoich plecach. Siostra biegła jak wiatr, rozwiewały się za nią ciemne szaty. Szlak wcinął się w stok stromej skały. Jennsen nigdy jeszcze tak się nie wysilała, żeby kogoś dogonić. Podejrzewała, że tamta pomaga sobie magią.

Ileokroć dziewczyna traciła równowagę na piargach i starała się o coś wesprzeć, szorstka skała ocierała jej skórę na palcach i dłoniach. Jeszcze nigdy nie schodziła tak stromym szlakiem. Nieustannie osuwały się okruchy skalne zaścielające twarde podłoże, a Jennsen wiedziała, że jeżeli złapie się nie tej skały co trzeba, porozcina sobie dłonie jak o szkło.

Podobnie jak daleko w przedzie Siostra, raz-dwa się zasapała i starała się złapać oddech. Sebastian, biegnący tuż za nią, też był zdyszany. I on się dwukrotnie pośliznął, a raz Jennsen aż krzyknęła i w ostatniej chwili złapała go za ramię, bo runąłby tysiąc stóp w dół.

Jego oczy wyraziły wdzięczność, której zadyszany nie mógł wypowiedzieć słowami.

Dziewczyna, docierając wreszcie na dno doliny po nie kończącym się biegu stromym szlakiem, przekonała się z ulgą, że skalne ściany i wieżycy zasłaniają palące słońce. Spojrzała na niebo, czego od jakiegoś czasu nie mogła zrobić, i uświadomiła sobie, że to nie tylko cienie rzucane przez skały. Niebo - jeszcze kilka godzin temu tak czyste i jaskrawobłękitne - pokrywały skłębione bure chmury, jakby cała dolina Filarów Świata została odcięta.

Znów pomknęła przed siebie, chcąc dogonić Siostrę Perditę. Nie czas przejmować się chmurami. Choć Jennsen była tak wyczerpana, wiedziała, że kiedy nadejdzie czas, znajdzie w sobie dość sił, by zatopić nóż w Richardzie Rahlu, a ów czas był tuż-tuż. Wiedziała, że mama i dobre duchy dadzą jej otuchy i sił. Pamiętała, że obiecano jej też inną moc.

Świadomość, że zbliża się kres życia, wcale nie przerażała Jennsen. Przeciwnie, napępiała ją osobliwym, otępiającym spokojem. Jaką słodczą tchnęła obietnica kresu walki, kresu nieustannego strachu, kresu konieczności podejmowania się czymkolwiek. Już wkrótce znikną wyczerpanie, przeraźliwe ciepło, ból, żal i niepokój.

I w tej samej chwili, choć jedynie na mgnienie - kiedy uświadomiła sobie, że zaraz umrze - poraził ją wszechogarniający strach. To było jej życie, jej jedyne, cenne życie, które nieubłaganie uciekało, a wkrótce zakończy się w lodowatych uściskach śmierci.

Ciemniejące niebo przecięła migotliwa błyskawica. Znowu pojawiły się dalekie rozbłyski, śmigły w ciężkich chmurach, rozświetlając ich wnętrza dziwnym zielonym blaskiem. Gdzieś daleko zagrzmiało - grzmot poniósł się przez rozległą bezludną dolinę. Nierówny odgłos grzmotu pasował do falującego z żaru krajobrazu.

Schodzili i olbrzymie skalne kolumny stawały się coraz większe. Najpierw wyrastały ze szczelin w skalnych fałdach, na samym dole zaś wzbijały się z dna doliny. Teraz, kiedy wreszcie oddalali się od urwisk i zanurzali w dolinę, owe kolumny wyrastały niczym starożytny skamieniały las. Jennsen czuła się wśród nich jak mrówka.

Odgłos ich kroków odbijał się echem pośród skalnych ścian, komór i amfiteatrów, Jennsen zaś nie mogła się nadziwić gładkim bokom kolumn, które wyglądały, jakby je ktoś wygładził niczym rzeka kamienie. Wyglądało na to, że różne warstwy pionowej skały mają różną gęstość, przez co były złobione w różnym tempie, tak więc skalne wieżyce tkwiły pofalowane na całej swojej wysokości. Niekiedy ogromne człony kolumn stały na wąskich podstawach.

Przez cały czas żar przygniatał ją niczym olbrzymi ciężar, z trudem szła po wypełniającym dno ostrym żwirze. Podświetlone kolumny rzucały niesamowite cienie, a głębiej widać było zupełnie ciemne miejsca. A kiedy spojrzała w górę, czuła się tak, jakby patrzyła z głębin świata i ujrzała wyciągające się w górę skały - niekiedy barwione zielenią przez strzelające wśród chmur błyskawice - błagające o zbawienie.

Siostra Perdita sunęła w labiryncie skał niczym duch śmierci, rozwiewały się za nią czarne szaty. Nawet obecność Sebastiana nie dodawała otuchy Jennsen, idącej wśród owych milczących strażników mocy stworzenia.

Ponad ich głowami, ponad wierzchołkami olbrzymich skał, śmignęła błyskawica, jakby przeszukiwała kamienny las. Grzmot wstrząsnął doliną, poleciały na nich skalne odłamy i musieli uciekać lub uskakiwać, żeby ich nie przygniotły. Jennsen dojrzała miejsca, gdzie runęły niegdyś niektóre z olbrzymich filarów. Leżały teraz jak powaleni giganci. Od czasu do czasu musieli przechodzić pod przegradzającym trakt olbrzymim głazem, krocząc niby między przęsłami mostu. Jennsen miała nadzieję, że błyskawica nie zechce trafić w filar tuż nad nimi i nie zmiążdży ich straszliwym ciężarem.

Już myślała, że na dobre zgubią się w ciasnych prześwitach niebotycznych skał, kiedy przez rozstęp pomiędzy wieżycami ujrzała dno doliny. Spośród stłoczonych skalnych kolumn wychodzili na bardziej otwartą przestrzeń, gdzie filary wznosiły się już w pewnej odległości od siebie.

Dno doliny, które z góry wyglądało tak płasko, okazało się gmatwaniną niskich skałek i piargów, poprzecinanych poszarpanymi skalnymi formacjami oraz ciągnącymi się na mile wypiętrzonymi gładkimi kamiennymi płytami. Z wnikających w dolinę coraz węższych skalnych występów sterczały wyniosłe kolumny, tak pojedyncze, jak i stojące w grupach.

Grzmot - niemal stale wstrząsający doliną i dudniący w skalnym lesie - coraz bardziej działał na nerwy. Chmury wisały już tak nisko, że muskały otaczające ich skalne ściany. W odległym krańcu doliny z najciemniejszych chmur prawie cały czas strzelały błyskawice, niektóre przeraźliwie jasne.

Jennsen minęła wielką kamienną iglicę i ze zdumieniem zobaczyła w oddali wóz jadący dnem doliny. Obróciła się, żeby powiedzieć o tym Sebastianowi, a za nią, za nimi, tkwił wielkolud.

Ujrzała czarną koszulę i czarną, rozciętą na bokach tunikę, ozdobioną szerokim złotym pasem ze złocistymi starożytnymi symbolami. Tunikę okalał wielowarstwowy szeroki skórzany pas, do którego przyczepiono skórzane mieszki. Pas zdobiły splecione srebrne pierścienie. Takie same widniały na szerokich srebrnych, podbitych skórą obręczach, które miał na nadgarstkach. Spodnie i buty były czarne. Z szerokich ramion spływała peleryna utkana ze złocistej przędzy.

Nie miał broni poza nożem u pasa, lecz i tak wyglądał jak ucieleśnienie groźby.

Jennsen spojrzała w jego szare oczy - i natychmiast poczuła, że wpatruje się w jastrzębie oczy Richarda Rahla.

Miała wrażenie, że jakaś ręka mocno ściska jej serce. Dobyła noża. Tak zaciskała w dłoni srebrną rękojeść, że aż zbieleły jej kostki palców. Czuła, jak we wnętrze dłoni i w palce wpija się ozdobne „R”, symbol rodu Rahlów - a przed nią stał sam lord Rahl.

Sebastian okręcił się, zobaczył go i stanął za Jennsen.

A ona, szarpana klębiącymi się emocjami, jak sparalizowana tkwiła przed swoim przyrodnim bratem.

- Nie martw się, Jenn - szepnął Sebastian. - Dasz radę. Twoja matka się temu przygląda. Nie zawieź jej.

Richard Rahl obserwował ją bacznie, w ogóle nie zwracając uwagi na Sebastiana ani na stojącą dalej Siostrę Perditę. Dziewczyna wpatrywała się w brata, również niepomna tamtych dwojga.

- Gdzie Kahlan? - zapytał Richard.

Głos miał inny, niż się spodziewała. Władczy, rzecz jasna, ale i przepełniony emocjami: od zimnej furii, poprzez niezachwiane postanowienie, po desperację. W szarych oczach też widniała niezachwiana determinacja.

Jennsen nie mogła oderwać od niego oczu.

- Kim jest Kahlan?

- Matką Spowiedniczką. Moją żoną.

Dziewczyna nie była w stanie się poruszyć, tak ją zaskoczyło to, co widziała i słyszała. To nie był człowiek szukający swojej potwornej towarzyszki, bestialskiej Spowiedniczki, która władała Midlandami żelazną wolą i zwyrodniałą dłońią. Tym mężczyzną kierowała miłość do kobiety. Jennsen widziała, że nic innego go nie obchodzi. Gdyby nie usunęli mu się z drogi, poradziłby sobie z nimi tak jak z owym tysiącem żołnierzy. Nie było co do tego wątpliwości.

Ale Jennsen - w przeciwieństwie do owego tysiąca żołnierzy - była niezwyciężona.

- Gdzie Kahlan? - powtórzył Richard najwyraźniej u kresu cierpliwości.

- Zabiłeś moją mamę - powiedziała dziewczyna, jakby się broniła.

Zmarszczył czoło. Wydawał się szczerze zdumiony.

- Dopiero co się dowiedziałem, że mam siostrę. Friedrich Gilder mi to

powiedział. Zdradził mi też, że masz na imię Jennsen.

Jennsen uświadomiła sobie, że potakuje. Nie mogła oderwać wzroku od jego oczu, widziała w nich własne.

- Zabij go, Jenn! - szeptał Sebastian. - Zabij go. Dasz radę. Jego magia nic ci nie zrobi! Zabij!

Dziewczyna czuła, jak ogarnia ją budzący dreszcz lęk. Coś było nie tak. Zacisnęła mocno nóż, zbierając się na odwagę, a jej głowę wypełnił głos i nie zostawił miejsca na nic innego.

- Lord Rahl przez całe moje życie usiłował mnie zabić. Kiedy zgładziłeś ojca, zająłeś jego miejsce. I posłałeś za mną żołnierzy. Ścigałeś mnie zupełnie jak ojciec. Nasłałeś na nas bojówki. Ty, draniu, nasłałeś ludzi, którzy zabili mamę!

Richard słuchał, nie przerywając jej, a potem powiedział spokojnie i stanowczo:

- Nie obarczaj mnie winą za to, że inni są źli.

Jennsen była wstrząśnięta, bo to bardzo przypominało słowa wypowiedziane przed śmiercią przez mamę.

Richard zacisnął zęby.

- Coś zrobiła z Kahlan?

- Jest teraz moją królową! - poniósł się echem wśród kolumn czyjś głos.

Jennsen wydało się, że rozpoznaje ów głos. Rozejrzała się i nigdzie nie dostrzegła Siostry Perdity.

Richard minął ją jak cień, dążąc ku głosowi... i już go nie było. Straciła okazję, żeby pchnąć go nożem. Nie mogła uwierzyć, że stał tuż przed nią, a ona zmarnowała taką okazję.

- Jenn! - zawołał Sebastian, szarpiąc ją za ramię. - Co z tobą?! Chodź! Jeszcze możesz go dopaść!

Nie wiedziała, co było nie tak. Ale coś na pewno było. Przycisnęła dłonie do głowy, starając się uciszyć głos. Ale nie mogła. Zawarła ugodę i głos bezlitośnie domagał się, żeby jej dotrzymała, dręczył jej umysł takim bólem, jakiego nigdy nie zaznała.

Jennsen usłyszała odgłos, niosący się wśród lasu kamiennych filarów i gwałtownie ruszyła przed siebie, zapominając o wyczerpaniu i skwarze. Biegli z Sebastianem ku owemu odgłosowi między niebotycznymi skałami. Już nie wiedziała, gdzie jest, którądy iść. Pędziła kamiennymi korytarzami,

które wiodły do innych i wiły, biegła pod łukami skał, wśród kolumn, przez cienie i blask. Jakby biegła przez osobliwą, dezorientującą mieszaninę korytarzy i lasów - tyle że tu ściany były ze skał, a nie z tynku, drzewa zaś były kamienne.

Okrążyli jeden ze stojących niczym wartownicy ogromnych filarów - przed nimi był otwarty obszar gładkiej falistej skały i mniejsze skalne kolumny, grube jak bardzo stare sosny.

Do jednej z tych kolumn była przywiązana kobieta.

Jennsen nie miała wątpliwości, że to żona Richarda, Kahlan. Matka Spowiedniczka.

Z innej strony dobiegał ów grzmiący śmiech, drażniący i odciągający Richarda od tego, czego szukał.

Matka Spowiedniczka wcale nie przypominała potwora, jakiego Jennsen sobie wyobrażała. Bezwładnie zwisała w krępujących ją sznurach, była w kiepskim stanie. Przywiązano ją tylko w pasie, jakby dziecko uwiązało do drzewa towarzyszkę zabaw.

Chyba była nieprzytomna - fala włosów spływała ze zwieszanej głowy, ramiona wisały luźno. Odziana była w strój podróźny, lecz ani ów prosty strój, ani częściowo przesłaniające ją włosy nie zdołały ukryć jej piękna. Wyglądała na ledwie parę lat starszą od Jennsen. I raczej już starsza nie będzie.

Siostra Perdita pojawiła się nagle obok niej, złapała ją za włosy, uniosła głowę, przyjrzała się i znów pozwoliła jej opaść.

Przybiegł Sebastian.

- To ona. Chodź.

Dziewczyna poszła za nim i nie potrzebowała głosu, by wiedzieć, że to przynęta mająca zwabić Richarda Rahla i wystawić go na cios.

Zebrała się w sobie, mocniej zacisnęła nóż i podbiegła do Siostry. Stała tyłem do nieprzytomnej kobiety, nie chcąc o niej myśleć ani na nią patrzeć. Skupiła się na czekającym ją zadaniu. Miała właśnie okazję, żeby to zakończyć.

Śmiejący się mężczyzna wyskoczył nagle zza pobliskiego filaru, pewnie po to, żeby przywabić tu ofiarę, Jennsen rozpoznała ten straszliwy uśmiech od ucha do ucha. To tego człowieka widziała owej nocy, kiedy zamordowano czarodziejkę Latheę. To ten człowiek tak wystraszył Betty, jej kożę. Widywała

go w koszmarach.

- Widzę, żeście odnaleźli moją królową - stwierdził mężczyzna z koszmaru.

- Co takiego? - zapytał Sebastian.

- Moją królową - powtórzył tamten, nadal się tak okropnie uśmiechając. - Jestem król Oba Rahl. A ona będzie moją królową.

Teraz Jennsen dostrzegła w jego oczach niewielkie podobieństwo do oczu Nathana Rahla, Richarda i własnych. Nie było tak wyraźne jak w przypadku oczu Richarda, ale wystarczające, by wiedziała, że ów człowiek mówi prawdę - również on był synem Rahla Posępnego.

- Oto i on - powiedział Oba, obracając się i wskazując go gestem - mój brat, dawny lord Rahl.

Richard wyszedł z mroków.

- Nie bój się, Jenn - szeptał jej do ucha Sebastian - on ci nic nie może zrobić. Teraz go dopadniesz.

Miała właśnie okazję i nie powinna jej zmarnować.

Z boku, poprzez gąszcz kolumn, migał nadjeżdżający wóz. Pomyślała przelotnie, że rozpoznaje konie - oba siwe, z czarnymi grzywami i ogonami. Jeszcze nigdy nie widziała tak ogromnych zwierząt. Kątem oka dostrzegła, że woźnica jest wielki i jasnowłosy.

Odwróciła się i z niedowierzaniem popatrzyła na wóz, kiedy usłyszała znajome meczenie Betty. Koza wstała i oparła przednie kopytka na koźle obok woźnicy. Wielki blondyn pogłaskał jej uszy. Był podobny do Toma.

- Jennsen - odezwał się Richard - odsuń się od Kahlan.

- Nie rób tego, siostrze! - wrzasnął Oba i ryknął śmiechem.

Dziewczyna, zaciskając w dłoni nóż, cofnęła się bardziej ku nieprzytomnej kobiecie przywiązanej do wznoszącego się z tyłu filara. Richard musiałby ją odsunąć, żeby się dostać do Kahlan - wtedy go dopadnie.

- Jennsen - spytał lord Rahl - czemu stajesz po stronie Siostry Mroku?

Zerknęła ze zdumieniem na Siostrę Perdite.

- Siostry Światła - poprawiła.

Richard z wolna pokręcił głową i popatrzył na Siostrę.

- Nie. Ona jest Siostrą Mroku. Jagang ma Siostrę Światła, ale te też. Jedne i drugie są niewolnicami Nawiedzającego Sny, dlatego mają kółko w dolnej

wardze.

Jennsen słyszała już tę nazwę - Nawiedzający Sny. Energicznie usiłowała sobie przypomnieć, gdzie się z nią zetknęła. Pamiętała również, co przyzwały Siostry owej nocy w lasach. Wszystko się jej nagle splątało. Obecność głosu wcale nie pomagała - nieustannie ją ponaglał. Krzyczała w niej chęć zabicia tego człowieka, ale coś ją powstrzymywało. Wiedziała, że to nie może być jego magia.

- Musisz pokonać Jennsen, żeby dotrzeć do Kahlan - odezwała się Siostra Perdita swoim zimnym, pogardliwym tonem. - Skończyły ci się czas i możliwości wyboru, lordzie Rahlu. Lepiej ocal choć żonę, zanim i jej czas dobiegnie kresu.

Jennsen dostrzegła z boku nadbiegającą brązową kozę, sporo wyprzedzającą Toma i skaczącą wśród kamiennego lasu.

- Betty? - wyszeptała przez dławiące ją łyzy, odwijając z twarzy czarną szarfę, żeby zwierzę ją rozpoznało.

Koza zamęczała, usłyszawszy swoje imię, i zaczęła machać krótkim ogonkiem. Coś małego nadbiegało zza Toma. Betty najpierw dotarła do Oby. Zobaczyła go, wybiegając zza filara, zamęczała rozpaczliwie i odskoczyła. Jennsen dobrze знаła meczenie wyrażające strach i rozpacz, prośbę o pomoc i pociechę.

Niebo rozszalało się błyskawicami i grzmotami, co jeszcze bardziej wystraszyło biedne zwierzę.

- Betty! - zawołała dziewczyna, ledwo mogąc uwierzyć w to, co widzi. Zastanawiała się, czy to nie jakieś złudzenie, okrutne oszustwo, lecz magia lorda Rahla nie mogła jej tego zrobić.

Koza usłyszała jej głos i skoczyła ku swojej przyjaciółce. Była już o parę kroków, kiedy podniosła wzrok i spojrzała na dziewczynę. Znieruchomiła. Wachlujący ogonek zamarł. Betty zamęczała z rozpacz. A rozpacz przeszła w przerażenie, kiedy patrzyła na dziewczynę.

- Betty - załkała Jennsen - już dobrze. To ja. Chodź.

Zwierzę cofało się, drżąc ze strachu i wpatrując się w nią. Reagowała tak samo jak przed chwilą na Obę, jak tamtej nocy, kiedy go pierwszy raz zobaczyła.

Betty odwróciła się i uciekła.

Prosto do Richarda.

Przykucnął, widząc nadbiegającą przerażoną kozę, która szukała pociechy - i znalazła ją u niego.

Oślupiała Jennsen usłyszała wtedy inne, cichsze meczenie. Pomiedzy ludzi wbiegły rozbrykane malutkie białe kózki. Wystraszył je widok Oby, więc zawróciły, a na widok Jennsen cofnęły się i płaczliwie wołały matkę.

Betty je przywołała. Okręciły się i pognały ku niej. Przy matce czuły się bezpieczne i skakały na Richarda, chcąc, żeby i je pogłaskał.

Tom stanął w oddali i czekał w pobliżu filara. Obserwował całą scenę, najwyraźniej chcąc się trzymać z daleka.

Jennsen pomyślała, że świat oszalał.

ROZDZIAŁ 60

- Betty, co ty robisz? - zapytała Jennsen, nie mogąc pojąć tego, co się dzieje.

- Magia - szepnęła z tyłu Siostra Perdita, odpowiadając na jej pełne zdumienia pytanie. - To jego robota.

Czyżby Richard Rahl zaczarował nawet jej skórę i zwrócił ją przeciwko niej?

Richard postąpił krok ku dziewczynie. Betty i jej parka dokazywały u jego nóg, nieświadome rozgrywających się przed nimi doniosłych zdarzeń.

- Rusz głową, Jennsen - odezwał się Richard. - Myśl samodzielnie. Musisz mi teraz pomóc. Odsuń się od Kahlan.

- Zabij go! - szepnął z nienawistną determinacją Sebastian. - Zrób to, Jenn! Jego magia nie uczyni ci nic złego! Zabij!

Jennsen uniosła nóż, a Richard spokojnie jej się przyglądał. Czowała, jak idzie ku niemu. Kiedy go zabije, umrze też jego magia, a Betty znów będzie jej.

Zamarła. Coś było nie tak. Obróciła się ku Sebastianowi.

- Skąd wiesz? Skąd to wiesz? Nigdy ci nie mówiłam, że magia nie może mi zaszkodzić.

- Tobie też? - zawołał Oba i podszedł bliżej. - No to oboje jesteśmy niezwyciężeni! Możemy razem rządzić D'Harą, choć oczywiście to ja będę królem. Królem Obą Rahlem. Ale nie jestem zachłanny. Może zostaniesz księżniczką. Tak. Jak będziesz grzeczna, to pozwolę ci być księżniczką.

Jennsen znów patrzyła w zdumioną twarz Sebastiana.

- Skąd wiesz?

- Jenn... ja tylko... ja myślałem... - jąkał się, próbując znaleźć jakąś odpowiedź.

- Richardzie... - To Kahlan się ocknęła, ale była oszołomiona. - Gdzie jesteśmy, Richardzie? - Skrzywiła się z bólu i krzyknęła, chociaż nikt jej nie dotykał.

Chłopak zrobił krok ku niej, lecz Jennsen znów stanęła przed nią, unosząc nóż.

- Najpierw musisz pokonać Jennsen - odezwała się Siostra Perdita.

Richard patrzył na nią długo, nie okazując żadnych emocji.

- Nie.

- Musisz! - warknęła Siostra. - Będziesz musiał zabić Jennisen albo Kahlan umrze!

- Zwariowałaś?! - ryknął na nią Sebastian.

- Opanuj się, Sebastianie - skarciła go Siostra. - Zbawienie osiąga się tylko dzięki poświęceniu. Wszyscy ludzie są zepsuci. Pojedynczy człowiek nie ma znaczenia, jedno życie się nie liczy. Nie ma znaczenia, co się z nią stanie, liczy się wyłącznie jej poświęcenie.

Strateg wpatrywał się w nią, niezdolny odpowiedzieć, niezdolny walczyć o życie Jennisen.

- Musisz zabić Jennisen! - piskliwie wrzasnęła Siostra Perdita do Richarda. - Albo uśmiercę Kahlan!

- Richardzie... - jęknęła Matka Spowiedniczka, najwyraźniej nie mając pojęcia, gdzie jest i co się dzieje.

- Nie ruszaj się, Kahlan - powiedział spokojnie.

- Ostatnia okazja! - wrzasnęła Siostra Perdita. - Ostatnia okazja, żeby ocalić cenne życie Matki Spowiedniczki! Ostatnia okazja, zanim pošlę ją Opiekunowi! Zatrzymaj go, Jennisen, a ja zabiję jego żonę!

Dziewczyną wstrząsnęło to, że Siostra Perdita zachęcała go, żeby ją zabił. To nie miało sensu. Przecież Siostra pragnęła śmierci lorda Rahla. Wszyscy chcieli, żeby to lord Rahl umarł.

Jennisen wiedziała, że musi z tym skończyć. Jego magia nie może jej zaszkodzić. Nie miała pojęcia, skąd Sebastian o tym wiedział, ale musiała to zakończyć, teraz, zaraz, póki ma po temu okazję. Ale dlaczego Siostra to robiła? Kompletna tajemnica.

Chyba że Siostra Perdita starała się tak rozeźlić Richarda, by uderzył swoją magią w Jennisen i dał jej pretekst, którego potrzebowała.

Tak, to musiało być to. Dziewczyna nie ośmieliła się czekać.

Skoczyła na Richarda, krzycząc z furii, z gromadzonej przez całe życie nienawiści, z palącego cierpienia po śmierci mamy. Biegła wypełniona szaleńczą wściekłością wyjącego w jej myślach głosu.

Wiedziała, że uderzy w nią magią, by się bronić, że uderzy w nią magią jak w tamtych żołnierzy. Zdziwi się, że to nie podziiała, zdziwi się, że ona przebiegnie przez jego magiczne osłony i wbije mu nóż w to złe serce. Za

późno przekona się, że Jennsen jest niewyciężona.

Biegła ku niemu, krzycząc z wściekłości.

Spodziewała się straszliwego błysku, tego, że przebiegnie przez błyskawicę, grzmot lub dym - ale nic się nie stało. Złapał ją za nadgarstek. I już. Nie posłużył się magią. Nie rzucił uroku. Nie przyzywał czarodziejkiej mocy.

Wobec siły mięśni Jennsen była bezbronna, a on był bardzo krzepki.

- Uspokój się - powiedział.

Szarpała się szaleńczo, wkładając w to całą swoją nienawiść i cierpienie. Mocno trzymał dłoń, w której ścisnęła nóż, a ona szalała, tłukąc go drugą pięścią. Mógł ją rozszarpać gołymi rękami, a pozwalał jej krzyczeć i bić go, potem zaś pozwolił jej się wyszarpnąć i stanąć pośrodku nich wszystkich, zdyszanej, z uniesionym do ciosu nożem, łkającej z gniewu i nienawiści.

- Zabij ją albo Kahlan umrze! - wrzasnęła znów Siostra Perdita.

Sebastian odepchnął czarodziejkę.

- Rozum ci odjęło! Ona da radę! On nie ma broni!

Richard wyciągnął małą książkę z jednej z sakiewek u pasa i uniósł ją.

- Ależ mam.

- Co masz na myśli? - zapytała Jennsen.

Popatrzył na nią wzrokiem drapieżnego ptaka.

- To bardzo stary tekst noszący tytuł *Filary Świata*. Napisał go jeden z naszych przodków, Jennsen, jeden z pierwszych lordów Rahlów, jeden z pierwszych, którzy pojęli w pełni to, co zapoczątkował założyciel linii, Alric Rahl. Alric, który między innymi stworzył więź. To bardzo interesująca książka.

- Pewnie mówi, że jako lord Rahl powinienes mnie zabić.

Richard się uśmiechnął.

- Masz rację. Istotnie tak mówi.

- Co? - Ledwie mogła uwierzyć, że to przyznał. - Naprawdę?

Potaknął.

- Wyjaśnia, dlaczego należy zabić całe naprawdę pozbawione daru potomstwo lorda Rahla, który dziedziczy i przekazuje dalej więź ze swoim ludem.

- Wiedziałam! - krzyknęła Jennsen. - Próbowałeś kłamać! Ale to prawda! I jest to w tej książce!

- Nie powiedziałem, że skorzystam z tej rady. Powiedziałem jedynie, iż książka mówi, że podobni tobie powinni zostać zabici.

- Dlaczego? - zapytała dziewczyna.

- To nie ma znaczenia, Jenn - szepnął Sebastian. - Nie słuchaj go.

Richard wskazał stratega.

- On wie dlaczego. I stąd wiedział, że moja magia nic ci nie zrobi. Bo wie, co jest w książce.

Jennsen obróciła się ku Sebastianowi. Oczy miała szeroko otwarte, wszystko pojęła.

- Imperator Jagang ma tę książkę.

- Bzdury opowiadasz, Jenn.

- Widziałam ją, Sebastianie. *Filary Świata*. Widziałam ją w jego namiocie. To starożytna książka napisana w jego rodzimym języku. Jedna z jego najukochańszych. Wie, co w niej jest. A ty jesteś jednym z jego najcenniejszych strategów. Powiedział ci. I cały czas wiedziałeś, co w niej jest.

- Jenn... ja...

- To byłeś ty - wyszeptała.

- Jak możesz we mnie wątpić? Kocham cię.

Wtedy, mimo przeraźliwego krzyku głosu, wszystko zaczęło się jej układać. Przygniotło ją bolesne brzemie zrozumienia. Przerażliwie jasno dostrzegła prawdziwą rozciągłość zdrady.

- Drogie duchy, to cały czas byłeś ty.

Sebastian - błąd jak jego białe włosy - nagle stał się przeraźliwie spokojny.

- To niczego nie zmienia, Jenn.

- To byłeś ty - szeptała, patrząc na niego szeroko otwartymi oczami. - Połknąłeś jedną różę górskiej gorączki...

- Co?! Nawet czegoś takiego nie mam.

- Widziałam je w puszcze z twojego plecaka. Na wierzchu był szpagat, zakrywał je. Wysypały się.

- Ach, te. Dostałem je od uzdrowiciela, tego, u którego byliśmy.

- Kłamca! Cały czas je miałeś. Wzięłaś jedną, żeby dostać gorączki.

- Zachowujesz się głupio, Jenn.

Jennsen, drżąc, wymierzyła w niego nóż.

- To byłeś ty, cały czas. Tej pierwszej nocy powiedziałeś mi: „Tam, skąd pochodzę, wierzymy w czynienie oręża przeciw wrogowi z tego, co od niego pochodzi lub jest mu najbliższe”. Chciałeś, żebym miała ten nóż. Chciałeś mnie, bo byłam najbliżzej twojego wroga. Chciałeś się mną posłużyć. Jak sobie poradziłeś z tym żołnierzem?

- Jenn...

- Twierdzisz, że mnie kochasz. Udowodnij to! Nie okłamuj mnie! Powiedz prawdę!

Sebastian chwilę patrzył w ziemię, a potem podniósł głowę i odpowiedział:

- Ja tylko chciałem zdobyć twoje zaufanie. Pomyślałem, że jak będę mieć gorączkę, to mnie ze sobą zabierzesz.

- A martwy żołnierz, którego znalazłam?

- Był jednym z moich ludzi. Złapaliśmy tego, który miał nóż. Dałem broń jednemu z moich ludzi, kazałem mu włożyć d'harański mundur i jak cię zobaczyliśmy poniżej, zepchnąłem go z urwiska.

- Zabiłeś własnego żołnierza?

- Czasem niezbędną jest ofiara w imię większej sprawy. Zbawienie osiąga się dzięki poświęceniu - dodał wyzywająco.

- Skąd wiedziałeś, gdzie jestem?

- Imperator Jagang jest Nawiedzającym Sny. Całe lata temu dowiedział się z ksiąg o takich jak ty. Wykorzystał swój talent do szukania każdego, kto mógłby wiedzieć o twoim istnieniu. I z czasem zdołał cię wytropić.

- A kartka, którą znalazłam?

- Podłożyłem ją. Dzięki swoim zdolnościom Jagang dowiedział się, że kiedyś posługiwałaś się tym nazwiskiem.

- Więż nie pozwala Nawiedzającemu Sny wnikać do umysłu człowieka - odezwał się Richard. - Musiał długo szukać, wynajdywać takich, którzy nie są złączeni więzią z lordem Rahlem.

Sebastian przytaknął z satysfakcją.

- Racja. Ale nam się udało.

Dziewczyna płonęła zaślepiającym gniewem, straszliwie cierpiała z powodu tak potwornej zdrady.

- A reszta? Moja... mama? Czy i ona była jedną z twoich niezbędnych ofiar?

Sebastian oblizał wargi.

- Nie rozumiesz, Jenn. Jeszcze cię wtedy naprawdę nie znałem...

- To byli twoi ludzie. Dlatego tak łatwo ich zabiłeś. Nie spodziewali się, że ich zaatakujesz, myśleli, że jesteś po ich stronie. I dlatego tak się zmieszales, kiedy powiedziałam ci o bojówkach, o tym, ilu jeszcze żołnierzy powinno być. To wcale nie byli członkowie bojówek. Musiałeś potem, po drodze, zabić paru niewinnych ludzi, żebym myślała, że to reszta bojówki. Cały czas chodziłeś nocami na zwiady, a po powrocie mówiłeś, że są tuż-tuż i uciekaliśmy nocą. Ukartowałeś to wszystko.

- W dobrej sprawie - rzekł spokojnie Sebastian.

Zapłakana i rozgniewana Jennsen aż się zachłysnęła powietrzem.

- Dobra sprawa! Zabiłeś moją mamę! To przez cały czas byłeś ty! Drogie duchy... pomyśleć, że ja... och, drogie duchy, spałam z mordercą mojej mamy. Ty ohydny...

- Opanuj się, Jenn. To było konieczne. - Wskazał Richarda. - Oto przyczyna tego wszystkiego! Ale teraz go mamy! To wszystko było konieczne! Zbawienie osiąga się tylko przez bezinteresowne poświęcenie. Twoje poświęcenie i ofiara twojej matki pomogły nam schwytać Richarda Rahl, człowieka, który ścigał cię przez całe twoje życie.

Jennsen płakała z wściekłości.

- Nie mogę uwierzyć, że zrobiłeś mi to wszystko i teraz twierdzisz, że mnie kochasz.

- Bo kocham, Jenn. Wtedy cię nie znałem. Mówiłem ci przecież, że nigdy nie zamierzałem się w tobie zakochać, a jednak się zakochałem. Teraz jesteś całym moim życiem. Kocham cię.

Przycisnęła dłonie do głowy, w której wrzeszczał głos.

- Jesteś zły! Nie mogłabym cię kochać!

- Brat Narev naucza, że wszyscy ludzie są źli. Nie możemy egzystować moralnie, bo ludzie są zmazą świata życia. Przynajmniej Brat Narev znalazł się wreszcie w lepszym świecie. Jest teraz przy Stwórcy.

- Chcesz powiedzieć, że nawet Brat Narev był zły? Bo był częścią ludzkości? Nawet twój wspaniały, święty Brat Narev był zły?

Sebastian obrzucił ją gniewnym spojrzeniem.

- Ten prawdziwie zły stoi o tam. - Wskazał ręką. - To Richard Rahl, który zabił wielkiego człowieka. Richard Rahl musi ponieść śmierć za swoje

zbrodnie.

- Jeśli ludzkość jest zła i jeśli Brat Narev jest teraz w lepszym świecie, ze Stwórcą, to Richard Rahl wyświadczył mu przysługę, zabijając go i wysyłając w objęcia Stwórcy, nieprawdaż? A skoro ludzkość jest zła, to jak może być zły Richard Rahl z tego tylko powodu, że zabija żołnierzy Ładu?

Twarz Sebastiana poczerwieniała.

- Wszyscy jesteśmy źli, ale niektórzy są gorsi od pozostałych! My przynajmniej korzemy się przed Stwórcą i przyznajemy do naszej nikczemności. Wysławiamy jedynie Stwórcę. - Zamilkł i wyraźnie się uspokoił. - Wiem, że to oznaka słabości, ale cię kocham. - Uśmiechnął się do niej. - Stałaś się dla mnie jedynym powodem do życia, Jenn.

Dziewczyna tylko mu się przyglądała.

- Nie kochasz mnie, Sebastianie. Nie masz pojęcia, czym naprawdę jest miłość. Dopóki nie pokochasz własnego życia, nie zdołasz pokochać nikogo ani niczego. Miłość bierze się z szacunku do własnego życia. Jeśli kochasz siebie, własne życie, to pokochasz też kogoś, kto uczyni to życie jeszcze cenniejszym, podzieli je z tobą i sprawi, że stanie się przyjemniejsze. Jeśli zaś nienawidzisz siebie i wierzysz, że twoje życie jest złe, to możesz jedynie nienawidzić, doświadczać jedynie pozoru miłości, tęsknić za czymś dobrym, ale nie masz innej podstawy dla owego uczucia jak tylko nienawiść. Plamisz samo pojęcie miłości, Sebastianie, swoim występny pragnieniem tego uczucia. Potrzebujesz mnie tylko po to, by usprawiedliwić swoją nienawiść. Chcesz towarzyski w nienawiści do siebie. Żeby prawdziwie kogoś pokochać, Sebastianie, musisz się upajać istnieniem tej osoby, bo za jej sprawą życie staje się jeszcze cudowniejsze. Skoro uważasz, że życie to zepsucie, to nigdy nie zaznasz takiego związku, nigdy się nie dowiesz, czym naprawdę jest miłość.

- Mylisz się! Nic nie rozumiesz!

- Rozumiem aż za dobrze. Szkoda tylko, że dopiero teraz.

- Ależ ja cię kocham, Jenn. Mylisz się. Kocham cię!

- Możesz tylko chcieć kochać. To puste słowa kogoś, kto jest zaledwie pozorem człowieka. Nie ma w tym nic, co bym mogła pokochać, nic wartego miłości. Jesteś tak pozbawiony człowieczeństwa, że nawet trudno mi cię nienawidzić, chyba że tak, jak ktoś mógłby darzyć nienawiścią odkryty ściek.

W otaczające ich skalne filary uderzyła błyskawica. Głos w głowie

Jennsen niemal rozdzierał ją na kawałki.

- Wcale tak nie myślisz, Jenn. Nie możesz. Nie potrafię żyć bez ciebie.

Dziewczyna skierowała ku niemu swoją lodowatą furię.

- Gdybyś chciał mi sprawić przyjemność, Sebastianie, to mógłbyś zrobić tylko jedno: umrzeć!

- Dość już się nasłuchiłam tej wzruszającej sprzeczki kochanków - warknęła Siostra Perdita. - Bądź mężczyzną, Sebastianie, i zamknij się albo ja zamknę ci gębę. Twoje życie znaczy równie mało jak życie każdego innego człowieka. Masz wybór, Richardzie. Jennsen albo Matka Spowiedniczka.

- Nie musisz służyć Opiekunowi, Siostro - powiedział lord Rahl. - Ani Nawiedzającemu Sny. Masz wybór.

Siostra Perdita wymierzyła w niego palec.

- To ty masz wybierać! Już raz zaoferowałam ci ów wybór! Twój czas minął! Czas Kahlan też! Jennsen albo Kahlan: wybieraj!

- Nie podobają mi się twoje reguły - odrzekł Richard. - Żadnej nie wybieram.

- Więc ja wybiorę za ciebie! Umiera twoja cenna żonka!

Jennsen skoczyła, by ją powstrzymać, a tymczasem Siostra Perdita złapała Kahlan za włosy i uniosła jej głowę. Twarz Matki Spowiedniczki była pozbawiona wszelkiego wyrazu.

Jennsen złapała Siostrę Perditę za ramię, najszybciej i najpotężniej jak tylko mogła zamachnęła się i uderzyła nożem z ozdobnym „R”, wbrew wszystkiemu mając nadzieję, że ocali Kahlan życie, choć jednocześnie wiedziała, że już na to za późno.

Jasna i czysta chwila, w której świat się zatrzymał, zamarł.

A potem gwałtowny wstrząs powietrza, bezgłośny grom.

Straszliwy wstrząs poniósł rozszerzającym się koliskiem pył i skały. W centrum owego kręgu tkwiła Matka Spowiedniczka. Zatrzęsły się pobliskie skalne kolumny, a potem filary. Te z nich, których równowaga była chwiejna, runęły. Padając, uderzyły w inne i też je powaliły. Olbrzymie fragmenty niebotycznych filarów całą wieczność spadały w rozpalonym powietrzu, ciągnąc za sobą pióropusz kurzu. Rozpadały się, lecąc w dół jak kamienny grom. A kiedy wreszcie runęły na ziemię, potężnie zatrzęsła się cała dolina. W powietrze podniósł się zasłaniający widok kurz.

Świat poczerniał, jakby zniknęło całe światło, i w owej straszliwej chwili,

w całkowitej czerni, miało się wrażenie, że nie ma świata, że nie ma w ogóle niczego.

Świat powrócił, jakby uniosły się cienie.

Jennsen stwierdziła, że trzyma ramię martwej kobiety. Siostra Perdita osunęła się na ziemię jak jeden z owych kamiennych filarów. Z jej piersi sterczał nóż dziewczyny.

Richard już był przy nich, obejmował Kahlan, przecinał sznur i pomagał jej stanąć na ziemi. Wyglądała na wyczerpaną, ale poza tym nic jej nie było.

- Co się stało? - zapytała zdumiona Jennsen.

Richard uśmiechnął się do niej.

- Siostra popełniła błąd. Ostrzegałem ją. Matka Spowiedniczka poraziła Siostrę Perditę swoją mocą.

- Musiałeś ją ostrzegać? - zapytała Kahlan, nagle całkiem przytomna. - Mogła cię posłuchać,

- Nie, to ją tylko zachęciło do czynu.

Jennsen uświadomiła sobie, że głos zniknął.

- Co się stało? Zabiłam ją?

- Nie. Była martwa, zanim jeszcze dotknął jej twój nóż - powiedziała Kahlan. - Richard odwracał jej uwagę, żebyś się mogła posłużyć mocą. Próbowalaś, lecz o mgnienie się spóźniłaś. Już była moja.

Lord Rahl uspokajająco położył dłoń na ramieniu Jennsen.

- Nie zabiłaś jej, ale dokonałaś wyboru, który ocalił ci życie. Cień, który przemknął nad nami, kiedy umarła Siostra, to był Opiekun zmarłych porywający tę, która się z nim związała przysięgą. Gdybyś dokonała złego wyboru, zabrałby cię wraz z nią.

Dziewczynie trzęsły się kolana.

- Głos zniknął - wyszeptała. - Zniknął.

- Opiekun mimowolnie zdradził swój zamiar - stwierdził Richard. - Wypuścił psy, a to oznaczało, że zasłona jest rozdarta.

- Nie rozumiem.

Machnął książką, a potem schował ją do jednej z wiszących u pasa sakiewek.

- Nie miałem czasu, żeby całą przeczytać, ale trochę się z niej dowiedziałem. Jesteś zupełnie pozbawionym daru dzieckiem lorda Rahla. Stanowisz więc przeciwwagę dla Rahla z darem magii. Nie tylko nie masz

ani odrobiny mocy, ale też moc nie może ci nic zrobić. W czasie wielkiej wojny dano początek rodowi Rahlów, linii potężnych czarodziejów, ale przy okazji stworzono i to, co może pozbawić świat magii. Imperialny Ład może chcieć świata bez magii, ale to ród Rahlów jest w stanie koniec końców do tego doprowadzić. Ty, Jennsen Rahl, jesteś potencjalnie najniebezpieczniejszym z wszystkich ludzi, bo jak każdy pozbawiony daru Rahl, możesz zapoczątkować nowy, pozbawiony magii świat.

Dziewczyna wpatrywała się w jego szare oczy.

- Dlaczego więc nie chcesz mnie zabić, jak każdy poprzedni lord Rahl?

Richard się uśmiechnął.

- Masz takie samo prawo do życia jak wszyscy inni, jak miał zawsze każdy lord Rahl. Nie ma jedynie słusznej drogi istnienia świata. Jedyna właściwa zasada to pozwolić ludziom żyć po swojemu.

Kahlan wyciągnęła nóż z piersi Siostry Perdity, oczyściła go o jej czarne szaty i oddała Jennsen.

- Siostra Perdita się myliła. Zbawienia nie osiąga się przez poświęcenie. Sama ponosisz odpowiedzialność za siebie.

- Twoje życie należy wyłącznie do ciebie - powiedział Richard. - Dumny byłem z ciebie, słuchając, co mówisz Sebastianowi.

Jennsen wpatrywała się w trzymany w ręce nóż, nadal oszołomiona i zdezorientowana tym wszystkim, co się stało. Rozejrzała się w zapadającym mroku, ale nigdzie nie dostrzegła Sebastiana. Oba też zniknęli. Za to w pobliżu stała Mord-Sith.

- No proszę - pożałowała się Matce Spowiednicze, wznosząc ramiona ku niebu. - Ta dziewczyna mówi jak lord Rahl. Teraz będę musiała wysłuchiwać obojga.

Kahlan uśmiechnęła się, usiadła i oparła o filar, do którego była przywiązana. Patrzyła na Richarda i słuchała, gładząc uszy koźlątek Betty.

Koza przyjrzała się małym, stwierdziła, że są bezpieczne, i z nadzieją zerknęła ku Jennsen. Zaczęła machać krótkim ogonkiem.

- Betty?

Zwierzę skoczyło ku niej radośnie, rade ze spotkania. Zapłakana Jennsen przytuliła przyjaciółkę, a potem się podniosła i stanęła naprzeciwko brata.

- Dlaczego nie robisz tak jak twoi przodkowie? Dlaczego? Jak możesz ryzykować to, o czym mówi książka?

Richard wsunął kciuki za pas, głęboko odetchnął.

- Życie to przyszłość, nie przeszłość. Przeszłość może nas uczyć dzięki doświadczeniu, jak działać w przyszłości. Może pocieszać nas najmiłszymi wspomnieniami i dawać za podstawę to, co już zostało zrobione. Jednak tylko przyszłość jest źródłem życia. Życ przeszłością to opowiadać się za tym, co już przebrzmiało, co jest już martwe. Aby żyć pełnią życia, trzeba na nowo stwarzać każdy dzień. Jako rozumne, myślące istoty musimy przy dokonywaniu wyboru posługiwać się rozumem, a nie ślepym przywiązaniem do tego, co było.

- Życie to przyszłość, nie przeszłość - szepnęła do siebie Jennsen, dumając nad tym, co teraz życie dla niej chowa. - Gdzieś coś takiego usłyszała?

Richard uśmiechnął się od ucha do ucha.

- To siódme prawo magii.

Jennsen patrzyła na niego przez łzy.

- Dałeś mi przyszłość, dałeś mi życie. Dziękuję.

Uściskał ją i dziewczyna nagle już nie była sama na świecie.

Wszystko było jak trzeba. Tak dobrze było się tulić do niego i płakać za mamą, płakać z radości, że jest przyszłość. Życie i przyszłość.

Kahlan pogłaskała Jennsen po plecach.

- Witaj w rodzinie.

W końcu Jennsen otarła łzy, śmiała się i drapała uszy Betty. Dostrzegła stojącego w pobliżu Toma.

Podbiegła do niego i rzuciła mu się w ramiona.

- Tomie, och, Tomie. Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię widzę! Dziękuję, że przywiozłeś mi Betty.

- To cały ja. Dostarczam kozy, tak jak obiecuję. Okazało się, że Irma potrzebowała twojej kózki. Ma kozła, a chciała mieć jedno młode. Zatrzymała jedno i odsyła ci parkę.

- Betty miała trojaczki?

Tom przytaknął.

- Coś mi się zdaje, że ogromnie polubił Betty i jej małe.

- Nie mogę uwierzyć, że to dla mnie zrobiłeś. Jesteś cudowny, Tomie.

- Moja mama też tak zawsze mówi. Nie zapomnij, że obiecałeś to powiedzieć lordowi Rahlowi.

Jennsen zaśmiała się zachwycona.

- Obiecuję! Ale jak mnie odnalazłeś?

Tom uśmiechnął się i wyciągnął zza pleców nóż. Jennsen ze zdumieniem spostrzegła, że jest taki sam jak jej.

- Widzisz - wyjaśnił - noszę ten nóż w służbie lordowi Rahlowi.

- Tak? - zapytał Richard. - Nigdy wcześniej cię nie widziałem.

- Och - odezwała się Mord-Sith. - Tom jest w porządku, lordzie Rahlu.

Mogę za niego ręczyć.

- Dzięki, Caro - powiedział Tom z błyskiem w oku.

- Czyli cały czas wiedziałeś, że udaję? - zapytała Jennsen.

Tom wzruszył ramionami.

- A jakież by to ze mnie był obrońca lorda Rahla, gdybym pozwolił tak niebezpiecznej osobie próbować szkodzić i nie starał się dowiedzieć, co właściwie knujesz? Pilnowałem cię i śledziłem przez sporą część twojej podróży.

Jennsen uderzyła go w ramię.

- Szpiegowałeś mnie!

- Jako obrońca lorda Rahla musiałem wiedzieć, co knujesz, i mieć pewność, że nie zrobisz nic memu panu.

- No to chyba nie za bardzo przykładałeś się do roboty.

- O co ci chodzi? - spytał z przesadnym oburzeniem.

- Naprawdę mogłam go pchnąć nożem. A ty stałeś tam cały czas, za daleko, by zadziałać.

Tom przywołał swój chłopięcy uśmiech, lecz tym razem bardziej psotny niż zwykle.

- Oooo, nie pozwoliłbym ci skrzywdzić lorda Rahla.

Odwrócił się i cisnął nożem. Ten jak błyskawica przeleciał nad doliną i ze stukiem wbił się w jeden z odległych wywróconych kamiennych filarów. Jennsen zmrużyła oczy i dojrzała, że utkwiał w czymś czarnym.

Poszła za Richardem, Kahlan, Mord-Sith oraz Tomem pośród niebotycznych kolumn i przez skalny rumosz do miejsca, gdzie utkwiał nóż. Ku zdumieniu Jennsen, przebił skórzaną sakiewkę - dokładnie w środku - tkwiącą w ręce wystającej spod wielkiego przewróconego głazu.

- Błagam - dobiegł spod głazu stłumiony głos - wyciągnijcie mnie stąd. Mogę zapłacić. Mam własne pieniądze.

To był Oba. Głaz spadł na niego, gdy uciekał. Olbrzymi kawał skały wylądował na kamieniach, które go podparły, i jego główna część - nawet i dwudziestu mężczyzn nie zdołaloby go otoczyć, trzymając się za ręce - nie dotykała ziemi, zamykając Obę w tej pułapce.

Tom wyciągnął nóż z kamienia, zabrał sakiewkę i pomachał nią.

- Friedrich! - zawołał ku wozowi, a mężczyzna usiadł. - To twoje, Friedrichu?

Jennsen znów się zdumiała - był to dzień samych niespodzianek - widząc, jak Friedrich Gilder, mąż Althei, schodzi z wozu i idzie ku nim.

- Moje - powiedział i zajrzał pod skałę. - Masz tego więcej.

Po chwili ręka zaczęła podawać kolejne skórzane i płócienne mieszki.

- Masz już wszystkie moje pieniądze. Teraz mnie wyciągnij.

- Oooch - stwierdził Friedrich - wątpię, bym zdołał unieść tę skałę. A już na pewno nie dla człowieka odpowiedzialnego za śmierć mojej żony.

- Althea nie żyje? - spytała wstrząśnięta Jennsen.

- Niestety, opuściło mnie moje słońeczko.

- Tak mi przykro - wyszeptała. - Była porządną kobietą.

Friedrich się uśmiechnął.

- Owszem. - Wyciągnął z kieszeni mały, gładki kamyk. - Ale chociaż to mi zostawiła.

- Czy to nie dziwne - powiedział w zadumie Tom. Poszperał w kieszeni i coś wyłowił. Otworzył dłoń, na niej leżał mały, gładki kamyk. - I ja taki mam. Zawsze go noszę jako talizman.

Friedrich łypnął nań podejrzliwie. W końcu jednak się uśmiechnął.

- Więc i do ciebie się uśmiechnęła.

- Nie mogę oddychać - powiedział spod skały przytłumiony głos. - To boli. Nie mogę się poruszyć. Wyciągnijcie mnie.

Richard wyciągnął rękę ku skale. Zazgrzytało i spod kamieni wyleciał miecz. Chłopak pochylił się, wyciągnął pochwę, a za nią pendent. Otrzepał wszystko z kurzu, przełożył pendent przez ramię, pochwa znalazła się u biodra. Miecz był wspaniały, oręż godny lorda Rahla.

Jennsen zobaczyła na rękojeści lśniące słowo PRAWDA.

- Stawiłeś czoło tym wszystkim żołnierzom, a nawet nie miałeś miecza. Chyba magia była lepszą obroną.

Richard się uśmiechnął, potrząsnął głową.

- Mój dar działa w chwilach nagłej konieczności i gniewu. Porwali Kahlan, więc konieczności było pod dostatkiem, a i gniewu nie brakło. - Wyciągnął rękojeść, żeby znów mogła ujrzeć wypisane złotem słowo. - Ten oręż działa cały czas.

- Skąd wiedziałeś, gdzie jesteśmy? - spytała go Jennsen. - Skąd wiedziałeś, gdzie jest Kahlan?

Richard przesunął kciukiem po złotym słowie na rękojeści miecza.

- Dał mi go mój dziadek. Ten tu król Oba go ukradł, kiedy z pomocą Opiekuna porwał Matkę Spowiedniczkę. To szczególny miecz. Jestem z nim związany. Wyczuwam, gdzie jest. Chcąc mnie tu zwabić, Opiekun bez wątpienia polecił Obę, żeby go wziął.

- Błagam! - zawołał Oba. - Nie mogę oddychać.

- Twój dziadek? - zaciekała się Jennsen, ignorując łkania i rozpacz Oby.
- Masz na myśli czarodzieja Zorandera?

Wspaniały, szeroki uśmiech rozjaśnił twarz Richarda.

- Więc spotkałaś Zedda. Jest wspaniały, prawda?

- Próbował mnie zabić - mruknęła Jennsen.

- Zedd? - zdziwił się Richard. - Zedd jest nieszkodliwy.

- Nieszkodliwy??? On...

Cara stuknęła Jennsen swoim czerwonym Agielem.

- Co ty wyprawiasz? - oburzyła się dziewczyna. - Przestań.

- Nic nie czujesz?

- Nic. - Jennsen zerknęła na nią gniewnie. - Tak samo jak wtedy, kiedy Nyda to robiła.

Cara wysoko uniosła brwi.

- Spotkałaś się z Nydą? - Popatrzyła na Richarda. - I nadal może chodzić. Jestem pod wrażeniem.

- Magia na nią nie działa - wyjaśnił lord Rahl. - To dlatego i twój Agiel nic jej nie robi.

Mord-Sith z przebiegłym uśmieszkiem obejrzała się na Kahlan.

- Myślisz o tym samym co ja? - spytała Matka Spowiedniczka.

- Może mogłaby rozwiązać nasz drobny problem - powiedziała Cara, a jej złośliwy uśmieszek stał się jeszcze szerszy.

- Teraz pewnie zechcecie - odezwał się Richard wyraźnie w złym humorze - żeby i ona tego dotknęła.

- Cóż - stwierdziła Cara - ktoś musi. Chyba że chcesz, żebym to znowu zrobiła?

- Nie!

- O czym wy mówicie? - zaciekała się Jennsen.

- Mamy pewne naglące problemy - stwierdził chłopak. - Może zechciałabyś nam pomóc, bo uważam, że możesz mieć szczególną umiejętność potrzebną do wyplątania nas z trudnej sytuacji.

- Naprawdę? Czyli chcecie, żebym z wami poszła?

- Jeżeli zechcesz - powiedziała Kahlan. Oparła się o Richarda, jakby była u kresu sił.

- Tomie - odezwał się Richard - moglibyśmy...

- Ależ oczywiście! - Skoczył i podał Kahlan ramię. - Chodźcie. Mam w tyle wozu parę milutkich koców, możesz się tam położyć. Zapytaj Jennsen, jest naprawdę wygodnie. Powiozę was lepszą drogą.

- Bardzo byśmy byli wdzięczni - rzekł lord Rahl. - Ale jest już prawie ciemno. Lepiej zostańmy tu na noc i wyjedźmy, jak tylko się wystarczająco rozjaśni. Zanim się zrobi zbyt gorąco.

- Pewnie będą chcieli siedzieć przy Matce Spowiednicze - szepnął Tom do Jennsen. - Może nie miałabyś nic przeciwko jeździe na koźle, przy mnie?

- Najpierw chcę się czegoś dowiedzieć, więc gadaj prawdę - odparła. - Skoro chronisz lorda Rahl, to co byś zdziałał, stojąc tak daleko, gdybym go zraniła?

Popatrzył na nią z bardzo poważną miną.

- Jennsen, gdybym naprawdę uważał, że chcesz lub możesz to zrobić, przebiłbym cię nożem, zanim miałabyś po temu okazję.

Dziewczyna się uśmiechnęła.

- Wspaniale. No, to pojedę przy tobie. Mój koń jest tam. - Wskazała za Filary Świata. - Zaprzyjaźniłyśmy się z Rusty.

Betty zamęczała, usłyszawszy imię klaczy. Jennsen roześmiała się i podrapała pulchny bok kózki.

- Pamiętasz Rusty?

Koza zamęczała na potwierdzenie, a jej małe brykały w pobliżu.

Z tyłu doleciały Jennsen błagania krwiożerczego Oby Rahl, żeby go wyciągnięto. Zatrzymała się i obejrzała, uświadamiając sobie, że on też jest przyrodnim bratem. I bardzo złym człowiekiem.

- Przepraszam, że myślałam o tobie takie okropne rzeczy - powiedziała, patrząc na Richarda.

Uśmiechnął się, obejmując Kahlan ramieniem. Drugim objął Jennsen.

- Spojrzałaś prawdzie w oczy i posłużyłaś się rozumem. O więcej nie mógłbym prosić.

Ciężar skalnego odłamu powoli kruszył piaskowiec podtrzymujący filar nad Obą. Za parę godzin Oba zostanie zmiądzony w tym więzieniu, z którego nie było ucieczki. Chyba że najpierw umrze z pragnienia.

Po takiej porażce Opiekun na pewno mu nie pomoże. Opiekun będzie miał całą wieczność na dręczenie Oby za zawód, jaki ten mu sprawił.

Oba był zabójcą. Jennsen domyślała się, że Richard Rahl nie ma ani odrobiny litości dla kogoś takiego ani dla kogoś, kto skrzywdził Kahlan. Obie litości nie okazał.

Oba Rahl na zawsze spocznie pogrzebany pod Filarami Świata.

ROZDZIAŁ 61

Rankiem Tom powiózł ich wśród niebotycznych Filarów Świata. Wcześniej, kiedy słońce rzucało długie cienie i użyczało wszystkiemu wspaniałych barw, widok był urzekający. Przed nimi nikt nie wyszedł z doliny, żeby o tym opowiadać.

Rusty ucieszyła się na widok Jennsen, a już zupełnie rozradowała się, gdy zobaczyła Betty i jej młode.

Jennsen, w towarzystwie Richarda i Kahlan, weszła do przysadzistego budynku i przekonała się, że Sebastian - nie potrafiąc pogodzić swojej wiary z uczuciami - spełnił jej ostatnie życzenie.

Połknął wszystkie róże górskiej gorączki, jakie miał w puszczy. Siedział martwy przy stole.

Jennsen, spoczywając obok Toma, słuchała opowieści Richarda i Kahlan o tym, jak wreszcie mogli być razem. Nie potrafiła uwierzyć, że on aż tak różni się od jej wyobrażeń o nim. Jego matka, zgwałcona przez Rahla Posępnego, uciekła z Zeddem, żeby uchronić Richarda. Chłopak dorastał w odległym Westlandzie, nie wiedząc nic o D'Harze, rodzie Rahlów czy magii. Richard położył kres złemu, despotycznemu władaniu Rahla Posępnego, Kahlan zaś, ścigana przez prawdziwe bojówki, zabiła ich dowódcę. Kiedy Richard został lordem Rahlem, bojówek już nie było.

Jennsen poczuła się dumna i zaszczycona, kiedy Richard poprosił, by zatrzymała nóż z ozdobnym „R”. Powiedział, że na to zasłużyła. Zamierzała go zatrzymać i uważać za święte prawdziwe jego przeznaczenie. Teraz naprawdę była obrońcą lorda Rahla, tak samo jak Tom.

Jechali, a Betty stała w wozie obok Friedricha, opierając przednie kopytka o ławkę, pomiędzy Tomem a Jennsen, którzy piastowali po śpiącym koźlątku. Rusty była uwiązana z tyłu i Betty często do niej zachodziła. Richard, Kahlan i Cara jechali obok.

Jennsen przemyślała to, co jej powiedział przyrodni brat, i popatrzyła na niego.

- Więc naprawdę sobie tego nie wymyśliłeś? Naprawdę jest o mnie w tej książce, w *Filarach Świata*?

- O takich jak ty napisano tam: „Najniebezpieczniejszą z istot

chodzących po świecie życia jest pozbawione daru dziecię lorda Rahla, albowiem jest ono całkowicie niepodatne na magię. Magia nie może takim istotom zaszkodzić ani wpłynąć na nie i nie istnieją nawet dla proroctwa”. Ale udało ci się dowieść, że książka się myli.

Zastanowiła się nad tym. Część z tego dalej wydawała się jej bezsensowna.

- Nie rozumiem, po co Opiekun się mną posługiwał. Dlaczego słyszałam w głowie jego głos?

- Miałem czas na przetłumaczenie zaledwie małego fragmentu, a inne partie książki są uszkodzone. Jednak z tego, co przeczytałem, wynika, że pozbawione daru dziecko jest tym, co książka nazywa „dziurą w świecie” - wyjaśnił. - Jest więc i dziurą w zasłonie, co czyni cię potencjalnym przejściem między światem życia a światem śmierci. Opiekun potrzebuje takiego przejścia, żeby wchłonąć świat życia. Ostatecznym, niezbędnym elementem jest pragnienie pomsty. Twoje przystanie na jego życzenia, kiedy znalazłaś się w lesie z Siostrami Mroku, musiałyby się skończyć zabiciem ciebie. Dobiłabyś targu ze śmiercią, umierając.

- Więc gdyby ktoś mnie zabił po tym pobycie w lesie z Siostrami Mroku, to otworzyłyby się takie przejście?

- Nie. Opiekun potrzebował obrońcy świata życia. To wymagało przeciwwagi dla twojego braku daru. Takiego czynu musiał się dopuścić Rahl, który ma dar, lord Rahl - powiedział Richard. - Gdybym cię zabił, żeby bronić siebie lub Kahlan, Opiekun wy dostałby się na ten świat przez powstałe rozdarcie. Musiałem cię skłonić, byś wybrała życie, a nie śmierć, jeżeli miałaś żyć i jeżeli Opiekun miał pozostać w zaświatach.

- Mogłam... zniszczyć życie - powiedziała Jennsen wstrząśnięta, bo pojęła, jak mało brakowało, by doprowadziła do straszliwej katastrofy.

- Nie pozwoliłbym ci - rzekł dobrodusznie Tom.

Jennsen położyła rękę na jego ramieniu, uświadamiając sobie, że nigdy nie czuła czegoś takiego, jak teraz wobec niego. Sprawiał, że serce w niej śpiewało. Jego uśmiech sprawiał, że warto było żyć. Betty wepchnęła pomiędzy nich swój łeb, domagając się uwagi i chcąc popatrzeć na śpiące małe.

- Nie ma większej zdrady wobec życia, jak wydać niewinnego Opiekunowi zmarłych - odezwała się Cara.

- Ale ona tego nie zrobiła - stwierdził Richard. - Posłużyła się rozumem i odkryła prawdę, a prawdą, żeby wybrać życie.

- Na pewno wiele wiesz o magii - powiedziała Jennsen do Richarda.

Kahlan i Cara tak się śmiały, że dziewczyna aż się złękła, że pospadają z koni.

- Nie widzę w tym nic śmiesznego - burknął Richard.

A one śmiały się jeszcze głośniej.

Spis treści

ROZDZIAŁ 1
ROZDZIAŁ 2
ROZDZIAŁ 3
ROZDZIAŁ 4
ROZDZIAŁ 5
ROZDZIAŁ 6
ROZDZIAŁ 7
ROZDZIAŁ 8
ROZDZIAŁ 9
ROZDZIAŁ 10
ROZDZIAŁ 11
ROZDZIAŁ 12
ROZDZIAŁ 13
ROZDZIAŁ 14
ROZDZIAŁ 15
ROZDZIAŁ 16
ROZDZIAŁ 17
ROZDZIAŁ 18
ROZDZIAŁ 19
ROZDZIAŁ 20
ROZDZIAŁ 21
ROZDZIAŁ 22
ROZDZIAŁ 23
ROZDZIAŁ 24
ROZDZIAŁ 25
ROZDZIAŁ 26
ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28
ROZDZIAŁ 29
ROZDZIAŁ 30
ROZDZIAŁ 31
ROZDZIAŁ 32
ROZDZIAŁ 33
ROZDZIAŁ 34
ROZDZIAŁ 35
ROZDZIAŁ 36
ROZDZIAŁ 37
ROZDZIAŁ 38
ROZDZIAŁ 39
ROZDZIAŁ 40
ROZDZIAŁ 41
ROZDZIAŁ 42
ROZDZIAŁ 43
ROZDZIAŁ 44
ROZDZIAŁ 45
ROZDZIAŁ 46
ROZDZIAŁ 47
ROZDZIAŁ 48
ROZDZIAŁ 49
ROZDZIAŁ 50
ROZDZIAŁ 51
ROZDZIAŁ 52
ROZDZIAŁ 53
ROZDZIAŁ 54
ROZDZIAŁ 55
ROZDZIAŁ 56
ROZDZIAŁ 57
ROZDZIAŁ 58
ROZDZIAŁ 59

ROZDZIAŁ 60

ROZDZIAŁ 61